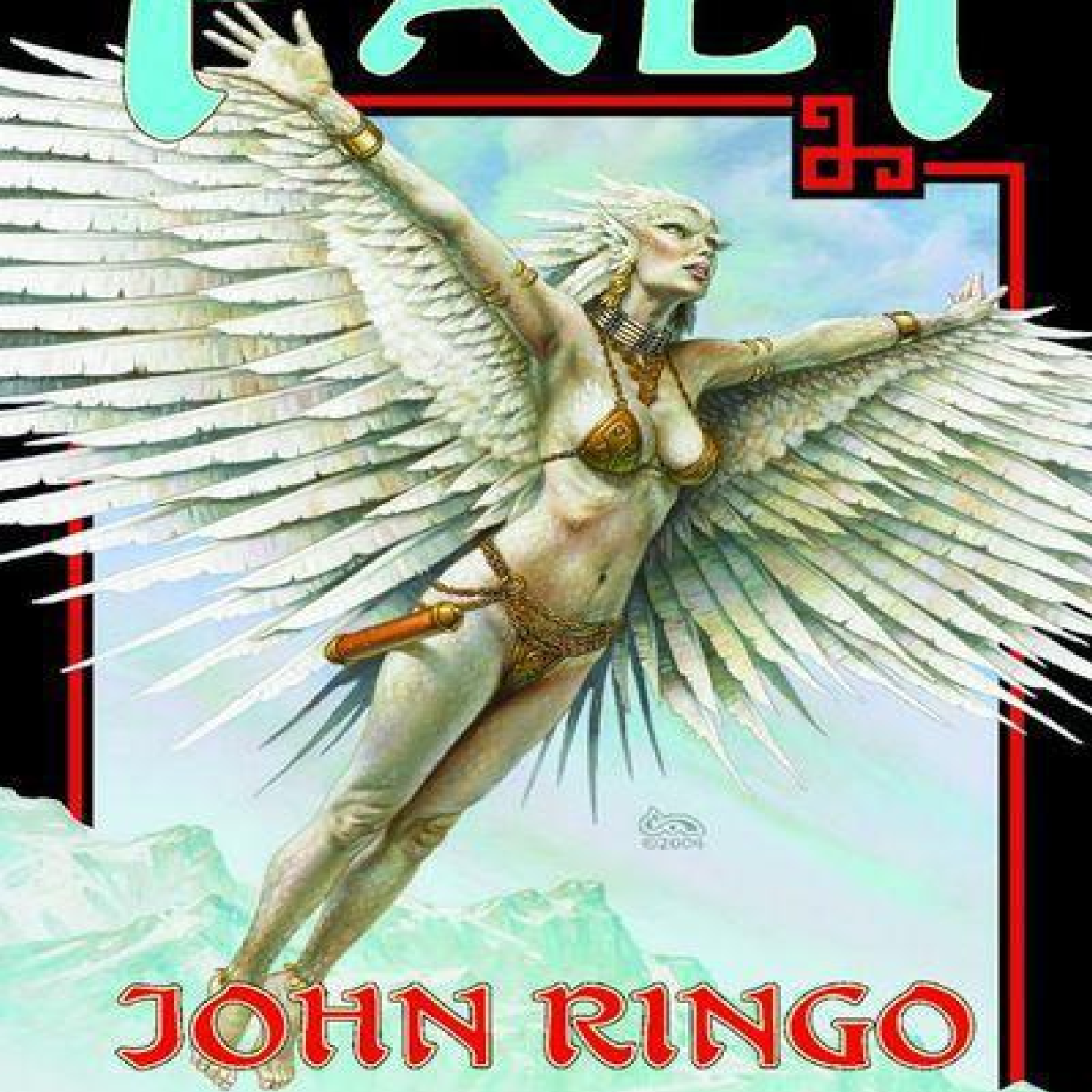


# WBREW FALL



JOHN RINGO

**WBREW FALI**

**JOHN RINGO**

Tytuł oryginału: AGAINST THE TIDE

# Spis treści

[STRONA TYTUŁOWA](#)  
[ROZDZIAŁ PIERWSZY](#)  
[ROZDZIAŁ DRUGI](#)  
[ROZDZIAŁ TRZECI](#)  
[ROZDZIAŁ CZWARTY](#)  
[ROZDZIAŁ PIĄTY](#)  
[ROZDZIAŁ SZÓSTY](#)  
[ROZDZIAŁ SIÓDMY](#)  
[ROZDZIAŁ ÓSMY](#)  
[ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY](#)  
[ROZDZIAŁ DZIESIĄTY](#)  
[ROZDZIAŁ JEDENASTY](#)  
[ROZDZIAŁ DWUNASTY](#)  
[ROZDZIAŁ TRZYNASTY](#)  
[ROZDZIAŁ CZTERNASTY](#)  
[ROZDZIAŁ PIĘTNASTY](#)  
[ROZDZIAŁ SZESNASTY](#)  
[ROZDZIAŁ SIEDEMNAŚCIE](#)  
[ROZDZIAŁ OSIEMNAŚCIE](#)  
[ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY](#)  
[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY](#)  
[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY](#)  
[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI](#)  
[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI](#)  
[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY](#)  
[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY](#)  
[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY](#)  
[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY](#)  
[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY](#)  
[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY](#)  
[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY](#)  
[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY](#)  
[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI](#)  
[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI](#)  
[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY](#)  
[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY](#)  
[EPILOG](#)



# ROZDZIAŁ PIERWSZY

Humbak płynął powoli na północ przez błękitne wody wschodniego Atlantyku, wsłuchując się w odgłosy otaczającego go oceanu. W zależności od częstotliwości sygnału dźwięk pod wodą potrafi rozchodzić się na bardzo duże odległości. Wieloryb nie używał swojego sonaru, wykorzystując dźwięki emitowane przez małe i duże stworzenia morskie do generowania trójwymiarowej mapy otoczenia rozciągającej się z malejącą dokładnością około stu mil wokół niego.

Na południu znajdowało się kilka ławic drobnych ryb. Pożywiały się nimi ptaki i tuńczyki, a jedną zajmowało się też stado rekinów. Na północnym zachodzie, w pobliżu lodowców, emitowała swój wielorybi śpiew cała grupa humbaków, przepłatając go docierającą na tysiące mil litanią informacji. W głębinach przebywała ławica kalmarów, ale płynący wieloryb nie był ani pelagicznym łowcą, jak płetwale błękitne, żeby ruszyć ku ławicom na południu, ani głębinowym drapieżcą, jak kaszaloty, które potrafiły zanurkować na pięćset metrów w głębiny. Nie, on żywił się przy brzegach, jedząc przez kilka tygodni śledzie, by potem tygodniami utrzymywać się na zgromadzonym tłuszczu.

Tak przynajmniej powtarzał sobie Bruno. Co nie zmieniało faktu, że był głodny, a statki z zaopatrzeniem miały przypłynąć dopiero za kilka tygodni.

Kiedy tak marudził w duchu, skręcając właśnie na wschód, żeby pozostać w swojej strefie patrolowej, wyłowił gorączkowe piski delfina. Wysłuchał go, po czym dokończył powolny zwrot, ustawiając się w kierunku odległego stadka i nurkując powoli sto metrów pod powierzchnię oceanu, na głębokość, na której zanikały interferencje od strony powierzchni. Natężenie dźwięku zostało osłabione przez odległość – wysokiej częstotliwości piski delfina słabły szybko nawet w zimnej wodzie – ale humbaki były nie tylko najgłośniejszymi waleniami w oceanie, miały też najlepszy słuch. Odczekał, aż dźwięki zaczęły się powtarzać, po czym wynurzył się, wydychając zawartość płuc po wstrzymywanym długie minuty oddechu i głęboko wciągając zimne atlantyckie powietrze. Następnie zanurkował z powrotem na sto metrów, uniósł ogon w górę i zaczął emitować serię głębokich dudnień przypominających uderzenia w potężny bęben, rozchodzące się daleko przez ocean.

Tryton leżał w mule, podpierając głowę rękami, żeby utrzymać ją nad glutowatą, czarną masą. Asfaw tego nie lubił, ale do wyboru miał jeszcze tylko pływanie w kółko, co szybko mu się nudziło. Chyba po raz setny pomyślał sobie, że powinien coś zrobić, żeby nie musieć tarzać się w tym obrzydlistwie. Ale potem przypomniał sobie, że pisanie notatek jest bardzo uciążliwe, a prawdopodobnie i tak nic by z tego nie wynikło, bo jak dowodziły ich kwatery, wsparcie dla syren miało tu dość niski priorytet. Siedział więc w mule, leżał w mule i czasami, w trakcie długich zmian, bawił się mułem.

Kiedy po raz kolejny kontemplował myśl, że wolałby przebywać w Bazie Czarnobrodego lub nawet na południu, ze zwiadowcami, usiadł nagle i przechylił głowę na bok. Przez chwilę nasłuchiwał, po czym zbladł, choć w ciemnej wodzie trudno byłoby zauważyć zmianę odcienia i tak bladej skóry. Szybko wypłynął na powierzchnię i odetchnął powietrzem, używając go do wypchnięcia z płuc wody przez skrzela międzyżebrowe. Na pływającym pomoście nie zobaczył nikogo, więc podpłynął do drabiny i, pomagając sobie rękoma, wspiał się na nią, aż był w stanie wyjrzeć nad jego brzeg.

Goniec siedział na krześle – no proszę, *on* miał przynajmniej *krzesło* – z głową zwieszoną na piersi. Księżyc już zaszedł, ale światło latarni wystarczało, by stwierdzić, że śpi.

– Robertson! – warknął tryton. – Obudź się!

– Cojecht? – wybełkotał nieprzytomnie goniec, prostując się gwałtownie.

– Obudź się i przygotuj do przyjęcia wiadomości – polecił tryton.

– Tak jest, sir – odpowiedział szeregowy, zapalając lampę olejową na stoliku i wyciągając przybory do pisania.

– A kiedy już ją dostarczysz, idź obudź pozostałych gońców, czeka nas pracowity dzień.

– Tak jest, sir – powtórzył chłopak. Kiedy tryton dyktował wiadomość, ołówek zaczął mu drżeć w dłoni i jego twarz w świetle lampy również zrobiła się kredowobiała.

\* \* \*

– Jak widzicie – odezwał się młody mężczyzna, rysując na tablicy kolejną linię – Subedei wykorzystał w każdej ze swoich kampanii podejście pośrednie. I w każdej z ważniejszych bitew, choć często jego przeciwnik miał przewagę liczebną lub dysponował podobnymi, dobrze wyszkolonymi siłami, potrafił go pokonać, pozbawiając woli walki lub uniemożliwiając jakikolwiek opór.

Instruktor był młodszy od większości swoich studentów, choć i ci nie wyglądali staro. Ledwie przekroczył dwudziestkę, ale oczy miał twarde i zimne, a twarz pełną blizn, podobnie jak rękę trzymającą kredę. Jego druga ręka kończyła się skomplikowaną protezą z kleszczami i hakiem, założoną aktualnie za pas munduru składającego się z szarej tuniki w stylu kimona, podkoszulki z surowego badwabiu, grubej chusty zawiązanej pod szyją, niebieskich spodni z jasnoniebieskimi paskami po bokach i ciężkich butów z grubej skóry. Mundur nie grzeszył nowością i widać było po nim skutki wielokrotnego prania, podobnie jak zużycie po butach. Ale młodzieniec wyraźnie czuł się w tym stroju wygodnie i uważał go za codzienny ubiór. Oprócz młodego wieku mężczyznę wyróżniały też rozmiary. Bardzo duże. Kreda w jego dłoni wyglądała jak mały patyczek.

– No dobrze. – Obrócił się do grupy, która zapamiętała próbowała skopiować jego rysunki. – Czy może mi ktoś podać przykład *strategicznego* wykorzystania metod pośrednich?

– Walka dawnych Stanów Zjednoczonych ze Związkiem Radzieckim? – odezwała się jedna ze studentek z tyłu sali, nie podnosząc wzroku znad rysunku.

– Bardzo dobrze, podchorąży – pochwalił wykładowca. – A może jeszcze jeden przykład z tego samego okresu?

Kobieta zmieszana podniosła wzrok, po czym potrząsnęła głową.

– Wojna z terroryzmem? – rzucił jeden z mężczyzn.

– Tak – zgodził się instruktor. – W obu wojnach Stany Zjednoczone ani razu nie zaatakowały *bezpośrednio* krajów, które były dla nich najniebezpieczniejsze politycznie i strategicznie przez wykorzystanie terroryzmu. Zamiast tego napadły państwa, które pomagały i wspierały ich memami kulturowymi, bądź bezpośrednio zaatakowały te memy. Przez zniszczenie ekonomii Związku Radzieckiego w pierwszym przypadku, a kulturowego oraz finansowego wsparcia dla terroryzmu w drugim. USA i tu, i tu wykończyły przeciwnika, który być może mógłby wygrać wojnę. Związek Radziecki przez bezpośredni atak jądrowy lub atak lądowy na sojuszników Stanów Zjednoczonych, a państwa wspierające terroryzm przez embargo ekonomiczne lub wsparcie finansowe dla produkcji i terrorystycznego wykorzystania broni masowej zagłady. Jednak w obu przypadkach przez strategiczne dzu-dzitsu naród amerykański zaatakował w najslabszym punkcie, wygrywając potężne wojny drobnymi potyczkami.

– Irak nie był najslabszym państwem w regionie – zaprotestowała kobieta. – Miał więcej wojska niż – z powodów logistycznych – mogły wyprowadzić w pole siły ekspedycyjne.

-1 tutaj siły ekspedycyjne znów odwołały się do podejścia pośredniego – zauważył instruktor. Stał z tablicy dotychczasowy rysunek i zaczął tworzyć nowy. – Przeciwnik zajmował bardzo silne, ufortyfikowane pozycje wzdłuż prawdopodobnych tras ataku. Tras, które były używane już we

wcześniejszych wojnach, na przykład przez brytyjskich sojuszników Amerykanów. Dzięki przemieszczeniu się przez tereny, uważane przez obrońcę za niemożliwe do pokonania ze względów logistycznych, sojusznicy potrafili wymusić walkę manewrową, której wróg nie potrafił wygrać z powodu przewagi powietrznej Stanów i państw stowarzyszonych. A przez umieszczenie sił w tamtych okolicach osłabiono ataki na cywili i sprzymierzone państwo Izrael oraz na swoje rodzime kraje.

– Wracając do Subedeia i Czyngisa: siali zniszczenie na polach przed bramami przeciwnika, leżących na terenach, które wróg uważał za niemożliwe do zdobycia przez kogokolwiek, a następnie przekroczyli je, rozbijając całkowicie znacznie większe siły perskie. Od razu wprowadzili rządy terroru, co zapobiegało problemom, z jakimi zetknęli się później Amerykanie, ale to zupełnie inne czasy. Slim zastosował bardzo podobne podejście w bitwach wzdłuż wybrzeża Irriwady, gdzie miał do czynienia z bardzo silnym i niebezpiecznym przeciwnikiem. Który, jak dodam, pokonał go już wcześniej na tym samym terenie. – Młodzieniec odłożył kredę i wytarł dłoń w szmatkę trzymaną w kleszczach protezy. – Można by się zastanawiać, czy generałowie tamtych czasów również studiowali Subedeia – dodał z uśmiechem.

– Ale... – odezwała się kobieta. – Tak?

– Co się stanie, jeśli napastnik jest dość inteligentny, by poradzić sobie z podejściem pośrednim? – znów odezwała się Amosis Van Krief, podchorąży.

Dziewczyna miała wzrost odrobinę poniżej średniej, blond włosy, wyrazistą trójkątną twarzą i silne, mocno umięśnione ciało. Miała także błękitne oczy i naprawdę ładne nogi, czego instruktor bardzo starał się nie komentować ani, pozornie, nie zauważać.

– W takim przypadku – odpowiedział wykładowca z krzywym uśmiechem – lepiej mieć cholernie dobry plan awaryjny. Bo tego rodzaju podejście stosuje się tylko wtedy, gdy nie ma się wyboru, wobec przeciwnika, który jest silniejszy lub o porównywalnej sile. Jeśli ma się młot pneumatyczny, zawsze lepiej rozbić orzech właśnie nim. Problem polega na tym, że zazwyczaj nie mamy młota pneumatycznego, a rozbicie orzecha, gdy *nie ma* się dość siły, wymaga subtelności.

Drzwi do sali otworzyły się cicho i weszła przez nie młoda dziewczyna, jeszcze bez żadnego stopnia, stając na baczność.

– Kapitanie Heniek – wyskrzeczła nerwowo – generał chce pana zobaczyć w... gdy tylko...

– Przy pierwszej sposobności? – zapytał instruktor z lekkim uśmiechem, znów wycierając dłoń.

– Tak jest, sir – potwierdziła.

– Komendant?

– Nie, sir – zaprzeczyła, zagryzając wargę. – Księżę Talbot, sir. Instruktor znieruchomiał, po czym wykręcił się w stronę zafascynowanych studentów.

– Grupa – polecił ostrym głosem – waszym zadaniem na jutro jest przeanalizowanie lądowania Inchon w trakcie japońskiego ataku na Myanmar podczas Drugiej Wojny Światowej. Macie wypracować przynajmniej trzy rozsądne alternatywy dla każdej ze stron. Bądźcie gotowi je obronić. Baczność! – Odczekał, aż wszyscy zerwali się z miejsc, wyciągając się jak struny, po czym rozejrzał się po twarzach młodych ludzi.

– Jak brzmi nasze motto, dziewczęta i chłopcy? – zapytał.

– Żaden plan nie przetrwa kontaktu z wrogiem! – wykrzyknęła chórem klasa.

– A kim jesteśmy? – zapytał. – WROGIEM!

– Rozejść się.

Po tych słowach wymaszerował z sali.

\* \* \*

Megan Sung sprawdziła poziom płynu w retorcie z odpadkami, po czym potrząsnęła głową. Od miesiący miała dość materiału na zrealizowanie swoich planów, musiała nawet ostrożnie pozbywać się nadmiaru, ale wciąż go gromadziła. Wiedziała, jak zabić Paula, jednak nie do końca, co zrobić potem.

Megan miała szesnaście lat, gdy stary włóczęga znalazł wysoką, gibką i ładną, choć dość brudną i niedożywną młodą brunetkę piorącą ubrania na brzegu strumienia w Ropazji. Pomogła mu przejść na drugi brzeg i chwilę potem znalazła się w tym miejscu, w haremie Paula Bowmana, przywódcy Nowego Przeznaczenia.

Początkowo jej sytuacja była... trudna. W haremie rządziła Christel Meazell, jedna z kobiet, z którą przed Upadkiem Paul począł dzieci. Zajmowała się zarówno pilnowaniem, by dziewczęta rozumiały swoje „obowiązki”, jak i zarządzaniem logistyką harem. Ponieważ odebrała bardzo skromne wykształcenie – przed Upadkiem nie istniała w zasadzie potrzeba uczenia się choćby zapisu własnego nazwiska – zarządzanie księgowością związaną z zaopatrzeniem harem stanowiło dla niej codzienny koszmar. Zwłaszcza że wszystko musiała robić ręcznie, a nie potrafiła dwa razy z rzędu uzyskać tego samego wyniku, nawet dodając dwa do dwóch.

Wyładowywała tę frustrację na dziewczętach, a one z kolei przekazywały agresję dalej. Kiedy Megan trafiła do harem, panowały w nim dość wredne stosunki. Dziewczyny wiedziały, że nie mogą pozwolić sobie na zostawianie trwałych śladów i uszkodzeń, dokuczając swoim ofiarom, ale nudę i frustrację rozładowywały innymi sposobami, z których sporo wiązało się z seksem, a wszystkie były bardzo okrutne.

Megan dość szybko poradziła sobie z tym aspektem życia. Jej ojciec intensywnie przeszkolił ją w prawie zapomnianych sztukach samoobrony – zbyt wiele razy widział już, jak pola ochronne zawodzą z przyczyn „osobistych”, by w pełni im ufać. A cios w brzuch, to cios w brzuch.

Tak więc „nowa dziewczyna” wcale nie okazała się tak miękka i potulna, jak spodziewały się pozostałe. Utrzymywała swoje zdolności w tajemnicy, demonstrując je tylko parę razy „sukom alfa” w grupie. To wystarczyło jednak, by reszta nie odważyła się jej zaczepiać.

Z Christel sytuacja była trochę trudniejsza. Ale gdy tylko Megan udowodniła, że doskonale radzi sobie z księgowością i logistyką, kobieta przekazała jej księgi prawie z głośnym westchnieniem ulgi. Dzięki temu Megan praktycznie przejęła powoli władzę. Do tego stopnia, że od czasu do czasu zdarzało się jej wydawać polecenia opiekunce harem.

Tak więc pod tym względem jej życie się poprawiło. Rozumiejąc, że największym problemem tego miejsca jest nuda, przekonała Christel do wprowadzenia zajęć i ćwiczeń. To doprowadziło do bardziej sformalizowanej nauki szycia, śpiewu i gry na instrumentach muzycznych. A wszystko po to, by przyspieszyć upływ czasu i dać dziewczynom jakieś zajęcie zamiast narzekań i wzajemnego „płatania sobie figli”.

Przejęła kontrolę nad tym aspektem swojego życia, ale istniał też inny, nad którym *nie* miała kontroli. A to wymagało długiego czasu, by... zająć najważniejsze miejsce.

Kiedy Megan została sprowadzona do harem Paula, nie była dziewicą, ale kolejne gwałty – bo nie sposób użyć na to innego terminu – do przyjemnych nie należały. Jednak z czasem nie tylko zaczęła je akceptować filozoficznie, ale nawet zakochała się w swoim porywaczu, niezależnie od tego, jak straszne może się to wydawać.

Paul potrafił być bardzo ujmujący i stanowił jedyne dostępne dziewczętom źródło informacji o zewnętrznym świecie. Kiedy już Megan pokonała początkowe obrzydzenie do niego, zaczęła, choć sama się za to nienawidziła, najpierw go lubić, a potem wręcz się w nim zakochała. Była młodą kobietą o silnej woli i wykształceniu daleko głębszym niż zazwyczaj w jej czasach. Jej ojciec pełnił



funkcję jednego z niewielu policjantów działających jeszcze w czasach przed Upadkiem. Początkowo pod wpływem jego nacisków, później z własnej woli, wykorzystwała zaawansowane techniki nauki do zdobycia bardziej rozległej wiedzy niż większość ludzi w dziejach. Dysponowała dogłębną wiedzą z chemii sądowej, doskonale знаła sztukę samoobrony, opanowała trzy martwe języki, potrafiła gotować – co stanowiło prawie zapomnianą sztukę – i liczyć w pamięci.

Stanie się dziewczyną z haremu zdecydowanie *nie* znajdowało się na liście jej wymarzonych zajęć, więc fakt, że obudziło się w niej uczucie do porywacza, doprowadzał ją do silnej frustracji.

W końcu Paul wyjaśnił jej, że przed urządzeniem haremu, który traktował jako sposób na rozmnażanie, oczekiwał tego rodzaju reakcji. Więźniowie, których przeżycie zależało wyłącznie od woli porywacza, utrzymujący z nimi bliskie i intymne kontakty mieli skłonność do wiązania się emocjonalnego. Nie wszyscy – jedna z dziewcząt, Amber, walczyła o wolność tak mocno, że w końcu wykasowano jej umysł i pozostawiono na wpół warzywem, gotową ulec na każde skinienie Paula. Jednak Megan podobnie jak większość dziewcząt zaakceptowała swego ciemnięcydła i z czasem wzbudził w niej miłość.

Co nie zmieniało faktu, że planowała go zabić.

Jak tylko wymyśli sposób na zrobienie tego i przeżycie.

Poza tym, że tkwiła uwięziona w haremie, w całej sytuacji bardzo męczył ją fakt, że wiedziała o działaniu frakcji Nowego Przeznaczenia więcej niż, poza samymi jej przywódcami, ktokolwiek inny. Znała ich słabości, znała silne strony, których mieli wiele. Marzyła o sposobie na przekazanie tych informacji Koalicji Wolności. Ale niezależnie od tego, z której strony podchodziła do problemu, nie potrafiła wymyślić metody na dostarczenie drugiej stronie danych wywiadowczych i przeżycie. Oprócz innych spraw Paul wielokrotnie w rozmowach zdradzał jej, że miał źródło bardzo blisko Rady Koalicji Wolności. A ucieczka z informacjami byłaby trudna.

Harem trzymano w ścisłym zamknięciu, w dużych salach zamku przekształconego na kwatery mieszkalne. Do ich pomieszczeń prowadziły tylko dwa wejścia, oba zablokowane barierami energetycznymi. Ściany zbudowano z kamienia, z czym mogła sobie poradzić tak samo, jak planowała w stosownym czasie załatwić Paula. Ale nawet gdyby dziewczyny w jakiś sposób zdołały przedostać się przez mury, otaczali je strażnicy Nowego Przeznaczenia, i to zarówno specjalnie wyszkoleni strażnicy Paula, związani z nim przez wymuszaną Siecią lojalność, jak i legiony Przemienionych stanowiących podstawę armii Nowego Przeznaczenia.

Miała tylko jeden pomysł, i to bardzo niepewny. Członków Rady nazywano także posiadaczami Kluczy, ponieważ fizyczny symbol ich władzy stanowił płaski obiekt wykonany z tytanu. Protokoły związane z przeniesieniem „własności” Kluczy były bardzo stare i wręcz barokowe. Członek Rady nie mógł zgubić Klucza, a jeśli zostawił go gdzieś przez zapomnienie, SI kierująca Siecią, Matka, teleportowała go po prostu do jego aktualnego miejsca przebywania. Paul powiedział jej kiedyś, że kiedy był jeszcze bardzo świeżym członkiem Rady, któregoś dnia Matka, najwyraźniej w akcie rozpacz, przeteleportowała jego Klucz, Jeszcze Jeden Raz, i przykleiła mu go klejem molekularnym do czoła tak, żeby nie mógł go usunąć bez zgody większości Rady. Zebranie jej zajęło mu tydzień i Megan czasami zastanawiała się, czy kompromisy, na które musiał się wtedy zgodzić, nie doprowadziły do aktualnej wojny.

Jednak istniała możliwość przekazania Klucza. Można było to zrobić dobrowolnie, na przykład gdyby członek Rady chciał przejść na emeryturę... Jeśli zaś posiadacz Klucza ginął, ten przechodził na własność pierwszej osoby, która go znalazła. Minjie Jiaqi, jeden z pierwszych i najbliższych sojuszników Paula w Radzie, został zabity przez swojego adiutanta, który przejął jego Klucz. Paul z kolei kazał zamordować mordercę. Jednak obie zastosowane metody zabójstwa pozostawały poza

zasięgiem Megan. Minjie zginął od binarnej neurotoksyny i choć dysponowała dość przyzwoitym laboratorium chemicznym zakamuflowanym jako perfumeria, trucizny binarne zdecydowanie wykraczały poza jej możliwości.

Adiutant z kolei zamordowany został dzięki atakowi „in flagranti”. Członkowie Rady używali osobistych pól ochronnych. Stanowiły one całkowicie nieprzenikliwą barierę dla warunków szkodliwych dla ludzi, zwłaszcza przy obowiązujących protokołach blokujących materiały wybuchowe. Ale istniały sytuacje wymagające ich wyłączenia. Na przykład w trakcie uprawiania seksu czy przy dowolnym kontakcie intymnym. Paul zawsze wyłączał swoją osłonę w haremie i musiał wyrecytować kod, żeby ją uaktywnić. Tak więc *wtedy* stawał się podatny na atak.

Problem stanowiły funkcjonujące nanity medyczne Paula. Potrafiłyby one rozłożyć dowolną prostą truciznę, zanim by zadziałała. Megan nie miała pewności, do jakiego stopnia mogłyby go wyleczyć z ran. Ale wiedziała, że jeśli zniszczy jego mózg, nanity nie będą w stanie wiele mu pomóc.

Tak więc, jeśli tylko będzie potrafiła odkryć, co robi z Kluczem, gdy przybywa do haremu, *będzie mogła go zabić, zabrać Klucz i się wyteleportować.*

Jeśli.

Kochała się z Paulem... cóż, przestała już liczyć. Bardzo wiele razy. I wydawało się jej, że delikatnie sprawdziła większość jego ciała. Jak dotąd wyglądało na to, że nie ma go przy sobie. Choć mógł ukrywać Klucz w odbycie. Jednak osobowość Paula raczej nie pasowała do tego rodzaju działań. Nie potrafiła go sobie wyobrazić chowającego sobie Klucz w tyłku przed teleportowaniem się do haremu.

Gdzieś jednak musiał go mieć i jak tylko odkryje gdzie, Paul przejdzie do historii.

Niezależnie od tego, jak bardzo go kochała.

# ROZDZIAŁ DRUGI

– Cudownie – oświadczył Gerson Tao, opadając teatralnie na pryczę Van Krief. Podchorąży był masywniej szy od większości studentów ze swojej grupy – może nawet od potężnego instruktora – i choć nie zalegał ze studiami, raczej nie miał szans na dyplom z wyróżnieniem. – Wymyślić trzy alternatywy kampanii, o której do dzisiaj nawet nigdy nie słyszałem?

– Dwóch kampanii – poprawiła dziewczyna. – I wstawaj, gnieciesz mi pościel.

– Och, najmocniej przepraszam. – Tao podniósł się, sprawnie wygładzając pokrywający pryczę niebieski wełniany koc. Kiedy skończył, mógłby się od niego odbić metalowy żeton.

– Hmm – mruknęła kobieta, podnosząc książkę i przekartkowując ją, aż dotarła do mapy. – Czytałam gdzieś tutaj o alternatywnych planach...

– Co? – zareagował gwałtownie Tao przy akompaniamencie skrzypnięcia otwieranych drzwi. – Co to jest?

– Cześć Mo – odezwał się podchorąży Asghar Destrang, wysoki, elegancki młodzieniec z jasnymi włosami, o swobodnych manierach, wchodząc do pokoju bez pukania. Cała trójka walczyła ze sobą dostatecznie często, by wiedzieć, że choć nie miał masy Tao, poruszał się z szybkością błyskawicy. Kiedy poświęcał się studiom, można go było wziąć za osobę stateczną, spokojną i przewidywalną, wszystko to zniknęło, gdy dostawał do ręki miecz. – Czytam o kampanii myanmarskiej...

– Czy to *Porażka w zwycięstwo!* – zapytała Van Krief, nie zwracając sobie głowy podnoszeniem wzroku. – Czytałam.

– Czemu mnie to nie dziwi? – Destrang uśmiechnął się. Był szczupły i młody, zaczynał dopiero przybierać kształty w pełni dorosłego mężczyzny, ale na jego ramionach ostro rysowały się silne mięśnie, podobnie jak i na reszcie ciała, i poruszał się z pewnością siebie zadającą kłam oderwanemu od rzeczywistości obliczu. – Co masz?

– *Amerykańskiego Cezara* – odpowiedziała Amosis. – To biografia, a właściwie hagiografia MacArthura, i dość szczegółowo opisuje Koreę. Choć są tam rzeczy, które mają sens tylko wtedy, jeśli zna się szczegóły pominięte przez piszącego.

– Łeb mi od tego pęka – jęknął Tao, chwytając się za głowę. – Kim jest MacArthur? Gdzie u *diabła jest* Myanmar? Czemu to ma jakiegokolwiek znaczenie? Skąd wiecie, co studiować? Z *wyprzedzeniem*? Chodziliście na jakieś lekcje na boku?

– Gerson... – warknął ostrzegawczo Destrang.

– Jezu – jęknął Tao, patrząc na Van Krief. – Nie miałem na myśli nic takiego, przecież wiesz, Mo. – Błagalnie spojrzał na dziewczynę.

– O ile wiem, kapitan Herrick nigdy nie zauważył mnie jako kobiety – ostrym głosem oświadczyła Van Krief. – Zakładam, że po prostu znów udało ci się palnąć gafę. Bóg wie, że jesteś w tym dobry.

– Przeprosiłem – przypomniał Tao. – Ale naprawdę, skąd to wiecie? Van Krief zastanowiła się chwilę, po czym wzruszyła ramionami.

– Kapitan Herrick nie jest wiele starszy od nas – zauważyła. – I choć ma dużo więcej doświadczenia w wojnie, z tego, co się dowiedziałam, przed przydzieleniem do Akademii nie był naukowcem. Zajmuje się określonymi zagadnieniami i przez jakiś czas się ich trzyma. Udało mu się mnie złapać, gdy zaczął mówić o wojnie komunistycznej w Chinach i amerykańskiej porażce w Wietnamie, ale potem zdałam sobie sprawę, że skupia się na dwudziestowiecznej Azji. Wyszukałam więc wszystkie książki dotyczące tego terenu i okresu i zaczęłam czytać je najszybciej, jak mogłam.

Upadku nie przeżyło ich zbyt wiele. Kapitan Herrick ma dostęp do biblioteki księcia Edmunda, ale zdaje się zawęzać do działań historycznych opisanych w pozycjach dostępnych w bibliotece Akademii. Osobiście sędzę, że robi to, żebyśmy mogli sami studiować i próbuje się ograniczać do tego, do czego mamy dostęp. A więc, jeśli się przyłożysz, możesz wyprzedzać bieżące zagadnienia.

– To... pokręcone – skomentował Destrang.

– To wykorzystanie wywiadu i planowania do uprzedzenia planów przeciwnika – powiedziała z uśmiechem kobieta. – Możesz to nazwać... subtelnością. No dobrze. Asghar – mówiła dalej, patrząc na Destranga. – Pomogę ci znaleźć odpowiednie fragmenty, jeśli ty pomożesz mi z tym cholernym zadaniem technicznym.

– A co w nim trudnego? – zdziwił się podchorąży, podnosząc kartkę papieru ze schematem. – To tylko projekt mostu.

– Chodzi o wymagany do niego harmonogram – wyjaśniła Van Krief. – Mogę zaprojektować most, to prosta konstrukcja na słupach, robiliśmy takie w szkole Panów Krwi, po prostu większa. Ale *najpierw* musimy przygotować listę materiałów, potem plan ich zebrania, a dopiero później implementację. Korzystając z pojedynczego legionu.

– Legionu [*pomocników* – zauważył Destrang, siadając. – Nie zapominaj o obsłudze technicznej. Wolno ci wykorzystać sześćset dodatkowych osób nie biorących udziału w walkach, co wedle lektur jest dość zaniżoną wartością. Z nich jakieś dwie setki to mężczyźni. Część to nie nadający się do niczego służący, więc ograniczmy się do stu pięćdziesięciu. Nie zbierasz wszystkich materiałów, by dopiero wtedy zacząć prace, ale zbierasz ich część i gdy tylko masz wystarczającą ilość na początek, wysyłasz większość legionu do budowy, a pomocnicy dalej ścinają drzewa. To ty czytasz z wyprzedzeniem, więc mogłabyś równie dobrze sięgnąć w przeszłość, do wojen galijskich.

– Ach – westchnęła dziewczyna. – Ale tu nie ma ani słowa o pomocnikach obozowych.

– Rzymianie nie organizowali swoich obozów tak jak my – wtrącił się Tao. – Wszyscy służący i... ekhm... personel pomocniczy... nie byli wolnymi ludźmi...

– „Ekhm”? – zapytała Van Krief, marszcząc brwi.

– Dziwki – wyjaśnił Destrang. – Musiały być też badane przez związany z legionem personel medyczny. Ale ich nie należy brać pod uwagę, ponieważ wskaźnik ciąży sięgał nawet trzydziestu procent.

– Dobry Boże – jęknęła Van Krief, myśląc o próbie nadażenia za legionem w zaawansowanej ciąży. Z własnego doświadczenia w legionie była *świadoma* istnienia „ekhm... personelu pomocniczego”, ale nigdy go nie oceniała ani nie zwracała nań większej uwagi niż okazjonalne kiwnięcie głową przy spotkaniu pod kobiecymi latrynami.

– Nie jest to tak dobrze zorganizowane, jak mogłoby być – powiedział Tao, marszcząc czoło. – Madame Daneh narzeka już od kilku miesięcy.

– A kiedy żona księcia Edmunda jest niezadowolona – rzucił Destrang z szerokim uśmiechem – wszyscy są niezadowoleni. Już widzę czekającą nas w najbliższej przyszłości masową dystrybucję lateksowych kondomów.

– Zeszliśmy tu trochę z tematu – powiedziała kobieta, podświadomie jrzyżując nogi. – Jak myślicie, do jakiego stopnia możemy nad tym pracować razem?

– Zadanie inżynieryjne możemy prawdopodobnie ukończyć jako projekt zespołowy – odpowiedział Destrang. – Herrick zapewne zechce indywidualnych prac. Moją na temat Myanmaru mam już prawie gotową. Ale wy musicie wymyślić sobie własne.

– Szlag – wymamrotał Tao. – A mógłbym chociaż spojrzeć na książkę?

– Proszę bardzo – zgodził się Destrang, rzucając ją koledze. – Łap.

– Zastanawiam się, czy będzie to miało jakieś znaczenie. – Van Krief zagryzła wargę.

– Czemu? – zapytał Destrang.

– A czemu księżę posłał po naszego instruktora? – odparła pytaniem dziewczyna.

\* \* \*

– Co to za... cudowny zapach? – zapytał Herzer po wejściu bez pukania do biura księcia.

– Kawa! – wykrzyknął Edmund, wstając i podchodząc do dużego naczynia podgrzewanego od dołu małym płomyczkiem. Nalał do kubka trochę czarnego płynu i podał go kapitanowi. – Spróbuj!

– Uch – wydusił z siebie Herzer. – Smakuje jak zużyty olej.

Herzer pomyślał, że księżę z roku na rok wygląda starzej. Wciąż poruszał się z gładką elegancją, ale w jego brodzie pojawiało się coraz więcej siwych włosów, a jego ruchy nie były już tak płynne, jak przy ich pierwszym spotkaniu. Zdawało się to bardzo dawno temu, choć tak naprawdę minęły ledwie cztery lata, od kiedy Herzer i rodzina Edmunda dotarli po Upadku do Raven's Mili.

– Spróbuj z cukrem – zasugerował Talbot, wsypując mu pełną łyżeczkę. -1 ze śmietanką – dodał, dolewając porcję do kubka.

Herzer zamieszał i znów spróbował, uśmiechając się z przyjemnością.

– Zdecydowanie lepsze.

– Ale i tak nie dorównuje filiżance herbaty – westchnął Edmund, obchodząc swoje biurko i siadając. – Ale z Południowych Wysp płynęło kilka statków pełnych kawy. Niestety, wszystkie zostały zatrzymane w Bazie Czarnobrodego, gdzie zagarnęły je te dranie z floty. Na szczęście Jason zdołał przejąć dla mnie trzysta kilogramów z ostatniego ładunku. Właśnie dotarły. Jak twoja grupa?

– Dobra – przyznał Herzer. – Myślę, co jest błogosławieństwem w porównaniu do pierwszej przysłanej mi bandy kretynów. Nie przyjmują na wiarę tego, co im mówię, więc każę im wykonywać projekty badawcze, aż dotrze do nich rzeczywistość. Oczywiście większość z nich nie widziała jeszcze trzymanej w gniewie broni, ale myślę, że sobie poradzą.

-1 wszyscy zakwalifikowali się do Panów Krwi? – zapytał Edmund.

– Musieli, żeby móc wstąpić do Akademii – przypomniał Herzer.

Zaawansowane szkolenie piechoty dla rosnących legionów ZWS nie przypadkiem było tak wyczerpujące. Ci, którzy je ukończyli, tworzyli rdzeń legionów, elitę, która dowiodła, że nie da się w niczym prześcignąć. Kurs wykazał swoją wartość w pierwszych miesiącach po Upadku, umożliwiając obronę Raven's Mili przeciwko dziesięciokrotnie liczniejszemu przeciwnikowi i całkowite rozbięcie wroga.

W szkoleniu nie chodziło jednak wcale o „walczyć do upadłego”, a o stworzenie siły, która potrafiłaby wymanewrować przeciwnika na każdym terenie. Siły, która mogłaby wyprowadzić na jego tyły legion największych twardzieli i odciąć zaopatrzenie, doprowadzając do śmierci głodowej. Lub marszem wyniszczyć wroga, a nawet jego konie. Końcowy egzamin stanowiły cztery tygodnie wyczerpujących marszów i budowania ufortyfikowanych obozów na trasie jednego z największych generałów historii, człowieka, który stanowił uosobienie umiejętności wykorzystania mniejszych sił do zniszczenia napastnika dzięki manewrom. Panowie Krwi z dumą chwalili się, że nawet w pełnej zbroi, dźwigając pełne wyposażenie, potrafiliby, na dłuższą metę, doprowadzić oddział kawalerii do padu koni.

Kurs stanowił też sito przesiewowe dla potencjalnych oficerów Armii Federalnej Zjednoczonych Wolnych Stanów. Ktokolwiek chciał zostać oficerem armii ZWS, przynajmniej w piechocie, która stanowiła jej rdzeń, najpierw musiał spędzić trochę czasu w zwykłych jednostkach, w większości przypadków przynajmniej rok, a potem dowieść, że jest w stanie dotrzymać kroku Panom Krwi. Ci, którzy tego nie potrafili, mogli kierować placówkami zaopatrzeniowymi lub zostać

inżynierami. Mogli nawet dostać się do korpusu łuczników, który rywalizował z Panami Krwi o miano elity. Ale zdecydowanie nie mieli szansy dowodzenia legionami.

Najlepsi absolwenci szkolenia Panów Krwi byli następnie wysyłani do rozrastającej się Akademii. Stykali się tam z najróżniejszymi nauczycielami. Cywilami, którzy przed Upadkiem studiowali historię. Innymi, którzy zajmowali się inżynierią z czasów przedindustrialnych, ludźmi, którzy nie tylko wiedzieli, jak używać suwmiarki, ale też i jak ją zrobić. I małą grupką instruktorów, takich jak Herzer, wiedzących przede wszystkim, jak stanąć wobec szarzy tysiąca wrzeszczących dziko Przemienionych wrogów i rozbić ich w puch. Herzer nie zarobił swojej protezy w tartaku.

– Dobrze – powiedział, machając kubkiem z kawą. – Nie wezwał mnie pan z klasy, żeby poplotkować o moich studentach albo pochwalić się, że udało się panu zdobyć kawę.

– To prawda, choć to prawie wystarczający powód – przyznał starszy mężczyzna. – Upłynęły cztery lata od chwili, gdy ostatni raz wypilem przyzwoity kubek napoju z kofeiną. Druga wiadomość przez porównanie prawie traci znaczenie.

– Ach. – Herzer odchylił się na krzesło i znów napił się kawy. Faktycznie, wcale nieźle smakowała. – A ta druga wiadomość brzmi...?

– Nowe Przeznaczenie wyprowadziło w morze swoją flotę bojową – wyjaśnił Edmund. – Ich orki i ixchitle odepchnęły delfinich zwiadowców, ale nic nie wskazuje na to, żeby z portów wypłynęła także główna flota inwazyjna.

Herzer zastanowił się nad tym, pociągając kolejny łyk napoju. Walczące z ZWS Nowe Przeznaczenie zaczęło tworzyć w Ropazji flotę inwazyjną niemal natychmiast po Upadku, gdy ZWS wciąż dopiero powstawało. Flota składała się w większości z niezbyt manewrowych karaweli i statków kupieckich. Ale w jej skład wchodziło także całkiem sporo szybkich i zwrotnych jednostek bojowych. A od kiedy ZWS udowodniło możliwość niszczenia innych okrętów przez smokowce, zbudowali własne jednostki tego samego typu.

– To misja przeciw smokowcom – ocenił Herzer. Każdy z przerobionych kliprów mógł wziąć na pokład trzydzieści sześć wywernów lub dziesięć większych smoków. Każdy z wywernów był w stanie zabrać trzy zbiorniki napalmu do bombardowania drewnianych jednostek wrogiej floty. Większe smoki potrafiły dźwignąć ich aż dziewięć.

Choć tych ostatnich nigdy nie mieli dość. W ramach protokołów wciąż obowiązujących po Upadku Przemiana w większe smoki nie była dozwolona. Stanowiły one pozostałości rasy stworzonej w okresie rozkwitu manipulacji genetycznych. Rasy, która, choć o długim okresie życia, w ciągu tysiącleci przed Upadkiem z wolna wymarła, aż na całej ziemi pozostała z niej ledwie garstka. W przeciwieństwie do wywernów, które tworzyły podstawę sił powietrznych obu stron, prawdziwe smoki dysponowały inteligencją, a w zakresie niszczenia przynajmniej dorównywały pomysłowością ludziom. W zdecydowanej większości prawdziwe smoki walczyły też jako najemnicy, w przeciwieństwie do jeźdźców wywernów stanowiących żołnierzy i oficerów armii ZWS.

Jednak dysponując pięcioma smokowcami, flota ZWS mogła zablokować każdą próbę inwazji podjętą przez Nowe Przeznaczenie. Jeśli w chwili inwazji zostałyby im jeszcze jakieś okręty.

– Ja też tak sądzę – zgodził się Edmund. – Choć flota wyruszyła im na spotkanie. Aktualne raporty twierdzą, że są „głęboko przekonani” o swoim sukcesie.

– Zbyt pewni siebie? – zapytał Herzer. – Nowe Przeznaczenie ma już własne smokowce, a marszałek Chansa, choć drań, nie jest głupi. Nie podjąłby działania, gdyby uważał, że może przegrać.

– Znów jakbyś mi czytał w myślach – ponuro skomentował Edmund. – Ale dowodzę wschodnimi siłami *lądowymi*. Dowódcą floty Północnego Atlantyku jest admirał Wallace

Draskovich. Nie jestem członkiem Jachtklubu Balmoran.

– Zgubiłem się – przyznał Herzer, odstawiając pusty kubek.

– Jeszcze? – zapytał Edmund.

– Nie, proszę zachować na później – zdecydował. – Co to jest Jachtklub Balmoran i jaki to ma związek z sytuacją?

– Dostałem to w liście od Shara – odpowiedział generał, sięgając do szuflady biurka i wyciągając kartkę papieru pokrytą regularnym, ręcznym pismem. – Nie jest szczęśliwy na swoim stanowisku.

– Osobiście z przyjemnością udałbym się do bazy Czarnobrodego. – Herzer wyszczerzył się, wzdychając.

Baza floty na wyspach Bimi stanowiła miejsce zamieszkania syren. Ponieważ ich dzieci rodziły się na lądzie i przynajmniej przez rok nie potrafiły oddychać wodą, syreny oddały ochronę dzieci i ich matek w ręce sił ZWS, choć nie obeszło się bez pewnych oporów. Dla Panów Krwi, którzy zostali wybrani strażnikami, była to w zasadzie synekura – baza mieściła się w przyjemnym klimacie tropikalnym, a wszystko, co musieli robić, to pamiętać o treningach i pilnować, by nikt nie zagroził syrenim dzieciom. Po służbie mogli nurkować na rafach, łowić ryby, dobierać się do pędzonego na wyspach mocnego rumu i podejmować próby flirtu z syrenami i personelem morskim. Starszy podoficer Panów Krwi, sierżant sztabowy, Artur „Gunny” Rutherford został tam osadzony na czymś w rodzaju emerytury.

Ze swej strony syreny toczyły potyczki na pierwszych liniach aktualnego konfliktu, zajmując się wraz z Przemienionymi w delfiny ludźmi pilnowaniem portów, w których szykowano flotę inwazyjną. Walczyli z sojusznikami Nowego Przeznaczenia przeciw Przemienionym orkom i ixchitlom, stworzeniom przypominającym płaszczki manta, z rekinami paszczami i wystrzeliwanymi z brzucha harpunami z paraliżującą neurotoksyną. Walczyły jednak i stały na straży w zamian za ochronną tarczę, jaką Z WS osłoniło ich dzieci. Syreny otrzymywały także pomoc finansową. Ale kluczowa była honorowa przysięga, której żadna ze stron za nic nie chciałaby złamać. A przynajmniej póki żyli Herzer i Edmund walczący nieustępliwie u boku syren i delfinów.

Shar Chang dowodził eksperymentalnym smokowcem, który zabrał ich na pełną walk misję dyplomatyczną. Herzer przywołał przed oczy obraz tego silnie umięśnionego mężczyzny ze zmarszczkami w kącikach oczu od wpatrywania się w ocean rozciągający się w nieskończoność przed dziobem okrętu. Przed Upadkiem zajmował się żeglarstwem, zabierając grupy ludzi na rejsy żaglowcami, by poznali smak życia na morzu. Dzięki uzyskanemu w ten sposób doświadczeniu z wielomasztowcami został dowódcą pierwszego smokowca. A Herzer sądził, że przydział na dowódcę bazy Czarnobrodego wynikał z jego doświadczeń w kontaktach z syrenami.

– Cóż, wydawało mi się, że Shar też tak uważa – odpowiedział poważnie Edmund. – Ale myliłem się. Już wcześniej dotarło do mnie trochę z tamtej szej polityki, ale w końcu napisał do mnie list, w którym wszystko wyjaśnia, przynajmniej ze swojego punktu widzenia. Kiedy Sheida doszła do wniosku, że potrzebna jest jej flota, po tym, jak wskazałem jej, że kontrola nad szlakami morskimi może stanowić klucz do zwycięstwa, poprosiła o zorganizowanie tego jedyną znaną sobie osobą, która wiedziała coś o żeglowaniu – Boba Housera. Hm, admirał Houser to dobry człowiek, ale jego związki z morzem polegały na pływaniu na jachtach regatowych, w szczególności z...

– Jachtklubu Balmoran?

– Dokładnie. Urządzali regaty i wyścigi z innymi klubami, przy czym tworzyli bardzo specyficzny klub, do którego można się było dostać, wyłącznie będąc określonym typem człowieka. I wyłącznie za zaproszeniem. Oczywiście Houser oparł się głównie na tych, których znał. Ale nie mieli

dość odpowiednich ludzi do obsadzenia wszystkich stanowisk, zwłaszcza że nie wszyscy przeżyli Upadek i Czas Umierania. Tak więc z dość oczywistych przyczyn, czyli faktu, że część ludzi znał i im ufał, a części nie, najlepsze stanowiska trafiły do członków jachtklubu.

– Generał Chang nie należał do tego klubu – domyślił się Herzer. – Ale w takim razie, co robił jako kapitan smokowca?

– Smokowce powstały w zasadzie na skutek polecenia z Olimpu – wyjaśnił Edmund z krzywym uśmiechem. – Sheida rzekła: mam smoki i statki.

Połączmy je. Admirałowie z jachtklubu uznali to jednak za okropny pomysł. Pracowali nad różnymi jednostkami z trebuszami i balistami, jednostkami zaprojektowanymi do niszczenia z niewielkiej odległości i abordażu przy pomocy piechoty morskiej. Zażądali, by przekazano im dowództwo nad Panami Krwi i przeszkolono ich do abordażu.

– Wspaniale – rzucił sucho Herzer.

– Ale kiedy smokowiec zatopił sześć wrogich okrętów, z czego pięć, których nawet *nie widział*, nie mówiąc już o daniu im szansy na kontratak...

– Zupełnie nieoczekiwane – skomentował Herzer – smokowce stały się ważne.

-1 dowództwo wszystkich nowych smokowców trafiło do facetów od jachtów, a Shar, który jest jak dotąd najbardziej doświadczonym dowódcą, został przeniesiony do pomniejszej bazy i pilnowania dzieci.

– Syreny są cholernie ważne – zauważył Herzer. – Nie ma syren, nie ma delfinów, są jak sklejone. Nie ma delfinów, nie ma wielorybów, bo te z nami nie rozmawiają, choćby dla tego, że zazwyczaj nie mają jak. Bez wielorybów tracimy cały wywiad i łączność... A kluczem do tego wszystkiego jest baza Czarnobrodego. Myślałem, że wysłali go tam, ponieważ jest ich *najlepszym* człowiekiem. Nie, jak to widzą, kimś, kogo mogą sobie pozwolić stracić. Czy to banda kompletnych *kretynowi*

– Nie, oni są po prostu bardzo krótkowzroczni. – Talbot westchnął. – Myślę, że to wyjdzie przy tym planie bezpośredniego zaatakowania floty Paula. Ja nie zostałem nawet o tym poinformowany. Sheida zapytała mnie o to, ponieważ  $\llcorner$ 2 uderzyło to jako błąd. Jeśli Paul chce zniszczyć smokowce, czemu mu to ułatwiać? Czemu najpierw nie dowiedzieć się przynajmniej, co się dzieje?

– Mają szybkie jednostki – powiedział Herzer. – Fregaty i krążowniki. Wysłałbym je i spróbował zorientować się, czym dysponuje przeciwnik. To okrutne, ale nawet jeśli się kilka straci, zdobywa się informacje o ich możliwościach. Wystrzelić wywerny na dalekosiężny zwiad, lekko ich obmacać. Trzymać się w grupie i nie *zatrzymywać* do chwili, aż dowiemy się, co mają. Przecież jest dość czasu i miejsca do manewrów.

– Aktualny plan zakłada proste starcie czołowe, prawdopodobnie w okolicach wysp Onay. – Edmund uśmiechnął się cierpko. – Nie dostaję ich informacji wywiadowczych, więc nie mogę zaoferować głębszej oceny. Ale dla mnie to też nie ma sensu. Sheida w związku z tym rozkazała mi przenieść się do twierdzy Newfell.

– Zakładam więc, że zostają zdjęty z grafika wykładowców w Akademii.

WBREW FAU – Możesz to nazwać tymczasowym przydziałem – potwierdził generał. – Wyglądasz na niezadowolonego.

– Prawdę mówiąc, podobało mi się to – przyznał Herzer, a potem się uśmiechnął. – Niektóre z tych podchorążych naprawdę dobrze wyglądają.

– Herzer – warknął ostrzegawczo Edmund.

– Nawet nie patrzę, nie mówiąc o dotykaniu. – Bardzo młody kapitan wrzucił ramionami. – Przynajmniej wydaje mi się, że nie patrzę. Ale jesteśmy tu dość odcięci od miasta, a Bast nie



pojawiła się już prawie od roku, z drugiej strony zawsze jest Estrelle.

– Tak, to prawda – przyznał starszy mężczyzna, zaciskając wargi. – Przyznam, że w twoim przypadku z jakiegoś powodu nawet mnie to nie martwi.

– Szczerze mówiąc, mnie tak. – Herzer wzruszył ramionami. – Ale to stare dzieje. I jedno, co się wie, to fakt, że jeśli z jakiegoś powodu ma coś ważniejszego do zrobienia, nie ma mowy, żeby ją namówić.

Estrelle pracowała jako kelnerka w tawernie Tarmaca, najstarszej knajpce z napojami w Raven's Mili. Była homunkulusem, pozbawioną samoświadomości repliką człowieka. Miała stosunkowo niski wzrost, długie blond włosy, duże jędrne piersi, twarz w kształcie serca i chabrowoniebieskie oczy. Jej program zakładał podawanie napojów, sprzątanie, pogaduszki i wskakiwanie do łóżka z każdym, kto tylko zasugerował, że może być zainteresowany – oczywiście po spełnieniu pozostałych obowiązków. A jako homunkulus dysponowała siłą trzech mężczyzn. Kiedyś, gdy Herzer wdał się w tawernie w bójkę, zablokowała go w niemożliwym do zerwania chwycie, podrywając z ziemi studwudziestokilogramowego żołnierza niczym piórko.

Edmund nie przejmował się homunkulusami. Nie miał nic przeciwko nim, ale nie podobała mu się moralna dwuznaczność ich istnienia. Wiedział, że nie mają samoświadomości. Wiedział, że nie są tak naprawdę ludźmi. Ale mimo wszystko uważał ich istnienie za formę niewolnictwa, co niezbyt mu odpowiadało. Zamiast nich przed Upadkiem zatrudniał nanitowych służących. Po Upadku wynajmował pomocników, których bardzo starał się, czasem wbrew ich wysiłkom, traktować jak równych sobie. Może i wymuszono na nim przyjęcie tytułu książęcego, ale nie znaczyło to, że musiało mu się podobać bycie arystokratą.

Westchnął i zaczął krążyć po pokoju.

– Cóż, to prowadzi do kolejnej kwestii. Muszę mieć trochę ludzi, którzy pojedą tam ze mną. Niewiele, zamierzam zostawić personel armii pod dowództwem generała Ferraza. A to znaczy, że muszę sięgnąć do Akademii lub Panów Krwi. Tak naprawdę będę potrzebował grupy posłańców, z których wywodzą się adiutanci. Ty zostaniesz moim głównym adiutantem, ale chcę, żebyś cały czas trzymał się mnie. Wybierz kilku najlepszych i najbystrzejszych studentów. Jeśli mnie od nich nie odrzuci, pojedą z nami.

– Dobrze. – Herzer zamyślił się na chwilę. – Znam paru, których mógłbym wybrać, ale proszę mnie źle nie zrozumieć, jest wśród nich kobieta.

– Cóż, ufam twojej ocenie – zapewnił go Edmund. – Nawet jeśli chodzi o kobiety.

# ROZDZIAŁ TRZECI

Herzer zapukał do drzwi i wszedł po usłyszeniu wypowiedzianego kobiecym głosem zaproszenia.

Rozejrzał się po pokoju i uśmiechnął na widok zaskoczonych twarzy.

– Pomagamy sobie w pracach domowych? – zapytał i zdołał się nie skrzywić na niezamierzoną dwuznaczność pytania.

– Nasze zadanie inżynieryjne można wykonać w grupach, sir – wyjaśniła po chwili Van Krief. – Natomiast istnieją tylko dwie dostępne kopie *Porażki w zwycięstwo i Amerykańskiego Cezara*, sir. Zdołaliśmy zdobyć obie.

– *Amerykański Cezar*? – zapytał Herzer.

– Biografia generała MacArthura, sir – doprecyzował Tao, co wywołało jadowite spojrzenia pozostałej dwójki. – Opisuje dość szczegółowo lądowanie na Inchon.

– Ciekawe – uznał kapitan. – W takim razie musimy sprawdzić, czy biblioteka pozwoli nam pożyczyć je na dłużej.

– Sir? – odezwał się Destrang.

– Cała wasza trójka została przydzielona do generała Talbota jako posłańcy – wyjaśnił kapitan. – Zebrałem od instruktorów zadania domowe dla was. To przydział do dowództwa, ale będziecie wysyłani z różnymi zadaniami, więc oprócz mundurów galowych spakujcie też polowe. Wyjeżdżamy rano.

– My, sir? – zapytała Van Krief podniesionym o oktawę głosem.

## I

– Za moje grzechy zostałem ukarany przydziałem na jego adiutanta. – Herzer wyszczerzył zęby. – Nie, żebym robił to po raz pierwszy. Ale zabierzcie też broje. Jak mówię, byłem już na takiej misji.

\* \* \*

Cała piątka wraz z ekwipunkiem stanowiła solidne obciążenie dla dyliżansu. Zdołali się jednak załadować przed planowym odjazdem powozu.

Książę Edmund, zanim wszedł do środka, objął żonę, po czym podniósł trzymające się jej dziecko o długich włosach.

– Szybko wróć – powiedział, przytulając małego.

Chłopiec spojrzał na niego dużymi, niebieskimi oczami, a potem uściśnął go mocno. Maluch był bardzo ładny, nawet wedle standardów tych czasów, i miał nieco szpiczaste uszy. Lekko zeskoczył na ziemię i chwycił dłoń matki, a jego twarz wyraźnie zdradzała, że próbuje się nie rozpłakać.

– Przydział do kwatery głównej – oświadczyła Daneh, wskazując na Edmunda. – To znaczy, że masz być *bezpieczny*. Zrozumiano?

– Tak jest, madame. – Edmund wyszczerzył zęby.

– Herzer też – dodała.

– Herzer też – powtórzył książę.

– Musimy wsiadać, szefie – oznajmił Herzer, podchodząc i również otrzymując uścisk od Daneh. – Zaopiekuję się nim – zapewnił.

– Tak samo jak ostatnim razem? – zaśmiała się Daneh.

– Nie został nawet draśnięty – zaprotestował buńczucznie, po czym się uśmiechnął. – Naprawdę, będziemy w bazie Newfell. Nie powiem „co może się stać?”, ale nie planujemy tym

razem wybierać się na odpoczynek na wyspach, więc chyba nic nam nie grozi. – Zmierzył włosy stojącego u jej boku chłopca i uśmiechnął się. – Do zobaczenia, mały.

– Do zobaczenia, Herzer – wydusił maluch. – Zabij trochę wredniaków.

– Jasne – zapewnił go kapitan, próbując się przy tym nie krzywić. – Musimy jechać.

Cała piątka wsiadła do dylizansu, w którym z trudem zmieściłoby się sześć osób, i zajęła miejsca, Van Krief, Tao i Destrang ściśnięci na przednim, mniej wygodnym siedzeniu, a Herzer z generałem na tylnej ławce. Gdy tylko wsiedli, woźnica pogonił konie i wyruszyli żegnani machaniem Daneh.

– Dobra – odezwał się Edmund, patrząc na trójkę podchorążych. – Wyjaśnijmy sobie parę spraw. Kazałbym wam zwracać się do siebie po imieniu, ale to by was tylko najpierw skonfundowało, a potem wyrwałoby się za którymś razem przy flocie, która w krótkim czasie stała się bardzo sformalizowana. Używajcie więc formy „książę Edmund” albo „generał

Talbot”. Zabrałem was ze sobą z dwóch powodów. Pierwszy jest taki, że muszę mieć posłańców. Flota ma dobre Centrum Komunikacyjne, ale najbliższe dowództwo armii mieści się w koszarach Gemtown. Będą też wiadomości, których nie zechcę pokazać flocie, więc trzeba je będzie dostarczać do Gemtown, co wiąże się z piekielną jazdą. Druga funkcja, jaką musicie pełnić, to moje oczy i uszy. Chcę, żebyście przyglądali się, co robi flota, jak to robi i, opierając się na własnym doświadczeniu, wyszukiwali rzeczy, które się wam u nich podobają i nie podobają. Zapewne od czasu do czasu poproszę was o opinie, ale jeśli zobaczycie coś naprawdę uderzającego, przyjdźcie z tym do mnie od razu. Zwłaszcza jeśli traficie na coś, czego waszym zdaniem flota nie zechce mi pokazać. Ale jedną rzeczą, której nie chcę, jest gadanie. Admirałowie to bardzo wrażliwe na swoim punkcie dranie. Herzera osłonię, jeśli powie coś, czego nie powinien, zresztą mam do podtrzymania swoją reputację agresywnego sukinsyna. Jednak wy musicie kręcić się po okolicy z szeroko otwartymi oczami i uszami, ale zasznurowanymi ustami. Jeśli będziecie mieć coś dla mnie, odczekajcie, aż zostaniemy sami. Zrozumiano?

– Tak jest, sir – zgodnie szczeękęła cała trójka.

– Pytania?

– Nie, sir – odparła po chwili Van Krief. – Nie wiem, o co pytać, sir.

– Świadomość, że są pytania, ale nieznanostwo ich, to początek mądrości, młoda damo – stwierdził Edmund przekonany, że brzmi trochę pompatycznie. – W każdym razie płyniemy na jednej łodzi. Wiem, że pojawią się jakieś pytania, ale dopóki nie zbiorę informacji koniecznych do oceny sytuacji, nie wiem, jak powinny brzmieć. I tak, martwi mnie to równie mocno, jak ciebie.

– Sir – odezwał się Destrang. – Mamy za sobą standardowe odprawy informacyjne, jak wszyscy. Wedle nich mamy pięć smokowców wobec pięciu wroga. A nasze smoki są wyszkolone w technikach bombardowania, podczas gdy wroga nie. Nie jestem pewien, czy są jakieś wątpliwości co do naszej zdolności pokonania floty przeciwnika. Ale pan wydaje się niepokoić. – Urwał i zmarszczył brwi. – Czy są jakieś dane sugerujące, że wróg może być silniejszy, niż się zdaje?

– Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie, podchorąży – westchnął generał. – Ale... myślisz, że powinniśmy polegać na głupocie wroga? Od prawie półtora roku znają nasze możliwości. W tym czasie zbudowali własne smokowce. Wydaje mi się nieprawdopodobne, żeby nie rozwinęli umiejętności bombardowania, niezależnie od tego, czy mamy na ten temat informacje, czy nie. A jeśli to zrobili, uważam, że wyjście im na spotkanie w sytuacji, gdy wyraźnie pragną bitwy, nie jest mądre. Czy to odpowiada na twoje pytanie?

– Tak jest, sir – potwierdził Destrang. – Czy mogę zapytać, co planuje pan zrobić, sir?

Edmund zmarszczył czoło, po czym wzruszył ramionami.

– Zazwyczaj trzymam swoje plany dla siebie, podchorąży, ale w tym przypadku, ponieważ sytuacja jest czysto teoretyczna... zapewne wycofałbym główną flotę i wydzielił z niej małą grupę uderzeniową. Wykorzystałbym syreny i delfiny do kontroli położenia głównej floty wroga i dopilnował, by mieć dość miejsca do manewrów. W końcu zabraknie im zaopatrzenia. Wyspy Brytyjskie wciąż nie są pod ścisłą kontrolą – na północy i zachodzie nadal istnieją opierające się im grupy – więc zaopatrzenie musi pochodzić z Ropazji. Kiedy ruszą na spotkanie z zaopatrzeniem, grupa uderzeniowa – albo grupy, gdybym dysponował dostatecznymi siłami – powinna zaatakować konwoje. W końcu zostaną zmuszeni do skierowania się do bazy. Co więcej, jest bardziej niż prawdopodobne, że wtedy będzie się im już kończyć żywność. Niedokarmione wywerny są bardzo niebezpieczne. Nie są w stanie latać tak daleko jak zwykle, trudniej nimi sterować w powietrzu i jeśli taka sytuacja potrwa dostatecznie długo, mogą zacząć rzucać się na załogę na pokładzie. Zaatakowałbym właśnie wtedy, gdy zawróciliby do domu. Zwłaszcza że miałbym za ich plecami lżejsze jednostki. Może nawet miałyby sens trzymanie gdzieś w ukryciu smokowca, w miarę możliwości niezauważonego przez orkowych zwiadowców. Maksymalnie demoralizujące byłoby uderzenie przez pełną grupę bojową smoków w chwili, gdy sądziłoby, że są już bezpieczni.

– Podejście pośrednie, sir – odezwała się Van Krief, kiwając głową. Potem w zamyśleniu spojrziała na kapitana.

– Ale, sir, przecież *mamy* młot parowy – zauważyła. – Czemu ich nie zgnieść, skoro możemy?

– Nie – odpowiedział Herzer. – *Wydaje się nam, że mamy młot.* To olbrzymia różnica. Odślanianie się w sytuacji, gdy wydaje się, że złapało się domowego kota i przekonanie się, że tak naprawdę to domowy lew, stanowi prosty przepis na mnóstwo bólu.

\* \* \*

Herzer był nieprzyjemnie świadom siedzącej naprzeciw niego Van Krief. Za oknem dyliżansu rozpościerał się absolutnie nużący widok, składający się z szachownicy pól i lasów, z bardzo rzadko rozsianymi niewielkimi miasteczkami. A dyliżans jadący Via Apallia mocno trząsał. Wywodząca się z czasów przed Upadkiem droga została zbudowana i utrzymywana przez

rekreacjonistów, którzy ulegając silnej niechęci do „prawdziwych” dróg, zbudowali ją w stylu rzymskim, wykładając kamieniami. Miała nawierzchnię nieporównywalnie gładszą od większości dróg powstających po Upadku, a powóz został wyposażony w dobre zawieszenie na metalowych resorach, z nowymi oponami z wulkanizowanej gumy. Mimo wszystko chwiał się i okazjonalnie nieprzyjemnie szarpał. Po jakimś czasie patrzenie na boki stawało się bolesne. Siedząca przed nim kobieta czytała autobiografię Slima o kampanii na Myanmarze, wystawiając przy tym lekko koniuszek języka. I dość ponętnie rozchyliła bluzę munduru. Herzer zaczął właśnie fantazjować o możliwych sposobach wykorzystania tego języka, kiedy zdał sobie sprawę, że musi pomyśleć o czymś innym i zamknął oczy.

Niestety, przyszłość kryła zbyt wiele znaków zapytania, by mógł jasno myśleć. Skoro flota bojowa Nowego Przeznaczenia wyszła w morze, to flota inwazyjna, którą miała ochraniać, nie mogła zostawać daleko w tyle. Paul Bowman – przywódca Nowego Przeznaczenia i człowiek, który zaplanował zamach przeciwko ówczesnej Radzie, co dało początek wojnie domowej – uważał się za stojącego po jedynie słusznej stronie. Żywił głębokie przekonanie, że opór Koalicji Wolności przeciw jego planom jest absolutnie zły, a wszelkie podejmowane przez niego działania musiały być uświęcone przez anioły. Stąd więc uznał, że skoro ZWS nie chce zaznać oświecenia, zmusi je do tego rządami terroru.

Celinę Reinshafen, członkini Rady, która stanęła po stronie Paula, nie miała tak szczytnych pobudek. Kiedy księżę prowadził życie feudalnego barona, robiąc miecze i zbroje, ona tworzyła

genetyczne potworki, naciągając granice dozwolonych przed Upadkiem protokołów biologicznych. Od początku wojny najwyraźniej wskoczyła na wyższe obroty i musieli już walczyć z kilkoma bestiami z kolekcji jej potwornych kreacji. Najprostszym przykładem byli Przemienieni ludzie stanowiący trzon armii Nowego Przeznaczenia – dzicy, silni i zdumiewająco wytrzymali, stanowili wzbudzających grozę przeciwników. Kiedy pierwszy raz stanęli naprzeciw Panów Krwi zostali nazwani orkami. Choć nie potrafili zachować dyscypliny i utrzymać ściany tarcz w ścisłym szyku, zwłaszcza w obliczu deszczu strzał wypuszczanych z długich łuków ZWS i szturm Panów Krwi, i tak okazali się bardzo trudnym przeciwnikiem.

Plotki głosiły jednak, że stworzyła całe mnóstwo różnych potworów. Zdołała już wysłać parę swoich dzieł do ZWS. Jedna z nich, humanoidalna olbrzymia bestia o nieludzkiej wprost sile i szybkości, siała przerażenie w Washan, dopóki nie została przegnana i zabita podstępem przez mieszkańców. Monstrum spłonęło wraz z budynkiem, którego używało jako swojej kryjówki. Wciąż nie mieli pewności, czym właściwie jest i jak zostało stworzone. A pojawiały się i inne. I zapewne czeka ich jeszcze więcej.

Zastanawiał się, jakie zmiany mogła wprowadzić w smokach po stronie Nowego Przeznaczenia. Przychodziło mu na myśl zianie ogniem. Coś takiego nie zaistniałoby w ramach ograniczeń obowiązujących przed Upadkiem, ale po rozpadzie starej Rady złamano już wiele zakazów. Ostały się tylko te zabraniające działania środków wybuchowych, co uniemożliwiało tworzenie silników spalinowych czy nawet wysokociśnieniowych silników parowych, a także powszechne protokoły przeciwko samopowielającym się mikroorganizmom i nanitom. Oba zostały wprowadzone prawie jednogłośnie przez wcześniejsze Rady i tylko jednomyślne głosowanie mogłoby je znieść, co było aktualnie niemożliwe.

Jednak dysponując dostateczną ilością energii, mogła stworzyć ogniisty oddech. Energię zaś mogła czerpać z ciał samych smoków, w końcu tak właśnie powstawali orkowie. Najlepsze paliwo do tego rodzaju broni stanowiła zagęszczona benzyna, a choć tę produkowały również żywe organizmy, odpowiednia Przemiana była skomplikowana i niebezpieczna. Nie wspominając o nauce wykorzystywania płomienia.

Herzer otworzył oczy i jego wzrok natrafił wprost na błękit oczu siedzącej naprzeciw dziewczyny, która natychmiast się zaczerwieniła.

– Pensa za pani myśli – powiedział z lekkim uśmiechem.

Znów się zaczerwieniła i na chwilę odwróciła wzrok, po czym popatrzyła na niego z lekko zmarszczonym czołem.

– Ja... zastanawiałam się, sir. Gdzie stracił pan rękę?

Herzer spojrział na generała, który tylko lekko unióśł brwi i wzruszył ramionami.

– Gdybyśmy nie ruszyli się z Akademii, kazałbym pani samej się tego dowiedzieć i napisać pracę – odpowiedział z uśmiechem. – Ponieważ tam nie jesteśmy i czeka nas jeszcze długa droga do wybrzeża... – Zmarszczył brwi, spojrział w sufit, po czym się skrzywił. – Raven's Mili zostało zaatakowane jesienią w roku Upadku – rozpoczął. – Było nas wtedy tylko pięćdziesięciu Panów Krwi i czterdziestu w pełni przeszkolonych łuczników. Brałem udział w szkoleniu pierwszej grupy Panów Krwi. – Odciągnął rękaw lewej ręki, odsłaniając wypalone na niej znamię. Miało kształt orła z rozłożonymi skrzydłami i otwartym do krzyku dziobem z umieszczonym pod spodem napisem *Semper Fidelis*. Znamię przecinała zagojona już blizna.

– Trzydziesta ósma – odezwał się Destrang, kiwając głową i podciągając własny rękaw. Znamię wyglądało tak samo, ale z umieszczoną w górze

liczbą „3 8”. Pozostali podchorążowie również odsłonili przedramiona. Jednak żadne z nich nie

miało tylu bliźni.

– Nie mieliśmy numeru grupy – wyjaśnił Herzer. – I to my zbudowaliśmy większość dróg, po których maszerujecie. Ktoś zjadł cytrynę?

– Nie, sir – odpowiedziała Van Krief. – Ostatnie kilka grup tak bardzo się o nią kłóciło, że zostało to zakazane.

– Szkoda. – Herzer uśmiechnął się szeroko. – Sugerowałem, żeby po prostu zwolnili grupę, powiedzmy dziesięć kilometrów od polany, i pozwolili im się o nią ścigać. W każdym razie wtedy nikt w grupie, łącznie z Gunnym Rutherfordem, nie wiedział, co reprezentowała ta cytryna ani kto został tam pochowany. Przypuszczam, że wy już wiecie?

– Tak jest, sir! – zawołali unisono.

– Cóż, w pewnym momencie pojawiła się tam duża armia, głównie składająca się z Przemienionych, prowadzona przez wyjątkowo popieprzonego sukinsyna Dionysa McCanoca, przepraszam za słownictwo, podchorążowie.

– Żaden problem, sir – rzuciła dziewczyna, czerwieniąc się i uśmiechając.

– Dionys... – urwał i znów spojrzał na generała. – Dionys zaatakował nas również z powodów osobistych, ale nie jest to takie ważne.

– Wręcz przeciwnie – wtrącił się Edmund. – Widzieliście małego chłopca przy mojej żonie?

– Tak, sir – odpowiedział Tao. – Pański syn?

– Dionysa. – Generał uśmiechnął się cierpko. – Aktu nie dokonano za obopólną zgodą. – Uniósł dłoń, żeby powstrzymać przeprosiny przerażonego chłopaka. – Nie mam nic przeciwko temu, żeby nazywać Karola moim synem, to bardzo udany młodzieniec. Ale nie jest synem z mojego ciała. Tak więc możecie bezpiecznie założyć, że nie żywiłem do McCanoca szczególnie ciepłych uczuć. Zresztą mieliśmy ze sobą niezbyt miłe spotkanie sprzed Upadku. Choć nie jest to szczególnie istotne dla historii. Mów dalej, Herzer.

Kapitan zawahał się, po czym wzruszył ramionami.

– W tej sprawie jest jeszcze więcej. Byłem obecny przy gwałcie madame Daneh. A raczej, nie potrafiłem mu zapobiec, więc uciekłem. – Spojrzał na siedzącą naprzeciw Van Krief, która zbladła i szerzej otworzyła oczy. – Nie zawsze najlepszym rozwiązaniem jest głupi heroizm. Byłoby dobrze, gdyby świat był taki prosty. I cóż, nie wszyscy jesteśmy tacy, jak się wydajemy, i warto o tym pamiętać. Jak już mówiłem – kontynuował po chwili, wyglądając przez okno – Dionys nadchodził z mordem w oczach. Miał nad nami przewagę liczebną dziesięć do jednego. Co by pan zrobił w takiej sytuacji, podchorąży Destrang?

– Zostawił w mieście dość sił, żeby mogło wytrzymać ewentualne oblężenie, a potem wymanewrował siły wroga tak, by nie mógł zaatakować miasta, nie narażając się na atak od tyłu.

– Problem polegał na tym, że mógł zaatakować miasto i zdobyć je, zanim oddział na zewnątrz zdążyłby cokolwiek zrobić – odparł Herzer. – Generał zamiast tego wybrał opcję wędki, wychodząc z miasta bronionego wyłącznie przez milicję i zawieszając Panów Krwi i łuczników w charakterze przynęty. – Pamiętał tamte bitwy, jakby rozgrywały się wczoraj, prawie pierwsze jego zetknięcie z walką. Przyjaciele ginący wokół niego, uczucie związane z odbieraniem życia swoim własnym mieczem. – My... wyniszczyliśmy przeciwnika z niewielkimi stratami dla siebie przez skłonienie go do wielokrotnych ataków na ufortyfikowane pozycje.

– Operacyjnie ofensywa, taktycznie obrona, sir – wtrąciła Van Krief. Najwyraźniej wyszła już z szoku.

– Dokładnie – potwierdził Herzer. – Potem szybkim marszem wyprzedziliśmy armię wroga w drodze do miasta i wyszliśmy im naprzeciw na przewężeniu Bellevue, mając możliwość łatwego

wycofania się na drugą linię obrony, gdyby pojawiła się taka potrzeba. – Znów umilkł, mocno zaciskając szczęki. – Zatrzymaliśmy ich i rozbiliśmy na krwawą miazgę. Niezależnie od tego, ile razy atakowali, nie potrafili przełamać naszej obrony. W końcu się złamali. Wtedy zaatakował Dionys, sam.

– Sam, sir? – zapytał Tao. – Czy to nie było samobójstwo?

– Nie, ponieważ chroniła go zbroja płytowa wyposażona w działające pole siłowe – wyjaśnił rzeczowo Edmund. – Zazwyczaj coś takiego stanowi przepis na masakrę. I samobójstwem jest próba zaatakowania kogoś takiego.

– A więc... popełniłem samobójstwo. – Herzer uśmiechnął się lekko. Wciąż wyglądał za okno. – A jego energetyczny miecz przeszedł przez moją tarczę jak przez papier, odcinając mi dłoń.

– Dionysa chroniła dodatkowo chmura nanitów, które pobierały energię z otaczających go ludzi – dodał Edmund, z frasunkiem patrząc na swojego protegowanego. – Herzer wciąż go atakował, nożem, próbując przebić się przez szczeliny zbroi, ale został pokonany przez nanity.

– Nie walczyłem całkiem sam. – Kapitan uśmiechnął się. – Do zabawy przyłączyła się Bast, a nawet *Lazur*, domowy lew Rachel.

– Zakładam, że ktoś go zabił, sir – odezwał się Destrang, gdy stało się jasne, że Herzer skończył.

– Och tak. Książę Edmund. Właściwie nie zabił, tylko sparaliżował.

– Pan, sir? – zapytała Van Krief. – Jak?

– Młoda damo, przy całej mojej skromności, przed Upadkiem byłem najlepszym na ziemi twórcą replik średniowiecznych zbroi i broni – oświadczył Talbot z dumą. – Głupotą z mojej strony byłoby nieposiadanie broni i zbroi, które mogłyby poradzić sobie ze wszystkim, co był w stanie zdobyć Dionys czy wyprodukować ten partacz Fukuyama. Robiłem lepsze rzeczy, zanim wyrosłem z *twojego* wieku. – Roześmiał się i potrząsnął głową, spoglądając za okno.

– Tak właśnie wygląda historia mojej odciętej dłoni – podsumował Herzer, unosząc do góry protezę i stukając jej kleszczami. – A później książę Edmund, który, jak skromnie zauważył, jest całkiem niezłym kowalem, zrobił dla mnie to coś. Tnie, rżnie i miażdży. Przydaje się też do właściwego oceniania prac domowych. – Wykonał gest darcia, odsłaniając zaostrzony hak protezy. – A przy okazji jest praktycznie niepodatne na korozję. Bardzo dziękuję.

– Bardzo proszę – odparł Edmund.

– Nie wykazałem się szczególnym heroizmem – dodał Herzer. – Wszystko, co zrobiłem, to spowolniłem drania na jakieś pół minuty. Bast zajęła mu znacznie więcej czasu.

– A kim jest Bast? – zapytał Destrang. – Oczywiście poza egipską boginią.

– Prawie o tym zapomniałem – roześmiał się Herzer.

– Bast to dziewczyna Herzera – wyjaśnił Edmund. – W każdym razie jedna z nich.

– Bardzo przepraszam – rzucił urażony Herzer. – Z całym szacunkiem, generale, *pańską* dziewczyną została dużo wcześniej niż moją.

– Pańska dziewczyna jest w wieku *księcia!* – zdziwiła się Van Krief.

– Och, dużo starsza – przyznał książę. – My, staruszkowie, potrafimy być całkiem żwawi, młoda damo.

– Sir, nie chciałam... – zaplątała się w wyjaśnieniach dziewczyna.

– Ależ wiem, że nie. – Edmund wyszczerzył się. – Na tym polega problem z byciem szefem, trzeba uważać, z czego się żartuje. To był żart.

– Tak jest, sir – wydusiła z siebie Van Krief, uśmiechając się. – Przepraszam.

– Bast jest elfem – wyjaśnił Herzer. – Właściwie... leśnym elfem. Została stworzona w trakcie

wojen SI. I tak, czasami dzielimy łóżko.

– Lub kępę mchu – dodał Edmund. – Albo kamień. Lub na stojąco. I w wodzie...

– Drogi książę – zamruczał słodko Herzer – pamięta pan, co powiedział przed chwilą o byciu szefem? W tej chwili *nie* ma pan na sobie magicznej zbroi, więc jeśli chce pan dotrzeć do bazy floty w jednym kawałku...

– Nie obchodzi mnie jak jesteś wielki – prychnął starszy mężczyzna z uśmiechem, oglądając przez okno krajobrazy. – Wiek i chytrość za każdym razem pokonają młodość i niewinność.

– Jasne, szefie, ale szkoli mnie pan w chytrości już od czterech lat – zauważył rozsądnie Herzer. – Wracając do Bast. Bast to Bast. Jest niewiarygodnie piękna, w nieprawdopodobny sposób ignoruje konwenanse i wygląd, jest zuchwała i prześmiewcza, zabawna, a przy tym stanowi najbardziej niebezpieczną osobę, jaką kiedykolwiek poznałem. Widziałem, jak z równą łatwością zabija orków, ixchitle i orki. Jest przy tym najlepszą znaną mi łuczniczką i tancerką. Lata na smoku, jakby się na nim urodziła i robi to na oklep, co nie jest błahostką, uwierzcie mi na słowo. Ma kilka tysięcy lat, a wygląda i czasem zachowuje się, jakby miała czternaście. Mam zaszczyt czasami dzielić z nią łóżko. Lub, jak ujął to książę Edmund, kępę mchu, plażę, kamień czy cokolwiek.

– Och – wydusiła z siebie Van Krief, popadając w zadumę.

– Nie widziałem jej już od ponad roku – ciągnął Herzer. –1 może pojawi się za kolejny rok lub za dziesięć lat, wierząc, że będziemy kontynuować tam, gdzie przerwaliśmy, jakby się nigdy nie oddalała. Z drugiej strony może też stać właśnie przy naszej drodze, oczekując, że ją ze sobą zabierzemy. Czasami spodziewam się jej w każdej chwili. Na przykład... teraz – dokończył smutno.

– Boże, mam nadzieję, że nie – jęknął Edmund.

– Jak mówiłem – ciągnął Herzer z uśmiechem – potrafi być mocno prześmiewcza. Jestem pewien, że doprowadziłaby admirałów do apopleksji.

– Myślę raczej o żonach admirałów – wymamrotał książę, wyglądając przez okno z przerażeniem na twarzy.

– Czy pan jest... monogamiczny, sir? – zapytał Destrang, bardzo zdecydowanie nie patrząc na siedzącą obok koleżankę.

– Nie – odpowiedział Herzer. – Nawet nie wiem, czy Bast jest, kiedy znika, nie mam żadnych podstaw do oceny. W każdym razie zdecydowanie tego od niej nie oczekuję, zresztą nie jestem także i wtedy, gdy ona znajduje się w pobliżu. Ona ze swej strony mnie do tego nie zachęca, nie odstrasza nawet innych kobiet. Jest... niewiarygodnie otwarta w sprawach seksu i tak w tej sferze nie zainteresowana konwenansami, jak i we wszystkich innych dziedzinach życia. – Uśmiechnął się i wzruszył ramionami. – Przychodzi mi na myśl termin „marzenie pijaka”.

– Tak to brzmi – zgodził się Tao.

– Jest moja – oświadczył Herzer z uśmiechem. – Albo nie. Bast należy wyłącznie do siebie samej. Jak mówiła wielokrotnie, wciąż pozostanie młoda, kiedy ja umrę ze starości, zakładając, że przeżyję tak długo. Ale jeśli kiedyś ją spotkacie, nie myślcie, że będziecie w stanie się jej oprzeć. Po prostu wchodzi i wskazuje palcem. I nie daje się zwieść pozorom, żeby nie wiem jak pełne wdzięku były osoby cokolwiek udające.

– Spotykałam elfy – odezwała się nagle Van Krief. – Nie pasuje to do żadnego z nich.

– Ona nie jest wysokim elfem – wyjaśnił Edmund. – A te właśnie spotykałaś. Z drugiej strony nie jestem pewien, czy istnieją jakieś inne leśne elfy poza Bast. Może nawet być jedyną w swoim rodzaju, a nie modelem produkcyjnym.

– Mówi pan to tak, jakby wyprodukowano ją w fabryce – zauważył Tao. – Myślałem, że elfy są rasą Przemienionych, jak syreny.



– Założenie, które w obecności elfa mogłoby kosztować cię co najmniej bardzo zimne potraktowanie – odpowiedział poważnie książę Edmund. – Elfy są rasą stworzonych sztucznie superżołnierzy. Stworzono je w Unii Północnoamerykańskiej w czasach, kiedy zmagala się z serią lokalnych, paskudnych wojen w dniach poprzedzających Konsolidację. U początków dwudziestego pierwszego stulecia odkryto, że w sytuacjach stresowych ludzie wydzielają endogenne środki uspokajające. Najlepsi żołnierze Norau mieli nieco zwiększone wydzielanie tego środka. Dzięki temu nie ulegali panice ani syndromowi postresowemu – a oba czynniki mogły prowadzić do paskudnego i nieludzkiego zachowania w walce – stworzono więc elfy, ze zwiększonym poziomem produkcji. – Uśmiechnął się lekko i wyjrzał za okno. – Ale nie zostały Przemienione. W najmniejszym stopniu nie są ludźmi, choć wyglądają jak my.

– Gdyby elfy kiedykolwiek nabrały na to ochoty – ostrzegł Herzer – ludzkość bardzo szybko stałaby się wymarłym gatunkiem. A jeśli kiedyś zdarzy się wam któregoś wkurzyć, sami poderznicie sobie gardło. Pójdzie szybciej i znacznie mniej boleśnie.

– To wyjaśnia zachowanie spotykanych przeze mnie elfów – stwierdziła Van Krief z błyszczącymi oczami. – Były takie... spokojne. Upiornie wręcz.

– Naćpane po uszy – podsumował ze śmiechem Herzer. – Ale tak, są inteligentne, piękne i niesamowicie spokojne.

– Sir – odezwał się Destrang, zbierając się na odwagę. – Karol... on ma...

– Szpiczaste uszy – dokończył Edmund, kiwając głową. – Dionys nagiął protokoły, jak tylko mógł, żeby dodać sobie elfie usprawnienia. Właściwie przekroczył przepisy. Chronił go i wspierał – choć wtedy o tym nie wiedzieliśmy – marszałek Chansa, ówczesny członek frakcji Paula w Radzie, teraz przywódca sił zbrojnych Ropazji.

38 *JohnRingo*

– Jedyne raz, kiedy widziałem zdenerwowanego elfa, ten wkurzył się na McCanoca – powiedział Herzer. – To było przed Upadkiem. Choć nie wiem, co potem się z nim stało.

– To musiał być Gothoriel – domyślił się Edmund. – Pełnił funkcję Jeźdźca Północnej Rubieży, zasadniczo facet, którego Pani wysłała do tego rejonu Norau, żeby pilnować, czy niczego nie knujemy. Upadek uwięził go tu po tym, jak Pani zamknęła Elfheim. Nie widziałem go później, ale Bast mówiła, że ona tak.

– Elfheim, generale? – zapytał Tao. – Znow zaczyna mnie boleć głowa.

– Za dużo dla was, podchorąży? – zapytał z uśmiechem Edmund. – Elfheim to sztuczny wymiar, który elfy otworzyły, kiedy uznały, że życie na świecie jest zbyt niebezpieczne dla obu stron. Ludzie nigdy tak naprawdę nie zaakceptowali elfów, i z wzajemnością. Zbyt wiele różnic. Rzeczy, które doprowadzają ludzi do furii, są dla elfów bez znaczenia, a to, co wywołuje gniew elfów, ludzie mają na ogół skłonność ignorować. Pani wycofała się wraz z większością swego ludu. Choć nie jest to obowiązkowe, przychodzą i odchodzą, a przynajmniej działo się tak do czasu powstania aktualnej sytuacji. Wtedy Pani wyłączyła portale prowadzące do Elfheimu i oświadczyła, że nie pozwoli na transfer w żadną stronę. To odcięło także jej oczy pośród ludzi.

– Czy one są po naszej stronie, sir? – zapytał Tao.

– Nie, synu, nie są – odparł Edmund. – Ale nie są też po stronie Nowego Przeznaczenia. Właściwie nie jestem pewien, czy *chcę* je po naszej stronie, są zbyt skłonne robić różne rzeczy z powodów, których nie rozumiem. Ale wiem, że bardzo nie chcę, aby walczyły dla Nowego Przeznaczenia. Zresztą nie mogę sobie nawet wyobrazić, żeby to robiły. Jeśli jednak Nowe Przeznaczenie wygra, jeśli zdoła przejąć cały system energetyczny i zdobyć władzę nad światem, możesz się założyć, że spróbuje zaatakować Panią. I będzie to bitwa warta obejrzenia. Oczywiście,

wtedy wszyscy zostaniemy już zabici albo Przemienieni.

# ROZDZIAŁ CZWARTY

Podróżowali w zamkniętej kabinie dyliżansu przez dwa dni, regularnie zmieniając konie i nie zatrzymując się nawet na odpoczynek, nocą jadąc przy świetle latarni. W połowie pierwszego dnia opuścili Via Apallia i skręcili na południe, w stronę Newfell. Ta droga została zbudowana już po Upadku i choć poprowadzono ją śladem antycznej trasy, w porównaniu z poprzednią miała wręcz koszmarną nawierzchnię – nierówną, pełną dziur i ledwie pokrytą warstwą żwiru, spod którego wyłaził zwykły piach.

Po pierwszej fali rozmów konwersacje wygasły, bowiem podchorążych chyba przeraziła nieco własna śmiałość. Edmund wydusił z nich, że pochodzili z trzech rogów prawie równobocznego trójkąta. Tao mieszkał na równinach na zachodzie, Destrang przybył z północno-wschodniego wybrzeża, a Van Krief mieszkała nad wybrzeżem zatoki na południowym wschodzie.

– Żyliśmy nad zasilaną ze strumieni rzeką uchodzącą do zatoki – powiedziała, wyglądając przez okno. – Kiedy przyszedł Upadek, mój ojciec gdzieś właśnie nurkował, wiecie, nawet nie za bardzo wiem gdzie. I zginął.

– Przykro mi – bąknął Herzer, starając się nie patrzeć na młodą kobietę.

– Ja i mama przeżyliśmy. Miałyśmy ryby i drzewa pomarańczowe. Aligatory też są dość smaczne. Poradziłyśmy sobie. Mama wciąż tam mieszka. A co z pańskimi rodzicami, sir?

– Nie wiem, gdzie przebywali – odparł Herzer drewnianym głosem i skrzywił się. – Nie widzieliśmy się już od paru lat przed Upadkiem. Moje wiadomości... – urwał, po czym wzruszył ramionami. – Nie byliśmy blisko

– dodał, kończąc rozmowę.

W końcu – po podróży, która zdawała się trwać w nieskończoność – zatrzymali się przed posterunkiem strażniczym i po kilku słowach Edmunda zostali przepuszczeni. Panował środek nocy, ale nie wyglądało na to, by baza floty się tym przejmowała: ludzie, wozy i materiały, wszystko to wędrowało ciągłymi strumieniami z jednych rejonów do innych. Droga, którą jechali, została oświetlona latarniami umieszczonymi mniej więcej co dziesięć metrów, a przy drzwiach budynków zamocowano kolejne, więc okolica była dość dobrze rozjaśniona.

Zatrzymali się przed portykiem czegoś, co wyglądało na wielką posiadłość, i Edmund otworzył drzwiczki powozu, wychodząc na jasny od świateł latarni podjazd.

– To kwatery gościnne dla VIP-ów – wyjaśnił podchorążym. – Zamieszkać razem z Herzerem. Wy będziecie stacjonować w koszarach gościnnych, kawałek dalej. Zwolnię was, jak tylko znajdę kogoś, kto pomoże nam ze sprzętem. Im szybciej pójdziecie spać, tym lepiej. Ale musicie się zjawić w mundurach galowych i odświeżeni, znajdźcie na to dodatkowy czas.

Kiedy do nich mówił, Herzer podszedł do oszklonych drzwi frontowych i spróbował je otworzyć, jednak okazały się zamknięte. Zaczął więc walić pięścią w drewno, zaglądając przez szyby do środka.

– Dyżurny zasnął – rzucił przez ramię.

– Też bym się chętnie zdrzemnął – stwierdził Edmund, przeciągając się.

– Robię się na to zdecydowanie za stary, Herzer.

– Co ty tu u diabła wyprawiasz? – zawołał młody marynarz, wyglądając na oświetlonego właśnie kapitana. – Jeśli obudzisz admirałów, bardzo się zdenerwują.

– Słuchaj no, palancie – warknął Herzer, używając haka, by dźwignąć znacznie od siebie mniejszego marynarza za kołnierz. – Jeśli nie zejdiesz tu zaraz i nie pomożesz generałowi Talbotowi z jego bagażem, *to ja* zaraz się wkurzę. A zaręczam ci, że bardzo tego nie chcesz!

– Tak jest, sir! – wydusił z siebie chłopak, a Herzer opuścił go na ziemię.

– Weź kogoś do pomocy – dorzucił Edmund. – Mamy sporo rzeczy.

– Sir... generale. Jeszcze przez dwie godziny nie będzie tu nikogo oprócz mnie. Wszyscy inni są w koszarach i...

– Nieważne – uciął Edmund, gniewnie wzruszając ramionami. – Podchorążowie, przykro mi, ale obawiam się, że stracie jeszcze trochę czasu na sen.

– Żaden problem, sir – rzucił Tao. Rozładowywał już ich bagaże, a teraz dźwignął w jednej ręce kuferek, a w drugiej worek ze zbroją. – Gdzie idziemy, mały?

– Do góry i w prawo, sir – udzielił odpowiedzi marynarz, chwytając kolejny pakunek i zataczając się pod jego masą.

Wspólnym wysiłkiem całej szóstki zdołali zabrać wszystkie bagaże za jednym razem – nie tylko Herzer zapakował w drogę zbrojei osobistą broń.

– Wiecie co – odezwał się na górze Edmund – zmieniłem zdanie. Ja z Herzerem muszę pojawić się w dowództwie o świcie, ale wy się wyśpijcie. Nie za długo, nie dłużej niż dwie godziny po wschodzie słońca. Ale prześpijcie się, może to być wam potrzebne.

– Sir, nic nam nie będzie. – Van Krief wyprostowała ramiona. – Sir, jesteśmy Panami Krwi – dodała głosem, w którym brzmiało zdziwienie, że jego zdaniem dwudniowa jazda miałyby ich wyczerpać.

– Boże, mieć tak twarde ty... być tak twardym jak wy, podchorążowie. – Generał uśmiechnął się. – Dobrze, dwie godziny.

– Tak jest, sir – odpowiedział Destrang. Jako jedyny z całej piątki wyglądał na nietkniętego podróżą, ale zdecydowanie potrzebował się ogolić.

– Miejmy nadzieję, że mają tu prysznic, czy coś takiego.

– Och, jestem pewien, że tak – cierpko rzucił Edmund. – Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby flota nie zainstalowała w koszarach prysznic.

\* \* \*

– Dobry Boże – westchnął Destrang, po czym zagwizdał, rozglądając się po łazience. – Muszę zmienić służbę!

Łazienka oficerska została wyposażona w sześć odrębnych pryszniców, dużą drewnianą wannę, podobną do zainstalowanych w publicznej łaźni w Raven's Mili, dwie osobne, „prywatne”, wanny, które mogły pomieścić po trzy osoby, oraz opalaną drewnem saunę i kabinę parową. Sauna stanowiła jedyne aktualnie nie ogrzewane pomieszczenie, ale zaspany marynarz, który ich przywitał, poinformował generała, że można ją rozgrzać w ciągu około godziny.

-1 wszystko to tylko *tymczasowe* kwatery – odezwała się zdumiona Van Krief. – Dla *młodszych* oficerów.

W koszarach jest też paru dowódców – zauważył Tao. – Kiedy wy rozmawialiście z tym małym z dołu, ja przyjrzałem się temu, co jest napisane na tablicy. – Rozejrzał się wokół zawistnie, po czym wzruszył ramionami.

– Idę pod prysznic.

– Cóż, ja się najpierw spluczę, a potem wymoczę w wannie – oświadczył Destrang, ściągając tunikę w drodze do swojego pokoju. – Nie ma dość czasu, żeby zawracać sobie głowę spaniem. Dwadzieścia albo trzydzieści minut w gorącej wodzie jest dokładnie tym, co lekarz zapisał mi po tej cholernej jeździe.

\* \* \*

– Potrzeba panu czegoś, generale? – zapytał Herzer, wchodząc do pokoju Edmunda.

– Owszem, takiej łazienki w moim cholernym domu – burknął książę. – Jak wygląda twoja?

– Skorzystałem ze wspólnej, na korytarzu, sir. – Herzer wziął prysznic i przebrał się w galowy mundur. Przypominał polowy, różniąc się tylko niebieskimi klapami tuniki oznaczającymi jego przynależność do piechoty. Ale biorąc pod uwagę sytuację, przypiął też medale. Na górze znajdowało się coś w rodzaju tarczy. Poniżej cztery medale. Ten w górnym rzędzie reprezentował złoty laur. Na trzy w rzędzie niżej składały się: srebrny orzeł z rozłożonymi skrzydłami, druga tarcza, tym razem z brązu, oraz para skrzyżowanych mieczy. Zdał sobie teraz sprawę, że ma więcej odznaczeń od Edmunda i zaczął się zastanawiać, czy nie powinien paru odpiąć. – Ale wyglądało to dość dobrze.

– Idź zajrzyj do mojej – powiedział Talbot, zakładając tunikę.

Wspólna łaźnia zrobiła na Herzerze bardzo dobre wrażenie. Miała przyjemną wannę, osobny prysznic z kabiną wyłożoną kafelkami i dwie porcelanowe umywalki z kranami z ciepłą i zimną wodą. Nie wspominając o splukiwanej toalecie. Jednak wszystko to bladło przy łazience Edmunda. Podłoga i ściany zostały zrobione z jakiegoś rodzaju lekkiego drewna o bardzo kosztownym wyglądzie. Kabina prysznicowa była wyłożona czarnym marmurem i tak duża, że nie potrzebowała drzwi. Wannę wykonano z jakiegoś ładnego, nie znanego mu kamienia i miała przynajmniej dwukrotnie większe wymiary niż ta w łazience na korytarzu. Umywalki najprawdopodobniej zrobiono z tego samego gładkiego kamienia, a krany wyglądały na to, że wykonano je z czystego srebra. Pstryknął jeden z nich i dźwięk zdradził, że się nie pomylił. Pokręcił głową i zajrzał do drugiego pomieszczenia za klozetem, po prostu, żeby go obejrzeć. Ten oczywiście został zrobiony z czarnego marmuru, a obok niego umieszczono jeszcze jakieś obce mu urządzenie, z tego samego materiału.

– To dość eleganckie – powiedział, kiedy wrócił do pokoju. Edmund założył już tunikę i zdecydował *nie* zakładać medali. Jediną ozdobą jego tuniki były cztery srebrne gwiazdki. Zdawał się uważać, że to wystarczy.

– Nie sądzę, żeby z rangą nie mogły się wiązać pewne przywileje – zauważył kwaśno. – Muszą być jakieś pozytywne strony wynikające z całej tej odpowiedzialności. Ale rzadko spotykałem akceptujące taką ostentacją grupy, które gdzieś po drodze nie zgubiły swojego celu, którym w tym przypadku jest niszczenie wroga.

– Owszem, sir – zgodził się Herzer, myśląc o studiowanej przez siebie historii wojskowości. – Z pewnością zgodziliby się z panem Spartanie i większość Rzymian.

– Poczekamy jeszcze godzinkę, czy pójdziemy zgarnąć podchorążych i wcześniej udamy się do dowództwa? – zapytał Edmund.

– A mamy jakiś środek transportu? – odparł pytaniem Herzer.

– To jakieś trzysta metrów – rzucił cierpko Talbot. – Myślę, że nawet ja zdołam jakoś dojść.

– Tak jest, sir. Ale czy sądzi pan, że *admiralowie* by poszli?

– Tu masz rację – przyznał Edmund. – Teraz pytanie, czy bez kołowego transportu uznają nas za nic nieznaczącą hołotę czy twardych drani, których nie interesuje ostentacja?

– Oba? – roześmiał się Herzer. – Gdybyśmy dysponowali transportem, moglibyśmy nim wzgardzić, ale nie wydaje mi się, żeby czekał gdzieś tu na nas jakiś powóz.

– Należało zatrzymać ten, który nas tu przywiózł – mruknął Edmund. – Ale woźnica zmęczył się równie mocno jak my.

– I nie poinformowaliśmy tego miłego gentlemana na dole, że możemy potrzebować czegoś takiego.

– W takim razie idź i wyciągnij z łóżek podchorążych – zdecydował po chwili namysłu Edmund

– a ja porozmawiam z tym młodzieńcem na dole w sprawie jakiejś paszy. Kiedy wrócisz, pójdziemy pieszo. Oczywiście oznacza to, że od teraz zawsze trzeba będzie chodzić, niezależnie od pogody.

– Deszcz jeszcze nikogo nie zabił – zauważył filozoficznie Herzer. – O ile nie był to naprawdę zimny deszcz, a ten ktoś nie przebywał na nim przez bardzo długi czas – dodał po chwili.

\* \* \*

Kiedy Herzer wrócił w towarzystwie podchorążych, dyżurny budynku gościnnego skierował ich do jadalni. Podobnie jak reszta kwater dla VIP-ów sala miała olbrzymie wymiary i została bardzo elegancko urządzona, ze śnieżnobiałymi obrusami i srebrną zastawą oraz świeżymi kwiatami ustawionymi w wazach na potężnym stole. Widać było, że służba dotarła tu wcześniej i przygotowano miejsca dla całej piątki.

– Główny kucharz miał pewne wątpliwości odnośnie podania jedzenia dla was – powiedział Edmund z lekkim uśmiechem, jak tygrys, który niedawno solidnie się najadł. – Hołota w rodzaju podchorążych powinna jeść w mesie lub klubie oficerskim. A w najlepszym razie w kuchni. Ale wykazałem mu, że błędzi. Siadajcie.

Mogli zamówić szynkę i bekon oraz jajka. Nie wspominając o koszykach pełnych bułek prosto z pieca. Herzer przez chwilę zastanawiał się nad zapytaniem, czy mają kleik kukurydziany, ale uznał, że czas zacząć odgrywać rolę dobrego adiutanta. A dobry adiutant pozwala swojemu generałowi zajmować się doskwieraniem ludziom.

Kiedy wszyscy zjedli, szybko, jak uczą się tego żołnierze w polu i nigdy nie zapominają, wyszli z budynku i skierowali się do pomieszczeń dowództwa.

– Tao, jesteś z równin – odezwał się Edmund. – Miałeś jakieś doświadczenie z końmi, zanim zetknąłeś się z nimi na kursie oficerskim?

– Praktycznie dorastałem na końskim grzbiecie, sir – przyznał chłopak.

– Kiedy dotrzemy do dowództwa, pójdiesz dowiedzieć się, gdzie mają tu stajnie. Na moją odpowiedzialność wybierzesz sześć najlepszych koni, jakie uda ci się znaleźć i odpowiedni zestaw rzędów. Mają być gotowe do użycia przez naszą piątkę. A sześć, bo może się okazać, że będziesz musiał jechać gdzieś, zabierając ze sobą luzaka. Destrang, Van Krief, macie przybory do pisania?

– Tak jest, sir – odparli oboje.

– Dobrze. O ile tylko gdzieś was nie wyślę, trzymajcie się moich pleców, a potem wracajcie najszybciej, jak to możliwe. Będziecie spędzać mnóstwo czasu na czekaniu.

– Żaden problem, sir – zapewniła Van Krief.

– Herzer, zamierzam ze wszystkich sił spróbować przykleić cię do siebie jak rzep – poinformował Edmund, gdy zbliżyli się do oświetlonego budynku kwatery głównej. Słońce zaczynało właśnie na wschodzie rozświetlać horyzont.

– Destrang, Van Krief. – Edmund zatrzymał się nagle. – Które z was jest lepsze w wyszukiwaniu informacji?

– Ja, sir – zgłosiła Van Krief. Destrang tylko kiwnął głową, w jej stronę.

– Dobrze, mam dla ciebie zadanie specjalne – rzekł Edmund, ruszając ponownie.

Kiedy zaczął wchodzić po schodach prowadzących do dowództwa mieszczącego się w dużym, czteropiętrowym budynku z drewna, stojący na straży żołnierze piechoty morskiej stanęli na baczność. Mieli na sobie pełne zbroje segmentowe i hełmy w stylu barbuty, uzbrojeni w krótkie włócznie abordażowe. Edmund zareagował uśmiechem na ich salut.

– Dzień dobry, panowie – odezwał się, gdy Herzer otwierał drzwi do budynku. – Jak się dziś macie?

W środku przy biurku siedział kapitan o czujnym wyglądzie. Kiedy do pomieszczenia wszedł

generał, zerwał się na baczność i krzyknął:

– Baczność! Oficer na pokładzie!

– Dzień dobry, kapitanie – rzucił lekko Edmund, znów z uśmiechem. – Wydaje się, że przyszedłem trochę wcześniej. A sądząc po pańskiej reakcji, jestem tu w tej chwili najstarszy stopniem.

– Tak jest, sir – odparł kapitan.

– Dobrze – Generał uśmiechnął się. – Podchorąży Destrang – dodał, po czym nachylił się i wyszeptał mu coś do ucha.

Destrang wyciągnął z kieszeni bluzy notatnik i zapisał coś, kiwając głową do słów generała.

Herzer zdołał przy tym wszystkim zachować kamienną twarz, ale wiedział, że admirał Draskovich, dowódca Floty Północnoatlantyckiej szybko się dowie, że nie tylko w drodze do jego własnej kwatery głównej wyprzedził go dowódca wschodnich sił lądowych, ale też cholerny piechociarz, którego przypadkowo wiązały bliskie stosunki z królową – a krążyły wręcz plotki, że kiedyś tworzyli parę – nawet to sobie zanotował.

– W takim przypadku potrzebuję przewodnika do pokoju operacyjnego – oświadczył Edmund, odwracając się z powrotem do kapitana.

– Sir. – Kapitan poruszył się niepewnie. – Wprowadziliśmy serię procedur bezpieczeństwa wynikłych z... pewnych przecieków informacji.

– Byłem przy tym, synu – zapewnił Talbot z groźnym wyrazem twarzy. W trakcie misji dyplomatycznej do syren pierwszy oficer smokowca okazał się agentem Nowego Przeznaczenia. Żona Owena Mbeki, Sharon, została przez Upadek uwięziona w Ropazji, a jej stan uzależniono od jakości przekazywanych przez niego informacji. W końcu, gdy jego działalność odkryto, Nowe Przeznaczenie go zabiło. – Chcesz mi powiedzieć, że nie jestem uprawniony do wejścia do pokoju operacyjnego?

– Nie, sir, ale...

– Gdzie jest oficer dyżurny? – zapytał Edmund. – Albo oficer informacji tajnych? Z pewnością jest tu ktoś starszy od ciebie stopniem, na kogo możesz zepchnąć ten problem. Wiem, że nie płacą ci dość.

W krótkim czasie generał wylądował w biurze zaspanego oficera dyżurnego, który z z troskaniem wpatrywał się w niespodziewanego gościa.

– Sir, nie mam uprawnień do wydawania przepustek do pokoju operacyjnego – oświadczył niepewnie. Był oficerem floty, ale doskonale zdawał sobie sprawę, że dla oficera flagowego nie znaczyło to wiele. Smród, jaki wiązał się z całą tą sytuacją, mógł doprowadzić do zrujnowania jego kariery. – Komandor Correa przyjdzie tu najdalej za godzinę...

– Oficerze, czy jestem tu w tej chwili najstarszy stopniem? – zapytał ostrzegawczo generał.

– Tak jest, sir – potwierdził zapytany, głośno przełykając ślinę.

– W takim razie, na *mój* rozkaz, wyda pan przepustki do pokoju operacyjnego dla mnie i mojego adiutanta, kapitana Herricka. Potem znajdzie pan kogoś, kto zaprowadzi mojego podchorążego – wskazał palcem na Van Rrief – do waszego archiwum, gdzie z mojego polecenia zajmie się przeanalizowaniem pewnych dokumentów. Następnie przydzielili pan podchorążemu Tao osobę, która pokaże mu stajnie bazy, i to kogoś, kogo personel stajni usłucha. I znajdzie pan jeszcze dla podchorążego Destranga miejsce, z którego będzie mógł przyjść do mnie w nie więcej niż trzydzieści sekund. A potem może pan sobie do woli protestować admirałowi Draskovichowi. Ale jeśli nie zacznie pan wypełniać tych rozkazów, postawię pana przed sądem wojennym, URWĘ PANU GŁOWĘ I NAROBIEĆ DO SZYI. ZROZUMIANO?

– Tak jest, sir – odpowiedział oficer dyżurny, sięgając do szuflady biurka.

\* \* \*

– Przepraszam panią – odezwał się starszy podoficer po wejściu do archiwum i zastaniu tam Amosis Van Krief z połową jego dokumentów porozkładanych w beładzie na podłodze. – Czy mógłbym, z całym szacunkiem, zapytać co u diabła pani tu robi?

– Czytam część z pańskich dokumentów i robię notatki – wyjaśniła uprzejmie dziewczyna.

– A czy mogę spytać z czyjego upoważnienia? Nie wpuszczamy tu wszystkich chętnych, jeśli wie pani, o czym mówię. Są do tego procedury.

– Z upoważnienia generała Talbota, dowódcy wojsk wschodnich – wyjaśniła Van Krief. – Jeśli ma pan z tym problem, może się pan udać do niego. A na razie potrzebuję raportów z budżetów materiałowych floty z ostatniego kwartału, godzin szkoleniowych z podziałem na rodzaj, wykazu godzin lotów smoków i łącznego czasu okrętów na morzu. Och, i listy typów wszystkich budowanych aktualnie okrętów wraz z szacunkowym czasem do wodowania.

– Mam inne obowiązki, proszę pani – rzucił ostro podoficer. – I jestem tu *starszym* podoficerem.

– Cóż, jeśli chce pan nim *zostać*, sugerowałabym, żeby albo wziął się pan do roboty, albo znalazł kogoś, kto się tym zajmie – odpowiedziała dziewczyna. – Ponieważ na stworzenie raportu manucasz tylko do południa, a jeśli mi się to nie uda, pierwszą pozycją w nim będzie stwarzanie trudności przez pewnego starszego podoficera.

\* \* \*

– Generale Talbot – przywitał się admirał Draskovich, wysoki mężczyzna z bladą cerą, prawie czarnymi oczami i długimi kruczoczarnymi włosami związanymi w kucyk.

Edmund siedział z nogami na blacie za jednym z biurek w pokoju operacyjnym, trzymając w dłoni kubek z kawą. Machnął nim w stronę dowódcy floty.

– Drask – wstał na powitanie. – Masz tu świetnie wyszkoloną załogę. Mógłbym zabić, za twoje Centrum Komunikacyjne.

– Dziękuję, generale – odparł admirał, ściskając dłoń Talbota. – To mój szef sztabu, generał Kabadda. – Wskazany oficer, średniego wzrostu blondyn, uścisnął dłoń księcia, uśmiechając się lekko. -1 mój adiutant, komandor Edrogan. – Ten był wysokim, eleganckim młodzieńcem, niewiele starszym od Herzera. W kącikach oczu miał zmarszczki, jakby często patrzył pod słońce, a jego twarz pokrywała mocna opalenizna.

– Komandorze – skłonił się generał. – A to mój adiutant, kapitan Herrick. Cała trójka przyglądała się przez chwilę Herzerowi i jego medalom, po czym admirał kiwnął głową.

– Kapitanie, pańska reputacja pana wyprzedza – rzucił admirał nieco sztywno.

Herzer prawie zapytał „która”, ale zdołał się powstrzymać.

– Dziękuję panu, sir – odrzekł. – Podobnie jak pańska.

– Tak – przyznał admirał, przetrawiając dwuznaczność odpowiedzi. – Czy wszystko jest w porządku?

– Och, doskonałym – potwierdził Edmund. – Doszło do drobnego problemu w związku z wpuszczeniem mnie do pomieszczenia operacyjnego, ale łatwo się z tym uporaliśmy.

Do pokoju wszedł szczupły komandor z zaciętym wyrazem twarzy i wyszeptał coś do ucha adiutanta admirała. Na twarzy młodego mężczyzny pojawił się wyraz zaskoczenia, a potem i on pochylił się do swojego przełożonego, mówiąc coś cicho i zerkając przy tym na generała.

-1 jedna z moich podchorążych ze zbyt dużą ilością wolnego czasu zajmuje się zawracaniem głowy waszym archiwistom – dodał Talbot, uśmiechając się. – Nic poważnego.



– Jestem pewien – zgodził się admirał z wyraźnie brzmiącym napięciem w głosie. – Wiadomość o pańskim przyjeździe nie zawierała informacji o celu wizyty, generale.

– No cóż – westchnął Edmund, znów gestykulując ręką z kubkiem. – Jestem facetem, który musi radzić sobie z wszelkimi gośćmi z Nowego Przeznaczenia, którym uda się prześlizgnąć przez twoje skuteczne sieci, Drask. Sheida uznała za stosowne, żebym przyglądał się, jak wychodzisz na polowanie.

Admirał zdawał się zauważyć poufały sposób odwołania się do królowej. Uśmiechnął się kwaśno i kiwnął głową.

– Może w takim razie chciałby pan wziąć udział w porannej odprawie? – zapytał. – Zazwyczaj przeprowadzamy ją w zabezpieczonej sali konferencyjnej, mniej więcej za godzinę.

– Za nic bym jej nie opuścił – zapewnił Edmund.

\* \* \*

Tao przeszedł przez stajnie, z przyjemnością wciągając w płuca mocny zapach koni, nawozu i skóry. Bawiło go, że musiał dotrzeć do bazy floty, żeby znów mieć kontakt z końmi. Od kiedy wstąpił do legionów, jedyną okazję do jazdy miał w trakcie tygodniowego kursu podstawowego szkolenia oficerskiego.

Stajnia okazała się dużym budynkiem, z rzędami boksów, a on maszerował korytarzem, unikając stajennych i okazjonalnych placków nawozu, zaglądając do zagród i przyglądając się zapelniającym je zwierzętom. Od razu zauważył, że zdecydowaną większość stanowiły ciężkie, grubokościste konie pociągowe. Zwierząt nadających się do jazdy wierzchem mieli w niej zdecydowanie mniej, a na dodatek większość z nich dość niskiej jakości. Zatrzymał się przy boksie z wyróżniającym się koniem, ładną plamistą klaczą z białym pyskiem. Umaszczenie miała okropne, plama bieli na pysku pasowała do podobnej na zadzie i dwóch na nogach, zdradzając, że chorowała na gnicie strzałek. Resztę ciała pokrywały plamy brązu i kasztanu. Nie była w zbyt dobrym stanie, wyraźnie od dawna nikt na niej nie jeździł. Ale miała dobry kłęb, lepszy niż większość zwierząt w stajni.

– Mogę w czymś pomóc, podchorąży? – zapytał lodowaty głos zza jego pleców.

Młody oficer odwrócił się, trafiając na wyraźnie rozwścieczonego komandora.

– Mam nadzieję, sir. – Tao próbował nie okazać nerwowości. – Zostałem tu wysłany przez generała Talbota w celu wybrania kilku koni dla posłańców. Sześciu, sir, z oporządzeniem.

– Proszę mi pokazać rozkazy – zażądał komandor, wyciągając rękę.

– Nie mam ich na piśmie, sir – wyjaśnił podchorąży. – Jestem jednym z jego kurierów, sir. Nie zamierzam uciekać stąd z końmi. Zresztą, o ile się nie mylę, nie będziemy potrzebować wszystkich sześciu równocześnie.

– Cóż, podchorąży, obowiązują tu pewne procedury. Bez pisemnego rozkazu żaden koń nie opuści stajni. I nie *wybiera* pan sobie koni, *przydziela* sieje według grafiku.

– Sir, z całym należnym szacunkiem, nie takie dostałem rozkazy od generała – uparł się podchorąży.

– Nie pracuję dla generała – warknął komandor. – Pracuję dla admirała Draskovicha. Jeśli admirał postanowi uchylić te przepisy, ma do tego prawo. Pański *generał* nie. Wyrażam się dostatecznie zrozumiale, czy muszę to panu dać na piśmie?

– Musi pan – potwierdził podchorąży, wyciągając z kieszeni notatnik. Polizał czubek ołówka i pisał przez chwilę. – Czy może pan tu po prostu podpisać, sir?

– Co to jest?

– Parafraza tego, co właśnie od pana usłyszałem, sir – wyjaśnił podchorąży, odczytując z kartki. – Konie nie mogą zostać udostępnione bez pisemnej zgody...

-1 priorytetu *przydzielonego* przez dowództwo floty – dodał komandor. Tao zerwał kartkę i zaczął pisać od początku.

– Konie nie mogą zostać udostępnione bez pisemnej zgody i priorytetu przydzielonego przez dowództwo floty, a komandor w stajniach nie chciał wydać koni po ustnym oświadczeniu, że wypełniam rozkazy dowódcy sił wschodnich.

– Jak pan powiedział, kim jest ten generał? – zapytał komandor i sięgnął po notes.

– Generał książę Edmund Tałbot – wyjaśnił Tao. – Dowódca sił wschodnich.

– Och. – Komandor umilkł na chwilę, po czym się skrzywił. – Może rozejrzy się pan tu przez chwilę, a ja pójde dowiedzieć się o jakieś wytyczne.

– Tak jest, sir – zasalutował Tao. Odczekał, aż komandor odszedł, po czym prychnął, wyciągając notes i wyrywając kartkę. Po chwili zastanowił się, schował notatkę i pisał dalej. Trochę powoli, ale prędzej czy później dostanie wszystko, czego potrzebuje.

# ROZDZIAŁ PIĄTY

Salę konferencyjną urządzono bardzo elegancko, z długim mahoniowym stołem i zawieszonymi pod sufitem lampami jasno oświetlającymi stół i siedzących przy nim ludzi. Przy każdym z miejsc przygotowano notes, ołówek i szklankę z wodą. Na bocznym stoliku stał srebrny dzbanek i kubki na kawę. Przy jednym końcu sali mieściły się pojedyncze drzwi pilnowane przez strażnika, a na drugim osłonięta płótnem tablica. Stał przy niej na baczność komandor w mundurze galowym, czekając na wypełniających z wolna salę admirałów i generałów z adiutantami.

ZWS wprowadziła jednolitą strukturę rang dla oficerów. Trzy dolne stopnie to chorąży, porucznik i kapitan. Określano je mianem oficerów „kompanijnych”, a insygnia stopnia stanowiły kółka, odpowiednio jedno, dwa i trzy. Kolejne trzy rangi to stopnie majora, komandora i pułkownika, kategoria „dowódcza”, oznaczana za pomocą poziomych srebrnych belek. Kolejne trzy to generał brygady, generał dywizji i generał broni, stopnie „flagowe”, oznaczane srebrnymi gwiazdkami. Najwyższym stopniem był generał, czterogwiazdkowy.

Admirałowie stanowili z definicji generałów dowodzących flotami morskimi. Generałów brygady dowodzących małymi grupami uderzeniowymi nazywano często komodorami. Pełni generałowie na stanowiskach dowódczych powinni być nazywani marszałkami, ale Edmund odmówił używania tego tytułu. A ponieważ jak dotąd był jedynym, istniało duże prawdopodobieństwo, że „marszałek” przejdzie do historii.

Herzer zajął miejsce za krzesłem Edmunda, na samym końcu stołu, patrząc od strony tablicy. Księżę przyjrzał się sposobowi urządzenia sali, po czym sięgnął do kieszeni, wyciągnął parę okularów i założył je sobie na nos.

– Komandorze, może pan zaczynać – powiedział szef sztabu, generał brygady, Kabadda, gdy tylko wszyscy usiedli. Zajmował pozycję po lewej stronie stołu najbliżej tablicy, naprzeciw dowódcy floty.

– Panowie – rozpoczął komandor, ściągając płótno z tablicy i odsłaniając upstrzoną oznakowaniami mapę północnego Atlantyku. – O 0500 w dniu dzisiejszym czasu lokalnego Pierwsza Flota – składająca się z pięciu grup uderzeniowych utworzonych na bazie smokowców *Bonhomme Richard*, *Washuka*, *Cowallis Linę*, *Norland* i *Reagan* wraz z grupą uderzeniową lekkich jednostek 7-1 – znajdowała się czterysta kilometrów na zachód od wysp Onay. – Wskazał pozycję na mapie. – Przeciwnik mijał właśnie wyspy Onay, płynąc z dobrą prędkością północno-wschodnim wiatrem. Zgodnie z planem flota zacznie wypuszczać smoki około godziny 1100, niedługo po świcie lokalnego czasu, w zależności od tego, kiedy zwiadowcy doniosą, że wróg znalazł się w optymalnej odległości. Starcie powinno rozpocząć się około godziny 1200. Biorąc pod uwagę naszą przewagę liczebną, dowódca floty szacuje, że do zniszczenia wrogich smokowców wystarczy pojedyncze uderzenie, a drugie powinno wyeliminować lżejsze jednostki. Konwój zaopatrzeniowy z żywnością znajduje się dwieście kilometrów na południowy wschód od aktualnej pozycji floty. Został zatrzymany przed bitwą, ale powinien zakończyć swoją misję najwyżej w ciągu dwóch dni. Dwie grupy zwiadowcze są już w pobliżu wysp Asur, blokując działania orek w tamtej okolicy. Grupa uderzeniowa 3-2 czeka na północ od bazy Czarnobrodego, kończąc prace na smokowcu *Hazhir*. Panowie, to wszystkie aktualne rozlokowania grup i plany działań Floty Północnoatlantyckiej.

– Dobry raport, komandorze – pochwalił generał Kabadda. – Pytania? Generale Pięt? Generale Hanour? Generale Babak? Rozejrzał się po sali, napotykał serię kiwających się w przeczeniu głów.

– Ja mam jedno – odezwał się Talbot. – Jak wygląda osłona konwoju?

– Przepraszam, sir? – zapytał komandor.

– Kto pilnuje konwoju? Według moich informacji flota miała otrzymać zaopatrzenie w zeszłym tygodniu. Jakie siły pilnują konwoju?

– Jest tam fregata z balistami i uzbrojony siup – wyjaśnił generał Kabadda ze ściągniętymi ustami. – Musieliśmy czekać na specjalne zaopatrzenie dla smoków, więc konwój wypłynął spóźniony.

– Dziękuję – powiedział Edmund. – A jak wygląda status *Hazhiral*

– Ja... nie jestem pewien – przyznał komandor, przeglądając jakieś notatki. – Ma pełną załogę, ale tylko siedem smoków. Lokalny dowódca wykorzystywał go do testów i ma zostać przerobiony z powrotem na standardową konfigurację. Prace powinny zająć góra tydzień.

– Doskonale – stwierdził Edmund. – Jak wygląda status żywności dla smoków we flocie? – zapytał spokojnie.

– Generale, możemy dostarczyć panu wszystkie te informacje – odezwał się Kabadda.

– Wspaniale. Zasadniczo spodziewam się usłyszeć tego rodzaju informacje na odprawach, ale jeśli tylko będę mógł zapoznać się z nimi przed, och, dwunastą, to w zupełności wystarczy.

– Admirale? – zapytał napiętym głosem szef sztabu.

– Dobra odprawa – admirał Draskovich, wstając, pochwalił prowadzącego zebranie komandora. – Myślę, że dziś wieczór możemy się spodziewać jeszcze lepszej.

Edmund wstał i ruszył w stronę drzwi, ustępując, by przepuścić pozostałych oficerów. Herzer zauważył przesyłane w ich stronę ostre spojrzenia, ale patrzyli na niego lepsi od nich. Większość zebranych w pokoju oficerów wyglądała po prostu, jakby musiała iść się wysikać.

Edmund odczekał, aż do drzwi podszedł Kabadda i wyciągnął rękę.

– Potrzebuję tych danych – oświadczył z uśmiechem.

– Każę je panu dostarczyć, generale – zapewnił szef sztabu. – Ale czy nie ich zbieraniem zajmuje się właśnie ta kobieta...?

– Nie wszystkim – odpowiedział ze sztywnym uśmiechem Edmund. – I chciałbym zobaczyć, co pan mi przyniesie.

– Może znajdę panu jakieś biuro? – zaproponował szef sztabu. – W ten sposób będzie pan mógł wygodnie przeanalizować informacje.

Edmund znów się uśmiechnął i wzruszył ramionami.

– Och, myślę, że wystarczy mi przejrzenie ich w waszym pokoju operacyjnym.

\* \* \*

– Pieprzeni budowniczy imperium – wymamrotał Edmund, gdy wychodzili przez drzwi.

– Przepraszam, sir? – odezwał się Herzer. – I pokój operacyjny jest w drugą stronę.

– Wiem. – Edmund skrzywił się. – Ale gdzieś tu musi być ubikacja. – Niewątpliwie – zgodził się kwaśno Herzer. – I jestem pewien, że jest też jakaś zarezerwowana dla generałów.

– Nie szukam kolejnych marmurów – zachnął się Edmund. – Należało przyjąć oferowane biuro, ale była to bezczelna próba pozbycia się mnie. A do tego po prostu nie chcę dopuścić.

– To ich pierwsza prawdziwa bitwa, sir – skomentował Herzer, zauważając ubikację i otwierając drzwi. Urządzono ją bardzo prosto, wręcz spartańsko, z długą rynną pod jedną ze ścian, do której z rury wyżej spływała po kafelkach woda. Z drugiej strony umieszczono dziury do wypróżniania się, z płynącą pod nimi wodą. Ale musiał przyznać, że było tam czysto. Prawie równie czysto, jak w identycznie urządzonych ubikacjach w koszarach Panów Krwi i Akademii.

– To musi być dla służby – burknął Edmund, podchodząc do rynny i odpinając rozporek. – Jest tu ktoś?

– Nie – zapewnił Herzer.

– Problem w tym, że to *naprawdę* ich pierwsza bitwa – warknął generał. -1 żaden z nich nie ma *najmniejszego* pojęcia, co robi.

– Sir?

– Herzer, załóżmy, że robisz mi odprawę na temat armii, och, Linwah. Co byś powiedział?

– Czy brała ostatnio udział w walkach? – zapytał Herzer.

– Nie, przygotowuje się do starcia ze zbliżonymi siłami.

– Streszczenie danych wywiadowczych wraz z dostępnymi danymi źródłowymi – odparł Herzer, po czym ułożył sobie program w głowie. – Zadanie, przeciwnik, czas, ukształtowanie terenu, sygnalizacja, wsparcie. Co planują. Czym dysponują, żeby wykonać plan. Nasze oceny dotyczące materiałów, jakimi dysponuje przeciwnik. Jakie w tym rejonie panują warunki. Jakimi dysponujemy środkami komunikacji. Jakimi materiałami dysponują nasze jednostki i jakimi, wedle naszych szacunków, przeciwnik. Co znajduje się w drodze, wraz z szacunkowym czasem dotarcia. Przedstawił większość z tych rzeczy.

– Większość – warknął Edmund, zapinając rozporek. – A wiesz, że z północy zbliża się tam sztorm? Że jego dotarcie w rejon walki szacuje się na półtora dnia?

– Nie, sir.

– Domyśliłem się, jak czytać ich mapy w pokoju operacyjnym – złościł się Edmund. – To cholernie kluczowa informacja. To oznacza, że flota *nie może* odebrać zaopatrzenia. A wiesz, że smokom zostało jedzenia już tylko na dwa dni? Że flocie skończył się *keczup*.

Ten ostatni był jedyną rzeczą, która mogła skłonić smoki do jedzenia masy fasolowo-olejowej, stanowiącej, z braku mięsa, ich pożywienie.

– Jezu, sir. – Herzer zbladł. – One robią się głodne.

– A głodny smok zje cokolwiek, włącznie ze stajennymi i jeźdźcami – warknął Edmund. – Atakują przeciwnika, którego możliwości nie znają, używając do tego smoków, które są głodne i osłabione. Czemu?

– Tego nie wiem – przyznał Herzer.

– Ponieważ nigdy nie toczyli jeszcze bitwy – wyjaśnił Edmund. – Ani nawet poważnie do niej nie ćwiczyli. Nie wiedzą o istnieniu czegoś takiego jak mgła pola bitwy, nie wiedzą, że żaden plan nie przeżyje kontaktu z przeciwnikiem. Ale co najgorsze, ponieważ *nigdy wcześniej nie walczyli*. Jedynym z ich oficerów, który walczył w jakimkolwiek poważnym starciu jest Shar Chang, ale on „nie jest jednym z nich”. Jachtklub musi dopiero zdobyć swoje ostrogi. I na ślepo prą ku walnej bitwie, starciu przy pierwszej okazji. Teraz nie mogą już powiedzieć: „Chwileczkę, flota potrzebuje uzupełnienia zaopatrzenia i zbliża się sztorm, który uziemi nasze smoki”. Ponieważ boją się, że stracą twarz.

– Co robimy, sir? – zapytał Herzer z pobladłą twarzą. *On* toczył już bitwy i *wiedział*, że wszystko mogło nawalić. I miał do czynienia z głodnymi smokami cierpiącymi na chorobę morską. Jeśli flota nie dostarczy im na czas jedzenia, smoki *umrą z głodu*.

– *Nie możemy* zrobić absolutnie nic – warknął wściekle Edmund. – I to właśnie tak cholernie mnie denerwuje. Jedyne, co możemy, to mieć nadzieję na cud. Że nic nie pójdzie źle. Że siły Nowego Przeznaczenia zachowają się głupio. Osobiście sędzę, że bardziej realne jest oczekiwanie cudu.

\* \* \*

Major Jeny Riadou wstał, gdy ktoś z tyłu niskiego, zatłoczonego pokoju zawołał: „Baczność!”, po czym usiadł, gdy pierwszy oficer wydał komendę: „Spocznij”.

Pierwszy oficer miał na głowie swój kapelus, prawdopodobnie uważał to za *de rigueur* w

trakcie formalnej odprawy. Mundury okrętowe dla wszystkich zrobiono z drelichu, ale do rozróżnienia rangi i pozycji stosowano nakrycia głowy. Szeregowi i podoficerowie nosili furazerki. Starsi podoficerowie nosili kapelusze z szerokim rondem, z jakiegoś powodu nazywane połowymi. Oficerowie wyróżniali się kapeluszami typu stetson. Stetson pierwszego oficera miał z jednej strony podwinięte rondo z przypiętą plaketką okrętu. Często, jak w przypadku pierwszego oficera na *Corvallisie*, dodawano do tego piórko. Dowódcy nosili ten sam rodzaj kapeluszy z rondem podpiętym po obu stronach. Formalnym powodem wprowadzenia różnych nakryć głowy był fakt, że każdy z daleka widział, kto wydaje rozkaz.

Zdaniem Jerry'ego, prawdziwy powód był taki, że flotą kierowała banda cholernych pawli.

Jerry nie oderwał wzroku od swoich notatek, gdy pierwszy oficer podchodził do mównicy stojącej z przodu pokoju. Notatki miał bardzo proste. Z trzydziestu pięciu wywernów na pokładzie tylko dwadzieścia osiem zostało zakwalifikowanych przez pokładowego chirurga do lotów. Reszta chorowała tak bardzo, że prawdopodobnie nie przeżyłaby nawet wtedy, gdyby okręt płynął w stronę zatoki Newfell, a nie na bitwę. Przez ostatni miesiąc pozwolono mu tylko na dwie godziny lotu dziennie na smoka. Nie uzyskał zgody na wykorzystanie do ćwiczeń bomb z napalmem i pozwolono mu tylko na jedną kolejkę ćwiczeń bombowych. Dla większości jeźdźców miała to być pierwsza próba bombardowania. Kropka.

Pierwszy oficer dokonywał odprawy przed misją, ale Jerry znał jej treść, bo sam ją napisał. Kiedy pierwszy oficer przydzielił mu to zadanie, bardzo niewiele brakowało, by powiedział analno-retentywnemu dupkowi, gdzie ma je sobie wsadzić. A kretyn odsyłał mu je jeszcze trzy razy do poprawek. Poprawek dotyczących spraw, o których nie miał zielonego pojęcia.

Riadou był jednym z pierwszych ludzi, którzy wylądowali wywernem na pokładzie smokowca. Jako pierwszy zbombardował okręt na morzu i go zatopił. Musiał przyznać, że wymagało to kilku prób, ale go zatopił. Pierwszy oficer pełnił funkcję mata na jachcie wyścigowym kapitana. Nigdy nawet nie siadł na grzbiecie smoka. I wprowadzał poprawki do odprawy, którą Jerry mógłby zrobić przez sen.

Pierwszy oficer przyjaźnił się z kapitanem. Wymusili nawet na *jeźdźcach* smoków nazwę swojego cholernego żaglowca. Co to za piekielna nazwa dla okrętu przewożącego całe skrzydło wywernów: *Błękitne przeznaczenie!* Po tym, jak ktoś mu wyjaśnił, że wcale nie był pierwszą osobą, która wylądowała z powietrza na pokładzie okrętu, Jerry wybrał się z bazy na drugą stronę rzeki i odwiedził wciąż wznoszące się tam muzeum. Przeczytał o *starych* lotniskowcach, wielkich, *olbrzymich* metalowych okrętach, na których lądowały samoloty dorównujące niemal rozmiarami wielkim smokom, samoloty prawie osiągające prędkość dźwięku.

A na ścianach za szybami, które dzięki hermetycznej atmosferze umożliwiły im przetrwanie tysiącleci, wisiały plakietki eskadr z tych okrętów.

*Czarne Asy, Czaszki, Jeźdźcy Wikingów, Sprzedawcy Śmierci*, Tak brzmiały *prawdziwe* nazwy. Nazwy zdradzające to, w co wierzyli piloci. Sprowadzające na wroga śmierć i zniszczenie.

*Błękitne przeznaczenie. Żalosne.*

Wyczuł, że pierwszy oficer zbliża się do końca tekstu i podniósł głowę, napotykając jego wzrok. Miał nadzieję, że wykazał właściwą pokorę zamiast tego, co chciał, a mianowicie, że pierwszy oficer nadawał się jedynie na karmę dla smoków.

Sądząc po wyrazie twarzy pierwszego, nie do końca udało mu się ukryć prawdziwe uczucia. Po chwili mężczyzna odwrócił wzrok i rozejrzał się po pokoju, odchrząkując.

– Jakies pytania?

– Jak wypisać się z tej pieprzonej zabawy – zapytał głos z tyłu pokoju. W każdej innej grupie

wywołałoby to falę chichotów. W tym pokoju zapadła martwa cisza.

– Jeśli nie ma innych pytań, przejść do zwierząt – rozkazał lodowato oficer.

– Ruszamy, dziewczęta i chłopcy – rzucił Jeny, wstając, gdy nikt się nie odezwał. – Czas brać się do roboty.

\* \* \*

– Wszystko w porządku, mały – powiedział Jeny do miauczącego żałośnie wywerna, gdy osiągnęli pułap przelotowy. Kiedy wrócimy, dam ci mnóstwo jedzenia. – Wywernom można było obiecywać cokolwiek. Nigdy nie słuchały.

Spojrzał w dół na smoki startujące z bakburtowej katapulty. Większość z nich ledwie potrafiła wzbić się w powietrze, machając skrzydłami bez entuzjazmu, jak Tomak. Jeny od lat jeździł na wywernie o imieniu Shep, skrót od Hatszepsut. Ale Bogu dzięki Shep przeszedł na emeryturę w Bazie Czarnobrodego. I nie musiał się nurzać w tym kozim łajnie.

Tomak miał poważne problemy z utrzymaniem pułapu. O tak wczesnej porze prawie nie utworzyły się jeszcze prądy termiczne, a smok był mocno wygłodzony, więc brakowało mu energii i miał skłonność do minimalizacji wysiłku. Ale utrzymywał się w powietrzu, podczas gdy pozostałe wywemy powoli gromadziły się w formację.

Na północny wschód poleciała grupa zupełnie pozbawiona entuzjazmu i ducha bojowego. Udając się na bitwę, której nie spodziewali się wygrać, i zastanawiając się, czy smoki mają dość energii, by donieść ich z powrotem na okręty, o których nie wiedzieli nawet, czy nie zostaną tymczasem zatopione.

# ROZDZIAŁ SZÓSTY

– Sir – odezwał się marynarz, podchodząc do generała Talbota.

Książkę rozlokował się za pustym biurkiem w pokoju operacyjnym. Przypuszczał, że biurko wcale nie powinno być puste, ale właściciel nie narzekał. Teraz podniósł wzrok na młodego marynarza i uśmiechnął się.

– Tak?

– Na zewnątrz jest pani podchorąży, która chciałaby z panem rozmawiać. Ale nie ma jej na liście dostępu.

– Nie powinno jej być, marynarzu – odparł generał. – Dziękuję. Podeszedł do drzwi, kiwając głową strażnikowi, który je otworzył, po czym wyszedł na zewnątrz, a zaraz za nim Herzer.

– Sir, mam raporty, których pan sobie życzył... – odezwała się na jego widok Van Krief. Jej mundur był cały pokryty kurzem.

– Poczekaj – uciszył ją generał, unosząc dłoń. – Gdzie jest Destrang?

– W pokoju dalej w korytarzu – wyjaśnił Herzer, wskazując.

– Pustym pokoju? – zapytał Edmund.

– Czasami – przyznał kapitan. – Myślę, że to pomieszczenie rekreacyjne.

– Cóż, przez najbliższe kilka minut będzie musiało być puste – zdecydował Talbot, obracając się do strażnika przy drzwiach. – Synu, masz gdzieś w pobliżu dyżurnego straży?

– Tak jest, sir.

– Jak go przywołujesz?

– Dyżurny straży do pokoju operacyjnego – zawołał żołnierz piechoty morskiej w korytarz. Okrzyk został powtórzony przez stojących na straży na kolejnych posterunkach. Nie upłynęła nawet minuta, gdy zza rogu wyłonił się starannie umundurowany sierżant straży, bez zbroi, podchodząc i zatrzymując się przed generałem. Obrócił się w stronę strażnika, który wskazał na generała, po czym wrócił do postawy zasadniczej przed drzwiami.

– Sierzancie, zamierzam na kilka minut zająć pokój rekreacyjny – oświadczył generał. – Chciałbym mieć pewność, że nikt tam nie wpadnie. Czy może pan tego dopilnować?

– Tak jest, sir. – Stanę na straży do chwili, aż ktoś mnie zastąpi. To zapewne nie potrwa długo?

– Dziękuję – rzucił Talbot, idąc korytarzem do pokoju. – To na pewno nie potrwa długo. Doceniam to.

Kiedy wszedł do pokoju, Destrang zerwał się na nogi, odkładając czytaną książkę.

– Znudzony? – zapytał z uśmiechem Edmund.

– Do cna, sir – przyznał Destrang.

– Mamy coś do załatwienia – powiedział Edmund. – Nie chcę, żeby to trwało długo, Van Krief. Słucham.

– Tak jest, sir – nerwowo wydusiła z siebie kobieta.

– Kiedy skończymy, wezmę ze sobą raport do pokoju operacyjnego – dodał Talbot. – Proszę po prostu podać mi główne punkty.

– Sir, nawet nie wiem, od czego zacząć – westchnęła Van Krief. – Aż tak źle?

– Nie wiem, sir. Ale czy średnia jednej godziny lotu dziennie dla całej floty na smoka brzmi dobrze?

– Jezu Cristo – jęknął Herzer.

– I praktycznie w ogóle nie ćwiczyli bombardowania, sir – dodała. – Właściwie udało mi się znaleźć informacje o w sumie pięciu godzinach treningu w bombardowaniu od chwili, gdy flota



wyplęła. Dwa ze smokowców mają nieczynne katapulty, więc smoki i tak nie są w stanie wystartować z pełnym ładunkiem bomb. Z flotą jest tylko jeden większy smok. Drugi trzy tygodnie temu poprosił o zgodę na oddalenie się, której mu udzielono. Przebywa aktualnie tutaj, w jakichś bliżej nie określonych kwaterach szkoleniowych.

– Jak się nazywa? – zapytał Edmund.

– Komandor Joanna Gramlich – poinformowała Van Krief, zaglądając do notatek.

– Jaki podała powód oddalenia się? – zapytał Herzer.

– Niedopełnienie warunków kontraktu. Odniosłam wrażenie, że flota zamierza zrzucić winę na nią. Bosman, którego wypytywałam, mówił o niej per „ta najemna suka”.

– Pieprzeni kretyni – warknął Edmund. – Pieprzeni absolutni idioci. Przepraszam. Ale ja *znam* Joannę. I ona po prostu wyniosła się stamtąd, póki jeszcze mogła.

– Flota od tygodnia płynie na połowie racji – mówiła dalej dziewczyna.

– Smoki również dostają zmniejszone porcje, ale i tak mają bardzo małe zapasy, najwyżej na dzień lub dwa. I nadchodzi sztorm...

– O sztormie już wiem – rzucił Edmund.

– Mam także listy z protestami od jeźdźców.

– Wyobrażam sobie – rzucił Herzer, wznosząc oczy w górę.

– Trafiłam na notatkę, w której protesty zostały podsumowane z użyciem słowa „primadonny”, sir – powiedziała Van Krief. – Z jednej strony, mogę zrozumieć. Cała flota ma problemy. Z drugiej...

– Jest tylko jedna strona – westchnął Herzer. – Nie można oszczędzać na wywernach. Jeśli nie dostaną dość do jedzenia, rozchorują się i umrą. Szybko. A skłonienie ich do jedzenia na pokładzie statku wcale nie jest łatwe, bo nie lubią żeglowania ani trochę bardziej niż obecny tu generał.

– Znalazłam jeszcze więcej, sir – dodała Van Krief, krzywiąc się. – Jedną z przyczyn, dla których nie latali, jest brak zaopatrzenia. Ale powodem tego braku jest fakt, że fundusze na szkolenia zostały przesunięte na budowę nowej klasy okrętów.

– Nowego typu smokowca? – zapytał Edmund.

– Nie, sir. Klasy drednotów. Mocno opancerzonych jednostek z trebuszami. Przynajmniej tak to wygląda na pierwszy rzut oka. Mogę się mylić. W obie strony cyfry nie do końca się dodają.

– Duże, szybkie i ładne okręty, które wchodzą w bezpośredni kontakt z przeciwnikiem – wyjaśnił Edmund. – Piechota morska?

– Duży kontyngent, sir – potwierdziła Van Krief. – Dwustu pięćdziesięciu na okręt.

-1 atakować ich abordażem w heroicznej walce – mówił dalej Edmund.

– Niech ich diabli.

– Martwię się o smoki – odezwał się Herzer.

– Ja też – przyznał Edmund. – Nie są w stanie walczyć.

– Walczyć, cholera – ostro rzucił Herzer. – To więcej niż połowa wszystkich naszych wywernów i jeden z raptem pięciu większych smoków, jakimi dysponujemy. Jeśli w tej chwili zawrócą i skierują się do najbliższego portu, *może* nie stracimy połowy z nich!

– Ale konwój zaopatrzeniowy... – odezwała się Van Krief.

– Jeśli w ogóle do nich dotrze – wyraził powątpiewanie Edmund. – Pamięta pani, co mówiłem o tym, jak ja poprowadziłbym tę walkę?

– Och. Tak, sir.

– Wszystkie syreny i trytony w pobliżu wybrzeży Ropazji zostały odepchnięte – zauważył Edmund. – Muszę wiedzieć, gdzie są inne okręty, te Nowego Przeznaczenia. Chcę znać ich pełne siły

i położenie każdej jednostki. Potrzebuję wywiadu.

– Do tego nie miałam dostępu, sir.

– Wiem – westchnął Edmund i nieoczekiwanie uśmiechnął się do zdenerwowanej dziewczyny. – 1 dobrze się pani spisała. Ale dręczy mnie bardzo nieprzyjemne uczucie, że za chwilę coś z dużą siłą zostanie nam wepchnięte w tyłek. Dobrze, chwilowo skończyliśmy – wyciągnął rękę. – Proszę mi dać te papiery, razem z Herzerem wracamy do paszczy lwa.

Kiedy wyszli z pokoju, kiwnięciem głową zwalniając stojącego na straży sierżanta, minął ich kurier biegnący od strony pokoju operacyjnego.

– Czemu ten młodzieniec wyglądał, jakby właśnie padł mu pies? – zapytał sarkastycznym tonem Edmund. Wszedł do pokoju operacyjnego i rozejrzał się wokół. Miejsce będące wcześniej oazą spokoju opanowała teraz gorączkowa aktywność. Na dużej ściennej mapie konwój zaopatrzeniowy oznaczono jako atakowany.

– Zaczęło się – wycedził Edmund, chwytając przechodzącego obok podoficera. – Co się stało? – zapytał.

– Delfiny towarzyszące konwojowi zgłosiły, że zostały napadnięte przez smoki – odpowiedział zapytany. – Fregata i siup zatoneły, a reszta jednostek jest atakowana. Dowódca prosił o rozkazy. Potem jego żaglowiec zatonął. To dom wariatów, generale.

– Nie, synu – westchnął Edmund. – To wojna. Ale czasami trudno zauważyć różnicę.

Usiadł przy swoim biurku na chwilę przed tym, gdy do pokoju wpadł admirał Draskovich. Admirał wysłuchał pospiesznego raportu oficera dyżurnego, po czym zajął miejsce na krześle ustawionym na podwyższeniu w środku pokoju.

– Przekazać konwojowi polecenie rozproszenia się – rozkazał. – Niech zbiorą się ponownie w pozycji 38 43 północ i 76 01 zachód, po czym kontynuują swoje zadanie.

Herzer zobaczył, jak generałem w widoczny sposób wstrząsnęło. Ale wyraźnie starał się udawać, że ignoruje to, co dzieje się wokół niego.

– Jak wygląda sytuacja floty? – zapytał Draskovich.

– Smoki właśnie startują, sir – poinformował jeden z oficerów wachtowych. – Zgłaszają start niecałych osiemdziesięciu procent dostępnych sił. Ale do tej pory powinni mieć je już w powietrzu.

– Czemu tak mało? – zapytał admirał.

– Nie wiadomo, sir – odparł oficer.

– Wyślijcie wiadomość z żądaniem podania wyjaśnienia – warknął admirał.

– Grupa uderzeniowa *Corvallis Linę* zgłasza atak przez krakena – odezwał się podoficer, czytając przyniesioną właśnie wiadomość. – Delfiny i syreny atakowane są przez orki i ixchitle.

– Powiedzcie im, żeby trzymali szyk i zabili tego cholernego krakena – praktycznie krzyknął admirał, wycierając twarz i oglądając się przez ramię na drzwi, przez które wchodzili posłańcy.

\* \* \*

Robin Brooks właśnie wszedł na pokład rufowy, niosąc kubek świeżej kawy, gdy smokowiec zwolnił nagle i przechylił się na sterburtę. Z boku wyłoniły się dwie macki grubości pokaźnych pni drzew, z których pierwsza chwyciła za grotmaszt u samej podstawy, a druga tuż pod pierwszą reją. Nad burtą pokazał się potężny kształt krakena.

Chief pociągnął łyk kawy, odruchowo korygując kolanami pozycję tak, by utrzymać się w pionie pomimo przechyłu pokładu, i potrząsnął głową na widok masy wrzeszczących marynarzy na głównym pokładzie zjeżdżających w stronę czekających macek i dzioba głodnego krakena.

– Kircan! – ryknął w stronę podoficera z całych sił trzymającego się liny.

– Wysłać do roboty toporników! I grupę Van Kieta z ich miotaczami ognia!

– Ze smakiem pociągnął kolejny łyk kawy, obserwując, jak z pokładu zostaje porwany wrzeszczący marynarz. – Webster! Przestań się objajać i trzymaj się z dala od tych cholernych macek! Ćwiczyliście na taki wypadek!

Prawie równo w chwili, gdy do walki rzuciła się desperacko drużyna z miotaczem ognia, na pokład rufowy wbiegł kapitan, zmagając się z nie do końca naciągniętą koszulą.

– Najpierw pozbądźcie się macek z masztu! – ryknął chief. – I niech ktoś utnie tę mackę z Websterem, zanim chłopak zarzyga nam cały pokład! Och, dzień dobry, kapitanie.

– Dobry, chiefie – odpowiedział kapitan, bezskutecznie próbując emanować tym samym kontemplacyjnym spokojem co jego najstarszy podoficer.

– Widziałem to już przy wyspach Bimi, sir. – Brooks pociągnął kolejny łyk, gdy dwa jężory ognia wystrzeliły w macki trzymające maszt. Kraken zareagował spazmatycznie, puszczając maszt i wycofując się do wody.

Pechowy Webster również został rzucony, odbijając się od relingu i wypadając za burtę. – Choć tamten kraken był większy.

Chief utrzymał się na nogach, gdy okręt uwolniony od ciężaru bestii wyprostował się gwałtownie, choć sztuka ta nie udała się wielu innym na pokładzie, po czym wskazał na stwora wciąż trzymającego się jednostki.

– Celujcie w dziób – krzyknął. – Albo oczy. Użyjcie ognia, żeby podejść bliżej. Obsługa pomp, podejść tam albo wszyscy wylądujemy na dnie. I spuścić szalupę do podjęcia Webstera. Niech ktoś rzuci mu koło ratunkowe.

Obsługa miotaczy przedarła się do przodu, posyłając języki ognia w stronę macek, które próbowały ich schwytać, aż znaleźli się dostatecznie blisko, by zaatakować korpus potwora. Wtedy jeden z nich, zbierając się na odwagę, wyskoczył do przodu i strzelił płomieniami, trafiając krakena między prawym okiem a mackami. Bestia zareagowała natychmiast, wymachując dziko kończynami, i puściła okręt, zanurzając się pod wodę w chmurze czarnego jak noc atramentu.

-1 to nie była taka *sadzawka* – kontynuował opowieść chief, podczas gdy ekipy porządkowe splukiwały napalm za burtę żaglowca, po czym zajęły się gaszeniem płonącego drewna i olinowania w miejscu, w którym rozegrało się starcie. – Skakaliśmy wtedy na prawdziwych falach.

\* \* \*

– Grupa uderzeniowa *Norland* atakowana przez smoki – zgłosił jeden z oficerów dyżurnych. – Sir, delfiny zgłaszają, że *Norland* płonie.

– Dobrze – mruknął admirał, ocierając czoło. – Zasygnalizujcie grupie uderzeniowej, żeby pomogła smokowcom gasić ogień...

– *Bonhomme Richard* atakowany przez smoki – przerwał mu dowódca wachty. – Smoki używają bomb i zioną ogniem. Wszystkie żagle zniszczone. Śródkręcie płonie.

– Co? – wykrzyknął admirał. – Potwierdźcie mi to!

– Grupa waleni w *Granbas* atakowana przez orki – rzucił oficer komunikacyjny. – Proszę o wsparcie.

– Powiedźcie im... – admirał urwał i spojrzał na mapę. Niebieskie znaczki jego floty zmieniały się na czerwone, podobnie jak te oznaczające różne grupy delfinów, syren i wielorybów tworzące jego sieć komunikacyjną. – Powiedźcie im... brak możliwości wsparcia.

– Sir, sieć zgłasza, że *Granbas* już nie odpowiada – zraportował oficer komunikacyjny, przetykając ślinę. – Straciliśmy kontakt z flotą. Ostatni raport donosił, że *Reagan*, *Norland* i *Bonhomme Richard* płoną. *Corvallis Linę* napadnięty przez krakena. Wrogie smoki widziano nad *CorvalHseni*

*i Reaganem.* Flota sygnalizowała wszystkim smokom rozkaz powrotu na wszelkie możliwe platformy lądowiskowe.

Edmund spokojnie obrócił kolejną kartkę pospiesznie napisanego raportu i potrząsnął głową.

– A teraz zacznij się obrzucać oskarżeniami – mruknął. – Również z mojej strony.

\* \* \*

Wywerny leciały wolnym ślizgiem. Lepiej byłoby pojawić się od strony słońca, mogliby zbliżyć się na mniejszą odległość, zanim by ich zauważono. Ale to oznaczałoby oblecenie wrogiej floty szerokim łukiem i choć tego właśnie chciał od nich pierwszy oficer, Jeny zauważył, że nie jest pewien, czy smoki w ogóle *dolecą* do wrogiej floty.

Części się to nie udało. Trzy wywerny zawróciły, gdy ich jeźdźcy uznali, że nie są w stanie lecieć dalej. Jeden po prostu się poddał, spadając z nieba w wodę. Widzieli, jak Garcia gorączkowo szarpie za wodze, ale smok miał już dość i nawet gdyby chciał, nie potrafiłby wyjść z nurkowania.

Wroga flota ustawiła się w ciasnym szyku wokół smokowców. Większość stanowiły fregaty balistowe, ale niektóre wyglądały na większe i miały dziwny układ żagli. Za nic nie potrafił dojść, jaki to rodzaj jednostek, dopóki niebo wokół niego nie wypełniło się ciężkimi pociskami.

– Cholera – warknął. Nie mógł absolutnie nic zrobić. Usłyszał skrzek wywerna i poczuł, jak Tomak szarpie w locie. Ale wtedy znaleźli się już nad smokowcem.

Najlepszy sposób na zaatakowanie smokowca to podlecieć do niego od tyłu. W ten sposób smok dłużej znajdował się nad celem. Z drugiej strony zdecydowanie nie zamierzał manewrować w takim gradzie bełtów. Smokowiec najwyraźniej wyposażono też w uzbrojenie i gdy wykręcał, wokół niego śmigaly bełty. Nie zawracał sobie głowy zostawianiem bomb, zwolnił od razu wszystkie trzy dzbany napełnione napalmem, bo więcej niż jeden nalot równałby się samobójstwu.

Obejrzał się i zobaczył, jak dwa wpadają do wody. Ale trzeci trafił w forkasztel. O ile mógł stwierdzić, nikt inny z jego skrzydła w nic nie trafił. I nawet gdy patrzył, marynarze rzucili się gasić napalm, spryskując go pianą, pokrywając praktycznie cały dziób jednostki. Ich flota nawet jeszcze *nie miała* piany. Wiedział, że jest testowana, ale wedle plotek biuro projektowe floty jej nie zatwierdziło. Dranie.

Tomak znów szarpnął i stracił trochę wysokości, a Jeny wykręcił się, żeby sprawdzić, w czym problem. Po chwili jęknął. Z głównych mięśni piersiowych Tomaka sterczał krótki, gruby metalowy bełt. Lot w tej sytuacji

przypominał próbę biegu z nożem wbitym w nogę. W tym stanie nie miał najmniejszych szans dolecieć do swojego smokowca.

Zostawił wrogą flotę za plecami i rozejrzał się po bezkresnym oceanie. Mógł zawrócić w stronę floty Nowego Przeznaczenia i wodować w nadziei, że go wyłowią. Ale tamci zmieniali więźniów w Przemienionych orków. Pieprzyć to.

Ocean wyglądał na paskudnie zimny. Pamiętał czasy, gdy pływał ze smokami na południu, w okolicach miasta syren. Jak się to nazywało? Whale Drop, czy jakoś tak.

Przynajmniej Shepowi nic nie groziło.

– Urośnij duży, chłopcze – powiedział major, gdy smok zanurkował w fale.

– Sir, to zamknięte spotkanie – oświadczył stojący na warcie przed drzwiami żołnierz piechoty morskiej.

– Cóż, synu – warknął Talbot. – Albo zejdziesz mi w cholerę z drogi, albo ten tu Pan Krwi zabierze ci ten szpikuliec i nadzieje cię na niego przez zadek. A potem każę umieścić cię w areszcie, gdzie przez resztę swojego krótkiego życia będziesz doceniony przez współwięźniów za zrozumienie powagi sytuacji. To bezpośredni rozkaz, zejdz mi w cholerę z drogi.

Żołnierz przełknął ślinę, spojrział na kapitana o srogiej twarzy i odsunął się na bok.

– Te cholerne smoki... – mówił szef sztabu Kabadda w chwili, gdy Edmund wszedł do sali.

– Generale, to zamknięte zebranie – gniewnie odezwał się admirał Draskovich.

– Tak też słyszałem – odpowiedział Edmund, zajmując swoje poprzednie miejsce. –

Pomyślałem, że wpadnę.

– Nie ma pan uprawnień – warknął Kabadda.

– Nie mam, jak diabli – rzucił Edmund, nachylając się nagle i ostro wbijając w niego wzrok. –

Nie mam, jak diabli.

– Generale – znów odezwał się admirał Draskovich, wyraźnie odzyskując panowanie nad sobą.

– Mamy tu problem..

– To, co tu *macie*, admirale, to niewiarygodny gnój – oświadczył Talbot. – I nie mówię nawet o tym żalonym czymś z przedszkola, co nazywacie bitwą. Mówię o całej organizacji. Faktem jest, że w zakresie wojny nie potraficie odróżnić własnego zadka od dziury w ziemi.

– Nie muszę tego słuchać we własnym dowództwie – ryknął Draskovich, zrywając się na nogi.

– Lepiej, żeby pan tego posłuchał, bo inaczej nie pożyje pan dość długo, żeby się naprawdę wściec – spokojnie zauważył Edmund. – W swojej bitwie popełnił pan trzy kluczowe błędy. Niewystarczająco się pan przygotował, smoki zostały niedoszkolone, a potem były niedokarmiane, zaufał pan ograniczonym i przestarzałym danym wywiadowczym, które były żalodne od pierwszego spojrzenia, i nie dopilnował pan zaopatrzenia. To błędy na poziomie kompletnego żółtodzioba. Ale nie jest to zbyt dziwne, ponieważ tak naprawdę wszyscy jesteście młodszymi oficerami. – Edmund rozejrzał się po twarzach i wybuchnął śmiechem. – O Boże, myśleliście, że jesteście prawdziwymi generałami, bo założyliście na siebie mundury? Nigdy nawet nie chodziliście do *szkoły* bycia generałem.

– Jak już powiedziałem, nie muszę tego wysłuchiwać – wydusił z siebie Draskovich. – Zwłaszcza od kogoś, kto nie odróżnia kilwateru od fału.

– Ślad wodny i jedna z tych linek, na których wieszacie chorągiewki sygnałowe – rzucił lekko Edmund. – Owszem, nie potrafię kierować statkiem. Ale nie kieruje pan statkiem, *admirale*, kieruje pan flotą. I to podczas *wojny*. A bardzo niewiele jest rzeczy, których nie wiem o wojnie.

– Wojna na morzu – odezwał się Kabadda, jakby tłumaczył dziecku – różni się od wojny na lądzie.

– Nie w skali makro – zaprzeczył Edmund. – Działają te same zasady. Jedyna różnica polega na tym, że *powinno się* pamiętać o logistyce na pokładzie, a wy nawet z *tym* nie potrafiliście sobie poradzić!

– Nadszedł sztorm – zauważył Kabadda.

– W bitwie pod Chattanooga zaopatrzenie dostarczano pomimo kilku deszczy ze śniegiem i burz śnieżnych – odpowiedział Edmund. – Podczas wojny na Burmie przez monsuny. A flota brytyjska podczas wojen napoleońskich była w stanie poradzić sobie w warunkach znacznie gorszych niż tutaj. Jednak to wymaga *wcześniejszego planowania*. Planowanie *zapobiega* beznadziejnemu brakowi sprawności. A oni nie zaatakowali, zanim nie zgromadzili dostatecznych zasobów do wsparcia ataku. Zresztą, jeżeli już o to chodzi, we flocie brytyjskiej obowiązywał przepis, że żaden okręt nie może mieć zapasów mniejszych niż na dwa tygodnie, zwłaszcza wody czy innych kluczowych zapasów. Ketchup, czy się wam to podoba, czy nie, jest zapasem *kluczowym*. *Słyszałem*, jak kazał pan zapytać flotę, czemu tylko osiem z dziesięciu smoków mogło wystartować i nie mogłem uwierzyć, że pan *pyta*. One *nie jadły*. Wskazywały to wasze własne *rejstry* i było to ewidentne, gdybyście znali choćby podstawy opieki nad smokami!

– Te cholerne smoki... – odezwał się Kabadda. – Smoki to, smoki tamto. Smoki potrzebują świeżego mięsa. Smoki potrzebują keczupu...

– *Wrogie* smoki właśnie ZATOPIŁY WASZĄ FLOTE! – wrzasnął Edmund. – Gdybyście spędzali czas na pracy z *waszymi* smokami, zamiast je *głodzić*, nie mielibyśmy tego problemu. Albo gdybyście choć *zaczęli* zastanawiać się, czy czasem nie ma jakiegoś powodu, dla którego flota Nowego Przeznaczenia szuka bitwy!

– Dobrze, słyszałem już dość – warknął Draskovich. – Nie wprowadza pan w to spotkanie niczego konstruktywnego. Proszę wyjść z pokoju.

– Naprawdę nie chcesz tego robić, Drask – oświadczył Edmund.

– Nie obchodzi mnie, kogo pan zna – oświadczył admirał. – Albo z kim się pan pieprzył. Nie ma pan tu żadnej władzy ani powodu, by być obecnym. Proszę wyjść albo każę żołnierzom pana wyprowadzić.

Edmund wstał i się uśmiechnął.

– Cóż, było mi miło – rzucił. – Musimy to niedługo powtórzyć. Wyszedł przez główne drzwi i wszedł do pomieszczenia obok. Oprócz

dwóch podchorążych przebywało tam kilku marynarzy z pokoju operacyjnego siedzących przy stole z wyrazem zmęczenia i szoku na twarzach.

– Jak to wygląda? – zapytał ich Edmund.

– Nie wiem, sir – odpowiedział jeden z marynarzy. – Jestem tylko gońcem od syren w porcie. Ale syreny są... nigdy nie widziałem ich tak wkurzonych. Wielorybia sieć przepadła. Myślą, że orki pokonały Merillo w Granbas, a to znaczy, że nie wiemy, co dzieje się z resztą.

– Dobrze – rzucił Edmund, siadając przy stole pełnym plam po jedzeniu. – Synu, powiem ci coś na pocieszenie. Pierwsze raporty nigdy nie są tak dobre albo takie złe, jak się wydają. Herzer... nie, Destrang. Ściągnij Tao i przygotuj konia. Niech Tao zgłosi się do mnie. Van, daj mi coś do pisania. Herzer, idź do portu, pogadaj z syrenami, z tobą będą rozmawiać. Van, mam dla ciebie kolejny przydział badawczy.

– Tak jest, sir – potwierdził ponuro Herzer. Uświadomił sobie, że tego dnia prawdopodobnie stracił wielu przyjaciół, nie we flocie, ale wśród syren.

– Destrang, wracaj tu z Tao najszybciej, jak możesz – pogonił go Edmund, biorąc ołówek i papier. – Idźcie już wszyscy.

# ROZDZIAŁ SIÓDMY

– Robić, Jason? – zaskrzeczał delfin.

Przywódca kontyngentu syren z wysp Bimi zatrzepotał ogonem. Wszystko się sypało, a rozkazy, które otrzymywali z dowództwa nie miały żadnego sensu.

– Słyszysz Merillo? – zapytał Jason.

– Nie – odpowiedział delfin. Ludzie Przemienieni w formę delfina dysponowali znacznie lepszym podwodnym słuchem niż syreny. – Wrzask orek, krzyk łowiecki, nie Merillo.

– Wciąż używają krzyku łowieckiego? – zapytał Jason.

– Wciąż.

Tryton spojrzał w górę, w stronę powierzchni wody nad sobą i zastanowił się. Gdyby orki zabiły wieloryby na północy, nie robiłyby już takiego hałasu. Milczałyby. Jadły.

– W którą stronę się kierują?

Delfin zdawał się kontemplować pytanie, obracając głowę na boki, jakby nasłuchiwał dźwięków obleganych waleń.

– Południe. Południowy wschód? – Wzruszył całym ciałem, jak potrafią tylko delfiny.

– Sprytne wieloryby – wymamrotał Jason. Jego narząd podwodnej komunikacji stanowiła mała kość w przewodach nosowych czoła. Umożliwiała komunikację tylko na niewielkie odległości i w porównaniu do sonaru delfinów oferowała niewielką moc, ale do rozmów wystarczała. -

Wezwij wszystkie delfiny, syreny i wieloryby. Przekaż wezwanie. Wycofać się. Syreny i delfiny mają zbierać się przy najbliższych wielorybach i je chronić.

– Na czyj rozkaz? – wyskrzeczał delfin.

– Mój – oświadczył Jason. – Po prostu *mój*.

\* \* \*

Tao zdarzały się już w życiu trudne jazdy, ale ta była wręcz nieprawdopodobna.

Najbliższa baza armii znajdowała się ponad sto kilometrów dalej, w załomach rzeki Gem. Mieściła się tam duża placówka logistyczna, ale, co w tej chwili ważniejsze, posiadano w niej kryształ komunikacyjny.

Kryształy umożliwiały skontaktowanie się z pewną liczbą ludzi, którzy wciąż mieli dostęp do pełnej techniki. Używano ich wyłącznie do przekazywania krytycznych wiadomości. A Tao taką właśnie ze sobą wiozł.

Nie byłoby mowy, żeby dotarł tam w jakimś przyzwoitym czasie, gdyby nie fakt, że wzdłuż całej drogi w górę rzeki rozmieszczono stacje kurierskie. Pięć razy zmieniał konie, za każdym razem zeskakując z całkowicie wyczerpanego wierzchowca i rzucając się na następnego, który już czekał osiodłany. A potem poganiał konia, aż ten przechodził w kłus, a gdy zwierzę się rozgrzało, w galop.

W ciągu ostatniego roku jeździł bardzo niewiele. I ciało zaczęło mu to wypominać, zanim przejechał zaledwie jedną trzecią drogi. Jak brzmiał ten dowcip opowiadany przez kawalerzystów? Ach, „czterdzieści mil w siodle, z rozkazu majora Tarkowskiego”. Cóż, faktycznie czuł się, jakby jechał tyłkiem po tarce. Choć co do tych czterdziestu mil...

Zanim dotarł do bazy armii, po dziesięciu godzinach ostrej jazdy, rozpracował przelicznik antycznej miary w milach i wyszło mu, że przejechał prawie dwa razy tyle. Czy coś koło tego, nie czuł się zbyt mocny w matematyce. Zleciał z kolejnego zajędzonego konia, prawie padając ze zmęczenia na czworaka i dowiedział się, jak dotrzeć do Centrum Komunikacyjnego. Jednak jako Pan Krwi wziął się w garść, wyprostował i pomaszerował w stronę niskiego kamiennego budynku.

W środku zastał oficera i dwóch sierżantów grających w karty. Spojrzeli na pokrytego kurzem jeźdźca i rzucili karty na stół.

– Co jest, podchorąży? – zapytał oficer.

– Wiadomość od generała Talbota, sir – poinformował Tao. – Dla Jej Wysokości Sheidy Ghorbani.

\* \* \*

– CO zrobili? – ryknął admirał Draskovich.

Edmund oderwał się od trzymanyh w dłoni raportów i podniósł wzrok. Po wysłaniu wszystkich z różnymi zadaniami odwiedził biuro wywiadu floty i wziął sobie od nich trochę lżejszej lektury. Czytał ją przez większość dnia i prawie skończył, gdy dotarł najnowszy raport.

Admirał nie wyglądał już elegancko. Był wyczerpany, a z kucyka z tyłu głowy zaczęły mu się wymykać kosmyki włosów. Miał za sobą bardzo długi dzień, noc zapadła już ponad godzinę temu, ale wciąż miał dość energii, by się wściekać.

– Przywódca syren, Jason Ranger, wysłał rozkaz, ściągając z pozycji wszystkie siły podwodne, i wysłał je do ochrony wielorybów – powtórzył mat, podnosząc głowę znadzymanego w ręce raportu. – W rejonie Granbas toczy się zażarta bitwa. Merillo znów nadaje i dostajemy fragmentaryczne raporty od floty. Wygląda na to, że *Reagan*, *Washuka* i *Norland* zatoneły, są też inne zniszczone jednostki. *Bonhomme Richard* jest uszkodzony, ale może postawić część żagli. Wywerny zostały rozproszone po całej flocie, sir. Kiedy wróciły z ataku, lądowały na wszystkich okrętach albo wodowały. Straciliśmy też jeźdźców, część utonęła. Niektórzy... zostali zrzućeni przez smoki. Nie znamy jeszcze liczby smoków, ale nie wygląda to dobrze.

– Przenieście wywerny na pozostałe smokowce – rozkazał gniewnie Draskovich. – Wyślijcie wiadomość do syren, by wracały na pozycje. Możemy zebrać kolejny konwój zaopatrzeniowy...

– Nadlatują smoki, sir! – krzyknął posłaniec, wbiegając przez drzwi.

– Drask – powiedział Edmund, ruszając szybko, ale bez paniki w stronę drzwi. – Wyprowadź stąd swoich ludzi.

– Co? – warknął admirał – Wynoś się z tego pokoju!

– Właśnie to robię – zauważył Edmund. Ale zatrzymał się i podszedł do admirała, chwytając go za koński ogon i ściągając jego głowę tak, żeby móc mu szeptać do ucha. – Do cholery, ten budynek jest z drewna. Zarządź ewakuację. – Po tych słowach poszedł do drzwi, otwierając je na całą szerokość.

Szybkim krokiem ruszył do schodów, po czym wspiał się na nie, przeskakując po dwa stopnie, aż dotarł na najwyższe piętro. Zatrzymał się na chwilę, dysząc i czując wszystkie swoje lata, a następnie ruszył korytarzem. W tej chwili usłyszał uderzenie o dach i zrezygnował z godności.

– VAN KRIEF! – ryknął.

– Tutaj, sir – odkrzyknęła, wystawiając głowę na korytarz.

– *Wychodzimy* – zawołał Edmund i zawrócił do schodów, gdy w powietrzu pojawiły się pierwsze ślady dymu.

Ruszył biegiem z powrotem w stronę schodów, jednak po chwili stanął – dziewczyna bardzo poświęcała się pracy. Kiedy się jednak odwrócił, usłyszał głośnie otwarcie drzwi.

– Sir?

– Uciekaj co sił w nogach – polecił i postąpił zgodnie z własną radą.

Kiedy wydostali się na zewnątrz budynku, górne piętro zostało już w całości pochłonięte przez płomień, a płynny ogień spływał po ścianach. Krzyknął z bólu, gdy grabę bryzgi płonącego napalmu upadły mu na ramię i szybko zerwał z siebie tunikę, tłumiąc nią ogień.



– Gdzie jest Destrang? – krzyknął, rozglądając się pośród przemykających przed dowództwem postaci. Formował się już szereg ludzi do podawania wiader z wodą, ale po jednym spojrzeniu na budynek potrzęsnał tylko głową.

– Nigdy im się to nie uda – wymamrotał.

– Tu jestem, sir – odezwał się podchorąży, przeciskając się przez tłum. – To smoczy rajd, sir. Jeden z nich ział ogniem, a wszystkie rzuciły napalm. Uderzyli na dowództwo i stocznie.

– Dobrze – mruknął pod nosem Edmund. – Wreszcie zrobili coś głupiego.

– Sir? – zdziwiła się Van Krief.

– Najlepsze, co mogli zrobić dla naszej floty, to spalić to miejsce do gołej ziemi – burknął Edmund. – Przy odrobinie szczęścia Draskovich może uznać, że powinien utonąć ze swoim okrętem.

– Jeśli tu jest tak źle – westchnęła Van Krief – to zastanawiam się, jak wygląda na morzu.

\* \* \*

– Precz! – wrzasnął pierwszy oficer, gdy wywern szarpnął się do przodu. Kapitan fregaty balistowej *Darya Seyit* prychnął, gdy wywern zmusił do odwrotu grupę z siecią, która próbowała dostać się na pokład rafowy.

Fregata kołysała się na lekkich falach zdana na łaskę wiatru. Zagubiony, zły i pozbawiony jeźdźca wywern – nie wiadomo nawet, czy to jeden z ich smoków, czy wroga – opadł z nieba i wylądował na rufie. I zanim ktokolwiek zdał sobie sprawę z jego planów, cholerna bestia natychmiast złapała jednego z marynarzy za udo, na szczęście zdołano go uwolnić, po czym załoga mostka, na wyraźny rozkaz kapitana, opuściła pole bitwy.

Niestety, tam właśnie znajdowało się koło sterowe. Gdy tylko dwaj sternicy wyskoczyli przez burtę, nie było mowy, żeby przedostali się przez blokującego drogę smoka – okręt obrócił się z wiatrem i dryfował teraz bezwładnie, podczas gdy większość załogi wspinała się na olinowanie, by zrzucić żagle, a część montowała tymczasowy ster pod pokładem.

Pozostali ludzie z załogi, włącznie z obsługą balist, próbowali zarzucić na smoka sieć, liny czy cokolwiek, co umożliwiłoby odzyskanie kontroli nad żaglowcem.

– No dobrze, w takim razie spróbujmy jeszcze raz – krzyknął pierwszy oficer.

– Ahoj, na okręcie! – rozległ się głos zza burty. – Muszę porozmawiać z kapitanem!

– Jest zajęty – odkrzyknął starszy podoficer, wyglądając za burtę. – Syrena za burta, sir – wyjaśnił kapitanowi chief.

– Wiem, że jest! – krzyknęła z wody syrena. Głos brzmiał kobieco. – *Dlatego* właśnie muszę z nim porozmawiać!

Kapitan podszedł do relingu i spojrzał w dół, gdzie wzdłuż burty płynęła młoda czarnowłosa syrena z jasnoniebieskim ogonem.

– Czego? – warknął.

– *Cóż, najmocniej* przepraszam – zawołała dziewczyna. – Po prostu próbuję pomóc. Problem w tym, że wywern jest *głodny*. Jeśli go *nakarmicie*, przestanie próbować was pozabijać.'

– Dużo masz doświadczenia z wywernami, dziewczyno? – zapytał gniewnie.

– Tak się składa, że owszem – odpowiedziała zapytana. – Elayna Farswimmer, kapitanie, *porucznik* Farswimmer. Jestem wnuczką nieżyjącego Bruce'a Czarnobrodego i brałam udział w Ucieczce z generałem Talbotem. Mam *dużo* doświadczenia z wywernami i ten tutaj jest *głodny*. To słyhać po jego krzykach, nie są złe, są *żałosne*. Bo go nie *karmicie*.

– *Nie mamy* jedzenia dla wywernów – bronił się kapitan.

– Przy tym, jak bardzo jest *głodny*, zje choćby soloną wołowinę prosto z beczki – zapewniła gorzko syrena. – Bardzo źle je traktujecie.

– Chief? – zapytał kapitan.

– Kiedy wylądował, akurat szykowaliśmy lunch, sir – podsunął podoficer. – Nie wiem, jak daleko zaszli z gotowaniem, ale kiedy zabrzmiał alarm, musieli gasić ogień.

– Proszę zejść pod pokład – rozkazał kapitan. – Niech kucharze przyniosą tu cokolwiek tam mają.

Nie więcej niż pięć minut później, gdy wyvern kombinował, jak przecisnąć się przez olinowanie i dobrać się do kręcących się na dolnym pokładzie przekąsek, chief wyłonił się spod pokładu na czele grupy niosącej kotły i wychlapującej wodę na i tak mokry kompletnie pokład. Bardzo starannie trzymali się z tyłu, a chief podbiegł w stronę rufy, rzucając na deski połów wołowiny.

Wyvern rzucił się na mięso, jakby umierał z głodu, co zresztą niewiele odbiegało od prawdy. Smoki zużywały na lot olbrzymie ilości energii i potrzebowały do życia potężnych porcji jedzenia. Ich normalne racje polowe składały się z mieszaniny soi, mąki kukurydzianej i oleju stanowiącego źródło tłuszczu. Jedynym sposobem na skłonienie ich do jedzenia tej papki, zwłaszcza na morzu, gdzie równie często jak ludzie zapadały na chorobę morską, było obfite przyprawienie jej sproszkowanym keczupem. Flocie już kilka dni wcześniej skończył się keczup i wywerny znalazły się na połowie racji jeszcze *przed* poranną katastrofą.

Ignorując solankę, w której zapeklowano wołowinę, wyvern zaczął odrywać pasy mięsa i przelykać je najszybciej, jak potrafił. Kiedy wchłonął już całe mięso, które udało mu się łatwo oderwać, spojrzał w dół na chiefa i miauknął żałośnie.

Na pokład rufowy rzucono więc jeden za drugim kawałki wołowiny i wieprzowiny, aż w końcu wyvern ledwie je skubał. Wtedy chief wziął od jednego z czekających marynarzy zwiniętą linę i ostrożnie wspiął się na pokład rufowy. Bardzo niepewnie podszedł do zwierzęcia i przeciągnął linę pod jego obrozą, zabezpieczając ją węzłem, po czym rzucił drugi koniec mężczyźnie, od którego wziął linę. Na mostek szybko wspięli się inni marynarze i przywiązali liny do uprząży, obroży i potężnych nóg stworzenia. Po paru minutach wyvern został zabezpieczony. Choć nie wyglądał, jakby miał coś przeciw temu. Kiedy skończył grzebanie w walających się po pokładzie kościach, schował głowę pod skrzydło i błyskawicznie usnął.

– Mówiłam – skomentowała syrena, kiedy wyvern się uspokoił.

– Dziękuję – rzucił sucho kapitan. – Dobra, trzymujcie żagle i wracamy na kurs!

– Flota jest około sześćdziesięciu kilometrów na wschód – poinformowała Elayna. – Przynajmniej to, co z niej zostało.

\* \* \*

– Marszałku! Wspaniała wiadomość! Flota ZWS została praktycznie zniszczona, wycofują się na wszystkich frontach!

Chansa podniósł wzrok znad papierów i prychnął, patrząc na swojego szefa sztabu.

– Ile zniszczyliśmy smokowców? – zapytał, cofając się na oparcie krzesła, które cicho zatrzeszczało.

Marszałek Chansa był olbrzymi, miał dwa i pół metra wzrostu i proporcjonalną szerokość. Małe biuro, które zajął w podziemiach budynku Rady sprawiało, że wyglądał na jeszcze większego. I pomimo dobrych wiadomości wcale nie wydawał się zadowolony.

– Wychodzi na to, że cztery – odpowiedział szef sztabu, zastanawiając się, czego by trzeba, aby posiadacz Klucza się uśmiechnął. – Otworzyliśmy drogę dla floty inwazyjnej!

– Tylko cztery? – warknął Chansa. – Szlag.

- Nadal nadchodzą raporty – zauważył szef sztabu. – Mogliśmy dostać też piątego.
- Wciąż jest jeszcze *Hazhir* przy południowych wyspach – zauważył Chansa. – Możesz być pewien, że nawet ten kretyn Wallace Draskovich teraz go ściągnie.
- Został zmodyfikowany – wyjaśnił szef sztabu. – Ich biuro projektowe nie uważa go za jednostkę nadającą się do walki. – Oficer wzruszył ramionami.
- W takim razie ich biuro jest równie głupie jak ty – warknął Chansa. – Został zmodyfikowany przez tego cholernego Shara Changa. A jeśli to on wprowadzał zmiany, możesz być pewien, że stał się przez to *bardziej* groźny, nie mniej. Co z uderzeniem na ich sztab?
- Wygląda na to, że to też się powiodło – poinformował szef sztabu. – Kiedy wywerny zawracały, ich baza płonęła. Zgłosili obecność tam większego smoka, o którym nie wiedzieliśmy z raportów wywiadowczych.
- A co z wywiadem z ich dowództwa? – zapytał Chansa. – Co stamtąd dostajemy?
- Do tego *źródła*, mamy bardzo długi łańcuch pośredników, sir – przypomniał mu rozmówca. – Zapewne nic nie dostaniemy jeszcze przez kilka dni.
- Pilnuj tego – nakazał Chansa po chwili namysłu. – Nie będę mógł w spokoju wypuścić pełnej floty, dopóki nie zatopimy ich ostatniego smokowca. Gdzie się wycofują?
- Na południe, sir – wyjaśnił oficer, zerkając do notatek. – Orki zgłaszają, że zostały odepchnięte, więc nie jesteśmy pewni, gdzie konkretnie. I od północy idzie sztorm, więc raczej nie da się natychmiast kontynuować działań.
- Gdzie jest *Canarisl* – zapytał Chansa.
- Płynie na północ wzdłuż wybrzeża Norau, kierując się na spotkanie w okolicach Granbas.
- Przekażcie im, żeby trzymali się z dala od brzegu – rozkazał Chansa. – Nie chcę, żeby ktoś wymyślił sposób na zatopienie ich.
- Tak jest, sir.
- Idź – rozkazał Chansa, patrząc na papiery na swoim biurku. – Mam jeszcze inne sprawy do załatwienia.

Niedługo po opuszczeniu kwatery głównej książę Talbot zobaczył Draskovicha krążącego wokół płonącego budynku w otoczeniu swojego sztabu.

– Generale Talbot – odezwał się admirał, podchodząc, gdy go zauważył. Spojrzał na oparzone ramię księcia i potrząsnął głową. – Myślałem, że zniknął pan na długo przed uderzeniem pierwszej bomby.

– Na górnym piętrze pozostawał mój żołnierz – wyjaśnił generał, wzruszając ramionami. – Nie zamierzałem zostawić go na pastwę ognia.

– No tak. – Admirał zacisnął szczęki. – Ale zastanawiam się, skąd pan wiedział, że dojdzie do ataku na ten budynek?

Edmund ze zmęczeniem potrząsnął głową.

– Pamięta pan, co mówiłem o studiowaniu wojny? Robiłem to, kiedy pan uczył się korzystać z nocnika, *admirale*. Biorąc pod uwagę, że większość okrętów znajdowała się na morzu, atak na dowództwo był najbardziej oczywistym posunięciem. Ja prawdopodobnie zamiast tego uderzyłbym na magazyny, ale Chansa nie myśli w ten sposób. Kiedy pierwszy raz zobaczyłem ten budynek, pomyślałem sobie „co za wspaniały cel”.

– Ale jak udało się im go *znaleźć!* – wtrącił szef sztabu Kabadda.

– Bo cała wasza baza oświetlona jest jak choinka – westchnął Edmund. – Słyszeliście kiedyś termin „zaciemnienie”? – zapytał, a potem znów potrząsnął głową na widok ich pustych twarzy. –

Boże, daj mi siłę.

– Generale, w tej chwili potrzeba nam *pozytywnych* uwag – wycedził lodowato admirał. – Nie defetyzmu.

– A kto tu mówi cokolwiek o defetyzmie? – zachnął się Edmund. – Nie zostaliśmy pokonani, ale bez wątplenia cholernie mocno dziabnięci. Bardzo mocno. Nie chodzi mi o to, mówię o stoczni i flocie.

Draskovich otworzył usta do odpowiedzi, gdy jeden z ludzi gaszących pożar krzyknął:

– Smok!

Szereg z wiadrami natychmiast się rozproszył, a kilku uzbrojonych w kusze żołnierzy zaczęło się wpatrywać w niebo, próbując wypatrzeć wroga. Edmund spojrział w górę i westchnął, po czym obejrzał się na żołnierzy.

– Nie strzelać! – krzyknął. – Ten jest *nasz*.

Wielki smok opadł na placyk przed płonącym budynkiem dowództwa, przelatując nad ogniem w taki sposób, że jego skrzydła zassały płomienie, pobudzając je do skoczenia jeszcze wyżej.

– Niech to szlag – zaklął admirał. – Właśnie utrudniłaś nam zadanie.

– Przepraszam – wysyczała smoczyca, wykręcając głowę w stronę admirała. – Mój błąd.

– Cześć, Joanno – przywitał się Edmund.

– Eddie! – wykrzyknęła z radością. – Dostałam dwóch drani. Mam polecieć poszukać tego żaglowca?

– Nie – odpowiedział Edmund równocześnie z Draskovichem, który krzyknął: – Tak!

– Pana nie pytałam. – Smoczyca popatrzyła na admirała.

– Nie – powtórzył Edmund. – Na pewno wypuścili je na maksymalny zasięg. Prawdopodobnie każdy ze smoków niósł jedną, może dwie bomby. Musiałabyś startować z ziemi. A oni zawrócą natychmiast po wylądowaniu smoków. Zresztą i tak wątpię, żebyś ich *znalazła*, zwłaszcza w nocy.

– Komandor Gramlich – wysyczał przez zęby admirał. – *Rozkazuję* pani odszukać i zniszczyć ten smokowiec.

– Złamał pan kontrakt – wyjaśniła swobodnie Joanna. – Nie muszę pana słuchać.

– To jest złamanie przepisów wojskowych – oświadczył Draskovich. – I nie mam innego wyboru, jak panią aresztować.

– A ma pan jakieś wsparcie? – roześmiała się Joanna. Smoczyca miała prawie sześćdziesiąt metrów długości od czubka nosa do końca ogona, a oba końce i środek były doskonale wyposażone do walki.

– Daj spokój, Drask – westchnął Edmund. – Tylko się ośmieszasz. Na czym polega złamanie?

– Niezapewnienie właściwego wsparcia – sprecyzowała Joanna. – Niezapewnienie wypłaty zakontraktowanego żołdu i dodatków. Poza tym od dawna należy mi się urlop.

– Miałaś wakacje na wyspach w zeszłym roku. – Edmund szeroko się uśmiechnął.

– Pieprz się, generale, sir – warknęła smoczyca, po czym się roześmiała. – „Wakacje” obejmowały między innymi śmiertelną walkę z krakenem. Z drugiej strony, to kraken przegrał.

– Komandor Gramlich – powtórzył admirał wściekły, że go ignorują. – Po raz ostatni *rozkazuję* pani...

Urwał, gdy zbliżył się do niego oficer z dwoma dokumentami w rękach. Spojrział na księcia, potem na Draskovicha, a następnie wręczył obu mężczyznom po jednym dokumencie. Admirał podniósł papier bliżej oczu, czytając przy świetle płonącego budynku, po czym zmiął go i rzucił na ziemię. Następnie odszedł w noc.

– Sir? – zawołał za nim Kabadda.

– Zostań – odwarł Draskovich. – Życzę ci szczęścia. Będzie ci potrzebne.

Talbot zerknął na dokument, po czym spojrzał na Kabaddę.

– Napisano tu, cytuję: „Generał Wallace Draskovich natychmiastowo zwolniony z dowodzenia Flotą Północnoatlantycką. Stanowisko obejmie admirał Edmund Talbot, zastępca generał Kabadda. Podpisano, Michael Spehar, Minister Obrony”. – Podał dokument Kabaddzie, który przyjął go, jakby papier płonął tak, jak jego dowództwo. – Potwierdza pan to przejęcie dowodzenia?

Generał brygady spojrzał na trzymany w ręku dokument, jakby nie potrafił czytać, po czym przeczytał go raz i drugi.

– Potwierdzam pańskie przejęcie dowodzenia... – oświadczył, zaciskając zęby. – Admirale.

– Kabadda, coś ci powiem – odezwał się cicho Edmund – jestem o włos od wysłania cię w ślad za Draskovichem. Chcesz tego?

– Nie – odpowiedział mężczyzna po dłuższej chwili.

– Więc powiem ci coś jeszcze – kontynuował Edmund. – Pozycja szefa sztabu jest niewdzięczna, bo wszystko, co zrobi dobrze, przypisywane jest jego szefowi. I to on dostaje po tyłku, jeśli cokolwiek się spieprzy. Ale to on jest facetem, który szykuje broń, dowódca tylko ją dzierży. Szczerze mówiąc, przy niewielkich zmianach ta baza i flota mogą być całkiem niezłą bronią. *Całkiem* niezłą. Ponieważ jednak cholerna logistyka spoczywa na twoich ramionach, a nie admirała – to oznacza, że niewłaściwe zaopatrzenie smoków było *twoją* winą. Ale jeśli myślisz, że poradzisz sobie z dalszą pracą, mogę ci dać szansę. Ale jak dla mnie – raz już spieprzyłeś. Jeszcze jeden błąd i pójdziesz w ślady Draskovicha. Zrozumiano?

– Zrozumiano, sir – potwierdził Kabadda.

– Dobrze, zatrzymaj ten durny sznur wiader. To miejsce zostało skazane na spłonięcie, jeszcze zanim odleciał ostatni wrogi wyvern, a w ten sposób ryzykujemy tylko poparzenia. Niech ktoś się zajmie rannymi, policz straty, zagoń do tego kogoś jeszcze i spotkasz się ze mną w porcie.

– W porcie, admirale? – zapytał szef sztabu.

– W porcie – potwierdził Talbot. – Zamierzam porozmawiać z syrenami. Joanna, Destrang, Van Krief, idziecie ze mną.

# ROZDZIAŁ ÓSMY

- Hej, synu – rzucił Edmund po wejściu na pirs syren. Spojrzał na gońca i wskazał. – Mógłbym pożyczyć to krzesło?
- Kim pan jest? – zapytał tamten.
- Edmund uświadomił sobie, że bez tuniki był zaledwie lekko usmolonym starszym mężczyzną w koszulce.
- Jestem admirał Edmund Talbot, twój nowy dowódca – wyjaśnił spokojnie. – Więc jak, mogę dostać to krzesło?
- Chłopak spojrział na dwójkę podchorążych i smoka idących za człowiekiem w spodniach oficera i po chwili zerwał się z krzesła, jakby porażony prądem.
- Dziękuję. – Edmund wziął krzesło i zaniósł je na brzeg pirsu. Pomost wznosił się sporo nad wodę, ale na poziomie morza unosiła się pływająca platforma. Herzer leżał na brzuchu, rozmawiając cicho z trytonem, a w pobliżu krążył delfin.
- Herzer – powiedział Edmund – wstań.
- Herzer przetoczył się i podniósł, patrząc na swego szefa.
- Łap – krzyknął tamten i rzucił mu krzesło.
- Następnie zszedł po śliskich schodkach na platformę, odebrał krzesło i zaniósł je na brzeg pływającej platformy.
- Cześć – odezwał się do trytona. – Jak leci?
- Jesteś Talbot – zauważył tamten zaskoczony.
- To prawda, a czyja powinieniem pamiętać ciebie? – zapytał Edmund. – Bo przykro mi, ale nie kojarzę.
- Nie, sir, nigdy się nie spotkaliśmy – wyjaśnił tryton. – Asfaw, sir, porucznik łączności. Nie było mnie na Bimi podczas pańskiego tam pobytu. Przyłączyłem się później.
- Och, ulżyło mi – zaśmiał się Edmund. – W Ucieczce brało udział tyle trytonów, że nigdy nie udało mi się spamiętać nawet większości z nich.
- Talbot! – zaskrzeczał delfin. – Talbot generał.
- Tak, a ty jesteś?
- T-t-tilly! – odpowiedział delfin. Wyraźne mówienie za pomocą otworu nosowego nie było prostą sprawą. Często to brzmienie sprawiało, że delfiny robiły wrażenie głupich, ale miały normalną ludzką inteligencję i w wodzie dysponowały możliwościami, o jakich syreny nie mogły nawet marzyć.
- Dobry wieczór, panie Tilly – przywitał się formalnie Edmund.
- Nie dobry! – odrzekł Tilly. – Ogień!
- No cóż. – Talbot wzruszył ramionami. – I tak nie podobał mi się ten budynek.
- Przez chwilę panowała cisza, po czym Asfaw zaczął się tak mocno śmiać, że aż spadł do wody, a delfin wydał z siebie długi pisk rozbawienia.
- Są jednak rzeczy, które musimy zrobić – kontynuował Edmund, gdy para się już opanowała. – Mam dobrą i złą wiadomość, choć obie brzmią tak samo.
- Co to takiego, sir? – zapytał tryton.
- Właśnie przejąłem tu dowodzenie – wyjaśnił, podając mu dokument. – Wyślij to dalej. Każ przekazać wszystkim.

– Zroooooobi! – zaświergotał delfin.

– Poczekaj – ostrzegł Edmund. – Jest więcej. Wszystkie pozostałe okręty mają się wycofać w stronę wybrzeża, i w miarę możliwości zebrać w rejonie Granbas, przy Merillo.

– Nadchodzi sztorm!

– Gdzie w takim razie? – zapytał Edmund.

– Połuuuudnie – poinformował delfin. – Bamudy!

– Dobrze, zmiana rozkazu. Do wszystkich jednostek z wywemami: karmić je z normalnych zapasów mięsa. Nie próbować przenoszenia, o ile nie wyrazi zgody starszy jeździec. Zrozumiano?

– ‘miano! – zaskrzeczał delfin.

– Wszystkie wieloryby mają zachować ciszę do chwili, gdy syreny i delfiny zajmą stanowiska. W przypadku ataku, mają się przemieścić do najbliższych jednostek floty. Flota ma użyć wywernów do walki z orkami.

– Orki mięso! – zaskrzeczał radośnie delfin. – Słodki smak!

– Do Merillo i towarzyszącej mu grupie – zwabić orki do najbliższych jednostek floty ze smokami.

– ‘miano!

– Ostatni rozkaz – ciągnął Edmund. – Do wszystkich smokowców: karmić wywerny na wszelkie możliwe sposoby. Nakazać syrenom, żeby spotykały się ze starszymi jeźdźcami smoków i to *podkreśliły*. Wszyscy wiedzą, o co chodzi.

– Taaaak! – zapiszczał delfin.

– Dobrze, chwilowo to wszystko. Teraz ja dowodzę, admirał Draskovich został zwolniony. Wycofać się w stronę Bamudów. Karmić smoki, w miarę możliwości orkami i ixchitlami. Chronić wieloryby. To wszystko, do czego moim zdaniem są w tej chwili zdolni.

– Robi! – rzucił delfin i zanurkował pod wodę.

Edmund odchylił się na oparcie krzesła i odwrócił się, by spojrzeć na schody. Roześmiał się, widząc, że Herzer wyciągnął podkładkę i notuje jego rozkazy.

– Oni tu naprawdę upierają się przy spisywaniu wszystkich rozkazów, sir.

– To prawda – potwierdził Edmund, patrząc w górę schodów.

\* \* \*

– Ge... admirale – zawołał z góry generał Kabadda. – Odesłaliśmy od dowództwa wszystkich poza strażakami. Tymczasowo przeniosłem kwaterę główną do klubu oficerskiego.

– Nie – zaprotestował Edmund. – Przenieś ją tutaj. – Tutaj, sir?

I – Tak. Gdzie macie łączność? – Tutaj, sir – przyznał szef sztabu. – Ale... – Czy w klubie oficerskim przesiadują jakieś mogące służyć radą trytony?

– Radą, sir?

– Tak, Kabadda, radą – potwierdził zmęczonym głosem Edmund. – Słuchaj, popracuj tu ze mną, pomyśl trochę. Latałeś kiedyś smokiem?

– Leciałem *na* jednym, sir...

– Tak, ja też – prychnął Edmund. – W tej tak zwanej odprawie, która twoim zdaniem została tak świetnie przeprowadzona, najbardziej doświadczonego jeźdźcą smoków, prawdę mówiąc, wręcz smoczym *kowbojem*, był Herzer, który przez cały czas nie odezwał się ani słowem. Osobą najbardziej doświadczoną w zakresie koordynowania sił syren i delfinów w walce byłem *ja*. Kiedy odbudujemy kwaterę główną, a przyznaję, że to konieczność, sala narad i pokój operacyjny znajdą się nad wodą, jak w hangarze dla łodzi, i uwzględnicie możliwość uczestnictwa wielkich smoków, jeśli nie inaczej, to chociaż przez wsadzenie głowy przez okno. Zrozumiano?

– Zrozumiano, sir – potwierdził generał ze zboloną miną.

– Joanna. Znów bawimy się w żołnierzy – powiedział Edmund.

– Tak jest, sir – odparła smoczyca rozbawionym głosem.

– Zapomnij o nieodpowiednim wsparciu – ciągnął Edmund. – Jestem pewien, że są gdzieś tu jakieś soczyste byczki, a jeśli nie, to jak rozumiem większość koni w stajniach i tak nadaje się już do przeróbki na klej. Ile ci zalegamy?

– Osiemset żetonów – warknęła gniewnie Joanna. – *A* zgodnie z kontraktem mogę zażądać tego w gotówce. A więc żądam.

Edmund westchnął, słysząc jej ton, ale nie opuścił głowy.

– Zapłać jej, Kabadda – polecił. – Ale, sir...

– Powiedziałem *zapłać* jej – warknęła księżę. – Joanno, może być srebro?

– Jasne.

– Kabadda, niech robotnicy złączą wyrywać instalację z łazienki w kwaterze dla VIP-ów. Tak samo wszędzie indziej, gdzie używali srebra. Jeśli nie da się inaczej, weź całą srebrną zastawę stołową. A potem znajdź kogoś, kto da nam przyzwoitą cenę w srebrnych lub złotych żetonach za tę cholerną wannę.

– Tak jest, sir – potwierdził szef sztabu, choć w tonie głosu dało się słyszeć i złość, i rezygnację jednocześnie.

– Jesteśmy wojskiem, nie bandaperskich potentatów – warknął Edmund. – Joanna, dostaniesz swoją gażę. Pytanie: jak daleko potrafisz dolecieć?

– Dość daleko – ostrożnie przyznała smoczyca.

– Całą drogę do bazy Czarnobrodego?

– Nie wiem – odpowiedziała szczerze. – Nie chciałabym tego próbować.

– Będziesz musiała. Asfaw, kolejny rozkaz. – Tak jest, sir.

– Z dniem dzisiejszym generał brygady Shar Chang zostaje promowany na generała broni. Na pokładzie... jak się nazywa ten smokowiec, którego tam mają?

– *Hazhir*, sir – podsunął Herzer.

– Ma natychmiast wyruszyć do bazy Newfell na pokładzie smokowca *Hazhir*. Smokowiec ma zabrać tylko jednego wywerna. Po drodze ma się spodziewać kontaktu z większym smokiem. Postawić wszystkie żagle. Ktoś wie, gdzie jest Evan?

– Kto? – zapytał Kabadda, najwyraźniej nie wiedząc, o kogo chodzi.

– W bazie Czarnobrodego – wyjaśnił Herzer.

– Jesteś pewien? – zapytał Edmund.

– Zadałem sobie trud dowiedzenia się.

– Zabrać cywilnego inżyniera Evana Mayerle. Joanna, musisz polecieć do bazy. Mam nadzieję, że natkniesz się na *Hazhira* już po drodze. Jeśli nie, najedź się tam i po prostu go poszukaj. Przywieź tu Shara najszybciej, jak możesz. Jeśli dasz radę, zabierz też Evana.

– Byłoby mi wygodniej, gdybym miała jakieś ułatwienia przy starcie – zamarudziła smoczyca. – Choćby klif. Ale tutaj jest kompletnie płasko.

– Kabadda, rano zagon ludzi do budowy platformy startowej dla smoków – rozkazał Edmund. – To głupie, że atakujące nas smoki mają pomoc przy starcie, a siły obronne nie.

– Tak jest, sir – potwierdził szef sztabu. – Ale jeśli smok odleci, nie zostanie nam żadna osłona powietrzna dla bazy.

– A co z wywernami? – zapytał Edmund.

– Jakimi wywernami? – odpowiedziała pytaniem Joanna. – Jestem tu jedynym smokiem.



Edmund zakrył twarz dłońmi i jęknął.

– Poślijcie gońca do Centrum Komunikacyjnego. Wiadomość brzmi: przysłać skrzydło wyvernów z jeźdźcami do bazy Newfell. Natychmiast. Siły nabrzeżne mają się przygotować na ataki smoków. Więcej szczegółów później. Podpisano Talbot.

– Tak jest, sir – potwierdził jeden z posłańców, pisząc pospiesznie.

– Kabadda, chcę, żeby ta platforma została ukończona w niecały tydzień

– zażądał Edmund. – Przynajmniej dwadzieścia metrów długości, dość mocna, by utrzymać większego smoka. Z katapultą.

– Tak jest, sir – potwierdził szef sztabu. – Ale... to mnóstwo materiału.

– 1 ludzi – zgodził się Edmund. – Wszystko to znajdziesz w tym, co zostało ze stoczni. Chwilowo wylecieliśmy z interesu stoczniowego. Czym dysponujemy w zakresie jednostek zaopatrzeniowych i materiałów, które moglibyśmy wysłać flocie? I czy mamy jakieś pojęcie, co nam zostało, jeśli chodzi o zaopatrzenie?

– Wraz z pożarem budynku dowództwa straciliśmy większość rejestrów

– przyznał Kabadda. – Ale część możemy zrekonstruować z zapisów w magazynach. Mamy dwa statki transportowe, ale nic, czym moglibyśmy je osłonić.

Edmund pomyślał nad tym przez chwilę, po czym westchnął.

– Przygotujcie je do drogi, załadujcie jedzeniem dla wyvernów i keczupem – polecił.

– Sir... keczup się nam skończył – jęknął Kabadda.

– Cudownie – rzuciła Joanna. – W takim razie, generale, życzę sobie, żeby te byczki upieczono.

– Zechcesz tego dopilnować, Kabadda? – Edmund westchnął. – Nieważne. Załaduj je całą soloną wołowiną i wieprzowiną, jakąmaeie. W miarę możliwości puszkowaną. Albo wędzone ryby. Cokolwiek z białkiem i dużą ilością tłuszczu. I znajdź jakiś *keczup*.

– Tak jest, sir.

– Gdzieś tam jest jeszcze jeden smokowiec – wymamrotał Edmund.

– Zgadza się, sir – wtrącił szef sztabu. – Sądząc po rozmieszczeniu okrętów, niemożliwe, by flotę zaatakowały smoki z tej samej jednostki, która uderzyła tutaj.

– Porucznik Asfaw.

– Sir? – zgłosił się tryton.

– Poproś Jasona, żeby rozmieścił tu jakieś delfiny – polecił Edmund. – Znajdźcie ten cholerny smokowiec.

– Tak jest, sir.

– Nie chcę zawracać sobie głowy tymi szczegółami, Kabadda – oznajmił Edmund. – Zbierz zapasy, galopem. Zajmij się tym.

– Tak jest, sir – szepnęła szef sztabu.

– Ale dziś w nocy prześpij się choć parę godzin, jutro czeka nas bardzo długi dzień.

Gdy szef sztabu oddalił się pospiesznie, Edmund postawił krzesło z powrotem na platformie i nachylił się, by spojrzeć na trytona.

– No dobrze, a co ty myślisz?

– Cóż, cieszę się, że teraz to pan tu dowodzi – odpowiedział Asfaw.

– Cóż, przekonasz się, że będę się wtrącał do twoich spraw znacznie częściej, niż robił to Draskovich – uprzedził Edmund. – Potrzeba ci tu czegoś?

– Szczerze? – zapytał zaskoczony tryton.

– Szczerze.

– Generale – odparł tryton, próbując ukryć złość – to dno pokryte jest mułem. Mamy tu do

wyboru próbować utrzymać pozycję w prądzie albo trzymać się brzegu, leżąc w mule. Tylko że on ma ze sześć metrów głębokości. Zapadamy się w nim. Szczerze mówiąc, to paskudne.

– Czyli chcesz krzesła? – zapytał Edmund.

– Czegoś – rzucił tryton, wzruszając ramionami.

– Herzer? – Edmund zwrócił się do swego, adiutanta.

– Zapisalem. Syreny potrzebują czegoś do siedzenia.

– Jeszcze coś? – Edmund zwrócił się do trytona.

– Och, mnóstwo, generale – przyznał Asfaw. – System przekazywania wiadomości jest do niczego. Mamy beznadziejne kwatery. Powinien tu być naraz więcej niż jeden tryton i delfin. Mógłbym tak jeszcze długo.

– Herzer... nie, Destrang, siadaj tu i wysłuchaj litanii żalów trytona i delfina – rozkazał Talbot. – I wylap wszystko z floty, co twoim zdaniem powinienem wiedzieć. Idę do łóżka. I tak wcześniej niż rano nic sensownego się tu nie załatwi. Joanna, co ty tu jeszcze robisz?

– Czekam na świt – wyjaśniła smoczyca. – Jeśli mam lecieć tak daleko, będę potrzebować wszystkich prądów termicznych, jakie uda mi się znaleźć.

– Herzer. – Edmund zwrócił się do kapitana. – Potrzeba nam wzdłuż wybrzeża placówek z zaopatrzeniem dla smoków. Nic wyszukanego, po prostu palisada z jakimś bydłem czy świniami i miejscem, gdzie smoki mogłyby wylądować. I więcej wywernów na kurierów, nie muszą mieć kwalifikacji na smokowiec. Właściwie byłby to dobry sposób na szkolenie jeźdźców i wywernów. Joanna, odleć, gdy tylko uznasz, że już możesz, ale im prędzej, tym lepiej. To wszystko, skończyłem. – Wstał i zaniósł krzesło z powrotem na pirs.

– Dzięki, synu – powiedział, oddając je gońcowi.

– Proszę bardzo, sir.

– Życzę spokojnej nocy – dodał Edmund, odchodząc w rozświetlony płomieniami mrok.

– Bacność! – zawołał ktoś po wejściu Edmunda do tymczasowych pomieszczeń kwatery głównej. W dokach po prostu nie dało się jej nigdzie umieścić, więc chwilowo przeniesiono ją do klubu oficerskiego. Zbliżał się zimny front i księżę docenił możliwość znacznie krótszego spaceru – klub mieścił się praktycznie tuż obok kwater dla VIP-ów – ale nie znaczyło to, że zaprzestał planowania przeniesienia wszystkiego najszybciej, jak to możliwe.

– Spocznij – zawołał, machając ręką i kierując wzrok ku dużej mapie, którą ktoś zamocował na ścianie. Wyraźne zrobiono ją ręcznie i to w pośpiechu – kilka elementów brzegu zostało źle narysowanych – ale dawała dobrą orientację w aktualnej sytuacji. Zaznaczono na niej szacunkowe pozycje obu flot oraz innych jednostek na oceanie, z których większość kierowała się w stronę najbliższego bezpiecznego portu. Najlepsze jednak były oznaczenia pogodowe dużego sztormu sunącego z pomocnego wschodu.

– Zostaną złapani przez sztorm – zauważył.

– Tak jest, sir – zgodził się Kabadda, podchodząc z kubkiem kawy w rękę. Podał go admirałowi, a Edmund przyjął naczynie niezgrabnie.

– Sam mogę zadbać o swoją kawę – mruknął, ale i tak się napił. Zrobiono ją dokładnie tak, jak lubił, prawie syrop z cukrem i śmietanką. Ktoś tu odrobił zadanie.

– Nie jesteśmy jeszcze do końca gotowi na odprawę, sir – poinformował szef sztabu. – Ale przygotowujemy się na 0900.

– Wątpię – ocenił Edmund. – Nie wystarczy mi takie ogólne sprawozdanie, jakie robiliście wcześniej. Chcę pełnych informacji o wszystkich jednostkach. Co wiemy o ich zapasach, informacje o doświadczeniu i historii kapitanów. Wszystkie dane wywiadowcze, jakimi dysponujemy na temat

przeciwnika, to samo. W trakcie ataku usłyszałem coś na temat strzelania do smoków. Chcę szczegółów, najszybciej, jak to możliwe. Odprawa ma zawierać wszystko, co wiemy na temat stanu smoków na naszych okrętach oraz kondycji załóg. I, w szczególności, ile czasu flota potrzebuje na powrót oraz jakimi materiałami będziemy dysponować, kiedy tu dotrą. Gdy przyplyną, chcę, żeby czekało na nich jedzenie, grające orkiestry, zarżnięte bydło dla smoków, grill dla załóg i przyzwoite kwatery *na lądzie* dla wszystkich. Przywiozą dużo rannych, więc muszę znać stan naszego szpitala. Mamy dostać od nich listę ofiar, zanim przyplyną. Będziemy zmuszeni wysłać większość tej samej floty *jeszcze raz* i tym razem musimy wygrać. Nie damy rady zrobić tego przy zdemoralizowanych żołnierzach. A więc *pierwszą* rzeczą, jaką się zajmiemy, to ich morale. Zrozumiano?

– Tak jest, sir – odpowiedział szef sztabu.

– Wygranie bitwy wymaga czterech czynników. Planów opierających się na *wiarygodnym* wywiadzie, przywództwa, materiałów i morale. Te pierwsze stworzymy, o to możesz być spokojny. Drugiemu uważnie się przyjrzę, bo to, co dotąd widziałem, wcale mnie nie zachwyciło. Trzecie trzeba zdobyć, zrobić lub ukraść. Czwarte składa się z kilku elementów. Jeden z nich to właściwe warunki życia i wiedza, że *inni* są tak dobrzy, jak to tylko możliwe. Kiedy flota znów pożegluje, marynarze, podoficerowie i oficerowie muszą *być przekonani*, że tym razem skopią wrogowi tyłek i nawet się przy tym nie spocą. Zrozumiano?

– Tak jest, sir.

– Wyślij wiadomość do floty. Chcę informacji o stanie każdego statku. Jeśli nie mają wolnego słupa, dostarczcie im jakiś. I powiedzcie syrenom, żeby *znalazły ten dodatkowy smokowiec*. Nie chcę znów zostać zaskoczony. Jeśli się wycofał, a mogę się założyć, że tak, puścimy statki zaopatrzeniowe.

– Tak jest, sir.

– Dobrze, przydziel mi jakiegoś oficera, który oprowadzi mnie po bazie – zakończył Edmund. – Chcę się rozejrzeć. Odprawę zrobimy po południu. Jeśli pojawi się coś, co wymaga mojej natychmiastowej uwagi, pchnij gońca.

– Jest dużo dokumentów, sir – zauważył Kabadda. – Większość adresowana do dowódcy.

– Niech któryś z twoich ludzi otworzy i przeczyta wszystko, co nie przyszło od Mike’a Spehara lub Sheidy. Nie zamierzam zajmować się korespondencją od każdego urzędniczyny w oficerskim mundurze, który chce mi się podlizać albo dopytać o jakieś drobiazgi. Zajmij się tym.

– Tak jest, sir. – Kabadda otworzył usta, jakby chciał coś dodać, ale się rozmyślił.

– Co?

– Admirał Draskovich uważał, że ważne jest trzymanie ręki na pulsie przepływu informacji, sir – niepewnie wydukał szef sztabu.

– Właściwy termin to „delegacja”, Kabadda – odpowiedział Edmund. – Moim zadaniem jest dopilnowanie, by wszyscy znali *swoje* informacje i pracowali najlepiej, jak potrafią. Nie na odwalaniu za nich pracy. I tak zajmie mi to dość czasu.

– Tak jest, sir.

– Dotyczy to zresztą i ciebie – dodał Talbot. – Twoim zadaniem jest dopilnowanie, by broń została przygotowana do użycia. Ale nie uda ci się tego zrobić, jeśli zajmiesz się każdym szczegółem i drobiazgiem z listy materiałów lub personelu. Do tego właśnie są wydziały G-1 i G-4. A ich zadaniem jest dopilnowanie, by *ich* ludzie zostali odpowiednio wyszkoleni i wykonywali swoją pracę najlepiej, jak potrafią. Anie odwalanie jej za nich. Nie wolno się przyczepiać do każdego szczegółu i zajmować mikrozarządzaniem w każdej sytuacji. Jeśli ktoś coś spieprzy, pokażesz mu, że błądzi. Jeśli nie poradzi sobie z naprawieniem tego po właściwym doszkoleniu, znajdziesz kogoś, kto

to potrafi.

– Tak jest, sir – powtórzył Kabadda, kiwając głową.

– Czy to była automatyczna odpowiedź – zapytał Edmund – czy naprawdę słuchałeś?

– Słuchałem, admirale – zapewnił szef sztabu z oburzeniem.

– Świetnie. Kto w takim razie oprowadzi mnie po bazie?

– J... – zaczął odpowiadać generał, po czym uśmiechnął się przeprasząco. – Właśnie miałem zasugerować, że ja. Ale to była zła odpowiedź, prawda?

– Bingo – roześmiał się Edmund. – Masz ważniejsze sprawy na głowie.

– Przydzielę jednego z moich adiutantów – zdecydował Kabadda.

– Dobrze – zgodził się Talbot, dopijając kawę. – Wypiję jeszcze jeden kubek, a potem porozmawiam z ludźmi ze sztabu. Zajmie mi to pewnie około godziny.

– Tak, sir.

Edmund podszedł do miejsca, gdzie starszy bosman pilnował grupy marynarzy kopiujących pracownice jakiś podręcznik.

– Witam, bosmanie.

– Admirale. – Podoficer stanął na baczność.

– Daj spokój, nie mamy czasu na takie rzeczy. Jak się pan nazywa, bosmanie?

– Starszy bosman sztabowy Naoko Greter, sir – przedstawił się zapytany. – Podoficer dowodzący grupą sygnałową.

– Dobrze, bosmanie Greter, zabiłbym za kolejny kubek kawy. – Gdzie mógłbym ją dostać?

– Może pošlę kogoś, żeby ją dla pana zrobił, sir? – zasugerował bosman. – Besom! Kawa dla admirała. Do tego właśnie są gońcy, sir.

– Delegacja przy pracy. – Edmund pokiwał głową, podając kubek bardzo młodej kobiecie. – Co tu robicie?

– Pożar zniszczył większość książek sygnałowych, sir – wyjaśnił bosman, krzywiąc się. – Oraz prasę, na której je drukowaliśmy. Do czasu, aż uda się nam uruchomić nową, musimy je kopiować ręcznie.

– Czy robione jest wszystko, co możliwe, żeby uruchomić tę prasę, bosmanie Greter? – zapytał Edmund.

Herzer przez chwilę zastanawiał się, czemu pytanie zostało zadane w tak formalny sposób, po czym uświadomił sobie, że Edmund po prostu próbuje zapamiętać nazwisko.

– O ile mogę stwierdzić, sir – odpowiedział podoficer. – Rozmawiałem z warsztatem i ich ludzie uznali to jako jeden z priorytetów. Mieli już zrobioną ramę, ale czcionki trzeba zamówić.

– Potrzebuje pan czegoś, o co pańskim zdaniem rozsądnie jest prosić?

– Mam wszystkich ludzi, jakich mogłem znaleźć, którzy potrafią czytać i przyzwoicie pisać, sir. – Bosman wzruszył ramionami. – Nic więcej nie przychodzi mi do głowy.

– Dobrze. – Edmund kiwnął głową. – Kogo pańskim zdaniem powinienem teraz pocieszyć?

# ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Książę przeszedł przez cały pokój, rozmawiając nieformalnie przynajmniej ze starszymi oficerami i podoficerami z każdej grupy, która bezpośrednio go wspierała. Kiedy to robił, Herzer uświadomił sobie, że Talbot cały czas dyskretnie ich sonduje. Nie tylko zapamiętywał nazwiska, ale orientował się w możliwościach swoich nowych podwładnych. Oczywiście wobec szefa, który tak nagle zastąpił admirała Draskovicha każdy zachowywał się trochę nerwowo. Po zniszczeniu budynku kwatery głównej wszyscy borykali się z problemami i Herzer zdał sobie sprawę, że książę, choć pozornie prowadził tylko luźne rozmowy, starał się poznać, kto w dowództwie potrafił sobie poradzić z wyzwaniem, a kto nie. Niektórzy umieli przeżyć załamanie codziennej rutyny, inni nie. I jedni i drudzy, w wojsku – które oferowało sporą gamę nudnych prac – byli potrzebni. Ale generalnie najbardziej przydatni byli ludzie, którzy potrafili odnaleźć się w chaosie i zaprowadzić w nim porządek. Niestety, w dowództwie floty zdecydowanie ich brakowało.

W szczególności wszyscy z wydziału operacyjnego zdawali się biegać w kółko jak kurczaki bez głów. Zebrał się tam stosik wiadomości z pozycjami jednostek, w wielu przypadkach domagających się wsparcia. Edmund przejrzał wiadomości, przekazując je następnie Herzerowi.

Herzera z kolei zaskoczył... ton wielu z nich. Większość kapitanów pozostałych smokowców oraz kapitanów osłaniających je fregat balistowych po prostu pytała, co powinni robić. Nie, gdzie powinni płynąć czy gdzie się

spotkać, ale co mają zrobić w związku z uszkodzeniami swoich jednostek. Oczywiście pojawiały się też prośby o zaopatrzenie, ale Herzer nie mógł nie zastanawiać się, co te pytania robią na biurku sekcji operacyjnej. Powinny były zostać wysłane bezpośrednio do G-4, czyli działu zajmującego się logistyką. Tam zaś wszystkie prośby należało zebrać i zestawzić tak, by umożliwić wysłanie na morze grupy zaopatrzeniowej wyposażonej w to, czego potrzeba.

Po przeczytaniu wiadomości i wymianie uprzejmości z próbującym zaprowadzić jakiś porządek w swojej sekcji kapitanem Edmund przeszedł do grupy logistycznej, gdzie bardzo młoda dziewczyna w stopniu porucznika kopiowała pozycje z jakiejś listy, przepisując je do innych.

– Jak leci, poruczniku? – odezwał się admirał.

Kobietę do tego stopnia pochłaniała praca, że nawet nie zauważyła zbliżenia się nowego szefa.

– Niezbyt dobrze – westchnęła, nie podnosząc wzroku. – Cokolwiek to jest, nie mam.

– Cóż za doskonała odpowiedź od zaopatrzeniowca – zaśmiał się Edmund.

Dziewczyna dopiero wtedy podniosła wzrok i blednąc, zerwała się na nogi.

– Przepraszam, sir – wydukała. – Ja po prostu...

– Rozumiem – zapewnił Edmund. – Wszyscy czegoś chcą i to *natychmiast*. Pytanie brzmi, czy będziemy w stanie to zdobyć?

– Jak na razie nie jest tak źle – przyznała. – W tej chwili spisywałam właśnie prośby floty i kompilowałam pakiety okrętowe, sir. – Zerknęła w dół na listę i zdawała się na chwilę odpłynąć myślami.

– Proszę wybaczyć moją ignorancję – odezwał się po chwili Talbot. – Co to jest pakiet okrętowy?

– Przepraszam, sir. Kiedy wysyłamy statek z zaopatrzeniem, część towarów ładowana jest masowo. Soja i keczup dla wyvernów, solone mięso. Ale niektóre rzeczy wysyłane są na określone jednostki. Na przykład *Henry Tachos* potrzebuje nowego zestawu sterowego, bo pożar spalił im większą część rufy. W miarę możliwości próbujemy zebrać przedmioty potrzebne poszczególnym jednostkom w jednym miejscu na statku zaopatrzeniowym, a potem załadować je zgodnie z

kolejnością, w jakiej będą zaopatrywane okręty.

– A pani jest...?

– Porucznik Deirdre Miuki, sir – przedstawiła się kobieta.

– Czy to musi być robione w dowództwie, poruczniku? – zapytał Edmund. – Sądziłem, że tego rodzaju rzeczy są przekazywane niżej do zebrania.

– My tu tak jakby oceniamy priorytety, sir – wyjaśniła Miuki. – Potem to wędruje do pracowników G-4.

– Zauważyłem, że choć bardzo się pani skupiała, nie miała pani mnóstwa pracy, poruczniku...

Miuki, tak?

– Tak jest, sir, Miuki – potwierdziła. – Czekam na resztę sygnałów z floty, sir.

– Które leżą na biurku operacyjnym. – Tak jest, sir.

– Czemu? – zapytał łagodnie admirał.

– One... najpierw trafiają do operacyjnego, sir – dziewczyna przełknęła nerwowo ślinę.

– Van Kr... – zaczął Edmund, po czym potrząsnął głową. – Nie... Destrang.

– Sir?

– Idź do operacji. Na mój rozkaz przebierz te wiadomości. Wyciągnij wszystkie, które odnoszą się do potrzeb materiałowych i przynieś je tutaj. Już.

– Tak jest, sir – potwierdził rozkaz podchorąży, po czym ruszył w stronę drugiego stołu.

– Za chwilę dostanie pani swoje wiadomości, poruczniku. Ale wszystko, co *pani* ma z nimi zrobić, to przesortować, kto czego chce i przesłać to dalej. Niech ktoś w G-4 zajmie się przygotowaniem pakietów okrętowych. Zrozumiano?

– Tak jest, sir.

– Miło było panią poznać.

– Dziękuję, sir.

Herzer i podchorążowie poszli za księciem na drugi koniec pokoju, gdzie przez dłuższą chwilę stał, przyglądając się mapie, po czym odwrócił się, potrząsając głową.

– Żaden plan nie wytrzyma kontaktu z wrogiem, Herzer.

– Owszem, sir – przyznał młodzieniec, uśmiechając się lekko. – Dlatego właśnie nazywa się go wrogiem.

\* \* \*

Megan uśmiechnęła się, gdy Paul stoczył się z niej i poprawiła ubranie, Wycierając się przy okazji szmatką.

Kiedy trafiła do haremu, obowiązujący w nim „standardowy” strój był po prostu lekkim jedwabnym szlafrokiem, których dostarczano tu niezliczoną ilość. Niektóre dziewczyny szyły sobie własne ubrania, na przykład Mirta Krupansky potrafiła doskonale szyć. Prosta zasada, której przestrzeganie ściśle

wymuszała Christel, głosiła, że ubranie musiało być „przyjemne dla oka”, co w praktyce sprowadzało się do kusego.

Megan wykorzystała kryzys z Paulem, kiedy ten prawie doprowadził się do śmierci z przepracowania, do wprowadzenia kilku zmian. Jedną z nich polegała na skłonieniu Mirty do udzielania lekcji szycia. Kobieta była wyraźnie starsza, niż sugerował jej wygląd oraz zachowanie, i większość czasu spędzała na unikaniu ściągania na siebie uwagi. Megan w zasadzie zmusiła ją do przyjęcia bardziej aktywnej postawy i z czasem wszystkie dziewczyny, nawet ona sama, potrafiły już uszyć sobie „odpowiednią” odzież.

Jednak inna wprowadzona przez nią zmiana dotyczyła szlafroków. Od początku uważała je za

śmieszne. A żądanie nieposiadania majtek i staników zakrawało wręcz na głupotę. Tak więc, wkrótce po „kryzysie”, przekonała Christel do zlecenia na zewnątrz szycia standardowej odzieży, która choć nadal uwodzicielska, była przy tym nieco bardziej praktyczna. Oprócz innych kwestii, wykonywanie czegokolwiek w szlafroku było bardzo niewygodne, a zajmowanie się tym samym nago bywało *szczególnie* bolesne, a to z powodu biustu. O ile bowiem Paul wybierał do haremu bardzo różne kobiety, to jednak wszystkie miały duże piersi.

Standardowy teraz w haremie strój składał się z krótkiego topu ze stanikiem i bardzo krótkiej spódniczki albo szortów i majtek. Stroje te miały różne kolory i rozmiary, a dziewczyny dodatkowo je do siebie dopasowywały. Oczywiście w przypadku wizyty Paula to wszystko szło w odstawkę i zakładano stroje „specjalne”.

Specjalne stroje Megan zazwyczaj nie różniły się za bardzo od codziennych, miały po prostu żywsze kolory i uszyte były z lepszych materiałów. W tej chwili miała na sobie krótką biodrową spódniczkę z rozcięciem i bardzo skromny top z biustonoszem, oba zrobione z drogiego, bogato pofałdowanego czerwonego materiału.

Podniosła pasującą do kompletu figi i usiadła wygodniej.

– Znów zbyt długo cię nie było, Paul – powiedziała.

– Tak, zapewne masz rację – przyznał mężczyzna. Wyglądał znacznie lepiej niż podczas kryzysu. Kobiety zdołały go przekonać, że zagładzanie się na śmierć nie służyło ani jemu, ani im. Później, przez jakiś czas, spędzał w haremie znacznie więcej czasu. Większość jego pracy wykonywały awatary, które należało jednak prawie codziennie „zbierać”. Początkowo były „nim”, ale w miarę upływu czasu różnica doświadczeń sprawiała, że ich osobowości odrywały się od podstawowej. Zbieranie ich zawsze było nieco traumatyczne i Paul musiał radzić sobie z różnymi powstającymi nieoczekiwane problemami. Czasem okazywało się to dość trudne.

Ale oznaczało to, że mógł to robić praktycznie w dowolnym miejscu i przez kilka miesięcy po kryzysie zazwyczaj tę reintegrację przeprowadzał w haremie, przeważnie pilnowany przez Megan lub Christel.

Połączenie karmiących go kobiet i wychodzenia z transu reintegracyjnego z przytuloną do niego piękną dziewczyną działały cuda dla jego psychiki. Dlatego Megan bardzo się dziwiła, że teraz nie pojawił się prawie przez miesiąc. Na dodatek prawdopodobnie spędzony w celibacie.

– Lubiłem tu zostawać – powiedział Paul, wciągając na siebie spodnie i koszulę. – Ale odkryłem, że zaczynam gubić swój cel. Musiałem znów wyjść między ludzi i doświadczyć ich życia. Tam... robi się lepiej. Ale życie wciąż jest brutalne i okrutne.

– Nie przekazują ci tego twoje awatary? – zapytała Megan.

– To nie to samo – przyznał mężczyzna. – Nie *doświadczają* życia tak jak ja. Czuję, że potrzeba mi tego, jeśli mam w aktualnych warunkach zrobić wszystko, co możliwe dla ludzi.

– Jesteś bardzo dobrym człowiekiem – oświadczyła Megan, przysuwając się do niego i obejmując go. – Ale to jeden z powodów, dla których lubię, kiedy tu jesteś. Kolejnym samolubnym powodem jest to, że od *miesiący* nie słyszałam żadnych wiadomości. Co się dzieje?

– Dobre i złe nowiny – odparł Paul. – Taurańskie siły tej suki Ishtar pokonały oddziały Lupe i prawie już dotarły do reaktora Alam.

– Cóż, też mi problem – wzruszyła ramionami dziewczyna, upewniając się, że ruch ten odbije się na przysuniętych do niego piersiach. – Reaktor otacza pole siłowe, prawda? Nie mogą go w ten sposób przejść.

– Przewaga siły – westchnął Paul. – Jeśli przejmą teren, Matka przeniesie na nich kontrolę pola siłowego. Wedle protokołów od tej chwili to oni są jego właścicielami. To ten sam problem, który

usiłujemy wykorzystać w innych miejscach, więc właściwie nie mogę się skarżyć.

– To niedorzeczne – zdziwiła się szczerze Megan.

– Matka nie staje po żadnej ze stron – przypomniał Paul. – Utrzyma nasze osobiste pola ochronne, ale nie obroni dla nas reaktora. Zbudowaliśmy wokół niego twierdzę, a właściwie mur, ale z czasem tamci na pewno go zdobędą. Lupę przerzucił do obrony muru sporą część armii, ale nawet jeśli ZWS nie zaatakuje, może po prostu zagłodzić obrońców. A potem dostaną reaktor i nagle będziemy mieć jedną ósmą energii mniej. Kazałem im raczej zniszczyć reaktor, niż oddać go w ręce Ishtar, ale jeśli stracimy tak dużo energii, sytuacja stanie się ciężka.

– A więc jak brzmi ta dobra wiadomość? – zapytała Megan, porzucając ten temat.

– Plan Chansy się powiódł – oświadczył z uśmiechem Paul. – Wysłał swoją flotę bojową i solidnie przetrzepał flotę ZWS. Stracili sporo smokowców, a ich wywerny nie dostają jedzenia, więc brak im sił. Ale z powodu sztormu nie mógł ich kompletnie rozbić. Zniszczył też główną stocznię i kwaterę główną. Następny plan polega na skłonieniu ich do opuszczenia pozycji i wysłaniu floty inwazyjnej. Wygląda na to, że zaczyna się *inwazja*.

– Dobra wiadomość – ucieszyła się na zewnątrz Megan, myśląc o znanych już sobie planach. – Jeśli zdążysz na czas dostać się do elektrowni Pizurg, możesz odrobić straty energii.

– Albo, nawet jeśli ją zniszczą, to przynajmniej nie znajdziemy się tak bardzo na minusie – potwierdził Paul, kiwając głową. – Jeśli siły inwazyjne zdołają zająć jakiś teren Norau, możemy tam ustanowić portale i nie będziemy już potrzebować okrętów. Po zdobyciu terenu na wybrzeżu, ale tak, że uda się nam go utrzymać, Sheida nie będzie już mogła blokować naszych teleportów. Zaczniemy przysyłać wojsko portalami.

– Jeśli.

– Jeśli. – Paul uśmiechnął się. – Nasz cel to Balmoran. Jest tam dobrze zagospodarowany port z naturalną zatoką. Możemy też płynąć w górę rzeki Sussain i w ten sposób dostarczać zaopatrzenie. A Celinę ma czekający w gotowości personel do Przemian. – Wzruszył ramionami i skrzywił się na tę myśl. – Ludzie Norau właściwie nie potrzebują Przemiany, zademonstrowali już, że potrafią przeżyć w tym świecie. Ale Przemiana zwiększy liczebność naszej armii. – Znów się skrzywił i wzruszył ramionami. – A jeśli *wygramy*, po prostu Przemienimy ich z powrotem. Bo w tej chwili nie tylko są obrzydlistwami, ale *złymi* obrzydlistwami.

– Wiem, jak nienawidzisz Przemiany – powiedziała Megan. – I Przemian, które są konieczne.

– Tak, to prawda – westchnął Paul. – Ale tak jest lepiej. Życie, z jakim zmagają się teraz ludzie... Gdyby ta suka Sheida po prostu...

– Hej, powinieneś się tu odprężyć – przypomniała Megan.

– Powiniennem być tu w celu robienia dzieci. – Paul zmarszczył brwi. – A to nie zdarza się dostatecznie często. Pewnie dlatego, że za rzadko tu przychodzę.

– W takim razie zostań dłużej – logicznie podsumowała Megan. – Kiedy częściej przychodziłeś, więcej dziewczyn zaszło w ciążę. – W tamtym okresie w ciążę zaszły Karie, Velva i Golda.

– Ty nie zaszłaś – zauważył Paul, marszcząc brwi. – Przeskanowałem cię. Wiem, że jesteś płodna...

– Paul? – odezwała się Megan, uśmiechając się z napięciem. – Jeśli myślisz o przyspieszeniu spraw w jakiś sposób, zadam ci pytanie. Czy naprawdę *chcesz*, żebym przez dziewięć miesięcy siedziała w zamknięciu? A potem na dwa lata znikła z noworodkiem?

Paul zmarszczył brwi, otworzył usta, po czym znów je zamknął.

– Dobrze, tak myślałam. Więc może po prostu pozwólmy działać naturze? – zasugerowała z uśmiechem.



– Masz... trochę racji – przyznał wciąż ze zmarszczonym czołem. – Ale jestem pewien, że byłabyś wspaniałą matką.

– A ja jestem pewna, że w końcu tak się stanie – zgodziła się, przetaczając się na niego. – Mogę cię jeszcze o coś zapytać?

– Proszę bardzo – odpowiedział, odchylając się.

– Czemu wciąż masz na sobie ubranie?

\* \* \*

Megan popatrzyła przez chwilę na fiolkę, po czym przełknęła gorzki napój, zamykając oczy i krzywiąc się z powodu jego smaku. Kiedy trafiła do harem, jedyną rzeczą, jaką wiedziała o wrotyczu, był fakt, że jest niebezpieczny i stanowi jeden z niewielu częściowo skutecznych środków poronnych wśród ziół. Właściwie pierwsze informacje na jego temat określały go mianem trującego, ale w jakiś sposób w jej pojemnej pamięci przechowała się też informacja o własnościach poronnych tego zioła.

Kiedy urządziła swoją perfumerię, zamówiła dużą ilość ziół, między innymi, jako skromną pozycję, wrotycz. Paul wielokrotnie przeglądał listę, ale najwyraźniej nigdy nie poświęcał czasu na głębsze zaznajomienie się z właściwościami zamówionych ziół – biorąc pod uwagę ich liczbę, byłoby to bardzo nużące zajęcie. Zresztą stanowiło to jedną z wielu rzeczy, co do których miała nadzieję, że ich nie zauważy.

W miarę upływu czasu ostrożnie eksperymentowała, powoli zwiększając dawkę, aż zaczęła odczuwać nieprzyjemne skutki. Za każdym razem, gdy „kochala się” z Paulem, przynajmniej przez cały następny tydzień wypijała ziołowy wyciąg. I jak dotąd nie zaszła w ciążę, co bardzo jej odpowiadało.

Splukala gorzkie olejki szklanką lemoniady i wybrała kilka butelek perfum dla dziewcząt.

Jej wpływ wyraźnie uwidaczniał się w głównej sali harem. Tam, gdzie wcześniej świeciły nagie kamienne ściany i porozrzucane po kamiennej podłodze poduszki, teraz porozwieszano barwne gobeliny i porozkładano

dywany i niskie stoliki. Mieszkało tu nawet pięć kotów, od małych pręgowańców do domowych lwów wielkości pumy. Stoły i poduszki odstawiono na bok w celu zrobienia miejsca na wieczorne ćwiczenia i dziewczyny intensywnie zajmowały się aerobikiem. Koty miały dość rozsądku, by nie pchać im się pod nogi.

Przeważnie zwalniano ją z obowiązkowych ćwiczeń, ponieważ raczej trzymała się w formie. Ale często się przyłączała i teraz, po lekkiej rozgrzewce, zajęła miejsce na tyłach grupy i zaczęła ćwiczyć z pozostałymi.

Robiąc to, przyglądała się dziewczynom, zastanawiając się przy tym, co pomyślałyby, gdyby kiedyś udało się jej urzeczywistnić swoje plany. Harem był bardzo nudnym miejscem, ale bezpiecznym i na tyle dobrze wyposażonym, na ile to możliwe w świecie po Upadku. Kiedy zabije Paula, w jednej chwili przepadnie całe to bezpieczeństwo. Większość z nich znała życie na zewnątrz na tyle, by bać się opuszczać harem. Musiała o tym pamiętać w swoich planach. Łącznie z tym, że dziewczyna, która zostałaby, o ile by się taka znalazła, musiałaby się liczyć ze śmiercią. Martwiła się również o kobiety, które zabrano stąd w ciąży. Nie miała pojęcia, gdzie mieszczą się ich zamknięte kwatery. I każdy scenariusz, jaki sobie wyobrażała po śmierci Bowmana, oznaczał balansowanie na krawędzi katastrofy. Kluczowe może okazać się właściwe wyczucie czasu. Próba odszukania dziewcząt i przekonania ich do ucieczki mogła oznaczać uderzenie ze strony innych członków Rady. Nie wspominając o tym, że nie miała pewności, czy zdoła natychmiast przejąć kontrolę nad mocą, którą dysponował Paul. Wiele z programów dostępnych powszechnie przed Upadkiem zostało

zablokowanych za pomocą haseł.

W haremie przebywało aktualnie trzynaście kobiet, włącznie z dwiema nowymi, które Paul sprowadził w ciągu ostatniego roku. Gdzieś było jeszcze siedem, czekając na urodzenie dzieci.

To, co powinna zrobić, to zabrać kobiety z haremu i uciekać, gdzie pieprz rośnie.

Ale nie wiedziała, czy zdoła tego dokonać.

\* \* \*

– Shar – ucieszył się Edmund, ściskając dłoń żeglarza, gdy tylko tamten zsunął się z grzbietu smoka.

– Admirale Talbot – przywitał go mężczyzna i uśmiechnął się. – Widzę, że pan awansował.

– Traktuję to raczej jako... przeniesienie w poziomie – odpowiedział Edmund. – Joanna, paskudnie wyglądasz.

Smoczyca wyglądała na wyczerpaną, ale i tak się uśmiechnęła.

– Jeśli dobrze pamiętam, jesteś mi winien kilka pieczonych krów – przypomniała.

Edmund machnął ręką w stronę budynku na tyłach, skąd ku niebu wzbijał się słup dymu.

– Gdzie dym, tam i ogień. A gdzie ogień, tam grill.

– Już tam pędzę. – Smoczyca wyprostowała nogi, a potem ruszyła w stronę ognia.

– Szkoda, że nie przywieźliście też Evana – powiedział Talbot, wskazując w stronę pobliskiej tymczasowej kwatery głównej.

– Joanna była na granicy możliwości. – Shar wzruszył ramionami. – Evan nie jest taki duży, ale nie zabrałem ze sobą nawet ubrania na zmianę. Przywiozłem za to pewne jego pomysły, o których musimy porozmawiać.

– Ubraniem możemy się zająć. – Księżę popatrzył na Van Krief.

– Ubrania dla generała – potwierdziła dziewczyna, zapisując w notesie.

– Adiutanci? – zapytał z uśmiechem Shar. – Gdzie jest Herzer?

– Wzbudza strach przed Edmundem w personelu zaopatrzenia.

\* \* \*

– Kapitanie, pracujemy nad tym – oświadczył szef zaopatrzenia, patrząc nad swoim biurkiem na Herzera. – Zdaję sobie sprawę, że admirał nie jest świadom wszystkich aspektów logistycznych tej bazy, ale...

– Myślę, że admirał doskonale zdaje sobie sprawę z „aspektów logistycznych” bazy, majorze – odrzekł Herzer, uśmiechając się. – I dlatego właśnie *zbierze* pan wyszczególnione zaopatrzenie i *przygotuje się* pan, zgodnie z rozkazem, na przybycie floty.

– Kapitanie, admirał może sobie rozkazywać, ile tylko chce – burknął major, uśmiechając się lekko i odchylając się na oparcie krzesła. – Ale materiały, których się domaga, zarządzane są przez dowództwo logistyczne floty, nie przez lokalnego dowódcę floty ani dowódcę bazy. Stanowią element zaopatrzenia dla floty i nie mogą służyć do żadnej frywolnej „imprezy powitalnej”, której urządzenie pański generał uważa za dobry pomysł. Pański generał nie ma *uprawnień*, by rozkazać ich wydanie. A zwłaszcza w niewłaściwym celu.

– Czy dysponuje pan wystarczającym zapasem tego, o co chodzi generałowi? – zapytał spokojnie Herzer.

– To czy to mamy, czy nie, nie ma w tej chwili znaczenia – warknął major. – I nie sędzę, żeby admirał mógł mi po prostu rozkazywać. Nie pracuję dla niego, pracuję dla pionu logistyki floty.

– Czy to pańska ostateczna odpowiedź? – zapytał z drapieżnym uśmiechem Herzer.

– Tak, ostateczna.

– Dobrze, mamy tu ewidentny przypadek rozdziału funkcji operacyjnych i logistycznych – powiedział Herzer, przechodząc na sposób mówienia wykładowcy. – W historii wielokrotnie dochodziło do takich przypadków, zawsze z ujemnymi skutkami dla strony operacyjnej. Biorąc to pod uwagę, nie zostawia mi pan innego wyboru niż dopilnowanie, by resztę wojskowej kariery spędził pan jako robotnik portowy.

– Nie ma pan uprawnień do czegoś takiego. – Szef zaopatrzenia uśmiechnął się cierpko. – A więc równie dobrze może pan zabrać swoje groźby z mojego biura.

– Och, myślę, że mam – zaprzeczył Herzer, kładąc na biurku kartkę papieru. – To moje upoważnienie, podpisane przez admirała Housera, przekazujące wszystkie towary w tej placówce wraz z personelem logistycznym pod kontrolę dowódcy lokalnej bazy. A pierwszą pozycją w moim raporcie będzie informacja, że jest pan głównojadem, który nie potrafi ruszyć z za biurka swojego tłustego zadka.

– Proszę mi to pokazać – rzucił major, porywając dokument.

– Chciałbym zauważyć, że to kopia oryginału. A jego lista dystrybucji obejmowała również pańskie biuro. A więc jest pan ewidentnie aż takim dupkiem, że nie zawraca pan sobie głowy czytaniem poczty. A teraz wstawaj i zabieraj się stąd.

– Nie muszę tego słuchać od pana, *kapitanie* – warknął major, rzucając dokument na biurko i wskazując na swój kołnierz. – Jestem *majorem*. Pan *kapitanem*. I zabraniam mówienia do mnie w taki sposób!

– Jestem *kapitanem* wysłanym przez pańskiego dowódcę z rozkazem, którego nie chce pan wypełnić – oświadczył Herzer, wciąż się uśmiechając, choć wymagało to od niego trochę wysiłku. – Myślę, że powinien się pan raczej zastanawiać, ile minut *pozostanie* pan majorem. Albo, wie pan, mógłby pan nareszcie ruszyć tyłek i zacząć się szykować na przybycie floty. Pański wybór.

– Jeszcze zobaczymy – warknął major. – Pański generał ma odpowiednie kanały do przekazywania tego rodzaju żądań. A wykorzystanie materiałów do celów pozaoperacyjnych *wciąż* stanowi naruszenie przepisów. Może mu to pan przekazać ode mnie. A teraz proszę się wynosić z mojego biura, kapitanie. Proszę się spodziewać raportu o niesubordynacji.

– Co? Znowu? – zdziwił się Herzer. – Do widzenia panu.

Herzer wyszedł z biura i budynku, w którym się mieściło. Pomimo faktu, że do portu zbliżała się powoli flota, której praktycznie kończyły się zapasy, dowództwa logistyki nie można by określić mianem miejsca

o wzmożonej aktywności. Prawdę mówiąc, w licznie obsadzonym biurze siedziało mnóstwo urzędników, którzy ewidentnie próbowali znaleźć sobie jakiegokolwiek zajęcie. Każdy z nich miał biurko, czego nie dało się powiedzieć o tymczasowej kwaterze głównej, i każdy miał własny plik papierów, nad którymi rzekomo pracował. Ale zdecydowana większość rozmawiała lub pracowała w sposób tak ewidentnie powolny, że wyraźnie próbowali po prostu jakoś zabić czas.

Kiedy wyszedł na słońce świecące na zewnątrz, dołączył do niego Destrang. Herzer odetchnął głęboko i potrząsnął głową.

– Jak myślisz? – zapytał, patrząc w stronę magazynów stojących wzdłuż nabrzeży.

– Cóż, w dowództwie wszyscy ganiają jak szaleni – odparł podchorąży. – Choć zdecydowanie nie wygląda na to, żeby ta gorączka dotarła i tutaj.

– Prawda – zgodził się Herzer, ruszając w stronę tymczasowego dowództwa floty. – Męczy mnie, że mogłem sobie z tym lepiej poradzić.

Edmund przeniósł pokój operacyjny z budynku klubu oficerskiego do namiotów ustawionych na pobliskim polu. Oficjalnym powodem było umożliwienie uczestnictwa smoków w dyskusjach, ale

Herzer podejrzewał, że chodziło także o pokazanie flocie jej właściwego miejsca. I zdawał sobie sprawę, że w tych podejrzaniach kryje się więcej niż jedno ziarnko prawdy.

Obszar został wydzielony linami i dookoła ustawiono żołnierzy piechoty morskiej zapobiegających wejściu nieautoryzowanego personelu. Mieli jednak dość rozsądku, by nie zatrzymywać adiutantów Talbota, a Herzer, przechodząc, kiwnął głową stojącemu na warcie sierżantowi.

– Uroczy dzień, nieprawdaż sierzancie? – odezwał się z uśmiechem.

– Uroczy. Szczerze mówiąc, nie mogę się doczekać deszczu.

W ciągu dwóch dni po spaleniu dowództwa Herzer znalazł czas, żeby poćwiczyć z piechotą morską. Przekonał się, że wedle standardów Panów Krwi są koszmarnie niedoszkoleni, choć zdawał sobie sprawę, że to bardzo wysoki standard. Żołnierze mieli jednak dobrą reputację i Herzera ciekawiło, czy ma ona jakieś realne podstawy. Świetnie radzili sobie ze zdobywaniem dla siebie barów, ale z piką czy krótkim mieczem nawet Van Krief mogła ich pokonać i nawet się przy tym nie spocić z wysiłku. To też w zasadzie powinien przedyskutować z Edmundem. Jeśli tylko znajdzie na to czas.

– Jak poszło? – zapytał księżę, gdy wszedł do namiotu zarezerwowanego dla dowódcy.

– Proszę się spodziewać raportu o moje niesubordynacji – poinformował go Herzer. – Coś na temat nazwania majora leniwym dupkiem.

– Cóż, był nim? I czy urządzimy imprezę dla powracających żołnierzy?

– Marynarzy – poprawił Herzer. – Nie, nie urządzimy, i owszem, był. Te materiały przeznaczone są na zaopatrzenie floty, nie na jakąś „frywolną imprezę”.

– To on tak myśli – mruknął Edmund. – Pokazałeś mu list? Nie dostał swojej kopii?

– Nie wiedziałem, czy ją dostał, czy nie – odparł Herzer, wzruszając ramionami. – Ale kiedy mu ją pokazałem, wciąż uznał za stosowne podkreślić, że takie wykorzystanie zasobów jest sprzeczne z przepisami. Podkreślił również, że na takie „żądania” są „odpowiednie kanały”.

– Och, doprawdy? – zapytał Edmund. – Już dwa razy wysłałem żądanie przez G-4. Myślę, że już czas, żebym sobie porozmawiał z zaopatrzeniem. – Edmund odchylił się na krześle i przez chwilę gładził brodę, po czym potrząsnął głową. – Nie, po namyśle jeszcze nie. Jak się nazywał ten major?

– Spearman.

Edmund sięgnął do biurka i grzebał w nim przez chwilę, aż wyciągnął schemat personelu.

– Chwileczkę. – Wyjął pióro i zaczął szybko pisać, zaglądając od czasu do czasu do schematu. Po chwili podał Herzerowi papier i wskazał na główny namiot. – Idź tam, niech zrobią z tego kopię, a potem zanieś ją do zaopatrzenia. Po prostu wręcz im ją i wyjdź.

– Natychmiast – potwierdził Herzer, zerkając na treść i potrząsając głową. – Kim jest porucznik Trahn?

– Według mojego schematu personelu, jest teraz moim szefem zaopatrzenia – wyjaśnił Edmund, patrząc na swoje biurko, praktycznie w całości pokryte papierami. – Miejmy nadzieję, że będzie miał dość rozsądku, by nie traktować mnie z pasywną niechęcią jak jego eks-szef.

Opuszczając namiot, Herzer uklonił się wchodzącemu do środka majorowi. Mężczyzna był wysoki i szczupły, gładko ogolony i z bardzo krótko przyciętymi włosami. Potrwało chwilę, zanim przypomniał sobie, gdzie go już widział.

– Panie majorze.

– Kapitan Herzer – powitał go Joel Travante. – Gratuluję awansu.

– Gratuluję i pańskiego... sir.

– Po bazie wojskowej znacznie łatwiej chodzi się w mundurze – stwierdził Joel, po czym

zmarszczył czoło. – Chciałbym kiedyś z panem porozmawiać.

– Na temat?

– W jakimś spokojniejszym miejscu – uśmiechnął się Joel. – Może pan nazwać... problemami walki lądowej.

– W każdej chwili. Jeśli akurat generał mnie czymś nie zajmie.

– Porozmawiam z nim – zapewnił Joel. – Życzę miłego dnia.

– Panu również. – Herzer odklonił się wchodzącemu do namiotu mężczyźnie.

– Kto to? – zapytał Destrang, gdy ruszyli do głównego namiotu.

– Nie jestem pewien, czy powinienem mówić – odparł Herzer, po czym wzruszył ramionami. –

To tajniak.

– Kto?

– Oficer wywiadu. Ale nie wiem, co tu robi.

# ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

– Witam ponownie... majorze – odezwał się Edmund. – Proszę usiąść.

– Dziękuję. – Joel usiadł nieco sztywno.

– Zarezerwowałem sobie większość popołudnia – mówił dalej Edmund, nalewając kawy do kubeczka. – Chce pan?

– Poproszę – odparł Joel, otwierając teczkę. – Sądzę, że nie muszę panu mówić o zachowaniu tajemnicy.

– Nie musi pan. Ale kto decyduje o możliwości przekazania informacji dalej, pan czyja?

– Chyba trzeba będzie to przedyskutować – przyznał Joel z uśmiechem.

– Jakiego nazwiska używa pan w tej chwili? – zapytał Edmund.

– Kołata – wyjaśnił Joel. – Kiedy pełnię oficjalne obowiązki, zazwyczaj przedstawiam się jako „T”.

Przed Upadkiem Joel Travante pełnił funkcję jednego z niewielu czynnych policjantów. Inspektorzy Rady byli niezależni i większość z nich pracowała tylko wtedy, kiedy miała ochotę. Ale wśród nich znajdowała się elitarna grupa Inspektorów Specjalnych. Kimś takim można było zostać, tylko rozwiązując najtrudniejsze sprawy w najlepszy możliwy sposób. W chwili Upadku Joel Travante pracował jako Inspektor Specjalny od czterdziestu lat.

Tuż przed światową katastrofą wybrał się na wyspy Asur, próbując odszukać seryjnego gwałciciela i mordercę. Przed Upadkiem popełnianie takich zbrodni wymagało sporo wysiłku, ponieważ wszystkich chroniły osobiste

Ipola ochronne, OPO. Sprawca uwodził młode kobiety, skłaniając je do wyłączenia tarcz, a później sprawiał im tyle bólu, że nie potrafiły nawet pomyśleć o ponownym ich uaktywnieniu.

Joel deptał już zbrodniarzowi po piętach, gdy ten zniknął, jakby się zapadł pod ziemię. Inspektor dotarł w końcu do informacji sugerujących, że morderca Przemienił się w krakena i ukrywa się gdzieś na dnie oceanu, pytanie brzmiało, którego? Zdołał wysledzić go do wysp Asur i przygotowywał się do polowania w głębinach, gdy nadszedł Upadek.

Po Upadku pracował na łodziach rybackich. Później, gdy wyspy przejęło Nowe Przeznaczenie, zabrał swoją małą łódź i pożegłował dwa tysiące kilometrów do Norau. Tam skontaktował się z Sheidą Ghorbani i wrócił do pracy. Tym razem nie jako inspektor, ale z początku jako pracownik jej powstającego wywiadu, później jego szef.

Lubił swoją pracę z kilku powodów. Po pierwsze docierały do niego *prawdziwe* informacje o świecie, niezależnie od jego aktualnego stanu. Po drugie w chwili Upadku jego żona i córka przebywały odpowiednio w Brytanii i Ropazji, a aktualna pozycja była jedyną, która mogła mu umożliwić zdobycie jakichś informacji na ich temat.

– Jakies wieści o pańskiej żonie i córce? – zapytał Edmund, podając mu kubek z kawą. – Mam mleko i cukier.

– Nie, dziękuję, poproszę czarną – odpowiedział Joel. – I, niestety, nie.

– Cóż, jeśli kiedyś uda się nam dotrzeć do Ropazji, liczę na to, że czegoś się dowiemy – wyraził nadzieję Edmund, ciesząc się, że jego żona i córka zdołały po Upadku dotrzeć do domu. Wyobrażał sobie, co musiał czuć Travante. – No dobrze, co pan dla mnie ma?

– Antysmocze fregaty wcale nie stanowiły niespodzianki – zaczął Joel. – Wysłałem opisy i schematy do wywiadu floty, który najwyraźniej uznał to za „niepotwierdzony raport”. Zdobyłem też informacje o ich smokowcach. Istnieją różnice w stosunku do naszych, niektóre moim zdaniem dość znaczące.

– A mianowicie?

– Mniejszy zasięg – wyjaśnił mężczyzna, wyciągając kartkę papieru. – Mogą pływać po morzu góra czterdzieści dni. Co więcej, moi analitycy twierdzą, że wyszkolenie ich jeźdźców smoków nie jest na najwyższym poziomie. Obawiam się, że potwierdza to ich niepowodzenie.

– Zniszczyli nam cztery smokowce – zauważył Edmund.

– Tak, sir, ale biorąc pod uwagę liczbę smoków, jaką mogą wypuścić – zabierają po czterdzieści pięć, co jest powodem krótszego czasu przebywania na

Imorzu – powinni być w stanie zatopić całą naszą flotę. Nie można uznać, żeby zbyt dobrze celowali.

– Cóż, racja.

– Niestety, w tej chwili mają ich sześć. Przyznaję, że ten dodatkowy smokowiec całkowicie mnie zaskoczył. Skupiałem swoje wysiłki na północnych portach, a ten został najwyraźniej zbudowany i wysłany z Bassay. Ich flota kieruje się teraz do portów, razem z tym z Bassay, który ma się połączyć z główną grupą. Złapał ich sztorm i mocno przetrzepał – wygląda na to, że ich żeglarze też nie są najlepiej przeszkoleni. Niektóre z ich lżejszych jednostek i jedna antysmocza fregata zostały zgłoszone jako zaginione.

– Ile mają fregat?

– Dziesięć, co tłumaczy nasze straty. Właściwie może nie powinienem pytać, ale czy zdoła pan jakoś uzupełnić straty?

– Ściągam wywerny, skąd się tylko da – przyznał Edmund. – Przeszkolenie ich i jeźdźców zabierze trochę czasu, ale nie tyle, ile może pan myśleć. Gdy tylko zdołają wylądować na smokowcu, wyślę okręty na dalsze szkolenie na morzu. I sądzę, że zdołam trochę naprawić sytuację zaopatrzeniową. Ale stocznie zostaną zmuszone do cholernego wysiłku.

– Może się pan spodziewać, że przeciwnik szybko przygotowuje się do drugiej rundy. Nie mam żadnych danych na temat ich planów. Jak dotąd udało mi się stworzyć całkiem niezłą siatkę w Ropazji, ale penetracja wyższych szczebli władzy jest powolna i niebezpieczna.

– Cóż, proszę nad tym pracować – westchnął Edmund. – Ma pan coś jeszcze?

– Właściwie całkiem sporo...

\* \* \*

Edmund odchyłał się na oparcie wygodnego fotela ze szklanką wina w dłoni i nogami opartymi na stole, gdy do drzwi rozległo się pukanie.

Spojrzał w ich stronę z irytacją i westchnął. Minęła już północ, a przez cały dzień i większość poprzedniego nieustannie się z kimś spotykał. Zdecydowanie nie miał ochoty na towarzystwo. Ale nie było nikogo innego, kto mógłby zareagować na pukanie. Odesłał Herzera i pozostałych, gdy wrócił do swojej kwatery. Odstawił kieliszek i podszedł, marudząc w duchu. Wyglądało na to, że nikt w całej bazie, a możliwe, że i flocie, nie ma zielonego pojęcia, jak ale na tym, zdaje się, kończył się ich horyzont. Nikt, z kim rozmawiał, nie potrafił myśleć w kategoriach niszczenia przeciwnika.

Dla Edmunda, który myślał o tym, nawet gdy nie miał przeciwnika do zniszczenia, przypominało to los jednookiego w królestwie ślepców.

Otworzył drzwi, przygotowany do zrugania intruza, po czym uśmiechnął się, widząc, że stoi przed nimi Shar Chang.

– Wrócę później – powiedział mężczyzna. Wykąpał się i założył nowy mundur, ale wciąż wyglądał na wyczerpanego długim lotem.

– Nie – zaprotestował Edmund gestem zapraszając gościa do pokoju. – Kazałem ci się zameldować, jak się tylko obudzisz. Jedną z rzeczy, której usiłuję nauczyć to przedszkole, to

koncepcja wykonywania pracy wtedy, kiedy musi być zrobiona.

– Żeglarze zasadniczo to rozumieją – zauważył Shar. – Sztorm nie dba o to, która jest godzina.

– Większość z tych ludzi żeglowała w czasach, gdy dokładnie wiedzieli, kiedy nadejdzie sztorm – przypomniał Edmund, nalewając wina do drugiego kieliszka. Podał go Sharowi, po czym usiadł, zapraszając go do tego samego.

– Racja – zgodził się Shar. – Wiesz, jak wybierano starszych oficerów?

– Nie. Wiem tylko, że wszyscy wywodzą się z tego samego klubu żeglarskiego.

– Co roku klub urządzał regaty, taki wyścig – wyjaśnił Chang, pociągając łyk wina i patrząc w sufit. – Wielkie wydarzenie. Zbierały się jachty z całego świata. Wielka impreza na koniec sezonu żeglarskiego. W każdym razie przy braku innych kryteriów starsi oficerowie zostali wybrani spośród kapitanów, którzy mieli najlepsze czasy w ostatnich regatach. Wygrał Draskovich, facet naprawdę potrafi żeglować. Kabadda zajął drugie miejsce, o włos, jeśli dobrze pamiętam. I tak dalej.

– Cudownie – skomentował Edmund. – I przypuszczam, że ich pierwsi oficerowie też zajęli odpowiednie miejsca?

– Och tak. Jeśli przebywali w okolicy. Trahn, zastępca w logistyce, jest również całkiem dobrym żeglarzem. Choć nie wiem, czy ma jakiegokolwiek pojęcie o zaopatrzeniu.

– Zobaczymy – powiedział Edmund. – Przyznaję, że są zupełnie nieźli w gromadzeniu jedzenia i części zamiennych. Ale musimy ich nauczyć *walki*. Wiedziałaś, że nie ma tu żadnego dowódcy morskiego? Każdy kapitan smokowca odpowiadał za własną grupę uderzeniową, a *Draskovich* dowodził flotą?

– Cóż, jest dowódcą floty, prawda? – zapytał Shar.

– Nie, był dowódcą północnego *Atlantyku* – sprostował Edmund. – Był. Nie powinien nadzorować bitwy. To zadanie dla dowódcy *floty*.

A kapitanowie smokowców są *kapitanami smokowców*. Nie mają kierować grupami uderzeniowymi. Wygląda to tak, jakby zupełnie nie znali pojęcia struktury dowodzenia. Mikro zarządzanie podniesione do n-tej potęgi.

– Czy to dlatego mnie tu wezwałeś? – zapytał Chang, kiwając głową w stronę swoich nowych gwiazdek. – Żebym został dowódcą morskim?

– Dowódcą floty – poprawił Edmund. – I żeby skorzystać z twoich rad. Ale nie jesteś na to przygotowany bardziej niż reszta kapitanów. Tak więc to, czym się zajmiesz w swoim niezmiernie obfitym wolnym czasie, to czytanie. Jest tu biblioteka i – z tego, co usłyszałem od jednego z moich podchorążych – pełno tam dobrych biografii. Chcę, żebyś przez najbliższy tydzień przestudiował biografię każdego admirała biorącego udział w walkach. I mówię o każdej chwili, kiedy nie śpisz i nie robisz czegoś ważniejszego. Dałbym ci listę, ale nie wiem, co dokładnie tam mają. Przynajmniej Halsey, Nelson i Provoock. Och, i podchorąży Van Krief ma biografię Slima. To żołnierz, nie marynarz, dziewczyna, ale myślę, że możesz się od niej nauczyć paru rzeczy. Jesteś na to gotów?

– Czytanie biografii nigdy nie było na pierwszym miejscu mojej listy sposobów na spędzanie wolnego czasu. – Chang wzruszył ramionami. – Ale jeśli myślisz, że to pomoże...

– Bardzo – zapewnił Edmund. – No dobrze, teraz potrzeba mi twoich rad. Nie w zakresie bitwy, a zarządzania flotą. Po pierwsze, czy *musimy* karmić wszystkich soloną wołowiną? W Raven's Mili zaczęliśmy puszkować jedzenie i legiony przerzucają się na puszkowaną żywność. Zbliża się czas zbiorów, gdybyśmy zbudowali przetwórnice żywności, moglibyśmy wsadzać do puszek, co tylko chcemy.

– Cóż, puszkowanie warzyw to doskonały pomysł – zgodził się Shar. – Ale na *Hazhirze* mamy coś lepszego na mięso – zamrażarkę.



– Zamrażarkę? – zdziwił się Talbot. – Czy tonie wymaga prądu? I czy Sieć po prostu go nie odsysa?

– Żadnej elektryczności. – Shar Chang uśmiechnął się. – Chłodzenie wymaga po prostu sprężania gazów. Wszystko, czego potrzeba, to pompy i rury. Evan znalazł dobre źródło pomp, w górę rzeki Gem, a rury produkowane są w dużych ilościach. Przerobienie jednostek nie jest nawet szczególnie skomplikowane. Trzeba po prostu osłonić termicznie dwie ładownie i proszę, mamy chłodnie. Można dowolnie przechowywać mięso. Nawet dla smoków.

– Co zmniejsza ilość potrzebnych dla nich materiałów. – Edmund z zadowoleniem pokiwał głową. – Można chłodzić piwo.

I– To też. – Chang uśmiechnął się szeroko.

– Co jeszcze?

– Pamiętasz miotacze ognia, których używaliśmy na *Richardziel*

– Nie było mnie tam, gdy ich używaliście – odparł Edmund, wzruszając ramionami.

– Cóż, drewniane łodzie stanowią prawdziwą pułapkę ogniową – Shar otrząsnął się. – Kiedy ta zagęszczona benzyna się zapali, prawie niemożliwe jest jej ugaszenie. Evan stworzył automatyczny system gaśniczy z zastosowaniem piany do gaszenia ognia. Można go podpiąć też do pomp przeciwpożarowych. *Hazhir* został dodatkowo wyposażony w podwodne „skrzydła”. To stara sztuczka regatowa, zapobiega dryfowi jednostki na zawietrzną. Przerobiliśmy też katapultę, tak że smoki zyskują większą prędkość startową, nie dostając przy tym takiego kopa. I mamy nowy system hamowania, ułatwiający smokom lądowanie. Kuchnie na biogaz, dzięki którym w trakcie sztormu nie musimy jeść zimnych dań, klimatyzację z chłodni i mnóstwo innych drobnych przeróbek, które ułatwiają życie i walkę.

– Czemu w takim razie nie ma tego na wszystkich smokowcach, ba, na wszystkich okrętach? – zdziwił się Edmund.

– Biuro projektowe nie zatwierdziło zmian – warknął Shar. – Prawdę mówiąc, kiedy wysłaliśmy im raport na temat tego, co robimy, kazali nam wszystko usunąć jako „nieautoryzowane modyfikacje”.

– Przypuszczam, że kazałeś im to sobie wsadzić tam, gdzie nie świeci słońce – uśmiechnął się Edmund.

– Nie, powiedzieliśmy im, że aktualnie brak miejsca w dokach, ale jak tylko zaistnieją warunki, wszystkie „nieautoryzowane modyfikacje” zostaną usunięte. Oczywiście dok w bazie Czarnobrodego nawet nie zmieści smokowca, a wszystko to mogliśmy zrobić siłami załogi. Czego nie omieszkali nam wytknąć. Wysłałem więc kolejną wymówkę. W niej też *znaleźli* dziurę. Posłałam następną. I tak dalej.

– Cóż, teraz ja wyślę notatkę – zapewnił Edmund. – Z informacją, że zamierzam ulepszyć wszystkie dostępne smokowce do poziomu *Hazhira*. Jeśli będzie na to czas.

– A będzie?

– Nie wiem – westchnął książę. – Myślisz, że *Hazhir* zdoła zniszczyć sześć smokowców?

– Nie – przyznał szczerze Shar, również wzdychając. – Nawet jeśli to ja obejmę dowodzenie.

– Cóż, może nie zostanie nam nic innego, niż się przekonać – powiedział Talbot. – *Hazhir* przez jakiś czas pozostanie naszym jedynym

106 *JohnRingo*

sprawnym smokowcem. Powinien tu dopłynąć góra za trzy dni. Kiedy dotrze, chcę, żeby Evan spotkał się z facetami ze stoczni i rozpoczął konwersję pozostałych smokowców floty do konfiguracji *Hazhira*.

– Spotkasz się z mnóstwem narzekających – zauważył Chang.

– Niech narzekają – mruknął Edmund. – Jeśli tylko nie przestaną przy tym pracować. A jeśli nie, cóż, potrzeba nam robotników do stoczni. Możemy tymczasem przerobić drednoty. Albo użyjemy ich do czegoś innego.

– Znów masz to spojrzenie – zachichotał Shar. – Ile czasu spędzasz, zastanawiając się, jak pokonać Nowe Przeznaczenie?

– A ile czasu nastolatek spędza myśląc o seksie?

\* \* \*

– Wezwałeś mnie, o wszechmocny – odezwał się Herzer, wchodząc do namiotu Talbota. – Swoją drogą, okropnie pan wygląda. Ile czasu poświęca pan na sen?

– Wyśpię się po śmierci – warknął Edmund. – Czemu jesteś taki radosny? Przespałeś się w końcu z Van Krief?

– Nie – zaprzeczył Herzer. – Ale pracowałem z piechotą morską. Wie pan, że nie mają tu formalnej placówki szkoleniowej?

– Tak, wiem. Właśnie na ten temat chciałem z tobą rozmawiać. W całej flocie nie ma *ani jednej* placówki szkoleniowej.

– Żadnej? – zapytał Herzer. – To jak oni uczą się swojej pracy? To znaczy, jak cokolwiek uczą się *oficerowie*?

– Przeważnie wcale. – Edmund westchnął, odrzucając pióro na biurko, zachlapując sobie przy tym atramentem kilka dokumentów. – Cholera. Właściwie to nawet nie wiem, od czego powinienem tu zacząć. Kompletnie niekompetentni przemieszani są tu z całkiem dobrymi ludźmi. Trahn w zaopatrzeniu okazał się bardzo bystry, ale oczywiście miał szefa krety. Rozmawiałem z Babakiemz G-3. Niniejszym awansujesz na majora i przydzielam cię do szkolenia personelu. Jeden z prawie gotowych drednotów zostanie na jakiś czas zacumowany, możesz go użyć do ćwiczeń sprawnościowych. Mamy ludzi, którzy chcą zostać marynarzami, ale nie mają pojęcia, na czym to polega, a jak dotąd całe szkolenie odbywało się już na pokładzie. Znajdź odpowiednie budynki i tereny. W tej chwili mam dla ciebie tylko tego drednota, ale zbierz jakichś instruktorów. Rozpocznij podstawowy kurs dla marynarzy. Życie w wojsku, podstawy życia na morzu, gaszenie ognia, przeżycie w wodzie. Zanim skończą szkolenie podstawowe, musisz znaleźć instruktorów do bardziej zaawansowanych tematów. G-1 ma listę specjalizacji. Do tych kursów też wyszukasz sobie instruktorów. A na razie, od tej chwili każdy, kto chce zostać oficerem, ma się wykazać służbą podczas

1 przynajmniej jednej misji floty lub wcześniejszym doświadczeniem. Dającym się zweryfikować. A potem pójść na kurs podstawowy, gdzie nauczy się wszystkiego na temat bycia oficerem na okręcie. Nie mam *zielonego* pojęcia, co to oznacza, ale coś wymyśl.

Herzer otworzył usta, żeby zapytać, gdzie u diabła ma znaleźć instruktorów, ale po chwili je zamknął. Edmund ewidentnie nie miał czasu na puste protesty.

– Chcę Van Krief – oświadczył zamiast tego.

– Masz ją – zgodził się Edmund. – Znajdź kogoś, kto cię zastąpi, gdy flota przygotowuje się do wypłynięcia. Shar obejmie dowodzenie, ale chcę, żebyś ty też popłynął. Och, i musimy mieć miejsce do szkolenia piechoty morskiej.

– Potrzeba mi personelu z floty – zauważył Herzer. – A oni raczej nie zechcą ich udostępnić. Będzie mi niezbędny *dobry* personel floty. I szkolenie jeźdźców smoków, proszę nie zapomnieć o tym. Powinien też być personel przeznaczony do obsługi smoków, jeźdźcy mają dość roboty. To wszystko musi zmieścić się gdzieś w schemacie personalnym floty. I biuro musi zatwierdzić

stanowiska i przydziały.

– Przygotuj listę – westchnął Edmund. – Załatwię sprawę z biurem. Po prostu uruchom szkołę.

Do roboty.

\* \* \*

– Cześć, Shar – przywitał się Evan Mayerle, wchodząc do ciasnego biura. – Chciałeś mnie zobaczyć?

Biurko Shara praktycznie w całości pokryte było papierami, a on sam z wyrazem wściekłości na twarzy czytał jakąś notatkę. Wręcz emanowała z niego chęć mordy. Ale uśmiechnął się do inżyniera i wskazał mu jedyne puste krzesło.

Evan Mayerle był średniego wzrostu brązowowłosym młodzieńcem z jasnoniebieskimi oczami, które niemal nieustannie wpatrywały się w coś poza zasięgiem wzroku innych ludzi. Wynikało to z tego, że zazwyczaj myślał równocześnie o dwóch lub trzech rzeczach *poza* rozmową, w której brał właśnie udział. Chang dobrze o tym wiedział, więc zamachał, by ściągnąć na siebie jego uwagę.

– Skup się na chwilę – poprosił. – Mam tu dla ciebie zadanie.

– Myślałem o systemie mes na *Hazhirze* – wyjaśnił Evan. – Wydaje mi się, że moglibyśmy go przeorganizować tak, żeby...

– Evan – prawie krzyknął ze śmiechem Chang. – Skup się.

– Och, racja – przyznał młodzieniec, patrząc na swego szefa i szerzej otwierając oczy. – Wezwałeś mnie tu, prawda?

1– Zgadza się. Słuchaj, Edmund chce, żeby wszystkie smokowce zostały przerobione tak jak *Hazhir*. Stocznie mogą się tym zająć równoległe z naprawami uszkodzeń, prawda?

– Tak przypuszczam – powiedział z namysłem Evan. – Ale instalacja systemu chłodzenia wymaga zdarcia części pokładu. Nic, czego nie da się naprawić, ale to praca na przynajmniej trzy dni.

– Skontaktuj się ze stoczną. Pokaż im zmiany. Dostali już informacje, że muszą to robić. Pogoń ich. Skup się *na tym*, nie na kolejnych zmianach. Musimy je zrobić *szybko*.

– A co z innymi jednostkami floty? – zapytał Evan.

– Jeśli będzie czas. Mam nadzieję, że go wystarczy.

\* \* \*

Wracająca flota zdecydowanie niedomagala. Żaglowce wpływały do zatoki grupkami, kotwicząc na przydzielonych im stanowiskach. Połatane żagle, naprędce naprawiane maszty, jasne plamy nowego drewna w miejscach, gdzie jednostkom zabrakło farby na pomalowanie, jasno zdradzały historię kompletnie wyczerpanych jednostek. Okrętów, którym brakowało morale, energii i cierpliwości.

Wywerny, które mogły latać, zdążyły już wylądować, a Edmund czekał na ich lądowisku. „Weyr” wywernów składał się z drugiego rzędu szop z ciągnącym się na całą ich długość wysypanym żwirem pasem o szerokości jakichś stu metrów. Na skraju wysypanego żwirem terenu ułożono na przybycie smoków ćwiartki wołów, po czym robotnicy opuścili teren, pozostawiając tylko po trzech żołnierzy piechoty morskiej na każdego wywerna. Żołnierze w pełnych zbrojach pomogli jeźdźcom ściągnąć ze smoków uprzęż, po czym puszczano je, by się najadły. Doszło do kilku walk między smokami i kilka wywernów w efekcie wymagało opieki medycznej, ale po najedzeniu się na wpół dzikie stworzenia uspokoiły się i pozwoliły się zaprowadzić do szop.

A około jednej czwartej mięsa pozostało jeszcze na słońcu – tylko jedna trzecia wywernów, które pożeglowały z flotą, zdołała wrócić o własnych siłach.

Teraz Edmund przyglądał się smokowcom przybijającym ostrożnie do pirsów przystani. Smoki,

które nie potrafiły samodzielnie przylecieć, były w fatalnym stanie. Mógł mieć tylko nadzieję, że dzięki dobremu nakarmieniu i opiece medycznej zdołają odzyskać siły i będą nadawać się do walki, gdy flota ponownie wypłynie. Poszukiwał wyvernów w całym Norau i przylatywały po jednym czy dwa, ale flota już wcześniej ściągnęła prawie całą dostępną populację. Nie wiedział nawet, czy udałoby mu się w pełni obsadzić te jej pozostałości, które wróciły do portu.

1W stronę żaglowców stojących na kotwicy sunęły szalupy ze świeżym jedzeniem. Załogi poinstruowano, by na noc zostały na pokładach. Rano sprowadzi sieje na ląd, a na południe zaplanowano zebranie.

Kapitanowie natomiast przyplływali łodziami na brzeg. Im kazano pozostawić na pokładzie pierwszych oficerów i zgłosić się na wstępne sprawozdanie. W przypadku kapitanów smokowców w towarzystwie najstarszego stopniem jeźdźca. Talbot musiał się przygotować na to spotkanie. Nie spodziewał się miło spędzonego czasu.

# ROZDZIAŁ JEDENASTY

Spotkanie trwało długie godziny. Nie istniał inny sposób na omówienie przebiegu bitwy i zdawał sobie sprawę, że to zaledwie pierwsze z całego szeregu zebrań. I sytuacja faktycznie wyglądała aż tak źle, jak się spodziewał.

Zebranie odbywało się w głównej jadalni klubu oficerskiego, ponieważ tylko w tej sali dało się pomieścić wszystkich kapitanów okrętów i sztab. Mimo to w sali było ciasno, a okna zostawiono zamknięte, więc panował tam piekielny upał. Nastroje też dominowały raczej gorące.

Reakcje ludzi wahały się od złości, właściwie furii, do całkowitej depresji. Szczególnie cicho siedział kapitan *Cowallisa*, zachowując się prawie jak w katatonii. Choć nadrabiał to energią jego starszy jeździec smoków major Bob Childress.

– Nie dostaliśmy *żadnego* ostrzeżenia – powtórzył Childress po raz szósty. – Po prostu poleciliśmy prosto na nich, na ślepo. Kiedy następnym razem przyjdzie do startów, jeźdźcy *będą* się denerwować. A to oznacza, że nie zbliżą się dość, by celnie zrzucić bomby.

– Jak możemy poradzić sobie z fregatami antysmoczymi? – zapytał Edmund.

– Nie wiem – rzucił gniewnie jeździec. – Zaatakować od dołu? Może trytony?

– Inne pomysły? – Edmund rozejrzał się po ludziach. – Tego wcale nie odrzucam, po prostu chciałbym mieć więcej opcji.

1– Zatopić je w pierwszej kolejności – zasugerował Chang. Większość zebrań spędził cicho, słuchając i robiąc notatki. Głównie na temat obronnego tonu odpowiedzi udzielanych przez sztab. – Wysłać uderzenie mające na celu wyeliminowanie właśnie ich. Tak, trzeba będzie bombardować z dużej wysokości. I uzyskamy niski procent trafień. Ale kiedy sieje wyeliminuje, smokowce staną się bardziej podatne na atak.

– Zakłada pan, *generale*, że zostaną nam jakieś smokowce, na których da się wylądować – warknął Childress. – Na wypadek, gdyby pan nie zauważył, oni też mają smoki.

– Dobrze, to wystarczy – uciał Edmund. – Flota *wyplynie* ponownie. I *zaatakujemy* okręty Nowego Przeznaczenia i *tym razem* wygramy. Czy smoki potrafią walczyć w powietrzu?

– Potrafią, ale nie są w tym zbyt dobre – wyjaśnił Childress. – A oni zdołali wyposażyć swoje w ogień.

– Srebrzaki.

– Edmund podniósł głowę, słysząc zupełnie nie znane sobie słowo rzucone przez Vickie Toweeoo. Była najstarszym stopniem pozostałym przy życiu jeźdźcem z *Richarda* i bardzo żałowała, że Jerry Riadou nie przeżył. Ale nic już nie mogła na to poradzić.

– Co to znaczy? – zapytał Edmund.

– Srebrzaki to jedna z trzech odmian wywernów – wyjaśniła Vickie. – To sprinterzy. My używamy wyłącznie powelli. Są czymś w rodzaju wywernów średniej klasy. Są jeszcze torejnos. To bardzo ciężkie wywerny, świetne na długie dystanse i potrafiące zabrać większy ładunek. Nie krzyżują się między sobą, to prawie jak trzy różne gatunki. Ale jeśli chce pan walczyć w powietrzu, to proszę użyć srebrzaków.

– Srebrzaki są za lekkie – zaprotestował Childress. – I zbyt płochliwe. *Oraz* mają naprawdę paskudny charakter. I mogą wytrzymać w powietrzu ile, godzinę?

– Dwie – uściśliła Vickie. -1 potrafią wymanewrować powelle. Po prostu nie lubisz ich, bo są ładniejsze.

– Są *niedorzeczne* – prychnął Childress.

– Ale i tak są najlepszymi smokami do walki powietrznej. – Vickie wzruszyła ramionami. –

Nawet jeśli są trochę... kolorowe. A nam potrzeba broni.

– Przydzielcie to zadanie waszym zastępcom – polecił Edmund. – Niech skontaktują się z Evanem. Choć i bez tego czeka go mnóstwo roboty.

– Musimy być w stanie chronić nasze smokowce, a równocześnie zaatakować ich jednostki – zauważył Chang.

112 *JohnRingo*

– Popracujemy nad tym – zapewnił Edmund. – Dobrze, w tej chwili nie mówimy już nic nowego. A najważniejszy punkt nie został właściwie poruszony: morale. Morale floty praktycznie nie istnieje. Właśnie podano nam nasze głowy na talerzu. Nowe Przeznaczenie wypuści swoją flotę z portów szybciej niż my. I w tej chwili mają nad nami przewagę liczebną. A więc w przyszłości zapewne będzie jeszcze trudniej. To nie ma znaczenia. Bitwa, którą właśnie przegraliśmy, wcale się nie liczy. Jedyna rzecz, która ma znaczenie, to kto opanuje Atlantyck, i to, przyjaciele, przypadnie *nam*. Zapamiętajcie to sobie. Ktokolwiek nie potrafi w to uwierzyć tak do głębi, lepiej niech zmieni zdanie. Niezależnie od tego, co stanie się dzisiaj, jutro, za tydzień czy za rok, to *my* zdobędziemy panowanie nad oceanem, a kiedy skończymy, żaden statek Nowego Przeznaczenia nie odważy się wychylić nosa z portu.

– Nie sądzę, żebyśmy potrafili tego dokonać – odezwał się kapitan *Corvallisa*. – Mają przewagę liczebną, więcej broni i, szlag, są w tym *lepsi* od nas!

– Jeśli tak właśnie pan uważa, w każdej chwili jestem gotów przyjąć pańską rezygnację – lodowato oświadczył Edmund. – Nie nauczy się pan lepiej grać w szachy, grając z kimś gorszym od siebie. I nie nauczy się pan lepiej walczyć, tocząc wojnę ze słabszym przeciwnikiem. Uczymy się na *porażkach*. Cóż, właśnie doświadczyliśmy czegoś, co armia nazywa „dobrą szkołą”.

– To nie jest *gra* – krzyknął kapitan, zrywając się na nogi. – Ludzie *zginęli*.

– Dlatego właśnie nazywa się to wojną – przypomniał Edmund z kamienną twarzą. – Ale to, co teraz zrobimy, to pokażemy im, że jesteśmy w niej lepsi od nich. A jeśli nie potrafi się pan z tym pogodzić, kapitanie, lepiej niech pan od razu odejdzie.

Mężczyzna patrzył na niego przez chwilę, po czym kiwnął głową i wyszedł z sali.

– Jeśli jeszcze ktoś uważa, że nie poradzi sobie z ciężką na nim odpowiedzialnością, proszę po prostu mnie o tym poinformować – oświadczył Edmund, rozglądając się po sali. – Płaci się wam ciężkie pieniądze właśnie za przyjęcie na swoje barki konieczności podejmowania trudnych decyzji. Nie tylko za przyjemność zabawy z waszymi okrętami. Nie za radość dowodzenia. Wszystkim nam płacą za przewodzenie naszym oddziałom, nawet kiedy jest to trudne. Za skłanianie ich do uwierzenia, że niezależnie od tego, jak zła jest aktualna sytuacja, poradzimy sobie z nią. I wygramy. To właśnie nazywa się „dowództwem”. A jeśli nie dajecie sobie z nim rady, i możecie przenieść się na statki handlowe. Codziennie wodują ich więcej. Jestem pewien, że błyskawicznie wypracujecie sobie drogę na szczyt. Ale jeśli chcecie tu zostać, musicie przyjąć na swoje barki odpowiedzialność, zrobić dobrą minę do gry i walczyć dalej. Sami wybierajcie.

Jeszcze raz rozejrzał się po sali, po czym kiwnął głową, gdy nikt więcej się nie podniósł.

– Tej nocy załogi zostają na pokładzie. Jutro rano zbiorą się na wybrzeżu. Zagra muzyka i jeśli tylko zdołam to zorganizować, pojawią się dziewczęta. Ja, generał Chang i dowódcy smokowców wygłoszą przemówienia. *Będą* podniosłe mowy pod hasłem „jasne, skopali nas, ale wrócimy do gry i zmieciemy tych sukinsynów”. Potem urządzimy dzikie przyjęcie. Nie weźmie w nim udziału piechota morska, bo ktoś musi pilnować porządku i tłumić awantury. Chcę, żeby cała flota upiła się do nieprzytomności nie później niż do północy. Przypuszczam, że przynajmniej przez następne dwa dni wszyscy zajmą się leczeniem kaca. Lekka praca i dużo przepustek. Potem zaczniemy wszystko

odbudowywać.

– A co się stanie, jeśli w tym czasie zaatakuje nas Nowe Przeznaczenie? – zapytał kobiecy głos z tyłu sali.

– Ich flota, *cała* – podkreślił Edmund – wróciła do portów, tak jak nasza. Kiedy wypłyną, dowiemy się o tym. Odbudujemy naszą flotę, a potem ruszymy się i skopiemy tyłek Nowemu Przeznaczeniu albo nie nazywam się Edmund Talbot.

\* \* \*

Impreza zdecydowanie okazała się strzałem w dziesiątkę.

Grały orkiestry. Wygłaszano przemowy. Powiewały flagi i serpentyny. Rozbrzmiewały głośne gratulacje i przewidywania rychłego zniszczenia floty Nowego Przeznaczenia. Nic z tego za bardzo nie pomogło, z drugiej strony czekały też olbrzymie beczki piwa, ponad sto pieczonych świń i wołów oraz masy świeżego jedzenia.

Gdy tylko zostali zwolnieni, marynarze rzucili się na jedzenie i piwo jak stado wygłodniałych wywernów.

Prawie przez cały dzień Edmund przechadzał się wśród tłumów. Ścisnął dłonie jak polityk. Rozmawiał z grupami oficerów, dowódców, podoficerów, bosmanów i zwykłych marynarzy. Każdemu przekazywał ten sam komunikat: Wrócimy. I tym razem nie zostaniemy pokonani.

Mówił o znaczeniu każdego elementu struktury. O tym, że gońcy w dowództwie są równie ważni, jak admirałowie. Że kucharze na okrętach są podstawą floty. Że ludzie w takielunku są jej ścięgna. Mówił, aż całkiem ochrypl.

Kiedy słońce zaszło, zwolnił. Większość marynarzy wypija już zbyt wiele, by być w stanie rozpoznać, z kim rozmawia. Załogi kompletnie się wymieszały. Połowa załogi z okrętu *Toshima Maru* wszczęła bitwę z marynarzami z *Corvallisa* i musiał interweniować pełen pluton piechoty morskiej z Herzerem na czele, żeby ich rozdzielić. Kapitan *Richarda* musiał zostać odniesiony do lazaretu po tym, jak spadł z beczki z piwem, demonstrując właściwe techniki jazdy na smoku.

Pomyślał o armiach, które odniosły porażki, ale w końcu wygrały. Większość z nich spędziła miesiące, nawet lata, na ponownym szkoleniu i zmianie wyposażenia tak, że w końcu mogły pokonać wroga, który uprzednio z nimi zwyciężył. Zazwyczaj też kilkakrotnie zmieniali dowódców. Ale oni nie mieli lat, ani nawet miesięcy. W najlepszym razie tygodnie. Edmund musiał wziąć tę broń i nadać jej właściwy kształt w ciągu krótkiego czasu, jaki dowódcy zazwyczaj poświęcali na poznanie swojej jednostki.

Na szczęście spędził dużą część swego życia jako kowal. I nieraz już przejmował pokonaną armię. Pierwszą rzeczą, którą należało zrobić, to dać się poznać jako osoba, ktoś, komu żołnierze mogli zaufać. Wiązało się ich jak węgiel do żelaza.

A potem spuszczało się młot.

\* \* \*

– Czołem, chiefe – odezwał się Herzer.

Znalezienie Brooksa zajęło mu sporą część dnia. Mężczyzna oddalił się wraz z grupą innych bosmanów i zaszedł już dość daleko na drodze do rekordu w upiciu się.

– Herzer! – wykrzyknął, odrywając się chwiejnie od towarzystwa zebranego wokół beczki z piwem. – Stary!

– Miło widzieć, że pan to przetrwał. – Herzer uśmiechnął się szeroko. Poznał starszego bosmana podczas misji do syren i od razu polubił twardego, zdolnego podoficera. Był młodszy od Gunny'ego Rutherforda przynajmniej o stulecie, ale równocześnie należał do nielicznych we flocie

ludzi, którzy naprawdę rozumieli, że toczy się wojna. I jakie niesie to ze sobą konsekwencje. Dlatego właśnie Herzer teraz go szukał.

– Zaaaatkował nas k...k...klejny kra... kra... pieprzona ośmiornica – wyrzucił z siebie bełkotliwie bosman. – ŻADEN PROBLEM! – Roześmiał się i spróbował usiąść na odwróconej beczce, jednak na nią nie trafił.

– Zajął się pan nim, prawda? – zapytał Herzer, podciągając go z ziemi i sadzając na beczce.

– Jjjjasne – zapewnił bosman. – Gdzie moje piwo? Jjjjasne, żaden problem. Wyyyszkołem moich ludzi, jjjjak należy. Gdzie moje piwo?

Herzer podniósł przewrócony kufel i napełnił go, po czym podał chiefowi.

– Cóż, cieszę się – powiedział. – Bo nie popłynie pan na kolejną misję.

– Cooo? – prawie wykrzyknął chief, patrząc na niego spode łba. – Kiedy pan został majorem? I czemu nie wypływam? Muszę, do tego są chiefowie!

– Niedawno – przyznał Herzer. – A nie wypłynie pan, bo dostał pan robotę na brzegu, ze mną.

– Nie ma mowy – oświadczył chief. – Służba *na lądzie!*

– Tak, został pan nowym bosmanem sztabowym Placówki Szkoleniowej Floty. Gratuluję.

– Nie ma mowy – oświadczył bosman z czkawką. – NIE!

– Ależ tak – zapewnił go nowo mianowany major. – Zobaczymy się pojutrze, o poranku w dowództwie. Nie *za* wcześnie.

– Neeee mogę uwierzyć, że zrobił mi to *przyjaciel*. – powiedział płacząco bosman, pociągając kolejny łyk piwa. – To wymaga porządnego upicia się.

– Polubi pan to – obiecał Herzer. – Bystrzy młodzi ludzie, którzy nie mają nawet pojęcia, jak się wiąże węzły. *A pan* zostanie ich nauczycielem.

– O cholera – jęknął chief. – Naprawdę, *naprawdę* się upić. Ty draniu.

– Tak jest. – Herzer uśmiechnął się szeroko. – Muszę już iść. Pojutrze. Proszę się nie spóźnić.

\* \* \*

Tom Ennesby był głównym inżynierem stoczni marynarki praktycznie od chwili jej powstania. Zbudował pierwsze smokowce i uważał, że są dobrymi jednostkami. Potrzebował przynajmniej tygodnia na zapoznanie się ze wszystkimi zmianami wprowadzonymi na *Hazhirze*, ale w końcu ze zdumieniem potrząsnął głową.

-1 zrobiliście to wszystko w bazie *Czarnobrodego*? – zapytał.

Z zewnątrz okręt prawie nie różnił się od zwykłego smokowca klasy *Bonhomme Richard*. Wyrzutnia startowa na bakburcie została wydłużona o jakiś metr, a doświadczone oko wychwytywało lekkie zmiany w olinowaniu. Ale większość modyfikacji wprowadzono wewnątrz kadłuba lub poniżej linii wody.

– Cóż, instalacja skrzydeł nie była prosta – przyznał z uśmiechem Evan Mayerle. – Ale mieliśmy trytony do pomocy.

Kiedy żaglowce płyną w dowolnym kierunku, oprócz równo z wiatrem, mają skłonność do dryfowania od wiatru, na zawietrzną. Istnieją różne sposoby zapobiegania temu, ale Evan postanowił wykorzystać duże skrzydła z okutego miedzią drewna, sterczące pod kątem z kadłuba okrętu. Obejrzenie ich wymagało od inżyniera zanurkowania przy burcie jednostki.

1Zmarł przy tym, ale sporo się dowiedział. Zamontowano cztery skrzydła, po dwa na dziobie i rufie. Ich obecność nie powodowała zwiększenia zanurzenia jednostki, ale gdy okręt płynął w przechyle, działały jak miecze redukujące dryf na nawietrzną.

Wprowadzono też tuziny innych, drobniejszych zmian, a Evan przygotował szczegółową listę wraz z sugestiami, jak można zrobić każdą z nich.



– Czy admirał chce przerobienia tylko smokowców...? – zapytał inżynier, patrząc na listę i licząc w duchu związane ze zmianami roboczogodziny.

– Na razie tylko smokowce. Jeśli będzie dość czasu, zajmiemy się też fregatami i krążownikami. Ale jest jeszcze coś.

– A mianowicie?

– Potrzebujemy własnych statków do zwalczania smoków – oświadczył Evan. – I kiedy tak patrzę na te tkwiące tu drednoty...

– Cristo, to oznaczałoby całkowitą przeróbkę takielunku! – jęknął Ennesby. – Przy tym, jak w tej chwili są urządzone, nie da się z nich strzelać do góry.

– Prawdę mówiąc, mamy całkiem niezłe rysunki fregat Nowego Przeznaczenia – oznajmił z dumą Evan.

– Mamy?

– Owszem, mamy. I nie, nie mam pojęcia skąd. Mamy też specyfikacje ich balist i niektóre rzeczy mi się w nich podobają, inne nie. Myślę, że możemy zrobić lepsze. A nawet znacznie lepsze. Ale nie wiem, czy uda się nam to w dostępnym czasie.

– Cóż, proszę mi tu przynieść te plany i zobaczymy, co zobaczymy – poprosił Ennesby, zacierając ręce. – Co jest złego w ich balistach?

– Są bardzo mocno oparte na modelu rzymskim – wyjaśnił Evan. – Włącznie z użyciem ścięgien w charakterze systemu elastycznego. Wie pan, jaki wiąże się z tym problem?

– Jak u diabła zachowują je suche na okręcie? – zapytał inżynier. – Nie wydaje mi się, żeby dobrze sobie z tym radzili. Prawdopodobnie przechowują je dobrze osłonięte, ale wilgotność i tak musi na nie wpływać.

– Tak samo będzie z naszymi – zauważył Ennesby.

– Tylko jeśli też użyjemy balist. Zamówiliśmy mnóstwo rur i pomp do chłodni, prawda?

– Owszem – westchnął inżynier. – Nie uwierzyłby pan w ich koszt. – Hmmm...

– O czym pan myśli? – zapytał Ennesby.

– Zastanawiam się, na jakie maksymalne ciśnienie pozwoli nam Matka – odparł Mayerle z wciąż nieobecny spojrzeniem.

– Witam w Ciśnieniu 101 – odezwał się Herzer, uśmiechając się do mieszanej grupy podoficerów i oficerów ciasno wypełniającej niewielki pokój. Pomieszczenie mieściło się na parterze dwupiętrowego „tymczasowego” budynku, który został wzniesiony przez inżynierów bazy zaledwie w dwa dni. Ściany wciąż ociekały sokami, a podłogze sporo brakowało do równości. Herzer przypuszczał też, że przy pierwszym deszczu dach zacznie przeciekać jak sito. Ale mieli dom.

– Większość z was mnie zna, ale i tak się przedstawię. Jestem kap...

– Ugryź się w język! – zawołał chief Brooks z tyłu pokoju.

– Racja, *major* Herzer Herrick – poprawił. – Przydzielono mi zadanie zorganizowania placówki szkoleniowej dla marynarzy i żołnierzy piechoty morskiej. Ja z kolei poprosiłem o wąs. – Wyszczерzył się szeroko w stronę zebranych, ale w oczach zachował powagę. – I *stworzymy* taką placówkę, która *zadziała*, choć mamy równo tydzień, zanim zjawi się tu pierwsza grupa rekrutów. Wypadałoby więc zacząć pracę najszybciej, jak to możliwe. Tymczasem chcę, żeby jedno było jasne. *Kompletnie* nie znam się na żeglowności. Ale jestem produktem, i pracowałem jako instruktor jedynej profesjonalnej szkoły wojskowej w Norau. A podstawy są takie same. Trzeba wziąć dzieciaki, które nigdy nie musiały słuchać rozkazów, i nauczyć je, jak najpierw słuchać, a dopiero później zadawać pytania. Robi się to przez odarcie ich ze wszystkiego, co wiedzieli o życiu w cywilu. Równocześnie buduje się wokół nich nową strukturę honoru i dyscypliny. Poddaje się ich jak najcięższym

wyzwaniom tak, że kiedy skończymy, a ich statek zostanie zaatakowany przez smoki albo odwiedzi ich kraken, automatycznie wykonają rozkazy. Równocześnie chcemy zachęcać ich do inicjatywy. Trudno to zrównoważyć. Niektóre dzieciaki, i wszyscy takich znacie, przychodzą tu z dzikimi pomysłami, które są kompletnie chybione. Z drugiej strony niektórzy z nich niemal instynktownie robią to, co należy. Jedną z rzeczy, którymi się zajmujemy, to wyszukiwanie dzieciaków do kursu przyspieszonego. Musimy więc dokonywać jak najlepszej, szczegółowej oceny wszystkich rekrutów. Tak naprawdę chodzi o to, żeby – kiedy już trafią do floty – nie trzeba im było wyjaśniać najprostszych zadań, bo będą je mieli opanowane do perfekcji. W tej chwili myślę o następującym schemacie. Przez pierwszy tydzień podstawowe oceny i zaznajomienie się. Następnie cztery tygodnie szkolenia w podstawach życia na morzu i ostry trening fizyczny. Potem ostatni tydzień – żegluga z minimalną załogą wyszkolonego personelu i specjalistów. Do tego czasu powinni osiąść już wszystkie podstawowe Umiejętności marynarzy, w rodzaju wspinania się na maszty, wiązania lin, i podnoszenia żagli i tym podobnych. To wy musicie stworzyć listę – oznajmił, rozglądając się po pokoju. – Do końca tygodnia musimy mieć gotowy

program intensywnego szkolenia. Wszystko, czego musicie uczyć ludzi, którzy pierwszy raz znajdują się na pokładzie. Potem trafiana kolejne sześć tygodni na kurs zaawansowany. Niektórzy z was zajmą się również przygotowywaniem i tego wyższego kursu.

– Pytanie? – odezwał się jeden z poruczników. – Proszę.

– Powiedział pan „trening fizyczny” – niepewnie odezwał się porucznik. – Wiem co nieco o szkoleniu Panów Krwi...

– Nie szkolimy Panów Krwi – uciął Herzer ze złowieszczym uśmiechem. – Szkolimy marynarzy. Gdybyśmy szkolili Panów Krwi, codziennie urządzalibyśmy marsze i biegi z plecakami. Ponieważ szkolimy marynarzy... Jednym z pierwszych zadań pierwszej klasy stanie się wzniesienie Masztu. I tak, z dużej litery. Zmontują i postawią kompletny maszt z magazynów. Z rejami, żaglami, takielunkiem, wszystkim. Potem każdego ranka będą się na niego wspinać. Myślę, że to odpowiedni trening fizyczny dla marynarzy, prawda?

W pokoju rozległy się chichoty, ale Herzer zauważył, że Brooks patrzy ponuro.

– I tak, my też musimy się na niego wspinać – dodał Herzer. – Przynajmniej, by dowieść, że potrafimy. Chodzi o to, żeby każdy człowiek opuszczający progi tej szkoły wiedział, że u podstaw jest marynarzem. Muszą odbyć przynajmniej krótki rejs, żeby nauczyli się radzić sobie z chorobą morską i pracować pomimo niej. Podczas rejsu czeka ich praca z żaglami, i niezależnie od tego, gdzie skończą później, muszą poznać podstawy. Chcemy tu stworzyć więź, która zjednoczy wszystkich we flocie.

Rozejrzał się po twarzach zgromadzonych i potrząsnął głową.

– Ostatni punkt, i wolałbym nie musieć o tym mówić, ale powiem. Wszystkie tego rodzaju jednostki borykały się z problemami molestowania seksualnego od czasu, gdy tylko dopuszczono do nich kobiety. I to w pełnej gamie, od mężczyzn molestujących kobiety, do kobiet molestujących mężczyzn. Problem polega na tym, że instruktorzy będą w całkowicie kontrolować życie uczniów, a to sprawi, że niektórych może korcić, by... skorzystać z tej władzy. Niektórzy z uczniów spróbują też przekupywać instruktorów, korzystając z seksu. – Rozejrzał się wokół i zobaczył na twarzach zaskoczenie i odrazę. – Przyjmijcie to do wiadomości. Takie jest życie. I nie mówcie mi też, że nic takiego nie miało miejsca na pokładach waszych jednostek. Czytałem raporty. Chciałbym jednak jasno i wyraźnie oświadczyć, że jeśli coś takiego wydarzy się na mojej wachcie, sprawię, że osoba dysponująca władzą pożałuje dnia, w którym się narodziła – mówił dalej z kamienną twarzą. – Z władzą wiąże się odpowiedzialność. Miałem już nieprzyjemność zetknięcia się z tego rodzaju

sytuacjami i wiercie mi, nie ma usprawiedliwienia dla nadużycia. Żadnego. Kompletnie. Trzymajcie fiuty w spodniach. Równocześnie chciałbym zapewnić, że oskarżenie nie jest dowodem. Choć tego rodzaju śledztwa pochłaniają mnóstwo czasu, zostawiając po sobie mnóstwo smrodu. Zasadniczy przekaz jest taki: nie dopuście do sytuacji, w której moglibyście zostać oskarżeni. Jeśli udzielacie konsultacji, upewnijcie się, że dojdzie do tego w obecności świadka. Tę część rozkazów napiszę wraz z panią podchorążą Van Krief. To w tej chwili wszystko. Jakieś pytania, wątpliwości, komentarze?

– To nie pomoże w zbliżającej się bitwie – rzucił bosman Brooks.

– Nie, ale zakłada pan, że zdobędziemy kontrolę nad morskimi szlakami w jednej bitwie – wyjaśnił Herzer. – Powiedzmy, że książę Edmund patrzy na sytuację w szerszej perspektywie. Szkolenie stanowi jedną z podstaw każdej organizacji wojskowej. Im więcej ćwiczysz, tym mniej krwawisz. Tak więc poddamy ich tak ostremu szkoleniu, jakie tylko zdołają wytrzymać. Ponieważ, kiedy przyjdzie do samej służby, niewątpliwie okaże się cięższa.

# ROZDZIAŁ DWUNASTY

- Dobry Boże, a ja myślałem, że szkolenie jest ciężkie – rzucił Tao, gdy do pokoju weszła Van Krief. Podchorąży zdejmował właśnie swój mundur polowy.
- Pewnie należało zapukać – powiedziała z uśmiechem Van Krief.
- Co? Masz czas na pukanie? – zdziwił się Tao.
- Nie widziałam cię od tygodnia – odparła dziewczyna, ściągając tunikę. – Co kazali ci robić?
- Edmund zesłał mnie na piechotę morską – wyjaśnił Tao. – Ćwiczyliśmy techniki abordażu i jego zwalczania. Herzer miał rację, są koszmarnie niedoszkoleni. Ładnie maszerują, ale nie mają zielonego pojęcia, co robić ze swoimi różnami. A co z tobą?
- Mniej więcej to samo, ale szkolę instruktorów. – Van Krief roześmiała się. – Powinieneś był zobaczyć ich miny, gdy użyłam terminu „konspekt”. A co to?”
- Tao roześmiał się i pokiwał głową.
- Harmonogram szkolenia? A co to takiego? *Planować* nasze szkolenie? To żart, prawda? Przyznaję, mają podręcznik do ćwiczeń. W końcu udało mi się przekonać dowódców kompanii do korzystania z technik Gunny’ego.
- Oooh, muszą cię uważać za straszego drania – mruknęła Van Krief, zakładając świeży mundur.
- Taki los instruktora – przyświadczył Tao z równie szerokim uśmiechem. – I co piątek urządzamy test. Mówimy im, jakie obejmie zagadnienia. I przydzielamy sierżantom czas na ćwiczenie ich ludzi.
- 1– Zdziałało?
- Powoli do czegoś się zbliżamy. – Pierwszy raz próbowaliśmy tego w zeszłym tygodniu. Tylko jedna drużyna potraktowała mnie poważnie. Dostali przepustkę do miasta, a reszta ćwiczyła i wykonywała zadanie prawie do północy. Mówię ci, świetna zabawa. I zauważyłem, że w tym tygodniu spędzają znacznie więcej czasu na szkoleniu, a znacznie mniej na obijaniu się w koszarach. Zobaczymy w piątek.
- Czemu się tak odstawiasz? – zapytała Van Rrief.
- Och, muszę – zapewnił Tao, polerując buty i poprawiając ułożenie nogawek. – Element tradycji Panów Krwi. Najgorszy przeciwnik w walce i najlepiej ubrani żołnierze, jeśli akurat nie zajmują się treningiem lub walką. Właśnie udało mi się udowodnić całej grupie podoficerów piechoty morskiej, że nawet *razem* nie są w stanie mnie pokonać. Teraz zamierzam przez resztę dnia wyglądać lepiej od nich. Dam im powody do rozważań.
- Jesteś wredny – oceniła z rozbawieniem Van Krief.
- Skoro już o tym mowa, jak ci idzie z Herzerem? – zapytał Tao.
- Ugryź się w język – warknęła kobieta. – To mój szef. Nic z tego.
- Cóż, może ktoś wykaże się dostateczną inteligencją, żeby rozdzielić was na tyle, żebyś mogła się na niego wspiąć. – Tao uśmiechnął się szeroko i uskoczył przez drzwi chwilę przed tym, jak uderzył w nie but.
- Też bym tego chciała – mruknęła pod nosem dziewczyna, poprawiając tunikę. – Też bym tego chciała.
- Życzeniowym myśleniem jest wiara, że w obecnej sytuacji jesteśmy w stanie decyzyjnie wygrać bitwę, admirale – oświadczył generał Babak. Oficer operacyjny wyglądał tego ranka wyjątkowo blado. – Stosunek sił...
- Stosunek sił to termin często wykorzystywany na usprawiedliwienie tchórzostwa lub braku

wyobraźni – odrzekł otwarcie Edmund. – Zgadzam się, że w tej chwili trzymamy ten gorszy koniec kija, ale sposobem na to jest odwrócenie go.

– Mają przewagę liczebną personelu – zauważył generał Pięt. – Doznali w bitwie stosunkowo niewielkich strat, a nam brakuje ludzi. Nawet jeśli zdobędziemy dość smoków, by wypełnić wszystkie stanowiska, wielu jeźdźców nie chce pełnić służby na morzu.

– W takim razie można ich zostawić na lądzie do czasu zebrania większej liczby smoków – zdecydował Edmund. – I znajdziemy rekrutów, którzy polecą na smokach. Tak, wyszkolenie ich nie będzie proste. Ale to już zadanie dla G-3.

II

II

1– Nie mamy *instruktorów* – warknął Babak. – Ani budynków. Prowadzimy ćwiczenia ze smokami, korzystając z przeszkolonych jeźdźców floty i jednego smokowca!

– Generale, za kilka tygodni Nowe Przeznaczenie znów wyprowadzi swoją flotę z portów – powiedział spokojnie Edmund. – Co chciałby pan, żebyśmy zrobili? Siedzieli na tyłkach w zatoce i pozwolili się osłaniać tym smokom, które już mamy? Są inne zatoki, inne porty. A *celem* tego wszystkiego jest zatrzymanie ich sił inwazyjnych. Z zatoki tego nie dokonamy. – Rozejrzał się i ściągnął brwi. – Zaczyna do was, panowie, docierać, czemu bycie generałem wcale nie jest takim wspaniałym zajęciem. Wróg jest tak nazywany z jakiegoś powodu. Nie wystawia się na strzał. Ciężko pracuje, starając się uniemożliwić nam podjęcie walki, równie ciężko, jak my staramy się znaleźć sposób *na* walkę. A przynajmniej powinniśmy pracować. Generale Babak, czy pański wydział *pracował* nad planami bitwy?

– W tej chwili w najlepszym razie mamy trzy smokowce wobec ich sześciu – z ostentacyjną niechęcią odparł Babak. – I mają te cholerne antysmocze fregaty. Analizowaliśmy różne scenariusze, ale żaden z nich nie daje szansy na zwycięstwo.

Edmund zamknął oczy i poważnie potrząsnął głową.

– Generale, pozwoli pan, że o coś zapytam. Czytał pan kiedyś jakieś prace na temat historii wojskowości?

– Cóż... – powiedział zapytany. – Nie. A o co chodzi?

– Chodzi o to, że historia wojskowości pełna jest przykładów słabszych sił pokonujących, a przynajmniej zatrzymujących znacznie silniejszego przeciwnika. – Edmund splótł palce i oparł na nich brodę, zamykając przy tym oczy. – Generale, proszę wraz ze swoimi planistami przyjść dziś wieczór do mojej kwatery. Porozmawiamy sobie. – Otworzył oczy i wrzucił ramionami. – Jeśli nawet przyjdzie mi uczyć każdego z was, zrobię to. Generale Hanour, pańskie szacunki na temat czasu potrzebnego Nowemu Przeznaczeniu do ponownego wypłynięcia.

– Cóż, technicznie rzecz biorąc, mogą wypłynąć w każdej chwili – poinformował oficer wywiadu. – Ale szacujemy, że nie zrobią tego jeszcze przynajmniej przez dwa tygodnie. Tyle czasu zajmie naprawienie wszystkich uszkodzeń powstałych w wyniku sztormu.

– Panie Ennesby, kiedy zostanie zakończony remont smokowców? Inżynier stoczniowy nie brał wcześniej udziału w zebraniach sztabu. Ale

ponieważ ku potajemnej radości Edmunda nie uczestniczył w nich przedstawiciel biura projektowego, zaprosił tu Toma Ennesby'ego.

1 Przy obecnym tempie prac jeszcze sześć dni – poinformował mężczyzna, zaglądając w notatki. – Ale potrzeba kolejnego dnia na załadowanie usuniętych zapasów.

– A drednoty?

– Blżej dziewięciu dni – przyznał Ennesby, wzruszając ramionami. – Więcej pracy i brak nam materiałów oraz personelu przeszkolonego do tego rodzaju roboty. Ale ponieważ nie przerabiamy kadłubów, tylko pracujemy na pokładach, można je równolegle ładować i obsadzać *załogą*.

– Te jednostki *nie mają* jeszcze załóg – prawie jęknął szef personelu. – Ani kapitanów czy podoficerów.

– Proszę ich znaleźć – polecił Edmund. – Jeśli będzie trzeba, zdjąć ze statków kupieckich. I nie interesuje mnie, czy będziemy musieli ich wcielić przymusowo. To konieczność. Wyjdziemy z tej bitwy przynajmniej remisowo, a jeszcze lepiej zwycięsko. Wiem, ponieważ nie przegrywam bitew. Nigdy. I wbijcie to sobie do głów, że wy też nie przegracie.

\* \* \*

Gdy uczestnicy narady zaczęli wychodzić, Edmund dalej przeglądał dokumenty odprawy, podnosząc wzrok dopiero, gdy generał Babak odchrząknął.

– Tak, generale? – zapytał spokojnie Edmund.

– Admirale, nie sędzę, żebym potrafił wykonywać tę pracę – oświadczył otwarcie Babak. – Od początku tego nie chciałem. Jestem żeglarzem. Mogę dowodzić żaglowcem, ale ma pan rację, kompletnie nie znam się na prowadzeniu wojny. Chcę degradacji do kapitana. Pierwszy oficer *Corvallisa* jest kompletnie zielony, a nie ma tam nikogo innego, kto zna statki równie dobrze jak ja.

Edmund odchylił się na oparcie krzesła i westchnął, pocierając brodę.

– Odmawiam – powiedział i uniósł rękę, żeby *zatrzymać* natychmiastową reakcję. – Czy potrafi pan dowodzić statkiem? Jasne. Jest pan dobrym żeglarzem. Dobra. Ale *spotkałem* pańskiego zastępcę. Nie jest ani trochę lepszy od pana. Nie winie pana za to, bardziej Boba Housera i do pewnego stopnia Sheidę. Do tej pory należało was przeszkolić przynajmniej w *teo-*

*Irii*. Ale podstawowy problem polega na tym, że nie ma pana kto zastąpić. Pan przynajmniej orientuje się już, na czym polega pańska praca. Jeśli przydzielę ją komuś innemu, trzeba mu będzie wytłumaczyć, czym jest planowanie operacyjne. Myśli pan, że jest jedyny? Ja też chcę dowodzić w polu. Nie tym... koszmarem „dowództwa północnego Atlantyku”. Chcę regimentu, może batalionu. Chcę rozmawiać z żołnierzami, rozwiązywać ich problemy i szkolić ich. A potem użyć w bitwie. Właśnie to tak naprawdę kocham, nie to... – Wskazał na leżące przed sobą dokumenty. – Nie te *śmieci*. Ale idziemy tam, gdzie musimy i robimy, co trzeba, ponieważ właśnie na tym polega bycie wojskowym. I kiedy mówiłem o uczeniu was po kolei, mówiłem całkiem poważnie. Jedną z tych rzeczy jest coś, co kiedyś określało się mianem „niekonwencjonalnego myślenia”. Wie pan, o co mi chodzi?

– Nie – przyznał Babak, siadając.

– Dobrze, skracając, jak aktualnie wygląda plan bitwy?

– Lokalizujemy flotę wroga, wchodzimy w zasięg, wypuszczamy smoki i mamy nadzieję, że zdołamy obronić się przed ich smokami.

– Przyglądał się pan planowi sięgnięcia do srebrzaków Vickie Toweeoo?

– Owszem. Problem w tym, że jeśli umieścimy na smokowcach srebrzaki, stracimy miejsce na powelle i znacząco zmniejszy się liczba przenoszonych bomb.

– Czemu bazuje je pan na smokowcach? – zapytał Edmund. Babak wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

– Statek. Smoki – powiedział, wskazując obiema rękami, a potem je złączając. – Smokowiec. Do tego właśnie *służą*.

– Hm – mruknął Edmund. – Rozmawiał pan z Vickie?

– Nie, sir – przyznał Babak. – Nie wiedziałem, że pan ją zna.

– Spotkaliśmy się. Co pan wie o srebrzakach?

– Są mniejsze od powelli, lżejsze, szybsze, potrafią lepiej manewrować i nie utrzymują się w powietrzu za długo – referował swoje wiadomości szef planowania.

– Większa manewrowość – podkreślił Edmund. – Ile czasu potrzeba, pańskim zdaniem, by stocznie, cholera, nawet nie stocznie, same załogi zamontowały na fregatach balistowych jakiś rodzaj platformy startowej?

– Myśli pan o wysłaniu ich na *fregatach*?

– Nie wiem – przyznał Edmund. – Ale to jedna z możliwości. Nie jedzą tyle co powelle, ale trochę nadwerężą zapasy fregat. Z drugiej strony tym razem pošlemy z flotą dodatkowe jednostki zaopatrzeniowe. Dobrze, powelle startują i atakują flotę. Jak?

– Każdemu dywizjonowi przydzielimy smokowiec do zaatakowania – wyjaśnił Babak. – Prawdopodobnie każemy im lecieć wysoko, żeby uniknąć okrętów balistowych.

– Czemu atakować smokowce?

– Ponieważ stanowią główne zagrożenie dla naszej floty – stwierdził Babak. \*

– Ale trudno je zniszczyć z powodu obecności fregat antysmocznych – spokojnie przypomniał Edmund. – Dostrzega pan, o co mi chodzi. Proszę zweryfikować swoje założenia. Czy zaatakowanie najpierw smokowców jest lepsze od wyeliminowania fregat? Czy zabieramy dość bomb, by toczyć długą bitwę? Czemu rozpraszać smoki na całą flotę? Czemu nie skupić wszystkich na indywidualnych jednostkach? Czy w ataku mogą nam jakoś pomóc syreny albo delfiny? Czy istnieje jakaś optymalna konfiguracja, w której nasze okręty zdołają najlepiej chronić smokowce i siebie nawzajem? Koło? Kwadrat? Rozproszone grupy? Co się stanie, jeśli wyślą swoją flotę inwazyjną równocześnie z główną? Tego rodzaju pytania powinni zadawać sobie nawzajem pańscy ludzie i pan. A potem zdobywać odpowiedzi lub wysuwać najlepsze przypuszczenia, jakie możecie stworzyć.

– Myśleć nieszablonowo – mruknął Babak, kiwając głową.

– Myśleć *nieszablonowo* – powtórzył z naciskiem Edmund. – Przede wszystkim szybkość i zaskoczenie oraz całkowita bezwzględność.

– To brzmi jak cytat – zauważył Babak pytającym tonem.

– Owszem, jest, z jednego z największych generałów swoich czasów – przyznał Edmund. – Był świetny w myśleniu nieszablonowym. A przy tym straszny drań. – Uśmiechnął się. – Tak jak ja.

\* \* \*

– Strasznie paskudna broń – skomentował Shar Chang.

Leżące na blacie urządzenie składało się z pięciu wąskich metalowych rur przymocowanych do dużego, metalowego cylindra. Z jednego z jego boków wystawała seria przełączników.

Chang uniósł urządzenie i zważył je w dłoniach, klnąc.

– Cholera, to musi ważyć z osiemdziesiąt kilogramów.

– Siedemdziesiąt trzy koma cztery – nerwowo uściślił Evan. – Załadowane i gotowe do strzału. W tym stanie bliżej mu do siedemdziesięciu.

-1 działa?

– Powinno – zapewnił Evan. – Mieści się w zakresie masy, jaką z drobnym jeźdźcem może unieść srebrzak. Choć w tej chwili nie mamy żadnego sposobu na skuteczne celowanie, więc trzeba strzelać z bardzo małej odległości.

– A najlepszy sposób na unieruchomienie smoka to zranić go w mięśnie piersiowe – zwróciła uwagę Vickie Toweeoo. Na kołnierzu miała świeże insygnia majora, a na rękawie skórzanego munduru szczyrzyła zęby czaszka Wesołego Rogera. – Co oznacza atak od przodu. Technicznie rzecz biorąc, najlepiej podlecieć wprost do smoka i wykręcić do strzału. Ale nie sądzę, żeby często się to

udawało.

– Jedno z takich w nogę albo w zadek niezbyt uszczęśliwi smoka – zauważył Shar. – Bezpieczniejsze jest podlecenie od tyłu.

1– Cóż, pozostaje nam tylko się przekonać, prawda? – Vickie uśmiechnęła się. – Zastanawiam się natomiast nad szkoleniem. Większość jeźdźców srebrzaków zgłosiła się do służby na morzu. Nie jestem zaskoczona, jesteście trochę... dziwniejsi od zwolenników powelli.

– Przez całą wojnę latała pani na powellach – zdziwił się Shar.

– To dlatego, że tylko ich używaliśmy – wyjaśniła Vickie i znów się uśmiechnęła. – Ale w głębi serca jestem jeźdźczynią srebrzaków. Powelle są zbyt powolne i niezgrabne.

Ponieważ Shar przeżył kilka zapierających dech w piersiach lotów na „powolnych i niezgrabnych” wyvernach, ucieszył się, że nigdy nie musiał lecieć na srebrzaku.

– Ach, tu się ukrywacie – odezwał się Edmund, wchodząc do warsztatu. – Evan? Widziałem twoje działa pneumatyczne dla fregat balistowych. Cudowne.

– Proste zastosowanie inżynierii pneumatycznej – radośnie wyjaśnił inżynier. – I mają przynajmniej taki sam zasięg jak balisty.

– Jakies szansę na zrobienie takich w rozmiarach odpowiednich dla piechoty? – zapytał Edmund.

– Nie. – Inżynier westchnął. – Odkryliśmy, jaki jest górny limit Matki na ciśnienie. I choć pozwoli go na chwilę obejść, na przykład podczas strzelania, trzeba by go bardzo mocno przekroczyć, by dostać przyzwoitą sprężarkę nadającą się dla indywidualnych żołnierzy. Prawdę mówiąc, dopuszcza więcej energii w baliście czy łuku niż w tego rodzaju systemie. To najmniejsze, jakie jesteśmy w stanie wyprodukować.

– A to nie nadaje się dla piechoty – westchnął Edmund, przyglądając się urządzeniu. – Mamy sześćdziesiąt srebrzaków. Jak szybko możesz tyle tego wyprodukować?

– Wszystkie części są dostępne – poinformował Evan, zamyślając się. – Powiedziałbym, że jakieś dziesięć dziennie, a więcej, jeśli dostanę pomocników.

– Vickie, ile potrzeba czasu na przeszkolenie jeźdźców?

– Sir, nie wiemy nawet, czy to zadziała – zauważyła dziewczyna.

– Och, działa – wtrącił się Evan nieobecny tonem. – Strzelaliśmy już z tego.

– Chodzi o to, że mnóstwo rzeczy może się nie udać – wyjaśniła, wskazując na spusty. – I mówimy tu o środowisku z morską wodą. Co się stanie, jeśli coś z tego się zepsuje? Czy ktoś na smokowcu będzie umiał dokonać naprawy?

– Nie wiem – przyznał Edmund. – Ale i tak nie zostaniecie rozlokowani na smokowcach. – Wyciągnął z torby kartkę papieru i wręczył jej. – To

11 lista jednostek, które w ciągu najbliższych dwóch dni zostaną przerobione przez załogi tak, by umożliwić start srebrzaków.

– Chce pan, żebyśmy lądowali na zwykłych fregatach? – zapytała jeźdźczyni, patrząc na listę. – Sześć z tych jednostek to *transportowce*.

– A konwój wracający do bazy nie zostanie pozbawiony osłony powietrznej – wyjaśnił Edmund, unosząc rękę. – Przyjmij to do wiadomości, Vickie. Na smokowcach po prostu nie ma miejsca. Nie mamy dodatkowych smokowców dla srebrzaków, a te smoki są nam potrzebne. Ergo, musimy je rozlokować na innych statkach.

– Dopiero przeszkoliłam tych ludzi w lądowaniu na *smokowcach*, sir – zaprotestowała dziewczyna. – A co z OSL?

– Przy tym, co opowiadasz o srebrzakach, myślałem, że wylądują na rejach – rzucił z uśmiechem



Shar.

– *Bardzo* dziękuję, panowie – zachnęła się Vickie.

– Jak mówił książę, coś wymyśl. – Shar uśmiechnął się. – Spotkam się dzisiaj z kapitanami, którzy zapewne okażą się nieziemsko wkurzeni. Potem, kiedy żaglowce zostaną już przerobione, przejdź się na nie i coś wymyśl. A Evan zajmie się produkcją tych małych zabawek. W miarę ich dostępności zaczniemy trenować z nową bronią. A skoro o tym mowa, Evan, potrzeba nam amunicji.

– Załatwione – oświadczył młodzieniec, sięgając za urządzenie i podnosząc ze stołu krótki metalowy bełt ze stożkowym końcem i paskudnie zaostrzonym, ząbkowanym grotem. – Mamy warsztat, który potrafi robić je w dużych ilościach. Każde z działek ma tylko pięć strzałów, więc zanim wszystkie zostaną przygotowane, zdążą wyprodukować mnóstwo amunicji.

– Te statki mają na rufie sztagi – odezwała się nagle Vickie. – To przeszkadza w lądowaniu.

Edmund uśmiechnął się szeroko.

– Nie powiedziałem, że to będzie *łatwe*.

\* \* \*

– Gdybym uważał, że to łatwe, to by mnie tu nie było!

Kiedy Edmund wszedł na teren szkoły, sto pięćdziesiąt rąk ciągnęło za liny, podnosząc ku górze chwiejący się maszt. Padał deszcz, liny były śliskie i miały skłonność do rozciągania się. Nie wspominając o tym, że dolny koniec masztu znajdował się tuż przy szybko wypełniającej się wodą dziurze w ziemi. Książę przyglądał się, jak maszt powoli podnosi się do mniej więcej czterdziestu pięciu stopni, po czym na wykrzyczaną komendę jtaieruchomieje.

1– Wspaniale! – krzyknął; hief Brooks, ścierając z oczu wodę i przyglądając się podchodzącemu przez deszcz admirałowi.

– Świetny dzień na coś takiego – odezwał się Edmund.

– Dobra szkoła – prychnął chief.

– Też bym to tak nazwał – przyznał admirał, uśmiechając się, gdy jedna z rekrutek pośliznęła się w błocie i padła u stóp kolegów. Natychmiast zerwała się z powrotem i chwyciła linę, otrząsając się po upadku.

– Jak leci?

– Miał pan jakieś pojęcie, jak wrednym draniem jest Herzer, kiedy go pan na nas zsyłał? – zapytał chief. – CZEKAJ! Sprawdzić liny prowadzące! Przechyć na bakburtę!

– Tak – potwierdził Edmund.

Maszt sterczał już na jakieś sześćdziesiąt stopni i wyglądał, jakby wsuwał się do otworu. Jego dolny koniec zabezpieczono bloczkami przymocowanymi do licznych kotw na ziemi. Górę masztu również obwiązano dużą ilością lin, z których najgrubszą skierowano w stronę umownej rufy. Większość rekrutów ciągnęła właśnie za tę linę, dźwigając maszt w pionie. Pozostali pilnowali rozchodzących się w różne strony czterech lin kontrolujących przechył. Ostatnia, najmniejsza grupa zajmowała się linami przy stopce.

– Powiedziałem mu, że dziś będzie lało, admirale – oświadczył chief, wyraźnie niezadowolony.

– W deszczu też trzeba pracować, bosmanie – zauważył Edmund, choć w jego głosie brzmiało pytanie. – Zdarzają się takie rzeczy, na które chyba mówicie sztormy.

– Liny nie są nasmołowane, sir – wyjaśnił chief. – A to znaczy, że na mokro mogą się rozciągać. Z czym wiąże się bardzo duże ryzyko. Jeśli to się przewróci, stracimy mnóstwo ludzi.

Edmund wzruszył ramionami.

– Należało nasmołować liny, bosmanie. Wcześniejsze planowanie...

- Zapobiega beznadziejnemu wykonaniu. – Brooks zachichotał, przyglądając się uważnie wznoszącemu się wolno masztowi. – To pan tego nauczył Herzera, czy on pana?
- Nauczyłem tego osobę, która szkoliła Herzera – wyjaśnił ze śmiechem Edmund.
- Akto nauczył pana? – zapytał chief. – WOLNO! Na sterburkę, mocniej, mocniej. Powoli. Teraz wszyscy razem!
- Przeczytałem to w książce – przyznał Talbot. – A potem nauczyłem się tego na sobie.

1 Brooks spojrział na niego i kiwnął głową, po czym obejrzał się z powrotem na pracę.

– POWOLI! Dobra, pociągnąć za stopkę!

Stopka masztu powoli, ale miarowo przemieszczała się w stronę otworu, po czym wsunęła się w niego, uderzając o dno i wstrząsając ziemią.

– *Nie* tak się to robi na okręcie! – warknął Brooks. – Bo mielibyście już cholernie wielką dziurę w dnie! Stopkowi! Odwiązać te liny i obsadzić stensztag. Zaczniemy go prostować! – Znow odwrócił się do księcia i kiwnął głową. – Teraz mam trochę trudny kawałek, sir. Proszę wybaczyć.

– Dobrej zabawy – rzucił Edmund na pożegnanie.

– Och tak, sir. Dobry *trening*.

# ROZDZIAŁ TRZYNASTY

– To się nazywa dobry trening – zasygnalizowała Vickie do swojego skrzydłowego.

Kiedy wystartowali, niebo pokrywały lekkie chmury, ale mniej więcej w chwili, gdy dotarli do celu – małej jednostki pomocniczej *Harry Black*, przerobionej w sposób umożliwiający lądowanie – zaczął padać deszcz. Odlecieli zbyt daleko, by srebrzaki potrafiły wrócić, a teraz nie widzieli nawet powierzchni oceanu, a co dopiero platformy lądowiska.

Na swój sposób cieszyła się jednak, że leci na srebrzaku. W tej cholernej szarówce powella nie potrafiłaby nawet zobaczyć. To *nigdy* nie stanowiło problemu ze srebrzakami.

Mówiło się, że stworzono je jako żart. Były małe i bardzo szybkie. Wspaniali sprinterzy, nawet jeśli brakowało im wytrzymałości większych wywernów. Miały wszystkie dobre cechy smoka wyścigowego i zostały zdumiewająco dobrze zaprojektowane. Jednak, kiedy przyszło do umaszczenia, projektanci wykazali się... poczuciem humoru.

Srebrzak, na którym leciała, miał kolor jasnej, fluorescencyjnej zieleni z licznymi pomarańczowymi cętkami o wielkości od małej kropki do plamy rozmiarów jej głowy. Jej skrzydłowy wyglądał gorzej – rodzaj plamistego wzoru „maskującego” w jaskrawej żółci i fiolecie, od którego dosłownie bolały oczy. Przez lata pojawiały się próby Przetnie’ nienia umaszczenia smoków w bardziej tradycyjne barwy, ale jeźdźcy

Isrebrzaków mieli specyficzne podejście do życia i lubili swoje smoki takimi, jakie były. Szybkie, o paskudnym charakterze i całej reszcie.

– Tam? – zasygnalizował Ramani, wskazując w lewo.

– Spróbuję – odpowiedziała w ten sam sposób Vickie.

Wykręciła srebrzaka w bok i w dół, zwalniając jego opadanie tak, żeby nie wbili się w ocean ani w statek. Według jej szacunków lecieli zaledwie kilkaset metrów nad wodą, ale zdawała sobie sprawę, że w takiej szarówce nie dało się stwierdzić, czy faktycznie od powierzchni oceanu dzieliło ją kilkaset czy kilka tysięcy metrów. A we wszystkie strony rozciągała się wyłącznie woda. Oczywiście ta w powietrzu ich nie utopi.

Wywern skręcił nagle ostro w lewo, gdy koniec jego skrzydła ledwie minął szczyt masztu. To tyle, jeśli chodzi o te kilkaset metrów nad wodą.

Vickie otrząsnęła się i zawróciła po okręgu, próbując ustawić się na linii masztów. Jednostka została tylko częściowo skonwertowana i od masztu do rufy nadal rozciągała się gruba lina, tak zwany sztag. A z boków porozciągano ich jeszcze więcej. Jednak między stenwantami widniała stosunkowo wąska przerwa umożliwiająca zainstalowanie na pokładzie rufowym platformy do lądowania. Niestety, przerwa była węższa od rozstawu skrzydeł srebrzaka, choć ten wcale nie porażał wielkością.

Jedyny sposób na wylądowanie polegał na zawiśnięciu w powietrzu jak polujący sokół. Srebrzak, który pomimo jaskrawego ubarwienia został stworzony na planie sokoła wędrownego, podleciał, zmniejszył prędkość przez odchylenie skrzydeł do tyłu, po czym złożył je całkiem, spadając przez szczelinę na platformę z głośnym łupnięciem, które zatrzęsło całym stateczkiem.

Vickie nauczyła się już chować przy lądowaniu głowę w ramiona i dobrze przytrzymywać uprząży, bo w innym przypadku groziło to rozbiciem sobie nosa. I tak jednak klęła po każdym lądowaniu i zarzekała się, że znajdzie wreszcie *lepsz* sposób na kończenie lotu. To po prostu nie było bezpieczne.

Odprowadziła smoka dalej na platformę, robiąc miejsce dla Ramaniego, i zeskoczyła na główny pokład, odruchowo kierując się do zagrody. Na głównym pokładzie wzniesiono dwie, stanowiące

olbrzymie utrudnienie dla kapitana i załogi, a ona wybrała tę na bakburcie. Po wejściu do wnętrza zsiadła ze smoka i ściągnęła z niego uprząż, po czym uwiązała go w boksie. Jedzenia jeszcze nie przygotowano, poszła więc poszukać jakiegoś Posiłku dla siebie.

Siedziała w mesie oficerskiej, wpatrując się w miskę zupy, gdy do środka weszła Some Karcher, kapitan okrętu.

1 – Zamierza pani to jeść, czy tylko się temu przyglądać?

Drugą rzeczą, jaką ludzie zauważali w Some Karcher był jej wzrost. Nie karlicy, ale zdecydowanie poniżej średniej. Natomiast to, na co każdy, kto z nią rozmawiał, natychmiast zwracał uwagę, był fakt, że wyglądem przypominała kota syjamskiego. Jej głowa i twarz miały wyraźnie kocie kształty, oczy miała szmaragdowozielone, z pionowymi źrenicami i skośne, włosy miejscami „podpalane” jak u syjama, a całą twarz porastało delikatne futerko. W tej chwili zmrużyła oczy, patrząc na jeźdźczynię i jej źrenice mocno się zwężyły.

– Myślałam właśnie, jak bardzo to nieprzejrzyste – wyjaśniła Vickie, podnosząc łyżkę. – Prawie jak powietrze, przez które przed chwilą leciałam.

– A ja myślałam o tych lądowaniach – oświadczyła kapitan. -1 naprawdę mi się nie podobają.

– Zapewniam panią, że nie tak bardzo, jak osobie, która ląduje – odparła Vickie z uśmiechem.

-1 bardzo nie podoba mi się brak możliwości spojrzenia na niebo, gdy jestem na mostku – kontynuowała Karcher. – Zastanawiałam się: czemu nie umieścić platformy za rufą statku?

Vickie otworzyła usta, żeby udzielić odpowiedzi, po czym je zamknęła. Po chwili ze złością potrząsnęła głową.

– Ponieważ żaden z tych geniuszy w stoczni o tym nie pomyślał – warknęła, krzywiąc się. – Myśli pani, że to zadziała?

– Nie widzę powodu, żeby nie – zapewniła kobieta, wzruszając ramionami i wydobywając z siebie cichy dźwięk podejrzenia podobny do mrużenia. – Będzie trzeba ją dobrze wesprzeć, ale to nie problem. Startowała już pani w ten sposób. To po prostu ułatwiłoby sprawę. I to nie ja wymyśliłam, a jeden z moich marynarzy. Dobry marynarz, który chyba chce zostać jeźdźcem.

– Jak się nazywa? – zapytała Vickie, wyciągając notes i odwijając go z gumowej osłony. – Mamy zdecydowanie za mało jeźdźców powelli, madam.

– Fink – odparła Karcher. – To kobieta.

– Cóż, w takim razie proszę jej przekazać, że jeśli zatwierdzi pani transfer, możemy zacząć, gdy tylko wrócimy na ląd – powiedziała Vickie. Przechyliła głowę na bok, zaczęła coś mówić, po czym zrezygnowała, wzruszając ramionami. – O co chodzi? – zapytała Karcher z nieodgadnionym, kocim wyrazem twarzy.

– Zastanawiałam się...

– Czy Przemieniłam się przed Upadkiem? – zapytała Karcher z dziwną tonacją. Tym razem przypominało to miauknięcie. – Nie, nie Przemieniłam się. Taka się urodziłam. Chce pani długiej wersji czy skróconej?

– Co uważa pani za stosowniejsze – odpowiedziała niepewnie Vickie. – Nie usiłuję być wścibska.

– Kiedyś, bardzo dawno temu żył naukowiec, któremu, szczerze mówiąc, trochę odbiło. Działo się to krótko po tym, gdy stała się możliwa Przemiana. Ale naukowiec nie chciał Przemienić się w kota. Chciał, by jego kotka została człowiekiem.

– Och – jęknęła cicho Vickie.

-1 tak, właśnie z tego powodu. Tak więc, a działo się to przed wprowadzeniem protokołów uniemożliwiających takie rzeczy, Przemienił swoją kotkę w świadomą istotę humanoidalną. I reszta

historii powinna brzmieć tak, że zakochali się w sobie i żyli długo i szczęśliwie.

– Tak, chyba tak – bąknęła Vickie, żałując, że zapytała.

– Cóż, sytuacja jednak nie potoczyła się dokładnie tak, jak planował. Koty są kotami, a kotka, dostatecznie zła, gdy dowiedziała się, że nazywał ją „kluska”, nie chciała go. Odeszła, łamiąc mu serce. Znalazła w końcu mężczyznę, którego uznała za w miarę atrakcyjnego, ustatkowała się i urodziła potomstwo. Z którego się wywodzę. Jakies pytania?

– Nie, proszę pani – zapewniła jeźdźczyni z czerwoną twarzą.

– Nie pytaj mnie, czy gonię myszy, dobrze?

– Och nie, proszę pani, nie planowałam. Czy mogłabym jednak jeszcze o coś zapytać? – Dodała po chwili wahania.

Some Karcher kiwnęła głową.

– Jak wyglądają pani relacje z psami?

– Mam trzy rottweilery. I kiedy mówię „siad”, *siadają* – Karcher uśmiechnęła się, odsłaniając bardzo wyraźne, kocie kły. – Poza tym... muszę przyznać, że wspinanie się na olinowanie w stresie jest... bardzo naturalne.

Vickie znów się roześmiała i zamknęła swój notatnik.

– Deszcz ustał? – Tak.

– Cóż, w takim razie myślę, że powinniśmy wracać do bazy.

– Mamy tam być pojutrze – wyjaśniła Karcher. – Pani pewnie mogłaby zostać.

– Nie, musimy ćwiczyć, madam – zaprzeczyła Vickie. – Za nasze grzechy.

134 *JohnRingo*

– Evan, jesteś na czas – zauważył Edmund, ściągając okulary do czytania i podnosząc wzrok znad biurka. – Jak się pan dzisiaj ma, panie Ennesby?

– Mokry – odpowiedział zagadnięty, ściągając kapelusz o szerokim rondzie i strząsając go na bok.

– Złe wieści, książę – oświadczył Evan Mayerle. – Spóźnimy się przynajmniej o dzień z *Hermanem Chao*.

Drednot, który przerabiano na okręt do zwalczania smoków, był jednym z trzech gotowych do wypłynięcia na morze.

– W czym problem? – zapytał Edmund. – Mogę coś na to poradzić?

– Nie bardzo. – Evan westchnął. – Brakuje nam materiałów na działa przeciw smokom. Zasadniczo musiałem tyle ich zrobić dla srebrzaków, że dla *Chao* już brakło. Mamy nadzieję, że za parę dni dotrą nowe materiały, ale to przynajmniej o tyle nas opóźni.

– Ile brakuje?

– Około połowy – wyjaśnił Ennesby. – Montujemy po piętnaście dział na burtę. Mamy na *Chao* dość mocy do sprężania, ale brakuje nam materiałów na działa i linie pneumatyczne. Te ostatnie bez związku ze srebrzakami, i tak by nam brakowało. A przeszkolenie załogi w obsłudze tak, żeby potrafiła przyzwoicie strzelać, też wymaga trochę czasu, i materiału. Nie wiem, na ile celnie będą z początku strzelać artylerzyści.

– A Bóg wie, że nie chcemy, żeby te cholerne bełty spadały z powrotem na pokład – rzucił ze śmiechem Edmund. – Jakies dobre wiadomości?

– Vickie zasugerowała zmianę platform do lądowania dla srebrzaków, którą chcę wprowadzić na wszystkich jednostkach wsparcia. Some Karcher, kapitan *Harty 'ego Blacha*, zauważyła, że nie ma powodu, żeby platforma do lądowania dla srebrzaków nie znajdowała się za rufą. W tej chwili srebrzaki mają bardzo mało miejsca na lądowanie. Przenosi więc swoją platformę za rufę. Wygląda

na to, że to się sprawdzi, a jeśli tak, to wszystkie inne jednostki zrobią to samo. Obecna metoda ładowania... pozostawia wiele do życzenia.

– To prawda – zgodził się Edmund.

– Powiniennem pozwolić zgłosić o tym komandor Gramlich – wtrącił Ennesby. – Ale jeźdźcy srebrzaków trenujący z działkami pneumatycznymi uważają, że ich zdaniem to się sprawdzi. Zrobiliśmy cele ćwiczebne z dużych latawców i uczą się, jak w nie celować. Choć wciąż wymaga to strzału z przyzerowej odległości.

– Cóż, w takim razie nadal potrzeba nam antysmoczych okrętów – westchnął Edmund. – Wyśle wiadomość do dowódców jednostek przebywających na morzu, żeby tu wpłynęli i zaczęli ćwiczenia. Dopilnujcie, żeby nie brakowało nam amunicji.

– Zrobi się – zapewnił Ennesby.

– Ile potrwa przygotowanie do wypłynięcia pozostałych dreadnotów?

– Nie więcej niż tydzień – zapewnił inżynier. – W tej chwili osadzamy maszty. Ale nie mamy załóg.

– Tym ja się zajmę – oznajmił Edmund. – Ale nie przerabiacie ich na platformy antysmocze, nie do tego zostaną wykorzystane.

Obaj spojrzeli na niego pytająco, ale po chwili stało się jasne, że nie zamierza się tłumaczyć.

– To wszystko, co mamy – oświadczył Evan, wstając.

– A mnie czeka zaraz spotkanie z G-1. – Edmund zerknął na drzwi. – Skoro mowa o załogach.

– Zbieram się stąd. – Ennesby wstał pospiesznie. – Zanim pański łowca głów wpadnie na pomysł, że byłbym dobrym marynarzem.

– Jeśli uznacie, że muszę o czymś wiedzieć, przyjdźcie z tym do mnie – przypomniał Edmund. – O dowolnej porze.

\* \* \*

– Dotarły do nas wreszcie informacje od naszych agentów w Newfell, marszałku.

Chansa podniósł głowę znad papierów i gestem wezwał adiutanta do pokoju, praktycznie wrywając mu dokument z ręki.

– Cholerny świat – warknął. Potrafił szybko czytać i błyskawicznie przejrzał dokument w poszukiwaniu najgorszych informacji. Poza tym, że nie dostali *Richarda*, w drobnym druku ukryto gorszą wieść. – Talbot.

– Tak jest, sir. – Adiutant głośno przełknął ślinę.

– Teraz rozumiem, czemu to ciebie z tym przysłali. – Chansa roześmiał się. – Obiecuję, że nie zabiję posłańca. Ale idź, znajdź Connera. Już.

Mężczyzna, który niedługo potem wszedł do gabinetu, był wysoki, zachowywał się z wystudiowanym spokojem i wyglądałby całkiem normalnie, gdyby nie jego oczy. Tęczówki miał całkowicie białe, a źrenice wyglądały jak małe, czarne kropki.

– Wzywałeś mnie, marszałku? – zapytał, wyciągając notatnik i pióro.

– Edmund Talbot został powołany na dowódcę Floty Północnoatlantyckiej – poinformował go Chansa.

– Tak, sir, niewątpliwie zaskakująca decyzja – przyznał Conner.

– Wiedziałeś – warknął Chansa, odchylając się na krzesło i zwięzając oczy.

1– Jak myślisz, marszałku, czy agenci działają w bazie Newfell? – przypomniał szef wywiadu z lekkim uśmiechem.

– Nie może dowodzić flotą w następnej bitwie – oświadczył Chansa, machając ręką. – Zrób wszystko, co konieczne, by do tego nie dopuścić. Nie, powiem wyraźniej. Zabij go. Zbyt wiele razy

zepsuł moje plany. Nie chcę, żeby uczynił to jeszcze raz.

– Oczywiście, marszałku – odpowiedział Conner, zamykając notatnik. – To wszystko?

– Wszystko – warknął Chansa, machając w stronę drzwi. – Poinformuj mnie, gdy zginie.

\* \* \*

– Dobra, co pan dla mnie ma? – zapytał Edmund, gdy do namiotu wszedł szef pionu personalnego. Na zewnątrz lało jak z cebra i oficer został kompletnie przemoczony. Ale ściągnął tylko pelerynę, wytarł dłonie, wyciągnął teczkę i usiadł.

– Zabraknie nam ludzi do obsadzenia floty – oświadczył generał Pięt. – Najgorzej jest z marynarzami – umiejętność zrefowania żagli w szkwale to trudna sztuka i do tego zawsze brakuje nam ludzi. Przyjrzałem się programowi szkoleniowemu majora Herricka i... no cóż, jestem pod wrażeniem.

– Herzer to znacznie więcej niż tylko ładna buźka. – Edmund wstał i nalał kawy do kubka. – Pan pija czarną, prawda?

– Tak jest, sir – potwierdził zaskoczony generał. – Choć major Herrick *nie* ma ładnej buźki.

– To był żart, Simon – wyjaśnił Talbot. – Ale to nie da nam przeszkolonych ludzi w tej chwili, choć właśnie bardzo ich potrzebujemy.

– Tak, to prawda, sir – zgodził się szef personelu, ze skinieniem głowy przyjmując kawę. – Ale niewątpliwie pomoże na dłuższą metę. Obecnie rozkazałem przenieść do służby pokładowej wszystkich, którzy mają doświadczenie na morzu. Niektóre piony zrobiły się przez to trochę wyludnione...

– Dostałem już skargę od wywiadu. – Edmund uśmiechnął się szeroko. – To ilu ludzi nam brakuje?

– W całej flocie około trzydziestu procent – poinformował oficer personalny, zerkając do notatek. – Niektóre jednostki są bliżej zera, inne nie. Na przykład nie chcę nikogo ściągać ze smokowców, i tak mają za mało. Choć niektóre fregaty dysponują tylko połową personelu, a drednoty, które oczywiście w ogóle nie ćwiczyły razem, nie mają wiele więcej.

– Rób, co możesz – polecił Edmund. – Na czym polegają pozostałe główne problemy?

– Ludzi brakuje we wszystkich grupach – przyznał Pięt. – Przeszkolonych podoficerów. Przeszkolonych oficerów. Choć najgorzej jest z doświadczonymi dowódcami. Na przykład nie mam nikogo, komu chciałbym powierzyć *Hazhira*. Pierwszy oficer jest bardzo świeży, ledwie awansował na kapitana, a tamto stanowisko prosi się o komandora. Zresztą zgadza się ze mną admirał Chang. Zastanawiam się nad przeniesieniem pierwszego oficera z *Richarda*, ale musiałem już zabrać stamtąd wszystkich innych doświadczonych oficerów. Mógłbym przenieść oficera nawigacyjnego z potem z *Chao*, ale wtedy zostałby tam tylko jeden doświadczony oficer, żyli kapitan.

– Auć. – Edmund podrapał się po brodzie. – Co pan sądzi na temat Some rcher?

– Karcher, sir? – zdziwił się G-1. – Nie kojarzę tego nazwiska. – Sięgnął o teczki i wyciągnął z niej arkusz papieru, przeglądając listę nazwisk. – orne Karcher jest kapitanem zaopatrzeniowca *Harry Black*. Czemu pan yta?

– Jakie ma doświadczenie? – odpowiedział pytaniem Edmund.

– Nie mam pojęcia, sir – przyznał Pięt. – Musiałbym wyciągnąć jej akta.

– Proszę przesłać wiadomość, żeby się do mnie zgłosiła – zdecydował Edmund. – Bez podania powodu, ale chcę zobaczyć, czy potencjalnie po-dziłaby sobie z *Hazhirem*.

Generał po drugiej stronie biurka przez chwilę wyglądał na zszokowa-ego, ale potem wzruszył ramionami.

– Jako oficer jednostki zaopatrzeniowej będzie wykwalifikowana w nawigacji – ocenił. – Ale

jest olbrzymia różnica między dowodzeniem smokowcem, a nawet szybką jednostką handlową. Nie wiem, czy sobie z tym poradzi. Zresztą może być jedyną w pełni wykwalifikowaną osobą na okręcie.

– A masz jeszcze kogoś, kogo mógłbyś polecić? – zapytał Talbot. – I wolę mieć jeden mniej zaopatrzeniowiec niż smokowiec.

– Racja – przyznał generał, wzdychając.

– Lepsze jest wrogiem dobrego – podsumował Edmund. – W tego rodzaju sytuacji nie da się zrobić wszystkiego idealnie. Trzeba po prostu dążyć do zminimalizowania niedoskonałości. I trzeba dążyć do tego ze wszystkich sił w dostępnym czasie.

– Rozumiem, sir.

– Sam kiedyś byłeś żeglarzem – przypomniał Edmund, poprawiając się na krześle. – I to dobrym, choć nie zajmowałeś się wojskowością. Na morzu masz tylko jednego wroga, ocean. Aten, choć jest zmienny i zmusza

I cię do nieustannej czujności, nie próbuje *aktywnie* cię pokonać. Na wojnie ta druga strona robi to ze wszystkich sił. Wydaje się to prostą ideą, ale niewielu tak naprawdę to rozumie. Ludzie wkładają wszystkie siły w próbę *pokonania* cię. Zabicia. Żebyś ty nie zabił ich. A ponieważ to duży, złożony system i wróg próbuje przewidzieć twoje posunięcia i zniszczyć cię, a też wcale nie jest głupi, sytuacja nigdy nie pójdzie tak, jak planowałeś, wróg już tego dopilnuje. Cała sztuka polega na tym, żeby popełnić mniej błędów niż on. Jeden z błędów polega na próbie bycia zbyt idealnym, ponieważ to pochłania *czas*. I równocześnie daje go przeciwnikowi. Na odkrycie twoich planów. Na zdobycie lepszej pozycji. Czas na wprowadzenie planu, który może nie będzie *idealny*, ale *zadziała*. Z tego powodu decyzje należy podejmować szybko i muszą być *dość* dobre. Nie idealne. *Dość* dobre. Usiłuję ci powiedzieć, że powinieneś dążyć do perfekcji, ale nie do tego stopnia, żeby dać przeciwnikowi więcej czasu. Jeśli to, czym dysponujesz w tej chwili, jest *dość* dobre, to wystarczy. Przypominam, lepsze jest wrogiem dobrego. Poprawki można wprowadzać, gdy już wygramy bitwę.

– Nie znoszę takiej niestarannej pracy – przyznał Pięt.

– Ja też – zgodził się Edmund. – Ale dlatego właśnie skupiamy się na zwycięstwie i planujemy na wypadek porażki. Przykro mi, ale flota pod dowództwem admirała Draskovicha nie miała planu na taką sytuację. Nie istniały żadne alternatywne plany, instrukcje na wypadek porażki, żadnego *luzu* w systemie. Nie przygotowano nawet żadnych sensownych rezerw personelu czy materiałowych. Istnieją sytuacje, kiedy konieczne jest działanie bez rezerw, ale nie wtedy, gdy idzie się do bitwy przewidywanej od roku. Kiedy skończę, to miejsce będzie dysponowało środkami umożliwiającymi przetrwanie kolejnej porażki i wyruszenie z powrotem tyle razy, ile okaże się konieczne, by wygrać wojnę. Ale w *tej chwili* naprawiam cudze zaniedbania. To nieprzyjemne i śmierdzące, a jedyne, co mogę robić, to mieć nadzieję na najlepsze i liczyć się z najgorszym. A więc, jeśli w tej chwili sytuacja jest *dość* dobra, trzymaj się jej. W tej chwili *dość* dobre – to jedyne, na co możemy liczyć.

\* \* \*

– Edmundzie – odezwała się Sheida.

Edmund podniósł wzrok znad swoich dokumentów i spojrzał w stronę stojącego po drugiej stronie namiotu zegarka. Zbliżała się północ, a on czuł się sztywny i obolały od wielogodzinnego siedzenia na krześle, które nie było nawet *wygodne*. Z czego potajemnie cieszył się, kiedy je przyniesiono. Teraz żałował swojej dumy.

– Sheida. – Westchnął. Spojrzał na swoją dawną kochankę i pokiwał głową. – Jeśli to władza, nic ci po niej. Wyglądasz, jakbyś w ciągu ostatnich czterech lat postarzała się o dwadzieścia.

– Ty też, Edmundzie – zauważyła Sheida, krzywiąc się. – I czy nie jest już trochę późno?

– Co z tego – Wskazał na stół. – To istny dom wariatów.



– Bardzo kosztowne wariatkowo – skomentowała. – Komisja mocno przeżyła twoje żądanie zwiększenia funduszy.

– Wcale mnie to nie dziwi. – Edmund zmarszczył brwi, pocierając czoło. – Ale musimy zdobyć kontrolę na morzu, a to oznacza więcej okrętów i ludzi. Ci ludzie zaś będą ginąć, co z kolei oznacza *jeszcze* więcej ludzi i okrętów. Musimy mieć pieniądze, Sheida. – Wskazał na leżące przed sobą dokumenty. – Połowa z tych śmieci to różnej maści osobnicy wrzeszczący na mnie z powodu pieniędzy. „Poza budżetem na konstrukcję”, „nieprawidłowe wykorzystanie materiałów” – ci ludzie nie poznaliby bitwy, nawet gdyby ugryzła ich w tyłek, a każą mi się rozliczać z każdego cholernego gwoźdźcia, który zużywamy na statki. I *czemu* musi tam trafić. Cóż, powód jest taki, że im więcej drani zabijemy na morzu, tym mniej ich spróbuje nas zabić na lądzie. Myślisz, że zdołasz im to wbić do głów?

– Polityka – skomentowała Sheida z gorzkim uśmiechem. – Wszystkie te pieniądze przechodzące z jednej kieszeni do innej. Kent chce sformować legion. Ze wszystkich miejsc, właśnie *Kent*. – Równiny Kentu przed Upadkiem powszechnie znano ze wspaniałych stad koni, a po katastrofie ich sława jeszcze wzrosła.

– Tu raczej nie będzie problemem – ocenił Edmund. – Och?

– Posłałem do ministerstwa studium, w którym zasugerowałem powołanie federalnych brygad kawalerii. O ile wiem, leży gdzieś u nich. A więc gdzieś, och, ze sześć miesięcy temu wysłałem do Kentu Kane’a, żeby ruszył sprawę. Albo ich lokalny przedstawiciel jest do tyłu, albo nie zdaje sobie sprawy, że brygada kawalerii oznacza dla nich *więcej* pieniędzy niż legion.

– Jak to tam wygląda? – zapytała Sheida.

– Kiedy ostatnio miałem wiadomości, całkiem nieźle – przyznał Edmund. – Większość z nich nie jest tak dobrymi jeźdźcami, jak potrzeba w kawalerii, ale razem z Kane’em ułożyliśmy dla nich dość intensywny program szkoleniowy. Nie stworzą elity i nie wyszkolą konnych łuczników, ale powinni być całkiem dobrzy. I *zdyscyplinowani*, do diaska. Kiedy wezwę kawalerię, chcę, żeby uderzyła tam, gdzie rozkażę, a nie tam, gdzie ma ochotę.

1-1 oczywiście sprawa floty – przypomniała Sheida. – Wszyscy na nią narzekają, ale głównie ludzie z wybrzeża. Wszystkie pieniądze idą do Newfell, które ma cholernie małą reprezentację w parlamencie.

– Na to też mam pomysł – odpowiedział Edmund. – Nie ma powodu, żeby wszystkie te statki musiały być budowane tutaj, a całkiem sporo, żeby tego nie robić. Dymiące szczątki naszej stoczni mówiąsame za siebie. Wyślę notatkę do admirała Housera z zaleceniem założenia przynajmniej dwóch dodatkowych baz. Jedna prawdopodobnie w Balmoran, a druga... cóż, gdzie uznasz za najlepsze. Politycznie. Tylko niech mają tam dobry port. I przeniesiemy budowę okrętów do stoczni wzdłuż całego wybrzeża, co nieco rozproszy pieniądze. Lepiej?

– Mogę nad tym popracować. – Sheida kiwnęła głową. – Oczywiście admirał Houser musi wyrazić zgodę.

– Oczywiście – roześmiał się Edmund. – Czy nie do tego jest właśnie struktura dowodzenia?

# ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Kiedy Edmund się ocknął, był już dzień. Zaczął się podnosić zły, że nikt nie obudził go przed świtem, gdy zauważył, że nie jest w łóżku sam. Sądząc po rudych włosach i kształcie ramion, w nocy do jego łóżka położyła się jego żona albo córka. Miał naprawdę *głęboką* nadzieję, że to Daneh. Rachel zrobiła się zdecydowanie zbyt duża, by dzielić łóżko z ta-tusiem.

– Dzień dobry – odezwała się jego żona, sennie przewracając się na plecy.

– Późny dzień – mruknął, próbując nie warknąć.

– Wiem – potwierdziła kobieta, podnosząc się, żeby go pocałować. – I masz paskudny oddech.

Nie uduś Destranga, to ja poleciłam mu, że ma cię nie budzić. Zdecydowanie się przemęczasz i jako twój lekarz zaleciłam ci dodatkowy odpoczynek. Nie wspominając o tym, że również jako twoja żona.

– Destrang powinien przyjmować rozkazy *ode mnie* – burknął Edmund, przetaczając się na brzeg łóżka i wystawiając nogi z pościeli. Musiał jednak przyznać, że dodatkowy sen dobrze mu zrobił.

– I zaufałam ci, że powstrzymam cię od spadnięcia na niego jak kamienna lawina – dodała Daneh, przesuając się przez niezbyt szerokie łóżko i chwytając go za włosy. – I nie zrobisz tego. Prawdę mówiąc, nie masz żadnego spotkania jeszcze przez... – Zerknęła w stronę zegara i uśmiechnęła się. – Dwie godziny. Po tym, jak zmieniłam twój plan dnia. Tak więc, jeśli myślisz, że możesz od razu wyjść z łóżka, lepiej zastanów się dwa razy. – Pociągnęła go za włosy, aż z powrotem opadł na łóżko, patrząc na nią z dołu.

– Wspominałaś coś o paskudnym oddechu – zauważył.

– Zjedz jabłko.

\* \* \*

– Dzień dobry, marynarze – odezwał się Talbot, wkraczając szybkim krokiem do doków. – Zjedz jabłko – dodał, rzucając owoc zaskoczonemu kurierowi. – Są zdrowe.

– Dzień dobry, sir – rzucił nerwowo podchorąży Destrang.

– Dzień dobry, Destrang – odpowiedział Edmund z uśmiechem. – Co dla mnie masz?

– Porucznik Asfaw poprosił o rozmowę z panem, sir – poinformował go adiutant, wskazując na trytona.

– Dostałeś jakieś krzesło czy coś takiego, Asfaw? – zapytał Talbot.

– Tak, sir, dziękuję – potwierdził tryton. W wodzie pływało więcej trytonów, krążąc wokół porucznika. – Inżynierowie wnieśli dla nas coś w rodzaju podwodnego molo. Bardzo praktyczne. Tak samo jak dodatkowi nasłuchujący.

– O czym chciałeś rozmawiać? – Edmund sięgnął po krzesło.

– Cóż... – Asfaw rozejrzał się wokół nerwowo, po czym wzruszył ramionami. – My, to jest trytony i syreny, nie robimy w tej wojnie zbyt wiele, sir.

– Uważam, że misje zwiadowcze, nie wspominając o ciągłym monitorowaniu pogody i komunikacji, są bezcenne – zaprzeczył Edmund, marszcząc brwi. – Nie pomyśl sobie, że jesteście nam niepotrzebni.

– Nie, sir, to nie to – odparł Asfaw. – Po prostu... niczego nie możemy zaatakować. Poza orkami i ixchitlami. I nawet wtedy powtarza się nam, że zwiad jest ważniejszy od walki. Ale nie możemy prowadzić *zwiadu*, gdy w okolicy pływają orki. *Chcemy pomóc*. Znaczą, jakoś bardziej.

– Były, zdaje się, próby z wierceniem kadłubów – zauważył Edmund. – Niezbyt się sprawdziły. A miny nie wchodzą w grę z tych samych powodów.

– Zastanawiałem się nad jednym – odezwał się Asfaw. – No wie pan, czasem nie ma zbyt wiele komunikatów i jedyne, co mam do roboty, to siedzieć w wodzie i oglądać ryby, sir. Mam więc dużo czasu na rozmyślania. Może gdyby królowa udzieliła nam odrobiny mocy, stworzylibyśmy jakąś broń biologiczną? Jakiegoś szybkiego termita czy coś, co rozpuszczałoby kadłuby?

– Gdyby coś takiego wymknęło się spod kontroli, oznaczałoby to koniec żeglugi – mruknął Edmund, pocierając szczękę. – Nie, protokoły nie dopuściłyby do rozmnażania, gdyby groziło to aż takim ryzykiem. Ale może... – Edmund zerknął na słońce i kichnął. – Za parę godzin porozmawiam z Evanem. Wspomnę o tym problemie. Może on lub któryś z jego inżynierów wpadnie na jakiś pomysł.

– A co z orkami? – Porucznik nie dawał za wygraną.

– Musisz mi przypomnieć o całej sprawie. Przyznaję, że jestem trochę zmęczony. Czemu nie możecie atakować orek?

– Mamy rozkaz unikać kontaktu. Mamy działać jako siły zwiadowcze, wciąż nam to powtarzają. Ale *nie zawsze* możemy unikać kontaktu, a Ja-son uważa, że gdybyśmy dostali wsparcie, moglibyśmy wyeliminować część tych cholernych orek i ixchitli.

– To wszystko? – zapytał Edmund. – Jakiego rodzaju wsparcie?

– Właściwie nic więcej, niż już dostajemy, sir – przyznał tryton. – Trochę więcej broni, może jakieś statki wsparcia. Ale zapewne wzrośnie liczba ofiar.

Edmund zastanowił się nad tym przez chwilę, po czym kiwnął głową.

– Powiedz Jasonowi, że ma moją zgodę na wprowadzenie planu zmniejszenia liczebności orek i ixchitli. Ale jeśli oznaczałoby to wysokie straty, jeśli będzie tracił więcej, niż zabijał, ma zrezygnować. Zrozumiano?

– Tak jest, sir! Dziękuję, sir – ucieszył się Asfaw.

– Nie dziękuj mi, synu – westchnął Edmund. – Właśnie wystawiasz się na bardzo duże kłopoty.

\* \* \*

– Kłopoty, majorze. – Chief Brooks westchnął, padając na krzesło naprzeciw Herzera.

Herzer wyrzwał przez okno, gdzie jeden z podoficerów prowadził zajęcia na temat węzłów.

– Żadnych buntów – zauważył radośnie. ■ – Nawet z powodu jedzenia.

– Nie, jak dptąd nie – zgodził się Brooks. – To skarga na molestowanie seksualne.

– Niech to diabli. – Herzer westchnął, odchylając się na krześle. – Kto?

– Marynarz, *kobieta*, żeby sprawa była oczywista, Regilio i mat Lenice.

– Mów – mruknął Herzer, trąc oczy.

– Udzielał jej pouczenia na temat jej postawy, która, szczerze mówiąc, jest do niczego. Oskarżyła go o namawianie do seksu.

– Nie przestrzegał zasady zachowania świadków? – zapytał Herzer, nie Podnosząc głowy.

1 – Nie, nie przestrzegał – potwierdził Brooks. – Poinformował mnie, że chciał poruszyć sprawę bez świadków, żeby nie dochodziło do plotek. Bo wtedy musiałyby potraktować rzecz ściśle oficjalnie.

– Wyślij go z powrotem do floty – zdecydował Herzer, opuszczając ręce i wracając do swoich dokumentów.

– To jeden z naszych najlepszych instruktorów – zaprotestował Brooks.

– Nie, jeśli popełnił tak prosty błąd – warknął Herzer gniewnie i rzucił na biurko trzymaną już w dłoni notatkę. – *Zgadzam się z jego uzasadnieniem.* Ale on *nie* może stawiać się w tego rodzaju sytuacji z nie przeszkolonymi rekrutami. Którzy nie uświadamiają sobie jeszcze, jak poważne jest to oskarżenie. Albo jak bardzo zaszkodzi to *im*, i to na dłuższy czas. Ilu ludzi zacznie automatycznie kwestionować... jak ona się nazywa?

– Regilio.

– Pamela – dodał Herzer, przypominając sobie. – Z programu wstępnego wywiadu. Dobre wyniki z matmy. Rude włosy. Tak, faktycznie z charakterem. Mniej więcej ostatnia osoba na Maszcie każdego ranka.

– To ona – westchnął Brooks.

– Ludzie się o tym dowiedzą i zaczną gadać. Lenice jest we flocie od kilku lat. Nieskazitelna służba. Żadnych wcześniejszych wskazówek świadczących o skłonności do wykorzystywania swojej rangi do seksu. Czyli to ona *automatycznie* będzie traktowana podejrzliwie. Nawet gdyby on *faktycznie* składał jej takie propozycje lub usiłował zmusić ją do odbycia stosunku. I dlatego właśnie, bosmanie, on musi wrócić do floty. Dzisiaj. Z adnotacją do akt, że nie nadaje się do szkolenia kadry. I lepiej niech pan dobrze pouczy jego następcę. Czy wyrażam się jasno?

– Tak jest, sir – Brooks wstał. – To wszystko?

– Niestety, tak – potwierdził Herzer, znów wracając do dokumentów. – Wolałbym bunt. Och, i proszę przekazać pozostałym. Niech nikt sobie nie myśli, że to prosty sposób na powrót do floty. Jeśli znów pojawi się coś takiego, spadnę na winowajcę jak kowalski młot. Ze wszystkimi szykanami. Oni *nie* chcą popełnić ponownie tego rodzaju błędu. Nie mamy za dużo ludzi.

\* \* \*

– Dobry wieczór, pani kapitan – przywitał gościa Edmund, wskazując na krzesło. – Proszę usiąść.

– Dobry wieczór, sir. – Some Karcher usiadła ostrożnie. Zdążyła się już rozejrzeć po namiocie i wyraźnie zaskoczył ją jego spartański wygląd.

– Biorąc pod uwagę, że kwatera główna – została doszczętnie spalona, uznałem, że możemy wykorzystać tymczasowe pomieszczenia – wyjaśnił Edmund, zauważając jej wzrok.

1– Tak jest, sir – odpowiedziała. Swoją kapitańską kapeluszą położyła na kolanach i kciukami obu rąk wygładzała futerko na czole.

– Jak pani statek? – zapytał z uśmiechem Edmund.

– Dobrze, sir. Gotów do wypłynięcia na morze.

– To nie przesłuchanie – roześmiał się Talbot. – Słyszałem o zmianie, jaką zasugerowała pani odnośnie lądowania srebrzaków. Została wprowadzona w całej flocie.

– Wymyślił to jeden z moich marynarzy, sir – wyjaśniła Karcher. – Fink.

– Dobry człowiek? – zapytał Edmund.

– Kobieta, sir, i jest dość dobra. Zgłosiła się do szkolenia najeżdźca smoka.

Edmund wyciągnął kartkę papieru i napisał coś na niej.

– Zatwierdzam – oświadczył. – O ile pani się zgadza. – Podał jej arkusz. – Co pani sądzi o swoim pierwszym oficerze?

– Dobry fachowiec, sir – poinformowała go Karcher. – Lepszy ode mnie w nawigacji względem gwiazd. Dostał to stanowisko dzięki umiejętnościom obsługi statków. To znaczy, sir, to dobry żeglarz.

– Czy potrafiłby przejąć *Blacka*.

Some Karcher znieruchomiała i zmarszczyła czoło.

– Jestem zwalniana, sir?

– Ja pierwszy zadałem pytanie – zauważył Edmund.

– Tak, sir, mógłby. – Kobieta westchnęła.

– To dobrze. – Talbot podał jej kolejny dokument. – Właśnie została pani *dowódcą Hazhira*. Pierwszy oficer zna okręt, ale Shar nie uważa, żeby potrafił objąć dowodzenie. Obejrzałem pani akta

i uważam, że pani potrafi.

– Tak jest, sir – odpowiedziała, przyjmując dokument, jakby groził wybuchem. Wsunęła go pod kapelusz i zaczęła trochę mocniej przeczesywać futerko na czole.

– Tylko „tak jest, sir”? – zapytał z uśmiechem Edmund.

– Dziękuję, sir?

– Myśli pani, że sobie z tym poradzi?

– Nie, sir – wyznała szczerze Karcher. – Ale gwarantuję, że dam z siebie wszystko. I przypuszczam, że już się pan nad tym zastanowił. Spodziewałabym się raczej, że przeniesie pan kogoś z fregat lub krążowników, a ja dostałabym jego miejsce. Ale jeśli jest pan gotów podjąć ryzyko, zrobię Wszystko, co w mojej mocy.

– Some Karcher, ma pani więcej czasu na morzu niż połowa dowódców fregat. – Edmund westchnął. – I tak, przemyślałem to. I jeszcze raz. Wie pani, co zdecydowało?

Kobieta zastanowiła się przez chwilę, po czym wzruszyła ramionami.

– To, że zdradziłam, że to Zora Fink wymyśliła sposób na lądowanie?

– Bingo – przyznał Edmund. – To, oraz fakt, że pani załoga jest lojalna jak diabli. Potrafi pani żeglować i potrafi pani dowodzić. To kombinacja, którą trudno znaleźć w tej flocie. I nie boi się pani przyznać, że czegoś nie wie. To wymaga odwagi. Teraz musimy się jeszcze przekonać, czy potrafi pani walczyć. Proszę mnie nie zawieść.

– Tak jest, sir. Zastanawiałam się tylko...

– Znam pani historię – przyznał Edmund. – Prawdę mówiąc, możliwe, że lepiej od pani. Pomimo faktu, że Przemienieni stykają się z pewnymi bardzo starymi uprzedzeniami, ja ich nie mam. Przemienieni są ludźmi tak samo jak ci z nas, którzy wyglądają normalnie. Choć wykluczam z tej kategorii Przemienionych Nowego Przeznaczenia, którzy zostali zaprogramowani na bycie *nie* ludzkimi. Jest pani dobrym dowódcą i dobrym żeglarzem, a mam cholernie mało osób, które mieszczą się w obu tych kategoriach. Szczerze mówiąc, nie obchodzi mnie, czy zjada pani żywe myszy. To mogło mieć znaczenie pod Draskovichem, ale nie u mnie.

– Nie zjadam, sir – rzuciła Karcher, po czym zaryzykowała. – Cóż, praktycznie nigdy.

– A ja nie rzucam odchodami – uśmiechnął się Edmund. – Cóż, praktycznie nigdy.

– Tak jest, sir – odpowiedziała z kocim uśmiechem Karcher.

– To wszystko – zakończył rozmowę Talbot. – Powodzenia.

– Dziękuję, sir. Spróbuję sobie poradzić.

\* \* \*

– Witam, Wasza Książęca Wysokość – odezwał się Herzer, wchodząc do oświetlonego latarnią namiotu.

– Herzer, naprawdę tracisz przy mnie wojskowy szacunek, co? – zachichotał Edmund.

– Przynoszę rozkazy od pańskiej żony przekazane przez pańską córkę, która nawet się ze mną jeszcze nie przywitała – poinformował go młodzieniec, podchodząc i wyciągając dokument z dłoni księcia. – Rozkazano nam zgłosić się do klubu oficerskiego. Gdzie w towarzystwie przynajmniej Van Krief mamy zająć stolik i się nawalić. Dokładnie taki dostałem rozkaz od Rachel. „Matka rozkazała ci dopilnować, żeby się nawalił.” Jutro jest dzień odpoczynku, a to daje nam przynajmniej kilka godzin na leczenie kaca. Proszę więc wsiać, rozkaz wydał prawdziwy pan.

Edmund potrząsnął głową i wskazał na swoje biurko.

1– Ona już sprawiła, że zasnęłam. Mam tony papierkowej roboty do nadgonienia.

– To wszystko *poczeka* – oświadczył Herzer, obchodząc biurko i podnosząc rękę Edmunda. –

Niech pan nawet nie myśli o walce ze mną. Jestem młodszy i szybszy.

– Wiek i chytryść za każdym razem biją młodość i niewinność – warknął Talbot. Ale wstał.

– Cóż, kiedy już dostatecznie się upijemy, może zdołamy sprawdzić. No chodźmy, szefie, czas ucieka.

– Brzmisz jak Bast, kiedy mówisz takie rzeczy – roześmiał się Edmund. – A skoro o niej mowa, czy ty ostatnio przedmuchiwałeś przewody?

– Niestety, nie. Kiedy tu dotarliśmy, panował tu istny dom wariatów. A później jedyne kobiety, z jakimi się stykałem, to moje podkomendne. A od dzisiaj nawet nie chcę o tym myśleć. Zwłaszcza po tej mojej idiotycznej decyzji o postawieniu Masztu.

– Wydawało mi się, że to genialne – zdziwił się Edmund, gdy mijali pierścień straży wokół kwatery głównej.

– Ja też-burknął Herzer. – I sądziłem, że równie błyskotliwe jest umieszczenie tego w miejscu, gdzie może się mu przyglądać dowódca. A potem zauważyłem, że kiedy wspinają się na drabinki, cóż... powiem tylko, że wśród tych uczennic zdarzają się bardzo zgrabne tyłeczki. I z każdym tygodniem robią się zgrabniej sze!

Edmund roześmiał się i klepnął go w plecy, gdy mijali właśnie zaciemnioną alejkę.

– Nie martw się, jestem pewien, że twój pozałowania godny stan nie... – Wykręcił się na bok w chwili, gdy z ciemności wyprysnął miecz, po czym wykonał kolejny piruet, gdy z boku pojawił się drugi cień.

Herzer i Edmund byli nieuzbrojeni, ale ten stan nie trwał długo. Rozległ się trzask łamanej ręki i krzyk, gdy Herzer wykręcił się w bok, przewracając jednego z napastników na drogę. Przechwycił krótki miecz zabójcy i podał go Edmundowi, który cisnął swoją pelerynę w twarz kolejnego zbira. Admirał chwycił miecz i dźgnął jednego z zabójców w szyję, po czym rzucił Herzerowi miecz ofiary. Potem zrobiło się krwawo.

Herzer sparował cios i użył sztuczki z peleryną do owinięcia kolejnego z atakujących, przeciągając miecz przez jego gardło i pchnął trupa na mężczyznę zbliżającego się do pleców Edmunda.

Admirał miał już w dłoniach dwa miecze i napierał na grupę z klingami poruszającymi się tak, jakby kierowały się własną wolą. Na ziemię spadło ramię i głowa, i Herzer zabił kolejnego przeciwnika, wykorzystując fakt, iż jest on już na wpół oślepiony przez tryskającą krew. Poczłł cięcie przez ramię, ale odwrócił się i pchnął w tył, zabijając człowieka za sobą, po czym kopnął stojącego z przodu. Gdy mężczyzna zgiął się w pół, Herzer wbił miecz w jego kark, rozcinając tętnicę i rozlewając na ziemię jeszcze jedną kałużę krwi.

Po chwili było po wszystkim, kilka leżących ciał i dwóch bandytów uciekających w mrok, gdy przy drodze pojawiła się grupa żołnierzy piechoty morskiej z latarniami.

– Ognie piekielne – jęknął ktoś, patrząc na porozrzucane po ziemi trupy.

– Faktycznie – zgodził się Talbot, odrzucając jeden ze swoich mieczy i czyszcząc drugi kawałkiem prawie czystej tkaniny. – Herzer, chyba jestem ci winien drinka.

Herzer rozejrzał się po oświetlonym latarniami gruncie i policzył.

– No nie wiem... Myślę, że jesteśmy mniej więcej po równo. Młodość i niewinność *mogą* nie pokonać wieku i chytryści.

– Pójdziemy się umyć? – Edmund popatrzył na zakrwawiony mundur. – Czy idziemy wprost do klubu?

– Mają tam wymogi odnośnie ubioru – zauważył ze śmiechem Herzer.

– Ach, ale robią wyjątki dla admirałów – stwierdził starszy mężczyzna, ruszając w stronę

budynku klubu.

\* \* \*

– Cześć, Van Krief – powiedział Edmund, podchodząc do baru.

Znał określenie „można by usłyszeć przelatującą muchę”, ale nigdyjesz-cze w swoim bardzo długim życiu czegoś takiego nie doświadczył. Teraz naprawdę je zrozumiał. Usłyszał nawet przez całą długość klubu, jak barman odstawia trzymaną w dłoni butelkę. Przez chwilę jej stuknięcie było jedynym słyszalnym w pomieszczeniu dźwiękiem.

– Dobry wieczór, sir – odparła dziewczyna, wstając od stołu przy drzwiach. – Czy wszyscy członkowie pańskiego personelu żyją? – Jako Pan Krwi nie zamierzała reagować wstrząsem na widok wchodzących do baru dwóch oficerów w zakrwawionych mundurach.

– Zrób coś dla mnie, dobrze? – poprosił Edmund, ściągając bluzę munduru. – Idź i przynieś nam z Herzerem jakieś świeże ubrania, a my pójdziemy się umyć. – Wyciągnął krótki miecz i rzucił go przez salę z taką siłą, że wbił się w ścianę. – Mieliśmy drobne trudności po drodze z dowództwa.

\* \* \*

– Mogłeś zginąć! – warknęła gniewnie Daneh.

– Bardzo niewiele brakowało – przyznał Edmund, pociągając kolejny łyk drinka. – Zginąłbym, gdyby nie Herzer.

Idaneh i Rachel przybiegły, gdy tylko Van Krief wyjaśniła im, czemu potrzebuje czystych ubrań dla Edmunda i majora. Mieli teraz dla siebie, z Van Krief, Destrangiem i Tao siedzącymi przy sąsiednim stole, cały narożnik sali. Oprócz nich stał tam jeszcze tylko kelner, który przyglądał się im jak mysz obserwująca krążącego sokoła.

– Nie, świetnie pan sobie radził – zachichotał Herzer, pociągając solidną porcję piwa. – Choć przez sekundę czy dwie było faktycznie niebezpiecznie. Muszę przyznać, że zauważył ich pan wcześniej niż ja.

– Lata życia w trudnych warunkach, synu – odpowiedział Edmund. – Lata ciężkiego życia. Niektóre nawyki zostają na zawsze.

– Potrzebujesz ochrony – oświadczyła Rachel.

– Owszem – ponuro zgodził się Talbot. – Ale dobra wiadomość jest taka, że ktoś mnie nie lubi.

– To *dobra* wiadomość? – zapytała Daneh. – Od kiedy?

– To znaczy, że ktoś uważa go za zagrożenie – wyjaśnił Herzer. – A choć niewątpliwie we flocie niejeden oficer chętnie wsadziłby mu nóż w plecy, wątpię, żeby któryś z nich nasłał zabójców.

– A to oznacza starego przyjaciela Sheidy, Chanse – zauważył Edmund. – Lub, ewentualnie, Paula. A więc to dobra wiadomość. Zła jest taka, że nie tylko ja potrzebuję ochrony, ale i ty, Rachel oraz dzieciak. I dlatego w kwaterach VIP-ów czeka już oddział piechoty morskiej, a więcej jest w drodze.

– Tak, mogą próbować uderzyć w ciebie przez nas, prawda? – zapytała cicho Daneh.

– Niestety, tak – przyznał Edmund. – Rachel, niechętnie mówię w takim miejscu o służbie, ale czy jesteś gotowa do drugiej jazdy dyliżansem?

– Jeśli muszę.

– Daneh, zamierzam zagonić cię do pracy – mówił dalej. – Nadzwyczajny asystent do spraw medycznych, czy coś takiego. Kiedy flota wróci, chcę tu mieć lepszą opiekę medyczną niż ostatnim razem. Jak dotąd nie udało mi się położyć na to dostatecznego nacisku. Ty potrafisz. Rachel, organizujemy kolejną bazę floty w Bałmoran. Chcę, żebyś tam pojechała i zgłaszała wszystko do matki, a ona przekaże twoje raporty do Oinie. Jeśli znów dojdzie do walk na północy, Bałmoran przyda się flocie znacznie bardziej niż to miejsce. A przywozić będziemy głównie rannych.

Chciałbym, żeby tamtejszy szpital oferował najwyższej klasy leczenie. Zgodzisz się?

– Dobrze – odpowiedziała Rachel. – Zrobi się. O ile tylko masz ludzi i fundusze.

– Pieniądze dostaniesz, nawet jeśli nie da się inaczej, niż pójść do cholernego kapitolu i je *wycisnąć*. Ludzi prawdopodobnie będziesz musiała *znaleźć* sama. I nie obejmiesz tam *kierownictwa*, zostaniesz moimi oczami i uszami. Jeśli wymyślisz coś, co uda się wprowadzić, nie wahaj się. Jeśli natkniesz się na poważne problemy, zgłaszaj je. Zrozumiano?

– Zrozumiano.

– No dobrze, a teraz *wszyscy* się urżniemy – Edmund osuszył drinka i przywołał kelnera.

– A co, jeśli pojawią się następni zabójcy? – zapytała Daneh.

– Kochanie, w drodze powrotnej do kwater towarzystwa dotrzyma nam pluton piechoty morskiej – zauważył Edmund. – Chansa może dorwać moją przesączoną alkoholem skórę i w takich warunkach, ale, na Boga, musi się bardziej postarać.



# ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Kiedy dotarli do pokoju, Herzer nie wiedział, czy to on podpira Van Krief, czy ona jego. Ale wiedział, że źle się stało, że oboje tam trafili.

Tego wieczora dużo się nauczył. Dowiedział się, że Destrang i Tao byli słabymi zawodnikami. Dowiedział się, że pijana Daneh dostaje czkawki. Że Rachel po prostu usypia. Dowiedział się, że Van Krief potrafi pić jak smok i ma świetny głos. Przynajmniej brzmiał doskonale, gdy sam się upił. I znała naprawdę dobre piosenki, choć nie wszystkie pasowały do dobrego towarzystwa.

Nikogo nie zdziwiło, że Edmund zna ich więcej. Ale zaskoczył Herzera fakt, że również lepiej śpiewał. Nigdy wcześniej nie wyobrażał sobie Edmunda jako pieśniarza. Owszem, potrafił krzyczeć, ale śpiewać? Herzer tyle się dziś nauczył. Ale i tak miał problem z drzwiami. A nic, czego się nauczył, nie pomagało.

– To ja trzymam ciebie, czy ty mnie? – zapytał ostrożnie.

– Myślę... – wydusiła z siebie dziewczyna, marszcząc brwi – myślę, że trzymamy się *nawzajem*.

– Ja też – zgodził się Herzer. Skoro trzymali się wzajemnie, to mogli dojść tylko do jednej sypialni. To nie było dobre.

– To fatalnie – wymamrotał.

– Och, wcale tak nie uważam – zachichotała Van Krief.

– To *naprawdę* zły pomysł – oświadczył Herzer, otwierając drzwi. – Bardzo zły. Ja po prostu... prześpię się na podłodze, czy coś.

1– Nie *sądzę* – znów zachichotała dziewczyna. Zatoczyła się, kopniakiem zamknęła drzwi, zachwiała się i ściągnęła tunikę. – A co myślisz o *tymi*

– Co? – zapytał Herzer, patrząc na podłogę. Wyglądała bardzo... nie-przyjaźnie.

– To! – oświadczyła Van Krief, rozpinając kilka guzików koszuli, po czym poddając się i rozrywając je. – To! – powtórzyła wypinając piersi.

– Różowe sutki – wymamrotał, opadając na kolana i podchodząc do niej tak, że mógł zanurzyć twarz między jej piersiami. – O ile gorzej może być? – Właśnie pocałował ją w brzuch, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

– Dobra, jest gorzej – oświadczył, dźwigając się po podparciu o łóżko. Van Krief osłoniła piersi, ale nie dało się zamaskować rozerwanej koszuli. Herzer spojrział na nią, wrzucił ramionami i otworzył drzwi.

– Herzer? – zapytała opierająca się o framugę Rachel. – Czy masz własną łazienkę?

– Tak.

– Dobrze, będę w niej chorować – wyjaśniła Rachel, zsuwając się z framugi i nieruchomiejąc na widok Van Krief.

– Och – rzuciła, błyskając oczami.

– Dyyyyyskutowaliśmy właśnie... – wydusiła Van Krief.

– Dyskutowaliśmy właśnie o nieodbywaniu stosunków – dokończył Herzer, zasłaniając dłonią usta dziewczyny. – A teraz ta oto młoda osoba, która jest również moją podwładną, opierając się o ścianę, dotrze do swojego pokoju i własnego łóżka, a ja usnę w pijanym stuporze. A ty pójdziesz wymiotować.

A przynajmniej to zamierzał powiedzieć. Bo z jego ust wydobyło się:

– Burrr greub nooo...

Po czym bardzo dużo wypitych porcji rumu przejęło kontrolę i zaskoczyła go grawitacja.

\* \* \*

Kiedy Herzer otworzył oczy, pierwszą rzeczą, z której zdał sobie sprawę, to fakt, że nie jest w łóżku sam.

Aż nazbyt wyraźnie pamiętał poprzednią noc. Aż do chwili, gdy w jego pokoju znalazły się Rachel i Van Krief. Zwłaszcza tę chwilę.

A teraz ktoś leżał w jego łóżku.

Rachel... cóż, Rachel nie byłaby taka zła. Z nią mógł żyć. Zdziwiłby się, ale przyjemnie. Jednak ponieważ *byłby* zaskoczony, bo jej zainteresowanie *mężczyznami* wydawało się zerowe, znacznie bardziej prawdopodobna była obecność Van Krief. A to byłoby... źle. Usiłował nie jęknąć, przypominając sobie poprzednią noc. Nie mógł uciec, żeby wstąpić do legionów, zrobił to

11 lata temu. Może zacznie prowadzić farmę albo znajdzie jakiś kamień, pod którym się schowa. Do diaska, to przestępstwo karane *sądem wojskowymi* a na dodatek właśnie rzucił Lenice na pożarcie wilkom.

*I nawet niczego nie pamiętał!*

Prawdę mówiąc, biorąc pod uwagę pełny pęcherz, zaczynał podejrzewać, że niczego *nie zrobił*. Nie, żeby miało to jakieś znaczenie.

Cholera. Czas przekonać się, czy czeka go wkurzony szef, czy *bardzo* wkurzony szef.

– Cześć, kochany – odezwała się Bast, odwracając się.

\* \* \*

– Bast, nie, żebym się nie cieszył na twój widok... – zaczął Herzer po powrocie z łazienki. Zanim powiedział coś więcej, chwycił się za głowę i jęknął. – Ale... jak się tu dostałaś? To miejsce powinno być pilnowane przez strażę.

– Czy nie jestem Bast? – zapytała leśna elfka, wstając z łóżka. Miała niewiele ponad metr i ćwierć wzrostu, długie, kruczoczarne włosy, idealnie ukształtowaną sylwetkę, wysokie jędrne piersi i ciało, które wyglądało na sprężyste, ale nieprzesadnie umięśnione. Była naga, a jej standardowy strój na lato i zimę, czyli skórzane bikini, leżał na podłodze przy łóżku. Miała ciało czternastolatki, często też tak się zachowywała, ale Herzer wiedział, że faktycznie żyje od ponad tysiąca lat.

– Czyż nie jestem w skradaniu się najlepsza na świecie? Myślisz, że twoi prości żołnierze mogą powstrzymać *mnie!*

Elfy zostały stworzone u zarania epoki Sieci przez Unię Północnoamerykańską jako superżołnierze. Choć wyglądały prawie jak ludzie, nie wywodziły się z Przemienionych ludzi, ale stanowiły odrębny gatunek. W czasie Upadku większość z nich żyła w wydzielonym wymiarze nazywanym Elfheim. Separacja od ludzi nastąpiła mniej więcej w czasie wojen SI, kiedy stało się oczywiste, że dwa różne gatunki myślące nie są w stanie współegzystować na ziemi. Leśne elfy zostały stworzone mniej więcej w tym samym czasie jako żołnierze korporacji Nissei. Przynajmniej wtedy stworzono Bast. Jeśli istniały jakieś inne leśne elfy, Herzer o nich nie słyszał. A byli z Bast kochankami, co prawda z doskoku, pra-pwie od samego Upadku.

– Nie – zgodził się *Herzer*, siadając na łóżku i obejmując głowę. – Pewnie nie masz żadnej aspiryny?

– Anie mówiłam ci, żebyś brał aspirynę, *zanim* pójdziesz do łóżka? – zapytała, podając mu kubek z wodą i tabletkę. -1 wypij dużo wody. Oczywiście, kiedy tu weszłam, w twojej łazience wymiotowała Rachel, ty leżałeś

Inieprzytomny na podłodze, a na tobie spoczywała na wpół naga dziewczyna, podchorąży, w podobnym stanie. Więc tym razem ci wybaczę.

– Gdzie jest Van Krief? – zapytał Herzer, połykając tabletkę i osuszając kubek.

– Ta ładna blondynka? – zapytała elfka. – Zdołałam wybudzić ją na tyle, by wydusić z niej,

gdzie ma swój pokój, a potem ją tam zaniósł. Nie wyglądała, jakby mogła w czymkolwiek pomóc. Ty zresztą też nie. – Położyła dłonie na jego głowie i zaczęła coś mamrotać, a po chwili Herzer poczuł, że kac w cudowny sposób znika.

– Boże, Bast, jesteś marzeniem pijaka – westchnął, biorąc ją w ramiona.

– Twoje szczęście. – Uśmiechnęła się. – Idź się umyć, śmierdzisz jak kozioł. A potem wracaj tu i znów daj się obwąchać. A jeśli pojawi się ta ładna blondyneczka, powiedz jej, że jesteś zajęty. Minęło dużo czasu i nie zamierzam się dzielić.

\* \* \*

– Proszę, proszę, co też kot przyniósł – rzuciła Daneh, gdy Herzer i Bast weszli do pokoju.

Było już po południu, ale wszyscy w pokoju jedli pierwszy tego dnia posiłek. I wszyscy zmagali się z kacem.

– Daneh, moja droga, ta twoja córka jest bardzo dobrze wychowana. Uprzejma nawet, gdy rzyga.

– O Boże, to ty? – jęknęła Rachel. – Myślałam, że to Van Krief.

– To nie ja – wymamrotała dziewczyna, patrząc to na Herzera, to na Bast. – To musiała być Bast.

– Faktyczniesz. – Bast wyszczerzyła się, siadając na krześle. Przyciągnęła tacę i nałożyła sobie pełen talerz jajecznicy. – Spotkałyśmy się.

– Nie przypominam sobie – odparła słabo Van Krief.

– Zeszłej nocy, to ja cię zaniósł do twojego pokoju – wyjaśniła elfka, znów się uśmiechając.

– Nie pamiętam większości tej nocy – przyznała po chwili dziewczyna.

– Ja tak – oznajmiła Bast. – Ludzi nie powinni pić, nie radzą sobie z tym zbyt dobrze.

Herzer kulił się w duchu. Bast zazwyczaj w sprawach seksu była otwarta do poziomu pornografii. Ale zauważył, że tym razem starannie omija temat tego, *gdzie* spotkała Van Krief, gdy zaniósł ją do jej pokoju. Jak na Bast wykazała się tym samym niewiarygodnym taktem i powściągliwością-

– Oczywiście, jeśli jeszcze raz zechcesz spróbować Herzera, poczekaj do popołudnia. Wtedy powinien już odzyskać siły.

I I tyle, jeśli chodzi o powściągliwość.

1– Bast – odezwał się z naciskiem Edmund. – Zeszłej nocy wszyscy się upiliśmy. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli zapomnimy o tym temacie, dobrze?

– Dobrze – zgodziła się Bast, częstując się jajecznicą. – A co powiesz na Chanse oferującego kontrakt?

– Nawet to jest lepsze – stwierdziła Daneh.

– Mówią o tym w całym mieście-kontynuowała Bast.-Znaczy, o otwartym kontrakcie. Musiałam się zatrzymać. Spóźniłam się. Przepraszam.

– Ciekawe, że mnie nikt nic nie powiedział – warknął Edmund. – Zazwyczaj jestem lepiej poinformowany. Gdzie o tym słyszałaś?

– Ktoś złożył mi propozycję. – Bast wzruszyła ramionami. – Zabiłam człowieka, który pytał. Bardzo głupi człowiek. Myślał, że wzbudzi we mnie zazdrość o twoją panią podchorążą.

– Co? – zapytała Van Krief.

– Co? – wykrzyknął Herzer.

– Ciszej, Herzer – westchnął Edmund. – Bałem się, że dojdzie do czegoś takiego. Fakt, że wy dwoje... się lubicie jest dość oczywiste. Już mi o tym mówiono. Nie oficjalnie, ale temat został poruszony.

– Ale my nigdy... – zaczął Herzer, po czym urwał. – No... oprócz... och szlag!

– Faktycznie, szlag – zgodził się Edmund. – Jak tam szkoła?

– Całkiem dobrze – odpowiedział Herzer. – Jeśli pyta pan, czy kapitan Silver sobie z nią poradzi, to owszem.

– Za dwa dni flota wypływa na manewry. Dałem już do zrozumienia, że z nią wypłyniesz. Planowałem wysłać cię jako mojego przedstawiciela, żebyś wszystko obserwował. Ale mają tak mało jeźdźców smoków, że mam zamiar przydzielić ci dowództwo skrzydła smoków *Hazhira*.

– We flocie są jeźdźcy o znacznie większym doświadczeniu – zauważył Herzer.

– Ale żadnego na *Hazhirze*. Nowy kapitan, nowa załoga, smoki zebrane z całego kontynentu, a połowa zrobiła zaledwie jedno czy dwa lądowania. Bardzo niewiele przeszkolono w bombardowaniu.

-1 ja – dorzuciła Bast. – Joanna popłynie, ja polecę na niej.

– Joanna jest zaokrętowana na *Richardzie* – zwrócił uwagę Edmund.

– Była – poprawiła Bast. – Joanna popłynie na *Hazhirze*. Ja też. Zaufaj mi, Edmundzie Talbot. Joanna, ja i Herzer na *Hazhira*.

– Co wiesz? – zapytał Edmund.

– „Wiem” to za duże słowo. – Bast wzruszyła ramionami. – Coś nadciąga. Więcej niż bitwa. Linie czasu skręcają. – Urwała i uśmiechnęła się. -

*Gaslan*. To elfia rzecz. Jesteśmy wojownikami. Możemy wyczuć przyszłość wojny. *Hazhir* jest schwerpunkt. Joanna, Herzer i ja. Stoczysz bitwę. Możesz bitwę wygrać. Wygrać lub przegrać, *Hazhir* jest kluczem. Do czegoś więcej. Znacznie więcej.

Przez chwilę wszyscy się w nią wpatrywali, w końcu Edmund potrząsnął głową.

– Nie znoszę, kiedy się tak przy mnie elfisz. Destrang, napisz notatkę. Komandor Joanna Gramlich zostaje przeniesiona na *Hazhira* jako dowódca kontyngentu smoków. To samo major Herzer Herrick, pierwszy oficer skrzydła smoków. Bast L’sol Tamel d’San, sprzymierzony leśny elf, przydzielona na *Hazhira* jako dodatkowy jeździec smoków.

– A ja, sir? – zapytała Van Krief.

– Ty wracasz do funkcji mojej adiutantki – zdecydował. – Zaokrętuujemy się na *Richardzie*. Czeka mnie mnóstwo pisania, ktoś to musi robić. I to ktoś zaufany. To samo dotyczy Destranga. Tao.

– Sir?

– Ty zostaniesz tutaj. Pierwotnym zadaniem obozowych adiutantów było stanować oczy i uszy dowódcy. Staniesz się tym, ale nie ustami. A jeśli nie zostanie wykonane coś, co rozkażę, prześlesz mi wiadomość.

– Tak jest, sir.

– A czemu *ty* wybierasz się na morze? – zapytała Daneh. – Myślałam, że po to właśnie sprowadziłeś Changa.

– Ponieważ nie zamierzam siedzieć w bazie, kiedy flota, która dopiero co została skopana, wypływa ponownie do walki. – Edmund westchnął. – Prawdopodobnie z wielu przyczyn *powiniennem* zostać w dowództwie. Na przykład planując *następną* bitwę. Ale w tej chwili flota nie jest pewna siebie. Muszę z nią być, słusznie czy nie.

– Cóż, przynajmniej na morzu zabójcom będzie znacznie trudniej się do ciebie dobrać – uznała Daneh niechętnie. – Oczywiście możesz zatonać lub spłonąć. Ale nie musisz się martwić o zabójców.

– A co z mordercami, którzy mogą próbować zabić nas? – zapytała Ra-chel.

– Przychodzi taka chwila – oświadczył smutno Edmund – że trzeba delegować odpowiedzialność. Nawet jeśli chodzi o zapewnienie bezpieczeństwa rodzinie. A ty i tak jedziesz do

Balmoran, pamiętasz?

\* \* \*

Herzer wspiął się na burtę *Hazhira* i zasalutował stojącemu na pokładzie oficerowi, a następnie banderze floty ZWS, grzechotnikowi na poma-rańczowym tle z wyszytymi słowami: „Nie nadepnij mnie”.

1– Proszę o pozwolenie wejścia na pokład.

– Udzielam – prawie wykrzyczała kobieta. – Porucznik Lannette Rat-tanchane, oficer nawigacyjny.

– Major Herzer Herrick – przedstawił się. Następnie wskazał na Bast, która właśnie dotarła na pokład i rozglądała się z zainteresowaniem. – Bast L’soł Tamel d’San, elfi sojusznik.

– Mów mi Bast – powiedziała elfka, wyciągając rękę i potrząsając dłonią pani porucznik. – Miło cię poznać. – Miała na sobie swój zwykły strój podróżny składający się z bikini z zielonej skóry, przewieszzonego przez ramię pasa z szablą, łuku i strzał na plecach, metalowego naramiennika na lewej ręce, stalowej nagolenicy na prawej nodze i futrzanej osłony na lewej. Jej rozpuszczone włosy rozwiewał północny wiatr. – Dobry dzień na żeglugę, co?

– Owszem. – Porucznik przełknęła ślinę. – Majorze Herrick, pani kapitan chciałaby spotkać się z panem najszybciej, jak to możliwe.

– Czyli natychmiast – powiedział Herzer. – Bast... och, nieważne Po prostu spróbuj nie siać za dużo chaosu, dobrze?

– Kto, ja? – Bast wyszczerzyła zęby w uśmiechu. – Idź sobie flirtować z panią kapitan, ja pójdę prosto do naszej kabiny.

– Zazwyczaj osobno kwaterujemy kobiety i mężczyzn... – zaczęła mówić porucznik Rattanchane.

– No cóż, „zwyczajne” raczej nie dotyczy Bast. – Elfka posłała jej uśmiech. – Może więc zaprowadzisz mnie do kwatery Herzera, a ja się tam rozgoszczę?

\* \* \*

Flota, która po czterech tygodniach ponownie podniosła kotwicę, została drastycznie odmieniona, przynajmniej na powierzchni. Tam, gdzie wcześniej widniały tymczasowe naprawy, teraz błyszczało solidne drewno. Połatanne żagle zastąpił świeżo utkany badwab. Spalone maszty wymieniono, olinowanie rozmieszczono od nowa i naprawiono wszystkie uszkodzenia.

Na powierzchni.

Wszystkie okręty spędziły przynajmniej jeden dzień poza portem na ćwiczeniach. Wszystkie dysponowały minimalną załogą potrzebną do podnoszenia i opuszczania żagli. Wszystkie smokowce miały ładownie pełne zaopatrzenia. Wszystkie antysmocz dretnoty miały zainstalowane działa. Srebrzaki i powelle wypełniały powietrze, czekając na swoją kolej do lądowania na okrętach.

Ale flota składa się z czegoś więcej niż tylko z „gotowości materiałowej”. Oficerowie i marynarze byli przenoszani na inne jednostki w złożonym

1tańcu. Dodano nowe rodzaje okrętów. Działonowi i piloci ledwie rozpoczęli szkolenie. We flocie pojawiło się mnóstwo nowych kapitanów.

Z pozoru wyglądali na siłę nie do powstrzymania. A Edmund wiedział, że połowę każdej bitwy stanowi morale. Że w każdej bitwie powinni uczestniczyć dzielni ludzie. Zdawał sobie jednak sprawę, że istotną część stanowi też szkolenie. A tego im zdecydowanie brakowało.

Takie myśli towarzyszyły mu, gdy wspiął się na burtę *Richarda* i uściśnął rękę Shara Changa.

– Dowódca Floty Północnoatlantyckiej wchodzi na pokład! – krzyknął podoficer. Zabrzmiały bębny i trąbki, a na maszcie rozwinięto jego proporzec. Wiedział jednak, że to także tylko na pokaz.

– Shar – przywitał się, ściskając rękę admirała. – Jesteśmy gotowi do wypłynięcia?

– Na tyle, na ile to możliwe – odpowiedział Chang. Wyglądał na bardzo zmęczonego.

– Zejdźmy pod pokład, mamy kilka spraw do omówienia.

\* \* \*

Znaleźli się w tym samym pomieszczeniu, które Talbot zajmował podczas swojej poprzedniej podróży na *Richardzie* – na sterburcie od korytarza oficerskiego, w pokoju zaprojektowanym specjalnie z myślą o przebywających gościnnie na pokładzie dygnitarzach. Kabina nie należała do wielkich, ale miała spore łóżko, szerokie iluminatory i stół dostatecznie duży, by mogło się wokół niego zmieścić sześć osób. W tej chwili siedzieli przy nim tylko Shar Chang i Edmund. Adiutant Changa oprowadzał swiętego Edmunda po ich znacznie ciasniej szych kwaterach.

– Shar, po pierwsze nie przybyłem tu, żeby ci zaglądać przez ramię – oświadczył Edmund.

– Myślę że wiem, czemu tu jesteś. – Mężczyzna uśmiechnął się. – Jesteś starym weteranem, który nie potrafi trzymać się z dala od bitwy.

– Dobrze, to też – zgodził się Edmund. – Ale przełknąłbym swoją dumę i został na brzegu, gdyby nie stan floty, duchowy. Kiedy ostatnio wypływali, ich admirał został bezpieczny na lądzie. Tym razem zamierzam dzielić z nimi ryzyko. Łącznie z chorobą morską i wszystkim innym.

– I zupełnie przypadkiem będziesz mógł od razu odpowiadać na pytania, które mogłyby mi przyjść do głowy? – zapytał Shar, znów się uśmiechając.

– Mam nadzieję, że zdołam spędzić całą drogę nad papierami – przyznał Edmund. – Poza etapem wymiotowania.

– Cóż, poprowadzę ćwiczenia floty do chwili, gdy dostaniemy wiadomość o ruchach Nowego Przeznaczenia – powiedział Shar – na tyle blisko

*lbrzegu*, żeby dało się szybko uzupełnić zapasy. Szczególny nacisk chcę położyć na ćwiczenia działonowych i smoków. Prawdopodobnie zużyjemy duże ilości materiałów na żagle.

– Zapewne – zaśmiał się Edmund.

Przy strzelaniu pod wiatr bełty z dział pneumatycznych miały nieprzyjemną tendencję do spadania na strzelające jednostki. Spowodowało to kilka wypadków i stało się przyczyną ustawienia osłon na pokładach, co miało zapobiec dalszym. Ale nie było sposobu na osłonięcie żagli, a drednoty miały skłonność do nabierania mocno poszarpanego wyglądu.

– Oraz bełtów i bomb. – dodał. – Dobrze. Kiedy podnosimy kotwicę?

– Gdy tylko skończymy rozmowę – przyznał Shar.

– W takim razie pozwól, że wezmę trochę ziół przepisanych mi przez Daneh na chorobę morską i ruszamy, czy jak to się u was mówi – powiedział z szerokim uśmiechem.

– Zrobimy jeszcze z pana żeglarza, admirale.

# ROZDZIAŁ SZESNASTY

– Kiedy wylądujemy? – zasygnalizował Kenton do sąsiedniego jeźdźca. Herzer zauważył znaki kątem oka i zamachał do niego.

– Dość gadania – dał znać, a Vickie równocześnie podleciała na swoim srebrzaku.

Flota miała wypłynąć trzydzieści minut temu. Planowali wylądować w zatoce zaraz po tym, jak okręty podniosą kotwicę. Ale smoki miały ograniczoną wytrzymałość i pierwsze, które wystartowały, będą musiały niedługo wylądować. Zwłaszcza srebrzaki.

– Sabeł i Al Kalifa robią się zmęczone – pokazała Vickie, przelatując przed nosem jego smoka i z powrotem w szybkim pikowaniu. – Wszystkie srebrzaki. Muszą wylądować.

– Zasygnalizuj żaglowcom – polecił Herzer, wzdychając. Świetny początek wspaniałej przygody.

Srebrzak wykręcił na plecach i zanurkował w stronę unoszącej się niżej formacji smoków obronnych. Vickie przeleciała przez formację, prawie ocierając się o jednego z wywernów, po czym opadła ku jednostce, która właśnie podniosła kotwicę i postawiła żagle.

\* \* \*

– Pani kapitan, smok sygnalizuje – zawołał marynarz z oka.

Some Karcher spojrzała w górę i do tyłu, gdzie wskazywał wołający, i napotkała wzrokiem spód platformy ładowniczej nad głową. Z miauknięciem niezadowolenia przeszła na tył pokładu rufowego i wychyliła się.

1i – Jaka wiadomość? – zawołała.

– Prośba o zgodę na lądowanie – zawołał aspirant ze stanowiska operacji lotniczych. Mieściło się ono na platformie zamocowanej do rufowego 0iasztu. Miejsce to umożliwiała obserwację nadlatujących smoków i przekazywanych przez nie sygnałów. Czego ona nie mogła widzieć.

– Flota nie sygnalizowała podjęcia operacji powietrznych – zauważył niajor Sassan, nowy pierwszy oficer.

– Wiem o tym, pierwszy – oznajmiła. – Oficer sygnałowy, to powell czy srebrzak?

– Srebrzak, pani kapitan! – zawołał aspirant. Zobaczyła, że na górę wspina się też cholerna elfka. – Teraz sygnalizuje prośbę o zgodę na lądowanie dla wszystkich srebrzaków.

– Udzielam – zawołała Karcher. – Nie, powtarzam, *nie* podejmować operacji powietrznych! Załogi pokładowe w gotowości.

– Pani kapitan, jest pani tego pewna? – zapytał Sassan.

– Tak – zapewniła Karcher. – Łączność, zasygnalizować do floty. „Ściągam zmęczone srebrzaki. Nasz numer. Koniec.”

– Tak jest – potwierdził aspirant sygnałowy, wyciągając chorągiewki. Ze swojego miejsca Karcher była w stanie od biedy zobaczyć *Richarda*.

W chwili, gdy na pokładzie wylądował pierwszy ze srebrzaków, zobaczyła flagę potwierdzenia, a zaraz potem „Zatwierdzam”. Przesłano też to polecenie całej flocie.

– Najwyraźniej inni też mają zmęczone srebrzaki – stwierdził Sassan.

– Tak. Pierwszy, możemy porozmawiać na dole? – dodała Karcher, schodząc lekko po schodkach i zeskakując z połowy ich wysokości.

Kiedy dotarli do jej gabinetu, usiadła i wskazała mu krzesło po drugiej stronie biurka.

– Nie wiem, pierwszy, jak załatwia sprawy admirał Chang – odezwała się. – Ale kiedy podejmuję decyzję, nie chcę słyszeć żadnych domysłów, chyba że *wie* pan o czymś, czego ja nie wiem. Przekona się pan, że często będę prosić o zdanie, zwłaszcza w zakresie prowadzenia tej

jednostki, zapasów i stanu załogi. Ale kiedy wydają rozkaz, nie wolno go panu poddawać w wątpliwość. Zrozumiano?

– Tak jest, madam.

– Kiedy srebrzaki muszą lądować, to po prostu muszą. Może Vickie ściągnęła je troszkę za wcześnie, może nie. Ale ja nie zamierzam kwestionować decyzji doświadczonego jeźdźca, z pewnością nie w powietrzu. Kolejne powody mojej decyzji: srebrzaki mogą lądować przy ciszy. Nie potrzebują, by statek szedł na wiatr. Flota *mogła* ściągnąć je bez manewrowania i dobrze, bo jeszcze jest to możliwe. Mogłam zapytać admirała. I w przyszłości zapewne będę to robić. Ale w tamtym miejscu i porze wiedziałam, że muszą pozwolić swoim srebrzacom wylądować. Podejmowanie tego rodzaju decyzji należy właśnie do kapitana. Zrozumiano?

– Zrozumiano.

– Kiedy pan zostanie kapitanem, też przyjdzie panu podejmować takie decyzje. A na razie wracajmy na pokład. Przypuszczam, że niedługo zaczną lądować pozostałe smoki.

\* \* \*

– Nie mogę uwierzyć, że zdołali tak szybko wyjść w morze – warknął zmęczonym głosem Paul.

Właśnie zakończył kolejną sesję przywoływania awatarów. Reintegracja ich osobowości była męcząca i zazwyczaj budził się po niej rozdrażniony. Megan, czekając na jego obudzenie, wezwała też Shaneę i teraz dziewczyna podała mu do ust kielich z winem.

– Dziękuję, Shanea – powiedział Paul po wypiciu łyka.

– Flota ZWS już wypłynęła? – zapytała Megan.

– Tak – potwierdził mężczyzna, przeciągając się i przejmując kielich od Shanei. Jego ręka zatrzęsała się lekko, gdy unosił naczynie do kolejnego łyka. – Znów ten cholerny Talbot. Sheida postawiła go na czele floty. Wprowadził cały szereg zmian. Większość na lepsze.

– Jest dla ciebie bardzo uciążliwy – zauważyła Megan.

– Równie zły, jak Kinloch w Tauranii – przyznał Paul, siadając. – A nawet gorszy. Chansa wydał rozkaz zabicia go, ale drań Conner zepsuł sprawę.

– Conner zazwyczaj jest dość skuteczny – zauważyła Megan.

– Tak, ale tym razem nie docenił Talbota, zresztą też tego drania Herric-ka. Zabójcy napadli ich zaskoczenia, a oni we dwóch zdołali zabić ośmiu z nich, choć nie mieli żadnej broni.

– Herrick to ten młody Pan Krwi? – zapytała Shanea.

– Tak – potwierdził Paul, uśmiechając się do niej. Shanea zazwyczaj tylko słuchała i nie odzywała się tak często jak Megan. – On też napsuł mi sporo krwi, choć nie tyle co Talbot. Myślę o wysłaniu na nich grupy tworów Celinę. Albo na rodzinę Edmunda, włącznie z tym dzieciakiem McCanoca.

– Edmund Talbot nie wydaje się być typem człowieka, który pogrążyłby się w żalu – zauważyła Megan, marszcząc brwi. – Nie w użyteczny sposób. Jeśli już, to zrobi się bardziej zaciekły. Ale nie rozproszy go to. Przynajmniej tak sędzę na podstawie tego, co mi o nim mówiłeś. Nie chcę sugerować, że atakowanie ich byłoby złym pomysłem, ale...

1– Ale uważasz, że to zły pomysł. – Paul uśmiechnął się szeroko. – I zapewne masz rację. Prześlę Chansie notatkę, żeby zostawił ich w spokoju. Wystarczy zabicie Edmunda. A jeśli zdołają równocześnie dorwać tego drania Herzera, tym lepiej.

– Czy nasza flota może ich pokonać? – zapytała Shanea.

– Prawdopodobnie, skarbie – powiedział Paul, głaszcząc japo głowie. – Mamy więcej okrętów. Ale nie ufam temu Talbotowi. Jest przebiegły.

– Jakies dobre wieści? – zapytała Megan.



– Cóż, wciąż nie mają reaktora Alam. Ale siły Arizziego zostały znów odepchnięte w Chin, a Cho siedzi zaszachowany w górach Soam. Gdybyśmy mogli zdobyć Norau albo choćby wschodnie reaktory...

– Potrzebujesz więcej czasu, żeby wszystko się ułożyło – stwierdziła Megan, kładąc się koło niego. – Dwie piękne kobiety, jeden szczęściarz. Co ci to mówi?

– Że mój dzień robi się lepszy? – roześmiał się Paul.

\* \* \*

– Dobry dzień na latanie – ocenił Herzer, sprawdzając uprząż na Meitari.

Flota ściągnęła smoki w zatoce, a potem skierowała się na otwarte morze na dalsze ćwiczenia. Spędzili poranek na ćwiczeniach pokładowych, ale popołudnie przeznaczono na działania powietrzne. Jeźdźcy pospiesznie pochłonęli obiad i przygotowywali się teraz do wyprowadzenia wywer-nów na pokład.

– To prawda – zgodziła się Joanna, wyłaniając się z korytarza prowadzącego do smoczego hangaru. – Morze jest dostatecznie spokojne, by wywerny nie miały choroby morskiej. Nie huśta za mocno. Powinno się łatwo startować i lądować.

– Miło i ciepło – dodał podchorąży Ross. – Dobre prądy powietrzne.

– Cóż, przekonajmy się. – Herzer otworzył bramę zagrody i wyprowadził smoka na korytarz zaraz po przejściu Joanny. Podał jednak wodze jednemu z pomocników i przesunął się obok smoczycy, żeby przegonić ją w drodze na pokład.

– Gdzie się tak spieszysz? – burknęła Joanna.

– Pani startuje pierwsza, pani komandor – zauważył Herzer. – Ja ostatni. Przyjrzę się startom ze stanowiska operacji powietrznych. Większość jeźdźców jest dość zielona.

– Cześć, Joanna – przywitała się Bast, zeskakując z grotmasztu. – Mogę się na tobie przejechać?

– Jasne, jesteś lekka – zgodziła się smoczycza w chwili, gdy jeden ze srebrzaków paskudnie zasyczał.

– Spokój, draniu – rzuciła Vickie, uderzając wywerna w nos. – Najah nie znosi czekać, gdy inne startują.

– Jeśli o mnie chodzi, może ruszać pierwszy – zgodziła się Joanna.

– Srebrzaki powinny startować ostatnie – zawołał z pokładu lotniczego major Sassan. – Najkrócej utrzymują się w powietrzu.

– Po prostu zabiorę go w miejsce, gdzie nie będzie mu to tak przeszkadzać – oświadczyła Vickie, wsiadając na wywerna. Na niewidoczny sygnał smok zaczął wdrapywać się po grotmaszcie. Jego ruchy bardzo przypominały pełznącego nietoperza – na końcach skrzydeł srebrzaki miały trzy niby-palce, których używały do wspinania się i zwisania z olinowania. Kiedy dotarł do rei, zaczął pełznąć wzdłuż niej, aż dotarł do końca, gdzie znieruchomiał, a po chwili owinął się i zawisł głową w dół, ze skrzydłami zawiniętymi wokół ciała. Było ewidentne, że w każdej chwili może wystartować.

– Cholerny pozer – prychnęła Joanna.

– Nie wiedziałem, że potrafią takie rzeczy – zdziwił się Herzer, patrząc na wiszącego w górze smoka.

– Ja też nie – przyznała Some Karcher. – Zastanawiam się, jak długo może tam wisieć?

Zaskoczyło go to nagłe pojawienie się – jeszcze przed chwilą nikogo w tym miejscu nie było. Kobieta dysponowała dziwną zdolnością pojawiania się po prostu znikąd i nawet jego czuły słuch nie ostrzegał go przed jej zbliżaniem się. A Karcher nie tylko chodziła – widział już, jak spadała z ta-

kielunku z wysokości dobrych dziesięciu metrów i cicho lądowała na ugiętych kolanach.

– Cóż, jeśli nie zaczniemy, możemy przekonać się w mało przyjemny sposób – zauważył Herzer, gdy na maszt zaczął włączyć kolejny srebrzak.

– Racja – zgodziła się Karcher.

– Flota sygnalizuje – zawołał aspirant łącznościowy. – „Przygotować się do działań powietrznych.”

– Major Sassan, przygotować się do wyjścia na wiatr! – *rozkazała*. Karcher, wykonując pozornie niemożliwy skok do wiszącej w górze liny, po czym spadając z powrotem do centrum operacji powietrznych. Jedynie u Bast Herzer widział podobny sposób poruszania się. Nagle zaczął się zastanawiać, ile leśna elfka ma w sobie kocich genów.

Kiedy flota ustawiła się na wiatr, smokowce zaczęły wypuszczać smoki. Joanna wystartowała pierwsza i wzbiła się w górę szybciej niż wywerny, krążąc leniwie po ósemce nad okrętem.

– Chodźcie w górę – zasygnalizowała – powietrze jest przyjemne.

1\*\*\*

Jeśli Edmund sądził, że na morzu zdoła nadrobić papierkową robotę, mylił się. Słupy pocztowe nie kosztowały wiele.

– Shar, to szaleństwo – poskarżył się Edmund, gdy admirał wszedł do kabiny i rzucił beret na biurko. Niósł ze sobą ciężką torbę, którą odstawił na podłogę.

– Ajeszcze nie widziałeś tego, co odsiałem – zauważył Shar. Admirał i jego personel filtrowali przysyłaną do Edmunda pocztę. Książę dopilnował, żeby wiedzieli, *co* zostawiać, ale i tak dostawał tego za dużo.

– Wiem, patrzę na to, czego nie możesz zatrzymać – burknął Edmund. – *Kongres* domaga się wyjaśnień w sprawie rzeczy, które puściliśmy w ruch miesiąc temu. Biuro projektowe chce wiedzieć, czemu zamawiamy mocniejszy standardowy takielunek. Kiedy im wyjaśniłem, dostali piany na ustach.

– Wiem, nie chcę, żeby reje obciążano wywernami – domyślił się Shar. – Żeglowanie jest w ten sposób troszkę trudniejsze. W sztormie będzie ciężko.

– Srebrzaki nie mogą tam *wisiec* w sztormie – zauważył Edmund.

– Sztormy potrafią czasami pojawić się zupełnie niespodziewanie – dodał Shar. – Jeśli chcesz sugestii, wyślij im odpowiedź Wellingtona.

– Odpowiedź Wellingtona? – zdziwił się Edmund.

– Co, nigdy nie słyszałeś o odpowiedzi wysłanej przez Wellingtona podczas kampanii hiszpańskiej? – zapytał Shar ze śmiechem.

– Nie – przyznał Edmund. – Wiem co nieco o Wellingtonie, dobry dowódca, a kilka jego cytatów mocno zniekształcono. Ale tego nie znam. Powiedz.

– Zasadniczo wysłał do dowództwa wiadomość sprowadzającą się do tego, że zadają mu za dużo głupich pytań. Zwłaszcza w sprawie zaopatrzenia. „Mogę wygrywać bitwy albo liczyć gwoździe. Nie naraz.”

– Ha! – prychnął Edmund. – Dobrze, znajdź mi oryginał. Wyślę to z kopią do komitetu wojskowego, tej bandy kozłojebców, dowództwa floty, biura projektowego i Sheidy. Dzięki. Co jest w torbie?

– Według ostatnich wieści Nowe Przeznaczenie siedziało w portach, prawda? – powiedział Shar, wyciągając z torby duże metalowe urządzenie. Z jednej strony miało tarczę, a z drugiej skomplikowany zestaw haków.

– Owszem. Wygląda na to, że nie pozbiali się równie szybko, jak my. Bogu dzięki za

Ennesby'ego i Trahna.

– Cóż, to jeden ze sposobów na zwiększenie naszych szans, ostatni cud Evana. – Shar obrócił tarczę i ustawił urządzenie na biurku, hakami do góry. Po chwili wystrzelił z niego metalowy boleć.

– Co będziemy przebijać? – zapytał Edmund, dotykając czubka bolca. Został częściowo wydrążony. – I co wstrzykujemy?

– Statki – wyjaśnił Shar z uśmiechem. -1 stężony kwas. Kolec wbija się w drewno i wstrzykuje kwas pod ciśnieniem. Jeśli nawet nie przebije kadłuba, kwas i tak wygryzie sporą dziurę. Jeśli przebije poszycie, i nie trafi na zęzę, przy odrobinie szczęścia dziura może być wystarczająco duża, by zatopić statek. A przynajmniej umieścić go w suchym doku.

– Przyjemne – uznał rzeczowo Edmund. – Znasz historię o tym, jak flota próbowała stworzyć coś podobnego?

– Nie, zesłano mnie na wygnanie do bazy Czarnobrodego – przypomniał Shar. – Opowiedz.

– W okolicy Washan powstała cała grupa firm. Dostają kontrakty na różne rzeczy związane z wojskiem. W każdym razie flota skontaktowała się jedną z tych firm i zleciła zaprojektowanie miny. Firma spędziła nad tym rok, a mina, którą wyprodukowali, była trzykrotnie większa i nie działała. A Evan stworzył to w ile, tydzień?

Shar roześmiał się i potrząsnął głową.

– Zakładam, że to odpowiedź na problem, w jaki sposób syreny mogą zrobić coś więcej, niż tylko zajmować się zwiadem i łącznością.

– Co o tym myślisz?

– Myślę, że nie chciałbym być trytonem niosącym coś takiego do portu – przyznał Edmund i westchnął. – Nie przy orkach i ixchitlach pilnujących wejścia. Ale z drugiej strony jestem stary i świadomy swojej śmiertelności. Tylko ochotnicy. I trzeba wysłać statek, który zawiezie to w pobliże.

– Niekoniecznie – zaprzeczył Chang, wzruszając ramionami. – Możemy je załadować na wieloryba i poprosić o dostarczenie w odpowiedni rejon. A potem trytony załatwią resztę drogi.

– Rób, jak chcesz – zgodził się Edmund.

– Nie podoba ci się to – zauważył Shar.

– Owszem, nie podoba – przyznał Edmund. – To prawie samobójcza misja. Jeśli stracimy kilka syren, a zatopimy smokowiec lub dwa, wyjdziemy na tym bardzo dobrze. Ale i tak mi się to nie podoba. Choć pomysł jest niezły, więc możesz go realizować.

– Masz rację.

-1 trzymaj to w ścisłej tajemnicy – dodał Edmund. – Tylko minimalna liczba poinformowanych. Wciąż wycieka od nas mnóstwo informacji.

\* \* \*

– Dzwoniłeś, Joel?

1Projekcja Sheidy unosiła się w powietrzu, a kobieta wyglądała na zniecierpliwioną.

– Owszem. Próbuję wysledzić agentów Nowego Przeznaczenia we flocie. Niestety, Conner stał się bardzo ostrożny, jeśli chodzi o komunikację.]Vloi ludzie próbowali zlokalizować miejsca kontaktu, używając urządzeń Evana, ale jak dotąd bez powodzenia. Przykro mi, ale potrzebuję czegoś bardziej zaawansowanego.

Awatary emitowały niezbyt silne, lecz wyraźne pole elektromagnetyczne. Evan Mayerle wykorzystał ten fakt do wysledzenia agenta Nowego Przeznaczenia na pokładzie *Richarda* podczas misji dyplomatycznej do syren. Jednak emisje nie miały dużej mocy i jeśli komunikacja trwała krótko czy dochodziło do niej w różnych miejscach, praktycznie niemożliwe było wysledzenie jej za pomocą tych stosunkowo prymitywnych wykrywaczy.

– Zrobię jakieś urządzenia dla twoich agentów – obiecała Sheida, wzdychając. – Które okręty?

– Znów *Bonhomme Richard*, *Alida Diaconescu* i *Hazhir*.

– Nigdy nie słyszałam o *Diaconescu* – zdziwiła się Sheida.

– Do jeden z drednotów przerobionych na platformę do zwalczania smo-, ków – wyjaśnił Joel.

– Szczerze mówiąc, to właśnie on i *Hazhir* najbardziej mnie martwią. Jeśli ktoś jest na *Diaconescu*, może przekazywać plany naszych nowych działań pneumatycznych, nie tylko informację o tym, że je mamy. *A Hazhir* to zupełnie nowe źródło. Chciałbym je wyeliminować najszybciej, jak to możliwe.

– Potrzebuję informacji, jak skontaktować się z twoimi agentami – powiedziała Sheida. – Jakies informacje o ataku na Edmunda?

– Nic istotnego – przyznał Joel. – Dowiedziałem się o złożeniu oferty tuż przed atakiem, miałem za mało czasu, żeby coś w tej sprawie zrobić. Jedyne, który przeżył atak, wyśpiewał wszystko, co wiedział, ale wiele tego nie było. Ledwie znał ludzi, z którymi poszedł na akcję, a wszyscy zostali wynajęci w portowych barach. „Człowiek w knajpie.” Nic, czego można by się ucześcić. Bast najwyraźniej zabiła jednego z rekrutujących, czego nie uważam za zbyt szczęśliwy pomysł. Jak dotąd nie rozszerzono zamówienia na rodzinę, cenę wyznaczono tylko na Edmunda. Och, oraz na majora Herricka.

– Chansa ma nad nami przewagę liczebną – stwierdziła w zamyśleniu Sheida. – Czemu podejmuje tak desperackie kroki?

– Najprawdopodobniej ze złości – wysunął przypuszczenie Joel. – Nigdy nie reagował zbyt dobrze na frustrację, a Edmund od dawna stanowi dla niego jej nieustanne źródło.

– Racja. Coś jeszcze?

– Jesteś świadoma faktu, że Paul prowadzi... program rozmnażania?

– Jeśli mówisz o jego haremie, to owszem – potwierdziła Sheida, zaciskając szczęki.

– Być może uzyskam do niego dostęp – odezwał się ostrożnie Joel. – Ogłosili przetarg na różne towary, głównie kosmetyki. Jeden z moich agentów, wcale nieprzypadkowo, jest dostawcą kosmetyków.

– Dostawcą kosmetyków? – zdziwiła się Sheida, unosząc brew.

– W Ropazji kosmetyki są towarem luksusowym – wyjaśnił rzeczowo Joel. – To umożliwia mojemu agentowi poruszanie się pośród bogatych z całkowicie bezpieczną przykrywką. A ponieważ jest, że tak powiem, niezależnie wspierany, stać go na przelicytowanie konkurencji. Jeśli będziemy mieć szczęście, może uda nam się spenetrować harem.

– I myślisz, że to w czymś pomoże? – zapytała Sheida.

– Podejrzewam, że Paul może rozmawiać z dziewczynami. – Joel wzruszył ramionami. – Nawet jeśli tylko na nieznaczące tematy, może uda się z tego wygrzebać, jakieś użyteczne informacje. Cena może być już sama wiedza o tym, kiedy tam przebywa. Oczywiście agent może nie być w stanie znaleźć użytecznego kontaktu. Ale uważam, że warto spróbować.

– Poduszkowe rozmowy. – Sheida wzruszyła ramionami.

– To jedna z najstarszych sztuczek w tej branży – zauważył Joel. – Mężczyźni mają skłonność do rozmawiania po akcji. Zdumiewające jest, co potrafią zdradzić ładnej kobiecie.

– Sama zauważyłam ten efekt – przyznała rzeczowo Sheida. – Jeśli nie usną. Dobrze, przekaz mi dane o swoich agentach na okrętach, a ja wrócę do miliona rzeczy, którymi muszę się zająć. I życzę ci szczęścia w haremie.

# ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Megan uśmiechnęła się lekko, gdy kupiec spuścił wzrok, po czym ponownie spojrzał jej w oczy.

Po pewnych wysiłkach udało się jej w końcu przekonać Paula, by pozwolił jej poszukać innego dostawcy „rozmaitości”. Paul konsekwentnie domagał się od Christel, a teraz od Megan ograniczania kosztów, a jednym z największych wydatków oprócz jedzenia były sumy przeznaczane na kosmetyki. Kiedy Megan trafiła do haremu, żadne tu nie funkcjonowały. Przed Upadkiem istniały różne sposoby na upiększenie twarzy i ciała, od modyfikacji koloru skóry, po nanitowy makijaż. Po Upadku trochę potrwało, zanim pojawiły się przedmioty „luksusowe” i o ile wiedziała, to właśnie ona, Megan, wciąż jako jedyna produkowała perfumy w całej Ropazji. Jednak w ramach swoich planów, z pomocą pracowników kuchni udało się jej znaleźć dostawcę kosmetyków.

Niestety, jego ceny zmieniły się z czasem z wysokich na niebotyczne. Musiała przyznać, że niektóre z kupowanych przez nią materiałów były wyjątkowo rzadkie w Ropazji lub w ogóle w niej nie występowały. Mimo Wszystko ceny porażały.

Paul pozwolił jej w końcu zorganizować przetarg i ten właśnie kupiec został zwycięzcą. Jeśli jego towary spełnią wymagania.

I jeśli zdoła się na nią nie gapić.

– Przepraszam – odezwał się mężczyzna. Zdawało się, że zdołał się już przyzwyczaić do jej „stroju” i teraz skupił się na twarzy. Postanowiła to jednak zignorować.

1– W porządku – powiedziała Megan. – O ile zdołasz pamiętać, że oczy mam tutaj – dodała, wskazując na twarz.

– Tak, panno...?

– Sung – przedstawiła się dziewczyna. – Megan Sung. No dobrze, podobają mi się twoje ceny, ale nie odpowiadają mi odcienie różów. Są trochę brązowe.

– Nie mamy dostępu do czystej czerwieni – wyjaśnił kupiec, kiwając głową i zaglądając do notatek. – Najlepsza czerwien, najjaskrawsza z dostępnych, uzyskiwana jest z cynobru. Ale on robiony jest z...

– Z rtęci – dokończyła Megan z krzywym uśmiechem. – Trującego metalu ciężkiego.

– Czy mój poprzednik...? – zapytał mężczyzna, patrząc na nią zaskoczony.

– Przetestowałam wszystkie te kosmetyki w moim laboratorium pod kątem składników – wyjaśniła Megan. – I właśnie z tego powodu odrzuciłam jego czerwienie. Co, poza ceną, stanowiło kolejny argument przeciw niemu. Cieszę się, że ty jej nie używasz. Nie ma innej wysokiej jakości czerwieni?

– Powiedzmy raczej, że żadnej toksycznej – oświadczył mężczyzna, krzywiąc się. – W taki czy inny sposób. *Moje* laboratorium pracuje nad czerwienią opartą na ropie naftowej. Wiemy, że kiedyś istniało coś takiego, ale nie udało mi się dotrzeć do żadnych informacji na temat jej produkcji. Zresztą przypuszczamy, że nawet w takim przypadku barwnik musi zawierać śladowe ilości metali ciężkich.

– Czerwonych barwników używa się też do tkanin – zauważyła Megan, wskazując na swój top. Zrobiono go z jaskrawoczerwonego jedwabiu.

-1 ludzie, którzy używają tych barwników są bardzo małomówni. – Kupiec uśmiechnął się. – Z drugiej strony niektóre jaskrawe barwniki odpowiednie do materiałów nie nadają się do kosmetyków. Te ostatnie wchodzą w... bliski kontakt ze skórą. Wszystkie zawarte w nich substancje lotne mogą się dostać do ciała. Dlatego właśnie kiedyś tak dokładnie je testowano.

– Niestety, potrzebuję czerwieni – oświadczyła Megan, marszcząc brwi.

– Jeśli zgodzi się pan zdradzić część ze *swoich* tajemnic przemysłowych, mogłabym sama nieco poeksperymentować. Nie w celach produkcyjnych

– dziewczyny zużywają dużo więcej, *niż ja* potrafiłabym wyprodukować.

– Tak, oczywiście. – Kupiec uśmiechnął się. – Nie przestaniemy nad tym pracować. Mamy trochę nowych mieszanek – kontynuował, wyciągając z torby próbkę. – I pracujemy z niektórymi mniej toksycznymi metalami, próbując znaleźć jakieś odpowiednie. Ale rozumie pani, że naprawdę nie chcę zatruć żadnych... przyjaciółek Paula Bowmana.

1– Zrozumiałe. – Megan uśmiechnęła się szeroko, otwierając skórzaną torebkę. Mężczyzna wyciągnął ku niej lustro, gdy roztarła róż na policzku i przyjrzała się barwie. – To... trochę lepsze. Prawie dobre. A co z błyszczakiem do ust?

– To właściwie prostsze – odparł mężczyzna. – Dodatek żółci podkreśla czerwień. Żółć ma w sobie *śladowe* ilości ołowiu. Ale nasze obiekty testowe nie wykazały żadnych skutków ubocznych.

– Obiekty testowe? – zapytała nieufnie Megan.

– Wszystkie kosmetyki testujemy najpierw na zwierzętach – wyjaśnił kupiec, wzruszając ramionami. – Później używają ich pracownice. Nie stosujemy przymusu. I żaden z naszych klientów nigdy nie narzekał. Przynajmniej jak dotąd.

– Duży jest na to rynek? – zapytała Megan, malując drugi policzek, gdy mężczyzna wyciągnął próbkę błyszczaka.

– Coraz większy – przyznał. – Choć z tego, co rozumiem, ten kontrakt będzie... znaczący.

– Zużywamy dużo kosmetyków. – Megan westchnęła, wydymając wargi, by nałożyć szminkę. No, *to* jest czerwień.

– Znów, rozumiem – ostrożnie powiedział kupiec.

– Och, Paul nie spędza tu *aż tyle* czasu. – Megan oderwała wzrok od lustra. – Ale pojawia się bez żadnego ostrzeżenia. Więc dziewczyny i tak codziennie używają kosmetyków. I zawsze próbują znaleźć nowy, właściwy wygląd, który będzie im się podobał. Haremowa polityka.

– Tak. – Mężczyzna wyglądał na skrępowanego.

– Może pan używać tego słowa – zapewniła dziewczyna, uśmiechając się krzywo. – My tak robimy.

– Jak sobie pani życzy – zgodził się kupiec. – Dostawy mogę rozpocząć z końcem tygodnia. Czy te warunki są akceptowalne?

– Owszem, akceptowalne – potwierdziła Megan. – Znacznie lepsze niż w przypadku pańskich konkurentów.

– Moi konkurenci nie dysponują moimi zasobami ani moją przedsiębiorczością. A co do tematu „nowego wyglądu”. Mam pracownicę, kobietę, która prowadzi zajęcia na temat makijażu. Czy istniałaby możliwość...?

– Raczej mało prawdopodobne – Megan skrzywiła się. – I tak musiałam mocno naciskać, żeby Paulowi pozwolił mi na te negocjacje. Goście w haremie są czymś niezwykle rzadkim.

– Musi tu być nudno – zauważył mężczyzna, kręcąc się niespokojnie.

– Jest tu bezpiecznie i dobrze się o nas dba. – Megan ucięła temat. – Czyli możemy się spodziewać towaru z końcem tygodnia?

– Tak jest – przytaknął kupiec, wykładając kolejne próbki. – Te, oczywiście, są na koszt firmy. – Mówiąc to, wysunął spod jednej z nich kartkę papieru. Napisano na nim jedno słowo: „Travante”.

– Dziękuję – mruknęła Megan, patrząc na nią jak mysz na węża. – Co to?

– To nowa linia kosmetyków, nad którą teraz pracujemy – wyjaśnił mężczyzna, odwracając kartkę, by pokazać jej listę dostępnych materiałów. – To znacznie jaśniejsza linia, która została

poddana ścisłej inspekcji. Niektóre z kolorów są niepowtarzalne. Na przykład mamy uroczy lazurowy cień do powiek.

Przed Upadkiem ojciec Megan pracował na wyspach Asur, których nazwa prawie pokrywała się z określeniem koloru cieni. Ale to mogła być równie dobrze pułapka, jak prawdziwy kontakt.

– Zawsze lubiłam lazur-powiedziała z wyważonym zainteresowaniem.

– Tak. – Mężczyzna z uśmiechem pakował swoją torbę. – Wielu się podoba, przypomina barwę nowy, jasny dzień.

*Jest nowy, jasny dzień, Megan.* We wspomnieniach ojciec głaskał ją po głowie, jak każdego poranka, gdy przebywał w domu. *Czas wstawać.* Albo Paul złapał jej ojca i sprawdzał jej... nie, to nie miało sensu. Gdyby Paul wiedział, że jest córką Joela Travante, podjąłby odpowiednie kroki, a nie sprawdzał ją. I nie istniał powód, żeby znali tę frazę, nawet gdyby jej ojciec został złapany. To *musiał* być kontakt.

– Cóż, porozmawiamy o tym w przyszłym tygodniu – oświadczyła, oddając karteczkę złożoną w taki sposób, żeby ukryć nazwisko. – Zjawi się pan tu?

– Tak jest – zapewnił kupiec, marszcząc brwi. *Jak odpowiedzieć, nie zdradzając się?*

– Zdaje pan sobie sprawę, że będę musiała przeprowadzić analizę laboratoryjną pańskich materiałów? – zapytała.

– Oczywiście. Niczego innego się nie spodziewałem.

– Paul traktuje nas jak *ojciec* – kontynuowała Megan. – Ale gdyby którejś z dziewczyn coś się stało, obawiam się, że przeprowadziłby bardzo gruntowne śledztwo. Reperkusje byłyby bardzo nieprzyjemne.

– Rozumiem – potwierdził mężczyzna po znaczącej przerwie. – Niecierpliwie wyczekuję następnego spotkania.

– Chciałabym coś dodać. – Megan popatrzyła na niego twardo. – Nie wolno panu o tym rozmawiać z *nikim*. To bardzo ważne. Czy pan to rozumie?

– Nie opowiadam o interesach z klientami, panno Sung – zachnął się kupiec.

1– Ani z pańskimi partnerami, ani żadnego rodzaju hierarchią korporacyjną – powtórzyła z naciskiem. – Paul *usłyszy*. A nie chcemy, żeby do tego doszło, prawda?

– Madame, zapewniam panią...

– A ja zapewniam pana. – Pańska nowa linia kosmetyków *przepadnie*, jeśli zacznie pan rozpowiadać, że kontaktuje się pan z... przyjaciółkami Paula. On *na pewno* o tym usłyszy. I nie ucieszy go to.

– Tak jest, proszę pani – potwierdził mężczyzna, przełykając ślinę. – Rozumiem. Całkowicie.

– Zobaczę, co da się zrobić w sprawie tych zajęć – mówiła dalej Megan. – Dziewczynom bardzo by się to podobało. Do zobaczenia w przyszłym tygodniu – powiedziała, wstając.

– Do przyszłego tygodnia.

\* \* \*

Martin St. John czuł się szczęśliwym człowiekiem. Przed upadkiem zajmował się kradzieżami, oszustwem i zabijaniem w świecie, który maksymalnie utrudniał taką działalność. Po Upadku po prostu zmienił skalę, stosując w zasadzie te same techniki i metody, choć w nieco bardziej krwawy sposób.

Tak było do czasu, aż natrafił na brata Connera. Przed Upadkiem wraz z Connerem należeli do stowarzyszenia profesjonalnych przestępców. Drań w jakiś sposób go wyśledził i szantażem zmusił do poprowadzenia wyprawy na południowe wyspy, mającej na celu złamać potencjalny sojusz syren i ZWS. A misja poszła tak dobrze, że wylądował na bezludnej wyspie, umierając z głodu.

Do czasu, aż zabrał go stamtąd przyjazny rybak i przywiózł do miasta. Gdzie „przyjazny rybak” okazał się być nikim innym, jak Inspektorem Specjalnym Joelem „Drań” Travante, który *dokładnie* wiedział, kim jest „kupiec” z bezludnej wyspy. I który miał już czekających w pogotowiu osiłków, co uniemożliwiło Martinowi rozpląnięcie się w karaibskich ciemnościach.

Martinowi dano następnie do wyboru kilka nieprzyjemnych opcji. Mógł stanąć przed sądem za popełnione zbrodnie wojenne – dowodzone przez niego ixchitle, kraken i orki nie były przesadnie przyjacielskie. W takim przypadku zostałby skazany na ciężką pracę, do której czuł wstręt, lub śmierć, która to perspektywa nie podobała mu się jeszcze bardziej.

Albo. Zawsze istniało jakieś „albo”. Albo mógł „z własnej, nieprzymuszonej woli” przyjąć zakłęcie lojalności i zacząć pracować dla ZWS. Można by Powiedzieć, że wykorzystując swoje umiejętności. Z powrotem w Ropazji, gdzie Conner pełnił funkcję analogiczną do Joela „Drania” Travante.

1 Cóż, nikt nie twierdził, że wybór będzie prosty.

Zobaczmy, gwarantowana ciężka praca, prawdopodobnie śmierć. Lub... prawdopodobnie śmierć.

Jednak. Zawsze występowało też jakieś „jednak”. A więc, jeśli jednak przyjąłby pracę i wykonywałby ją dobrze, mógłby nabrudzić Connerowi. Temu draniowi, który zostawił go, by zginął na płonącym okręcie. To właśnie przeważało. Szansa na *dopieczenie* Connerowi. I tak nigdy go nie lubił.

Cóż, teraz przynajmniej miał informację. Joel Travante, człowiek którego nienawidził najbardziej na świecie, poza Connerem oczywiście, za chwilę dowie się, że jego córka rozkłada nogi dla Paula Bowmana. Cudowna zemsta. A wszystko, co musiał zrobić, to trzymać się swojego warunkowania lojalnościowego. Urocze.

Jednak powinien być ostrożny. Jeśli nie dostarczy informacji lub zostanie ona przechwycona przez Nowe Przeznaczenie, Joel Drań pozbawi go życia. I nie mógł w najmniejszym stopniu wyjść poza rutynowe zachowanie, bo zostanie zauważony przez szpiegów Connera, a efekt końcowy będzie identyczny. Na szczęście jednak zawczasu przygotował sobie sposób kontaktu na taką właśnie okoliczność.

Niezależnie od tego, czy ładaczniczka Megan wiedziała o tym czy nie, zamknięto ją w zamku pośrodku miasta Stayorg. A zaledwie dwa dni podróży szybkim dyliżansem leżał Iruck, gdzie miał umówione kolejne spotkanie. W Irocku zaś...

Martin pilnował się, by nie pogwizdywać radośnie podczas szybkiego marszu pogrążonymi w mroku ulicami i gdy pukał do skromnych drzwi w jednej z uliczek. Drzwi uchyliły się lekko i spojrzała na niego ponura twarz.

Oświetlone latarniami wewnątrz urządzono w czerwieni, a w pomieszczeniu przebywało sporo praktycznie beczynnych kobiet. Martin powstrzymał uśmiech, gdy rozglądał się po dziewczynach, z których większość przeszła niewielką Przemianę. Siedziała tam kobieta-tygrys, dwie wilczyce i jedna, która miała w sobie odrobinę za dużo kota. Miała nawet ogon. Ale to, czego szukał, czekało na piętrze.

Bardzo niewiele osób w burdelu wiedziało, że Martin jest jego właścicielem. A powodem, dla którego go posiadał, było najwyższe piętro. Zapukał do drzwi i wszedł po usłyszeniu cichej odpowiedzi.

W słabo oświetlonym pokoju leżała niezwykle wysoka dziewczyna o, jak się zdawało, niesamowicie przerośniętych piersiach. Tak naprawdę ukrywały jednak mięśnie piersiowe skrzydeł,



ponieważ przed Upadkiem i

Jako jedna z nielicznych osób Przemieniła się w taki sposób, by móc latać wyłącznie o własnych siłach. Jej ręce składały się normalnie, ale kości różowych palców zostały rozciągnięte w szkielet skrzydeł. Ich kości, podobnie jak w reszcie ciała, stanowiły wydrążony plaster zaawansowanych włókien, a jej skórę pokrywał drobny puch, który zarówno grzał, jak i pomagał w aerodynamice lotu. Miała prawie dwa i pół metra wzrostu, a rozpiętość jej skrzydeł wynosiła siedem i pół metra. Dzięki jej olbrzymim „piersiom”, anielskiej twarzy, szczupłym nogom i pięknej sylwetce zyskała niesamowitą popularność wśród klientów, których stać było na coś naprawdę egzotycznego. Jednak to właśnie jej zdolność do lotu przyciągnęła uwagę Martina i sprawiła, że wydał mnóstwo pieniędzy Joela na jej zakup. A to dlatego, że w ciągu jednej nocy mogła przekazać wiadomość przez cały kontynent.

– Cześć, Joie – rzucił Martin z uśmiechem.

– Cześć, Martin – westchnęła smutno dziewczyna. Leżała na długim, wąskim łóżku. – Niech zgadnę, *znów* mam udawać upadłego anioła.

– Szczerze mówiąc, bardzo bym chciał. – Martin uśmiechnął się szeroko. – Ale nie będziesz już bawić się ze mną ani z nikim innym, o ile sama nie zechcesz. Musisz wykonać dla mnie jeszcze jedno zadanie, a potem zostaniesz uwolniona.

Joie usiadła na łóżku i zapaliła lampę, patrząc na niego lodowato.

– Nie baw się mną, Martin – wydusiła z twarzą ożywioną emocjami. – Nie rób mi tego. Nie obchodzi mnie, jakie rzuciłeś na mnie *geas*, i *tak* cię zabiję.

– Wolna – powtórzył Martin, wyciągając małą tubę. – Zrobisz tak: polecisz stąd na wybrzeże Ropazji, do Bretonii. – Wyciągnął mapę i wskazał jej miejsce. – Znajdziesz je łatwo, lecąc wzdłuż Lory, a potem skręcając na północ. Przy tej rzece jest miasto. Tuż przy brzegu stoi dom na cyplu. Na dachu jest okienko, a w nim zawsze pali się widoczna z góry latarnia. Musisz dotrzeć tam przed świtem. Dasz radę?

– Jeśli się najem.

– W takim razie zrób to – polecił Martin, podając jej tubę. – Weź to. W domu czeka kobieta. Powiedz jej „Jean ma długie wąsy”, a zaopiekuje się tobą. Następnej nocy pójdziesz na brzeg z latarnią. To będzie sobota. Musisz zrobić to w sobotę.

– Zrobię – zapewniła Joie.

– Na plaży spotkasz ludzi. Daj im kapsułę i powiedz, że mają zapewnić ci jakiś transport. Muszą ci go zorganizować. Zostań w domu, aż przyjdzie właściwa chwila. Nigdy nie wracaj.

– Nie wrócę – oświadczyła Joie. – Możesz być pewien.

1– Tej nocy nie ma księżycy – dodał Martin. – Nikt nie powinien cię zobaczyć.

– Czy to prawda? – zapytała Joie ze łzami w oczach.

– Prawda. – Martin kiwnął głową. – Choć to niebezpieczne.

– Nie ważne – warknęła. – Dość razy żałowałam, że nie mogę się zabić. *Znów* być wolna. *Znów* móc latać.

– Nie jesteś w formie – wyraził wątpliwość Martin.

– Poradzę sobie. Poradzę sobie, nawet gdybym musiała dolecieć do Norau.

– To nie powinno być konieczne – odparł Martin z krzywym uśmiechem. – Idź już. Zjedz. Potem leć. – Wyciągnął rękę i pogłaskał ją po policzku. – Wiem, że nie zatęsknisz za mną, ale ja za tobą tak. Gdy wykonasz swoje zadanie, zostaniesz zwolniona ze swoich *geas*. Masz na to moje słowo jako właściciela. Idź już.

\* \* \*

Lecąc, Joie czuła każdy dzień swojego uwięzienia. W pokoju ćwiczyła pompki, próbując trenować skrzydła na wypadek, gdyby udało się jej złamać drogie geas, które jej „pan” kupił, by ją kontrolować. Ale pompki nie dawały tego samego co lot i zbyt wiele z jej mięśni nie było w formie. Próbowwała powoli się rozgrzać przez ostrożne wspinanie się na odpowiednią wysokość. Ale nie mogła odpocząć. Nie, jeśli miała dolecieć przed świtem. Musiała lecieć najszybciej, jak potrafiła, szybciej niż kiedykolwiek w życiu, i wymagało to olbrzymiego wysiłku.

Rzecz, której Martin o niej nie wiedział, był fakt, że nie potrzebowała jego wskazówek. Miała zainstalowany pakiet nawigacyjny – zawsze wiedziała, gdzie jest – i jeśli orientowała się w położeniu celu, mogła lecieć do niego prawie w linii prostej. Unikała Lory, *wzdłuż* której wyrosło sporo wiosek, i skierowała się prosto ku wybrzeżu, na północ od ujścia rzeki.

Tam, prawie kompletnie bez sił i z palącymi z bólu mięśniami, skręciła na północ, olbrzymi biały ptak na tle jaśniejszego nieba. Nie potrafiła lecieć tak szybko, jak miała nadzieję, więc słońce zaczynało się już zakradać na horyzont. Obniżyła lot, by nie oświeślały jej promienie, ale wiedziała, że ktoś musiał ją zobaczyć na tle nieba. W końcu zauważyła dom i zanurkowała do ogrodu na jego tyłach niczym wyczerpany sokół. Szybkimi, choć zmęczonymi krokami przeszła przez niego i zastukała do drzwi, rozglądając się po zadbanym ogrodzie z ziołami i wysokim żywopłocie, który go otaczał.

Drzwi otworzyła stara kobieta, przynajmniej trzystuletnia, sądząc po wyglądzie. Miała siwe włosy z resztkami czerwieni i pomarszczoną twarz, która

lż zdradzała ślady minionej urody. Kobieta niewzruszenie spojrzała na olbrzymią kobietę-ptaka.

– Tak? – zapytała.

– Jean ma długie wąsy – wyrecytowała Joie. – Czy to coś dla ciebie znaczy?

– Ktoś cię widział? – warknęła stara.

– Możliwe – przyznała Joie, wzruszając ramionami tak, jak potrafi tylko kobieta z piętnastometrowymi skrzydłami. – Ale kiedy lecę, wyglądam w zasadzie jak duży ptak.

– Chodź do środka – nakazała kobieta, odsuwając się od drzwi.

Joie weszła do środka, owijając się skrzydłami i rozejrzała się po wnętrzu. Kuchnia była czysta i przestronna, z drewnianym stołem, miedzianymi garnkami, dużym piecem na drewno i zwisającymi z sufitu kawałkami mięsa i ziołami. Mocno pachniało tam cebulą, jakby wytarto nią podłogę.

Tylko tyle zdołała zobaczyć, bo kobieta pospiesznie skierowała ją do drzwi wiodących do piwnicy. Stało tam mnóstwo pokiereszowanych mebli czekających na naprawę, przykrytych płachtami pudeł i uszkodzonych beczek. Z tyłu ustawiono stojaki na wino. Kobieta podeszła do jednego z nich i odsunęła go, odkrywając mały pokoik.

– Wejść tam – poleciła.

– Umieram z głodu – powiedziała Joie. – Muszę dziś w nocy wyjść na plażę. To musi być dzisiaj.

– Zobaczymy – mruknęła kobieta. – Wyjście na plażę na nic ci się nie zda, dziewczyno, jeśli całą zapełnią Przemienieni. Właż tam, a ja znajdę ci jakieś jedzenie. Szybko.

Joie wcisnęła się do pokoiku o zbyt niskim dla niej suficie i usiadła na zbyt małym krześle. Po zamknięciu drzwi w środku natychmiast zrobiło się całkiem ciemno, ale zdołała wymacać stół i leżące na nim zapalki. Te doprowadziły ją do świecy, która umożliwiła zbadanie pokoju. Urządzono go bardzo skromnie. Za krótkie łóżko. Za małe krzesło. Za niski stół. I bardzo niski sufit. Najwyraźniej istniała jakaś wentylacja, ale Joie nie znalazła źródła powietrza. Kobieta wróciła z dużą miską gęstego gulaszu i pająką wspaniałego chleba, ostrzegając Joie, by zachowała ciszę

niezależnie od tego, co się wydarzy. Po zjedzeniu Joie zdmuchnęła świeczkę i położyła się na łóżku, owijając się skrzydłami dla ogrzania i wygody.

Później pamiętała niewyraźnie jakieś łomoty, ale przeszła tylko z jednego sennego koszmaru do innego, w którym coś goniło ją przez noc. Jej serce uwiązano srebrną liną i niezależnie od tego, jak szybko leciała, nie mogła się wyrwać. Obudziła się, gdy otworzyły się drzwi do jej pokoi i staruszka zamachała do niej.

– Na szczęście to nie Przemienieni – przywitała ją znacznie przyjaźniej, – Mieli ze sobą jednego Niuchacza, ale z ziołami w ogrodzie i cebulą z pieprzem na podłodze nie miał szans wyłapać twojego zapachu. Widziano cię, ale nikt nie miał pewności, czym jesteś. Większość twierdziła, że dużym ptakiem morskim, może zniesionym z kursu albatrosem.

– Ale ja *nie* wyglądam jak albatros – zaprotestowała Joie.

– Owszem, nie wyglądasz. – Kobieta zachichotała. – Jest już prawie zmierzch. Chcesz więcej jedzenia?

– Jeśli można – potwierdziła dziewczyna. – Być może tej nocy znów będę musiała latać.

Kobieta dała jej drugą miskę gulaszu oraz kawałek chleba, ale kiedy Joie spojrzała na nią żałośnie po zjedzeniu całej porcji, westchnęła i przyniosła zimnego kurczaka, więcej chleba i więcej gulaszu, aż w końcu Joie podziękowała.

– Latanie wymaga mnóstwa energii – wyjaśniła przepraszającym tonem. Gospodyni zjadła w tym czasie tylko jedną porcję gulaszu i kawałek chleba.

– Wierzę – stwierdziła, pociągając łyżeczek wina.

– Mam na imię Joie – przedstawiła się dziewczyna. – A ty?

– To moja sprawa – burknęła staruszka, krzywiąc się. – Swoje też powinnaś zachować dla siebie. Żadnych imion i żadnych pytań, w ten sposób, jeśli cię złapią, niczego nie zdradzisz. Przypuszczam, że nie szkolono cię do tego?

– Nie, ostatnie cztery lata spędziłam w burdelu – odpowiedziała z goryczą Joie. – Nawet nie wiem co „to” jest.

– No i proszę, znów mi coś o sobie mówisz – zaprotestowała kobieta, unosząc ręce do góry. – Choć muszę przyznać, że sam twój wygląd jest... niepowtarzalny.

– W takim razie o czym porozmawiamy? – zapytała Joie.

– Najlepiej wcale – powiedziała ponuro staruszka, wstając i zbierając naczynia. – Za niecałą godzinę zrobi się ciemno. Powiem ci, gdzie masz pójść na plażę i dam ci latarnię. Później musisz już sobie radzić sama.

\* \* \*

Zwiadowca selkie wystawił głowę nad wodę i ogarnął spojrzeniem brzeg, po czym zanurkował ponownie. Gestami przesłał komunikat dowódcy grupy.

– Latarnia.

Dowódca nie był uszczęśliwiony. Używali już tego punktu przerzutowego. W końcu zostanie spalony. Jeśli jeszcze do tego nie doszło. Ale mieli swoje rozkazy. Przywołał zwiadowcę i cała grupa popłynęła, prując fale płynnymi ruchami.

Zwiadowca znów wystawił głowę nad wodę i przez chwilę przyglądał się źródłu światła. Z początku świeciło w sposób ciągły, potem zamrugało, w sumie trzy razy. Ponownie zanurkował i skierował się na plażę, modląc się w duchu.

Kiedy dotarł do linii wody wystawił głowę nad fale i ostrożnie rozejrzał się wokół. Lampa zgasła, tak jak powinna. Na jej miejscu widać jednak było białą sylwetkę. Przyglądał się jej przez chwilę, po czym znów rozejrzał się wokół, przeglądając cienie i szukając czegoś podejrzanego.

Wszystko wyglądało normalnie, więc ruszył do przodu najszybciej, jak potrafił, kierując się ku odległej postaci.

\* \* \*

Joie przykazano, żeby wypatrywała głów w wodzie, ale i tak zaskoczył ją widok selkie. Z początku nie miała pewności, czy to jej kontakt, ale odsłoniła światło latarni. Kiedy głowy zniknęły, znów je osłoniła, a kiedy pojawiły się ponownie, odkryła i przesłała umówiony sygnał, przygotowując się duchowo do wyskoczenia w powietrze, gdyby stworzenia stały po stronie Nowego Przeznaczenia.

Jednak przeżyła jeszcze większe zaskoczenie, gdy wyskoczyły z wody i ruszyły w jej stronę po plaży. Prowadził dość nieduży, ale zaraz za nim sunął olbrzymi osobnik o długości przynajmniej trzech metrów, dźwigając na plecach kuszę rozmiarów małej balisty. Potężne stworzenie zatrzymało się przy brzegu wody i ustawiło kuszę na trójnogu.

– Masz coś dla nas? – zapytał selkie po dotarciu do niej. Pomimo niezgrabnego sposobu poruszania się dotarł do niej tak cicho, że nawet nie zauważyła kiedy.

– Tuba z wiadomością – poinformowała Joie. – I przekazano mi, że to *bardzo* ważne. Nie wolno jej otworzyć nikomu, *nikomu* oprócz Joela Tra-vante lub Edmunda Talbota.

– Przekażę to.

– Powinam być już wolna – powiedziała Joel. – Obiecano mi, że mnie stąd zabierzecie.

– *To* będzie trudne – przyznał przywódca selkie. – Przekażę to dalej, ale niczego nie mogę zagwarantować. W tym rejonie nie ma w tej chwili żadnych statków, a flota Nowego Przeznaczenia właśnie wypłynęła. A wątpię, żebyś mogła popłynąć.

180 *JohnRingo*

– *Muszę* się wydostać z Ropazji – z desperacją oświadczyła Joie. – Technicznie rzecz biorąc, jestem zbiegłą niewolnicą. Jeśli zostaną złapana, ode-tną mi skrzydła.

– Dranie – rzucił przywódca grupy. – Słuchaj, mamy kontakty z klanem McClure w Gaeli. Leć tam. Przekażę wiadomość, że tam jesteś i spróbujemy cię jakoś odebrać, dobrze?

– Znajdę Gaelię – ponuro zapewniła Joie. – Ale gdzie są McClure ‘owie?

– Zachodnie wybrzeże, naprzeciwko Hiberni. – Przywódca grupy narysował na piasku schematyczną mapę. – Tutaj. Wyląduj w tej okolicy i zapytaj kogokolwiek o McClure’ów. Albo są z nimi sprzymierzeni, albo z nimi walczą. Lub jedno i drugie naraz. Ale powiedzą ci, gdzie znaleźć lairda McClure. Przekaż mu, że wysłał cię Ryan i że ma się tobą zaopiekować do czasu, aż ktoś po ciebie przyplynie. Spłacamy nasze długi.

– Zrobię tak, Ryan – oświadczyła dziewczyna, nachylając się i całując go w czubek mokrej, szpiczastej głowy. – Dziękuję.

– Proszę bardzo – odparł Ryan. – A teraz musimy się stąd zabierać w diabły. – Schował tubę z wiadomością do kieszonki uprząży i skierował się w stronę wody. – Uważaj na siebie. Drużyna, kolejno do wody.

Joie przyglądała się, jak grupa w kolejności odwrotnej do wychodzenia na plażę wycofała się do morza. Dopiero gdy ostatnie ze stworzeń znikło pod wodą, starła z piasku mapę i wystartowała, odlatując na zachód.

# ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

– Admirale – odezwał się posłaniec po zapukaniu do drzwi.

– Tak? – odpowiedzieli równocześnie Shar i Edmund, po czym obaj się uśmiechnęli.

– Właściwie to wiadomość dla admirała Changa. – Posłaniec nerwowo przełknął ślinę. – Flota Nowego Przeznaczenia wypłynęła.

– Która? – zapytał Edmund.

– To wszystko, co wiem sir, flota – powtórzył posłaniec.

– Shar? – rzucił Edmund.

– Poproszę o więcej informacji – powiedział Chang, wstając. – Ale podejrzewam, że oznacza to obie.

– Ile mamy tych urządzeń Evana? – zapytał Edmund, gdy posłaniec zamknął drzwi.

– Tylko pół tuzina. Robią ich więcej na brzegu, ale dostarczenie ich we właściwy rejon będzie problematyczne, zwłaszcza skoro flota jest na morzu. Muszą unikać ich podczas docierania na pozycje. Skomplikowana operacja.

– Cóż, tym będziemy się martwić później – zdecydował Talbot. – Dowiedzmy się, co się dzieje.

\* \* \*

– Wypłynęły obie floty. – Rozpoczęła odprawę major Steffani Veisse-nian, oficer wywiadu floty. Upakowanie sztabu Shara na okręt, zwłaszcza Wraz z Edmundem i jego adiutantami, wymagało wysiłku, ale jakoś się udało. Upakowanie ich do kajuty Edmunda stanowiło zdecydowanie większe wyzwanie.

– W tej chwili mamy tylko bardzo ogólnikowe informacje – mówiła dalej, wskazując na dużą mapę na ścianie. – Wygląda jednak na to, że flocie inwazyjnej towarzyszy tylko jeden smokowiec. Reszta oddzieliła się i płynie na południe, między wyspami Brytyjskimi i Ropazją.

– W co oni u diabła grają? – zapytał Chang.

– Nie wiem, sir – przyznała szefowa wywiadu. – Przychodzi na myśl rozdzielanie kolumn. Mogą trzymać się na południe od floty inwazyjnej. W ten sposób, gdybyśmy ją zaatakowali, złapaliby nas w dwa ognie. Mogą się też kierować do innego celu.

– Czy mamy coś o składzie grupy uderzeniowej? – zapytał Edmund.

– Pięć smokowców, okręty antysmocze, fregaty i jakieś klipry nie znanego nam typu – poinformowała oficer. – Choć syreny, które za nimi płyną, twierdzą, że nie mają olinowania artyleryjskiego. – Zajrzała do swoich notatek. – Przekazano, że mają na burtach bardzo dużo szalup.

– I kierują się na południe? – zapytał Shar.

– Tak brzmiały ostatnie doniesienia.

– Planują rajd. – Demetra Staffieri była oficerem operacyjnym floty, drobna brunetka o prawie czarnych oczach, które robiły się lodowate, gdy myślała równie intensywnie jak teraz. – Klipry przewożą wojsko, sir. Jak dwa i dwa to cztery.

– Czarnobrody – odezwał się nagle Edmund. – Płyną do bazy Czarnobrodego.

Dzieci syren nie mogły używać skrzeli przez co najmniej rok po urodzeniu, w związku z czym musiały mieszkać na lądzie. Baza Czarnobrodego została zbudowana w celu zapewnienia ochrony dzieciom i ciężarnym syrenom. Pilnowała ich największa grupa Panów Krwi poza Raven's Mili, ale nawet oni nie mieli szans obronić się przed zmasowaną inwazją, i zdawali sobie z tego sprawę wszyscy siedzący przy stole.

– To tylko domysł, sir – zauważyła Steffani Veisseman. – Prawdopodobnie dobry, ale chwilowo nic więcej.

– Jeśli poześlujemy na spotkanie grupy bojowej, zostaniemy potem zmuszeni do gonienia floty inwazyjnej – ocenił Chang, patrząc na mapę. – A jeśli zaatakujemy tę ostatnią, a oni *faktycznie* płyną do bazy Czarnobrodego, obciąży nas śmierć mnóstwa syrenich dzieci.

– Nie mamy dość sił lądowych, żeby powstrzymać desant tej wielkości – zauważył Edmund. – Mogą popłynąć w dowolne wybrane przez siebie miejsce. Nie jestem pewien, czy głęboko się wbijają, ale zdecydowanie *mogą* zdobyć przyczółek.

1– Pozwolę sobie przypomnieć, że nie jesteśmy też pewni, czy zdołamy zniszczyć ich siły bojowe – ostrożnie odezwał się szef G-3. – Jak wygląda opcja ewakuacji bazy Czarnobrodego? Niech zdobywają pustą bazę.

– Płynęło tam sporo statków z zaopatrzeniem i robotnikami budowlanymi – odezwał się inny z oficerów.

– Tak, ale wszystkie już odpłynęły – przypomniał Edmund. – Gdybyśmy zostawili Panów Krwi, może zdołalibyśmy wyprawić tam na czas dość statków, żeby ewakuować syreny. Panowie Krwi prawdopodobnie nie mieliby nawet nic przeciwko beznadziejnemu oporowi. Ale nie zamierzam na to pozwolić.

– Ciekawy problem – odezwał się Shar, uśmiechając się lekko. – Czy to podpada pod pańskie kompetencje czy moje?

– Moje – zapewnił Talbot, poprawiając się na krześle i rozglądając po zebranych. Bogu dzięki przezwyciężył już chorobę morską i mógł jasno myśleć. – Kiedy wypłynęli? Jak stara jest ta informacja?

– Wczoraj rano – odpowiedziała Steffani Veisseman. – Delfiny zostały wypchnięte z zatoki. Zauważyły ich spory kawałek dalej.

Edmund splótł palce i patrzył na nie przez chwilę, po czym zacisnął szczęki.

– Płyniemy na północ – zdecydował szorstko. – Shar, wprowadź plan operacyjny „Orka”.

– Czyli atakujemy flotę inwazyjną – odezwał się z powątpiewaniem jeden z oficerów. – Myśli pan, że Panowie Krwi zdołają się oprzeć atakowi.

– Żeglujemy na północ – uciał Chang. – Właściwie na północny wschód. Wykonać natychmiast. I chcę, żeby przylecieli do mnie na spotkanie wszyscy kapitanowie smokowców i dowódcy smoków. Później trzeba będzie przewieźć dowódcom innych jednostek rozkazy. Teraz to wszystko.

Sztabowcy wstali z miejsc i potrząsając głowami opuścili kabinę.

– Czyli zaatakujesz flotę bojową? – zapytał Shar.

– Niezupełnie – wymijająco mruknął Edmund. -1 muszę natychmiast wysłać rozkaz operacyjny do wszystkich sił lądowych: Plan Wielkie Czyny.

\* \* \*

Pułkownik Olin Rienzo po raz kolejny pomyślał, że sir Robert Kane, baron Marshfield, wygląda jak uosobienie rycerskości.

Znali się luźno przez Upadkiem, gdy Rienzo zajmował się hodowlą koni czystej krwi, a Kane rozmnażał hanarahy. Wszechstronny konkurs konny był najbardziej wymagającym ze sportów konnych, składając się z kombinacji jazdy terenowej, ujeżdżania i skoków, a Kane należał do jeźdźców światowej klasy. W tamtych czasach Rienzo uważał za humorystyczne

lupodobanie Kane’a do noszenia dużych kapeluszy i strojów z dawnych czasów nawet podczas zawodów. Dopiero po Upadku dowiedział się, że dla Kane’a zawody sportowe stanowiły tylko uboczne zajęcie, a prawdziwą pasję – rekreacja, ze szczególnym uwzględnieniem osiemnastowiecznej kawalerii.

Kiedy Kane zjawił się u niego, nie mając na poparcie swoich słów nic bardziej oficjalnego niż

odręczna notatka Edmunda Talbota, z zadaniem stworzenia czegoś, co Talbot określił mianem „legionu kawalerii”, Rienzo z początku podszedł do tego sceptycznie. W szkolenie kawalerzysty zabierało lata. Walka z końskiego grzbieta wymagała czegoś więcej niż prosta umiejętność utrzymania się na nim. Zresztą konie kawaleryjskie również potrzebowały intensywnego treningu. Kane jednak, choć czasem wyglądał i zachowywał się jak reinkarnacja osiemnastowiecznego kawalera, bardzo metodycznie podszedł do szkolenia wojskowego. Zebrał sporo jeźdźców i jeszcze więcej koni, wyblagał, wypożyczył i ukradł potrzebny sprzęt, po czym rozpoczął ostry program szkoleniowy dla ludzi i zwierząt. Uzyskał w ten sposób grupę czterech tysięcy jeźdźców i prawie szesnastu tysięcy koni. Obecnie stanowili oni niemal równie dobry oddział kawalerii, jak najlepsze w dziejach. Pochłaniało to także olbrzymie ilości pieniędzy, ale jakoś je zdobywali. Część pochodziła z podatków federalnych, część z innych tajemniczych źródeł, najważniejsze, że się im udało.

Rienzo podjechał na swoim wierzchowcu na szczyt wzgórza, gdzie Kane i podchorąży Tao przyglądali się aktualnym ćwiczeniom. Po jednej ze stron dużej doliny ustawił się w szyku pełen regiment, stając naprzeciw wyimaginowanej formacji piechoty. Gdy jeden szwadron nękał front formacji, dwa pozostałe, na rozkaz wydany chorągiewkami, oderwały się w lewo i pogalopowały na flankę przeciwnika stworzonego przez ustawienie dużej liczby snopków siana. Gdy tylko zajęli pozycję, wszystkie trzy szwadrony za-szarżowały równocześnie na „formację wroga”, przechodząc przez nią i mijając się jak zęby kół precyzyjnego mechanizmu. Zbliżając się do wroga, opuścili długie lance, później do akcji wkroczyły błyskające miecze. Po kilku minutach ziemię pokrywała warstwa posiekanej słomy.

– Nieźle – skomentował Kane. – Grupa brawo, pierwszy szwadron ruszał się zbyt wolno.

– Tak jest – potwierdził Tao, zapisując uwagę. Podchorąży stanowił nowy dodatek. Pojawił się znikąd na zajeżdżonym koniu pocztowym. Ponieważ pełnił funkcję jednego z adiutantów Talbota, a flota wypłynęła z generałem na pokładzie nie więcej niż dwa dni przed tym, jak się pojawił, musiał mieć za sobą piekielną jazdę, by dotrzeć do Kentu. Ale następnego dnia był już na nogach, chodząc trochę sztywno, ale wykonując obowiązki. Choć nie do końca wiedział, jakiego rodzaju. Głównie trzymał się Kane’a, pełniąc funkcję posłańca i adiutanta.

– Dobrze to wygląda, pułkowniku – rzucił Kane, wykręcając w miejscu swojego hanaraha i unosząc na powitanie szeroki kapelusz.

Kane był wysoki, ważył około dwustu funtów i miał długie blond włosy, które prawie całkowicie już osiwały. Nosił też długie wąsy i kocią bródkę, co na kimś innym wyglądałoby absurdalnie, ale tak pasowało do jego osobowości, że praktycznie się tego nie zauważało. Ubrał się w skórzane spodnie z nagolenicami, czerwoną jedwabną koszulę i czarną kamizelkę zjedwabiu. A ponieważ wcześniej sienie odwracał, jedyny sposób, w jaki mógł się zorientować, że to właśnie Rienzo, to rozpoznać odgłosy, jakie wydawał jego koń.

– Generale Kane – odezwał się Rienzo, salutując. – Tak, dobrze idzie. Zdumiewająco dobrze.

– Szczerze mówiąc, nie do końca w to wierzyłem, gdy Edmund przedstawił mi swój program szkoleniowy – powiedział Kane, wykręcając wierzchowca z powrotem, by przyglądać się ustawiającym się szwadronom. – I trzeba będzie się jeszcze przekonać, jak radzą sobie w walce. Ale tak, myślę, że bardzo dobrze im idzie. Szkoda, że nie mieliśmy więcej czasu na szkolenie w pościgu, ale może to wystarczy.

– Tak jest, sir – potwierdził Rienzo. – Będziemy musieli się przekonać. A powodem, dla którego tu przyjechałem, jest pilny rozkaz operacyjny od Edmunda Talbota. Zaadresowany jest do „wszystkich dowódców sił lądowych” i został przekazany również do nas. Uznałem, że zechce go

pan zobaczyć.

– Och – sapnął Kane, patrząc na niego w oczekiwaniu wiadomości.

– Tylko dwa słowa: „Wielkie Czyny”.

I Pogodna zwykle twarz Kane’a zrobiła się poważna. Kiwnął głową. – Tao.

– Tak jest, sir. – Podchorąży sięgnął do torby przy siodle i wyciągnął z niej pakiet zalakowanych kopert, o istnieniu których Rienzo w ogóle nie wiedział. Przejrzał je i wyciągnął jedną, podając generałowi.

Kane wyciągnął sztylet i rozciął kopertę, wyciągając plik kartek. Zerknął na pierwszy akapit i ponownie kiwnął głową.

– Pułkowniku, proszę przygotować regiment do wymarszu. Racje na trzy dni, sprzęt bojowy, dwa luzaki dla każdego jeźdźca. Proszę zostawić wszystkie konie, które nie są w pełni zdolne do jazdy.

– Mogę zapytać, gdzie jedziemy? – odezwał się Rienzo, marszcząc brwi.

186 *JohnRingo*

– Nie, nie może pan – odparł Kane, składając papiery i wciskając do kieszeni. – Ale mogę zapewnić, że czekają nas wielkie czyny.

\* \* \*

Pan Krwi stanął na baczność i stuknął w drzwi, jeden raz.

– Wejść.

Usłyszawszy pozwolenie, żołnierz wmaszerował do pokoju i stanął na spocznij, ze wzrokiem utkwionym dwadzieścia centymetrów nad głową siedzącego za biurkiem podoficera.

– Sierzancie, kapitan Jackson otrzymał ostrzeżenie o możliwości zbliżenia się ciężkiego ataku. Wygląda na to, że kieruje się tu większość floty Nowego Przeznaczenia, wraz ze znaczącym kontyngentem szturmowym.

Mężczyzna siedzący za biurkiem był stary, z krótko przyciętymi siwymi włosami i skórą pobrużdżoną wiekiem i słońcem. Ale plecy miał proste, a ręka unosząca kubek do ust nawet nie drgnęła.

– Szacunkowy czas przybycia? – zapytał, wstając i podchodząc do okna. Widok za oknem rozświetlał jasny blask słońca i przedstawiał szmaragdową zatokę i twierdzę w budowie. Pomimo pracujących przy niej kilkuset robotników ukończono ją dopiero w połowie. W wodzie – pod czujnym okiem żołnierzy w zbrojach, które zdawały się zdecydowanie za ciężkie jak na panujący upał – bawiła się grupa syren z dziećmi. Pomimo to pluton Panów Krwi stał sztywno niczym stalowe sztaby. Kiedy im się przyglądał, trzech żołnierzy odmaszerowało do cysterny z wodą, solidnie się napiło i wróciło na swoje stanowiska.

– Przynajmniej trzy tygodnie, sierzancie.

– Smokowce?

– Pięc.

Gunny burknął coś pod nosem, potem się roześmiał.

– Dobrze. Jak wygląda prognoza pogody?

– Pójdę zapytać syreny.

\* \* \*

Elayna obróciła się na plecy i otworzyła barometr, umieszczając go między piersiami, po czym uniosła przyrząd do pomiaru prędkości wiatru.

Wszystkie grupy syren, oprócz innych zadań w rodzaju zwalczania orek i wyszukiwania wrogich flot, dokonywały także odczytów meteorologicznych. Choć mogły mierzyć warunki wyłącznie na



poziomie wody, okręty wsparcia wyposażono w balony meteorologiczne, a wyniki pomiarów łączono w zdumiewająco pełny obraz ruchów-mas powietrza.

Był przyjemny dzień, z wiatrem o prędkości dwudziestu kilometrów na godzinę, ale słoneczny i spokojny. Położyła się na plecach i zamknęła oczy, i zanurzając co jakiś czas głowę pod wodę, by odetchnąć. Przebywanie na powierzchni zawsze wiązało się z kłopotami, ponieważ wymagało zdecydowania się, czy nurkować co chwila po oddech do wody, czy opróżnić płuca i oddychać powietrzem. Ale dzień był bardzo przyjemny. Leżała na wodzie i marzyła, że jest w bazie Czarnobrodego. Mniej więcej. Za każdym razem, gdy pomyślała o tej nazwie przypominał się jej dziadek i robiło się jej smutno. Od tamtego dnia zdarzyło się zbyt dużo śmierci. Świat stanowił bardzo złe miejsce.

Przywołała obraz raf i wyobraziła sobie, że dryfuje między nimi unoszona prądami. Żadnych trosk, ciężaru dowodzenia, strachu przed napadem orek lub ixchitli, żadnych odczytów barometrów, na które potrzebowali *całej wieczności*. Wynurzyła głowę i mrużąc oczy popatrzyła na barometr, ale jego odczyt wciąż się nie ustabilizował.

Znów zanurzyła głowę i spojrzała na swojego zastępcę.

– Jakież ślady orek?

– Nie – odpowiedział impulsami. – Wszędzie wokół pusty ocean.

– Miejmy nadzieję. – Znów wyjrzała na barometr. W końcu się ustabilizował, więc spakowała go razem z pozostałymi przyrządami.

– Sygnał meteo do floty – poleciała. – Pozycja 109, prędkość wiatru dwadzieścia dwa kilometry, odczyt barometrów trzydzieści koma jeden i rośnie.

– Ładny dzień.

– Tak. Choć zbliża się sztorm.

– Wiadomość od floty – odezwała się Katarin. – Flota Nowego Przeznaczenia wypłynęła na morze.

– Miejmy nadzieję, że trafią na flautę – rzuciła Elayna, obracając się i nurkując ku głębinom.

\* \* \*

Paul obrócił się w taki sposób, że Megan znalazła się na nim i pogłaskał lekko jej plecy.

– Wyglądasz na zadowolonego – zauważyła dziewczyna, nachylając się, żeby pocałować go w czoło i wcale nie przypadkiem przesunąć piersiami po twarzy.

– Jestem – przyznał, sięgając ponownie do jej ciała. – Flota wypłynęła. Cała. Chansa wysłał główną flotę bojową, żeby zaatakowała bazę Czarnobrodego. Edmund zostanie zmuszony wybierać, którą z flot zaatakuje, bo nie ma dość sił, by walczyć z obiema.

– Jak myślisz, którą zaatakuje? – zapytała Megan.

– Tak naprawdę nie ma to znaczenia. Jeśli ruszy na północną, flota może zawrócić. Południowa przejmie bazę Czarnobrodego i zabije lub schwyta syreny i ich dzieci, a to praktycznie wyeliminuje z równania syreny – nie podejmą żadnych działań w obawie o życie swoich dzieci. Jeśli zaatakuje te siły, główna flota wyląduje w Norau i ustawimy portale umożliwiające ich wsparcie. Nawet jeśli jakimś cudem uda mu się zniszczyć flotę, nie będzie to już miało znaczenia.

– I celem wciąż jest Balmoran? – zapytała Megan, kocimi ruchami poddając się głaskaniu. Naprawdę sprawiało jej to przyjemność, Paul potrafił dać coś z siebie, gdy tego chciał.

– Mhm.. – potwierdził mężczyzna. – I kolejna dobra wiadomość. Chan-sa ma agenta na pokładzie *Richarda*, jednego ze stewardów. Ma rozkaz otruć Talbota i admirała floty, Changa. Edmund nigdy nie omawia swoich planów, więc flotę ogarnie chaos. No i jest jeszcze obosieczny miecz – Celinę poinformowała mnie, że znalazła w końcu sposób na pokonanie osobistych pól

ochronnych.

– To niemożliwe! – zaprotestowała Megan.

– Też tak powiedziałem. – Paul się uśmiechnął. – Ale dowiodła tego. Używa jakiegoś rodzaju specjalnych nanitów. Generują pole destabilizujące, które interferuje z fizyką OPO. Niestety, działają tak samo na pola tele-portacyjne, więc nie można ich transportować tą drogą. Stworzyła niewielkie urządzenia do ich produkcji. Urządzenia można teleportować. Rozważam sposób na przemycenie paru sztuk oraz zabójców do domu Sheidy. Jej wyeliminowanie zdestabilizuje całe ZWS.

– Faktycznie – zgodziła się Megan. *Jak mogę przekazać tę informację? Wiem, że Paul musi monitorować moje spotkania z tym piekielnym kupcem!* – Ale czemu rozmawiamy? – dodała. – Nie mamy nic lepszego do roboty?

\* \* \*

– Zastanawiacie się pewnie, co robimy – przywitał Shar Chang zebranych kapitanów i dowódców smoczycy jeźdźców. – Cóż, nie zamierzam wam mówić. Wszyscy wiecie, że i na morzu wypływają od nas informacje do Nowego Przeznaczenia. Szpiegami mogą być nawet niektórzy z was. Wątpię w to, ale nie mogłem też uwierzyć w Owena Mbeki. Dostaniecie więc rozkazy i je wypełnicie. Każdemu z was wręczone pisemne instrukcje. Większość sprowadza się do oderwania się od głównej floty w towarzystwie grupy bojowej. Flota się rozdziela.

Rozejrzał się po zebranych kapitanach i dowódcach jeźdźców.

– Możecie się zastanawiać, po co te tajemnice, skoro orki i ixchitle i tak poznają naszą pozycję. Cóż, nie poznają, jeśli się nam uda. Od tej pory chcę ciągłych patroli smoków. Ale nie zwykłych. Każda grupa bojowa ma

1 być nieustannie strzeżona przez smoki. Będziemy ćwiczyć wypatrywanie orki. *Wszystkie* orki mają być atakowane przez wywerny. Smoki dowiodły, że mogą pokonać orki w wodzie. W przypadku wykrycia stada należy przekazać wiadomość do smokowca, a następnie zaatakować orki skrzydłem smoków. Woda jest zimna, więc jeźdźcy muszą trzymać się z dala. Ale wiele smoków walczyło już z orkami i kiedy je widzą, trudno powstrzymać je przed atakowaniem. Nie róbcie tego. Doprowadźcie je do stada i pozwólcie im uderzyć. Wyciągnijcie je potem z wody. Oczywiście, jeśli stado znajdzie się zbyt daleko od okrętu, by smoki mogły dopłynąć, nie atakujcie. Jeśli są tak daleko, nie stanowią zagrożenia. Ale jeśli się zbliżą, macie je zabić. Naturalne i Przemienione – aż do chwili ataku nie da się ich odróżnić.

– Pytanie, admirale – odezwała się Joanna, wysuwając pazur.

– Tak, komandorze?

– Możemy je zjadać?

Pytanie wywołało falę chichotów, z których część zabrzmiała histerycznie. Nawet Chang się uśmiechnął.

– Proszę bardzo – zgodził się. – Dodatkowe rozkazy dla dowódców jednostek brzmią następująco: jedynym oficerem, który będzie dokonywał odczytów nawigacyjnych jest kapitan. Lepiej, żeby żaden inny oficer nie brał sekstansu do ręki. Kara to natychmiastowe i bezwarunkowe zamknięcie w kajucie oraz późniejszy sąd wojenny. Kapitanowie będą ustalać pozycję raz dziennie. Jedyne wyjątkiem to okręt dowódcy floty. Macie podążać za okrętami flagowymi – wiedzą, gdzie płyną. W przypadku, gdybyście zostali rozdzieleni przez sztorm, wolno wam otworzyć *drugie* rozkazy, w których zawarte są współrzędne punktu spotkania. Przy otwarciu koperty musi być obecny i wyrazić na to zgodę oficer nawigacyjny. Zrozumiano?

– Tak jest – odpowiedziała cała grupa.

– Z końcem dnia do wszystkich jednostek zostaną wysłane dodatkowe rozkazy. Mają one być

trzymane w identycznych warunkach, mianowicie dowódca piechoty morskiej przechowa je w skrzynce, do której klucz ma tylko kapitan. Dostaniecie trzy takie pakiety: „Stonewall”, „Czyngis” i „Be-lizariusz”. Wolno je otworzyć wyłącznie na mój rozkaz. W podobny sposób mają być przechowywane mapy. Nie ma mieć do nich dostępu nikt oprócz kapitana. On pozna wasze położenie, a w przypadku dowódców smokowców również cel lotu. Syreny poinformują was o dotarciu na miejsce. Jeśli z powodu niewłaściwych wiatrów lub sztormu dojdzie do spóźnienia, to również zostanie przekazane. Do waszej wiadomości: syreny realizują plan, który ma wskazywać, że *nie* ma nas tam, gdzie faktycznie się znajdziemy. Admirale Talbot?

Edmund rozejrzał się po grupie i kiwnął głową.

– Na wojnie zawsze chcecie wiedzieć, co robi wasz przeciwnik-zaczął, patrząc po kolei na wszystkich kapitanów. – A on z kolei chce takich samych informacji. Tę wojnę morską do tej pory toczono w sytuacji, gdy obie strony znały położenie przeciwnika. Chcemy z tym skończyć w takim stopniu, jak tylko to będzie możliwe. A co do tego, co zamierzamy zrobić i w jaki sposób, informacje dostaniecie w punkcie zbornym. Admirale Chang?

– To wszystko. – Shar znów rozejrzał się po zebranych. – Powodzenia i pomyślnych wiatrów.

\* \* \*

– To cholernie dziwne rozkazy – zauważyła Some Karcher w drodze powrotnej na okręt.

– To prawda – zgodziła się Joanna. – Ale domyślam się powodów.

– Ja też. Mają rację co do wycieków informacji.

– Och, chodzi o coś więcej – dodała smoczyca. – Nie znasz Edmunda tak długo jak ja. Jego umysł jest głęboki i mroczny jak bagno. Nigdy nie zdradza nikomu swoich planów, a jeśli to robi, tak naprawdę realizuje tylko połowę z tego. W części, dużej części, wynika to z uniemożliwienia przeciwnikowi dostępu do informacji. Ale druga jest taka, że jeśli zmieni zdanie albo plan nie pójdzie tak, jak zamierzał, nikt się o tym nie dowie.

– To akurat rozumiem – przyznała z niechęcią Karcher, gdy smoczyca skręciła do lądowania.

# ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

– Czas trochę namieszać – zasygnalizował Jason, zaczynając nurkować.

Kiedy udzielono mu pozwolenia na rozpoczęcie ataków na orki i ixchi-tle, miał już gotowy plan. Który, jak dotąd, się sprawdzał.

Niemal najtrudniejszy element polegał na odnalezieniu stad orek i ixchitli. Ale delfiny utrzymywały żywe kontakty z grupami delfinów długoszczękowych, które schodziły na duże głębokości i żyły we wszystkich oceanach ziemi. W szczególności potrafiły zrozumieć ich język, przynajmniej w stopniu pozwalającym wyłapać alarmy po wykryciu orek lub ixchitli, które zagrażały długoszczękom.

Za każdym razem, gdy rozlegał się tego rodzaju alarm, głębokowodne delfiny zbliżały się, by sprawdzić, czy chodzi o orki naturalne czy Przemienione. Różnice, poza pseudodłoni Przemienionych, były drobne, ale zasadniczo potrafiły je odróżnić bez zbliżania się na tyle, by groziło im niebezpieczeństwo. A ixchitle nie miały naturalnych odpowiedników. Po potwierdzeniu niebezpieczeństwa wysyłano sygnał alarmowy.

Jason przenieśli swoje siły i przerzucił większość prac przybrzeżnych oddziałów podwodnych na selkie. Z uwolnionych w ten sposób trytonów i syren zorganizował pływające po oceanie „grupy zabójców”. W przypadku zauważenia stada orek, zazwyczaj gdzieś w okolicy, czekała w gotowości grupa zabójców. Gdy tylko wyznaczono kurs przeciwnika, trytony ruszały na pozycje.

Syreny i trytony zasadniczo były stworzeniami płytkich wód, jednak zaprojektowano je w taki sposób, by mogły sobie poradzić i w głębinach.

Potrafiły też oddychać wodą, więc jak długo miały dość jedzenia, by ochronić się przed hipotermią, nie musiały się wynurzać. Z drugiej strony orki i ixchitle prawie zawsze poruszały się nie głębiej niż sto metrów od powierzchni, btchitle *mogły* zejść jeszcze niżej i czasem to robiły. Generalnie jednak, podobnie jak orki, podróżowały bliżej powierzchni. Grupy zabójców schodziły więc w dół i w ciszy czekały na przepływające cele. Tym razem Jason wraz ze swoim oddziałem zaczęli się na małe stadko Przemienionych, które najwyraźniej próbowało zlokalizować jeden ze smokowców. Edmund powiedział, że uniemożliwienie im tego jest zadaniem o najwyższym priorytecie. Co czyniło zadanie tej grupy podwójnie ważne.

Z miejsca, w którym się znaleźli, blisko trzysta metrów pod powierzchnią, nie mogli zobaczyć ani w żaden inny sposób wykryć orek, jednak długoszczękowce wciąż wysyłały swój sygnał ostrzegawczy, dzięki któremu byli w stanie mniej więcej ustalić ich pozycję. Gdy z namiarów lokacyjnych wynikało, że Przemienieniu znaleźli się nad nimi, Jason nakazał oddziałowi ciche wynurzenie.

Wypluwając, sprawdził też po raz kolejny pozycję statku zaopatrzeniowego czekającego sześćdziesiąt klików dalej na południowy wschód. Często myślał sobie, że to te jednostki zaopatrzeniowe są prawdziwymi bohaterami wojny. Małe, szybkie szkunery przenoszące żywność i broń dla syren i delfinów pływały po całym oceanie, niezdolne do obrony przed atakami i powierzające swoje bezpieczeństwo niezmierności oceanu. Każdy z nich miał też na pokładzie lekarza i dysponował częściowo zalaną komorą w ładowni. W przypadku poważnych ran tryton czy syrena mogli być przewiezieni na brzeg.

Wiedział, że tego dnia prawdopodobnie odniosą straty i miał tylko nadzieję, że nie będą zbyt poważne.

W miarę jak grupa trytonów wynurzała się ku powierzchni, zaczęła odbierać dochodzące z góry ciche sygnały. Zazwyczaj orki płynęły bardzo cicho, ale te nie potrafiły zachować dyscypliny.

Opierając się na dźwiękach, Jason zmienił kierunek wznoszenia i lekko przyspieszył. Z tym zawsze wiązało się pewne niebezpieczeństwo, ponieważ w miarę spadku ciśnienia ich płetwy ogonowe miały skłonność do kawitacji, tworząc w wodzie obszary niższego ciśnienia, wypełniane przez wodę w dość głośny sposób. Choć jak dotąd wszystko szło dobrze: wciąż nie słyszał żadnych odgłosów zdradzających obecność swojego oddziału.

W górze robiło się już ciemno i choć woda miała dużą przejrzystość, zobaczenie czegokolwiek wymagało sporo wysiłku. Dostrzegł jednak kształty na lewo od grupy i znów zmienił kierunek pływnięcia, cicho wysuwając lancę – Kiedy stało się jasne, że orki nadal nie mają pojęcia o zasadzce, przyspieszył gwałtownie i sześćdziesiąt trytonów ruszyło za nim do ataku.

\* \* \*

Irkisutut odczuwał równocześnie znudzenie, złość, zmęczenie i strach, pływali po tym przeklętym oceanie już od tygodnia, szukając jednego celu za drugim. Dowództwo zdawało się nie mieć pojęcia, gdzie ich wysłać, wdęc najpierw płynęli w jednym kierunku, potem w zupełnie innym, zamsze bezskutecznie szukając smokowców przeciwnika.

Jeszcze gorsze były docierające do nich informacje bezpośrednio z odległych sygnałów alarmowych oraz z plotek przekazywanych przez inne stada, że zwiadowcy ponosili olbrzymie straty. Nie tylko smokowce wysyłały wywerny polujące na orki, ale te piekielne syreny przeszły od chowania się po zatokach do atakowania ich. Większość jego kolegów, przywódców stad orek, zginęło w atakach w ciągu ostatniego tygodnia i zastanawiał się, kiedy przyjdzie jego kolej.

Do tego wszystkiego dochodziły te przekłete długoszczękowce. Wiedział, że jest przez nie śledzony i nieustannie zdradzający jego pozycję. Ale choć orki pływały szybko, nie miały najmniejszych szans na dogonienie delfinów. Kilka razy zmienił kurs, próbując je dopaść, ale te przekłete stworzenia zawsze się wymykały, śmiejąc się z niego. A kiedy dawał za wygraną, wracały na swoje miejsca. Natomiast pościg za nimi bardzo męczył stado.

A stado było już naprawdę mocno wymęczone. Od trzech dni nie mieli zaopatrzenia, a dzięki wrzeszczącym wokół długoszczękowcom nie udało im się niczego upolować. Pełny ocean i tak przeważnie pozbawiony był życia, więc orki normalnie trzymały się prądów, polując na ich brzegach, gdzie jedzenia pływało dużo. Ta misja zmusiła ich jednak do pływania po całym oceanie, gdzie jedzenia *nie* było. Zażądali przysłania okrętu zaopatrzeniowego, ale w odpowiedzi usłyszeli tylko bzdurne zapewnienia, że „coś się pojawi”.

I właśnie, gdy o tym myślał, coś się faktycznie pojawiło.

\* \* \*

Oddział trytonów ustawił się w najeżony pikami heksagon, stanowiący podwodny odpowiednik falangi, co okazało się najskuteczniejszą formacją ataku w takich warunkach. Formacja utworzyła front szerszy od grupy orek i otoczyła ją jak wznosząca się, pełna metalowych grotów sieć. Pierwszy zginął jakiś młodzik, który zanurkował pod głównym stadem i zapiszczał w alarmie tuż przed tym, jak przebiła go pika.

Stado zareagowało szybko, ale w niezdiscyplinowany sposób: część rzuciła się do przodu w próbie ucieczki, część zanurkowała do walki. Większość

luciekających natknęła się na lity mur grotów. Nie chcąc się przez nie przebijać, orki wykręciły w stronę powierzchni. Kilka rzuciło się na falangę, w nagrodę ginąc od ciosów. Trytony cały czas przy tym uważały, by nie rozluźnić formacji, zmieniając pozycję tak, by zamknąć wroga w coraz ciaśniejszym uścisku, podczas gdy dodatkowe grupki dobijały ranne orki.

\* \* \*

Słyszając alarm, Irkisutut wystrzelił do przodu, ale szybko zobaczył, że zostanie odcięty przez

trytony. Wykręcił na bok i zdał sobie sprawę, że jest otoczony. Po chwili gorączkowego pływania w kółko zrobił jedyną sensowną rzecz, przyspieszając, a potem wyskakując w powietrze, by wydostać się poza pierścień przeciwnika.

Gdy tylko wylądował poza kordonem trytonów zwrócił się z powrotem w ich stronę, chwytając jednego w swoje stożkowate zęby. Nie został w miejscu, by mogli zaatakować go inni, wycofując się, gdy tylko w jego zębach pękła klatka piersiowa ofiary. Puścił martwego trytona i ruszył, by zaatakować ponownie, ale falanga zmieniła szyk, wystawiając piki w jego stronę. Teraz i on miał przed sobą ścianę stali. Nie mógł już zrobić nic oprócz przyglądania się, jak jego stado jest bezlitośnie wybijane.

– Przeklinam was! – ryknął, gdy zginął ostatni z jego podwładnych. – Dziwolągi!

– Wracaj do domu, orko – odkrzyknął jeden z trytonów. – Wracaj i powiedz reszcie swoich kumpli, że nie jesteście już na szczycie piramidy pokarmowej!

Gdy trytony ruszyły w jego stronę, odwrócił się i popłynął na wschód. Gdzieś tam były inne stada i okręt zaopatrzeniowy. Gdzieś tam czekało bezpieczeństwo.

Tu nie zostało już nic.

\* \* \*

– Gdzie my, u diabła, jesteśmy? – rzuciła Zora, wsiadając na wywerna.

– Nie wiem, sierzancie – odpowiedział z uśmiechem Herzer. – Gdzieś na środku Oceanu Atlantyckiego, ale tylko się domyślam.

Smokowiec żeglował już od czterech dni. I bynajmniej wcale nie w jedną stronę. Halsował, skręcał, płynął na zachód, na wschód, północ i południe. Żaden z odcinków nie miał równej długości, a biorąc pod uwagę? zmienny wiatr i prądy, mogli być *gdziekolwiek*. *Cóż*, przynajmniej *gdziekolwiek* na Atlantyku.

Aktualnie płynęli zasadniczo na wschód, o ile Herzer potrafił określić. Płynęli tym samym kursem przez większość opia, ale to nic nie znaczyło. Wiedział, że siły Nowego Przeznaczenia są na północ i na południe od nich, więc w którą stronę by skręcili, i tak bitwa ich nie ominie.

1Choć on i Zora Fink nie mieli dzisiaj walczyć. Większości jeźdźców smoków brakowało doświadczenia i ćwiczyli bombardowanie. Trochę wcześniej spuszczone ze smokowca łódź ciągnącą za sobą ćwiczebny cel, który nie miał zbyt dużych wymiarów, a na dodatek mocno huśtał się na falach. Xo jednak nie wyjaśniało, czemu nie trafił go jeszcze żaden z jeźdźców.

Herzer doprowadził Łydy do katapulty i przybrał właściwą pozycję, a wywern usadowił się na belce startowej i wychylił do przodu w gotowości. Przyzwyczajenie wywernów do katapulty wymagało odrobiny treningu, ale kiedy już się z nią oswoiły, bardzo ją lubiły. Na stosunkowo krótkim odcinku wyrzutnia parowa przyspieszała wywerny do prawie czterdziestu kilometrów na godzinę, a na końcu drogi smok otwierał skrzydła i rozpoczynał lot. Skrzydła wywerna miały potężną rozpiętość – musiały wytrzymać masę smoka i jeźdźca – a ich istnienie nie byłoby możliwe bez wprowadzenia dużej ilości zmian w stosunku do skrzydeł drapieżnych ptaków, na których je wzorowano.

Główna i najbardziej zauważalna różnica polegała na zastosowaniu innych materiałów. Skrzydła i ich kości przepleciono siecią tworzonych biologicznie nanorurek węglowych, które charakteryzowały się niezwykle wysokim stosunkiem wytrzymałości do wagi. Jednak oprócz tego w całym ciele wywerna wprowadzono bardziej subtelne zmiany. Energia wydatkowana na lot wiązała się z bardzo wysoką temperaturą ciała, dostatecznie wysoką, by doprowadzić do uszkodzenia mózgu. W celu ograniczenia tego groźnego zjawiska w głowie smoka mieścił się niewielki kanał, przez który powietrze wlatywało z przodu, chłodziło wewnątrz czaszki i wylatywało z tyłu. W ten sposób nawet w

przypadku przegrzania zwierzęcia, nie miało to wpływu na mózg. Mechanizm stanowił też zauważalny procent chłodzenia ciała, ponieważ łączył się z błonami uwalniającymi wodę. Zmian wprowadzono znacznie więcej. Zwykłe mięśnie nie miały dość siły, by umożliwić dłuższy lot, zapożyczono więc od trzmieli specjalne „mięśnie elastyczne”, które musiały pracować tylko w jedną stronę. Wewnętrzne mikrotubule działały jak sprężyny, automatycznie kontrując ruch skrzydeł do pozycji szybowania, tak że smok musiał tylko napiąć mięśnie, a potem je zluźnić.

Pomimo wszystkich tych zmian wywerny mogły pozostawać w powie-frzu tylko kilka godzin, więc Herzer w miarę szybko wspiął się na odpowiedni pułap, po czym poszybował, czekając, by Fink go dogoniła. Gdy tylko dziewczyna zajęła miejsce za czubkiem skrzydła jego smoka, skierował się w stronę odległej plamki szalupy.

Szalupę obsadziło dwudziestu wioślarzy i sternik, ale w tej chwili większość z nich odpoczywała i przyglądała się popisom. Dywizjon smoków

lrzycał właśnie bomby ćwiczebne. Herzer przyglądał się, jak jedna po drugiej mijają cel. Musiał przyznać, że padały dość blisko i większość trafiły by w okręt.

Problem polegał na tym, że przy stosunkowo małych bombach i coraz większych zdolnościach do gaszenia pożaru na okręcie na wrogie jednostki musiało spaść wiele ładunków, by uniemożliwić opanowanie ognia. A w niektórych przypadkach mogło pomóc precyzyjne zrzucenie bomby, na przykład przez wyeliminowanie mostka.

Tak więc umiejętność trafienia celu wielkości trzy na trzy metry nie była opcjonalna, tego wymagał standard. Którego jeźdźcy nie potrafili spełnić.

Zobaczył nadlatującą od strony okrętu Joannę z małą postacią Bast przycupniętą radośnie na jej karku. Tylko Bast mogła być dostatecznie szalona, by jeździć na smoku bez uprząży. Zastanawiał się, w jaki sposób się utrzymywała.

Potem przypomniał sobie siłę jej nóg i zaśmiał się pod nosem. Cholernie dobrze wiedział, jak to robiła.

Ustawił się na cel i skierował wywerną w dół, dokonując drobnych poprawek. Ponieważ cel holowano, nie poruszał się regularnie. Szarpał do przodu, zwalniał, znów szarpał. Dokonał ostatnich poprawek, po czym, gdy uznał, że jest na minimalnej wysokości, zwolnił pierwszą bombę. Leciał dalej w dół, żeby zobaczyć, jak spada. Upadła tuż przed celem, wywołując niewielki rozbryzg wody.

Poderwał wywerną z powrotem na górę, gdzie czekała Fink i zasygnalizował do niej.

– Przyglądaj się pierwszej bombie. Zejść poniżej pułapu. Nie spudłuj przy następnych.

Popatrzyła na niego, nie rozumiejąc, i odpowiedziała znakami.

– Obserwować zrzut?

Przemieścił wywerną tak, że znalazł się tuż nad nią.

– Możesz obserwować, jak spada twoja pierwsza bomba i zejść do tego celu poniżej pułapu! – wykrzyczał. – Przy pozostałych musisz pozostać powyżej. – Pomyślał, że w przyszłości ewidentnie konieczne będą dalsze lekcje języka migowego.

– Dobrze! – odchrząknęła.

Przyglądał się, jak ustawia się na cel i zrzuca bombę, po czym od razu wiedział, że nie trafi nigdzie w pobliżu celu. Bomba ćwiczebna wylądowała ponad dziesięć metrów w bok i sporo za platformą.

Począł, aż wróciła na jego pułap, a w tym czasie na jego skrzydle znalazła się Joanna.

– Nie idzie za dobrze, co? – krzyknęła do niego.

1– Nie – przyznał, wykręcając na skrzydło i znów ustawiając się na cel. Usiłował wziąć poprawkę na nierówny ruch obiektu, ale już zwalniając

bombę, wiedział, że znów chybi. Poderwał smoka i wzbił się wyżej, oglądając się do tyłu i faktycznie, bomba przeleciała za daleko. Blisko, ale nie trafiła.

– To prawie niemożliwe – westchnął, gdy wrócił na wyjściowy pułap.

– Inni potrafią – zasygnalizowała do niego Bast z rozbawieniem.

– Jestem kochankiem, nie bombardierem – przekazał na tyle szybko, żeby nie zdążyła go zrozumieć Zora.

Joanna skręciła i ustawiła się na cel, odginając skrzydła w taki sposób, że kierunek lotu korygowała tylko ich końcami. W połowie opadania rozłożyła je nieco, by dopasować prędkość do celu, po czym opadała dalej, przypominając wyglądem raczej jakąś olbrzymią strzałę niż smoka. Kiedy wypuściła bombę – miała do tego własne przyrządy – nawet się nie obejrzała, po prostu wykręciła i wykorzystywała pęd do wzbicia się do skrajnego przeciągnięcia, po czym zaczęła machać skrzydłami. Bomba trafiła w środek celu i eksplodowała.

– Rewelacja! – krzyknęła Zora.

– Tak – zasygnalizował do niej Herzer. – Teraz my musimy się tego nauczyć! – dodał.

– Herzer – odezwała się Joanna, gdy wróciła na pozycję. – Nie zaczynaj jeszcze nurkowania. Na południu widać charakterystyczne ślady na wodzie. Orki.

Spojrzał w tamtym kierunku i dostrzegł odległe ślady zostawione przez płetwy grzbietowe orek, wyglądające z daleka jak wodne dróżki. Mogły to być oczywiście zwykłe, naturalne orki. Mogły, co nie zmieniało faktu, że zawsze wymagało to sprawdzenia.

– Herzer i Zora, na moje skrzydła – poleciała Joanna, skręcając na południe.

Położył Łydy na skrzydło i ustawił się za Joanną, po czym zaczepił wodze i wyciągnął chorągiewki sygnalizacyjne. Machał w stronę okrętu, aż zobaczył podniesioną na nim chorągiewkę ze swoim numerem, po czym zasygnalizował, że zauważyli na południu orki i polecili to zbadać. Kiedy się obejrzał, zobaczył startującego smoka i następnego wychodzącego na pokład, a jeden ze srebrzaków puścił się rei i również ruszył w stronę zaobserwowanego zjawiska.

– Jak chce pani to rozegrać, komandorze? – zasygnalizował.

– Puścimy je – krzyknęła Joanna. – Te są naturalne.

– Na pewno? – zasygnalizował Herzer.

– Nie – przyznała Joanna. – Ale nie wystraszyły się, gdy nad nimi przeleciałam. Moim zdaniem to normalne, głupie zwierzęta. Zresztą nie... poruszają się jak Przemienieni. Tamci działają w trochę inny sposób. Powiedziałabym, że to nomadzi, stanowią więc zagrożenie dla naszych selkie i delfinów. Ale nie dla floty. Powtarzam: zostawmy je.

– Pani decyzja, komandorze – odkrzyknął Herzer. – Zresztą jesteśmy naprawdę daleko od grupy uderzeniowej.

Nagle Bast przekręciła głowę na bok i wychyliła się, żeby krzyknąć coś smoczycy.

– Jesteś pewna? – odkrzyknęła Joanna, obracając głowę na długiej, węzowej szyi, by spojrzeć na elfkę.

– Nie! – odkrzyknęła Bast. – Podleć bliżej!

– Zostańcie tutaj – poleciała Joanna, patrząc na Herzera, po czym zanurkowała w stronę wody.

Ustawiła się za stadem, następnie przeleciała nad nim szybko, prawie dotykając wody końcami skrzydeł. Przez cały czas poruszała głową na boki, a potem zaczęła mocno machać skrzydłami, wzbijając się w górę. Stado równocześnie gwałtownie skręciło na pomoc i zanurkowało.

– Przemienieni! – ryknęła Joanna. – Myliłam się. Herzer, ty i Zora wracajcie na okręt. Weź innego smoka i przyślij tu z jakiegoś wywerny. Polecę za nimi. Jak tylko znajdziesz się w zasięgu, zasygnalizuj obecność wrogich orek na południe.



– Tak jest, komandorze – zawołał, przyzywając gestem Zorę.

– Czekaj – zawołała Bast. Wstała na grzbiecie Joanny i zaczęła ściągać ubranie. Łuk zostawiła na okręcie, ale zabrała ze sobą szablę. Kiedy skończyła, miała na sobie wyłącznie pendant z szablą. Spojrzała na Herzera, trzymając w ręku pakiet ubrań i zbroi, po czym pokręciła głową.

– Nie złapałbyś tego – krzyknęła, wbijając się palcami stóp w Joannę.

– Oszalałaś? – ryknął Herzer. Stała na palcach na grzbiecie smoka lecącego prawie dwa tysiące metrów nad zimnymi wodami północnego Atlantyku.

– Tak! – wykrzyknęła, gdy Joanna poleciała wyżej i zbliżyła się do smoka Herzera. Bast przeskoczyła zgrabnie na podstawę skrzydła Joanny, a potem wybiła się w powietrze, lądując obiema stopami na grzbiecie Łydy.

Wyvern zareagował na nagłe uderzenie wykręceniem się w bok w próbie zobaczenia, kto biega mu po kręgosłupie, i przez chwilę Herzer musiał ostro walczyć o odzyskanie kontroli. Bast zachowywała się jak kowboj na ideo lub doświadczony żeglarz na rei, idąc wzdłuż smoczego kręgosłupa *etoP<sup>zza</sup>* stopą, aż opadła na plecy Herzera.

– Zaopiekuj się tym dla mnie kochasiu – poprosiła, liżąc go lekko po uchu.

– Jesteś szalona. – Herzer roześmiał się, po czym pociągnął lekko za wodze, wznosząc Łydy nad Joannę.

Bast powtórzyła swoją sztuczkę, przeskakując z powrotem na smoczy-cę. Gdy tylko zajęła miejsce, Joanna zanurkowała w stronę wody.

– Wracamy do bazy – zasignalizował Zorze.

– Pomoc? – zapytała, wskazując w dół.

– Nie – odpowiedział gestami. – Baza.

Wracając na smokowiec z oczami utkwionymi w unoszącym się nad nim srebrzaku, minął patrol lecący na polowanie. Leciało w nim sześć wywer-nów, dwa z jeźdźcami i cztery bez. Naprawdę zrobiło mu się żal orek. Zresztą, mógł się założyć, że Bast z Joanną wykończą stado, zanim dotrze tam spotkany właśnie patrol.

Smokowiec skręcił na pomocny wschód, oddalając się od potencjalnego niebezpieczeństwa i ustawiając się na wiatr. Herzer pozwolił Zorze wylądować pierwszej, obserwując jej kontrolę nad zwierzęciem. Doświadczone wywerny potrafiły lądować prawie same, ale flota nie miała ani doświadczonych wywernów, ani doświadczonych jeźdźców. W związku z tym to jeźdźcy musieli kierować wywernami przy lądowaniu.

Innowacją w stosunku do jego pierwszych kontaktów ze smokowcami był zestaw lin na platformie do lądowania. Chodziło o to, żeby wywerny lądowały między drugą a trzecią linią, w samym środku platformy. Jako kolejną nowość wprowadzono sieć z tyłu platformy. Miał głęboką nadzieję, że nigdy w niej nie wyląduje.

Już po stworzeniu pierwszych smokowców odnaleziono książki, które choć nie stanowiły podręczników lotnictwa morskiego, zawierały opisy wielu technik stosowanych przez starożytnych na lotniskowcach. Większość to były powieści i w dodatku niewiele z nich dobrych, nawet dla osób, które potrafiły odczytać antyczny i barokowy dialekt, jakim posługiwali się ich autorzy. Pojawiało się w nich mnóstwo akronimów, których znaczenie często przepadło w pomroce dziejów: SOL, SNAFU i, bardzo często, FUBAR. Jednak wiele z terminów i opowieści miało wpływ na jeźdźców smoków. Na przykład paski określano mianem „kabli”, co stało się źródłem wielu nieporozumień, a lądowanie między drugą a trzecią linią nazywano mianem „trójlinowego”. Sygnalizowanie gotowości do lądowania

2nazywano „obwołaniem koła”. Rzeczą, której Herzer najbardziej zazdę,-ścił antycznym

lotnikom, była możliwość dalszego lotu po prostej w sytuacji, gdy nie można było poprawnie wylądować. Gdyby on próbował, znalazłby się w sieci. A gdyby nie zawieszono sieci, uderzyłby o maszt, co skończyłoby się jeszcze gorzej.

Przestał o tym myśleć, ustawiając Łydy na kursie i skupiając się na chorągiewkach trzymanyh przez oficera sygnalizacji lądowania. Podszedł całkiem zgrabnie, skorygował na martwą strefę w cieniu żagli i uderzył w deski równo między drugim a trzecim kablem.

– Raport – zażądała kapitan Karcher, gdy tylko sprowadził swojego wywerna na główny pokład.

– Zauważono orki na południu, więc poleciliśmy to zbadać. Jo... komandor Gramlich uznała z początku, że to zwykłe zwierzęta, ale kiedy dzięki sugestii Bast zleciała niżej, by uważniej się im przyjrzeć, zmieniła zdanie. Kiedy ostatni raz ją widziałem, razem z Bast leciały je zaatakować.

– Tylko we dwie? – zapytał poruszony Sassan.

– Tak, majorze – odpowiedział nieco sztywno Herzer. – Widziałem już zarówno komandor Gramlich, jak i Bast w akcji pod wodą. Nie martwię się o nie, raczej o to, czy zostawią coś dla posiłków.

– Takie dobre, co? – zaśmiała się kapitan Karcher.

– Tak, pani kapitan – potwierdził Herzer, podrzucając trzymany w dłoni węzełek. – Bast przeskoczyła z Joanny na Łydy, żeby mi to podać. Potem skoczyła z powrotem. Jest aż taka dobra.

– Co to jest? – zapytał Sassan.

– Jej ubranie – wyjaśnił krótko Herzer. – Nie chciała, żeby zamokło.

\* \* \*

Po uzyskaniu od zbliżających się wywernów sygnału, że orki nie stanowią już zagrożenia, Karcher skierowała grupę uderzeniową na południe, by podjąć Joannę i Bast. Powracający jeźdźcy zameldowali, że po dotarciu na miejsce znaleźli tylko pięć unoszących się na powierzchni trupów orek.

Osłona powietrzna nakierowała ich na powracającego smoka, a kiedy go w końcu zobaczyli, Bast stała na głowie płynącej węzowymi ruchami Joanny. Wywerny pływały, używając do poruszania się skrzydeł, ale Joanna miała długie i dostatecznie szczupłe ciało, by łatwiej jej było wychylać się na boki jak wąż, z praktycznie niewrażliwymi na ciosy skrzydłami osłaniającymi ciało niczym zbroja.

Kiedy smoczyca dotarła do burty okrętu, Bast zeskoczyła z jej głowy i wylądowała na pokładzie. Joanna nieco ją podrzuciła, ale i tak elfka nie powinna móc sięgnąć relingu, nie mówiąc już o wylądowaniu na środku

2okładu. Kiedy zobaczyła Herzera, podbiegła w jego stronę i znów wyskoczyła w powietrze, lądując całkiem naga z nogami owiniętymi wokół jego pasa i chwytając ręką za jego kołnierz.

– Fantastyczna zabawa – oświadczyła z szerokim uśmiechem i kiwając się na boki jak orangutan na gałęzi. – Znajdźmy jeszcze trochę.

Kapitan Karcher spojrzała na nią i wyraźnie miała ochotę o coś zapytać, po czym zamknęła usta, gdy na pokład wspięła się Joanna. Reling rufowy na sterburcie dawało się zdejmować – właśnie w tym celu – i przygotowano też specjalne maty, więc Joanna dostała się na górę bez żadnych incydentów.

– Co się stało, komandorze? – zapytała Karcher.

– No cóż – odpowiedziała Joanna, rozpościerając skrzydła i strzepując z nich wodę najspokojniej, jak potrafiła. – Zaatakowały nas w ten sam sposób co zwykle, a my, wie pani, też jak zwykle je pokonałyśmy. Nieprzyjemna sprawa.

– To wszystko? – zapytał Sassan.

– Mniej więcej – potwierdziła Bast, zeskakując z Herzera i biorąc swoją odzież. – Wellington i cała reszta. Próbowaly walczyć, ale nie mogły wygrać. I próbowaly uciekać, ale nie były dość szybkie. Pod koniec naprawdę zrobiło mi się ich żal, ale przypomnialam sobie, jak zachowywały się na wyspach.

– Moglibyście popłynąć i je zebrać – dodała Joanna. – Jak rzekł kiedyś mądry delfin: „Mięso orki. Dobry smak”.

– Nie... sędzę – zdecydowała kapitan Karcher, potrząsając głową. – Wydaje mi się, że mamy dość mięsa w zamrażarce. Musimy wrócić na kurs. – Po czym odmaszerowała z powrotem na mostek.

– Cóż, ja przynajmniej się najadłam – przyznała Joanna. – Czas na odpoczynek.

– Nie sędzę – zaprotestował Herzer. – Mam dla ciebie dokumenty do podpisu.

– Wiesz, jak trudno mi jest utrzymać pióro! – jęknęła Joanna w drodze przez właz. – Naprawdę nie płacę mi dość za to wszystko.

# ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

– Chyba nie płacą mi dość za to wszystko – wymamrotał pod nosem Talbot.

Okręt przepływał przez coś, co meteorolodzy eufemistycznie określili mianem anomalii. Edmund nazywał to sztormem, a Shar „dobrą żegluga”, co, jak zdał sobie sprawę, stanowiło morski odpowiednik „dobrego treningu”. Niestety, jak zwykle w takich przypadkach budziła się jego choroba morską, trzymana pod kontrolą w zwykłych warunkach.

– Wiadomość od syren, sir – oznajmił marynarz, podając mu dokument. Rozwinął go i zmarszczył brwi.

– Kiedy to dostaliśmy?

– Przed chwilą, sir – wyjaśnił poślaniec.

– Co jest? – zapytał Shar, patrząc na poszarpany horyzont. – Czy to nie dla mnie?

– Dotrze do nas tuba z wiadomością – wyjaśnił Edmund. – Mogę ją odebrać tylko ja lub... ktoś inny. Ja jestem bliżej.

– Musi być gorąca – skomentował Shar. – Skąd?

– Tego nie mogę ci zdradzić – przyznał Edmund. – Wygląda na to, że powinna tu dotrzeć za około godzinę. Będę w tym czasie na dole, modląc się do porcelanowego bożka.

\* \* \*

Słyszając intensywne stukanie do drzwi, Edmund zdołał z wysiłkiem stanąć na nogach i dotrzeć do biurka.

2– Wejść – krzyknął przez trzaski kadłuba. On *na pewno* nie miał wydalać z siebie takich odgłosów, prawda?

– Wiadomość dla pana, sir – oznajmił oficer łącznościowy. – Sir, istnieje fliozliwość, że zainstalowano w niej pułapkę. Czy chce pan, żeby otworzył ją jeden z moich ludzi? Mamy procedury...

– Nie. – Edmund westchnął, obracając w dłoniach cylinder z brązu. – Zaryzykuję.

Gdy oficer wyszedł, odkręcił pokrywę i wysunął schowany w środku papier.

– Wyłącznie do wglądu Edmunda Talbota, Joela Travante i Sheidy Ghor-bani.

– Agent M nawiązał kontakt w haremie Paula Bowmana. Kontakt Megan Travante, córka Joela Travante.

Edmund opuścił na chwilę głowę na biurko i jęknął, po czym przeczytał resztę wiadomości.

– *Tożsamość potwierdzona pozytywnie rozpoznaniem wyglądu i przekazaniem sygnałów rozpoznawczych. Obiektowi podano nazwisko „Travante” na „nowej linii” kosmetyków. Odpowiedziała słowami: „Paul traktuje nas jak ojciec”, „materiał zostanie poddany analizie laboratoryjnej” i „może prowadzić do śledztwa „. Choć same w sobie terminy są neutralne, razem potwierdzają pozytywny kontakt. Na pierwszym spotkaniu nie udało się przeprowadzić żadnej wymiany informacji poza ostrzeżeniem, że Paul posiada źródło wywiadowcze w ZWSna najwyższym poziomie. Cytuję: „Wszelki przekaz informacji w hierarchii korporacyjnej na pewno (podkreślenie kontaktu) dotrze do Paula”. „Pańska nowa linia kosmetyków przepadnie, jeśli zaczniesz pan rozpowiadać, że kontaktuje się pan z przyjaciółkami Paula. „Na podstawie zachowania kontaktu można założyć, że dalsze informacje są podobnego kalibru. Wysokie ryzyko dla obiektu w przypadku przekazania informacji dalej. Wszelka komunikacja może być monitorowana. Przy braku rozkazów nawiążę kontakt z obiektem w tydzień od daty wiadomości.*

M.

Edmund spojrział na datę, popatrzył na kalendarz i znów jęknął. Agent »M«, kimkolwiek był,

niał się skontaktować z „obiektem” następnego dnia.

A on sądził, że to choroba morska jest czymś najgorszym.

\* \* \*

Kiedy do pokoju weszła Shanea, Megan wpatrywała się nieobecny Wzrokiem w desrylator.

2– Czemu wyglądasz na tak nieszczęśliwą?

– Shanea, gdzie Paul trzyma swój Klucz? – zapytała Megan, po zamarła. – Wcale tego nie powiedziałam.

– Nie wierzę, że musiałas o to pytać – roześmiała się dziewczyna. – rzadko schodzisz przy nim w dół.

– Co? – warknęła Megan. – Ja... jaki to ma związek?

– Gdybyś to robiła, wiedziałabyś, głuptasie – wyjaśniła Shanea. – Ma go w kieszonce za jądrami. Coś w rodzaju szczeliny w skórze. Czasem można go wymacać. Jeśli przyłożysz dłoń we właściwym miejscu – dodała, znów się śmiejąc.

– Dzięki, Shanea – rzuciła Megan ponownie nieobecna. – Po prostu dręczyła mnie ciekawość. – Wyciągnęła rękę i podniosła buteleczkę, podając ją dziewczynie bez oglądania się. – Spróbuj tych nowych perfum.

– Dobrze, dzięki! – ucieszyła się Shanea. – Chcesz, żebym tego popił-nowała?

– Nie – zaprzeczyła Megan. – Myślę... myślę, że trochę tu pomieszam.

\* \* \*

– *Gdzie jest?*

Sheida nigdy jeszcze nie widziała zdenerwowanego Joela Travante. I teraz wcale się to jej nie podobało.

– Megan jest uwięziona w haremie Paula Bowmana – powtórzyła Sheida. – Dzięki naprawdę zdumiewającemu przypadkowi twój agent nawiązał z nią kontakt. Za dwa dni zamierza skontaktować się z nią ponownie i spróbuje wydobyć z niej więcej informacji.

– Cholerny szlag – warknął Joel, wyraźnie usiłując zachować spokój. – Boże, *do diabła!* – Bezskutecznie.

– Ona *żyje* – przypomniała brutalnie Sheida. – Skup się na tym. To, przez co przechodzi, kobiety wytrzymywały przez niezliczone pokolenia. I zdołała już przekazać nam wiadomość. Powiedziała, że wszelkie informacje, które nie trafią wprost do ciebie lub do Edmunda zostaną przechwycone. Mamy gdzieś u siebie przeciek na wysokim poziomie.

– *Znam* Megan – warknął Joel. – Nie będzie po prostu rozkładać nóg i się uśmiechać. Spróbuje znaleźć sposób na dobranie się do Bowmana. *Nie* ufam jej jako źródłu, głównie dlatego, że może podjąć ryzyko i się spalić. Czyli zginąć lub zostać Przemieniona!

– Chcesz, żebym spróbowała się skontaktować z twoim agentem? – zapytała Sheida. – Przekazać mu, żeby nie nawiązywał kontaktu i przerwał misję?

Joel popatrzył na jej projekcję i mocno zacisnął powieki.

2Nie – zdecydował po chwili. – Jeśli Paul zdradził, że ma źródło na szczeblu, mówi jej też inne rzeczy. Takie, które musimy poznać.

Nie wydaje mi się – powiedziała Sheida. – To znaczy tak, ma informacje. Ale przekazanie ich na zewnątrz to zupełnie inna sprawa. Wszystkie jej rozmowy muszą być uważnie monitorowane. Nie bardzo wyobrażam sobie, jak mogłaby przekazać cokolwiek w sposób, który nie zostałby wy-layty. W tych warunkach kazałabym chyba agentowi zrezygnować z kontaktu i nie spotykać się więcej z Megan. Przynajmniej do czasu, aż wymyślimy jakiś lepszy sposób komunikacji.

– Martin jest dobry – stwierdził Joel. – To chytry lis, ale sprawny. I mam nad nim kontrolę.

Megan... nie wiem. Nie znam jej już, nie po czterech latach... czegoś takiego. Czy może coś przekazać? Możliwe. Może w jakiś sposób zakodowane. A nie widzę też żadnego sposobu na nakazanie przerwania kontaktu i zachowanie agenta w gotowości operacyjnej. Nie ma żadnych dostatecznie szybkich metod komunikacji. Po prostu za mało czasu.

– Czyli idziemy na to? – zapytała Sheida.

– Na razie musimy – odpowiedział Joel. – *Szlag!*

\* \* \*

Stwierdzenie, że Megan przeżywała wewnętrzny konflikt byłoby niedopowiedzeniem tysiąclecia.

Już dawno temu przeszło jej pragnienie zabicia Paula. Mniej więcej wtedy, kiedy się w nim zakochała. Ale uznała, że jest to jej obowiązek, gdy tylko będzie w stanie to zrobić i uzyskać *pewność*, że zdoła przejąć jego Klucz. Z nim mogła się wydostać, razem z dziewczynami. Dzięki Kluczowi mogła przywołać osobiste pole ochronne i *wreszcie* być *bezpieczna*. Mając Klucz... mogła przeżyć.

Jednak teraz... nawiązała kontakt. Czy nie lepiej zostać na miejscu jako agentka? Czy mogła jednak wysłać stąd jakieś informacje? Po wygadaniu się z pytaniem zadany Shanei miała już pewność, że Paul nie monitoruje haremu. Gdyby działał tu choćby *automatyczny* system monitorowania, wyłapałby to pytanie i w najlepszym wypadku już by ją przepytano. Ale wszelka komunikacja z zewnętrznym światem musiała być skanowana i analizowana, nawet Paul nie mógł być tak głupi. A wiedziała, do czego by to doprowadziło. Do życia w charakterze automatu, jak Amber. Jeśli się jej poszczęści. Lub nie. Kolejny konflikt.

Przyniosła ze sobą dwa dzbany wina i piękny kieliszek, z długą nóżką z jasnoróżowego szkła i uroczym kryształowym kielichem. Jeden z dzbanów w kolorze białym, drugi czerwonym. Życie i próba przekazania informacji?

Czy śmierć i ryzyko? Może się nie udać. Jeśli nie, miała nadzieję, że pani pozwoli jej przynajmniej na szybką śmierć.

Kusiło ją, żeby samej pociągnąć pierwszy łyk.

– Wyglądasz na zmartwioną – zauważył Paul, przesuwając dłonią po jej skromnym stroju.

– Chyba mam za dużo na głowie – wyjaśniła, uśmiechając się. – Kiedy tu przybyłam, harem stanowił bardzo nudne miejsce. Teraz mam wrażenie że dzień ma za mało godzin na zrobienie wszystkiego.

– Może powinnaś się dzielić obowiązkami. – Paul uśmiechnął się do niej. Sama wielokrotnie mu to sugerowała.

– Może powinnam – przyznała, podnosząc kielich i sięgając do dzbanka. Jej ręka zawahała się chwilę, po czym napełniła kielich.

\* \* \*

– Kłopoty, majorze Herrick? – zapytała Some Karcher. Herzer spojrzał na nią, odwrócił się i oparł o reling.

– Takie same jak u reszty załogi. Chętnie dowiedziałbym się, gdzie jesteśmy. Chciałbym wiedzieć, co robimy. I chciałbym wiedzieć, co nas czeka, cokolwiek mamy zrobić.

– Cóż, dzielę z panem przynajmniej ostatnią z tych trosk – przyznała kobieta ze śmiechem. Oparła się łokciami o reling i popatrzyła na ocean.

– Tak naprawdę to nie jest to dla mnie nowa sytuacja – powiedział Herzer. – Książę zawsze taki jest, nigdy nie mówi nikomu niczego, co nie jest absolutnie konieczne. Nie wiem nawet, na jakim modelu historycznym się opiera. A więc nie mam pojęcia, co robi. Jednak wciąż mi się to nie podoba.

\* \* \*

– Nie mam pojęcia, co on robi – odezwał się Chansa. -1 nie podoba roi się to.

– Docierają do nas raporty o atakach na stada orek z całego oceanu – zgłosił jego adiutant, rozstawiając stojak z mapą. – Niektóre zostały zaatakowane przez smoki, a biorąc pod uwagę ich zasięg, prawdopodobnie ze smokowców. Ale to oznaczałoby, że smokowce pływają po całym oceanie.

– Północ? Południe? *Gdzie* są te smokowce? W którą stronę płyną?

– Poza informacjami o atakach nie mamy niczego – odparł adiutant. – Żadna orka nie potrafiła dotrzeć dostatecznie blisko floty ZWS, by coś zobaczyć. Mamy jednak jedną informację o ataku, który nastąpił *na południe* od floty inwazyjnej. Doszło nawet do jednego prawie u brzegów Hiberrii-Jak mówiłem, pojawiają się wszędzie. I mordują orki.

– Słucham? – warknął Chansa.

– Zabili już około sześćdziesiąt procent naszych orek oraz około czterdziestu procent ixhitli. Wygląda na to, że smoki atakują też naturalne orki. Orki są coraz bardziej wystraszone. Jeśli dostrzegą choćby cień lecącego smoioka lub usłyszą zbliżającą się grupę trytonów, uciekają. Nie potrafią z nimi walczyć.

– Próbuje pozbawić nas wzroku – mruknął Chansa. – A co z wiadomościami od agentów we flocie?

– Nie mają pojęcia, co się dzieje – przyznał adiutant. – Nikomu nie mówią, gdzie płyną ani co robią. Nikomu, nawet oficerom. Rozkazy znają tylko kapitanowie smokowców, reszta płynie za nimi.

– Nie podoba mi się to – oświadczył Chansa. – Kiedy Edmund Talbot robi coś, co nie ma sensu, planuje coś subtelnego. Ale co może zrobić? Mamy przewagę liczebną we flocie bojowej, a flota inwazyjna ma dość fregat antysmocznych, żeby odstraszyć ich smoki. Co on u diabła planuje?

\* \* \*

– Co ty u diabła planujesz? – zapytał Shar.

– Nie powiem nawet tobie, Shar – oświadczył Edmund z lekkim uśmiechem.

– Moje siły są rozproszone po całym oceanie. Sami prosimy się o porażkę.

– Nie, jak długo wiemy, gdzie są ich jednostki – zaprzeczył Edmund. – A to wiemy.

– Podobnie jak *oni*. Za każdym razem, gdy zabijamy grupę orek, zdradza im to pozycję smokowca. Czemu *mówisz* im, gdzie jesteście?

– Nawet tobie, Shar – powtórzył Edmund. – Ale mógłbyś nadgonić braki w lekturze.

\* \* \*

– No dobrze, musimy coś z tym zrobić – zdecydował Chansa po dłuższym namyśle. – Nie możemy stracić wszystkich naszych orek. Wydziel... wydziel trzy smokowce z grupy uderzeniowej Czarnobrodego – mówił dalej, pocierając brodę i patrząc na mapę. – Wyślij dużą grupę orek, trzy stada, w stronę miejsca najbardziej na południe wysuniętego ataku. Każ im *znaleźć* smokowiec, znaleźć jeźdźców eskorty i zaprowadzić ich do *naszych* smokowców.

– W ten sposób do ataku na bazę Czarnobrodego zostaną tylko dwa smokowce – zauważył adiutant.

– Tam nie ma praktycznie żadnych smoków – odpowiedział marszałek. – A wiozą więcej niż trzeba Przemienionych, żeby zniszczyć tamtejszą kompanię Panów Krwi. Wyślij rozkazy. Gdzieś tam jest samotny

2smokowiec. Znaleźć go. Zniszczyć. Nauczę go, żeby nie bawił się mną w gierki.

\* \* \*

– Chcesz się ze mną pobawić? – zapytał Herzer starszego podoficera. -, Jestem w tym mistrzem.

Sobotnie poranki stały się tradycyjnym dniem, w którym Herzer przeprowadzał inspekcję. I podobnie jak w przypadku wszystkich tego rodzaju inspekcji, poprzedzała ją inspekcja wstępna robiona przez pierwszego oficera. I wcześniejsze inspekcje w wykonaniu poszczególnych oficerów i podoficerów odpowiadających za poszczególne rejony jednostki.

W przypadku Herzera oznaczało to inspekcję wszystkich obszarów związanych z wyvernami i ich jeźdźcami, tuż po świcie. Sprawdził ubikacje, magazyny żywności, kambuz, kwatery załóg pokładowych, kwatery jeźdźców i biura oficerów. I jasno dawał do zrozumienia, że niezależnie od tego, jak jest wcześniej, lepiej, żeby wszystko czekało w idealnym porządku. W końcu jako Pan Krwi nie mógł akceptować żadnych wymówek.

Większość miejsc wymagała drobnych poprawek. W ubikacji pozostały jakieś ukryte śmieci, których miał nie zauważyć. Zauważył. W kwaterach załogi trzymano nieregulaminowe materiały, które ich zdaniem zostały dość dobrze ukryte. Nie były. Kilku marynarzy najwyraźniej uważało, że poprawnie pościelone łóżko obejmuje brudną, niedbale ułożoną pościel. Zostali odpowiednio pouczeni. To wszystko to niby tylko drobiazgi. Jednak na pewnym poziomie tego rodzaju czepianie się było ważne – jeśli zaniedbywali drobiazgi w rodzaju ścielenia łóżka, mogli sądzić, że mogą sobie odpuścić również w ważniejszych sprawach. Na tym polegał sens inspekcji.

Sens, który najwyraźniej został zagubiony na pokładzie wyvernów.

– Popatrz na to – warknął Herzer, ciągnąc mata do jednej z zagród wyvernów i przepychając zwierzę na bok. W kącie zagrody zebrała się kupka odchodów, na której wyrósł paskudny żółty grzyb. Wyverny generalnie zachowywały się na tyle uprzejmie, by wypróżnić się w powietrzu. Jednak w przypadku dłuższego zamknięcia, na przykład podczas sztormu, stawało się to niemożliwe. A kiedy ulegały chorobie morskiej, na którą zapadały niemal równie często jak ludzie, robiło się bardzo nieprzyjemnie. Z obu stron.

Do sprzątanía bałaganu zainstalowano specjalne pompy i odpływy, o czym Herzer dowiedział się w mało przyjemny sposób podczas swojej poprzedniej podróży. Po tego rodzaju porządkach zawsze trzeba było poprawiać, głównie w trudnodostępnych miejscach. Jednak miały być one czyszczone najszybciej, jak to możliwe.

21 – Sir, trudno dostać się do zagrody, gdy...

– To leży tu *od tygodni* – oświadczył z naciskiem Herzer. – Widać po jym grzybie. I jestem zły *na siebie*, że wcześniej tego nie zauważyłem. A to nie jedyna zagroda.

Wyvern wybrał tę chwilę, by miauknąć i szturchnąć mata w plecy, co piało nie przyprawiło mężczyzny o zawał. – Sir...

– Macie Reibech, ten wyvern niedawno jadł. Nie zje *ciebie*. Pogłaszcz go po głowie, a potem odepchnij jego nos, zostawi cię w spokoju. Jeśli nie, uderz go w nos.

Podoficer pogłaskał stworzenie po głowie, a potem go odepchnął, w zasadzie samemu przepychając się w kąt.

– Słuchaj – westchnął Herzer. – Ten grzyb może się przenieść na skórę smoka w miejscu jej uszkodzenia, na przykład w wyniku walki. A infekcję tego rodzaju jest cholernie trudno powstrzymać. Te zagrody *muszą* być *czyste*. Nie tylko zamiecione – wyczyszczone do drewna. Za każdym razem, gdy jest okazja. A to oznacza wtedy, gdy smoki wylatują. A jeśli wtedy jest to niemożliwe, należy wyprowadzić wyverny *na zewnątrz* i zrobić to. Mogą stać na korytarzu albo na pokładzie.

– Tak jest, sir – odpowiedział żałośnie mat.

– Ma tu być dostatecznie czysto, żeby dało się jeść z podłogi. I to właśnie zrobicie.

– Sir?

– Przez następny tydzień każdy członek pańskiego zespołu będzie jadł posiłki w zagrodach



wyvernów.

– Sir...

– Mówię absolutnie poważnie. Myślę, że da to wam jakieś pojęcie na temat tego, jak ma tu być czysto. Sugerowałbym, żeby zacząć z tym, zanim komandor zobaczy stan zagród. I przydałoby się użyć trochę ługu...

\* \* \*

– Nie jesteś trochę za ostry dla moich ludzi? – zapytała Joanna cicho, gdy marynarze wyprowadzali wyverny na zewnątrz i zaczęli oczyszczać zagrodę.

Oczywiście później pokład należało jeszcze wypiaszkować. Herzer miał głęboką nadzieję, że najpierw wyczyszczą wszystkie zagrody, a dopiero *Potem* zajmą się piaskowaniem, bo nie zostało dość czasu, by zrobić to w innej kolejności.

– Do tego właśnie są zastępcy – zauważył Herzer. – Właściwie, do tego jest pierwszy podoficer. I dlatego właśnie zamierzam sobie z nim później

2jeszcze porozmawiać. Tak bardzo skupiałem się na jeźdźcach, że nie miałem czasu dopilnować, by wszystko działało sprawnie również na pokładzie.

– Co nie do końca jest prawdą – zauważyła Joanna. – Skupiałeś się na jeźdźcach, a powinieneś dopilnować, by wszystko *inne* działało, jak należy. Gdyby oznaczało to, że jeźdźcy muszą trochę poćwiczyć sami, to trudno.

– Zbyt mocno ich kontroluję? – zapytał Herzer.

– Może – przyznała Joanna. – A jak ty myślisz?

Herzer zastanowił się przez chwilę, po czym wzruszył ramionami.

– Dostaję burę za przesadne mikrozarządzanie, prawda?

– Ode mnie? – zdziwiła się Joanna. – Kiedy ja komuś robię burę, wiedzą o tym wszyscy w sąsiedniej flocie.

– Chyba że uważasz, że lepiej zrobić to po cichu – powiedział Herzer. – Dobrze, czyli mam trochę poluzować załozę? Naprawdę chciałbym mocno przycisnąć stronę pokładową.

– Tak, uważam, że to faktycznie wymaga dokręcenia śruby – przyznała Joanna. – Mój weyr zrobił się śmierdzący. Czekałam tylko, kiedy sam to zauważysz.

– Ponieważ to moje zadanie – dodał Herzer. – Przepraszam.

– Po prostu nie pozwól, żeby to się powtórzyło – odparła łagodnie Joanna.

– Dobra w tym jesteś – roześmiał się.

– Synu, masz jakieś pojęcie, ile ja mam lat? – prychnęła Joanna. – Wszyscy zawsze przejmują się tym, jak stara jest twoja dziewczyna. A nikt nie zawraca sobie głowy *zapytaniem*, ile ja mam.

– Ile masz lat? – zapytał Herzer.

– Nie twój interes, synku – burknęła Joanna ze śmiechem. – A jak wyglądamy poza tym, znaczy przed inspekcją?

– Całkiem nieźle. Mamy jeszcze trzy godziny. Do tej pory wszystko powinno lśnić.

– Zrób jeszcze jeden obchód – poleciła Joanna. – Pobaw się w złego zastępcę, a ja się jeszcze zdrzemnę.

\* \* \*

Była sobota i Edmund za nic nie zamierzał spędzać jej na papierkowej robocie. Tak więc po wstaniu i upewnieniu się, iż wszyscy wiedzą, że nie śpi, położył się z powrotem na małą drzemkę.

Którą przerwało pukanie do drzwi.

Zastanowił się nad udawaniem, że siedział przy biurku, jednak zdecydował dać sobie spokój. Przetoczył się na brzeg łóżka i zareagował.

– Wejść.

2– Wiadomość od syren, sir – zameldował aspirant sygnałowy. Zazwyczaj wiadomość przynosił goniec, więc musiało to być coś wyjątkowego.

Edmund przyjął kartkę, spojrzął na nią i kiwnął głową. Potem zajął do kalendarza i zmarszczył brwi.

– Proszę przekazać wiadomość do admirała Shara – polecił, kładąc się z powrotem. – Rozpocząć operację „Front Royal”.

– „Front Royal”? – upewnił się aspirant.

– „Front Royal”.

\* \* \*

– Majorze Heniek – odezwała się Some Karcher, schodząc w dół Broad-wayu. Otworzyła jedną ze smoczyczych zagród i weszła do środka, poklepując obwąchującego ją wywerna po nosie, po czym uważnie sprawdziła kąty.

– Idealnie czysto – pochwaliła, podchodząc do miejsca, gdzie zwinęła się Joanna. – Komandorze.

– Kapitanie – przywitała ją Joanna, pochylając głowę i unosząc pazur w geście, który można było uznać za salut.

Kobieta obeszła smoczykę i obejrzała jej zagrodę, po czym poszeptała chwilę do majora Sassana, który zapisał coś w notatniku.

– Nieźle – rzuciła, wychodząc przez właz rufowy na korytarz. – Ale albo komandor Gramlich przestanie tak bardzo linieć, albo dobierze się pani do swojego pierwszego podoficera.

– Zajmiemy się tym – warknęła Joanna.

\* \* \*

– Wysłać sygnał do wszystkich jednostek floty – rozkazał Shar, wchodząc na pokład. – Natychmiast otworzyć zapieczętowane rozkazy „Stone-wall”. Otworzyć zapieczętowane rozkazy „Front Royal”. Nie otwierać innych. Przesłać potwierdzenie po przeczytaniu pierwszego zestawu.

– Tak jest, sir – potwierdził oficer pokładowy.

– Gdzie jest kapitan?

– Przeprowadza sobotnią inspekcję, sir.

– Jestem pewien, że załoga ucieszy się na wiadomość o jej anulowaniu. Ściągnijcie ją.

\* \* \*

– Kapitanie. – Posłaniec zatrzymał się, próbując odzyskać oddech. Karcher dotarła już do kuchni i poinformowała właśnie oficera mesy, że przynosi hańbę mundurowi, który nosi. – Wiadomość od syren. Otworzyć pakiet „Stonewall”. Otworzyć pakiet „Front Royal”.

– Cóż, pierwszy. – Some Karcher przekrzywiła głowę. – Wygląda na to, że skończyliśmy.

Godzinę później Karcher wróciła na pokład, spojrziała na chorągiewkę na maszcie, po czym sprawdziła kompas.

– Oficer pokładowy – poleciła. – Przygotować się do zwrotu, kierunek sto trzydzieści pięć. Wezwać całą załogę.

– Aye, aye, madam – zawołał porucznik przy akompaniamencie gwizdków bosmańskich.

– Czy mogę zapytać, co się dzieje? – odezwał się major Sassan.

– Może pan zapytać – odpowiedziała ponuro. – Ale to nie znaczy, że znam odpowiedź.

\* \* \*

– Wiesz, co się dzieje? – Destrang zapytał Van Krief, gdy okręt wykręcił na południe.

– Tak – potwierdziła krótko. Od wejścia na pokład nie mieli wiele do roboty, a ona miała aż

nadto czasu na zastanawianie się nad przepiszanymi przez siebie rozkazami.

– To powiedz – poprosił Destrang.

– Nie mogę – odmówiła. – Ale powiem jedno – jeśli coś nam nie wyjdzie, wszyscy mamy przerąbane.

# ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

– Mam przerąbane – pomyślała Rachel.

Podróż z Newfell do Balmoran była jeszcze gorsza niż droga z Raven's Mili, a przecież tamtej nie mogła uznać za piknik. I kiedy jechała już, podskakując na nierównym bruku przez wieczorne ulice Starego Miasta w Balmoran i przyglądała się ludziom chodzącym pośród sklepów i tawern, miała problem z wyobrażeniem sobie czekających ją obowiązków. Zdawała sobie sprawę, że matka przez ostatnie lata zdołała wbić w nią trochę wiedzy medycznej. Właściwie musiała nawet przyznać, że jak na obecne czasy jest dobrym lekarzem. Ale tu czekało ją coś innego, coś co określano mianem „administracji medycznej”. Raporty, które otrzymała po drodze, sugerowały, że w planach bazy uwzględniono tylko małą izbę przyjęć. A biorąc pod uwagę cel powstania bazy, czyli zapewnienie wsparcia, również medycznego, flocie bojowej północnego Atlantyku, to nie miało sensu. Zdawała sobie sprawę, że jej pierwsze zadanie musi obejmować naprawienie tego błędu.

Sięgnęła w dół i pogłaskała Lazura po głowie, a ten przewrócił się na grzbiet na podłodze dyliżansu i zaczął mruzczyć. Domowe lwy były bardzo starą modyfikacją genetyczną, stanowiąc domowe koty o rozmiarach pumy z osobowością bardziej przypominającą psa. Lazurek, dość duży lew domowy z jasnoniebieskimi oczami i białym futrem z pomarańczowymi przebłyskami, towarzyszył jej dłużej, niż sięgała pamięcią. Kocur przyjechał z nimi do bazy w Newfell, a teraz z nią do Balmoran. Zastanawiała się, czy nie kazać mu towarzyszyć Karolowi, ale Lazurek tak żałośnie przyglądał się jej pakowaniu, że zabrała go ze sobą. Teraz się z tego cieszyła – nikogo namiejsu nie znała, a domowy lew był przynajmniej jej przyjacielem.

Kiedy wyjeżdżali z centrum miasta, poza zasięg ulicznych lamp, znów wyjrzała przez okno. Budynki w tym rejonie najwyraźniej pełniły funkcje magazynów i widziała między nimi znacznie mniej ludzi, poruszających się też wyraźnie bardziej dyskretnie niż żywiołowe tłumy w centrum. Położyła dłoń na barku Lazura, gdy z cienia zaczęła wyłaniać się grupa postaci jednak odprężyła się, gdy tamci najwyraźniej uznali, że dyliżans z dobrze uzbrojonym woźnicą i jego pomocnikiem może sprawić więcej kłopotów niż jest wart. Miała głęboką nadzieję, że jej obowiązki nie wymuszą na niej przechodzenia przez tę część miasta.

Dyliżans przejechał przez dąbrowę, tocząc się po zdumiewająco dobrze zrobionej drodze, po czym wyjechał na otwartą przestrzeń. Rachel wyjrzała do przodu i zobaczyła dobrze oświetloną bazę.

Otwarta przestrzeń rozciągała się wzdłuż rzeki na kilka kilometrów. Po tej stronie wznoszono mnóstwo dużych budynków, pracując nawet o tej porze, przy świetle lamp. Dostrzegała chwilami tuziny barek i łodzi przycumowanych do nabrzeży, ale przesłaniały je tuziny już ukończonych budynków. Zapach świeżo ciętych sosen i dębów na chwilę przypomniał jej o Raven's Mili w czasach tuż po Upadku, a baza emanowała takim samym wrażeniem ledwie zorganizowanego chaosu.

Dyliżans pocztowy zatrzymał się przed sporym budynkiem, który ewidentnie poprzedzał aktualną falę budownictwa. W części wzniesiono go z kamienia, częściowo z drewna, w kilku stylach, wyraźnie budowano go przez pokolenia, zaczynając w czasach przedindustrialnych Norau. Przez chwilę zastanawiała się, w jaki sposób udało mu się przetrwać wzrost me-galopolis Boshwash. Jednak niezależnie od wszystkiego wciąż istniał, a kiedy Rachel wysiadła z dyliżansu, z oświetlonego lampami holu wyłonił się wysoki, kanciasty mężczyzna z białymi włosami.

– Doktor Ghorbani? – zapytał, wyciągając rękę. – Jestem Basil Zahar, administrator szpitala.

– Nie musiał pan tu po mnie przychodzić – powiedziała Rachel. – A „doktor” dotyczy mojej mamy. Nie czuję się uprawniona do używania tego tytułu.

– Cóż, pani reputacja panią wyprzedza, panno Ghorbani – stwierdził mężczyzna z lekkim uśmiechem. – I cieszymy się z pani przybycia. Przygotowałem kwatery w mieszkalnym skrzydle szpitala. Pani rzeczy zostaną tam zaniezione – kontynuował, machając przy tym ręką. Z budynku wyszedł szczupły młodzieniec i wyciągnął jej bagaże z powozu. Tę chwilę wybrał Lazur na opuszczenie pojazdu.

– Lazur, mój lew domowy – uspokoiła administratora dziewczyna, widząc w jego oczach przestrach. – Mam nadzieję, że to nie problem?

– Absolutnie – gładko zapewnił Zahar. – Niewiele się ich widuje, a brak Uli ich.

– Mam Lazura od dziecka – dodała Rachel, gdy mężczyzna prowadził ją ulicą. – Przyzwyczaił się wszędzie ze mną podróżować. Mam nadzieję, że nie przysporzy problemów z innymi pracownikami.

– Zapewniam, personel będzie tak uszczęśliwiony, mając kogoś, kto wie, co robi, że nie sądzę, by komukolwiek przeszkadzało, nawet gdyby zjawiała się pani z oswojonym orkiem na łańcuchu – przyznał ponuro Zahar.

Rachel mogła się zastanawiać nad tym stwierdzeniem przez resztę drogi do szpitala.

Główna ulica bazy została świeżo wysypana żwirem, ale już porobiły się w niej kałuże i błoto. Z boku wzniesiono drewniany chodnik, jednak przerywały go liczne przecznice, a cała trójka musiała po drodze do szpitala unikać wozów i dziur w nawierzchni. Kiedy już dotarli na miejsce, Rachel zdawała sobie sprawę z tego, jak dzięki kałużom i rozpryskującym brudną wodę wozom musi wyglądać. Budynek, przy którym wciąż jeszcze trwały prace, postawiono na niewielkim wzniesieniu w pewnej odległości od rzeki i otaczających bazę bagien. Transport do niego mógł wiązać się z pewnymi problemami, ale przynajmniej unikano w ten sposób problemu niezdrowego powietrza i owadów, których pełno było na niżej położonych terenach. Szpital składał się z dwupiętrowej centralnej budowli, którą prawie już ukończono, oraz kilku skrzydeł połączonych osłoniętymi przejściami. Niektóre z budynków miały dachy, inne jeszcze nie. Działo się tu też znacznie mniej niż w głównej bazie, nie mówiąc nawet o liczbie robotników.

Zaprowadzono ją do głównych drzwi dwupiętrowego budynku i młoda lekarka pokiwała głową z aprobatą na widok tego, co zobaczyła. Podłogę wyłożono kafelkami, które łatwiej dawało się utrzymać w czystości od drewna, a ściany otynkowano.

– Mam nadzieję, że sale operacyjne są równie dobrze przygotowane – Zauważyła, wskazując na ściany.

– Owszem, te, które są już gotowe – potwierdził Zahar, wzdychając. – Mamy w tej chwili tylko dwie oraz izbę przyjęć. Doszedłem do pewnych wniosków w sprawie tego, jak działa tutejsze zaopatrzenie, ale możemy przedyskutować to, gdy trochę pani odpocznie.

– Niby czemu? – zapytała. – Wszyscy inni pracują dzień i noc.

– Nie wolno nam pracować dłużej niż dwanaście godzin jednorazowo – poinformował Zahar. – Z rozkazu dowódcy bazy. Przy dłuższych dyżurach zdarzało się zbyt wiele wypadków.

– Zobaczmy – powiedziała Rachel. – Przepraszam – obróciła się do młodzieńca niosącego jej bagaż. – Nie usłyszałam twojego imienia.

– Keith, proszę pani – przedstawił się chłopak z ukłonem.

– Keith, czy mógłbyś to zanieść do mojego pokoju, a ja porozmawiam z panem administratorem?

– Oczywiście, proszę pani – odparł chłopak i ruszył korytarzem.

– O ile można? – zapytała.

– Oczywiście. – Zahar uśmiechnął się. – Chce pani zobaczyć swoje biuro?

Pomieszczenie okazało się równie dobre jak to, w którym pracowała w Raven's Mili: otynkowane ściany, dywan na podłodze, ładne, pachnące nowością biurko i nawet obrazy na ścianach.

– Bardzo ładne – pochwaliła, siadając na krześle. – Ale tylko dwie sale operacyjne?

– Ja też dopiero co tu dotarłem – poinformował ją przepaszająco Zahar. – Lokalne zaopatrzenie działa w ten sposób, że tworzą rozbudowane plany, na których sfinansowanie nie mają szans. Na przykład ten budynek – jest w całości przeznaczony dla administracji.

– 1 jest gotowy? – zapytała Rachel.

– Prawie. Ale nie mieli pełnego budżetu, więc postawili najpierw to, a teraz proszą o dodatkowe pieniądze na zbudowanie *reszty* szpitala, tej funkcjonalnej, jeśli mnie pani rozumie.

– Szlag.

– Mamy dwie działające sale operacyjne i pracujemy, poza budżetem, nad jeszcze jedną. Mamy też gotowe dwa oddziały dla pacjentów. Dysponujemy *sprzętem* dla trzech, kilku izolatek, trzech kolejnych sal operacyjnych itd. I, Bogu dzięki, mamy pełny zapas leków – jest tu dość morfiny, by zabić kilka słoni, bandaży dla legionu i tak dalej. Ale brak pieniędzy na budowę.

– Prawdopodobnie zdołają przepchnąć zgodę na dodatkowe finansowanie – westchnęła Rachel.

– Ale, do diaska, powinniśmy mieć najpierw istotną: infrastrukturę!

– Zgadam się, ale kiedy tu dotarłem, nic już nie mogłem z tym zrobić.

– Cóż, możemy za to w ostateczności przerobić niektóre biura na sale dla pacjentów – uznała po namyśle dziewczyna. – Jak wygląda sytuacja z personelem?

2– To też jest problem – przyznał Zahar. – Nie mamy *żadnych* przeszkolonych lekarzy, pani jest jedyna.

– Co? – wykrzyknęła Rachel. – Nie obsłużę szpitala tej wielkości!

– *Nie ma* za wielu przeszkolonych lekarzy. W okolicę przemieszcza się drugi legion, oni mają dwóch. Mamy też sporo... cóż, można ich określić mianem częściowo przeszkolonego personelu pomocniczego. Parę kobiet podających się za pielęgniarki, dwóch twierdzących, że są asystentami lekarzy, takie typy.

– A co z pacjentami?

– Na razie jest dziesięciu, wszyscy z wypadków przy budowie – wyjaśnił administrator. – Tylko jeden przypadek jest bardzo poważny, na chłopaka spadł stos drewnianych belek. Nie wydaje mi się, żeby miał przeżyć, ma bardzo poważne uszkodzenia wewnętrzne.

– Cóż. – Rachel potarła twarz dłonią. – Niech mnie pan zaprowadzi do dyżurnej pielęgniarki i zrobimy obchód.

– Teraz? – zapytał Zahar.

– Teraz – potwierdziła. – Wezmę fartuch, żeby osłonić to błoto. Choć mam nadzieję, że nie trzeba będzie ich od razu operować, za bardzo trzęsą mi się ręce. W tej chwili raczej zabiłabym, niż wyleczyła kogokolwiek.

# ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Megan podniosła kielich i przechyliła głowę Paula do tyłu, gdy mężczyzna pochylił się do picia.

– Nie, nie – zaprotestowała. – Pozwól, że ja to zrobię. Paul uśmiechnął się i odchylił głowę, otwierając usta.

– Paul? – Tak?

– Kocham cię – powiedziała żałośnie i nalała mu kwasu do gardła.

Ból był potworny i połowa płynu wytrysnęła z powrotem, gdy przetoczył się na bok. Spodziewała się tego jednak i na jej ramię spadło tylko parę kropli. Kopnęła go w ramię i przewróciła na twarz, podczas gdy on chwycił się za gwałtownie rozpuszczające się gardło. Kwas przepalił się przez jego policzki i widziała prześwitujące przez nie kości, gdy trzymała go na brzuchu i sięgała po dzbanek z czerwonym winem. Dwa ciosy w kark wystarczyły do przerwania jego rdzenia kręgowego, ale nie przestała uderzać do chwili, aż całkowicie rozbiła mu tył czaszki, rozpryskując krew, po czym wlała do wnętrza resztę kwasu, który na szczęście nie rozlał się z dzbana. Odczekała, aż całkowicie wypalił jego mózg. Kiedy miała już pewność, że mężczyzna jest całkiem martwy, zaczęła grzebać w jego nagim kroczu, aż udało się jej wyciągnąć Klucz ukryty w kieszonce tuż pod moszną.

Trzymała go w dłoni i dyszała, zapominając na chwilę o bólu w poparzonym ramieniu. Oto chwila prawdy. Jeśli się nie uda, może równie dobrze wypić resztę kwasu. Właściwie, czekał na nią w laboratorium flakonik stężonej trucizny. Odetchnęła głęboko i uniosła Klucz w górę.

– Matko?

– Tak? – zabrzmiał głos z powietrza.

Poczuła, jak rozkwitają w niej możliwości, które uważała za stracone na zawsze. Ból w ramieniu znikł, gdy obudziły się jej nanity i zaczęły leczyć oparzenia, a w jej umyśle otworzyło się połączenie z Siecią.

– Czyli Paul umarł? – zapytała Megan, trzęsąc się.

– Paul Bowman niewątpliwie nie żyje – zapewniła Matka ze śladem satysfakcji w głosie.

– A ja trzymam jego Klucz – powiedziała dziewczyna. – Czy to znaczy, że przejęłam jego władzę?

– Od tej chwili jesteś nową posiadaczką Klucza numer dziewięć – potwierdziła Matka. – Jednakże moc, jaką możesz dysponować, jest ograniczona. – W prawym dolnym rogu pola widzenia Megan pojawił się zielony słupek. Nie sięgał maksimum skali. – Wykres reprezentuje aktualną energię dostępną niesprzymierzonemu posiadaczowi Klucza. Stanowi to absolutne minimum przekazu zakodowane na sztywno w protokołach.

– Muszę wyteleportować stąd wszystkie dziewczęta – oświadczyła Megan. – I znaleźć te, które zamknięto na czas ciąży.

W jej polu widzenia pojawiła się mapa. Najwyraźniej przedstawiała najbliższe pomieszczenia zamku. Gdy Megan się na niej skupiła, mapa zwiększyła dokładność, tak że mogła zobaczyć miejsce wokół siebie. Odsunęła ją z powrotem w taki sposób, by pojawiła się na niej lokalizacja jej samej oraz pozostałych kobiet. Niebieskie kropki pojawiły się w haremie, a kilka niedaleko niego. Na mapie dostrzegła też mnóstwo zielonych i czerwonych plamek.

– Przemienieni pozostający pod faktyczną kontrolą Celinę Reinshafen oznaczeni są na czerwono – wyjaśniła Matka. – Strażnicy Paula, którzy przenieśli posłuszeństwo na ciebie, jako nową posiadaczkę Klucza, zaznaczeni są na zielono. Kobiety związane z haremem na niebiesko. Nie masz dość dostępnej energii na wielokrotną teleportację ludzi. Możesz jednak otworzyć portal.

– Najpierw muszę wyciągnąć dziewczyny – oświadczyła Megan, słysząc krzyki w haremie. – Co się tam dzieje?

– Pewne programy Paula Bowmana zaprojektowano tak, by przestały działać w chwili jego śmierci – poinformowała Matka. – Włącznie z blokiem umysłowym na Meredith Tillou. Nie jest zbyt zadowolona z ostatnich Wydarzeń.

– O cholera.

Amber powaliła Christel na podłogę i zaciskała palce na jej gardle. Shanea i Mirta próbowały je rozdzielić, podczas gdy reszta albo przyglądała się w przerażeniu, albo walczyła między sobą.

– Przestańcie! – ryknęła Megan, podchodząc i odginając różowy palec Amber. – Złamię go, Amber, przysięgam.

– Wiesz, co zrobiła ta suka? – wysyczała Amber z bólem, nie przestając dusić Christel. Twarz zarządczyni haremu zaczynała sinieć.

– Tak – potwierdziła Megan. – i wiem, co zrobił Paul. A jeśli mnie zmusisz, zrobię to samo. Puść ją.

Amber puściła kobietę i przykucnęła. Christel głęboko, charkotliwie wciągnęła powietrze i przetoczyła się na bok.

– Ashly! Tory! Przestańcie! – krzyknęła Megan, podchodząc do dwóch bijących się kobiet i kopiąc je tak długo, aż się rozdzieliły. – Nie mamy czasu na takie bzdury.

– Co się stało? – zapytała Christel, patrząc to na Megan, to na trzymany przez nią Klucz.

– Paul nie żyje – oświadczyła Megan, wsuwając Klucz do majtek swojego bikini. – I wynosimy się stąd. Jak tylko dostanę się do dziewcząt trzymany w zamknięciu.

Mirta dostrzegła spojrzenie Christel i wsunęła się między kobiety.

– Nawet bez energii w każdej chwili mogłaby cię skopać – zauważyła Mirta, pochylając się. – Zresztą ja też.

– *Zabiłaś go?* – zapytała Christel. – Wiesz, co to znaczy?

– To znaczy, że jestem wolna – oświadczyła Megan. – I każdy kto chce, może iść ze mną. Choć nie zamierzam was do tego zmuszać. Planuję ściągnąć pozostałe dziewczyny, a potem otworzyć portal. Albo przez niego przejdziecie, albo nie. Macie do namysłu czas do mojego powrotu. – Rozejrzała się wokół, po czym wskazała. – Shanea, Amber, chodźcie ze mną-Mirta, ty tu dowodzisz. Po wyjściu zabezpieczę wszystkie drzwi, ale będziesz tu musiała zaprowadzić jakiś porządek.

– Zrobi się.

– Chodźcie – zwróciła się Megan do pozostałej dwójki, ruszając w stronę drzwi. – Matko, zwolnij wszystkie blokady dla mnie i tej dwójki. Wznies bariery na wszystkie wejścia, uniemożliwiając wejście lub wyjście. Otocz nas polem ochronnym. Pełna moc tylko w razie potrzeby. – Zobaczyła lekkie przesunięcie słupka energii w chwili tworzenia tarcz. Szlag, energii faktycznie miała *mało*.

Drzwi otworzyły się pod jej dłonią i wyszła na korytarz na zewnątrz. Po obu stronach wejścia stali „specjalni” strażnicy Paula. Mieli na sobie pełne zbroje płytowe z hełmami, więc nie miała pojęcia, jak wyglądają. Zresztą, wcale jej to nie obchodziło.

– Wasza lojalność została przeniesiona na mnie – oznajmiła.

– Tak, pani – potwierdzili strażnicy.

– Idziemy przyprowadzić pozostałe dziewczyny – poleciła. – Wy prowadźcie. Możecie wezwać pozostałych strażników?

– Tak, pani – powtórzył ten po lewej.

– Zrób to – poleciła i wskazała na korytarz. – Idziemy.



Strażnicy ruszyli szerokim korytarzem, uderzając po drodze w tarcze.

– Macie nas ochraniać – poleciła po chwili Megan. – Matko, ile energii potrzeba na zablokowanie wszystkich tych bocznych korytarzy?

– To zależy od tego, czy będą atakowane – odpowiedziała Matka.

– Zablokuj największe grupy Przemienionych – poleciła, gdy w korytarzu pojawił się Przemieniony wojownik. Na widok dziewcząt zawył i ruszył na nie. Nie wiedziała, czy ork zamierzał je schwytać czy zgwałcić, ale właściwie nie miało to znaczenia. Strażnicy natychmiast go zaatakowali, a dziewczyny usunęły się na bok. Po chwili w korytarzu pojawiło się jeszcze trzech ochroniarzy.

– Zostańcie tutaj – poleciła Megan, gdy dotarli do wejścia do pomieszczeń dla kobiet w ciąży. – Pilnujcie korytarza. Zabierzemy stąd dziewczyny, a potem wrócimy do haremu. W miarę zbierania się kolejnych strażników, niech zapewnią nam powrót do haremu.

– Tak, pani – potwierdził jeden ze strażników.

Otworzyła drzwi i weszła w długi korytarz. Na jego końcu mieścił się spory pokój, w którym szyjąc, siedziały dwie kobiety, obie w ciąży. Z oddali dobiegał płacz dziecka.

– Megan? – odezwała się Velva, podnosząc głowę. – Czy i na ciebie przyszła kolej utknąć w tej dziurze? – Potem zauważyła dwie pozostałe kobiety i zmarszczyła brwi.

– Nie, Velva – zaprzeczyła Megan, przelękając ślinę, gdy od korytarza dobiegły odgłosy walki. – Paul nie żyje. Musimy stąd uciec.

– Co? – zapytała Velva w szoku. – CO?

– Musimy *uciekać*, Velva. Wszystkie. Zbierz dziewczyny. I dzieci. Już!

Zerknęła na poziom energii i zbladła.

– Matko, na co schodzi ta energia?

– Przemienieni próbują przełamać postawione przeze mnie bariery – wyjaśniła Matka. – Ustawiałam je w taki sposób, żeby po prostu blokować główne korytarze, ale oni rzucają się na nie.

– Shanea! Amber! – krzyknęła Megan. – Szybciej!

Z pokoi wzdłuż korytarza zaczęły wychodzić kobiety, niektóre z dziećmi. Większość ubrała się znacznie grubiej niż dziewczęta z haremu, ale kilka, które już urodziły, próbowało wpasować się w swoje kostiumy. Dostrzegła też wyraźne oznaki konfliktu.

– Dobra, sytuacja wygląda tak – oznajmiła Megan. – Nie zamierzam tego powtarzać i nie będę odpowiadać na pytania. Paul nie żyje. Mam jego Klucz. Zamierzam przetransportować nas w bezpieczne miejsce. Wszystkie, które chcą iść ze mną, proszę bardzo. Te, które tu zostaną, zdadzą się na łaskę Przemienionych.

Po tych słowach odwróciła się i ruszyła w stronę bitwy przy wejściu.

Na korytarzu rozgrywały się dantejskie sceny, ale strażnicy wyraźnie powstrzymywali napierających na harem Przemienionych. Megan przez chwilę pomyślała, że więcej sensu miało przyprowadzenie kobiet z haremu do ciężarnych, zamiast na odwrót, ale na to było już za późno.

Przy wejściu do haremu walczyła kolejna grupa strażników, ale choć napierali na nich Przemienieni, blokowali sobą drzwi. Megan spojrzała na zebrane za sobą kobiety, potem na drzwi i walkę na obu końcach korytarza. Podłoga przy drzwiach zrobiła się śliska od krwi padłych już strażników, a łomot i brzęk zderzających się mieczy i tarcz przeszkadzał jej skupić. Po chwili zamachała do kobiet.

– Zbierzcie się pod ścianą! – krzyknęła. – Shanea, Amber, zbierzcie je pod ścianą. – Spojrzała znów na strażników walczących pod drugimi drzwiami i wybrała sześciu, którzy nie stali w pierwszej linii. Na wysłane myślą polecenie odwrócili się zaszarżowali korytarzem, uderzając w

walczących przy drzwiach i na chwilę oczyszczając wejście.

– Ruszać! – krzyknęła, wybiegając przez drzwi i robiąc przejście dla ciężarnych kobiet. – Matko, zwolnij blokady dla tych dziewczyn! – krzyknęła nagle. Sytuacja nie rozwijała się wcale tak, jak planowała.

– Już zrobione – zapewniła ją Matka. – W tego rodzaju drobnych sprawach mam swobodę przewidywania.

– Dziękuję – wy dyszała Megan, gdy Przemienieni uderzyli w jej pole ochronne i odbili się od niego.

– Wszystkie przeszły – krzyknęła Amber, klepiąc ją w ramię.

– Świetnie. – Megan przesunęła się przez drzwi do haremu, po czym zamknęła je za sobą. – Matko, zwolnij blokady nie dotyczące bezpośredni z haremu. Zapięczętuj wszystkie wejścia do haremu – nikt nie wchodzi, nikt nie wychodzi. Zwolnij geas lojalności na strażnikach. Otwórz portal do domu Sheidy Ghorbani.

– Zrobiłam wszystko, oprócz ostatniego – odpowiedziała Matka. – Na całe Norau założona jest blokada teleportacji. Biorąc pod uwagę możliwe sposoby jej obejścia, jest dość ostateczna. Nic nie może tam wylądować. Zdecydowanie żadnych teleportów z Ropazji do Norau.

– Szlag! – warknęła Megan. – Potrzeba mi jakiegoś *bezpiecznego* miejsca do teleportacji!

– Bezpieczeństwo to pojęcie względne – zauważyła Matka. – Potrzeba ci miejsca, które nie ma bloku teleportacyjnego i nie jest okupowane przez siły Nowego Przeznaczenia. Finn głosował po stronie Nowego Przeznaczenia w drobnych sprawach w zamian za wiążący zakaz użycia energii przeciwko jego siłom, które nie są bezpośrednio związane z Koalicją Wolności. Jednak klan McClure w Gaelii jest w *kontakcie* z Koalicją i prawdopodobnie zapewniłby wam ochronę.

– Czy to właśnie sugerujesz? – zapytała Megan. – Tak.

– W takim razie otwórz portal do ich domu – poleciała Megan.

– Właściwie to zamku – poprawiła Matka, a w drzwiach do biura Christel pojawiło się falujące, srebrzyste lustro.

– Dobra, sytuacja wygląda tak – oznajmiła Megan, rozglądając się po kobietach. – Paul zginął. Po tym nikt się wami nie zaopiekuje. Jeśli się wam poszczęści, zostanieie tylko Przemienione. Jeśli nie, traficie do Reyesa. W obu sytuacjach najpierw padną ostre pytania dotyczące tego, co się tu działo.

– Nie mogę uwierzyć, że go *zabiłaś* – odezwała się Christel. – Czemu?

– Ponieważ nie lubię być niewolnicą – wyjaśniła Megan. – Nie zamierzam o tym dyskutować. Stało się. I wychodzimy stąd. Ktokolwiek chce uciec, tu są drzwi – dodała, wskazując na portal. – Jeśli któraś woli czekać na to, co Chansa i Celinę uznają za „łaskę”, może zostać. – Rozejrzała się po dziewczynach, z których żadna się nie poruszyła. Jedno z dzieci zaczęło płakać.

– Och, do diaska – warknęła. – Muszę być *ostatnia*. Kto idzie?

– Ja – zgłosiła się Amber. – Wszystko jest lepsze od takiego życia. – Zbliżyła się do srebrnych drzwi i przeszła przez nie.

To wywołało poruszenie, gdy prawie wszystkie kobiety ruszyły w stronę portalu. Christel jednak pozostała na miejscu.

– Christel – powiedziała Megan, patrząc na poziom energii. Spadł do poziomu żółtego i opadał w rytm grzmotów wskazujących, że Przemienieni

2próbują sforsować blokady drzwi. – Kiedy tu wejdą, nie będą ci zadawać wielu pytań.

– Zostaję – oświadczyła Christel, potrząsając głową. Trzęsa się zresztą cała.

Megan popatrzyła na nią zimno, po czym kiwnęła głową.

– Dobrze – odrzekła, podchodząc do portalu. – Powodzenia.

\* \* \*

Jock McClure potrząsnął głową, gdy Steffan, stanowiący dla niego kogoś w rodzaju bratanka, rzucił wołową kością w młodego Jocka. Tamten zareagował natychmiast, wspinając się na dębowy stół i atakując Steffa-na, po czym obaj sturlali się na podłogę, wpadając między szczekające psy.

– Nie znoszę zimy – wymamrotał, szczelniej owijając się futrzaną peleryną i podnosząc kubek grzanego miodu. Długiej, wielkiej sali zamku nie dało się ogrzać i choć siedział blisko kominka, wciąż *marzł*.

– Młodzież zaczyna się nudzić – skomentował Armand Byrne, kiwając głową w stronę walczących.

Przed Upadkiem Armand był przyjacielem Jocka i zaangażowanym re-kreacjonistą. Kiedy mężczyźnie udało się zdobyć pozycję lairda McClure, przyjął funkcję jego seneszała. Po Upadku urzeczywistnili swoje role, doprowadzając do zawarcia sojuszu mieszkańców okolicy, który od dwóch lat zdołał opierać się siłom Nowego Przeznaczenia, i to praktycznie bez żadnej pomocy. A zima wcale nie dawała im wytchnienia – zaopatrywane z baz w Ropazji siły Nowego Przeznaczenia atakowały przez okrągły rok.

– Ta potrwa jeszcze długo. Wszyscy zaczynają już mieć dość.

– Starym kościom też się to nie podoba – zgodził się McClure, duży mężczyzna, lekko przykurczony przez wiek, z długimi białymi włosami związanymi złotym sznurem. Jednak jego niebieskie oczy, którymi przyglądał się walczącym na podłodze młodzikom, wciąż emanowały jasnym blaskiem. – **ŻADNYCH NOŻY!** – ryknął, gdy młody Jock sięgnął do pasa.

– Godfrey, rozdziel ich, zanim ten kretyn, mój syn, jeszcze bardziej się ośmieszy.

Godfrey, który był największym człowiekiem w sali, wyciągnął nóż zza pasa chłopca, po czym podniósł obu i zaczął uderzać o siebie, aż przestali się szarpać.

– Żadnych noży – powtórzył McClure. Nie bez powodu wszystkie miecze ustawiono pod ścianą – gdy walczący zbyt się zapamiętali, używali wszystkiego, co mieli pod ręką. Wolałby przechowywać broń w zbrojowni, ale nawet w Dun McClure istniało ryzyko ataku.

Na przykład, gdyby Nowe Przeznaczenie otworzyło portal, taki jak ten, który formował się właśnie w drzwiach do kuchni.

– **ATAK!** – ryknął Byrne, wstając tak szybko, że jego ciężkie krzesło poleciało do tyłu. Po dwóch sekundach miał już miecz w dłoni. Jednak i tak poruszał się wolno w porównaniu ze starym Jockiem, który pokonał już pół drogi do bramy, unosząc do ciosu potężny bojowy topór.

Przez dłuższą chwilę nic się nie działo, dając wojownikom czas na uzbrojenie się i ustawienie przed pofalowanym srebrnym lustrem. Potem jego powierzchnia uległa zniekształceniu i...

Do pokoju wkroczyła wysoka i bardzo piękna brunetka odziana w pełną suknię zrobioną niemal w całości z przezroczystego jedwabiu, natychmiast obejmując się ramionami.

– Tu jest *lodowato*! – wykrzyknęła, rozglądając się po wyciągniętych mieczach. – Naprawdę nie sądzę, żebyście ich potrzebowali – dodała, ustępując z drogi następnej kobiecie.

I kolejnej, i następnej. I jeszcze jednej. A wszystkie prawie gołe.

– Syrdecznie witamy – odezwał się młody Jock do brunetki, opuszczając miecz tak, że jego czubek dotknął ziemi. – Myślę, że moglibyśmy się zaprzyjaźnić.

– Nie ma mowy, jeśli nie nauczysz się najpierw korzystać z *łaźni* – rzuciła ostro kobieta.

– Co się tu do diabła dzieje? – zapytał kompletnie zmieszany laird Jock McClure, gdy z portalu wyłoniła się kolejna kobieta, tym razem z malutkim dzieckiem na rękach.

– Nagle dał się słyszeć gwałtowny wdech, zaraz po nim krzyk i w sali pojawiła się drobna

dziewczyna, uderzając w Hughę Telforda, który zdążył objąć niedużą blondynkę. Po sekundzie Telford leżał na ziemi, krztusząc się od prawie niewidocznego ciosu.

– Naprawdę nie chcecie tego robić – oznajmiła brunetka, gdy na drobną kobietę ruszyło dwóch mężczyzn. Kopnęła jednego z nich w kolano, i trafiony wywrócił się z jękiem, ale Godfrey chwycił ją z tyłu i zablokował próbę pozbawienia go męskości. – Naprawdę nie chcecie tego robić!

– Chcę wiedzieć, *co* się tu u diabła *dzieje* – krzyknął Jock, gdy srebrne lustro zafalowało po raz ostatni i znikło, zostawiając po sobie dobrze wyglądającą brunetkę średniego wzrostu, ubraną wyłącznie w bikini, stojącą w drzwiach do kuchni.

– Ja się *dzieje* – oświadczyła dziewczyna, wyciągając rękę i wysyłając strumień energii, który rzucił Godfreya na ścianę. – Nazywam się Megan Travante. Jestem posiadaczką Klucza. Właśnie zabiłam Paula Bosmana i przejęłam jego Klucz. A następny mężczyzna, który w mojej obecności położy rękę na którejkolwiek z tych kobiet, zostanie wysłany do bardzo specjalnego i prywatnego piekła.

\* \* \*

Wezwano mieszkające na zamku kobiety i dziewczęta wraz z dziećmi zaprowadzono do cieplejszych pomieszczeń. Następnie Megan i Jock McClure przeszli do jego biura, znacznie mniejszego pokoju na górnym piętrze twierdzy. Rozdmuchał ogień, a ona owinęła się futrzaną peleryną.

– Matka poinformowała mnie, że jesteście w kontakcie z Koalicją Wolności – odezwała się Megan.

– Owszem – potwierdził Jock, rozdmuchując ogień i wzbudzając snopy iskier.

– Muszę się z nimi skontaktować i wyciągnąć nas stąd – oświadczyła Megan.

– Owszem – powtórzył Jock.

– To wszystko, co zamierzasz powiedzieć? – zapytała Megan.

– Jestem w lekkim szoku – przyznał McClure. – Spodziewaliśmy się, że przez portal przejdą jakieś ich Przemienione potwory, a nie stado odalisek.

– Oda-czego? – zaśmiała się Megan.

– Odalisek – powtórzył McClure. – Kobiet z haremu. Czyli Paul miał harem?

– Uważał to za grupę rozrodową – ostro rzuciła Megan.

– I oczywiście musiał je pokrywać naturalnie – stwierdził McClure, siadając naprzeciw niej. – Przygrzeję ci trochę miodu, jeśli chcesz.

– Wolałabym herbatę.

– Cóż, tego, niestety, nie mamy – westchnął starszy mężczyzna. – Ani ubrań dla was, skoro o tym mowa. Może uda się nam zebrać parę koców, ale nie mamy mechanicznych tkalni, jak ZWS, zbyt ciężko walczymy, żeby się utrzymać. Czy ty możesz je przywołać?

– Nie chcę używać energii – przyznała Megan. – Lairdzie McClure...

– Mów mi Jock – wtrącił McClure. – Ludzie mówią do mnie laird tylko wtedy, gdy chcą mi wypowiedzieć wojnę.

– A więc Jock – powtórzyła z uśmiechem. – Nie będziemy cię obciążać ani chwili dłużej, niż to konieczne. Skontaktuję się ze Sheidą i spróbuj? nakłonić ją, żeby pozwoliła mi nas przeteleportować. Nie zostaniemy tu długo.

– Och, to może potrwać dłużej, niż myślisz – mruknął starszy mężczyzna. – Solidnie nas blokują, muszą. Nie jestem pewien, czy Sheida opuści osłony nawet dla ciebie.

My... *ja* nie mogę tu zostać zbyt długo. Pozostali przywódcy Nowego Przeznaczenia rozpoczną polowanie na mnie. Jeśli rzucą na ciebie wszystkie swoje siły...

– Phi, już wcześniej bardzo się starali. – Laird wzruszył ramionami. – Wysyłają swoje oddziały na wyżyny, a my ich wybijamy. Albo lądują na brzegu, i ich zabijamy. Albo wślizgują się do wąwozu i ustawiają portal. A my ich zabijamy.

– Nie zdołasz po prostu *ich* zabić, wszystkich – zaprotestowała.

– Nie – przyznał Jock, kiwając głową. – *Miałem* trzech synów. Teraz został tylko jeden. Nie mówiłem, że to łatwe. Tyle tylko, że to robimy.

– Gdyby Chansa miał pełne poparcie Rady, mógłby pokonać was w każdej chwili – zauważyła Megan. – Jeśli dowiedzą się, że tu jestem, przyjdą po was. Zdecydowanie.

– Nie będzie to proste, skoro wysłali większość wojska na morze – zauważył Jock. – Oczywiście, sami jesteśmy na wybrzeżu. Ale jakoś nie widzę, żeby mieli zawrócić flotę, gdy wyruszyła już do Norau. I z tego, co słyszę, całkiem nieźle sobie radzi.

– Sporo słyszysz.

– Mam duże uszy – roześmiał się McClure. – Ale przyznaję, że nie słyszałem o tym haremie. Jest tu jeszcze jedna dziewczyna, która czeka na transport, mają się z nią spotkać twoi przyjaciele. Więziono ją w burdelu. Dostarczyła jakąś ważną wiadomość. Odebrały ją od niej selkie i kazały zgłosić się tutaj. Jeśli sytuacja nie przestanie się rozwijać w tym kierunku, zastanowię się nad skłonieniem Finna do renegocjacji umowy.

– Co twoim zdaniem powinnam zrobić? – zapytała Megan.

– Ach, teraz pytanie brzmi w ten sposób? Już nie „musimy zrobić to, musimy zrobić tamto”. Myślę, że powinnaś sobie porozmawiać z Sheidą, panienko. A potem zabrać swój uroczy tyłeczek w jakieś miejsce bezpieczniejsze niż Dun McClure. Ale do tego czasu będziemy za ciebie walczyć. Nie przedrą się, dopóki nie zginie ostatni z McClure’ów. Poczekaj no chwilę.

Wstał i podszedł do drzwi, wychylając się na zewnątrz.

– Dajcie tu tego poganina Baradura! – krzyknął w głąb korytarza.

– Baradur jest jednym z małego ludu, Chudai – wyjaśnił, podchodząc do ognia i grzejąc dłonie. – Schwyciłem go w bitwie z którymś z ich klanów. Od tamtej pory kręci się tu i zjada moje jedzenie. Myślę, że przekażę to tobie.

Chwilę później otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł niski, mocno Umieśniony młodzieniec. Ubrał się w futra i skóry, cerę miał ziemistą i żółtawą, szpiczastą głowę, ze zwisającą z boku szopą czarnych, cienkich włosów, i płaską twarz o jasnych oczach na wpół ukrytych za fałdami skórnymi. Zamiast prostych mieczy Gaeli za uzbrojenie służył mu długi zakrzywiony miecz wiszący przy lewym boku i podobny nóż, prawie wielkości miecza na prawym.

– Baradur, od roku zjadasz mój chleb i sól – burknął McClure. – I mam już tego dość. Przekazuję cię posiadaczowi Klucza jako sługę. Służ jej dobrze albo będziesz miał ze mną do czynienia!

– Tak, lairdzie McClure – odezwał się człowieczek. Miał dziwny, łagodny dla uszu akcent.

– Mały ludek jest dziwny – powiedział Jock, zwracając się do Megan. – Ale są cholernie lojalni. Jeśli przyjmie twój chleb i sól, prędzej zginie, niż pozwoli, by stała ci się krzywda.

– Nie mam ani chleba, ani soli – zauważyła cierpko dziewczyna.

– Możesz być moją panią – odezwał się Baradur. Nagle uśmiechnął się, odsłaniając usta pełne jasnych, białych zębów. – Choć chcę też srebra, pani.

– Tak naprawdę są cholernymi najemnikami – wyjaśnił McClure. – Dobrzy wojownicy, pomimo małych rozmiarów. I zatwardziali. Choć nie walczą dla Nowego Przeznaczenia. Och, i nie paplają, więc spokojnie możesz przy nim rozmawiać i nie martwić się, że to do kogoś dotrze.

– I mam ci w to wszystko uwierzyć na słowo? – zapytała Megan.

– Cóż, będziesz chyba musiała, prawda? – zauważył szorstko Jock. – Ale sama się przekonasz.

Teraz dam ci trochę spokoju. Ale zatrzymaj przy sobie Baradura. Jestem *dość* pewien, że ten zamek jest bezpieczny, ale niczego nie mogę zagwarantować.

– Dziękuję – powiedziała Megan, a mężczyzna wyszedł z pokoju. Baradur przyglądał się jej przez chwilę, po czym usiadł twarzą do drzwi.

Megan odetchnęła głęboko i przez chwilę wpatrywała się w ogień.

– Matko, skontaktuj mnie, proszę, z Sheidą Ghorbani i poproś o przysłanie projekcji.

Zanim pojawiła się projekcja, zdążyła doliczyć do dziesięciu. Sheida wyglądała znacznie starszej niż ostatnim razem, kiedy Megan widziała jej projekcję, krótko po Upadku.

– Czyli Paul naprawdę nie żyje – powiedziała Sheida, patrząc na dziewczynę. Przywołała wirtualne krzesło i usiadła na nim. – A ty jesteś córka, mojego przyjaciela Joela.

– Mój ojciec żyje? – zapytała Megan nagle ze łzami w oczach. Nawet po kontakcie nie odważyła się mieć nadziei.

– Owszem, żyje i jest szefem mojego wywiadu – potwierdziła królowa – Dostaliśmy wiadomość o tobie zaledwie... kilka dni temu? Znalazły się w niej pewne szczegóły na temat twojej sytuacji. Mieliśmy bardzo poważny problem, czy pozwolić agentowi znów się z tobą skontaktować.

– I co zdecydowaliście? – zapytała Megan zaciekawiona.

– Pozwolić na kontakt. Pragmatyczna decyzja, ale uznaliśmy ją za konieczność. Zresztą, nawet gdybyśmy uznali, że nie powinniśmy nawiązywać łączności, nie zdołalibyśmy dotrzeć na czas do agenta. W końcu postanowiliśmy wykorzystać cię jako agentkę, nawet pomimo ryzyka. Choć wszystkie te troski okazały się próżne – dodała z lekkim uśmiechem.

– Bardzo trudno mi było zdecydować, czy zabić Paula – odezwała się Megan. – Wiedziałam, że mogę się przydać jako agentka. Nie macie pojęcia, czego się dowiedziałam. Ale miałam już tak zaawansowane pla... – Urwała i potrząsnęła głową. – Ja... ja naprawdę nie chciałam go zabić. Ale *musiałam!*

– Megan – powiedziała z naciskiem Sheida. – *Dobrze* zrobiłaś. To najlepsze, co dało się zrobić dla Paula. Nie jestem pewna, czy również najlepsze możliwe rozwiązanie dla *świata*, ale to możemy przedyskutować, gdy dotrzesz już bezpiecznie do nas.

Megan kiwnęła głową i wzruszyła ramionami.

– Otwórz blokadę teleportacji, a od razu przerzucę dziewczyny.

– Nie da się – westchnęła Sheida. – Jesteśmy w stanie utrzymać ją tylko dzięki głosowi Finna. On jest... zbyt nieprzewidywalny, żeby ponownie próbować tego samego podejścia. Jeśli zniosę ją dla ciebie, Norau stanie się podatne na penetrację. Musimy wysłać po ciebie statek.

– Na morzu jest flota Nowego Przeznaczenia – zauważyła Megan. – Gdzieś niezbyt daleko stąd. – Urwała i szarpnęła się za włosy. – Mam w głowie *tylko informacje!* Nawet nie wiem, od czego zacząć.

– To może poczekać – zapewniła Sheida uspokajającym tonem.

– Nie wszystko – zaprotestowała dziewczyna, wbijając wzrok gdzieś w przestrzeń. – Na *Richardzie* jest zabójca Nowego Przeznaczenia. Ma rozkaz otruć księcia Talbota i admirała Changa. Może już to zrobił. – Wyjrzała przez okno na panującą na zewnątrz ciemność. – Nie jestem pewna, kiedy miał tego dokonać.

Sheida uniosła palec i przez chwilę wyglądała na nieobecną.

– Wysłałam Edmundowi awatara z informacją – poinformowała ją. – A przy okazji wyśledzę agenta, skoro już przy tym jestem.

– Flota ma dwa cele – mówiła dalej Megan. – Główna flota bojowa ma zaatakować bazę Czarnobrodego, zabić syreny i porwać ich dzieci. Flota inwazyjna kieruje się do zatoki Balmoran.

Jassinte wysłał przez góry armię, która ma zaatakować Hind i odciągnąć trochę sił od reaktora Assam.

2Znam trasę, którą wybrali. W Newfell czekają na Edmunda kolejni zabójcy. Celinę ma cztery nowe rodzaje Przemienionych, trzyma je specjalnie do ataku na Norau. Z flotą płyną akolici Przemiany...

– Poczekaj, dziewczyno – przerwała jej Sheida, machając ręką. – Zrobimy pełną odprawę, gdy tylko będziemy mogli. Wyślę okręt z floty Edmunda...

– Smokowiec – ostro zażądała Megan. – Chcę *smokowca* z floty. Z pełną grupą bojową.

– Jesteśmy w środku *bitwy* – zaprotestowała Sheida. – Potrzebujemy wszystkich smokowców, jakie mamy. Straciliśmy ich zbyt wiele w tej idiotycznej bitwie przy wyspach Onay.

– Jeśli zginę na morzu, co stanie się z Kluczem? – zapytała Megan. – Jeśli razem z nim wpadnę do wody?

– Dostarczę ci dość energii, by utrzymać cię przy życiu – obiecała szczerze Sheida.

– Nowe Przeznaczenie dysponuje urządzeniem, które może wyłączyć osobiste pola ochronne – skontrowała Megan.

– Niemożliwe – warknęła Sheida. – Matka by na to nie pozwoliła.

– Nie ma protokołów, które by temu zapobiegały – poinformowała Megan. – To nanity, tworzące pole kwantowe destabilizujące OKO. Wyłączają je tylko na kilka chwil, ale to wystarczy na wbicie miecza lub noża. Nie wspominając o wodzie.

– Boże, naprawdę musimy z tobą porozmawiać, co? – rzuciła Sheida. – Dobrze, smokowiec. I grupa uderzeniowa. Edmund się wścieknie.

# ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

– Oszalałaś! – krzyknął Edmund.

– Może, ale Megan właśnie ocaliła ci życie – przypomniała Sheida.

– Zamierzał użyć *cyjanku* – warknął Edmund. – W mojej *kawie*. Nienawidzę migdałów w kawie, są prawie równie barbarzyńskie jak orzechy. Wyczułbym go. I potrzebuję *każdego* smokowca, Sheida.

– *Hazhir* jest najbliżej – zdecydowała definitywnie Sheida. – Wyślij go w celu podjęcia Megan i wszystkich, których zechce zabrać ze sobą. I zrób to *natychmiast*, Edmundzie. To rozkaz.

– Cholera! – warknął. – Dobra, dobra. Zrobię, królowo. Ale przez to zginie wielu ludzi.

– Edmundzie, mamy dodatkowy Klucz – zauważyła Sheida. – Co oznacza, że odpadnie konieczność polegania na Firmie w sprawie mniej istotnych głosowań. To utrzyma ludzi *przy życiu*. Wyślij wiadomość. Czy ja mam to zrobić?

– Ty – zdecydował. – Będzie szybciej i wprowadzi mniejsze zamieszanie, spadnie też ryzyko przechwycenia rozkazu. I tak zwałaś mi na głowę mnóstwo pracy – muszę wymyślić, jak przeżyć bez jednej trzeciej mojej floty wojennej.

\* \* \*

– Majorze Herrick – wydyszała dziewczyna, goniec, po otwarciu drzwi do kajuty Herzera. – Pani kapitan chce pana natychmiast widzieć. Kazała panu przybiec.

– Słuchaj, może byś tak mogła pukać, czy coś – warknął Herzer, wysuwając się spod Bast.

– Przepraszam, sir – wydusiła z siebie kobieta, czerwieniejąc, a blednąc i pospiesznie zamykając drzwi.

– Czemu ja? – zapytał młodzieniec, naciągając ubranie. W tej samej chwj, li usłyszał dobiegający z góry krzyk: – Wszyscy na pokład! Przygotować się do zwrotu!

– Nie wiem – mruknęła elfka, opierając policzek na dłoni i krzywiąc usta. – Nie znoszę tych wojskowych popisów. Zrób to, zrób tamto. Idź tam biegnij tam. Ale lepiej się pospiesz.

– Przepraszam – rzucił, naciągając koszulę. Pochylił się i pocałował ją po czym popędził.

Wybrał korytarze na dolnym pokładzie, pełne marynarzy biegnących na pokład zająć swoje stanowiska, po czym uświadomił sobie, że dziewczyna nie poinformowała go, *gdzie* ma się stawić. Wpadł do korytarza z kwaterami oficerskimi i wskazał głową w stronę kapitańskiej kajuty.

– Jest kapitan? – zapytał wartownika.

– Tak jest, sir – odpowiedział tamten. – Ma pan od razu wchodzić. Herzer zapukał i wszedł do środka po usłyszeniu gromkiego: – Wejść!

– Posłała pani po mnie...? – zapytał, nieruchomiejąc na widok projekcji Sheidy Ghorbani. – Wasza Wysokość? – dodał, kłaniając się.

– Przydzielono nam nowe zadanie – poinformowała go Some Karcher. – Jej Wysokość poprosiła, byś wziął udział w odprawie. Wasza Wysokość?

– Mów mi Sheida, na miłość boską – poprosiła przywódczyni. – Paul Bowman nie żyje. Dziewczyna, która go zabiła, zabrała jego Klucz i uciekła do zamku klanu McClure w Gaelii. Zażądała, by zabrał ją stamtąd srno-kowiec. Wy jesteście najbliżej.

– Dobry Boże – jęknął Herzer.

– Siadaj, do cholery – poleciała Karcher. – Wyglądasz, jakbyś miał się przewrócić. Jesteśmy... – dokonała pospiesznego oszacowania – przynajmniej trzy dni żeglugi od zachodnich wybrzeży Gaelii, jeśli wiatr się utrzyma. I gdzieś tu jest smokowiec Nowego Przeznaczenia. Oni prawdopodobnie są bliżej.



– Dlatego właśnie mówię tylko wam – wyjaśniła Sheida. – Dziewczyna ma również informację o tym, że Nowe Przeznaczenie potrafi wyłączyć osobiste pola ochronne. Chcę, żeby jedno stało się jasne. Ma być chroniona. Z użyciem wszelkich koniecznych środków. Sprowadźcie ją w bezpieczne miejsce. Ma ze sobą inne kobiety, nie jestem pewna ile. Zabierzcie ją stąd ze wszystkimi, kogo tylko będzie chciała zabrać. Chronicie ją tak, jak chronilibyście mnie. – Tak jest, pani – powiedziała Some Karcher. – Gdzie ją odbierzemy?

– Tutaj – poinformowała Sheida, przywołując holograficzną mapę i wskazując na zatokę na zachodnim wybrzeżu Gaelii. – Ten rejon znajduje się w pobliżu linii frontu z Nowym Przeznaczeniem. I jeśli dowiedzą się, gdzie ona jest, ruszą za nią wszystkim, co mają. Nikt więcej się nie dowie, zrozumiano?

– Zrozumiano, pani – zapewnił Herzer.

– Zmieniście już kurs? – zapytała Sheida.

– Zanim Herzer tu dotarł – powiedziała Karcher.

– Dobrze, mam jeszcze trochę dodatkowych informacji. – Sheida uśmiechnęła się z lekkim niesmakiem. – Dziewczyny pochodzą z... haremu Paula. Uważał go za „program rozrodu”, ale pierwszy termin jest bliższy rzeczywistości. Herzer, wiem, że masz nieco doświadczenia w zakresie urazów po gwałcie. Tu sytuacja jest trochę podobna... a równocześnie inna. Nie jestem pewna, z czym będziemy mieć do czynienia, ale Megan prawdopodobnie z początku wyda się trochę dziwna. Musisz sobie z tym poradzić.

– Jest tu Bast, pani – przypomniał Herzer. – Ona jako jedna z pierwszych rozmawiała z Daneh. Jest bardzo dobra. Wie, co należy zrobić w tego rodzaju sytuacjach.

– No, to pierwsza *dobra* wiadomość od dłuższego czasu – ucieszyła się Sheida. – Poza faktem, że mamy dodatkowy Klucz. Cóż, takie są wasze rozkazy.

– Czy po zabraniu jej mamy pożeglować bezpośrednio do Norau? – zapytała Karcher.

– Nie... nie jestem pewna – przyznała Sheida. – Edmund naprawdę nie chciał was stracić. Później podejmiemy decyzję. Na razie zabierzcie ją stamtąd i płońcie mniej więcej w stronę bazy Newfell. Och, flota inwazyjna kieruje się na Balmoran. Wysłałam im ostrzeżenie.

– Balmoran? – zapytał Herzer. – Rachel tam jest.

– O cholera – jęknęła Sheida i znikła.

\* \* \*

– Och, czyli teraz mam założyć czapkę dowódcy sił lądowych? – burknął Edmund. – Ewakuować cywilów.

– To jedno z naszych największych miast! – zaprotestowała Sheida.

– 1 jest dostatecznie duże, by nie dało się go obronić – zauważył Talbot, wzdychając. – Jeśli nie chcesz ewakuacji, wyślij im wiadomość, żeby zbudowali umocnienia wokół całego miasta, jeśli wystarczy im na to czasu.

2 Jeśli *nie*, to każ im się stamtąd zabierać w diabły. Ruszę na flotę inwazyjną jak tylko załatwię sprawę z flotą bojową. Siły lądowe mają stawiać opór i opóźniać postępy Nowego Przeznaczenia. Mój sztab ma plany na taki wypadek. Na miejscu jest drugi legion, pierwszy przejdzie na pozycje blokujące im przekroczenie rzeki. Są tam już przygotowane stanowiska obron-ne. Część z tych „bezsensownych pieniędzy na obronę”, które wyrzucaliśmy w błoto.

– Edmundzie, musimy spróbować *utrzymać* Balmoran – oświadczyła She-ida. – To ważne. Za dużo zainwestowaliśmy w to miasto. Nie możemy pozwolić, by wszystko zostało zniszczone.

– Nie wystarczy im na to czasu – odpowiedział. – Zaufaj mi. Owszem, spalą spory kawał. Może trochę splądrują, jeśli wcześniej nie załatwimy ich statków. Ale nie zniszczą go w całości.

– Jest tam Rachel – przypomniała Sheida.

– Wiem. – Edmund mocniej zacisnął szczęki. -1 jest lekarzem przy wojsku. Nie powinna się wycofywać.

– To... dość wyrachowane podejście – mruknęła Sheida.

– Jest moją jedyną córką – przypomniał lodowatym tonem. – Wysłałbym ją do Raven's Mili, gdzie ludzie wiedzą, że dobrym pomysłem jest utrzymywanie przyzwoitej milicji. Gdzie stoją solidne mury i stacjonuje śmietanka Panów Krwi, którzy mogliby ją ochronić. Zamiast tego wysłałem ją do Balmoran. To ja będę musiał z tym żyć. Rozumiesz?

– Tak, rozumiem – cicho przyznała Sheida. – Jak długo to jeszcze potrwa?

– Lata – stwierdził Edmund. – Chyba, że pytasz o tę kampanię? – Zamyślił się na chwilę. – Siedem dni. I nie zacznie się jeszcze przez dwa.

\* \* \*

– Doktor Ghorbani?

Rachel podniosła oczy znad opisywanej karty i kiwnęła głową dyżurnej pielęgniarce, by chwilę zaczekała. Twarz młodzieńca na łóżku wykrzywił ból złamanej nogi. Spadł z rusztowania i złamał kość udową. Przynajmniej tak wynikało z jego karty. Problem polegał na tym, że skarżył się również na ból w biodrze i dolnej części nogi. Został solidnie zagipsowany i teraz nie dało się go już zbadać. Nie, żeby wiele mogła zrobić ze złamanym biodrem, ale kostkę czy piszczel można było nastawić, gdyby tylko lekarz na dyżurze odczekał z gipsowaniem do chwili, aż pacjent odzyska przytomność.

Zapisała, że może trzeba będzie ponownie złamać piszczel i poklepać go po ramieniu.

– Polecę zwiększyć dawkę środka przeciwbólowego – pocieszyła chłopaka. – A na razie spróbuj wypoczywać.

– Dobrze, proszę pani – odpowiedział. Kiwnęła głową pielęgniarce i wyszła z nią z sali. – Tak?

– Właśnie dowiedzieliśmy się, że Przemienieni zaatakują Balmoran – poinformowała ją nerwowo pielęgniarka.

– Cóż, wygląda na to, że będziemy mieli pełne ręce roboty – odpowiedziała Rachel najspokojniej, jak potrafiła. – Zwiększyłam Robertsonowi dawkę o dziesięć miligramów kodeiny, proszę dopilnować, żeby pielęgniarki sprawdziły kartę przed podaniem mu leków i dać mu teraz jeszcze pięć miligramów.

– Tak, pani doktor – potulnie potwierdziła pielęgniarka.

– Naszym zadaniem jest leczyć ludzi – przypomniała Rachel. – Niech żołnierze i marynarze martwią się tym, gdzie zadadzą im rany.

\* \* \*

Po zakończeniu rozmowy z Sheidą Megan przez chwilę patrzyła na ścianę, w skupieniu marszcząc brwi i nos.

– Baradur, wiesz, gdzie jest reszta kobiet? – zapytała.

– Tak, pani – potwierdził ochroniarz.

– Zaprowadź mnie tam.

Mężczyzna wstał bez słowa i otworzył drzwi, wychodząc przez nie cicho i lustrując korytarz. Przed drzwiami stał na straży jeden z wojowników klanu McClure i Baradur kiwnął mu głową, gdy Megan wyszła.

– Gdzie są pozostałe kobiety? – zapytała Megan wojownika.

– W pokojach kobiet, obok kuchni – wyjaśnił zapytany. Laird polecił, żeby została pani w wieży.

– Schodzimy tam – oświadczyła Megan. – Możesz mnie zaprowadzić.

– Pani, laird powiedział...

– Cóż, my tam schodzimy – powtórzyła Megan z wymuszonym uśmiechem. – *A t y* mnie zaprowadzisz. Jeśli laird ma z tym problem, może się zgłosić do mnie.

– Tak, pani – mruknął wojownik, ruszając korytarzem. Poprowadził ją w kierunku przeciwnym do wielkiej sali, na co Megan

obejrzała się przez ramię i rzuciła zdziwione spojrzenie Baraduwowi. Ochroniarz po prostu kiwnął głową i wskazał przed siebie.

Aż do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, po jak cienkiej krawędzi stąpa. W haremie mniej więcej rozumiała grożące jej niebezpieczeństwa. Jednak tu, w zamku pełnym nieznanym, i nie do poznania, lojalności musiała się

Zastanowić, komu może zaufać. Nawet po dotarciu do Norau będzie takie same problemy. Posiadanie Klucza dawało człowiekowi wielką władzę której w świecie po Upadku pożądać mógł praktycznie każdy. Automatycznie kazała wojownikowi iść przed sobą, ale dopiero po drodze zdała sobie sprawę że nie chciała go mieć *za plecami*. Zaczęła się zastanawiać, ile z tej paranoi wynikało z ostatnich doświadczeń, a ile wpoił jej ojciec. I na ile to podejście miało uzasadnienie. Przyjęto je zdumiewająco przyjaźnie, a zamek, pomimo obaw lairda, zdawał się bezpieczny, z drugiej strony łatwiej było iść śladem młodzieńca, niż stosować się do jego wskazówek, gdyby szedł z tyłu.

Skreśli w boczny korytarz i weszli na kolejne wąskie i spiralne schody Baradur zdjął z uchwytu przy wejściu pochodnię, więc przynajmniej częściowo widziała, gdzie idzie. W najlepszym razie schody można by określić mianem „wilgotnych” i zaczęła się zastanawiać nad ilością śluzu oblepiającego ściany.

– Mogę o coś zapytać? – odezwała się, gdy drugi raz pośliznęła się i wpadła na idącego przed nią młodzieńca.

– Tak, oczywiście, pani.

– Odwiedzałam już historyczne zamki i nie były takie...

– Zużyte? – roześmiał się mężczyzna. – Pani, w tych murach mieszka prawie setka ludzi. Takie zagęszczenie prowadzi do wszelkiego rodzaju nieprzyjemności. Mieliśmy tu już ludzi *z grzybicami*. I nawet gdybyśmy mieli czas, nic nie możemy zrobić z rzeczami w rodzaju tego śluzu. Czyszczenie tych schodów wymagałoby ługu. *Wiesz, pani, jak go zrobić?*

– Tak się składa, że wiem – roześmiała się. – Ale rozumiem. Zresztą, znam też trochę chemii medycznej. Nie jestem pewna, czy *powinnam* stąd odchodzić.

– Pani, jeśli możesz pomóc, to wspaniale – zapewnił strażnik dziwnie przytłumionym głosem. – Ale musisz jak najszybciej trafić do jakiegoś przyzwoitego miejsca. To nie jest miejsce dla członka Rady. Znacznie bardziej przysłużysz się nam, przedstawiając naszą sprawę tym draniom w Norau, którzy nie ruszają palcem, żeby nam pomóc. Walczymy z siłami Paula prawie od Upadku i od Upadku pomaga nam jedynie Finn.

Odwrócił się do niej, gdy dotarli do prawie pustego magazynu na dole schodów, i spojrzał jej w oczy.

– Nie wiem, kiedy Finn uzna, że nie jesteśmy już „neutralni” – zauważył młodzieniec, potrząsając głową. – Ale naprawdę mnie to nie obchodzi. Kiedy widziało się najlepszego przyjaciela ginącego z powodu braku przyzwoitego lekarza, trudno jest przejmować się „ogólną sytuacją”. Potrzebujemy *pomocy*, pani, póki jest tu jeszcze *komu* pomagać.

–. Zrobię, co w mojej mocy – zapewniła dziewczyna. – Podczas pobytu tutaj i kiedy już dotrę do Norau.

– Dziękuję, pani – powiedział młodzieniec, wskazując na drzwi po drugiej stronie magazynu. –

Tędy.

– Ilu ludzi straciliście? – zapytała, gdy żołnierz otworzył drzwi.

– Właściwie to nie wiem – przyznał. – Przez cały czas docierają do nas ludzie z dalej położonych wyżyn i gór. W tej chwili mamy około trzydziestu wojowników, a Clan i Innes koło setki. W pewnym momencie zebrało się nas coś osiemdziesięciu. Niektórzy zginęli, inni odeszli. Nie zatrzymujemy chłopaka, który widział wojnę i uznał, że to nie dla niego. Znajdzie sobie jakieś miejsce na wzgórzach, założy farmę i będzie nam przysyłał, co tylko zdoła. Ale jeśli nie ma ducha wytrzymać szarzy orków, to nie chcę mieć go przy swoim boku.

W następnym pokoju leżało kilka śpiących osób, w większości kobiet, a właściwie dziewcząt, z których dwie przytulały się do młodzieńca mniej więcej w wieku jej przewodnika. Inne tuliły się do siebie nawzajem, śpiąc pod kocami, których widziała mniej niż leżących. Przeszli przez pokój cicho, próbując nikogo nie obudzić.

Następne pomieszczenie dobrze oświetlały pochodnie na ścianach i ogień przygasający na dużym palenisku. Biorąc pod uwagę wiszące na ścianach utensylia, duży kocioł na palenisku i stoły, Megan uznała, że musiała trafić do zamkowej kuchni. I zebrała się tam większość dziewcząt z haremu. Jej wejście przerwało rozmowę.

– Macie tu jakiś problem? – zapytała, rozglądając się po twarzach. Sha-nea stała z założonymi rękami obok starszej kobiety, której Megan nie знаła. Amber po drugiej stronie z większością dziewcząt sprowadzonych przez Megan zebranych w półkolu wokół tamtej trójki. Mirta odsunęła się na bok i przyglądała się. Oprócz „dziewcząt” i kobiet, które sądząc po ubraniach i gniewnych wyrazach twarzy, musiały być mieszkankami zamku, stała tam jeszcze wysoka, niesamowicie wręcz, kobieta ze skrzydłami.

– Megan, tu jest cholernie zimno, a one mówią nam, że nie mają dość koców i ubrań, żeby je nam dać – odezwała się gniewnie Ashly. Trzymała ręce na piersiach, ciasno się obejmując i Megan zdała sobie nagle sprawę, że usiłuje się w ten sposób chronić przed zimnem – dziewczyna wciąż miała na sobie ten sam skromny strój co w chwili ucieczki, i dygotała z zimna. Pomimo ognia, który wyraźnie jeszcze przed chwilą płonął na palenisku, w pomieszczeniu panował wyraźny chłód. Do Megan dotarło, że żadna z kobiet nie miała na sobie wiele więcej i nagle poczuła się nieswojo w ciężkim płaszczu, którym obdarzył ją McClure.

– Z tego, co widziałam, to prawda – potwierdziła, ściągając płaszcz. Natychmiast poczuła lodowate zimno pomieszczenia i pożałowała gestu, Ał nie założyła go z powrotem. – Powinnaś zajrzeć do sąsiedniego pokoju.

– Pani Travante, jestem Flora McClure – przedstawiła się starsza kobiecie, występując do przodu z wyciągniętą ręką. Była drobna i szczupła, prawie wychudzona. – Żona Jocka. Z jakiegoś powodu uznał, że nie trzeba nas sobie przedstawiać – dodała cierpko.

– Podejrzewam, że jeszcze tego pożałuje – odpowiedziała Megan z uśmiechem. – Ashly, cała reszta, słuchajcie, planowałam przedostać się do No-rau. To się nie udało. Jesteśmy tu i za nic nie wrócimy. Jeśli któraś z was uważa, że lepiej jej będzie z legionami Nowego Przeznaczenia, to z tego, co słyszałam, nie są dalej, niż o pół dnia marszu stąd. – Rozejrzała się po dziewczynach i prychnęła. – Tak właśnie myślałam. Jesteśmy tu. Do czasu, aż zostaniemy stąd zabrane, musimy się przystosować do tutejszych zwyczajów. No dobrze, Flora, co możemy zrobić?

– W tej chwili w sprawie ubrań i koców nie za wiele. – Kobieta skrzywiła się. – Pilnujemy, żeby każdy wojownik miał swój koc i pelerynę, często walczą na deszczu i śpią na zewnątrz. Mamy tylko wełnę do robienia tkanin, a i jej jest niedużo. Strzyżemy owce na wiosnę i nie mamy *nic*

ponadto, co wtedy zbierzemy. Do tej pory większość jest już utkana i używana. Zebrałam kilka koców, pożyczając je od innych kobiet, teraz one nic nie mają. Rano zobaczę, czy nie da się zorganizować czegoś więcej. Ten płaszcz, który dał ci Jock, został kupiony i jest jedynym tego rodzaju na zamku. Tu, na wyżynach, nie ma wiele zwierząt z futrem.

– Jakoś sobie poradzimy, Megan – odezwała się Amber. – Musimy spać razem pod wszystkimi kocami, jakie zdoła zebrać Flora.

– To zabije moje dziecko – odezwała się Velva.

Megan zauważyła, że maleństwo zostało owinięte skrawkami wełny i potrząsnęła głową. – Flora, czy kobiety w ciąży i te z małymi dziećmi mogą przynajmniej położyć się przy ogniu?

– Mogą, ale nie możemy palić go przez całą noc – westchnęła pani McClure. – Wiesz, sami musimy sobie rąbać drewno. A grupy zbierające je w lasach muszą być chronione przed rajdami Przemienionych. Zamierzałam położyć je przy palenisku, ono dość długo pozostaje ciepłe. Ale nie możemy podtrzymywać ognia. – Wzruszyła ramionami. – Większość kobiet i tak śpi tutaj, bo jest tu cieplej niż wszędzie indziej.

– Tu jest *ciepło*? – warknęła Ashly.

– Tak, jest – potwierdziła Flora, rzucając jej ostre spojrzenie. – Zwłaszcza kamienie przy samym palenisku. Spanie przy ogniu jest na zamku McClure jest *przywilejem*, panienko. Takim, którego *zrzekamy* się dla was jako gości, – tak samo, jak nie każemy wam *dzisiaj* zmywać naczyń. Ale *jutro* nie będzie mnie obchodzić, *kim* są twoi przyjaciele, *pomożesz* nam albo zostaniesz wyrzucona za mury i przekonasz się, jak wyglądają *prawdziwe* kłopoty.

Wśród kobiet zebranych za nią rozległ się pomruk aprobaty i Megan chwyciła Ashly za ramię, powstrzymując ją przed otwarciem ust.

– Ashly, możesz mi poświęcić chwilkę? – poprosiła Megan, uśmiechając się przyjaźnie i zaciskając przy tym palce na zakończeniu nerwów na jej ramieniu.

*I* – Jasne, Megan – odpowiedziała dziewczyna, krzywiąc się. Megan odciągnęła ją na bok na tyle daleko, że *mogły* nie być słyszane.

– Ashly, przez następnych kilka dni, do czasu przybycia statku będziemy uzależnione od tych ludzi – wyszeptała z naciskiem Megan. – A one *nie* mają nic więcej. Narzekanie nie da nam niczego poza problemami. A jeśli sprawisz dość problemów, *pozwole* im wyrzucić cię na śnieg. Zrozumiano?

– Tak, Megan, ale posłuchaj mnie. – Ashly, krzywiąc się, próbowała zebrać myśli. – Ci ludzie żyją tu od lat. *Przywykli* do tego. Nie podoba im się to, ale mogą przeżyć. My *nie* jesteśmy do tego przyzwyczajone i nie jestem pewna, czy wytrzymamy. Jest coś takiego, jak śmierć z wychłodzenia.

– Jak już mówiłam, przytulcie się do siebie – zasugerowała Megan. – Spróbuję umieścić was wszystkie blisko ognia. – Urwała i kiwnęła głową na myśl, która ją nawiedziła. – Właściwie mogę *zużyć trochę* energii, by dopilnować, żeby dzieci i ciężarne miały ciepło. Jeśli uda mi się znaleźć właściwy program. Ale *przestań narzekać*, dobra? Musimy rozwiązać problem, a nie tworzyć nowe. A jutro najwyraźniej zostaniemy zagonione do pracy. Dopilnuj, żeby inne dziewczęta nie uznały, że to poniżej ich godności, dobra?

– Dobrze. – Ashly westchnęła. – Prawie chciałabym wrócić do haremu. Ale nie chcę. Mnie się też tam nie podobało.

– Będzie lepiej, kiedy dotrzemy do Norau – obiecała Megan, po czym zmarszczyła brwi. – Jedno pytanie – miałyście jakieś problemy z mężczyznami?

– Nie, przynajmniej od tamtej sceny w sali – zapewniła Ashly. – Myślę, że się ciebie boją.

– To, co zechcą robić dziewczyny to ich sprawa – dodała Megan. – Ale to *one* decydują. Wątpię, czy Shanea zawahałaby się przed dzieleniem koca z jednym z wojowników.

2– Nie jestem wcale taka pewna – zauważyła Ashly z krzywym uśmiechem. – Naprawdę śmierdzą.

– Sądzę, że wszystkie się do tego przyzwyczaimy. – Megan zmarszczyła brwi. – Muszę teraz porozmawiać z Florą. Pomóż rozwiązać problem, Ashh, nie bądź nim.

– Dobra.

– Flora. – Megan podeszła z powrotem do grupy. – Ashly słusznie zauważyła, że nie jesteśmy przyzwyczajone do tej temperatury. Ani nie jesteśmy właściwie ubrane. Zamierzam zużyć niewielką ilość energii, by dopilnować, żeby żadna z nich się nie przechłodziła. Ale *musimy* zdobyć więcej rzeczy. Czy któreś z okolicznych klanów mają jakieś nadmiarowe zapasy?

– Niewiele – zawahała się pani McClure, marszcząc brwi. – I faktycznie nie pomyślałam o tym, że nie jesteście przyzwyczajone do takich warunków, choć powinny o tym mówić wasze stroje. – Skrzywiła się przy tym i Megan musiała stłumić wybuch gniewu.

– Nie *wybierałyśmy* swoich strojów-przypomniała, przyznając, że choć miały na nie wpływ, to w zasadzie tylko w szczegółach. – Myślałam o tym, że mogę wydać odrobinę energii. Prawdopodobnie mogłabym zrobić coś dla innych klanów, gdyby mogły nam zapewnić jakieś koce i ubrania. Wszystko będzie lepsze od tego – dodała, wskazując na własny strój.

– To prawda. – Flora zerknęła na wojownika, który przyprowadził Megan do kuchni, a teraz dyskretnie przyglądał się wystawionym na pokaz kobiecym ciałom. – Jeśli nie z innego powodu, to choćby po to, żeby powstrzymać młodych od buntu.

– To też – przyznała Megan. – Biorąc pod uwagę, od czego właśnie uciekłyśmy, zamierzam rozwiązać sytuację najdelikatniej, jak to możliwe. Położmy dzieci i matki przy ogniu. Reszta niech przytuli się najbliżej, jak to możliwe, i użyje wszystkich posiadanych koców. Ale jeśli któraś z dziewcząt zechce dzielić koc z jakimś żołnierzem, nie zamierzam się wtrącać. O ile to *ona* się na to zdecyduje.

– Ja nie mam nic przeciwko – rzuciła Shanea, mrugając do wojownika-

– Jestem na służbie – przypomniał młodzieniec, czerwieniąc się. – Ale-zejdę z niej za kilka godzin.

– Cóż, nie wiem, jak będzie ze schodzeniem – Shanea uśmiechnęła się „ale możemy zobaczyć, co uda się zorganizować.

– Zachowuj się – upomniała ją Megan. – I chcę, żeby było *jasne*, że dzielenie łóżka musi być *dobrowolne* albo urwę ją każdemu, kto zacznie się narzucać.

2Nie sądzą, żebyś musiała się tym martwić – wtrąciła Flora. Ja śpię tutaj – oświadczyła Amber. – Myślę, że na jakiś czas mam dość mężczyzn.

– A więc to ustalone. – Megan kiwnęła głową. – Flora, czy jest tu jakieś miejsce, gdzie mogłybyśmy porozmawiać? Wiem, że jest późno...

– Żaden problem – zapewniła McClure. – Reszta niech się prześpi, jutro wcześniej wstajemy. Wcześniej, niż pewnie jesteście przyzwyczajone. – Wskazała na leżący na stole płaszcz. – Weź to.

– Mogą go użyć tutaj – zaprotestowała Megan.

– Do diaska, weź go. Tam, gdzie idziemy, jest znacznie zimniej.

Megan z powrotem założyła płaszcz i ciągnąc za sobą Baradura i żołnierza wyszła z kuchni w ślad za Florą, wspinając się po kolejnych schodach, aż dotarły do małego pokoju. Urządzono w nim biuro i było widać, że stanowi sanktuarium pani McClure.

– Wy możecie poczekać tam – oświadczyła Flora, wskazując na korytarz.

– Tak, pani – odpowiedział Baradur, zajmując pozycję przy drzwiach.

– Dziękuję za interwencję – ciągnęła Flora, siadając na krześle i pocierając podbródek. – Nie

wiem, co by się stało, gdybyś się nie pojawiła. Miałaś rację, stwierdzając, że bardziej przywykłyśmy do chłodu...

– To straszne, prawda? – wtrąciła się Megan. – Czuję się prawie gorzej niż na zewnątrz.

– To przez te kamienne ściany. I brak ciepła. Powinnam to lepiej rozegrać, aleta Ashly...

– Ashly jest... Ashly. – Megan wzruszyła ramionami. – Usiłuje zachowywać się jak królowa.

– Ty nie – zauważyła Flora. – A jesteś jej najbliższą odpowiedniczką, jaką widział klan McClure.

– Jestem tylko posiadaczką Klucza – zaprotestowała Megan. – I nawet nie wiem, jak go właściwie używać. Mówię o leczeniu, ale tak naprawdę, nie *wkrmjak*.

– Cóż, ostatni przypadek ciężkiego zranienia, jaki nam się trafił, zmarł \* zeszłym tygodniu – wyjaśniła Flora. – Ale wyślę jutro posłańców do Łuies i dowiem się, czy mają coś na wymianę. I kogoś, kto potrzebowałby leczenia. A na razie możesz spróbować dojść, jak to robić – dodała z lek-  
kitn uśmiechem. – Skoro mamy więcej ust do nakarmienia i ubrań do uszy-<sup>cia</sup> z materiałów, jakie uda się nam zdobyć, musicie trochę popracować, dziewczyny nie powinny mi chyba robić z tego powodu jakichś problemów, co?

– Niewiele – zapewniła Megan. – Jak długo Ashly nie zacznie się buntować, a jeśli to zrobi, rozszarpie ją na strzępy. Próbowalam przekazać dowodzenie Mircie, ale ona nie chce wychodzić na pierwszą linię. Może Amber, ale ona jest... to długa historia. Pewnie ma dość problemów, z powrotem układając sobie w głowie. A Christel została. Choć podejrzewał że nie był to z jej strony dobry wybór. – Skrzywiła się na wspomnienie.. Kim jest ta kobieta ze skrzydłami? To ktoś od was?

– Nie – odpowiedziała Flora. – Pojawiła się tu ledwie parę dni temu Najwyraźniej jest jakiegoś rodzaju kurierem dla ZWS. Nie mogli jej odebrać, kazali więc przylecieć tutaj i czekać na statek. *Mamy* pewne kontakty z ZWS. Nieczęste, i niezbyt nam pomagają. Ale przywozili nam już zaopatrzenie.

– Zobaczą, co da się zrobić w sprawie zwiększenia pomocy dla was, kiedy już się dostanę do Norau – zapewniła Megan, ziewając. – Przepraszam.

– Dla wszystkich ten dzień trwał bardzo długo – stwierdziła pani McC-lure. – A jutrzejszy pewnie będzie jeszcze dłuższy. Idź odpocząć.

– Zrobię to. Dziękuję za rozmowę. Pomogła. – Megan zamyśliła się na chwilę, potem wzruszyła ramionami. – Wyciągając od Paula wiadomości, czasami miałam ochotę rozpaczać, wszystko zdawało się iść po myśli Nowego Przeznaczenia. Cieszę się, że są jeszcze ludzie, którzy się opierają, niezależnie od tego, jakie to ciężkie.

– Proszę bardzo – roześmiała się Flora. – Jeszcze pokonamy tych drani z Nowego Przeznaczenia.

# ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Megan nieufnie poklepała swojego wierzchowca i kiwnęła mu głową, gdy zwierzę odwróciło się, by ją powąchać. Miało już na sobie siodło i pozostałe elementy uprzęży, ale wspięcie się na jego grzbiet stanowiło nie lada wyczyn i nie miała pojęcia, co robić potem. Koń znów wykręcił głowę i dmuchnął chrapami w jej włosy.

– Dobry konik – powiedziała, ścierając wilgoć i uchylając się, gdy zwierzę sięgnęło paszczą do jej płaszcza. – Dobry...

– Nie martw się, pani – odezwał się jeden ze stajennych, podchodząc, by jej pomóc. – Jeździłaś kiedyś na koniu?

– Nie – przyznała dziewczyna.

– Zna pani to powiedzenie o tym, że mężczyźni są z Marsa, a kobiety z Wenus? – zapytał stajenny, składając dłonie. – Proszę po prostu złapać dół grzywy, tutaj, i podciągnąć się na górę. Cóż, to wałach, ma na imię Broomy. Ogiery są z Marsa, faktycznie, większość z nich przy pierwszej okazji odgryzie pani ramię. A klacze są z Wenus, tylko że zupełnie nieprzewidywalne. Jednego dnia słodkie jak miód, następnego zrzucają na ziemię. Ale wałachy, cóż, Wałachy są z nieba. A Broomy jest najłagodniejszy z nich wszystkich.

Równocześnie stajenny z wprawą posadził ją na grzbiet wierzchowca i dopasował strzemiona do jej krótszych nóg. Potem pokazał, jak trzymać Wodze.

– Pojedzie pani za innymi – kontynuował, wyprowadzając konia z zagrody w pochmurny poranek. – Broomy będzie się ich trzymał. Błyskawicznie

2się pani przyzwyczai, laird nie pojedzie szybko. Może kłusować, a to<sup>7</sup> ga odrobiny przyzwyczajenia. Trzeba się wtedy po prostu podnieść w strzemionach i trzymać grzywy. Galop, z drugiej strony, jest znacznie wygodnie] szy od kłusa, ale może przestraszyć. Wydaje się za szybko na tak nia}, odległość od ziemi i równocześnie jest się tak wysoko, jeśli rozumie pani, co mam na myśli.

– Obawiam się, że tak – odpowiedziała, a obok niej zebrali się pozostał] jeźdźcy. Większość z nich czuła się bardzo pewnie na końskich grzbietach a wszyscy byli uzbrojeni. Megan uświadomiła sobie nagle, że nie miała nawet noża za pasem i nie wiedziała, jak zareagowałiby, gdyby poprosiła o miecz. Nie miała też pojęcia, co by z nim zrobiła. Ojciec nauczył ją walki wręcz, ale kompletnie nie znała się na broniach siecznych ani miotających. Zresztą, sądząc po zbieraniu broni noszonej przez najlepszych ludzi klanu McClure, nie mieli jej tu w nadmiarze. Większość w grupie trzymała drugie włócznie, które sprawiały wrażenie zrobionych w pośpiechu. Jock McClure miał zawieszony przy siodle duży topór, a w dłoni włócznię. Jego syn dźwigał na plecach bardzo długi miecz z rękojeścią na obie dłonie. Był dużym mężczyzną, ale zastanawiała się, czy naprawdę potrafił używać czegoś tej wielkości.

Doliczyła się w sumie piętnastu jeźdźców i zdała sobie sprawę, że jeśli strażnik podał jej wczoraj prawdziwą liczbę wojowników, jechała w eskorcie połowy sił bojowych klanu McClure. Gdyby zamek został zaatakowany pod ich nieobecność, skuteczna obrona murów stanęłaby pod znakiem zapytania.

– Pani – odezwał się McClure, podjeżdżając do jej konia. – Trzymaj się pośrodku. Wiem, że nie potrafisz jeździć konno, ale przed Upadkiem nie umiał tego żaden z tych chłopców, nauczysz się, tak jak oni. Po prostu trzymaj się grzywy, jeśli poczujesz, że spadasz, i mocno opieraj się ostrzemiona.

– A co zBaradurem? – zapytała. Stał przy jej wierzchowcu, a nie widziała, by ktoś szykował dla niego konia.

– Och, ja nie jeżdżę, pani – wyjaśnił Chudai. – Pobiegnę przy tobie.



– Od czasu do czasu przytrzyma się twojego siodła – dodał McClure na jej nieme pytanie. – Przez resztę czasu będzie szedł lub biegł obok. Om tacy są. W miarę możliwości utrzymamy wolne tempo, ale czeka nas długa droga.

– Postaram się nadażać – zapewniła Megan z ponurą determinacją. i pewnie to samo tyczy Baradura. Po prostu jedźcie w takim tempie, jakie uznacie za najlepsze.

McClure nie odpowiedział, spojrział tylko na nią poważnie, kiwnął głową i skierował swojego wierzchowca w stronę bramy zamku.

Utrzymał konie w stępie podczas wyjeżdżania z zamku i schodzenia w dół wzgórza do doliny w dole, choć zwierzęta zachowywały się nerwowo i wyraźnie chciały pobiegać. Do tej pory Megan nie widziała okolic zamku i zaskoczyło ją ciche piękno otaczającego ich krajobrazu. Dolinę intensywnie wykorzystano do uprawy ziemi, wokół widać było pola zajmujące niemal każdy centymetr kwadratowy gruntu, w części porośnięte oziminy ale w większości czekające na wiosenne zasiewy. W tej chwili rosła na nich jakaś złocista trawa uginająca się pod cienką warstwą śniegu. Wokół stromo wznosiły się góry, a właściwie wzgórza. Dolina miała około sześciu kilometrów długości, otwierając się z jednej strony na morze i zwężając ostro z przeciwnej, gdzie na odległe wzgórza wspinała się niewyraźna ścieżka. Zamek wznosił się w około dwóch trzecich długości doliny od północnego zachodu.

– Tam siedzą oddziały Chansy – wyjaśnił McClure, wskazując w stronę, gdzie dolina przechodziła w wyżyny. – Po drugiej stronie tych wzgórz jest kraj bandytów. Mamy tam mały fort, który ma na nich oko i jeszcze kilka – wskazał na południe – tam, na wyżynach. Do doliny najłatwiej dostać się tamtym przesmykiem, ale czasami próbują się też przebić od południa. Oraz lądować w porcie.

– Wydaje się, że to byłoby najłatwiejsze – zauważyła, wskazując na morze. Do samego morza prowadziła wąska zatoka otoczona z obu stron wzgórzami. Gdy skręcili na wzgórze od północy, dostrzegła w oddali odległy ocean pofalowany wiatrem.

– Muszą najpierw przepłynąć całe loch. Mamy cztery, czasem sześć godzin na przygotowanie się. A potrafimy to zrobić w połowę tego czasu, a zanim tu dotrą, możemy też wezwać na pomoc inne klany. Ponieważ jesteśmy jedyni z przyzwoitym portem, przysyłają nam posiłki. Wciąż mamy nadzieję na pomoc z Norau, ale ponieważ brak tu nawet przyzwoitego nabrzeża, nie spodziewamy się dostać za wiele.

– Zobaczymy – powiedziała dziewczyna i chwyciła się za grzywę, gdy koń zaczął się wspinać po wąskiej ścieżce.

Szlag biegł równolegle do małego strumienia – spływającego po omszałych kamieniach w stronę doliny – wznosił się stromo, w części kamienny, w części pokryty ziemią, i Megan musiała się skupić najeździe w drodze Pod górę i omijaniu starego rumowiska, ale przekonała się, że łatwiej jest jej utrzymać się na grzbiecie zwierzęcia, jeśli pochyła się do przodu. Z wolna Uczyła się zachowywać równowagę i przekonała się, że jazda wcale nie

2jest aż tak trudna, jak się spodziewała. Choć zauważyła, że zaczynały piec wewnętrzne strony ud, a nogi, o których sądziła, że są w całkiem dobrym stanie, bolały już całkiem mocno. Gdy dotarli na szczyt wzgórz zaczęła się zastanawiać, ile potrwa cała podróż.

Cztery godziny później, czując się tak, jakby posadzono ją na beczce i nieustannie nią potrząsano, zjeżdżała z ostatniego z tuzinów wzgórz do wąskiej doliny. Dowiedziała się, na czym polega kłus i wcale się jej to nie podobało. Na szczęście, gdy jechali z odpowiednią prędkością, chód Bro-omy'ego robił się znacznie miększy. Kiedy dotarli na górne wrzosowiska dowiedziała się też, na czym polega galop. Był znacznie gładszy, ale zgodnie z ostrzeżeniem, także przerażający. A

równocześnie upajał. Miała duże problemy z utrzymaniem się na końskim grzbiecie, gdy przemykały obok niej kamienie wrzosowisk, i rozglądając się po przepięknej okolicy, zastanawiała się, czy nie zakończy drogi, skręcając sobie kark. Kiedy już miała pewność, że zaraz spadnie – jej mięśnie nóg dawno temu zmieniły się w galaretę i nie było mowy, żeby mogła się nimi przytrzymać – McClure zwolnił z powrotem do stępa.

Gdy zjeżdżali w dół wąwozu, poczuła, jakby przyglądały się jej jakieś oczy i zauważyła, że jeźdźcy i ich konie zrobili się nerwowi.

– To mały ludek – odezwał się McClure, nie odwracając głowy. – Zajmują prawdziwe wyżyny. To jedna z przyczyn, dla których nie rządzą tu Przemienieni.

– Żyją tu? – zapytała Megan, rozglądając się po pozornie bezludnym pustkowiu.

– Owszem – odpowiedział Jock, wzruszając ramionami. – Mówią, że tylko tu jest dość wysoko, by oddychać. Można by pomyśleć, że żywią się kamieniami, ale mają trochę marnych owiec i polują. Sprzedają też swoje usługi – dodał, wskazując na Baradura, który przez cały czas utrzymywał tempo, zdając się przy tym wcale nie męczyć. Kiedy galopowali, pomimo zapewnień o niejeźdzeniu, wskoczył na siodło za jej plecami i, szczerze mówiąc, bardzo pomógł jej utrzymać się w siodle.

– Nie wzdragają się też przed bandyckimi napadami – kontynuował ponuro McClure. – To jeden z powodów, dla których jedziemy tak dużą grupą.

Obejrzała się na swojego ochroniarza, który uśmiechnął się szeroko, nie podnosząc głowy.

– Cudownie – skomentowała, krzywiąc się.

Wrzosowiska stanowiły jedyny w miarę płaski odcinek podróży. Przez całą resztę drogi ciągle wspinali się lub zjeżdżali w dół, nie widząc żadnych oznak

Poza okazjonalnymi śladami i raz stadkiem bażantów, które gwałtownie wzbiły się w powietrze. W końcu Megan pomyślała, że jeśli wkrótce nie dotrą do celu, będzie musiała poprosić o odpoczynek.

Kiedy jednak objechali grań kolejnego wzgórza, dostrzegła stojący w dolinie zamek, większy niż posiadłość McClure'ów.

– Innes? – wydyszała, chwytając grzywę Broomy'ego, gdy przesunęła się na siodle. Przekonała się już, że jazda w dół jest znacznie trudniejsza od jazdy w górę.

– Owszem – potwierdził McClure.

– Duży zamek – skomentowała Megan. – Mała dolina.

– To tylko jedna z sześciu kontrolowanych przez Innes – wyjaśnił Jock. – Dwie są większe, jedna tak duża jak nasza. Jedna jest też na linii frontu z orkami. Ale to dwa grzbiety stąd. Na początku walk jedną stracili, potem ją odbili, i znów stracili. Uważaj z Innes. To dobry człowiek, ale próżny i po matce wywodzi się ze Stuartów.

– Co to znaczy?

– To potomek Bonnie Charlie – rzekł McClure, jakby to wyjaśniało wszelkie wątpliwości.

– Wciąż nie rozumiem – stwierdziła Megan niepewna, czy było to coś, o czym wszyscy powinni wiedzieć.

– Karol pierwszy – wyjaśnił laird, potrząsając głową. – Człowiek, który mógł mieć większe prawa do tronu Anglii niż ludzie, którzy zasiadali na nim w siedemnastym wieku. Król Szkocji, a właściwie Gaelii. Chce zjednoczyć Gaelię i odbić Chansie Brytanię. Choć niewątpliwie, jeśli spróbuje, powtórzy się Culloden. Możemy bronić się przed nimi na wyżynach, ale jeśli zjeździemy na niziny, zetną nas na proch.

Jeden z żołnierzy zaczął coś pogwizdywać, wpadającą w ucho melodię, która bardzo się jej spodobała. Inni zaczęli cicho śpiewać. *Spalone nasze domy, wygnanie i śmierć, przegnani lojaliści.*

*Lecz póki miecz tkwi w pochwie, Karol powróci.*

– Co to jest? – zapytała Megan, przejęta słowami.

– Nazywa się to *Wyspa Skye* – wyjaśnił McClure, wzruszając ramionami. – Z czasów, gdy Karol musiał uciekać. Przez bardzo długi czas Szkoci uważali, że Karol powróci. Poprowadził armię na Brytanię, by odzyskać tron. Zdobył spore tereny, ale potem zbyt rozproszył swoje siły. Jego armia została złapana w pułapkę i wycięta w pień na polu Culloden. Potem Anglicy przyszli i wyrznęli wszystkich w dolinach, pierwsze nowoczesne ludobójstwo całego narodu w historii. Zabili każdego mężczyznę, który miał coś wspólnego z powstaniem, przegnali połowę mieszkańców, zaciągnęli

2mężczyzn do swoich armii i wysłali ich na śmierć za morza. Imperium Brytyjskie stało się jednym z największych, jakie rządziły na ziemi, ale dokonano tego dzięki krwi Gaelów. Trzech kolejnych Karolów żyło we Francji jako rząd na wygnaniu, ale potem znikli z historii.

– Czy Innes śpiewa *Wyspę Skyel* – zapytała Megan.

– Nie – odpowiedział mrocznie McClure. – To pieśń o przegrywaniu Ludzie Innesa śpiewają pieśń Karola Bonnie.

McClure uśmiechnął się złośliwie i kiwnął na jeźdźca z rogiem.

Zadmij w róg, koziołku – krzyknął.

*O! Karol mym kochanym, kochanym, kochanym,*

*Karol mym kochanym, kawalerem mym!*

\* \* \*

Malcolm Innes był wysokim i dobrze zbudowanym blondynem o włosach opadających prawie do pasa, z rzeźbionym podbródkiem i jasnoniebieskimi oczami. Patrząc na niego, Megan nie mogła uwierzyć, że w jego głowie kryją się jakiegokolwiek myśli. A jednak myliła się.

– McClure uważa mnie za szaleńca – oświadczył gospodarz, wskazując na drugiego lairda. Usiedli przy kominku w biurze lokalnego pana i popijali grzany miód, podczas gdy nogi Megan wyły w agonii. Stopy oparła na boku największego psa, jakiego kiedykolwiek widziała, prawie wielkości kuca. Jego kudły owijały się wokół jej palców. Pies, wraz z grupą podobnych, przyszedł za nimi do pokoju i ułożył się u jej stóp. Oparła je na nim, gdy zobaczyła, że pozostali robią tak samo. – Że odbiło mi z tym pochodzeniem od Karola Pierwszego. Nie mów mi, że się mylę.

– Nie mylisz się – potwierdził McClure, pociągając miodu. – Ale to szaleństwo Gaelów i przez to ci wybaczam.

– Wcale nie uważam, że mógłbym odbić Brytanię – zapewnił Innes, uśmiechając się i pochylając do przodu w napięciu. – Albo ustanowić się królem. Jeszcze. I wiem, że niczego nie osiągnę bez pomocy z Norau. Ale *mogę* zaoferować oddanie dziesięciu klanów, z których wszystkie mają doświadczenie w wojnie. Mam więcej kawalerii niż ktokolwiek na wyżynach. Moi ludzie są lepiej przeszkoleni i lepiej wyposażeni, ponieważ mogę ich wymieniać na linii frontu. Jeśli Norau zechce odbić Brytanię, *a potrzebują* jej jako punktu wypadowego do inwazji na Ropazję, będą potrzebować mojej pomocy. A jeśli oni staną po mojej stronie, mogę zebrać *wszystkie* klany. Te pretensje do pochodzenia od Karola mogą się zdawać szaleli”stwem, ale jak powiedział McClure, to *gaelskie* szaleństwo. Szkocja pój’ dzie za Stuartem, zwłaszcza jeśli oznacza to odzyskanie ukradzionego naro tronu.

2– To było... – Megan przeliczyła w głowie. – Ile? Trzy *tysiące* lat temu, plus minus kilka stuleci?

– To nie ma znaczenia – wtrącił się McClure. – Słyszałaś go. Gaelowie wsysają to z mlekiem matki.

– Właściwy termin to „mem kulturowy”. – Malcolm odchylił się na oparcie krzesła. – Memy

potrafią zachować się zdumiewająco długo. Gaelskie dzieci wychowywano przy akompaniamencie słów szeptanych im na ucho przez matki, które zapomniały już ich znaczenia, ale piosenki podobały im się jako kołysanki. Wszędzie możesz znaleźć silne grupy Gaelów ze Szkocji, na przykład na południowym wschodzie Norau czy w Anarchii, zanim ją odcięto. A tutaj, na wyżynach, historia tkwi w nas głęboko. Do diaska, motyw „powrotu króla” pojawia się we wszystkich kulturach indoeuropejskich. To filozoficzna podstawa mitu Chrystusa, istniejąca na długo przed czasami, w których ten żył lub nie. Mogę pomóc Norau wykorzystać ten mem w drodze do zwycięstwa.

– A twoją ceną jest tron – zauważyła Megan.

– To stawka, za którą zapłacę – zapewnił Malcolm, prostując się – najsilniejszym i najliczniejszym sojusznikiem, jakiego mogą zdobyć.

– Campbellom się to nie spodoba – zauważył McClure z szerokim uśmiechem.

– Żadnych psów, włóczęgów ani Campbellów – rzucił Malcolm z szerokim uśmiechem. – Mogę sobie nawet poradzić z Campbellami, jeśli stanie za mną Norau. A Chudai pójdą za mną, mam w sobie krew również brytyjskich królów, a oni lojalnie służą Brytanii od tak dawna, że początki przepadły w pomroce dziejów.

– Norau ma własne legiony – zauważyła Megan. – Nigdy nie zostali pokonani.

– Nie ma czegoś takiego jak dość żołnierzy, panienko – zaprzeczył McClure. – Nigdy.

– Na razie dam ci to, czego potrzebujesz – powiedział Innes, wzruszając ramionami. – Trochę jedzenia z naszych magazynów, ubrania dla twoich ludzi. Od ciebie chcę przedstawienia mojej sprawy przywódcom Norau, Sheidzie, i temu ich dowódcy, Edmundowi Talbotowi.

– Jock? – zapytała, patrząc na lairda McClure.

– Tak, pani – oświadczył formalnie. – Będą tu potrzebować wsparcia, a Malcolm może je zapewnić. Jeśli jego ceną jest Brytania, to nie jest to wygórowana stawka.

– Oczywiście wprowadzę monarchię konstytucyjną – zapewnił Malcolm. Jak w Norau. Ale to ja dostanę władzę. Moi przodkowie żyli tu, zanim te ziemie przejęli Szkoci. Mieszkaliśmy tu przed Rzymianami, Saksonami i K, mi spóźnionymi Normanami. Czekaliśmy tysiące lat na odzyskanie tego co *nasze*. I *teraz* przyszedł właściwy czas.

Megan stwierdziła, że urzeka ją fanatyzm tego mężczyzny. Zdawał się taki... nieziemski. Mówił o porażce sprzed trzech tysięcy lat i kolejnych w ciągu tysiącleci, jakby były zaledwie drobnymi przeszkodami. I uświadomiła sobie, że nie on jeden traktował to w ten sposób. Pomyślała o żo}. nierzach, z którymi jechała do zamku. Śpiewali te pieśni i widziała, że w niewierzę, w – jak to się nazywało? – w *mem*. Dla Gaelów utrata pozycji i ziemi stanowiła tylko drobną komplikację, którą z czasem da się rozwiązać.

I wielu z nich uważało, że teraz nadszedł właściwy czas.

– Przedstawię waszą sprawę wszystkim, którzy zechcą słuchać – zapewniła.

– Jesteś posiadaczką Klucza – powiedział Malcolm, machając ręką, jakby była to jakaś błahostka. – Będą słuchać. Edmund Talbot cię wysłucha. W końcu naprawdę ma na imię Karol. I jest Talbotem. Zrozumie. Może to duch, może legenda. Ale legendy wygrywały więcej wojen niż miecze. A Karol *znów* dosiądzie konia.

# ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

– Ścigamy widmo. – Admirał Dario Sumstad uderzył dłonią w reling i obejrzał się na fregatę balistową, która utrzymywała bliską pozycję. – Nie cierpię ścigania widm.

– Smokowiec ZWS musi tu gdzieś być, sir – zapewnił go kapitan Trahn Clussman. Kapitan okrętu floty Nowego Przeznaczenia *Pierre Franc* ostrożnie przyglądał się admirałowi, ale nie zamierzał mówić niczego, co nie zdradzałoby gotowości do wypełniania rozkazów.

– Możliwe. – Sumstad odwrócił się od relingu i podjął niespokojny marsz po mostku. Skrzywił się, gdy na rufie wylądował smok. – Ale Talbot to podstępny sukinsyn. Wiemy, że posłał smokowce na południe, ale mógł popłynąć gdziekolwiek, podczas gdy my coraz bardziej oddalamy się od bazy Czarnobrodego. Jakież wieści od orek?

– Nie, sir – zgłosił kapitan. – Żadnego śladu okrętów ZWS. Nie zauważono żadnych smoków poza naszymi. Ale natknęły się na trytony i delfiny. Właściwie to mają z nimi coraz więcej problemów. Trytony używają jakiegoś rodzaju miotaczy harpunów, który jest dość groźny.

– Wysyłajcie z orkami więcej ixchitli – warknął admirał. – Wiem, że to je spowalnia, ale musimy jakoś ograniczyć straty tych przeklętych orek.

– Tak jest, sir – odpowiedział kapitan, ruszając w stronę posterunku gońców.

– Gdzie oni są?

2– W tej chwili jesteśmy tutaj – poinformował Shar zebranych kapitanów i dowódców ich smoczyczych kontyngentów. Tym razem korzystali z Edmunda i zrobiło się tam bardzo tłoczno. – Dwieście kilometrów na północny wschód od bazy Czarnobrodego.

– Zauważyłem, że robi się coraz cieplej – skomentował jeden z kapitanów.

– Nowe Przeznaczenie podzieliło swoje siły bojowe na dwie grupy „mówił dalej Chang, ignorując komentarz. – Główna grupa z trzema srtio-kowcami jest na północ od nas i według ostatnich raportów wciąż się oddala. Druga grupa, z dwoma smokowcami, jednostkami pomocniczymi i de-santowymi zbliża się do Czarnobrodego od północy. O ile jesteśmy w stanie stwierdzić, nie wiedzą o naszej obecności.

– Dwa na dwa – zauważył jeden z dowódców smoczyczych jeźdźców. – A oni mają więcej smoków.

– Jutro to się zmieni – oświadczył z przekonaniem Edmund.

– Może nam pan wyjaśnić czemu, admirale? – zapytał jeden z kapitanów.

– Nie – zaprzeczył Edmund. – Ale proszę się nie martwić smokami.

– Pierwszym celem będą fregaty balistowe – poinformował Shar, podnosząc mapę i pokazując rozmieszczenie jednostek. – Wystartujecie przed świtem..

\* \* \*

Dwie godziny przed świtem dyżurny zapukał do drzwi Gunny'ego Rutherforda i wszedł, by go obudzić. Zastał sierżanta klęczącego w pełnej zbroi przed oświetloną świecami figurką byka.

– Czwarta rano, sierżancie.

Gunny wstał, popatrzył na niego nieobecny wzrokiem, po czym kiwnął głową.

– To dobry dzień na śmierć – oświadczył, po czym wyszedł z pokoju.

Dyżurny wyłowił dziwny zapach i niemal wbrew sobie podszedł i przyjrzał się bykowi. Jego grzbiet wydawał się mokry, a gdy dotknął go palcami, zobaczył na nich krew.

\* \* \*

– Flota Nowego Przeznaczenia w polu widzenia, nadpływa od Golfsztromu, sir. – Posłaniec stanął na baczność przed dowódcą Panów Krwi.

– Cóż, wygląda na to, że to oni – powiedział kapitan Kenton Pherson bladokóry dwudziestosześcioletek z jasnymi, orzechowymi oczami i blond włosami, które były prawie całkowicie białe i tak cienkie, że miało się problemy z zauważeniem ich na odsłoniętej głowie. Wstał i założył hełm, zapinając pasek pod brodą. – Mówią, że Bóg jest po stronie większych armii. Miejmy nadzieję, że się mylą.

– Cóż, sir, mówią też, że wiek i doświadczenie za każdym razem pokona młodość i siłę – skomentował Gunny Rutherford. – Miejmy nadzieję, że mają rację.

– A co to oznacza, Gunny? – zapytał kapitan, gdy wychodzili w pierwszy blask świtu.

– Cóż, sir, z aktualną sytuacją wiąże się kilka czynników, z których nie zdaje pan sobie sprawy – zauważył Gunny, gdy w światło pochodni wszedł kolejny żołnierz. Był średniego wzrostu, z szerokimi ramionami i potężnie umięśnionymi rękami, w jasnozielonej, skórzanej zbroi, z metalowym hełmem i krótkim mieczem.

– Akim pan... och, pan Grameson – zdziwił się kapitan, rozpoznając brygadzystę robotników, którzy zostali przysłani do wzniesienia umocnień. Pherson kilka razy próbował nawiązać z nim rozmowę, ale przekonał się, że tamten jest mrukliwy i mało komunikatywny.

– Właściwie, kapitanie, nazywam się D'Erle – przedstawił się tamten, wyciągając dłoń w rękawiczce. – Generał Malcolm D'Erle, Korpus Łuczniczy ZWS.

\* \* \*

Admirał Emile Arris przyglądał się, jak łodzie desantowe zapełniają się orkami i spojrzął na kapitana smokowca. I – Rozkażcie flocie rozpocząć starty – polecił.

Smoki natychmiast zaczęły startować ze sterburty smokowca, machając skrzydłami, by osiągnąć odpowiedni pułap, po czym przechodząc do latania po ósemkach. Wszystkie mocno obciążone bombami zapalającymi i nie szybowały zbyt dobrze.

Admirał chodził nerwowo po pokładzie, zerkając od czasu do czasu na zapełniane w świetle przedświtu łodzie i czekając na ich sygnał gotowości. Kiedy ten w końcu nadszedł, zamachał do oficera łącznościowego.

– Zasygnalizujcie rozpoczęcie inwazji – zawołał. – Wstrzymajcie smoki do czasu, aż łodzie znajdą się blisko brzegu – dodał do kapitana okrętu. – Chcę, żeby przybyli równocześnie.

\* \* \*

– Ile czasu zajęło wam zmontowanie tego? – zapytał kapitan Kenton Pherson, przyglądając się aktywności w lagunie. – Sir – dodał.

Na powierzchni unosiły się duże pęcherze z drewna i skóry, każdy o średnicy przynajmniej dziesięciu metrów. Na jego oczach jeden zaczął się zanurzać, obciążony starannie rozmieszczonymi na obwodzie ołowianymi ciężarkami

Zi stabilizowany w drodze na dno przez syreny. Pod spodem wyposażono go w „nogi”, trzymające przy dnie. Inne syreny rozciągały rury biegnące do pomp stojących na wschodnim brzegu zatoki. Po ustawieniu schronów atakujący będą musieli albo zniszczyć pompy, albo zdobyć całą zatokę, zanim w jakiś sposób zagrożą syrenom. A syrenie dzieci mogły tymczasem oddychać powietrzem w dzwonach.

– Kilka miesięcy – przyznał Malcolm, przyglądając się prowadzonym działaniom. Pęcherz za pęcherzem opuszczano na dno, a w wąskim ujściu zatoki ustawiano konstrukcję przypominającą jeżozwierza z drewna i metalu. – Z pozoru pracowaliśmy jako zwykli robotnicy wznoszący twierdzę. Niewątpliwie dało to chłopakom trochę doświadczenia w budowie naprawdę solidnych fortyfikacji.

– Czemu nie jest pan w Norau, sir? – zapytał kapitan Pherson, trochę przesadnie ostentacyjnie. – Nadpływa tam flota inwazyjna.

– Z tego samego powodu, dla którego ciebie tam nie ma, synu – odpowiedział z uśmiechem Malcolm. – Edmund przysłał mnie tutaj.

\* \* \*

Kiedy wrócili na brzeg, pozostali „robotnicy” montowali tam właśnie prefabrykowane schrony. Zbudowano je ze sklejki pokrytej dziwnie lśniąca skórą.

– Ta skóra jest bardzo odporna na ogień – wyjaśnił Malcolm D’Erle. – I mamy osłony dla wojska. Piekielnie ciężko będzie się w nich walczyć, ale lepsze to od spłonięcia.

– A co z łucznikami? – zapytał kapitan.

– A jak pan myśli, dla kogo są te?

\* \* \*

– Dobrze – odezwał się admirał, gdy łodzie dotarły do brzegu. – Rozkazać smokom *zaatakować*.

Z platformy smoczego lądowiska wyraźnie widział pole bitwy. Szeregi Panów Krwi nie ruszyły na wysiadających z łodzi orków, czekając zamiast tego w zwartych szeregach na grzbiecie wzgórza. Po obu bokach wzniesiono serię osłon i nawet w tej chwili jeszcze kręcili się przy nich robotnicy.

Kiedy jednak smoki zaczęły nurkować do ataku, robotnicy porzucili pracę i pobiegli do schronów, które wyraźnie miały osłonić ich przed smoczym ogniem. Równocześnie Panowie Krwi opuścili tarcze i podnieśli z ziemi srebrzyste kombinezony, szybko się w nie ubierając. Gdy smoki zniżyły lot, połowa robotników wyskoczyła zza osłon z długimi hakami w dłoniach. Smoki natknęły się na ścianę strzał.

Każdy z doskonale wyszkolonych łuczników Korpusu potrafił wysłać strzałę co dwie sekundy przez trzydzieści minut, lub co pięć sekund przez okres do dwóch godzin. W związku z pracą na budowie aktualnie nie byli w szczytowej formie, więc stu pięćdziesięciu łuczników zadowolilo się wysłaniem strony nadlatujących smoków zaledwie siedmiuset pięćdziesięciu, starannie wycelowanych, metrowej długości strzał.

Łucznicy stali po obu bokach formacji Panów Krwi i złapali smoki w bezlitosny krzyżowy ogień. Niektóre wywerny zostały trafione tak mocno, że jiiemal natychmiast spadły z nieba, podczas gdy inne zdołały dolecieć aż do zatoki, gdzie czekały na nich syreny z długimi pikami. Do ataku ruszyło osiemdziesiąt smoków i czterdzieści z nich zginęło od pierwszej salwy, podczas gdy reszta dostała po ranie lub dwie. Większość jednak zwolniła swoje ładunki napalmu, pokrywając Panów Krwi i skraj łuczników deszczem ognia.

\* \* \*

– Niech go diabli – zaklął admirał Arris, gdy nędzne resztki jego smoków wzniosły się z powrotem w powietrze. Większość została ranna i widział, jak następne spadają na ziemię, nawet gdy Panów Krwi trawiły płomienie.

– Przynajmniej zrzuciły swoje bomby – zauważył kapitan Lohnes. Wskazał na ogień szalejący w miejscu, gdzie stali Panowie Krwi. – Sami łucznicy nie powstrzymają Przemienionych.

– Patrz – rzucił krótko admirał. Z płomieni wyłonili się Panowie Krwi, z błyszczącymi tarczami. W tej samej chwili na formację Przemienionych zaczęły spadać strzały.

– Kapitanie – odezwał się komandor Strayer. Pierwszy oficer *Wilhelma* był wyraźnie przejęty. – Nabieramy wodę.

– Co? – zapytał kapitan, odwracając się do swojego zastępcy. – Czemu?

– Mamy dziurę w kadłubie na sterburcie – wyjaśnił pierwszy oficer. W tej samej chwili podszedł do niego bosman i wyszeptał mu coś do ucha. – Właśnie zauważono następną, na bakburcie, sir.

– Zaklejcie ją żaglem – warknął kapitan. Przyglądał się, jak formacja Panów Krwi schodzi w dół wzgórza, po czym nagle zaczyna biec i szarżuje na Wciąż ustawiających się Przemienionych. Orkowie złamali szyki i sami ruszyli do ataku, ścierając się w deszczu strzał wysyłanych na pole bitwy.

– Pracujemy nad tym, sir – zapewnił pierwszy oficer, gdy okręt zachwiał się na silniejszej fali. – Ale...

– Ile wody? – zapytał admirał, oglądając się na okręt i zauważając, że ił się wyjątkowo ocieęzały.

2– Zalała już cały dolny pokład, sir – odpowiedział żałośnie oficer. – Wlg, wa się szybciej, niż potrafimy ją wypompowywać. W kadłubie może być więcej dziur.

– Skąd one się u diabła biorą? – krzyknął kapitan.

– Syreny na sterburcie – zawołał marynarz z oka.

– Gdzie u diabła są nasze orki!

\* \* \*

– Gunny, musimy zatrzymać prawą flankę – zawołał kapitan Pherson Głos miał przytłumiony srebrzystym kombinezonem ognioodpornym, ale brzmiał dostatecznie wyraźnie. – Wydaje mi się, że próbują wymknąć się z naszego uścisku.

– DRUGA TRIARI! – ryknął Gunny, unosząc kaptur kombinezonu, by być lepiej słyszalnym. – SZEŚĆ KROKÓW DO PRZODU... RUSZAĆ! RAZ! DWA! TRZY! CZTERY! PIĘĆ! SZEŚĆ!

Na brzegu pozostali Przemienieni próbowali wrócić do swoich szalup. Większość wbiegła z powrotem w morze, zapominając, że w zbrojach nie mają szans dopłynąć do żaglowców. Kilku zrzuciło pancerze, ale Przemienieni mieli grube kości i masywne tułowia, nie stworzone z myślą o pływaniu. Tylko ci, którym udało się wspiąć do szalup, i to nie przebitych strzałami, mieli szansę wrócić na okręty.

– Mimo wszystko z *nimi* nic nie zrobimy – westchnął kapitan.

– To prawda, sir – zgodził się Gunny, gdy nad ich głowami przeleciał pocisk wystrzelony z jednej z fregat. Łucznicy aktualnie wymieniali strzelających, ale bez problemu uskoczyli przed nadlatującym pociskiem. – Ale to nie znaczy, że długo tu zostaną.

\* \* \*

– Smoki! – zawołał obserwator. – Ze sterburty!

To znaczyło, że nadlatywały od wschodu, wraz ze wciąż wschodzącym słońcem, ale admirał dostrzegł na jego tle niewyraźne sylwetki.

– Nasze? – zapytał zmieszany kapitan Lohnes.

– Nie wydaje mi się – westchnął admirał. – Gdzieś tam jest smokowiec. Możliwe, że nawet trzy. Niech diabli porwą tego Talbota.

– Co mamy robić, sir? – zapytał kapitan marynarki Bouviet.

– Niech łodzie wrócą po drugą falę Przemienionych – polecił admirał.

– Sir, z całym szacunkiem – odpowiedział kapitan Lohnes. – Nie jestem pewien, czy jestem w stanie przeprowadzić naprawy. Straciliśmy ponad p<sup>o</sup> łowę naszych smoków, a Przemienieni próbują zdobyć przyczółek przy op<sup>o</sup> rze Panów Krwi i łuczników, nie wspominając o naszych własnych s<sup>r</sup>flO' kach. A podczas gdy w okolicy znajduje się nie znana liczba polujących n<sup>a</sup>

2pas smokowców, jesteśmy praktycznie uwiązani w miejscu. Powinniśmy się wycofać.

– Ostatni admirał, który próbował wyjaśnić coś takiego marszałkowi Chansie, jest gdzieś tam – zauważył admirał, wskazując na plażę, gdzie zarzynano Przemienionych. – Wolę się nie wycofywać.

\* \* \*



– Wiek i chytrość to cudowna sprawa, sir – oznajmił Gunny Rutherford, gdy przeleciało nad nimi skrzydło smoków, kierując się w stronę grupy uderzeniowej Nowego Przeznaczenia. Fregata antysmocza utrzymywała pozycję na zachód od smokowca, więc smoki musiały przelecieć nad tym ostatnim, by dotrzeć do celu. Kiedy to zrobiły, całe skrzydło ustawiło się w rzędzie i równo przeleciało nad fregatą, zrzucając na jej pokład kolejne ładunki napalmu. Ponieważ zrzucały bomby spoza zasięgu balist, wiele nie trafiło. Z drugiej strony, wiele dotarło do celu. I cała piana świata nie mogła uratować drewnianego okrętu, którego pokład pokrył napalm. Po zrzuceniu bomb wywerny zaczęły lądować w bazie przy magazynach używanych przez robotników.

– Nie mówcie mi – odezwał się kapitan. – Część z używanych przez robotników „rozpuszczalników” to...

– Bomby dla smoków, sir – potwierdził Gunny, kiwając głową. – Ściągnął kaptur stroju przeciwpożarowego i zapalił cygare od wciąż dymiącej tarczy. – I jest tam więcej łuczników osłaniających je przy dozbieraniu. Tutaj trudniej jest im wystartować, dlatego mogą zabrać tylko po dwie bomby. Ale znacznie szybciej wrócą po następne. I mamy mniej więcej trzy razy tyle bomb, ile może zabrać smokowiec. A także nie zatoniemy, jeśli nas zbombardują.

– Czy księżę planował to od samego początku? – zapytał Kent Pherson, ściągając własny kaptur. Jeden ze smokowców sprawiał wrażenie dość głęboko zanurzonego i wyraźnie miał problemy z przyjmowaniem i wystrzeliwaniem smoków. Drugi zaczął wypuszczać swoje, ale gdy te zaczęły wspinać się w powietrze, od strony słońca nadleciały małe, bardzo kolorowe smoki, wystrzeliwując pociski błyszczące w słońcu srebrem. Kolejne smoki spadły do morza.

– Tylko plan na wszelki wypadek, sir – odpowiedział Gunny, wydmuchując dym z cygara. – Tylko na wszelki wypadek.

\* \* \*

– Utrata *Hazhira* cholernie utrudniła nam operację „Stonewall” – mruk-ął Talbot. – To zresztą od początku był tylko plan awaryjny. Teraz jednak

dganiać, żeby dotrzeć na następne spotkanie. Co więcej, musimy tam *zniszczyć* flotę, ponieważ w innym przypadku drednoty natkną się u” ciężką pogodę.

– Drednoty? – zapytał Shar.

– Wysłałam je na południe, żeby zabrały Malcolma D’Erle i jego ludzi -, wyjaśnił Edmund. – Właściwie już są w drodze. Gdy tylko zostaną naprawione łodzie Przemienionych, D’Erle przygotuje się do wypłynięcia ze swo-imi łucznikami. Drednoty powinny tam dotrzeć mniej więcej w tym samym czasie. Ale zamiast osłaniającego ich *Hazhira*, muszą płynąć w górę wybrzeża bez żadnej ochrony poza paroma srebrzakami, które im przydzielimy. Potem będziemy musieli ruszyć w stronę pozostałości floty bojowej Nowego Przeznaczenia i ją wykończyć.

\* \* \*

Admirał Emile Arris wszedł do szalup, gdy woda przelała się przez burtę *Wilhelma*.

– Płynicie na *Tressam* – polecił, przyglądając się bitwie na brzegu. Przemienieni wyskakiwali z szalup na płycznach czerwonych od krwi i szarżowali w górę plaży na formację czekających Panów Krwi. Doszło do jednej próby zmiany miejsca lądowania, ale tak naprawdę nadawało się do tego tylko jedno miejsce, i dobrze przygotowano jego obronę. Kiedy Arris przyglądał się, większość Przemienionych z kolejnej fali ataku padła pod gradem strzał. Pozostała garstka zaatakowała Panów Krwi, ale została wycięta w pień, prawie nie naruszając szeregu obrońców. Gdy tylko atakujący zostali wyeliminowani, Panowie Krwi przeprowadzili doskonale skoordynowany manewr, w wyniku którego w pierwszym szeregu znaleźli się wypoczęci żołnierze, a dotychczas walczący przeszli do tyłu, by odpocząć.

– Admirale – odezwał się kapitan marynarki Bouviet, wskazując w stronę zatoki. Zebrało się tam skrzydło smoków, ruszające właśnie w stronę floty, a w szczególności na *Tressam*.

Smokowiec admirała zdołał wypuścić w powietrze trochę smoków – małe, szybkie wywerny chwilowo zniknęły – które próbowały zaatakować nadlatujące skrzydło wywernów ZWS. Jednak część z tych ostatnich wyglądała na nieobciążone bombami i te zwróciły się przeciwko smokom Nowego Przeznaczenia. Doszło do krótkiej bitwy powietrznej, której efektem było spadnięcie do wody kilku jeźdźców i smoków, nie potrafił stwierdzić czyich, ale główne siły bombowe przebiły się i na jego ostatni smokowiec spadł deszcz napalmu.

– Zmiana kursu – zarządził admirał. – Kierujcie się do najbliższej fregaty. Musimy się wycofać.

Smoki ZWS skrzyły jednak na pomoc.

2– One też się wycofują? – zapytał kapitan.

– Raczej wracają na swoje smokowce – warknął admirał. – Które ruszą za nami krok w krok niezależnie od tego, co zrobimy. Płynicie do tej fregaty, szybko!

\* \* \*

– Myślę, że to już wszystko, sir – oświadczył Gunny Rutherford. Jego zbroję, tak jak kapitana, w całości pokrywała krew. Ostatnia grupa Przemienionych bardzo desperacko próbowała przerwać szeregi Panów Krwi.

– Sześciu zabitych, czternastu rannych. Większość z nich przeżyje.

– Gunny, czy to tylko mnie się tak wydaje, czy faktycznie było to tak śmiesznie łatwe? – zapytał kapitan. Nie lubił tracić ludzi, ale biorąc pod uwagę, że przeciwnik miał przynajmniej pięciokrotną przewagę liczebną, straty zdawały się wręcz niedorzeczne.

– Zawsze tak jest, sir – odpowiedział Gunny, zaciągając się cygarem i otrzepując je o skraj swojej powyginanej i przypalanej tarczy – kiedy wszystko właściwie się przygotowuje.

\* \* \*

– Flota Nowego Przeznaczenia ucieka na południe – zameldował Shar.

– Oba smokowce zatopione, razem z fregatami antysmoczymi. Zostały im tylko fregaty balistowe.

– Zostawcie je – zdecydował Edmund. – Dwa drednoty pełne łuczników spokojnie sobie z nimi poradzą. W jakim stanie są smoki?

– W taki czy inny sposób straciliśmy około tuzina – przyznał Shar. – Siedem rannych, które będą w stanie latać za kilka dni. Wszystkie srebrza-ki wróciły. I miałeś rację, na północy zauważono drednoty.

– Poleć, żeby przeniesiono dziewięć srebrzaków na drednoty, mają dla nich przygotowane stanowiska. Niech flota rusza na północny wschód. Mamy kolejne smokowce do upolowania.

Podniósł głowę, słysząc stukanie do drzwi i krzyknął: – Wejść!

– Admirale Talbot – zameldował posłaniec. – Sygnał od wielorybów przesłany z *Hazhira*: Kontakt nawiązany.

# ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Megan wróciła do zamku z karawaną jucznych zwierząt obładowanych ubraniami i żywnością, nieco silniejszą obstawą zapewnioną przez Malcolma Innesa i zdecydowaną niechęcią do jazdy konnej oraz społeczeństwa Gaelów. Nie podobała się jej prędkość, z jaką lokalni mieszkańcy powrócili do represyjnego i podzielonego płciowo społeczeństwa. Prawdę mówiąc, rozwścieczało ją to. Mirta jednak była tym znacznie mniej zirytowana.

Rozmawiały któregoś dnia po kolacji, gdy kuchnia została już w większości uprzątnięta i razem z Megan zajęły miejśca przy ogniu. Baradur przykucnął w rogu, jak zawsze obserwując ją w milczeniu. Od kiedy Jock przydzielił go do niej, nigdy się od niej nie oddalał. Spał przed drzwiami jej pokoju, próbował przeznaczonego dla niej jedzenia i sprawdzał nawet latryny, zanim mogła z nich skorzystać.

Mirta jak zwykle zajmowała się szyciem. Zebrała jakieś kawałki surowej wełny i szyła sobie właśnie lepszą sukienkę, gdy Megan zaczęła wylewać na nią swoje żale.

– Lubię Jocka McClure, lubię nawet Malcolma, pomimo całego tego jego „szaleństwa Gaelów”, ale to... ten... obóz niewolników jest nedorzeczny! Służba na polach, kobiety nie wpuszczane do głównej sali inaczej niż jako posługaczki. To *obrzydliwe*.

– Trochę – zgodziła się z nią Mirta, podnosząc na chwilę wzrok znad robótki, po czym wracając do szycia. – Ale dobrze pasuje do tego te cześćstwa. Czy pytałaś o to Jocka albo Florę?

– Nie – przyznała Megan. – Szczerze mówiąc, nie chcę go denerwować.

–. Możesz się zdziwić – powiedziała Mirta. – Wątpię, żeby mnie pamiętał ale spotkałam go już wcześniej. Był jednym z lokalnych książąt w Towarzystwie. Nigdy nie został królem, ale jest całkiem niezły z claymorem y toporem bojowym. Miły facet. Nie poznaję Flory, wtedy nie miał żony. Ale to niejeden z tych staromodnych szowinistów, na których natykało się czasem w Towarzystwie. I dogłębnie studiował historię. Trzeba więc sobie postawić pytanie, czemu się zmienił?

– Nie wiem. Nawet w Ropazji sytuacja nie wyglądała tak źle. A z tego, co słyszałam o Norau, zdołali utrzymać bardzo prosty system równouprawnienia. Tutaj wszystko jest takie... średniowieczne!

– I właśnie dotarłaś do sedna sprawy. – Mirta *zawiązała* nitkę. – Pozwól, że cię o coś zapytam: Czemu kobiety w czasach przedindustrialnych uważano za obywateli drugiej klasy?

– Ponieważ... – Megan urwała i chwilę się zastanowiła. – Ponieważ pilnowali tego mężczyźni w tych społeczeństwach?

– Do pewnego stopnia – przyznała Mirta. – Do pewnego stopnia. Ale powstaje pytanie, *skąd* się to wzięło. Czy mężczyźni i kobiety obudzili się któregoś dnia i zdecydowali: „dobra, od dzisiaj to faceci rządzą”? Co było najpierw, jajko czy kura? A konkretniej, rasa ludzka przeszła przez kilkaset tysięcy lat ewolucji społeczeństwa, w którym kobiety *niemal zawsze* stanowiły obywateli drugiej kategorii. Nawet w większości społeczeństw łowiecko-zbierackich, pomimo różnych traktatów usiłujących obalić ten nieprzyjemny dla nas stan rzeczy. Potem, gdy zaczęła dominować technika, kobiety nagle zyskały władzę. Co ci to mówi?

– Że wiesz, ale nie chcesz mi powiedzieć.

– Drogą do prawdziwego zrozumienia jest samodzielne udzielenie odpowiedzi na pytanie – przypomniała pogodnie Mirta.

– A podróż długości tysiąca mil czasem kończy się bardzo nieprzyjemnie – dodała Megan z krzywym uśmiechem. – Ale rozumiem – różnica Polega na technice. Choć wcale nie podoba mi się to

wyjaśnienie.

– Dobrze, przyjrzyjmy się aktualnej sytuacji – podjęła Mirta. – Spróbuj myśleć wyłącznie w ujęciu wartości ekonomicznej. Podstawą tutejszej ekonomii jest uprawa niewielkich pól i wypas owiec. Co robią drobni farmerzy?

– Orzą i koszą?

– Tak naprawdę dużo więcej, ale to wystarczy. Czego do tego potrzeba?

– Wołu? – roześmiała się Megan, pociągając łyk ziołowej herbaty, po czym zastanawiając się nad tym. – Nie wiem, nigdy nic takiego nie robiłam.

2– Poprawna odpowiedź jest taka, że do tych zajęć potrzeba sporej siły fizycznej – wyjaśniła kobieta. – Utrzymanie pługa w linii prostej wymaga ciągłych poprawek, co wiąże się z ustawianiem, a często i dźwiganiem spore konstrukcji z metalu i drewna. A im szybciej potrafisz orać, tym większą zaorzesz, i bardziej prawdopodobne jest, że zdołasz posiać we właściwym czasie. A przynajmniej zasiejesz *więcej*. Pomimo wszystkich genetycznych modyfikacji kobiety wciąż są słabsze od mężczyzn. Nie mamy też dość wytrzymałości do długotrwałej, ciężkiej pracy fizycznej. Mężczyźni potrafią orać czy machać kosą jeszcze długo po tym, gdy kobieta podobnej postury i kondycji padnie na ziemię. Owszem, obecne kobiety są lepsze w obu dziedzinach niż mężczyźni sprzed czasów modyfikacji genetycznych, ale mężczyźni także zostali usprawnieni. Hodowla owiec również wymaga sporo siły – nie wiesz, co to życie, dopóki nie próbowałaś ostrzyć owcy. Dźwiganie bel siana i wełny, kontrolowanie barana prowadzącego stado, koszenie kosą – to wszystko rzeczy, które mężczyźni robią lepiej od kobiet. Farmę może prowadzić kobieta i dwóch lub trzech mężczyzn, ale ta sama farma potrzebowałaby *sześciu lub siedmiu* samych kobiet. A one z kolei jadłyby tyle samo co mężczyźni. Praca należąca w takich kulturach do kobiet jest ważna, ale szczerze mówiąc, wszystko, co potrafią robić, poza rodzeniem dzieci, mogą też wykonywać mężczyźni. Kobiety zajmują się tym, co robią, ponieważ *nie potrafią* wykonywać pozostałych zajęć równie dobrze, jak mężczyźni. Przynajmniej w zdecydowanej większości.

– Wcale mi się to nie podoba – skomentowała Megan. – Ani trochę.

– Proszę bardzo, twoja wola. – Mirta westchnęła. – Ale taka jest prawda. W niektórych społeczeństwach – do pewnego stopnia w Ropazji i – z tego, co słyszałam – w większym stopniu w Norau – możliwe jest złagodzenie efektów względnej... bezwartościowości kobiet, i celowo użyłam właśnie takiego słowa. Mają prace o dużym znaczeniu ekonomicznym, urzędniczek, kierowniczek, projektantek – rzeczy, które mogą robić równie dobrze, jak mężczyźni. Jeśli się im na to pozwoli. Choć Ropazja kroczy P<sup>o</sup> drodze wyrugowania kobiet z tego rodzaju stanowisk. Przy Sheidzie jako królowej Norau, tam coś takiego nieprędka będzie możliwe. Nie mam p<sup>o</sup>jęcia, jak sytuacja ułoży się na dłuższą metę. Ale *na tych* ziemiach jest inaczej. Są na skraju przeżycia, nie *mają* urzędników i pracowników f<sup>o</sup> bryk. A najważniejszymi tu ludźmi *nie* są rolnicy i pasterze, a *wojownicy* ludzie, którzy potrafią utrzymać tarczę, wymachiwać mieczem i wytrzymać atak Przemienionych. Aby obronić ziemię, którą mają na uprawę i <sup>o</sup> dowłę. Oczywiście, nawet tutaj na pewno są kobiety, które się do tego n<sup>o</sup> dają. Ale generalnie mężczyźni są w tym lepsi. Podejrzewam, że trochę kobiet twierdzących, że są równie dobre jak oni. I przypuszczam, że większość z nich zginęła w takiej czy innej bitwie. Mężczyźni też ginęli, ale nie w takiej samej liczbie. Ponieważ mężczyźni są całkiem niezłe zaprojektowani do walki, a kobiety *nie*. Mogłaś zabić Paula, ponieważ użyłaś rozumu i wzięłaś go z zaskoczenia. Spróbuj zaatakować w środku bitwy mężczyznę o podobnej sile, wymiarach i wyszkoleniu, a jaki będzie efekt?

– Skopie mi tyłek – przyznała Megan, oglądając się na Baradura, który przyglądał im się ze spokojem i nieodgadnionym wyrazem twarzy. -i tak Uli się to nie podoba.

– Powtarzam, możesz sobie tego nie lubić do woli. – Mirta wyszczerzyła się radośnie. – Jest jeszcze więcej i to znacznie nieprzyjemniejszych rzeczy, ale niech ktoś inny ci o tym opowie. Jednak takie są *niektóre* z powodów, dla których ta grupa tak szybko wróciła do tradycyjnych ról.

– Jak to powstrzymać? – zapytała Megan. – Nie chcę, żeby moje wnuki harowały dla jakiegoś mężczyzny!

– Nie masz jeszcze nawet córek, kochanie – zauważyła Mirta. – Trochę za wcześnie, by się tym martwić. Ale wiem, o co ci chodzi. Cóż, ciekawe, jak to wygląda w Norau. Jestem pewna, że Sheida o tym pomyślała, a jeśli nie, na pewno zrobił to Edmund. Swoją drogą, znam oboje i oni *będą* pamiętać starą Mirtę – dodała z uśmiechem. – Och, te historie, które mogłabym o nich opowiadać!

– Nigdy mi nie mówiłaś, że ich znasz – zdziwiła się Megan, przechylając głowę na bok. – Kiedy to było?

– Dawno temu, dziewczątko – odpowiedziała Mirta. – W *dawnych* czasach, kiedy oboje byli tylko królem i królową Towarzystwa w Norau. Przez jakiś czas tworzyli fantastyczną parę. A potem Sheida popełniła błąd, przedstawiając Edmundowi swoją siostrę, i nastąpił koniec.

– Ile ty masz lat? – zapytała Megan.

Mirta Krupansky zawsze niechętnie odnosiła się do pytań o swój wiek. W haremie miało to sens – Paul wolał młodsze kobiety, a ona wyglądała, jakby niedawno przekroczyła dwudziestkę. I doskonale potrafiła zachowywać się jak nastolatka.

– Sto czterdzieści siedem – wyjawiała. – Nie wyglądam, prawda?

– Ani trochę – zgodziła się Megan. – I wciąż jesteś płodna?

– Nie miałam owulacji, dopóki nie zaczął się Upadek. – Zawiązała ostatni <sup>su</sup>Pełek i rozprostowała swoje dzieło. – Lepiej?

– Bardzo ładna – przyznała Megan. – Mirta pomysłowo przerobiła zwykłą, bezkształtną sukienkę, dodając jej zwężenie w talii i poszerzając stoprękawy, wycięła nieco przód i wyszyła brzegi. – Bardzo ładna.

2– Nie mogę się doczekać, żeby znów dostać jakieś przyzwoite tkaniny „Mirta westchnęła. – To jedyna rzecz, która podobała mi się w haremie. Aj mogłam tam robić tylko tę okropną bieliznę. Nie mogę się doczekać, żeby znów szyć *prawdziwe* sukienki. Krynoliny, kryzy i przyzwoite gorsety!

– W jaki sposób ustrzegłaś się przed zajściem w ciążę z Paulem? – zapytała Megan, nie chcąc porzucać tematu.

– Zawsze wiedziałam, kiedy mu się podsunąć, a kiedy wyglądać nieciekawie – wyjaśniła Mirta. – Pilnowałam dni, podczas których byłam płodna. Nazywa się to „metodą kalendarzyka” i jest zdumiewająco skuteczne jeśli zachowuje się trochę ostrożności. Choć przyznaję, że nie dorównuje wrotyczowi. Ucieszyłam się, kiedy zaczęłaś robić wywar. Ale mogłam ci podkraść tylko surowy, nie odważyłam się brać destylatu. Wiesz, że to śmiertelna trucizna, prawda?

– Ostrożnie ją testowałam – przyznała Megan. – Kradłaś mi zioła. Niezły z ciebie numer, wiesz?

– Jedyny i niepowtarzalny – zgodziła się Mirta z uśmiechem.

– I dziękuję za wyjaśnienie mi... warunków społecznych. Trochę łatwiej mi je zaakceptować, nawet jeśli mi się to nie podoba.

– Och, mnie się to też nie podoba – zapewniła Mirta. – I myślę, że skoro już do tego doszło, trudno będzie coś zmienić. Zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, że role podtrzymywane są przez warunki ekonomiczne. Sytuacja poprawi się po wybudowaniu choćby kilku młynów. Ale do tej chwili... – z rezygnacją wzruszyła ramionami. – Cóż, jest już późno, a twój okręt powinien przyplłynąć jutro rano. Sugerowałabym przespanie się.

– Chyba tak zrobię – zgodziła się Megan.

Gdy tylko wstała, Baradur zrobił to samo i wyszedł na korytarz, rozglądając się w obie strony, zanim ruszył przed nią w stronę jej pokoju. Przez chwilę w zamyśleniu przyglądała się plecom swojego ochroniarza.

– Baradur, słuchałeś rozmowy, którą prowadziłam z panią Mirtą?

– Tak, pani – potwierdził ochroniarz.

– Czy twój klan uważa kobiety za obywatelki drugiej kategorii? – zapytała.

– Nie, pani – odpowiedział, odwracając się, by spojrzeć na nią z szerokim uśmiechem. – Kobiety Chudai nigdy by na to nie pozwoliły!

– Czy one walczą? – zapytała.

– Nie, pani, o ile ktoś nie zaatakuje naszych domów – wyjaśnił ochroniarz, odwracając się z powrotem, by pilnować korytarza. Weszli na wąskie schody prowadzące do wysokiej wieży, którą oddano jej do użytku. „Wtedy walczą bardzo ostro, nikt nie walczy tak, jak kobiety Chudai n<sup>a</sup>

2p swoich domów. I zajmują się domami. Ale mężczyźni zawsze walczą więc muszą zajmować się również gospodarstwami. I mają głos w razie. Moja matka jest przywódczynią naszej wioski. Jest też przywódca, Barahadur. Dowodzi na wojnie.

– Jak myślisz, czemu u was wygląda to w ten sposób? – zapytała Megan, ostrożnie się wspinając. Schody były nieoświetlone i bardzo śliskie.

– Tak jest od zawsze – oświadczył Baradur. – Chudai są od dawna. Zawsze wojownicy. Kobiety chcą rodzić chłopców, ale dziewczynki są przyjmowane i kochane. Kobiety opowiadają o dawnych dniach, gdy inne plemiona zabijały dziewczynki jako bezwartościowe. Ale nie Chudai. Dawno temu przyszlismy z bardzo daleka. Walczyliśmy o tę ziemię, za Brytanię, jej królów, królowe i imperatorowe na całym świecie. Z czasem wojny zanikły i niektórzy z nas osiedli tutaj. Ale trzymaliśmy się starych zwyczajów, drogi strzelby, łuku i kukri, naszej mowy i sposobu życia. Teraz znów są wojny i Chudai ponownie ożyli. – Odwrócił się do niej i znów się uśmiechnął, z prawie niewidoczną w ciemności twarzą, choć błyskając białymi zębami. – To bardzo dobre czasy.

– Chcesz mi powiedzieć, że tobie się to *podobał* – zapytała poruszona Megan.

– Podoba, pani? – zapytał Baradur, gdy opuszczali schody. Sprawdził korytarz i zatrzymał się. – Gdybym mógł zmienić świat z powrotem, zrobiłbym to. Ale Chudai rodzą się do wojny. Baradur wyszedł z brzucha matki z kukri w dłoni. Od ojca nauczył się strzelby, łuku, kukri i podchodzenia. Chodzi tak cicho, że może dotknąć jelenia. Może zabić człowieka w namiocie, nie budząc przy tym pozostałych. *Urodziłem się do takiego życia*, pani. Zmieniłbym ten świat, ale nie dla siebie, tylko dla wszystkich biedaków, urodzonych do innego życia.

– Jesteś bardzo dziwną osobą, Baradur – przyznała Megan, gdy doszli do jej drzwi.

– Wszyscy tak mówią o Chudai, pani – przyznał Baradur z uśmiechem. Ochroniarz starannie sprawdził pokój, po czym wyszedł na korytarz. – Ale nikt nie twierdzi, że łatwo nas zabić. Możemy z tym żyć. Dobranoc, pani.

– Dobranoc, Baradur – pożegnała go Megan, wchodząc do oświetlonego świecą pokoju. – Jutro długi dzień. Odpocznij.

\* \* \*

– Czy mogę zapytać, gdzie jesteśmy tym razem? – odezwał się Herzer, Wchodząc na mostek z kubkiem kawy w dłoni. Pokład okrętu zdawał się piekielnie zimny po względnym cieple w dole i młodzieniec mocno objął kubek, grzejąc dłonie.

– Trzydzieści kilometrów od ujścia loch, fiordu czy jak to tam nazywa – wyjaśniła Some Karcher, prowadząc go do małej szafki kompasowej z mapą. – Jeszcze godzina do świtu, chwilę po nim powinniśmy go zobaczyć. Możliwe, że będziemy musieli trochę halsować, żeby gładko wejść do

zatoki, ale nie więcej niż raz.

– Co z wypuszczaniem smoków? – zapytał Herzer.

– Potrzebujemy ich? Według ostatnich wiadomości flota inwazyjna zbliża się do Balmoran, w okolicy nie powinno być żadnych poważnych przeciwników.

– W Brytanii są smoki – zauważył Herzer. – Chciałbym mieć w górze przynajmniej parę srebrzaków, jeśli nie więcej. Szczerze mówiąc, pani kapitan, sugerowałbym pełną formację.

Karcher popatrzyła na niego w słabym świetle latarni i zmarszczyła brwi.

– Czy to żądanie pierwszego oficera mojego kontyngentu smoków? – zapytała Karcher. – Czy może przedstawiciela admirała Talbota.

– Sądzę... że to prośba przedstawiciela księcia Talbota – oświadczył po chwili namysłu Herzer.

– Niezależnie od tego, czy dla ochrony, czy na pokaz, chciałbym wypuścić w powietrze pełną eskadrę smoków.

– Dobrze. Start o świcie?

– Proszę też wysłać wiadomości do jednostek wsparcia, by przygotowały do startu własne srebrzaki zaraz potem – poprosił Herzer. – Oraz kolejną do syren, by zapewniły nam osłonę podwodną. Popłynę na pierwszej łodzi, dowodzenie nad smokami obejmie komandor Gramlich.

– A co z pańską dziewczyną?

– Myślę, że Bast powinna popłynąć ze mną – uznał Herzer znów po namyśle. – Opieram się na niektórych komentarzach Jej Wysokości.

– Zgoda. No cóż, majorze, do roboty. – Tak jest.

\* \* \*

Megan dygotała w zimnym wietrze wiejącym z północnego wschodu, obserwując płynącą przez loch niewielką flotyllę. Żagle zauważono o świcie u ujścia i dziewczyny wraz ze sporym oddziałem z zamku udały się do kamiennego doku, który służył klanowi McClure za port.

Okazało się, że trochę się pospieszyły – okrętom sporo jeszcze brakowało do opuszczenia kotwicy – i musiały dość długo czekać. Ale oczekiwanie prawie się zakończyło. Zobaczyła, jak z burty smokowca opuszczane są szalupy, a chwilę później jedna z dziewcząt gwałtownie wciągnęła powietrze.

Z wody wyprysnęły foki. Nie, nie foki, selkie, każda z metalową kuszą na grzbiecie. Rozproszyły się po plaży otaczającej dok i zajęły stanowiska, osłaniając teren zdjętymi z pleców kuszami. Stało się jasne, że ktoś tam poważnie traktował to lądowanie – zapewniono osłonę zarówno z lądu, jak i z wody.

Kiedy o tym pomyślała, podniosła głowę do góry. W końcu przyplływający powyżej okręt to smokowiec. I faktycznie, w okolicy słońca na wschodzie zobaczyła skrzydło smoków. Kolejne zrywały się właśnie z masztów mniejszych okrętów, niewielkie i jaskrawo ubarwione stworzenia ze zdumiewającą prędkością wzbijające się w powietrze. W jednej chwili powietrze zrobiło się pełne smoków krążących po spiralach i przekazujących sygnały do okrętów.

Cały ten ruch odwrócił jej uwagę od zbliżających się łodzi i nie spojrzała na nie aż do chwili, gdy jedna z nich otarła się o kamienne molo. Na ląd wyskoczyli marynarze z linami, ale równie szybko na brzegu pojawił się potężny mężczyzna w zbroi legionisty, krzesząc na kamieniach iskry gwoździem w podeszwach butów.

Robił imponujące wrażenie, miał dobrze ponad dwa metry metalu i skóry, a na głowie rzucający cień na twarz hełm w rzymskim stylu zapięty pod brodą. Z powodu peleryny, zbroi i kiltu prawie go nie widziała. Mężczyzna podszedł do miejsca, gdzie czekała Megan w towarzystwie lairda McClure, i opadł na jedno kolano, kłaniając się.

– Pani Travante, major Herzer Herrick, siły lądowe ZWS. Królowa Sheida przydzieliła mi zadanie zapewnienia ci ochrony do czasu, aż będziemy mogli dostarczyć cię bezpiecznie wraz z towarzyszącymi ci osobami do Norau. – Mówiąc to, odpinał pasek hełmu i ściągnął go. – Jestem na twoje rozkazy.

Popatrzył w oczy Megan i dziewczyna poczuła, jak zamiera jej serce, unieruchomione przez jego ogniste, zielone spojrzenie.

\* \* \*

– Bast, choć ten jeden raz pozwól, że to ja zrobię wejście, dobrze? – burknął Herzer. – To moja praca.

– Dobrze, kochasiu – zgodziła się Bast, uderzając go w plecy dostatecznie mocno, by poczuł to przez zbroję. – Ale po prostu popisujesz się przed dziewczynami z haremu i dobrze o tym wiesz.

– Posiadaczka Klucza – przypomniał Herzer. – Z definicji członkini Rady. Nie wtrącaj się do spraw czarodziejów, bo są chytry i skorzy do gniewu. Ta dziewczyna zabiła Paula Bowmana, nie jestem pewien, czy *chcę* się spotykać z kimś, kto mógł zrobić coś takiego.

– Ze mną nie tylko się spotykasz, chłopcze! – wytknęła Bast.

– Ale czemu ona musiała to zrobić? – dziwił się Herzer, z uśmiechem zakładając hełm.

2– Touche – przyznała Bast.

Kobiety i Gaelowie przyglądali się smokom, tak jak się spodziewał choć czekał tam też jakiś niski mężczyzna o przysadzistej sylwetce i ciemnej skórze, wyglądający na doskonałego wojownika, który uważnie obserwował nadpływające łodzie. Herzer wyskoczył na brzeg, gdy tylko mary narze zaczęli cumować łódź, ale noga poślizgnęła mu się na kamieniach pomostu, krzesząc snop iskier. Nachylił się i nadał temu pozór standardowego sposobu lądowania Panów Krwi na potencjalnie niebezpiecznym brzegu, po czym wykręcił na pięcie i podmaszerował do czekającej grupy. Większość kobiet ubrana była w zupełnie bezkształtne i proste stroje, ale w grupie wyróżniała się też jedna niezwykle wysoka kobieta-ptak, która nie miała na sobie żadnego ubrania, poza pokrywającym ją puchem.

Herzer oderwał oczy od kobiety-ptaka, przenosząc spojrzenie na znacznie mniej spektakularną brunetkę, która nosiła na szyi łańcuch z zawieszonym Kluczem. Opadł przed nią na kolano i wyrecytował przygotowany tekst.

– Pani Travante, major Herzer Herrick, siły lądowe ZWS. Królowa Sheida przydzieliła mi zadanie zapewnienia ci ochrony do czasu, aż będziemy mogli dostarczyć cię bezpiecznie wraz z towarzyszącymi ci osobami do Norau. – Mówiąc to, odpinał pasek hełmu i ściągnął go. – Jestem na twoje rozkazy.

Ostatnie słowa utkwily mu w gardle, gdy poczuł, jak nagle zalewa go fala adrenaliny. Coś podobnego czuł dotąd jedynie w bitwie, ciężkiej walce z przeciwnikami, którzy mieli dużą szansę go zabić. Zaczerwienił się i zdał sobie sprawę, że się gapi.

A więc *tak* właśnie wygląda miłość od pierwszego wejrzenia.

\* \* \*

Kiedy Bast dostrzegła, że kobieta nieruchomieje, a Herzer zapomina języka w gębie, westchnęła w duchu. Czas przysposobić sobie nową zabawkę. Ale dalej przyglądała się dziewczynom towarzyszącym nowej członkini Rady i nagle wydała z siebie okrzyk radości.

– Mirta! – zawołała.

\* \* \*

Herzer potrząsnął głową, gdy Bast wykrzyknęła kobiecie imię i przemknęła obok niego, rzucając się serdecznie na kogoś niewiele wyższego od siebie.



– Najwyraźniej Bast spotkała przyjaciółkę – zauważył chrapliwie, wstając z mokrych kamieni. Obrócił się do Jocka McClure, próbując pamiętać o swoim zadaniu. – Laird McClure? Oprócz zabrania kobiet, którym z’ pewnił pan ochronę, mamy zaopatrzenie dla pańskich ludzi. Mamy dla was broń, tkaniny i narzędzia. Doceniłbym, gdyby dał nam pan jakichś ludzi, Iftórzy mogliby pomóc przy rozładunku.

– Nie aż tak, jak ja doceniam dostawę – odpowiedział laird. – Natychmiast zaczniemy.

– Herzer! – krzyknęła Bast, ciągnąc kobietę do przodu. – Musisz poznać Lirtej.

– Witam, pani – odezwał się, zerkając na członkinię Rady, Megan. Przez chwilkę powtarzał w duchu to imię, próbując nie dodawać do niego „Herrick”, po czym ujął drobną dłoń przyjaciółki Bast. – Przyjaciele Bast, i tak dalej. Miło m i cię poznać.

– Nie tak miło, jak mnie poznać ciebie – powiedziała Mirta, patrząc na niego jasnymi oczami. – Jestem gotowa opuścić tę mroczną ziemię. – Z nagłym niepokojem obejrzała się na lairda. – Nie, żebym nie była wdzięczna...

– Wszystko w porządku. – McClure wzruszył ramionami. – Niektóre z wyżyn są takie, inne nie.

– Jeśli można – odezwała się skrzydlata kobieta, występując do przodu. – Wolalabym polecieć na statek. Nie lubię małych łodzi i... – Wzruszyła ramionami, otrząsając przy tym skrzydła. – Niezbyt się w nich mieszczę. Zazwyczaj próbuję balansować i...

– Proszę bardzo – zgodził się Herzer. Spojrzał w górę i wypatrzył jeźdźca przyglądającego się grupie, po czym zasygnalizował mu, że kobieta-ptak wzbija się w niebo. – Proszę bardzo – dodał. – Pani Travante...

– Proszę, mów mi Megan – odezwała się cicho.

– A więc, Megan – kontynuował, próbując nie patrzeć jej w oczy – zechciałabyś wejść do łodzi? – zapytał, wyciągając dłoń. Kiedy ją ujęła, poczuł, jak przez jego ciało przechodzi dreszcz, i ostrożnie opuścił dziewczynę do czekającej szalupy. Niski mężczyzna, który wyraźnie pełnił funkcję ochroniarza, wsiadł zaraz po niej i Herzer musiał wyciągnąć rękę, gdy do łodzi ruszyły pozostałe kobiety. – Możemy wziąć tylko pięć osób. Bast...

– Zostanę tu z Mirtą – zdecydowała elfka, uśmiechając się szeroko. Mrugnęła do niego i uśmiechnęła się jeszcze promienieją. – Może odwiesz na pokład *Megan* i pokażesz jej kajutę?

– Wezmę ze sobą Shaneę i Amber – wybrała Megan, wskazując na dwie kobiety.

– Bast, przygotuj podział na grupy, dobrze? – poprosił Herzer, wchodząc do łodzi. – Ruszamy, płynicie na *Hazhira*.

\* \* \*

W drodze na okręt Megan usiłowała uporządkować swoje uczucia. Nie wierzyła w miłość od pierwszego spojrzenia, ale jej reakcja nie mogła być niczym innym. No, może pożądaniem. Herzer stanowił przypadek najb<sub>ar</sub> dziej... męskiego faceta, jakiego kiedykolwiek spotkała. Potrzebowała też dłuższej chwili, by zauważyć, że brakuje mu lewej dłoni, a zastępują ją jakiegoś rodzaju złożona proteza. Twarz również miał pokrytą bliznami zjedną biegnącą od ucha do szczęki i drugą na przeciwnym policzku. W którymś momencie miał złamany nos, który w efekcie został lekko zniekształcony. Pomimo tego był przystojny, nawet bardzo. Zbyt. Musiała się opanować.

– Majorze... Herrick, tak? – zapytała Megan.

– Tak, pani – potwierdził Herzer, po czym odchrząknął.

– Słyszałam już to nazwisko – przypomniała sobie nagle Megan. – Paul nienawidził pana niemal równie mocno, jak księcia Talbota.

Herzer uśmiechnął się nagle i uświadomiła sobie, że jest znacznie młodszy, niż z początku się jej zdawało, może nawet w jej wieku. Sądziła, że ma blisko setki.

– Nie wie pani, jak bardzo mnie to cieszy – oznajmił wciąż z uśmiechem. -l czy mogę pogratulować pani jej dzieła?

– To było... okropne – wydusiła z siebie, otrząsając się, nie tylko z powodu wiatru od morza.

– Zabijanie takie jest – potwierdził łagodnie Herzer, ściągając pelerynę i owijając ją nią. Tkaninę wciąż przenikało ciepło jego ciała i przepełniał jego zapach. Otuliła się nią ciasno, by lepiej odebrać oba doznania. Z jakiegoś powodu przestała marznąć. Właściwie czuła się, jakby miała gorączkę. Boże, czuła się okropnie.

– Nigdy wcześniej nikogo nie zabiłam powiedziała, nachylając się nagle ku niemu.

– Zabijanie jest trochę jak seks – łagodnie zauważył Herzer. – Zawsze pamięta się swój pierwszy raz. Potem trochę się to wszystko zlewa. Przepraszam, jeśli...

– Mam nadzieję, że nigdy nie dotrę do punktu, w którym zacnie mi się to zlewać. – Megan odchyliła się, patrząc na niego. – Ale cieszę się, że są dobrzy ludzie, którzy w razie potrzeby potrafią to zrobić.

– „Dobry” to pojęcie względne, pani – zauważył, wzruszając ramionami.

– Prosiłam cię, żebyś mówił mi po imieniu – przypomniała, patrząc mu w twarz. Odwrócił się od niej częściowo, przyglądając się okrętowi.

– „Dobry” to pojęcie względne... Megan – powtórzył, zaciskając szczęki. – Większość żołnierzy, którzy są dobrzy w wojnie to zimne dranie. I z radością umieszczam w tej kategorii siebie i księcia Edmunda.

2W takim razie chwilowo jesteś *moim* zimnym draniem – oświadczyła i, nagle wybuchając śmiechem. – Dziękuję za przyplnięcie po nas. Po co te wszystkie smoki?

– W pobliżu są oddziały Nowego Przeznaczenia, pa... Megan – wyjadł Herzer, wskazując na sternika. – Gdyby przyszło do walki, wolę mieć swoje smoki w powietrzu. Swoją drogą, powinnaś była wsiąść ostatnia, wtedy mogłabyś pierwsza wysiąść. W tej sytuacji zajdzie konieczność przepychania się.

– Twoje smoki? – zapytała Megan.

– Właściwie komandor Gramlich – uściślił, marszcząc brwi z powodu liczby ciał przeszkadzających dziewczynie w dostaniu się na dziób szalupy. – Jestem pierwszym oficerem smoczego kontyngentu.

– Myślałam, że jesteś Panem Krwi? – zapytała, gdy łódź zatrzymała się przy pływającej platformie. Z pokładu prowadziły na nią krótkie schody i widziała ustawionych w dwusereg na pokładzie marynarzy.

– Och, jestem – potwierdził młodzieniec. – Ale Pan Krwi to bardziej stan ducha niż opis pracy. W tej chwili jestem pierwszym oficerem smoków. Pani, czy nie miałabyś nic przeciw temu, gdybym nieco się spoufalił i przeniósł cię przez burtę? To chyba najprostszy sposób dostania się na okręt.

– Proszę bardzo – zgodziła się Megan, wstając ostrożnie w chwiejnej łodzi. Dotarło do niej wreszcie, że jej niepokój przynajmniej w części wynikał z mdłości. Miała głęboką nadzieję, że nie zwymiotuje zaraz na oczach wszystkich.

Herzer objął ją w talii i uniósł jak piórko nad burtą łodzi, stawiając na platformie. Równocześnie jej ochroniarz przycisnął się obok marynarzy i zajął pozycję obok niej.

– Panie, wy możecie zejść przez dziób łodzi – zaoferował Herzer, wskazując właściwe miejsce.

# ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Bast wsiadła do ostatniej odpływającej szalupy wraz z Mirtą i jeszcze jedną kobietą. Klepnęła krawcową w ramię i potrząsnęła głową.

– Nie mogę uwierzyć, że Paul Bowman wykazał się aż taką głupotą, by wziąć cię za jakąś nastolatkę – oznajmiła z szerokim uśmiechem.

– Potrafię bawić się w tę grę równie dobrze jak ty, przedwieczna – wyznała radośnie Mirta. – A swoją drogą widziałas Megan? Wyglądała, jakby ktoś walnął ją wiosłem między oczy.

– Herzer jest równie dobry – dodała Bast. – Wygląda to jak wtedy, gdy Edmund po raz pierwszy zobaczył Daneh. Sheida po prostu dobrze się bawiła, ale jej siostra, uuuch! Muszę sobie teraz przysposobić nowego kochaneczka.

– Oboje tak bardzo starają się zachowywać, jakby nikt nic nie zauważył – wtrąciła się druga z kobiet.

– Bast, to Ashly – przedstawiła ją Mirta. – Miałyśmy swoje spory, ale chwilowo jesteśmy w stanie zbrojnego rozejmu.

– Mirta! – Ashly potrząsnęła głową.

– Och, zapowiada się nam urocza podróż – stwierdziła Bast, chichocząc. – Jednak, jeśli dojdzie do wydrapywania oczu, stawiam swoje pieniądze na Mirtę.

– Poświęciłam dużo wysiłku zbudowaniu sobie reputacji osoby całkowicie nieszkodliwej – wyjaśniła Mirta, marszcząc brwi. – Nie jestem pewna, czy chciałabym to teraz zmieniać. I jak, popłyniemy prosto do Norau? – zapytała, patrząc na Bast i ignorując Ashly.

2Nie wiem – przyznała elfka. – Myślę, że nie. Trwa duża bitwa. Do zbliża się flota inwazyjna... dotrze tam dziś albo jutro. Będziemy potrzebować smokowca.

– Czyli z więzienia trafimy w środek bitwy? – warknęła Ashly. – To czyste szaleństwo.

– Cały świat oszalał – oznajmiła z uśmiechem Bast. – Nie wiedziałas?

\* \* \*

– To szaleństwo – zmęczonym głosem wymamrotała Rachel.

Wciąż pozostawała jedyną lekarką w szpitalu, a w miarę jak zbliżała się do nich wroga flota, liczba wypadków drastycznie się zwiększyła. Zaczęła sypiać w dyżurce, zamiast w przyjemnie urządzonej pokojach przeznaczonych na jej kwatery. Ponieważ wzywano ją co noc, uznała, że nie warto tracić czasu na pięćdziesięciometrowy marsz.

Oprócz ofiar wypadków, legion przysyłał jej pacjentów po operacjach. Na pewnym poziomie miało to sens – szpital stanowił dla chorych o wiele lepsze miejsce niż ciekący namiot. Z drugiej strony nie miała dość personelu, by właściwie zaopiekować się rannymi żołnierzami.

W ciągu dnia, między poszczególnymi sytuacjami kryzysowymi, szkoliła swój personel, niestety, przeważnie podczas ćwiczeń praktycznych. Dwóch felczerów ledwie kwalifikowało się na pielęgniarzy, a pielęgniarki potrafiły spełniać wyłącznie proste polecenia. W końcu musiała przeprowadzić operację pacjenta z uszkodzeniami wewnętrznymi, ale kiedy to zrobiła, było już za późno i doświadczenie bardzo nieprzyjemnie na nią wpłynęło. Pielęgniarki nie znały nawet narzędzi ani wewnętrznej budowy ciała i oczekiwanie od nich pomocy w trudnej operacji okazało się chybionym pomysłem. Jednak nawet przy najlepszym personelu pielęgniarskim nie było szans na uratowanie pacjenta. Miał przebitą śledzionę i uszkodzoną wątrobę. Przeżył operację, ale po prostu... zmarł wkrótce po niej.

Poleciała dwom najlepszym pielęgniarkom nauczyć się budowy wewnętrznej człowieka i kazała im asystować w łatwiejszych operacjach nastawiania otwartych złamań.

Tak naprawdę jednak czuła się kompletnie nie na swoim miejscu. Zdecydowanie przewyższała wiedzą i poziomem wyszkolenia swój personel, ale zdawała sobie sprawę, że wciąż wie bardzo mało. Do tej pory, gdy miała jakieś wątpliwości i pytania, zawsze mogła polegać na niesamowitej wiedzy swojej matki. Tutaj musiała zdać się wyłącznie na siebie.

Co więcej, za mało sypiała, podobnie jak jej personel. A teraz, przy siłach inwazyjnych odległych zaledwie o dzień drogi, połowa personelu, włącznie z obydwojma felczerami i jedną z „przeszkolonych” pielęgniarek

2po prostu znikła. To było szaleństwo. W tych warunkach nie istniały żadne możliwości zapewnienia jakiegokolwiek przyzwoitej opieki medycznej.

– Nie ma ich w kwaterach – powiedział Zahar, potrząsając głową. – Całe miasto jest ewakuowane, nie bardzo mogę ich winić.

– Ja mogę – gorzko rzuciła Rachel. – Nie wolno tak po prostu zostawić swoich pacjentów!

– Mówi się, że legion nie zdoła ich powstrzymać – ponuro zrelacjonował administrator. – Mają nad nami czterokrotną przewagę liczebną, a my musimy utrzymać długą linię umocnień. I kto wie, gdzie jest flota?

– Flota, którą dowodzi mój ojciec – zauważyła Rachel – robi to, co musi. I moim zdaniem można być pewnym, że Balmoran zajmuje wysokie miejsce na liście jego priorytetów. Oraz, że cokolwiek robi, jest skuteczne.

– Doktor Ghorbani – przez drzwi do jej biura zajrzał Keith – wiozą nam tu pacjenta z legionu. Poważna rana głowy. Lekarz legionu mówi, że nie mają kwalifikacji do poradzenia sobie z tym, więc wysyłają go do pani.

– To szaleństwo! Co jeszcze?

\* \* \*

– Co jeszcze się wydarzy? – rzucił niezadowolony Edmund. Flota przedzierała się przez ciężki sztorm, poszukując pozostałych smokowców wrogiej floty i mając nadzieję, że znajdą jednostki Nowego Przeznaczenia, zanim one natrafią na *Hazhira*.

– Niestety, to, co się jeszcze wydarzy, to gorsze wiatry – odpowiedział Shar. – Raporty z drugiej strony sztormu donoszą o silnym wietrze z północnego wschodu, a dalej o dużym obszarze wysokiego ciśnienia.

– Co oznacza *brak* wiatru – skomentował Edmund.

– Zgadza się.

– Jakież wieści o *Hazhirzel*

– Są na pomoc od sztormu, żeglują na zachód. Na północ jest też flota Nowego Przeznaczenia. Próbuje zmniejszyć odległość między flotą bojową a inwazyjną. Drednoty są na zachód od sztormu i płyną z przyzwoitą prędkością na północ, do Balmoran. Wszystko, co możemy zrobić, to przeczekać, a potem wrócić do gry.

– Czy jest jakiś sposób na uniknięcie tej ciszy? – zapytał Edmund. – Opłynięcie i uniknięcie obszaru wysokiego ciśnienia?

– Możemy pożeglować w stronę brzegu i płynąć za drednotami – zasugerował Shar.

– W ten sposób znaleźlibyśmy się między lądem a flotą Nowego Przeznaczenia – zauważył Edmund. – Mając niewielką możliwość manewru.

– Prawda – zgodził się Shar. – Ale na wschód sztorm rozciąga się prawie do Brytanii, więc z tej strony go nie ominie.

– Skręć na zachód – zdecydował Edmund. – Nie możemy sobie pozwolić na unieruchomienie przez dwa dni. Zwłaszcza *te* dwa dni. Zaryzykujemy schwytywanie w kleszcze.

\* \* \*

– Legionista nie wygląda za dobrze, pani doktor – odezwał się Keith od drzwi biura Rachel.

Sanitariusz kręcił się tu cały czas, nie była pewna, czy z powodu strachu przed inwazją, czy po prostu uważał ją za atrakcyjną, ale w tej chwili naprawdę jej to nie obchodziło. Chciałaby po prostu, żeby sobie poszedł.

– Owszem, nie wygląda – zgodziła się, nie podnosząc głowy znad przeglądanej właśnie medycznego tekstu.

– I nie oddycha zbyt dobrze – dodał sanitariusz.

– Zgadza się.

– Co z nim jest? – zapytał nie spieszony Keith. – Poza tym, że ma zapadnięty bok głowy?

– Krwiak podtwardówkowy mózgu – wyjaśniła Rachel, wzdychając.

Legionista został mocno uderzony przez drewniany słup w trakcie wznoszenia fortyfikacji Balmoran. Wiedziała, że będzie musiała dokonać trepanacji, czyli otworzyć mu czaszkę w celu zmniejszenia ciśnienia na mózg, zanim opuchlizna spowoduje nekrozę. Miała już okazję *asystować* w trepanacji, ale nigdy sama jej nie *robiła*, a po utracie pacjenta, na którym przeprowadziła swoją pierwszą poważną operację, nie uważała się za zbyt szczęśliwą.

– Pod... co?

– Możesz to uznać za stłuczenie mózgu – warknęła Rachel. – Słucha Keith, jestem tu dość zajęta...

– Przepraszam, pani doktor – odezwał się sanitariusz. – Kto pani pomoże?

– Pani Katherine – odpowiedziała Rachel. – Uuuuch...

– Nie mów mi, że ona też uciekła!

– Pani doktor, obawiam się, że została tylko pani, ja, i administrator – wyjaśnił żałośnie chłopak.

– Co? – Rachel znieruchomiała, po czym spojrzała na niego i potrząsnęła głową. – Czemu *ty* wciąż tu jesteś?

– Nie mam gdzie pójść – przyznał szczerze sanitariusz.

– Cóż, w takim razie idź się wyszorować – poleciła Rachel. – Właśnie zostałeś awansowany na pielęgniarza.

– Czy przez całą podróż będziemy tylko siedzieć w kabinie? – zapytała Shanea.

Megan podniosła wzrok znad świetlnej rzeźby, nad którą pracowała. Teraz, kiedy wreszcie dysponowała wolnym czasem, zajęła się badaniem ilości dostępnej jej energii. Nie miała jej wiele – dość na jedną teleportację? dziennie, zakładając, że miałyby się gdzie przeteleportować, i bardzo niewiele innych programów. Nie dość, by stworzyć cokolwiek wartościowego. Ale wystarczyło na odrobinę telekinezy i tworzenie świetlnych rzeźb. Eksperymentowała z nimi. Warto byłoby poświęcać czas, gdyby udało się jej stworzyć dostatecznie wiarygodną iluzję.

– Zamierzam tu zostać przez większość czasu – przyznała Megan. – Spojrzała na dziewczynę i wzruszyła ramionami. – Chyba przyzwyczaiałam się do zamknięcia. Szczerze mówiąc, na zewnątrz jest trochę *zbyt* dużo przestrzeni.

Okręt żeglował na zachód w umiarkowanym wietrze, ale raz wyszła na pokład i zaskoczyło ją, jak nieprzyjemnie czuła się nawet na lekkiej bryzie. Panował tam straszny chłód, a na dodatek przerażał ją niezmierny bezkres oceanu.

Zresztą nie pomagało jej też nastawienie załogi – traktowali ją niczym jakąś boginię. Nawet Shanea i pozostałe dziewczyny nie odnosiły się do niej tak jak dawniej. Zdawała sobie sprawę, że w części wynikało to z brutalnego sposobu, w jaki usunęła Paula Bowmana. Najwyraźniej, gdy poszła

po ciężarne kobiety, któreś z dziewcząt weszły do pokoju i zobaczyły, jaki spotkał go los. Ale oprócz tego otaczał ją mistycyzm członkini Rady. Załoga patrzyła na nią jak na kogoś kto mógłby ich w każdej chwili zmienić w żaby, gdyby tylko w jakiś sposób się jej narazili. Dziewczyny – albo z tych samych powodów, albo przejmując zachowania załogi – zaczynały podchodzić do niej podobnie. Jakby miała zamieniać je w żaby lub oblewać kwasem.

Było tylko kilka osób, przy których nie czuła się niepewnie: Bast, Amber, Shanea i major Herrick. Bast przeważnie swawoliła w olinowaniu, Shanea i Amber odwiedzały ją w kabynie, a major Herrick... Tak naprawdę nie chciała o nim myśleć. A on zdawał się czuć to samo. A w każdym bądź razie usilnie starał się jej unikać. Za każdym razem, gdy zapraszała oficerów na posiłek do swojej kabiny, miał „inne obowiązki”.

Oczywiście dochodził do tego Baradur. Jak zawsze spędzał czas przed drzwiami jej kajuty. Jakby stojący obok żołnierz nie zapewniał dostatecznej ochrony.

2– Powinnaś przynajmniej pójść porozmawiać z majorem Herrickiem – zasugerowała Shanea. – Wiem, że go lubisz.

– Shanea... – odpowiedziała Megan, po czym westchnęła. – Lubię go. Ale wydaje mi się, że miałam ostatnio dość mężczyzn w życiu.

– Tylko Paula – zauważyła szczerze poruszona Shanea. – Nie sądzę, żeby Herzer go przypominał. Z tego, co słyszałam, jest całkiem niezły w łóżku.

– Shanea! – wykrzyknęła Megan. – Naprawdę nie sądzę, żebym chciała o tym rozmawiać, dobrze?

– Cóż, ja idę się przejść – oświadczyła dziewczyna. – Jeśli nie masz nic przeciw.

– Nie mam – zapewniła Megan z uśmiechem. – To, że sama bawię się w pustelniczkę, nie oznacza, że ty też musisz.

\* \* \*

Herzer opuścił właśnie pokład smoków, gdy na środkowy pokład wyszła Shanea. Ukłonił się jej.

– Jak się pani dziś czuje, pani Shaneo? – zapytał formalnie.

– Och, mów mi po prostu Shanea – uśmiechnęła się blondynka. – Całkiem nieźle. Jak tam smoki?

– Bardzo dobrze – przyznał Herzer. – A członkini Rady?

– Członkini Rady postanowiła resztę podróży spędzić w ukryciu – oświadczyła dziewczyna w chwili, gdy z olinowania zeskoczyła Bast. – Cześć, Bast.

– Czołem Shanea – rzuciła elfka. – Jak twoje sztuczki?

– Ostatnio żadnej nie próbowałam – odrzekła Shanea, marszcząc brwi. – Myślisz, że powinnam?

– Może kiedy zejdziemy już na brzeg – wtrącił się Herzer. – Czy pani Travante dobrze się czuje?

– Ona po prostu nie chce wychodzić na pokład. – Shanea wzruszyła ramionami. – Przez cały dzień bawi się świetlnymi rzeźbami.

– Światłem i czymś więcej – zauważyła Bast. – Wyczuwam przetwarzanie mocy. Myślę, że uczy się i poznaje swoje możliwości.

– Cóż, to chyba dobrze – zauważył Herzer.

– Może poszedłbyś ją odwiedzić? – zasugerowała Shanea. – Myślę, że byłaby z tego zadowolona.

– Ja... nie wydaje mi się wymigał się. – Muszę... iść porozmawiać z kapitanem. Mam nadzieję,

że zobaczymy się później.

– Kiedy? – zapytała Shanea. -1 czy nie powinieneś zapytać Bast?

– To nie... muszę porozmawiać z panią kapitan – oświadczył Herzer, salutując i wycofując się na mostek.

2– Co ja takiego powiedziałam? – zapytała Shanea, zwracając się do Bast.

– Gdybym nie była tak dobra w ocenie ludzi – mruknęła Bast – pomyślałabym, że naśmiewasz się z biedaka. Ale... myślę, że chyba nie potrafię tego wyjaśnić. Jak się odnosisz do wysokości?

– Nie boję się jej.

– Dobrze. – Bast chwyciła ją za rękę. – Chcę ci coś pokazać w takielunku.

– Muszę ci coś wyznać – powiedziała Shanea, gdy wspinały się po drabinkach.

– Tak?

– Do zabawy wolę chłopców.

– Cóż, może nikt nie uwierzy, ale wcale *nie to* chciałam ci pokazać.

\* \* \*

– Pani kapitan – odezwał się Herzer, dotykając palcami czoła. – Proszę o pozwolenie wejścia na mostek.

– Udzielam – odparła z uśmiechem Some Karcher.

– Słyszałem, że mamy raport o stadzie orek – Herzer zerknął na mapę. Mapy odtajniono, gdy tylko plany Edmunda przestały być tajemnicą, i major zbladł, gdy popatrzył na aktualizowaną na nich sytuację taktyczną. *Hazhir* żeglował między flotą bojową Nowego Przeznaczenia i flotą inwazyjną. Najwyraźniej próbowali prześliznąć się przez szczelinę i dotrzeć do bazy w Newfell. Gdyby zauważyła ich któraś z flot, obie spadłyby na nich niczym wilki na owcę.

Z drugiej strony owca miała zęby, którymi mogłaby gryźć szkło.

– Wesole, prawda? – mruknęła Karcher, posyłając mu jeden ze swoich kocich uśmiechów. – Najgorsze jest to, że zbliża się do nas obszar wysokiego ciśnienia i stracimy trochę wiatru. Zostaniemy wtedy *unieruchomieni* między obiema flotami. To dlatego wysłałam syreny i delfiny na poszukiwanie orek – nie chciałam, żeby wiedzieli o obecności smoków. Tutaj mogłoby to oznaczać wyłącznie obecność smokowca.

Herzer otworzył usta i ponownie je zamknął.

– I tak biorę pod uwagę możliwość ataku spod wody – dodała kobieta. – Ale płyniemy z prędkością prawie czterdziestu klików. Kraken miałyby duże problemy z nadążeniem za nami.

– W takim razie, jeśli nie ma pani nic przeciw, chciałbym przygotować wywerny do startu. – Zarówno powelle, jak i srebrzaki. Tak na wszelki wypadek.

– W porządku, to dobry pomysł. Proszę się tym zająć. – Tak jest.

2– Proszę – zawołała Megan, słysząc pukanie do drzwi.

– Czołem – rzuciła Bast, wchodząc i sadowiąc się na koi, jednym z niewielu miejsc, gdzie można było to zrobić. – Długo tu siedzisz.

– Tu czuję się lepiej – burknęła szorstko Megan. – I nie przeszkadzam w pracy okrętu.

– Oraz nie musisz widzieć nieba – dodała Bast. – Nie musisz też patrzeć na rozciągającą się z każdej strony aż po horyzont wodę, niemal w nieskończoność. Co będzie, jeśli coś się stanie, jeśli żaglowiec zatonie...

– Bast...

– Ludzie zawsze to mówią, ale nigdy nie działa, nawet dla członkini Rady – prychnęła Bast z niewzruszoną twarzą. – Wiesz, co czyni ludzi ludzkimi?

– Nie – *TprzyTm&di*. Megan zaskoczona nieoczekiwanym pytaniem.

– Interakcje z innymi ludźmi, mieszanina w kotle społeczeństwa – wyjaśniła elfka, odpinając szablę i wyraźnie przygotowując się na dłuższy pobyt. – Pustelnik przeżywa wyłącznie własne myśli. Przeważnie ponure. Myśli o strachu przed zewnętrznym światem, strachu przed władzą, strachu przed porażką, przez cały czas o strachu. Strach wzmacnia strach.

– Miałam dość odwagi, by zabić Paula Bowmana – ostro zaprotestowała Megan. – Ja po prostu... nie lubię morza.

– Za duże – zgodziła się Bast, kiwając głową. – Może nas połknąć, jakbyśmy nigdy nie istnieli. Rozumiem. Choć jest tu więcej strachu. Tak sobie myślę, że boisz się siebie.

Bast czekała, podczas gdy Megan tworzyła obraz kwiatu, mamrocząc coś pod nosem. Obraz szerniał nagle i zapadł się.

– Nie chcę o tym rozmawiać – zachnęła się dziewczyna.

– Ale potrzebujesz tego – odrzekła Bast i znów podjęła czekanie.

– Myślisz, że możesz mnie przetrzymać? – zapytała Megan, przywołując kolejną figurę. Ta z początku przedstawiała twarz, ale zdawała się wbrew jej woli przekształcać w czaszkę. Ją też przegnała.

– Mam tysiące lat – przypomniała Bast. – Będę żyła dłużej od ciebie, nie tylko czekała.

Megan zaczęła przywoływać kolejną strukturę, ale opuściła ręce.

– Czasami... – powiedziała po długiej ciszy, po czym urwała. Bast odpięła od pasa manierkę i rzuciła ją Megan.

– Napij się – zaproponowała. – Pociągnij zdrowo i rzuć do mnie. Sama też trochę potrzebuję.

– Co to? – zapytała Megan, wachając napój. Nie miała wątpliwości, że zawiera alkohol.

– Gdybym była prawdziwym elfem, zaczęłabym wydawać tajemnicze dźwięki. Ale to marynarski rum. Wysokoprocentowy. Pociągnij zdrowo. Wyrosną ci od tego włosy na kłacie.

– Nie chcę mieć włosów na piersiach – oświadczyła Megan, po czym napiła się z manierki. – Boże, ale to ostre!

– Może też wypalać włosy – przyznała zgodnie Bast. – Przydaje się i do zmywania farb. Napij się jeszcze. A potem zacznij od początku. Gdzie spotkałaś Paula?

Tak więc Megan zaczęła od początku. Jak Paul znalazł ją piorącą ubrania. Pracowała jako służąca u okolicznej pary. Umiała wiele rzeczy, które mogły zapewnić jej lepszą pracę, ale nie w małym galijskim miasteczku, w którym wylądowała po Upadku. Wtedy cieszyła się, że dostaje resztki ze stołu i ma czas zastanowić się nad sposobem ucieczki z tamtej dziury. W haremie zdobyła sobie względnie bezpieczną pozycję i nie straciła jej, gdy nadszedł jej czas u Paula. Ale wstrząsnął nią nie tyle sam gwałt, co nieustanny stres związany z koniecznością utrzymania pozycji, przy równoczesnym planowaniu zabicia Bowmana. To uczucia, które narastały w niej wraz z upływem miesięcy i lat. W miarę jak zaczęły się z niej wylewać słowa, z początku urywane, później ciągłym strumieniem, można było odnieść wrażenie, że okręt wpadł w sztorm, choć fale za oknem wyglądały tak samo. Manierka rzucona do Bast lądowała w różnych miejscach i nie potrafiła też już jej złapać. W końcu przeniosła się na koję, a Bast siadła na końcu.

– Nie chciałam go kochać – powiedziała Megan żałośnie. – I na końcu nie chciałam go też zabijać. Nie ufam sobie. Mam w sobie tę słabość, którą odkryłam w służeniu. Brzydzi mnie to.

– Ale gdybyś tego nie odkryła, oszalałabyś lub skończyła jak Amado – zauważyła Bast, odwracając manierkę do góry dnem. – Szlag, nie zostało ani kropli.

– Mirta nie oszalała – zauważyła Megan.

– Prawda – zgodziła się Bast. – Nie mogła walczyć i wygrać. Nie mogła uciec. Zrobiła najlepsze, co mogła z jej ciałem i mózgiem. Myślę, że bardzo dobrze sobie poradziłaś, nawet



pomijając zabicie Paula Bowmana.

– Nawet pomijając to, że się w nim zakochałam? – zapytała gorzko Megan. – Czuję się... złamana. Jakby nie było już we mnie nic metalowego.

– A jednak przetrwałaś i zabiłaś Paula – zauważyła Bast. – Masz w sobie mnóstwo metalu. Dobrego i mocnego, twardszego niż przed twoim testem.

2– Ale co z tym... służalczym instynktem? – zapytała Megan. – Wszyscy czegoś chcą i ciągle chciałabym ich zadowalać. Nigdy wcześniej nic takiego nie czułam. I naprawdę *kochałam* Paula. – Urywanemu głosowi towarzyszyły teraz łzy. – Jak mam sobie ufać? Jak mam ufać uczuciom do...

– Herzera – dokończyła z uśmiechem Bast. – Wszystko w porządku, wiedzą o tym wszyscy, którzy mają oczy. Wierz mi, Herzera łatwo jest pokochać.

– Ale skąd mam wiedzieć, czy nie rzuciłam się po prostu na pierwszego rozsądnie wyglądającego mężczyznę, jaki wpadł mi w oczy? – zapytała gorzko Megan. – Herzer jest pierwszym spotkanym mężczyzną, który... wygląda dobrze.

– Malcolm Innes? – zapytała Bast.

– Skąd o nim wiesz? – zapytała Megan poruszona. Wspominała o nim co prawda, ale nie opisywała go.

– Mogłabym napisać o nim książkę – zachichotała Bast. – Facet dobrze wygląda. I jest starszy, niż się wydaje. Całkiem przystojny.

– Nie mogłabym żyć pośród Gaelów. – Megan zadygotała. – Podziwiam ich. Nawet trochę rozumiem, czemu żyją właśnie w taki sposób, konieczność ich sposobu życia. Ale nie mogłabym tam mieszkać. Nawet jako królowa Gaelów, czy ktokolwiek. W końcu połowie z nich pourywałabym głowy.

– Ale musisz przyznać, że nie wygląda źle – zauważyła Bast. – Do niego czułaś to samo, co do Herzera?

– Nie – wyznała cicho Megan. – Zresztą jest szalony.

– Chce zostać królem Brytanii – stwierdziła Bast, wruszając ramionami. – W przeszłości żyło mnóstwo ludzi, których dręczył ten sam problem. Wszyscy z szaleństwem Gaelów. Powinnaś poznać Boadiceę, to dopiero kobieta z problemem służalczości.

– Boadicea? – powtórzyła Megan, po czym zmarszczyła brwi. – To była królowa *Celtów* w czasach Rzymian. Przykro mi, Bast, ale to nie przejdzie, to *na długo* przed tobą.

– Chcesz mi zarzucić kłamstwo? – zapytała Bast z poważną twarzą, wyciągając dwa palce do góry, jakby składała przysięgę. – Jak myślisz, skąd się wzięły *legendy*! Rzecz w tym, że Malcolm może i jest szalony, ale to królewskie szaleństwo. Dało się na to złapać mnóstwo kobiet. Na przykład sześć żon Henryka, biedactwa. Poszły na rzeź jak ci wszyscy żołnierze pod Sommą, choć to trochę nie na temat. Kobiety działają w jeden sposób, mężczyźni w inny. Mężczyźni dla kobiet wspinają się na mury, jeszcze raz szarżują do wyłomu i tym podobne, kobiety wybierają mężczyzn dla genów.

Jeśli nie zakochałaś się w ślicznym Malcolmie, mającym niemal tyle władzy, ile można mieć w tych czasach, to nie jesteś uzależniona od mężczyzn nie jesteś niewolnicą. Czyli uczucia do Herzera są prawdziwe. Temu uczuciu można zaufać. Do diaska, nie jesteś pierwszą, która się w nim zakochała, mogłabym ci nieco opowiedzieć. Ale pierwszą, w której zakochał się *Herzer*.

– A co z tobą? – zapytała Megan.

– Ja rzucam się na mury i na geny – oświadczyła Bast z radosnym śmiechem.

– Nie czujesz się nie na miejscu? – zapytała Megan. – Że może lepiej byłoby pozwolić po prostu mężczyznom przejąć inicjatywę?

– Nie człowiek – stwierdziła Bast radośnie. – Męczy mnie już powtarzanie tego od tysięcy lat. Elfy nie są ludźmi. Nie działają w ten sam sposób. Mogą udawać potulne, ale wcale takie nie są. Ludzie mówią o walce-ucieczce. To układ zero jedynekowy albo czterostopniowy: walka, ucieczka, blef, poddanie. Każdy człowiek inaczej zachowuje się w różnych warunkach, ale *wszyscy* do pewnego stopnia mają w sobie te cztery elementy. Elfy nie. Mamy walkę, ucieczkę i blef. NIE poddanie się. Wszystkie ludzkie interakcje opierają się na tych czterech reakcjach, włącznie z tym, przez co przeszłaś. Wobec dziewczyn używałaś blefu. Paulowi się poddałaś. Musiałaś. Teraz się tego boisz. Nie bój się. Przez większość czasu nie musisz tego *używać*, ale to część ciebie. Przyglądaj się, nie bój, obserwuj i poznaj. Choć z Herzerem będzie interesująco.

– Czemu? – zapytała ochryple Megan. Rum zaczął naprawdę na nią działać.

– To najbardziej wzorcowy dominant heteroseksualny, jakiego kiedykolwiek spotkasz – oświadczyła Bast ze złośliwym uśmiechem. – Wie o tym i to kontroluje. Rozumie i już akceptuje. Ale hasło „dominant heteroseksualny” w Sieci zilustrowane jest zdjęciem Herzera w zbroi.

– Ale co... – Megan przełknęła ślinę i pożałowała, że nie ma już więcej rumu.

– Hmm... – wydobyła z siebie Bast, kiwając głową. – Łóżko i urząd to dwie różne sprawy. Dla ciebie składały się w jedno i trudno ci to zaakceptować. Ale z Herzerem... kiedy masz nad nim władzę i wydasz mu polecenie, wykonuje je niczym dobry żołnierz. W łóżku... jest inaczej. Po prostu pamiętaj, że to *ty*, a nie *Paul*. Rozumiesz?

– Rozumiem – potwierdziła Megan, ziewając. \*

– Proszę – Bast podała jej inną butelkę. – Woda. Inaczej obudzisz się z koszmarnym kacem.

– Dziękuję – prawie wybełkotała Megan, pociągając solidną porcję wody i kładąc się na koi. – Pomyślę o tym, co mówiłaś. Kiedy się obudzę.

-1 do zobaczenia na pokładzie – rzuciła Bast, przypinając szablę. – Jutro.

– Tak jest – zachichotała Megan.

– Słodkich snów – powiedziała elfka, przykrywając ją kocem.

I miała słodkie sny. Nie pamiętała ich następnego dnia, ale wiedziała, kto w nich występował. I wreszcie nie był to Paul Bowman.

# ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

– Tam są orki – zapulsowała Tarree.

– Tak, i w dodatku strasznie hałasują – zauważyła Elayna.

– Wracają do swojej floty – dodała Tarree. – Smoki. – Smoki Nowego Przeznaczenia nauczyły się atakować syreny tak samo, jak smoki ZWS atakowały orki.

– Wiem. Ale czemu są takie głośne? Wygląda to tak, jakby chciały, żebyśmy je zauważyli.

– Nie mieć sensu – wygwizdał Herman. W stadzie delfinów dowodził jeden ze starszych ranga samców, odpowiednik Jasona. I znała go dostatecznie dobrze, by zauważyć, że się martwił. – Może pułapka.

– Zgoda – odparła Elayna. – Ale nie damy się na nią złapać.

– Nie na nas pułapka – zaskrzeczał nagle Herman. – Statek płynie!

– Szlag – warknęła Elayna. – To się tu nie zgadza. Próbuje odciągnąć nas od *okrętu*.

– Próbować nie – wyemitował Herman, wykręcając i gwałtownie przyspieszając na południe. – Udawać.

\* \* \*

– Nienawidzę tego kołysania – warknęła Joanna. Okręt łagodnie przechylał się na falach bez najmniejszego wiatru.

– Nie podobałoby ci się jeszcze bardziej, gdybyś zobaczyła mapy – zauważył Herzer.

2– Słyszałam – burknęła smoczyca. – Ale flota bojowa nadal płynie w stronę Edmunda.

– Płynęła – zauważył Herzer. – Bez łączności z syrenami nie wiemy, co ję tam dzieje.

– Powiedz mi coś, czego nie wiem, chłopcze – rzuciła smoczyca. – Tak samo, jak nie wiemy, co dzieje się pod naszym kilem.

– Tak, straciliśmy syreny akurat, kiedy dostaliśmy... – Urwał czując dziwny dreszcz wzdłuż kręgosłupa. Wstał i rozejrzał się, ale nie zobaczył nic, co mogłoby wywołać nagły niepokój. Przeszedł jednak na rufę okrętu, idąc z początku powoli, a po chwili zrywając się do biegu. Będzie głupio wyglądał, jeśli...

Na rufie rozległ się brzęk tłuczonego szkła i kobiecy krzyk. Z kapitańskiej kajuty.

\* \* \*

– Przestań do cholery wrzeszczeć! – warknęła Megan, gdy Baradur ciął w kolejną z wielu próbną ących przedostać się przez rozbitą szybę rąk. Wdzierające się stwory miały pięciopalczaste dłonie połączone błoną pławną pokryte łuską ręce. Megan bała się zobaczyć ciała, z których wystawały.

Żołnierz z piechoty morskiej wpadł do kajuty z wyciągniętą przed siebie włócznią w chwili, gdy pierwszy z napastników przebił się przez strażnika z małego ludu. Atakujący przypominali nieco wyglądem wielkie żaby z ciałem pokrytym łuską i złowrogimi, inteligentnymi oczami. Pierwszy, któremu udało się przedostać przez wybite okno, wskoczył do kajuty i wyrwał włócznię z dłoni żołnierza, obracając ją przeciw właścicielowi i przybijając go do ściany.

Baradur obrócił się błyskawicznie i ciął swoim kukri rękę stworzenia, prawie ją odcinając, po czym poprawił ciosem w kark, pozbawiając je głowy. Ale w tym czasie przez okno przedostały się kolejne dwa stworzenia.

Megan obróciła się, by uciec na korytarz, ale przekonała się, że ten pełen jest walczących marynarzy i dziwnych ryboludzi, którzy wyłonili się z głębin. Zamknęła drzwi i oparła się o nie, próbując wymyślić, co powinna zrobić. Na szczęście Shanea przestała krzyczeć i trzymała się jej spódnicy. Ona jej nie pomoże.

Baradur poruszał się błyskawicznie, uderzając z boku na bok w ciasnym pomieszczeniu. Ryboludzie dysponowali tylko swoimi długimi, zagiętymi szponami, ale dobrze ich używali i ochroniarz został już mocno pocięty. Przeciwnicy padali w stos u jego stóp, ale wyglądało na to, że przytłoczą go swoją masą.

Megan wypowiedziała kilka sylab i wskazała na jednego z ryboludzi, zatrzymując jego serce. Obróciła się do następnego i kolejnego, ale nawet tak niewielkie zużycie energii powodowało widoczny ubytek dostępnej jej mocy, i po krótkim czasie pasek przeszedł na czerwone pole. Zaczęła słyszeć drapanie o drzwi i mocniej się o nie oparła, blokując je swoją masą i podpierając stopą przed napierającymi stworzeniami. Z zewnątrz dobiegały krzyki i jęki, po czym rozległ się odgłos podobny do rozbijania melona, gdy coś uderzyło w drzwi z największą jak dotąd siłą. Jej stopa poślizgnęła się i z za drzwi wysunęła się łapa, chwytając ją za rękaw.

W tej samej chwili Baradur, robiąc zamach, poślizgnął się w kałuży krwi która zebrała się na podłodze i poleciał na deski, mocno uderzając o nie głową.

Od napastników oddzielał ją już wyłącznie kawałek śliskiej podłogi.

Megan przywołała pole ochronne i osłoniła siebie razem z Shaneą, ale w tej samej chwili do kabiny dostało się kolejne stworzenie. Było większe od pozostałych i miało na sobie wysadzaną klejnotami uprzęż. Wyciągnęło z niej małe pudełko i otworzyło je, patrząc na otaczające Megan pole siłowe. Wyciągnęło z pudełka szczyptę pyłu i śmiejąc się chrapliwie, rzuciło go na pole.

Które nagle zniknęło.

\* \* \*

Słyszając krzyk, Herzer zerwał się do biegu, pędząc susami po schodkach na główny pokład, gdzie zastał scenę kompletnego chaosu. Ze wszystkich stron na okręt wspinały się stwory przypominające skrzyżowanie ludzi z rybami i żabami. Zaskoczeni marynarze i żołnierze dopiero zaczęli z nimi walczyć. Na chwilę zatrzymał się, po czym odwrócił, gdy usłyszał za sobą walnięcie o pokład.

– Pędź do kabiny – poleciła Bast, wyciągając szablę. – Ci są moi. – Roześmiała się i cięła, odrabując ramię jednemu z napastników i przeciągając cięcie po okręgu, pozbawiając drugiego głowy, a trzeciemu rozcinając wnętrzności.

W korytarzu prowadzącym do kapitańskiej kajuty walczyły kolejne stwory, które najwyraźniej przedostały się tu przez okno jednej z kabin. Na deskach leżało już w kałużach krwi kilku marynarzy, a samotny żołnierz próbował bronić się długą włócznią.

Herzer wyrwał mu ją z dłoni, złamał na pół i oddał mu znacznie skróconą broń.

– Trzymaj ją w ten sposób – polecił, podnosząc na nogi zaskoczonego chłopaka i napierając na wrogów.

Ich połączona masa odepchnęła ryboludzi do tyłu, zbierając ich w chwiejną masę zapartą o drzwi kajuty, w której rezydowała Megan. Kiedy zostali już tam upchnięci, Herzer jedną ręką wsparł żołnierza, a drugą zaczął dźgać nad jego ramieniem, zadając śmiertelne ciosy w usta, piersi i gardło. Po chwili cofnął się nieco, pozwalając martwym paść, by ponownie dobrać się do żyjących. Walczący obok żołnierz atakowany był przez szpony bestii,

2<sub>a</sub> le zdołał utrzymać swoją broń. W końcu została już tylko jedna żywa bestia, obrócona do nich plecami i przeciskająca się przez uchylone drzwi, jlerzer odepchnął chłopaka, wbił miecz w nieosłonięte plecy stworzenia i rzucił je za siebie, jakby nie ważyło więcej od kota. Potem naparł całym ciałem na drzwi.

\* \* \*

Jedno ze stworzeń sięgnęło ku niej i pozwoliła mu się zbliżyć, odsuwając się tylko od

wyciągającego się po nią ramienia do chwili, gdy stworzenie straciło pewne podparcie. Wtedy błyskawicznie wychyliła się i chwyciła je za kciuk. Biorąc pod uwagę błony pławne nie wiedziała, czy chwyt i dźwignia zadziałają, ale gdy ją wykonała, stworzenie zaskrzeczało głośno przy akompaniamencie wyraźnego strzału wyrwanego ze stawu palca. Schyliła się pod ręką rybostwora i wykonała kolejne szarpnięcie połączone z obrotem, w efekcie wyrrywając rękę ze stawu barkowego. Następnie rzuciła wrzeszczącym stworzeniem w pozostałych przeciwników.

Niestety, zebrało się ich po prostu zbyt wiele i stłoczyły się, gdy szaman ponownie zaczął coś mamrotać. Skupiła się i sięgnęła ku niemu energią, ale nie zostało jej już kompletnie nic, nawet tyle, by zatrzymać mu serce. Nachyliła się, przygotowana, by użyć tarczy w charakterze tarana i... poczuła, jak wylatuje do przodu, gdy coś z niesamowitą siłą wywaliło drzwi i nagle tuż przy niej znalazł się Herzer. Chwycił przywódcę stworzeń jedną ręką, a drugą uderzył, rozbijając mu głowę. Potem zaczął walić mieczem na boki.

Ryboludzie, przekonani już o swojej wygranej, szybko ruszyli do kontrataku, a przez okno zaczęli się wdzierać kolejni. Jednak nie potrafili oprzeć się potężnemu Panu Krwi. O ile kukri Baradura odcinało głowy i ręce, miecz Herzera rozcinał torsy. Podłoga, już wcześniej mokra od krwi, zaczęła przypominać rzeźnię. Potem przez drzwi do środka wpadł kolejny żołnierz, ze złamaną włócznią, i przyłączył się do potyczki. W końcu i Baradur odzyskał przytomność i ponownie rzucił się do walki. Cała trójka zablokowała pokój i nic nie mogło się przez nich przecisnąć.

Megan zamknęła drzwi do kabiny, odciągając zemdloną Shaneę w róg, po czym już tylko przyglądała się rzezi. Stworzenia wciąż wdzierały się do środka, jakby czekała ich tam nieskończona liczba, ale cała trójka szybko dotarła do okna i powstrzymywała je przy nim. Wreszcie wszystko się skończyło. Na parapecie nie pojawiły się kolejne łuskowate dłonie, ucichły też dobiegające wcześniej z góry odgłosy walki.

Bezsukutecznie próbowała otrzeć twarz z pokrywającej ją krwi i uśmiechnęła się, gdy Pan Krwi odwrócił się od okna.

– Cóż, majorze Herrick, cieszę się, że w końcu odwiedziłeś moją kabinę – oświadczyła, podchodząc i dotykając jego twarzy. – Ale mogłeś po prostu zapukać.

Herzer przyjrzał się jej niepewnie, po czym wolno się schylił i pocałował ją.

\* \* \*

Rachel dźwignęła w górę pacjenta rannego w głowę i naląła mu do ust odrobinę wody.

– Dziękuję – odezwał się słabo. – Gdzie jestem?

– W szpitalu bazy floty – wyjaśniła. – Ile widzisz palców? – zapytała. – Dwa.

– Jak się nazywasz?

– Kalii Barnhurst. – Żołnierz skrzywił się z powodu bólu głowy. – Szere... nie, kapral, właśnie zostałem awansowany. Numer 25-3-5-01.

– Dobrze – powiedziała, wbijając mu igłę w bok.

– Au! To bolało.

– Ciesz się, że poczułeś – orzekła Rachel z uśmiechem.

– Jesteś pielęgniarką? – zapytał, opadając na poduszkę. Uniósł rękę do głowy i znów się skrzywił. – Co się stało?

– Z tego, co mi mówiono, uderzył cię w głowę drewniany słup – wyjaśniła Rachel. – I nie, jestem twoim chirurgiem. Ale wszystkie pielęgniarki uciekły. Wygląda na to, że przestraszyły się floty Nowego Przeznaczenia.

– Cholera – rzucił młodzieniec, rozglądając się. – Są tutaj?

– Jeszcze nie. I jestem pewna, że zatrzyma ich twój legion.

– Nie *planujemy* obrony szpitala – cierpko zauważył legionista. – Będziemy mieli dużo szczęścia, jeśli uda się nam obronić obóz. Musisz stąd uciekać!

– Mam więcej pacjentów, którymi się muszę zająć. – Rachel wyprostowała się. – I nawet gdyby wszystkich dało się przenieść, nie zabijając ich przy tym, nie mam ludzi, którzy mogliby w tym pomóc.

– Teraz pani ma – odezwał się głos z drzwi do sali.

– Kim pan jest? – zapytała dziewczyna stojącego w nich oficera. Przypominał nieco Herzera, ale głównie dzięki legionowej zbroi i sposobowi, w jaki ją nosił, jakby dwadzieścia pięć kilogramów stali nie ważyło więcej niż zwykły mundur. Miała jednak wrażenie, że skądś pamięta jego twarz.

– Sierżant Pedersen! – radośnie, choć słabym głosem zawołał żołnierz.

– *ZWRÓĆ* uwagę na belki, Kalii – zauważył nowo przybyły, wskazując na swoje ramię.

– Kiedy zrobili pana porucznikiem, sir? – zapytał Kalii.

2– Jakieś trzy godziny temu – wyjaśnił porucznik, podchodząc i wyciągając rękę do Rachel. – Doktor Ghorbani, porucznik Bue Pedersen...

– Teraz już wiem, skąd pana znam – ucieszyła się Rachel. – Pan jest z Raven's Mili.

– Tak, widywaliśmy się tam, ale nie wiedziałem, czy mnie pani pamięta.

– Jest pan jednym z przyjaciół Herzera.

– Raczej kumplem – uśmiechnął się porucznik. – Nie przyjaźniliśmy się przesadnie. Rzecz w tym, że mam ze sobą ludzi z zadaniem przeniesienia rannych do obozu. Nie jest tam równie miło, jak w szpitalu, ale zdecydowanie bezpieczniej.

– Jest kilka... – Urwała i wskazała na drzwi do sali. – Musimy porozmawiać na zewnątrz.

Zaprowadziła go do opustoszałego pokoju pielęgniarek i potrząsnęła głową.

– Większość z nich można przenieść, jeśli macie jakieś wozy. Ale niektórzy, między innymi Kalii, prawdopodobnie umrą na skutek silniejszych wstrząsów.

– Dziwię się, że on w ogóle żyje – przyznał Bue. – Widziałem ten wypadek, myślałem, że już po nim. Zdecydowanie jest pani córką swojej matki.

– Chodzi o to – powiedziała, ignorując pochwałę – że on się trzyma na nitce i kleju. Musiałam usunąć część jego czaszki i zastąpić ją metalową płytką. Jeśli pojedzie do obozu na trzęsącym się wózku, a potem zostanie wystawiony na wszystkie infekcje, które grożą mu w standardowych obozowych warunkach, nie ma szans na przeżycie.

– Tutaj również nie ma na to szans – zauważył Pedersen. – Nowe Przeznaczenie nie przejmuje się takimi drobiazgami, jak zachowywanie więźniów przy życiu. Jeśli nie mają dość sił, by wytrzymać Przemianę, lądują we wspólnym grobie. Można się tylko modlić, żeby przed wrzuceniem do niego poderżnęli gardło. A z tego, co słyszałem, nawet do grobów nie wszyscy trafiają. Przemienieni jedzą prawie wszystko. Jest tu lokalna sieć energetyczna nanitów słonecznych – nie może pani przywołać dość energii, żeby podleczyć go na tyle, by dało się go przenieść?

– Już nic w niej nie ma – wyjaśniła. – O tej porze roku nie zbiera zbyt wiele światła, a odciągnęłam już wszystko, co zakumulowała. Między in – nymi na naprawę czaszki jednego z pańskich żołnierzy.

Nie dodała, że zrobiła to, kiedy krwawienie wewnętrzne zagroziło mu śmiercią. Nie dysponując rozpuszczalnymi niemi, musiała skorzystać z energii, by naprawić mózgowy system naczyńny.

– *Cóż*, będziemy musieli zaryzykować – oznajmił Bue. – Tutaj na pewno, no nie przeżyją.

– Ile upłynie czasu, zanim zjawią się tu siły Nowego Przeznaczenia? – zapytała, przecierając ze zmęczenia oczy.

– Nie więcej niż dwa dni. Sądźmy, że zechcą wylądować na południowym końcu półwyspu i wznieść fort. Ale wyślą też kolumny dookoła. Jedna z nich z pewnością dotrze tutaj. A wtedy nie zdoła już pani dotrzeć do fortu. Zostanie już tylko ucieczka w głąb lądu. Nie wiem, gdzie można tam uciekać – w drodze jest kolejny legion, ale nie przyjdą tu wcześniej niż za dwa tygodnie. Najbliższe miasta to Tarson i Harzburg, ale one są dość niepewne, jeśli wie pani, co mam na myśli. Wciąż nie wiemy, po której stronie opowie się Harzburg.

– Są częścią Unii – zaprotestowała Rachel.

– Formalnie – przyznał Bue. – Ale burmistrz Harzburga oświadczył, że jeśli wróg dotrze aż tam, zrobi Harzburg miastem otwartym. Nie nazwałbym tego silnym poparciem.

– Oszaleli, przecież Nowe Przeznaczenie nie przejmie się tym, czy to „otwarte miasto”. I tak je splądrują.

– Bez jaj – rzucił Pedersen, po czym skrzywił się. – Przepraszam.

– Już to słyszałam. – Rachel uśmiechnęła się. – Niech pan posłucha, proszę zabrać wszystkich, których można bezpiecznie przenieść i zostawić mi dwa wozy. Jeśli wróg się zbliży, załadujemy na nie pozostałych i ruszymy do Tarson,

– Czemu Tarson? – zapytał porucznik. – Raz już stanęli po stronie Nowego Przeznaczenia.

– Sądząc po tym, co mówił Herzer, wolę raczej to, od Harzburga – odpowiedziała Rachel. – A mając jeszcze parę dni, przynajmniej Kalii będzie miał trochę większą szansę na przeżycie drogi.

– Dobrze, pani doktor – zgodził się Pedersen niechętnie. – Ale proszę na siebie uważać.

– O tak – zapewniła Rachel. – I zaopiekuję się też pańskimi ludźmi. – Urwała i potrząsnęła głową. – Mam nadzieję że nie obrazi się pan, jeśli powiem, że szkoda, że nie ma tu Herzera?

– Nie – zaprzeczył Bue, wzruszając ramionami. – Sam tego żałuję.

\* \* \*

Herzer *znalazł* Megan na dziobie okrętu wpatrującą się w ocean, z Baradurem o zabandażowanej głowie przycupniętym u podstawy bukszprytu.

*Hazhir* zdołał w końcu złapać wiatr i płynął po dość spokojnym morzu, kierując się na południe z postawionymi wszystkimi żaglami, jakimi dysponował-

– Myślałem, że nie lubisz otwartych przestrzeni – zauważył Herzer, podchodząc cicho.

– O Boże – wykrzyknęła Megan, chwytając się za serce i wykręcając. – Śmiertelnie mnie przestraszyłeś.

– W takim razie musisz bardziej uważać na to, co dzieje się wokół ciebie – poradził.

– Mówisz dokładnie jak mój ojciec – powiedziała kwaśno Megan, po czym się uśmiechnęła. – Ale bardzo się z tego cieszę. – Odwróciła się z powrotem i ponownie wbiła wzrok w fale, dygocząc lekko w zimnym wietrze. – Nie lubię. Ale muszę się do nich przyzwyczaić. Znów. Zamknięcie w haremie... wszystko, czego tam chciałam, to znów zobaczyć świat na zewnątrz. Nawet ten stary zamek McClure'ów był lepszy. Nawet ta jazda przez wrzosowiska tak mi nie przeszkadzała. Ale... to... – Ponownie zadygotała i odwróciła się plecami do fal.

– Morze nie jest dla wszystkich – przyznał Herzer, wzruszając ramionami. – To jeden z powodów, dla których część jeźdźców nie potrafi służyć na morzu. Jeśli sądzisz, że stąd jest olbrzymie, powinnaś spróbować spojrzeć na nie z góry. – Przez chwilę przyglądał się jej, po czym zdjął pelerynę i zaczął ją zakładać dziewczynie na ramiona.

– Nie musisz się mną opiekować – oświadczyła cierpko, odsuwając się.

– Marzniesz – wyjaśnił Herzer. – A brak ci mojej masy. Zresztą to, co mam na sobie, jest trzy razy cieplejsze od tego, co ty nosisz, *a ja przywykłem* do marznięcia. Weź to.

– Tak jest – zgodziła się Megan z lekkim uśmiechem, gdy narzucił pelerynę na jej ramiona.

Zamknęła oczy i znów zadrżała, czując jego dotyk. – Musimy porozmawiać – dodała cicho.

– To prawda – zgodził się Herzer.

– Ty... bardzo mi się podobasz, Herzerze Herricku – wyznała Megan, odwracając się z powrotem w stronę morza. Tak naprawdę wcale nie widziała wody, po prostu nie chciała patrzeć mu w twarz. – Ale... podobał mi się i Paul. Nie *ufam* sobie, jeśli chodzi o mężczyzn. Rozumiesz to?

– Tak – potwierdził Herzer, robiąc krok do przodu i stając obok. Jednak zachował przy tym pewną odległość.

– Byłam... zPaulem bardzo długo – kontynuowała ostrożnie Megan. – Wiele razy. *Nie* podobało mi się to. Z początku. Później... zaczęłam czerpać przyjemność z jego towarzystwa. Zakochałam się w nim, Herzer, a jednak musiałam go zabić. To było trudne. Bardzo trudne. A przy tym wiedza... czucie, jak *złe* jest to, że zakochałam się w... – Urwała i potrząsnęła głową.

– Swoim gwałcicieli – dokończył Herzer.

2– Dziękuję za przypomnienie o tym – warknęła gniewnie.

– Takie coś nazywa się urazem psychicznym – wyjaśnił. – Niektórzy uważają, że nie trzeba o tym rozmawiać. Silni ludzie po prostu przywykną a rozmowa tylko pogarsza sprawę. Bzdura. Każdy, kto przeżył jakiś p, ważny uraz psychiczny, kto *naprawdę* to przeżył, wie, że musi o tym porozmawiać. Szlag, to duża część powodów, dla których organizuje się sprawozdania. *Dlatego* właśnie, kiedy flocie za pierwszym razem skopano tyłek książę dopilnował, by po jej powrocie urządzono wielką imprezę. Ludzie się upijają i *rozmawiają*. Część z tego można wyrzucić z siebie przez dzielenie bólu z innymi, nawet jeśli oni sami przeżyli coś takiego. W ludzkich głowach potrafią siedzieć bardzo mroczne myśli. Ma je *każdy*, kto przeżył traumatyczną sytuację. Jeden z powodów, by o tym rozmawiać, zwłaszcza z ludźmi, którzy przeszli przez coś podobnego, lub studiowali tego typu reakcje, jest przekonanie się, że *innych* też dręczą podobne myśli. – Westchnął i wzruszył ramionami. Opowiem ci pewną historię.

– Spodoba mi się? – zapytała Megan, spoglądając na niego.

– Nie – zaprzeczył Herzer. – Żył sobie kiedyś młodzieniec, który postanowił zostać żołnierzem...

– To ty? – zapytała, żartując.

– Nie, nie ja – zapewnił Herzer. – Za chwilę stanie się to oczywiste. W każdym razie przyłączył się do Panów Krwi, dochodząc do wniosku, że lepsze to od rąbania drewna przez całe życie. I był w tym całkiem dobry. Nie aż tak, żeby wysoko awansować, ale jako żołnierz radził sobie całkiem dobrze. Może zbyt dobrze. Zawsze w samym środku walki. Zatracał się w bitwie. Zawsze chciał być w pierwszym szeregu. Potem, któregoś dnia został wysłany, by przeszkolić milicję w mieście, które miało problemy z bandytami. Miał prawdziwą... niechęć do bandytów. W każdym razie milicja z jego pomocą zdołała ich schwytać. – Herzer urwał i zmarszczył brwi. – *W pewnych* warunkach, prawnie, tego rodzaju osoby mogą zostać poddane skróconemu procesowi i skazane na natychmiastową śmierć. Mój... przyjaciel nie zrobił nawet tego. Kazał ich związać, ustawić w szeregu i poderznął im gardła.

– Uch – jęknęła Megan. – Masz rację, nie podoba mi się ta historia.

– Mimo że milicją trochę to wstrząsnęło, próbowali uciszyć całą sprawę, ale o wszystkim dowiedziały się władze ZWS, które po śledztwie dały mu do wyboru: albo sąd wojenny, albo rezygnację. Zrezygnował.

– Nie osądzili go? – zapytała zaskoczona dziewczyna.

– Nie. Pomimo że rekomendowałem to, podobnie jak Edmund. Widzisz, mój przyjaciel miał problem – za bardzo lubił zabijać. To *dlatego* zawsze łądował w samym środku walki. Uzależnił się



od... poczucia *mocy*, które

Zwiąże się z odebraniem człowiekowi życia. To jedna z tych rzeczy, o których nie mówi się dostatecznie dużo. Że choć walka jest czymś strasznym, czuje się w niej... pragnienie przeżycia i uczucie... czegoś w rodzaju boskiej mocy, gdy odbiera się życie innemu człowiekowi. Wielu ludzi twierdzi, że nie czują żadnej przyjemności z walki. Większość z nich to kłamcy, zwłaszcza ci, którzy wciąż wracają na pole bitwy.

– Ty też to czujesz – zauważyła cicho Megan.

– Czuję – potwierdził. – To część *mojej* mrocznej strony. Jedna część. Ale nie *lubię jej*, a już na pewno nie rozwijam. Ale chodzi mi o to, że *ty* otrząśniesz się z tego, przez co przeszedłeś ze swoją mroczną stroną. Twoją własną. Będziesz chciała myśleć, że ona to nie ty. Że są tam rzeczy, których nie chcesz dzielić z innymi, ponieważ *nikt* nie może czuć w taki sposób jak ty. Ale to nie prawda. Inni mają takie same, wstydlive myśli i uczucia. I przez *rozmawianie* z ludźmi, którzy rozumieją, którzy przeszli przez coś podobnego i studiowali ich, i zrozumieli, ty też możesz je zrozumieć.

– Takich ludzi jest bardzo niewiele – szepnęła Megan, obracając się, by spojrzeć na niego. Przez chwilę przyglądała się jego profilowi, a potem zmarszczyła brwi. – Właściwie... dziwi mnie, że jesteś ekspertem.

– Nie jestem nim w zakresie urazu po gwałcie – przyznał Herzer, wciąż patrząc na ocean. – Ale *walka* też powoduje urazy. Jedne z prowadzonych przeze mnie zajęć dotyczą zmniejszenia stresu po walce, bo bez tego traci się zbyt wielu żołnierzy. W taki czy inny sposób.

– Mówił o tym jeden z wojowników na zamku – przypomniała sobie Megan, znów marszcząc czoło. – Ale nie ujął tego w taki sposób. Tylko, że niektórzy z nich nie potrafią wytrzymać walki...

– Wkładamy w szkolenie znacznie więcej wysiłku niż klan McClure – wyjaśnił Herzer, obracając głowę w jej stronę, po czym powrócił do patrzenia na ocean. – Jednym z powodów jest konieczność odsiania żołnierzy, którzy nie będą w stanie znieść obciążenia *psychicznego*. Ale problemy mają nawet ci, którzy przejdą standardowe szkolenie. Tracą czujność, zdolność do walki albo... przechodzą na drugą stronę. Utrata ich to porażka ekonomiczna i logistyczna, na jaką nie możemy sobie pozwolić. Warto poświęcić trochę czasu i pieniędzy na upewnienie się, że przeżyją więcej niż dwie bitwy. A więc tak robimy. Odprawy, sprawozdania, porady grupowe, porady indywidualne, imprezy oddziałowe – wszystko ma swoją rolę. Ludzie to istoty społeczne, panujemy nad swoim bólem dzięki *dzieleniu* się nim, w taki czy inny sposób. Nie *uwierzyłabyś*, jakiego rodzaju dowcipy potrafią sobie robić żołnierze. To jeden ze sposobów na wiązanie się i dzielenie bólu.

– Nie mam nikogo, z kim mogłabym go dzielić – wyznała cicho Megan.

– Jedyнным ekspertem, jakiego mamy w zakresie urazu po gwałcie, jest Bast – przyznał Herzer, wzruszając ramionami. – Przypuszczam, że najwięcej dałaby ci rozmowa z Daneh, żoną Edmunda, ale jej tu nie ma. W przeciwieństwie do Bast. A ty jej unikasz.

– Wiesz czemu – wydusiła Megan, odwracając się.

– Tak. – Herzer znów na nią zerknął. – Ale nie musisz.

– To ty tak mówisz – zauważyła Megan z goryczą.

– Bast i ja... – zaczął Herzer, po czym urwał. – Miałem właśnie powiedzieć, że mamy długą historię. Ale to nie prawda, to zaledwie kilka lat Bardzo... trudnych lat, ale tak naprawdę to wcale nie było długo, *zwłaszcza* nie dla Bast. Już mi *oświadczyła*, że jestem dla niej stracony.

– Wciąż z nią śpisz? – zapytała Megan.

– Tak – potwierdził Herzer. – Dzielimy jedno łóżko. Nie jest zbyt duże, ale przyzwyczailiśmy się do tego. Och, masz na myśli *seks*? – zapytał, jakby nagle go olśniło. – Nie.

– Co? – zapytała Megan, oglądając się na niego.

– Nie – powtórzył, obracając się do niej. – Nie powiem, żeby mnie nie *kusiło*, ale wiem, że miałyby to dla ciebie znaczenie. Bast też wiedziała. Więc... przestaliśmy. – Zamilkł na chwilę, po czym się uśmiechnął. – Szczerze mówiąc i tak muszę odzyskać trochę sił.

– Nie musiałeś tego robić *dla mnie* – rzuciła gniewnie Megan.

– Nie musiałem? – zapytał napiętym głosem Herzer. – Megan, mam, niestety, reputację ogiera. Przyznaję, że nie jestem zbyt monogamiczny. Bast owszem, ja nie. Nie przeszkadza jej to. Ale rzecz w tym, że choć nie w pełni rozumiem kobiety, wiem dość. I rozumiem, że... między nami coś się dzieje. Gdybym stwierdził „no cóż, i tak to ciągniemy”, to co najmniej zraniłbym twoje uczucia, prawda?

– Tak – przyznała.

– Rezygnacja z wygłupiania się na kilka dni mnie nie zabije – stwierdził Herzer. – Kiedyś, ze względu na naturę prowadzonej misji musiałem zapomnieć o tym na półtora roku. A ty jesteś dla mnie *ważna*. Ważniejsza niż jakakolwiek kobieta, którą dotąd spotkałem... – Urwał i wzruszył ramionami. – Cóż, wszystkie, które mają znaczenie dla tej rozmowy. I nie jesteś w pełni wyleczona, może to nigdy nie nastąpi. Nie jestem na tyle głupi, by sądzić, że mogę wskoczyć prosto do twojego łóżka. Albo że będzie to łatwe, nawet gdy już... przejdziemy przez to...

– Tak. – Uśmiechnęła się lekko. – Jednak nie jesteś, Herzerze Herricku taki, jak się spodziewałam.

– Och? – Zmarszczył brwi.

– Jak mówiłam, słyszałam o tobie. Najbardziej przykładowy Pan Krwi. To jest najniebezpieczniejszy żołnierz ZWS, żeby ująć to innymi słowami. Ta misja, o której wspomniałeś. To Harzburg?

– Tak – przyznał zaskoczony Herzer. – Owszem.

– Zapewne ucieszysz się, słysząc, że wkurzyłeś ludzi na *najwyższym* poziomie – wyjaśniła z szerokim uśmiechem Megan. – Jednak *nie* spodziewałam się w tobie filozofa.

– Nie jestem nim – zaprotestował.

– Cóż, w takim razie dobrego psychologa – poprawiła się. – Kogoś, kto bierze pod uwagę uczucia innych. Spodziewałam się wojownika i zabójcy. Nie czegoś takiego. – Zrobiła krok w jego stronę i objęła jego ramiona, opierając na nim głowę. – Kogoś, kogo mogłabym pokochać.

– Och – westchnął Herzer, stojąc tak nieruchomo, jakby na wyciągniętej ręce wylądował mu ptak.

– Myślę, że możesz mnie objąć – powiedziała po chwili Megan.

– Ktoś tu mówił o dobrym psychologu – zauważył Herzer, uwalniając rękę, którą przytrzymała i obejmując ją.

– A ktoś o dziewczynie, której *naprawdę* nie chciałabym wkurzyć, skoro się nad tym zastanowić – dodała Megan po dłuższej chwili milczącego przytulania.

– Bast już mnie zwolniła – przypomniał Herzer. – Oznajmiła mi to wprost. Jeśli poczujesz się od tego lepiej, jest po *twojej* stronie. Najwyraźniej przed tą wojną niezbyt interesowała się Paulem. Każdy, kto go... usunął, jest dla niej w porządku. No, prawie każdy.

– A co z nami? – zapytała Megan, wciąż się do niego przytulając.

– Nie ma „z nami” problemu – wyjaśnił Herzer. – Wygląda jak nastolatka i czasami tak się *zachowuje*, ale tak naprawdę jest *stara*, Megan. Bardzo. Miała w swoim życiu więcej kochasiów, niż można zliczyć. Kiedyś jednym z nich był nawet *Edmund*.

– Ma dobry smak – stwierdziła Megan, uśmiechając się lekko.

– Cóż, mam nadzieję – rzucił Herzer. – Ja... nie jestem idealny, Megan. Mam wiele, *wiele* wad i sporo rzeczy mi się w sobie nie podoba. Z punktu widzenia „nas” mam pewne... problemy, które mogą być dla nas bardzo uciążliwe. Ale Bast nie jest jednym z nich.

– Jakie problemy? – zapytała, odchylając się, by spojrzeć mu w twarz. Był dużym mężczyzną niezależnie od odległości. Z tak bliska wydawał się wręcz... ogromny.

– To... jedna z tych rzeczy, o których *mnie* się ciężko mówi – przyznał Herzer, krzywiąc się. – Zwłaszcza że nie chcę cię stracić. Nie chcę cię...

odstręczyć. Poznajmy się trochę lepiej, zanim porozmawiamy o *moich* p... blemach, dobrze?

Znów na niego popatrzyła, a potem wysunęła się spod jego ramienia przesuwając własną rękę na jego talię tak, by stanąć przed nim.

– Nie... – powiedziała w zadumie. – Nie sądzę, żebyś mnie odstręczył. Aj, myślę, że to coś, o czym musimy porozmawiać, skoro do tego stopnia cię dręczy. – Przez chwilę przyglądała się jego twarzy i poruszającym się mięśniom szczęk. – Nie odstręczysz mnie, Herzer. Poradzimy sobie z rym, w taki czy inny sposób. Obiecuję. – Poczowała, że zaczyna się od niej odsuwać i zacisnęła palce na jego tunice. – Nawet *nie myśl* o odejściu stąd, Herzerze Herricku. Możesz się trochę odsunąć, jeśli ci tego potrzeba, ale nie waż się uciekać.

Herzer na chwilę opuścił na nią wzrok, po czym znów utkwił spojrzenie w wodzie.

– Powiedzmy po prostu, że częściowo mam takie same problemy, jak Paul – wydusił z siebie, mocno zaciskając szczęki. – Ja po prostu o wiele lepiej je rozumiem. Jestem dominantem seksualnym.

– Och – wydusiła, szeroko otwierając oczy. Poczowała coś, o istnieniu czego prawie już zapomniała i czym prędzej to stłumiła. – To wszystko? Bałam się, że jesteś gejem, czy coś takiego.

– To problem, Megan – powtórzył, patrząc na nią przez dłuższą chwilę, po czym znów uciekł wzrokiem na wodę. – Jestem dostatecznie doświadczony, by uwalniać to przy... kobietach o podobnych zainteresowaniach. Bast *absolutnie* nie jest poddańcza, ale czasami się tak bawimy. Prawdę mówiąc, to ona umożliwiła mi pokonanie... mojego przerażenia. I innych rzeczy. Mogę grać neutralnego, ale w dłuższym związku... to zrodzi problemy. Nawet jeśli *myślisz*, że jesteś zainteresowana, lub jesteś gotowa na eksperymenty, z pewnością *nie* jesteś na to gotowa *i nigdy* nie będziesz. A to dziedzina, która ze względu na twoje doświadczenia koniecznie wymaga bardzo dużej *ostrożności*.

– A co, gdyby ktoś... – Megan urwała i wzruszyła ramionami. – Co, gdyby interesowały mnie tego rodzaju rzeczy *przed* moimi doświadczeniami?

– Właściwie to nie ma znaczenia – oświadczył Herzer. – Zaufaj mi. To, przez co przeszłaś, musiało wpłynąć na twoje reakcje. Miałem więcej niż jedną... dziewczynę. Dobrze, kochankę. Miałem niejedną kochankę, która po Upadku została zgwałcona. Większość z nich miała podejście neutralne, kilka poddańcze. Wszystkie miały poważne problemy, które musiałem obchodzić na paluszkach. Nie mam nic przeciwko temu, ale jeśli sądzisz, że ich nie masz, to bardzo się mylisz.

– Nie, wiem, że mam – przyznała cicho Megan.

2– Akiedy wyzwoli się tego rodzaju ładunek – kontynuował Herzer – rany są jeszcze gorsze niż pierwotne zniszczenia. Z powodu dodatkowo <sub>za</sub> wiedzionego zaufania. Zazwyczaj to po prostu drobne kiksy, ale wiążą <sub>się</sub> z zawiedzionym zaufaniem. Zwłaszcza z powodu... – Urwał i potrząsnął głową. – Ta rozmowa biegnie w bardzo dziwnym kierunku.

– Nie przerywaj – poprosiła Megan. – Zwłaszcza z powodu?

– Zwłaszcza z powodu natury związku dominująco-poddańczego – dokończył Herzer. – Wiesz, co mam na myśli, mówiąc o takiej relacji, prawda?

– Tak – potwierdziła Megan, krzywiąc się. – Trochę wiem o życiu, dobra?

– Tylko tak ci się wydaje. Jednym z aspektów związku jest... wyszukiwanie problemów. Naciskanie na brzegi ran, jak można by to wytłumaczyć. Osoba uległa ma z takiej zabawy więcej przyjemności. Tak jak i dominant, ale chwilowo to pomińmy. Jednak jeśli naciśnie się zbyt mocno, uległa przestaje się bawić, wkraczając na tereny przerażenia i strachu. Takie coś może zostać wywołane przez *cokolwiek* i dominant musi być *naprawdę* ostrożny, by tego unikać. Z kobietą, która była... miała w przeszłości bolesne przeżycia seksualne, reakcja jest znacznie silniejsza. – Spojrzał w dół, na nią i potrząsnął głową. – Przeraża mnie myśl o trafieniu na twoje rany, Megan. Naprawdę. Nie chciałbym cię utracić. Boję się nawet ciebie dotykać. Nie mam pojęcia, jaką wywołam reakcję. Nawet *ty* tego nie wiesz. I dodam jeszcze, że gdy zyskasz pełną moc jako członkini Rady, naprawdę *nie chcę* zostać zamieniony w żabę!

– Nie zamienię cię w żabę – zapewniła Megan, wsuwając się z powrotem pod jego ramię i przytulając do boku. – Może w traszkę. Ale ładną. Z czerwonymi plamkami.

– Och, dzięki – Herzer roześmiał się.

– Króla traszek.

– Właśnie tego mi trzeba.

– Naprawdę jesteś inny, niż się spodziewałam – przyznała dziewczyna, mocniej się w niego wtulając. – Cieszę się, że moja miłość od pierwszego wejrzenia ma jakiś sens. I ufam ci. Będziemy mieli problemy, nie znam pary, która ich nie ma. Ale rozpracujemy je, dobrze?

– Dobrze – zapewnił Herzer. – Cieszę się. Miłość od pierwszego wejrzenia, co?

– Mniej więcej – potwierdziła. – Pewnie po prostu podobają mi się duzi faceci w zbrojach.

– To tak jak mojej smoczy.

# ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

– Przygotować się do działań powietrznych!

– Wrogie smoki od bakburty!

– Cóż, Shar, zaczyna się. – Edmund wyszedł spod platformy lądowiska, by spojrzeć na wschód.

Drednot antysmoczy automatycznie zmienił kurs i ustawiał się teraz równolegle do smokowca. Dostatecznie blisko, by widział, jak poci się jego sternik.

– Jest ich więcej niż trzy do jednego – skomentował Chang, gdy od rei oderwał się pierwszy srebrzak, machając energicznie skrzydłami i wzbijając się w stronę nadlatujących wyvernów.

– Nie widzę ich aż tylu. – Edmund mrużył oczy, patrząc pod słońce. – Wydaje mi się, że część z nich zaatakuje drednoty.

– To będzie interesujące.

\* \* \*

– Drednoty ZWS na godzinie dwunastej – zasygnalizował jeden z jeźdźców.

– Przewożą żołnierzy – krzyknął do swojego zastępcy kapitan D’Allaird. – Nie osłaniają ich żadne fregaty.

– Choć mają trochę tych cholernych srebrzaków – zasygnalizował w odpowiedzi Ringle, wskazując na zbliżające się do nich małe smoki.

– Drugi dywizjon, zaangażować srebrzaki – wydał rozkaz D’Allaird. – Pozostali na drednoty. Zejść nisko, nie są przystosowane do walki ze smokami.

\* \* \*

– A pomyśleć, że zostali prawie ostrzeżeni – powiedział Gunny Rutherford na widok schodzących nisko do bombardowania smoków.

– Każde Kanny wymagają Varro – roześmiał się generał D’Erle. – Lub, może bardziej stosownie, każde Agincourt wymaga Francuzów. Przygotować się na powitanie smoków!

\* \* \*

– Wiadomość z *Corvallisa*, sir – poinformował posłaniec.

Chłopak twarz miał poczerniałą od sadzy ugaszonych właśnie płomieni. Główne żagle wymagały wymiany, ale poza tym okręt mógł dalej walczyć.

– *Corvallis* zgłasza stłumienie pożarów – przekazał Shar, podając wiadomość Edmundowi. – Ten system przeciwpożarowy stworzony przez Evana to prawdziwe чудо.

– Ale zgłaszają też, że ich smoki musiały zawrócić z ataku na flotę – burknął Talbot. -1 stracili ich prawie połowę.

– Mam nadzieję, że nam pójdzie lepiej.

\* \* \*

Sierzant Zora Fink chciała jeździć na smokach od chwili, gdy pierwszy raz je zobaczyła. Jak każdy bała się wysokości, nie zwariowała, ale smoki stanowiły na tym Upadłym świecie coś, co dawało poczucie posiadania chociaż jednej z wielu utraconych mocy. Przed Upadkiem bardzo lubiła szybowanie na energetycznych skrzydłach. Myślała nawet o sprawieniu sobie wywerna lub modyfikacji ciała do swobodnego lotu. Ale to było przed Upadkiem.

Wstąpiła do floty, ponieważ powiedziano jej, że tam może się starać o przydział do smoków. I złożyła podanie, jednak zostało odrzucone. Zbyt wielu chętnych. Tak więc wykonywała swoją pracę i czekała na właściwą chwilę, aż w końcu, dzięki szczęściu, udało się jej. Teraz spędzała w powietrzu tyle czasu, ile tylko mogła. Niektórzy jeźdźcy nieco się wypalili i nie zostało zbyt wielu, którzy chcieliby brać długie i nudne loty zwiadowcze. Ona jednak korzystała z każdej okazji wzbicia się w

powietrze.

Teraz więc unosiła się wysoko, w przyjemny dzień z lekką pokrywą cirrusów. Wiał dość silny wiatr, ale to tylko ułatwiało szybowanie. Miała jeszcze około półtorej godziny do końca lotu i leżała na grzbiecie smoka, wykręcając co jakiś czas, by mieć swoją flotę w polu widzenia, cały czas utrzymując się jak najdalej na południowy zachód. Gdzieś tam czaiła się flota Nowego Przeznaczenia. Przy odrobinie szczęścia zauważy ją, zanim sama zostanie spostrzeżona, albo spotka to jej własny okręt. Charoo zamruczał gardłowo i skręcił lekko na południe, a po chwili dziewczyna zauważyła to samo co smok. Regularne rozpryski i szerokie

3ślady wzburzonej wody. Wykręciła, obejrzała się i faktycznie, leciała prosto w słońcu w stosunku do floty Nowego Przeznaczenia. Praktycznie nie było możliwości, by ktokolwiek ją dostrzegł. Rozejrzała się za ich smokami patrolowymi, ale żadnego nie dostrzegła.

– Dobra, mamy ich – powiedziała do Charoo, wykręcając na północ. – Zobaczymy, czy marynarz na oku nie uciął sobie drzemki.

Wyciągnęła z torby na uprząży lustro z niewielkim otworkiem i przyłożyła je do oka. W otworze zamocowano szklaną płytkę z metalową siatką. Promienie słońca przechodzące przez pomocnicze lustro skupiały się w urządzeniu w taki sposób, że tworzyły plamkę na szkłe, a dzięki nałożeniu jej na odległy cel mogła mieć pewność, że odbicie głównego lustra skierowane jest na okręty. Gdy tylko właściwie je ustawiła, zaczęła sygnalizować, uważając, by nie posłać żadnego odbłasku w stronę floty Nowego Przeznaczenia.

\* \* \*

– Komandor Gramlich? – odezwała się Some Karcher, zeskakując przez właz w suficie i lądując lekko.

– Tak? – Smoczyca podniosła głowę.

– Zaraz rozpoczniemy działania powietrzne. Za nic nie chcę tego przesiedzieć na tyłku. Mamy flotę Nowego Przeznaczenia w zasięgu ataku. Wysłałam grupę syren w charakterze zwiadu. Zamierzam wypuścić wywerny w powietrze.

– Tak jest!

– Proszę zabrać powelle i zaatakować flotę Nowego Przeznaczenia – poleciła Karcher, wyskakując z powrotem przez właz. – Dla Vickie mam inne zadanie.

\* \* \*

– Myślałam, że mamy się trzymać od tego z daleka – zdziwiła się Megan.

– *Corvallis* i *Richard* mają przeciw sobie znacznie liczniejszego przeciwnika – wyjaśnił spokojnie Herzer, kończąc zakładać skórzany rynsztunek. – Jesteśmy w zasięgu. Nie możemy po prostu pozwolić im prowadzić całej walki.

– A co, jeśli pod waszą nieobecność zostaniemy zaatakowani? – zapytała gniewnie. Wciąż nie do końca uprzątnięto pozostałości potyczki w jej kajucie i dziewczyna, ignorując sugestię pani kapitan, przeniosła się do kajuty Herzera. Bast nadal tam mieszkała, ale pomimo zatłoczenia zdawała się cieszyć z jej obecności. Podobnie jak Megan, do chwili ujawnienia tego głupiego planu. – Zresztą możesz zginąć!

– Megan – powiedział łagodnie Herzer. – Jestem żołnierzem. Czasem jeżdżę na smoku, czasem macham mieczem. Ja... mam nadzieję, że łączy

nas coś szczególnego. Ale będziesz musiała zaakceptować, że jednym z problemów przyjaźnienia się ze mną jest fakt, że odchodzę zabijając innych ludzi – A oni próbują zabić mnie. Taką mam pracę i jestem w niej dobry. Musisz zdecydować, czy chcesz takiego... przyjaciela.

– Wiem o tym. Nawet mi się to podoba, poza tymi chwilami, gdy wychodzisz dać się zabić. –

Wyciągnęła rękę i dotknęła jego twarzy, potem go pocałowała. Myślała, że będzie to tylko lekki, przelotny pocałunek, ale nagle mocno do niego przywarła. W końcu oderwała się od niego, jeszcze raz gładząc jego twarz. – Wynoś się stąd, Herzer. Idź zdobądź mi smokowiec.

– Tak jest, pani. – Wyszczrzył się, złapał swój hełm i wyszedł z kajuty.

\* \* \*

– *Corvallis* tonie – powiedział smutno Shar. – Obawiam się, że musimy się wycofać.

– Za nic. – Edmund potrząsnął głową. Druga fala smoków Nowego Przeznaczenia była mniejsza niż pierwsza, zadawali im straty. Ale po wyeliminowaniu *Corvallis*a wszystkie ataki skupią się na *Richardzie*. – Skręć w ich stronę. Jeśli nie możemy dorwać ich, używając do tego smoków, to może chociaż pójdziemy do abordażu.

\* \* \*

– *Ile* straciliśmy smoków? – krzyknął admirał Trieste.

– Drednoty są pełne Liczników – oznajmił jego szef sztabu. – Wróciło tylko pięć z tych, które walczyły ze srebrzakami. Trzy zginęły. Reszta eskadry... przepadła. Wlecieli prosto w pułapkę. Wygląda na to, że jest tam przynajmniej batalion, jeśli nie regiment łuczników.

– Gdzie teraz są te drednoty? – zapytał admirał.

– Płyną w naszą stronę – poinformował szef sztabu, krzywiąc się. – Jeśli wiatr się nie zmieni, mogą być tu w ciągu godziny. Nie jestem pewien, czy jesteśmy w stanie w jakikolwiek sposób się przed nimi obronić.

– Zapomnij o drednotach – zdecydował Trieste. – Zniszcz smokowiec. I skieruj nas jak najdalej od tych przeklętych łuczników.

\* \* \*

– Wywerny od bakburty! – zawołał marynarz z oka.

– Przynajmniej sześćdziesiąt – zauważył Chang.

– Wygląda na to, że tym razem ryzyko się nie opłaciło – przyznał Edmund. Smoki ZWS wzbily się już w powietrze, ale nie wiedział, czy będą miały gdzie wylądować. Odzyskali kilka powelli z *Corvallis*a i dodali je do grupy uderzeniowej. Ale to nie mogło pomóc smokowcowi.

– Część dostaną fregaty balistowe – rzucił Shar. Nie musiał dodawać, że sądząc po dotychczasowych doświadczeniach, mają szansę zestrzelić jednego na pięć smoków, co zdecydowanie nie wystarczało. – Niestety srebrzaki są wyczerpane.

– Znowu smoki od rufy – zawołał marynarz. – Wyglądają na *srebrzaki*.

– Cholera – rzucił ogniście Edmund. – Niech diabli porwą Karcher!

– Myślisz, że są z *Hazhira*? – zapytał Shar.

– A skąd? – warknął Edmund. – A to znaczy, że *Hazhir* jest kompletnie nie chroniony.

Shar przyglądał się, jak eskadra srebrzaków opada na smoki Nowego Przeznaczenia. Spadły na nie prosto od słońca i zestrzeliły przynajmniej tuzin, zanim eskadra Nowego Przeznaczenia zauważyła ich obecność. Srebrzaki przeleciały przez rozproszoną formację, zajmując pozycję od tyłu i strzelając do powelli. Z nieba spadły kolejne smoki, ale eskadra i tak podchodziła do ataku na smokowiec. Fregata antysmocza rozpoczęła ostrzał, a srebrzaki pospiesznie oderwały się od wroga, lądując na innych okrętach grupy.

Zredukowana liczebnie eskadra Nowego Przeznaczenia – salwy z fregaty przeżyło ledwie dwadzieścia – ustawiła się w szeregu nad smokowcem i zaczęła zrzucać bomby. Jeden za drugim dzbany z napalmem spadały na jednostkę, pokrywając okręt płynnym ogniem.

Edmund osłonił się peleryną, po czym odrzucił ją, gdy osiadł na niej napalm. Kolejne rozpryski

trafiły go w nogę, skrzywił się, gasząc płomienie pianą z systemu gaśniczego. Wielu marynarzy pokrył płynny ogień i widział kilku wyskakujących za burtę. Zaciśnął zęby z bólu i rozejrzał się wokół, potrząsając głową.

– Opuścić okręt – warknął. – Już nic z tym nie zrobimy.

– Zgadza się, admirale – potwierdził kapitan i zaczął wydawać rozkazy.

– Przeniosę się na *Shuiki* – poinformował Edmund, kulejąc do burty i wyglądając, czy jest tam szalupa. – Niech pan ratuje kogo się da.

\* \* \*

– Zostały tylko dwa smokowce – ryknęła Joanna. W przeciwieństwie do ZWS Nowe Przeznaczenie trzymało flotę w jednej grupie. – Atakujcie smokowce, zignorować te piekielne fregaty antysmocze.

Herzer wskazał na południe, gdzie z mgiełki wyłoniła się właśnie kolejna eskadra smoków. Było jasne, że niosły pełny ładunek bomb. Gdyby należały do Nowego Przeznaczenia, wracałyby z rajdu już bez obciążenia.

– Sugeruję skupienie się na jednym smokowcu i zostawienie drugiego dla nich – zasygnalizował.

– Zgoda – odpowiedziała Joanna. – Atakujcie ten bliższy.

3Herzer obejrzał się na Zorę Fink i zasygnalizował do niej, by trzymała się jego ogona. Młoda jeźdźczyni wyglądała na przestraszoną, ale pokiwała głową.

Ustawił się za Joanną i ruszył w stronę bliższego smokowca. Słońce opadało już ku zachodowi i nadlatywali tak, żeby mieć je za plecami, dzięki czemu wypadną na wroga prosto od słońca. Istniała szansa, że da im to element zaskoczenia.

Niestety, grupa lecąca od południa została dostrzeżona dość wcześnie i jedna z fregat balistowych zmieniła kurs tak, by przeciąć im drogę. Smoki zeszły dość nisko, zdeterminowane, by zniszczyć smokowiec i poniosły olbrzymie straty. Herzer widział, jak do wody spada smok za smokiem, bez żadnych widocznych efektów. W stronę manewrujących dziko smoków strzelały trzy okręty i te nieliczne wywerny, którym udało się przedostać przez zaporę bełtów w ogóle nie trafiły w smokowiec.

– Kolejna zmiana planu – wykrzyknęła Joanna. – Herzer, weź pierwszy i drugi dywizjon i zaatakujcie południowy smokowiec. Zniszczcie go. Spal drani.

– Zrobi się – odkrzyknął, sygnalizując formacjom, by się rozdzieliły. Wciąż lecieli wysoko, ale gdy dotarli na skraj wrogiej floty, ustawił grupę w lot nurkujący, mierząc w rufę południowego smokowca.

Stało się jasne, że flota w końcu ich zauważyła, ale było już za późno, by mogli manewrować. Zanim fregaty balistowe zaczęły wykręcać, grupa Herzera przygotowała się do ataku na smokowiec. Ten też złapał wiatr i rozpoczął skręt, próbując uciec przed smokami, ale Herzer się tym nie przejął. Ustawił się nad głównym pokładem i zrzucił cały ładunek bomb z tak niewielkiej wysokości, że przez chwilę bał się, że zaczepi o takielunek. Zobaczył na maszcie celujących w siebie kuszników i mógłby przysiąc, że usłyszał szczęk zwalnianego spustu. Nie miał pojęcia, gdzie poleciał bełt, zresztą i tak nie mógł już manewrować. Bomby spadły, trafiając w pokład. Jedna, druga, trzecia, prosto w środek pokładu, pięknie się rozpryskując. Smokowiec natychmiast uaktywnił urządzenia gaśnicze, ale smoki kolejno zrzuciły swoje ładunki płynnego ognia, z których wiele trafiało w maszty i rozpryskiwało płomienie na żagle. Nie mogła tego ugasić nawet cała piana świata.

Odbił w górę i wykręcił na północ, gdzie płonął już drugi smokowiec. Oglądając się przez ramię, stwierdził, że ich cel nie miał szans się uratować oraz, co więcej, że nie odnieśli żadnych



strat.

– To niesamowite – wymamrotał pod nosem. Sprawdził swojego smoka, ale wyvern leciał równo i nie zauważył żadnych sterczących z niego bełtów.

3Potem dotarł do niego ostry ból w pośladku. Obejrzał się i potrzęsął głową nagle w pełni odczuwając ból.

– Szlag – wymamrotał, krzywiąc się z bólu wywołanego sterczącym z ciała bełtem. – Oczywiście strzała *musiała* trafić go w zadek.

\* \* \*

– *Hazhir* zgłasza zaatakowanie floty Nowego Przeznaczenia – poinformował Shar znad trzymanego w ręce meldunku. – Zatopili oba pozostałe smokowce.

– To potwierdzone? – zapytał Edmund.

– Potwierdzone – zapewnił Shar.

– Straty ze strony *Hazhiral*

– Praktycznie brak – odpowiedział admirał. – Mają dwa ranne wywerny i jednego jeźdźca. Poza tym nic. Są przygotowani na kontynuowanie ataków przeciw wrogiej flocie i proszą o rozkazy.

– Szlag, dobrze jest mieć zdolnych podwładnych – ucieszył się Edmund. – Niech zapomną o reszcie floty, nie ma tam nic wartego walki. Przerwać atak. Drednoty i flota mają się zebrać i ruszyć w stronę Balmoran. To jeszcze nie koniec.

\* \* \*

– Generale Magalong – odezwał się Bue Pedersen, salutując oficerowi za biurkiem. – Od południa zbliża się flota inwazyjna Nowego Przeznaczenia. Właśnie zauważono ją na południowy zachód od przylądka.

– No dobrze – mruknął generał. Cierra Magalong został przydzielony na to stanowisko dzięki względem politycznym, ale pomimo swojego wieku przeszedł szkolenie Panów Krwi i zaliczył Szkołę Wojenną Raven's Mili. Problemem jednak był jego praktyczny brak doświadczenia bojowego, ale *nikt*, może z wyjątkiem Talbota nie miał doświadczeń w działaniach w takiej skali.

Drugi legion składał się z sześciu tysięcy legionistów i niecałych trzech tysięcy pomocniczych sił bojowych, inżynierów, urzędników i tym podobnych. Dodatkowo miał do dyspozycji jeszcze cztery tysiące osób personelu pomocniczego z podstawowym przeszkoleniem wojskowym pikinierów, ale praktycznie bezużytecznych w walce. A obronić musiał front dwukrotnie dłuższy niż normalnie.

Przydzielono mu zadanie utrzymania centrum Balmoran, głównie w celu ochrony rozwijającego się tam przemysłu metalowego i obróbki drewna, z których słynęło miasto. Aby to osiągnąć, zbudował wokół najważniejszych hut nieco powiększony obóz i zarekwirował prowiant z nabrzeżnych magazynów. Jeśli zdoła się utrzymać, a miał na to dość zapasów, w końcu otrzyma

3posiłki. Tymczasem Nowe Przeznaczenie przekona się, że drugi legion potrafi być bardzo nieprzyjemny dla wrogów.

– Wysłać rozkaz podpalenia portu – polecił Magalong jednemu z gońców stacjonujących w jego biurze. – Ściągnąć zewnętrzne posterunki i polecić ewakuację bazy floty.

– Rozmawiałem wczoraj z chirurgiem bazy, sir – powiedział Bue. – To Rachel Ghorbani, nie chciała ewakuować pozostałych rannych, bojąc się, że mogą tego nie przeżyć.

– Cóż, przekażcie jej, żeby się z tym pogodziła – warknął Magalong. – I ściągnijcie ją do obozu.

\* \* \*

– Kapitanie Cicali, naprawdę *nie obchodzi mnie*, co pan myśli – oświadczył Conner z krzywym uśmiechem. – Moja misja ma priorytet w stosunku do pańskiego statku. Proszę tam wpłynąć.

Mała eskadra szybkich szkunerów oderwała się od głównej floty Nowego Przeznaczenia i zbliżała się teraz do półwyspu Balmoran spory kawałek na północ od miasta. Jak dotąd wyglądało na to, że nie zostali dostrzeżeni. Lub, jeśli ich zauważono, przyjęto, że to misja rozpoznawcza.

– Rozumiem – nieszczęśliwym głosem potwierdził kapitan. – Ale pan też musi zrozumieć. Tam są mielizny. Jeśli wpadniemy na nie z pełną prędkością, nie tylko nas unieruchomią. Możemy zatonać. Razem z panem i pana... ludźmi. – Kapitan zerknął na monstrum stojące za agentem i przełknął ślinę. – Wtedy pańska misja również nie zostanie wypełniona.

– Podpłyńcie tam najszybciej, jak to możliwe – polecił Conner po chwili namysłu. – I jak najbliżej południowego skraju bazy. Jeśli nie da się przedostać przez mielizny, popłyniemy szalupami. Tylko zrób to.

– Tak jest, sir – potwierdził kapitan. – Choć będę musiał zmniejszyć prędkość. *Nieznacznie.*

– Wszystko jedno – warknął Conner, przyglądając się linii brzegowej. – Dowieź nas tylko do bazy, zanim zostanie ewakuowana.

\* \* \*

– Proszę pani! – krzyknął z korytarza Keith. – Doktor Ghorbani!

– Tutaj, Keith – zawołała Rachel, wyłaniając się z ostatniej sali. – O co chodzi?

– Nadpływają statki! – wykrzyknął gorączkowo Keith i chwycił ją za ramię. – Musimy uciekać!

– Mamy rannych do zabrania. – Rachel wyrywała mu ramię.

– Nie ma czasu – desperacko rzucił sanitariusz. – Są już przy nabrzeżach! Nie podpalono ich na czas. Już nadchodzą.

– Tutaj? – zapytała gniewnie Rachel. – Czemu tutaj? Mieli atakować miasto.

– Są tu – powtórzył tylko Keith, znów ciągnąc ją za rękę. – Proszę. Musimy iść.

Rachel usłyszała niezbyt głośny, ale nieodległy odgłos uderzania metalu. Brzmiało to jak odgłosy kuźni, ale zdarzało się jej już słyszeć takie dźwięki. Potem rozległ się krzyk, zupełnie blisko.

– Idź po wózki, Keith – poleciła, czując, jak zasycha jej w gardle. – Weźmiesz...

– Chyba nie ma na to czasu – zaprotestował Keith, opuszczając ręce.

– Rób, co mówię! – warknęła Rachel, ale w tej samej chwili otworzyły się drzwi do szpitala.

Człowiek, który przeszedł przez drzwi był wysoki, z długimi włosami, ubrany w szarą pelerynę przeplataną srebrem. Pelerynę obszyto nie znanymi Rachel symbolami, a w kilku miejscach dostrzegła ciemne, prawie czarne plamy. Nie miała wątpliwości, jakie było ich pochodzenie. Zresztą, gdyby nawet nie wiedziała, wszystko stało się jasne po pojawieniu się olbrzymiego, pokrytego krwią stworzenia, które weszło do pomieszczenia w ślad za mężczyzną.

Istota miała przynajmniej dwa metry wzrostu, proporcjonalną budowę, a twarz równocześnie bestialską i w upiorny sposób piękną. Miała czarne, tłuste włosy i dzikie, czerwone oczy, a z górnych i dolnych szczęk wystawały jej olbrzymie kły. Ale sama twarz, zwłaszcza wysokie kości policzkowe, czoło i wąski nos wzbudziły w niej przerażające skojarzenia.

– Elf? – wyszeptała.

– Jedna z zabawek mojej pani – wyjaśnił mężczyzna, podchodząc do niej z rękami założonymi na plecach. – Po prostu jedno z jej stworzeń. Podobnie jak, zapewne, ja – dodał, stając przed nią. Rachel pochłonęły jego szare oczy.

– Doktor Rachel Ghorbani, jak przypuszczam?

– Co pan tu u diabła robi? – zapytała dziewczyna.

– Oczywiście szukam pani – odpowiedział mężczyzna z uśmiechem. – Pewni ludzie uważają, że może być pani użyteczna. Będziemy musieli się przekonać, prawda?

Rachel rozejrzała się wokół, ale wyraźnie nie miała gdzie uciekać.

– Diabli... – zaczęła mruzczyć, gdy nagle zza pleców dobiegło ją miauknięcie. Odwróciła się i uniosła rękę, widząc Lazura przygotowanego do skoku i walki. Widziała już domowego lwa wracającego z polowania z łupem w postaci dorosłych rysiów, ale grupa orków i w szczególności elf oznaczałyby śmierć jej ulubionego zwierzęcia. – Nie!

3Orkowie wyciągnęli już miecze i patrzyli nerwowo na kota wielkości pumy. Elfi stwór powoli wyciągnął swój miecz i skierował jego czubek na syczącego kota.

– Graaa – warknęło stworzenie, przykucając i w skupieniu powtarzając ruchy kota.

Lazur przypląszczył się przy ziemi, nerwowo machając ogonem, gotowy do skoku, ale spojrzenie kocich oczu utkwili w elfie, jakby wiedział, że ten stanowi jedyne prawdziwe zagrożenie. Szpony Lazura zazgrzytały o podłogę, szukając dobrego podparcia i znów machnął ogonem. Uniósł zad, potem obrócił głowę na bok i miauknął głośno.

– Sraaaa – odchrypiało monstrum, wymachując lekko czubkiem miecza. Lazur jeszcze raz na niego spojrzął, usiadł i niedbale polizał łapę, po czym odwrócił się i odszedł po schodach do góry.

– Lazur? – powiedziała Rachel z szeroko otwartymi oczami. Nie bardzo wiedziała, czy cieszyć się, że jej pupil przeżyje, czy martwić jego dezercją.

– Cóż, skoro ta sprawa została załatwiona – oznajmił mężczyzna, chwytając ją za ramię – zobaczymy, do czego będziemy mogli cię wykorzystać.

\* \* \*

– Sir. Przybywa książę Edmund. – Tym razem dziewczyna pełniąca funkcję posłańca, zanim wsadziła głowę przez drzwi, zapukała.

– Świetnie – burknął Herzer, krzywiąc się, gdy Bast wcierała w ranę kolejną porcję maści. – Czy poinformowano komandor Gramlich?

– Tak jest, sir.

– Jakież wieści o sytuacji w Balmoran? – zapytał Herzer.

– Nie, sir. Ale dostaliśmy wiadomość, że jesteśmy ostatnim smokowcem. Książę Edmund przynosi tu swój sztab.

– Może wziąć moją kabinę – zaproponowała Megan, uśmiechając się krzywo. – Z chęcią mu ją oddam. – Na podłodze kabiny wciąż pozostały plamy z krwi, która wsiąkła tak głęboko, że drewno wymagało wymiany.

– Pani kapitan chciałaby, żeby powitał go pan osobiście, jeśli... odzyskał pan siły, sir – kontynuowała dziewczyna. – I poprosiła o zapytanie, czy powierniczka Klucza również zechciałaby się pojawić.

– Och, oczywiście – zapewniła Megan z uśmiechem. – Nie mogę się doczekać spotkania ze sławnym Edmundem Talbotem.

# ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

- Księżę Edmundzie. – Some Karcher opuściła rękę z salutu równo z umilknięciem dud.
- Kapitanie, cieszę się, że podjąłem słuszną decyzję, wybierając panią – oznajmił Edmund, ściskając jej dłoń.
- Mieliśmy szczęście.
- Szczęście stoi po stronie przygotowanych – zaprzeczył Talbot.
- Mój pierwszy oficer, komandor Sassan. – Some Karcher zignorowała komplement.
- Miło mi pana poznać, komandorze. – Edmund uściśnił wyciągniętą rękę pierwszego.
- Majora Herricka oczywiście pan zna.
- Herzer – rzucił radośnie Edmund, po czym zauważył sposób, w jaki stał młodzieniec. –

Oberwałeś?

- W zadek, milordzie.
- Zdarza się. – Edmund parsknął śmiechem. – Choć to mało honorowe. Cześć Joanno.
- Wisisz mi *spory* bonus bojowy, Eddie – warknęła Joanna. – Moja eskadra zatopiła oba ostatnie smokowce. W oparciu o punkt czternasty podpunkt b...
- Po prostu przyślij rachunek – przerwał jej książe.
- A to członkini Rady Megan Travante – kontynuowała prezentację Karcher, nie zwracając uwagi na wtrącenia.

3– Pani Travante – przywitał się łagodnie Edmund, zauważając, jak blisko Herzera stała. – Znam pani ojca i sądzę, że mam honor nazywania go swoim przyjacielem. Niezmiernie się cieszę, że znów jesteś z nami.

– Dziękuję, książe Edmundzie – odpowiedziała Megan z ukłonem.

– Pani – dodał Edmund, uśmiechając się lekko – choć formalnie nie jesteś arystokratką, masz znacznie wyższy status niż ja. Nie kłaniaj się mnie, to ja składam ukłon przed tobą. – Po czym się pokłonił.

– To... będzie wymagało trochę przyzwyczajenia. – Megan dotknęła palcami wiszącego na szyi łańcucha. – Chciałabym przedstawić mojego... pracownika, Baradura.

Edmund przyglądał się przez chwilę niskiemu mężczyźnie, po czym rzucił coś w szybkim, gładkim języku.

Ochroniarz na chwilę zmarszczył czoło, po czym odpowiedział wyraźnie zdziwiony.

– Język się zmienił – stwierdził Edmund. – Ale skąd pochodzisz?

– Mały lud mieszka wśród plemion na wyżynach Gaelii – wyjaśniła zaskoczona Megan. – Znasz ich?

– Nie z wyżyn. – Edmund pogłaskał się po brodzie. – Ale poznaję. Stare wspomnienia, bardzo stary lud. Dobrzy żołnierze, najlepsi. Spotkałem ich też trochę w Anarchii. Oddałbym prawą rękę za cały ich batalion. A przy okazji, musimy porozmawiać. Pani, gdybyś zechciała poświęcić mi trochę czasu. Herzer i Joanna także, co oznacza zagrody wywernów. Shar, ustaw flotę na ustalonym przez nas kursie i przyłącz się do nas.

– Tak jest, sir.

– Pani?

– Tędy. – Megan wskazała w stronę zagród wywernów.

\* \* \*

– Siedzimy po szyję w bardzo głębokim g... w bardzo głębokim – oświadczył Edmund, gdy tylko w zagrodach ustawiono krzesła. Joanna zwinęła się w jednym końcu z opartą na sobie Bast, podczas

gdy reszta zasiadła w półkolu. – Nowe Przeznaczenie wylądowało na północnym końcu półwyspu od wewnętrznej strony i wzniosło ufortyfikowany obóz, odcinając Balmoran. Kontrolujecie otaczające je wody, ale tylko do chwili, gdy tam dotrzemy. Niestety, wznoszą portale i mogą przez nie ściągać zaopatrzenie...

– Myślałam, że portowanie do Norau jest niemożliwe – odezwała się Megan, marszcząc czoło.  
– Mnie się to w każdym razie nie udało.

– *Force majeure* – rzuciła Bast, odrzucając do tyłu włosy. – Kto trzyma ziemię, jest jej właścicielem. Bardzo stary protokół, ale wciąż obowiązuje.

– Racja – potwierdził Edmund. – Zdobyli teren i mają na nim dość wojska, by go utrzymać i nie dać się przegnać natychmiastowym atakiem oraz mają do niego dostęp drogą wodną. Ergo, w świetle tych przeklętych protokołów mogą się tam portować. Nie zmieni tego nawet zniszczenie ich floty. Musimy ich całkowicie pokonać.

– Umocniony obóz? – odezwał się Herzer. – To będzie trudne.

– Faktycznie. Zajęli też bazę marynarki wraz z większością zapasów. Stamtąd właśnie biorą teraz zaopatrzenie.

– Rachel? – zapytał Herzer.

– Nie wiem – przyznał Edmund z kamienną twarzą.

– Jeśli schwytali Rachel...

– To nie ma znaczenia. Tu nie chodzi o uratowanie Rachel, Herzer, zrozum to. Chodzi o odparcie inwazji Nowego Przeznaczenia.

– To pańska córka...

– Doskonale o tym wiem. Ale nie chodzi tu o specjalne przywileje dla mojej córki. Ryzykuje tak jak wszyscy inni walczący...

– *Miałem* właśnie powiedzieć – przerwał mu Herzer – że jako taka ma dostęp do informacji, które są cenne dla Nowego Przeznaczenia. Tak, obchodzi mnie, czy Rachel przeżyje czy zginie, ale podejrzewam, że jeśli Nowe Przeznaczenie wie o jej obecności tam, bardziej są zainteresowani tym, co mogą z niej *wycisnąć*. Odbicie Rachel niewątpliwie ma w związku z tym *dopuszczalny* priorytet, książę Edmundzie.

– Edmund – odezwała się Joanna. – Herzer ma rację. Możesz być na tyle zaangażowany, że ignorujesz to podejście, by uniknąć posądzenia o faworyzowanie.

– Nie wiemy, gdzie *ona jest* – burknął Talbot. – Nie wiemy, czy nie ma jej pośród uciekinierów z półwyspu. Albo czy Nowe Przeznaczenie nie przeteleportowało jej już z powrotem do Ropazji. Jeśli tak, to *przepadła*. A to zebranie nie dotyczy losu Rachel. Dotyczy sposobu wyrzucenia Nowego Przeznaczenia z półwyspu. – Rozejrzał się po zebranych i kiwnął głową. – No dobrze. Korpus łuczników płynie na drednotach około dzień drogi za nami...

– Pozostało tu pięciu rannych – poinformowała Rachel, próbując ignorować podążającego za Connerem umazanego krwią potwora. Nie wspominając o samym agencie, który właściwie przerażał ją jeszcze bardziej. – Zdaję sobie sprawę, że zabijacie rannych wrogów i nie mogę temu zapobiec. Jednakże, jeśli ich zostawicie przy życiu, z własnej woli zajmę się waszymi rannymi. Jeśli ich zabijecie i tak możecie mnie do tego zmusić,

3ałe pracując dobrowolnie, będę znacznie lepszym lekarzem, niż robiąc to pod przymusem.

– Pokaż mi – polecił, wskazując uprzejmie w stronę sal. – Obiecuję na swój honor jako akolity lady Celine, że nie każę ich zabić.

Rachel spięta się i zaprowadziła go do sali chorych. Na widok spryskanego krwią elfa dwóch przytomnych rannych próbowało podnieść się z miejsc, choć zdawali sobie sprawę, że bez broni nie

są w stanie nic zrobić.

Conner podszedł do Kalila, patrząc na niego przechyliwszy głowę na bok, po czym wyciągnął rękę i zaczął coś mamrotać. Kalii odruchowo cofnął się w poduszki, jednak efektem mamrotania było pojawienie się w powietrzu hologramu jego czaszki. Conner przyjrzał mu się w zamyśleniu, pocierając policzek.

– Tyle energii – wyszeptała Rachel, nachylając się, by obejrzeć hologram.

– W Nowym Przeznaczeniu mamy energię – stwierdził agent. – Jeśli zechcesz, też możesz ją mieć. Metalowa płytką?

– Krwiak podtwardówkowy mózgu – wyjaśniła Rachel, wzdychając i ignorując ofertę. – Nie miałam dość energii, by wykonać naprawy wewnętrznie, musiałam zmniejszyć ciśnienie.

– Bardzo dobra robota.

– Jesteś lekarzem?

– Swego rodzaju. Z energią, nie do tego rodzaju prac. Ale mamy techniki, których wy nie macie lub nie chcecie stosować. – Przeszedł wzdłuż leżących na łóżkach rannych, badając każdego z nich. Przy ostatnim, z raną brzucha zatrzymał się i wzruszył ramionami.

– Ten i tak umrze – oświadczył.

– *Nie omawia się stanu pacjenta w jego obecności* – warknęła Rachel.

– Przecież jest nieprzytomny, prawda? – zauważył Conner, ignorując wybuch. – Chciałabyś go uratować?

– Oczywiście – potwierdziła gniewnie Rachel. – *Aleja* nie mam energii. – Tylko tak ci się wydaje – parsknął Conner, uśmiechając się do niej

w bardzo denerwujący sposób. Wyszeptał coś cicho i żołnierz zaczął się jarzyć. – Proszę. Tu jest potrzebna ci energia.

– Nie mogę *osłabiać* rannego z energii, żeby go *wyleczyć*] – prawie krzyknęła Rachel.

– Och, po prostu nie można brać zbyt wiele – przyznał Conner. – Ale jest tam mnóstwo energii. Nie zaszedł jeszcze tak daleko. – Dotknął jej ramienia i znów coś wyszeptał. – Proszę. Weź ją. I lecz. Możesz brać od niego. Możesz od innych. Nawet z siebie. Wszędzie jest energia do wzięcia.

Rachel *poczuła* połączenie i użyła go do przywołania diagnostycznego hologramu, z czego bardzo rzadko miała możliwość korzystać. Żołnierz został uderzony przez wóz. Nogi i żebra było łatwo naprawić, a przynajmniej złożyć, ale w nabrzmiałym brzuchu miał pełno wewnętrznych uszkodzeń, a bez sprawnego zespołu nie chciała go otwierać. Teraz *zobaczyła* rozmiar uszkodzeń. Nie miała szans na odciążenie z niego dość energii, by naprawić przebitą śledzionę, ale... podpięła się do własnego ciała, odciągając swoją energię i zaczęła naprawiać, co mogła.

– Głupie – warknął agent, gdy zachwiały się pod nią kolana. – Bardzo głupie. Ściągaj z *niego*, nie z siebie, bo nigdy nie będziesz w stanie niczego zrobić.

– Zatrzymałam najgorsze – powiedziała słabo Rachel. – Resztę mogę zrobić później, gdy odzyskam siły. Nie stanę się taka jak *ty*.

– W takim razie patrz, jak ja ich leczę! – krzyknął Conner i pchnął ją przez pokój do wyciągającego rękę elfa. Zaczął recytować i wszystkich rannych otoczyło światło.

– Co robisz? – zapytała desperacko Rachel. – Przestań! – krzyknęła, gdy jeden za drugim, ranni zaczęli krzyczeć, otoczeni kulami światła. Potem krzyki zmieniły tonację w chrapliwe ryki, a kiedy światło zgasło, na łóżkach siedziało pięciu orków, powarkując na siebie i wykrzykując przekleństwa w stronę Przemienionego elfa. Jednak skurczyli się lekliwie pod spojrzeniem Connera.

– Obiecałem, że ich nie *zabiję* – rzucił jadowicie agent. – Zabrać ją.

\* \* \*

– Jasny szlag – skomentował cicho generał Cierra Magalong, gdy kohorta ponownie zamknęła szeregi, by przejść przez bramę. – Przygotować balisty, musimy zrobić im trochę miejsca.

Flota Nowego Przeznaczenia zdobyła bazę morską i wzniosła na północnym skraju półwyspu ufortyfikowany obóz. Nawet mając do dyspozycji wszystkie siły, nie mogli kompletnie odciąć półwyspu, ale praktycznie rzecz biorąc i tak tego dokonali. Wysłał jedną z trzech swoich sił w celu sprawdzenia ich fortyfikacji. Z rekonesansu wróciło mniej niż dwie trzecie żołnierzy.

Oprócz orków, stanowiących podstawę armii Nowego Przeznaczenia, pojawiły się tam też zupełnie nowe, olbrzymie stworzenia. Orkom rzadko udawało się przerwać szereg tarcz dobrze dowodzonej kohorty, ale tamte bestie po prostu uderzały na formację, nie przejmując się ciosami włóczni i mieczy, otwierając w nich dziury, przez które wdzierali się inni. Kohorta trzy razy prawie się rozsypała, zanim wreszcie wycofała się z pola walki. Bestie nie wykazywały się wielką szybkością ani inteligencją, ale

3nadrabiały to rozmiarami i siłą. Widział, jak jedna z nich uniosła po żołnierzu w każdej ręce, gdy ich koledzy siekli japo nogach, po czym rzuciła obu ludzi w powietrze.

Kolejna z bestii precyzyjnie się między orkami, szarżując niezgrabnie na linię legionistów. Generał uśmiechnął się lekko, gdy szereg nawet się nie zachwiał, po prostu utrzymywał równomierne tempo wstecz, z żołnierzami oczekującymi bestii niczym bojowe automaty. Zresztą odwrócenie się i ucieczka nic by im nie dało, po prostu otworzyłoby to tylko większą dziurę, przez którą wlałoby się napastnicy.

Jednak tym razem legionieści byli już na tyle blisko, by zapewnić im wsparcie i trzy balisty wystrzeliły w stworzenie. Dwa pociski spudłowały – jeden przybił do ziemi Przemienionych z pierwszych szeregów, drugi poszybował za daleko – ale trzeci trafił jedno ze stworzeń w ramię, wywracając je i prawie odrywając kończynę. Pomimo olbrzymiej rany bestia podniosła się na nogi, jednak nie dotarła do linii legionistów, przewracając się po chwili z powodu wykrwawienia.

Legionieści dalej zacieśniaли formację, minimalizując odstępstwa i cofając się za bramę. Gdy tylko zbliżyli się do murów, obrońcy zaczęli obrzucać bestie dzbanami z płonącym napalmem, zwalniając ich postępy i zmniejszając presję na legionistów. Wystrzelivano kolejne bełty z balist i kusz. W końcu kompania rzuciła swoje piłą i ostatni żołnierz przekroczył bramę, którą natychmiast za nim zamknięto.

Siły Nowego Przeznaczenia również ruszyły do przodu, ale reszta legionu czekała w gotowości na murach i atak został odepchnięty z dużymi stratami atakujących. Legionieści dźgali z góry swoimi piłami, a całe ich grupy zajmowały się większymi bestiami, które nabierały wyglądu jeży. Po około piętnastu minutach walki z obozu Nowego Przeznaczenia rozległ się dźwięk trąb i atakujący odstąpili, zostawiając po sobie mnóstwo zwłok, które niedługo zaczną się rozkładać.

Nowe Przeznaczenie rozpoczęło też już działania oblężnicze przeciwko liniom obrony generała Magalonga. Prowadzono podkopy i szykowano okopy, z których ziemię wydobywali kolejni Przemienieni i ludzie, którzy mieli pecha zostać złapani już na miejscu. Głównym zadaniem kohorty był właśnie atak na prowadzących te prace. Niestety, misja się nie powiodła.

Cierra Magalong zastanawiał się zresztą nad skalą tych przygotowań. Nowe Przeznaczenie *mogło* po prostu zalać ich masą wojsk. Jeśli rzucana nich dość orków. We flocie inwazyjnej przyplłynęło ich przynajmniej dziesięć tysięcy, a przez portale nadejdą następni. *Musieli* martwić się czasem i nie mogli się ruszyć przed pokonaniem obrońców. Czemu więc to wyszukane oblężenie?

– Przyślijcie mi tu porucznika Pedersena – polecił generał. – Chcę poznać jego zdanie.

\* \* \*

Rachel odstąpiła od rannego po zakończeniu szycia tętnicy.

– Będzie go bardzo bolało, kiedy się obudzi – poinformowała, podnosząc umazaną krwią dłońią jedną z powiek i sprawdzając zwężenie źrenicy. – Wypiszę receptę na morfinę. Nie mniej ani nie więcej, rozumiesz? – poleciła pielęgniarzowi. Mężczyzna, przestraszony, kiwnął głową i polecił noszowym zabrać oficera.

Pracowała tylko na ludziach. Przemienionych było takie mnóstwo, i mieli stosunkowo tak niewielką wartość, że rany leczono wyłącznie ich ludzkim oficerom. Przemienieni przeżywali lub ginęli.

Rachel podeszła do kranu i umyła dłonie i przedramiona pod wodą. Jedyną dobrą rzeczą w tym obozie był fakt, że Nowe Przeznaczenie zainstalowało w szpitalu bieżącą wodę, z drugiej strony woda, która leciała z kranu była zimna i zmycie w niej krwi wymagało bardzo intensywnego szorowania.

Obróciła się kątem oka, wyłapując ruch i zmarszczyła czoło na widok Connera, który jak zwykle przyszedł w towarzystwie potwornego elfa.

– Szkoda, że nie mogłaś uratować mu nogi – rzucił Conner, zerkając na rannego.

– Mówiłam ci, że nie dam z siebie wszystkiego, jeśli mnie zdenerwujesz – oświadczyła zimno Rachel, odwracając się do niego plecami i ignorując go. Chciał widzieć jej cierpienie. Mógł ją zabić albo zgwałcić, ale za nic nie pokaże mu swojego strachu.

Znów coś poruszyło się na skraju jej pola widzenia, a równocześnie usłyszała charakterystyczny świst. Obróciła się w chwili, gdy Przemieniony kończył właśnie wycierać swój miecz. Głowa oficera Nowego Przeznaczenia nie miała jeszcze czasu sturlać się z umazanego krwią stołu operacyjnego. Zrobiła to na jej oczach i uderzyła w ziemię z odgłosem pękniętego melona.

– Ty SUKINSYNU! – wrzasnęła, chwytając skalpel i rzucając w niego najsilniej, jak potrafiła.

Mężczyzna odchylił się lekko na bok przed pociskiem, po czym uśmiechnął się złośliwie, gdy elf złapał skalpel w locie i postąpił krok na przód.

– Nie, Roc – polecił Conner, unosząc rękę i śmiejąc się. – Niech się powścieka.

– *Nie* marnuj mojego *czasu!* – wrzasnęła Rachel, – Rób sobie ze mną, co chcesz. Możesz mnie torturować, zgwałcić, zabić, wszystko jedno. Ale *nie* marnuj mojego czasu!

3– Ale to – Conner wskazał na bezgłowy korpus – *było* marnowaniem czasu. Nie potrzeba nam kalekich oficerów. To tylko dodatkowa gęba do wykarmienia.

– Jesteście rewelacyjni – oświadczyła Rachel, odwracając się z powrotem do zlewu i wściekle szorując dłonie. Chwyciła ręcznik i wskazała na niego, w części zła, w części zdumiona. – Jesteś pieprzonym *idiotą*, wiesz? Nie tylko durniem, to oczywiście, ale *idiotą*.

– Czemu jestem idiotą? – zapytał spokojnie Conner, przechylając głowę na bok, jakby niezmiernie interesowała go jej opinia.

– Wiesz, kim jest Herzer Herrick? – zapytała Rachel, rzucając ręcznik do kosza i wymieniając fartuch na nowy.

– Och tak, twój luby, prawda? – odpowiedział z uśmiechem agent. – Nie – oświadczyła Rachel. – Twój jakże doskonały wywiad myli się

w tym względzie. Ale nie uznałbyś chyba, że nie *przydaje się ZWS?*

– Nie – zaprzeczył. Jest dla nich bardzo pomocny.

– A wiesz o tym, że brak mu jednej dłoni? – zapytała spokojnie Rachel.

– Tak – potwierdził Conner.

-1 CZY BEZ TEJ DŁONI JEST MNIEJ PRZYDATNY? – wrzasnęła Rachel, unosząc ręce, a potem wskazując na trupa. – Czy wiesz *cokolwiek* o tej osobie?

– Nic poza faktem, że nie ma głowy.



– Czyli nie masz *żadnego* pojęcia, czy mógł być dla ciebie użyteczny – ciągnęła Rachel, znów unosząc rękę. – Mógł być *czarodziejem* logistyki! *Mistrzem* w sortowaniu danych wywiadowczych i odnalezieniu tej *jednej* wskazówki, która umożliwi wygraną bitwy. Ale *ty* tego nie wiesz. I nigdy się nie dowiesz! Bo odciąłeś mu *głowę!* *Dlatego* właśnie jesteś idiotą, nie wspominając o DURNIU!

– Panno Ghorbani, to prosty skutek błędnego rozumowania – wyjaśnił Conner z lekkim uśmiechem. – Błąd polega na założeniu, że kogokolwiek w Nowym Przeznaczeniu to *interesuje*. Och, nie chodzi o pani *opinię*, jak sama zauważyłaś, to się rozumie samo przez się. Nie, chodzi raczej o los jednostki, niezależnie od tego, jak potencjalnie uzdolnionej. Znasz powiedzenie „ilość jest jakością samą w sobie”?

– Stalin – rzuciła Rachel. – Mój ojciec uwielbia wyrzekać na głupotę. Szczególnie lubi cytować Żukowa.

– Kim jest Żuków? – zapytał Conner. – Zresztą, kim jest Stalin?

– *Widzisz!* Jesteś *idiotą*. Cytujesz rzeczy, a nawet nie znasz ich pochodzenia! Nie znasz *realiów* z nimi związanych ani *czego bezpośrednio* dotyczyły! To nie był *ogólny* cytat, dotyczył *konkretnej broni!* A jeśli zamierzasz go stosować do *ludzi*, *falszywość* stwierdzenia jest bezpośrednio związana z osobą człowieka, który to powiedział!

– No dobrze... więc kim jest Żuków? – zapytał uprzejmie Conner.

– Uch! Nie zamierzam cię uczyć historii starożytnej. Muszę się zająć kolejną rzeźnią. Przypuszczam, że *wolałbyś*, żebyś zajęła się tymi, którzy nie są *zbyt mocno* ranni i nie wymagają długiego leczenia?

– Tak – potwierdził Conner. – Mniej więcej. Nie zamierzasz mi wyjaśnić kim jest Żuków, prawda?

– Sam sobie poszukaj.

– Rosyjski generał – odezwał się sykliwie zniekształcony elf. – Dowodził armią syberyjską podczas wczesnych etapów drugiej fazy Pierwszej Wojny Planetarnej. Później dowodził całą armią. Prawdopodobnie uratował Rosję. Choć to dyskusyjne.

– Gdyby Żuków nie zorganizował przerzutu wojsk z dalekiego wschodu, Moskwa by padła – warknęła Rachel.

– Rosja traciła już Moskwę – zauważył elf. – To zniszczyło Napoleona.

– To była zupełnie inna sytuacja – zaprotestowała Rachel. – Nawet pomimo partyzantów Niemcy dysponowali logistyką umożliwiającą im przetrzymanie zimy. A z końcem zimy mieliby Murmańsk i Stalingrad. Powstrzymał ich przed tym wyłącznie Żuków.

– Nie dysponowali wystarczającą ochroną dla swoich linii zaopatrzeniowych – zaprotestował elf.

– Przepraszam – odezwał się Conner.

– Mogli ją zapewnić, i robili to, przekierowując jednostki z Europy Wschodniej – zauważyła Rachel, tupiąc nogą. – Nie, to wojska z Syberii...

– HEJ! – wrzasnął agent. – O czym wy u *diabła* mówicie?

– Zimowa kampania w Rosji w 1942 roku – wyjaśnił elf.

– *Wszystko* z tego wiem! – warknął Conner.

– Czym jesteś? – zapytała Rachel, patrząc na elfa.

– Jestem Roc – odpowiedziało stworzenie.

– Zapytałam czym, nie kim – przypomniała Rachel w zamyśleniu.

– Czym jestem? – Roc zwrócił się do mężczyzny.

– Jesteś moim ochroniarzem – warknął Conner.

– Jestem ochroniarzem – powtórzył elf, obracając się z powrotem do Rachel.

– Jak diabli – stwierdziła w zamyśleniu Rachel. – Jesteś piekielnym naruszeniem protokołów, ot co. Zakładam, że Pani jeszcze się o tym nie dowiedziała. Szkoda. Nie mogę się doczekać, kiedy w końcu z powrotem otworzy Elfheim. Wkurzyła się, kiedy zrobili prototypy leśnych elfów,

3ale odnajdzie nowe znaczenia słowa wściekłość, kiedy dowie się o tej... rzeczy.

– To nie ma żadnego związku... – odezwał się Conner, po raz pierwszy okazując irytację.

– Nie w twoim przypadku – radośnie stwierdziła Rachel. – Sama wiedza, że kręciłeś się gdzieś w *pobliżu* jednej z tych rzeczy wystarczy, by zasłużyć sobie na specjalne traktowanie u Pani. Ma tysiące lat doświadczenia w wymyślaniu sposobów na robienie ludziom nieprzyjemnych rzeczy. Jestem pewna, że skorzysta ze *wszystkich* dla kogoś związanego z... tym – zakończyła, wskazując na elfa. -1 czemu u diabła jest *ochroniarzem*, skoro jest tu pierwszym, który *nie* wsadził głowy do tyłka? Przynajmniej wie, kim był Żuków.

– To nie twoja sprawa – warknął Conner.

– Hej, Roc – rzuciła Rachel z uśmiechem. – Naprawdę powinieneś przejąć dowodzenie, wiesz? Przynajmniej masz rozum.

– Roc niczego nie przejmie – oświadczył Conner, pogodniejąc. – Jest w pełni kontrolowany.

– Jak diabli – rzuciła Rachel, unosząc brwi. – Hej, Roc, co myślisz o Bedfordzie Forreście?

– Był dobrym generałem kawalerii – odpowiedział elf. – Miał *gaslan*.

– Szlag, elfie słowo – zauważyła zdumiona Rachel. – Nie są preprogramowane. Informacje o Żukowie *mogły* być, ale po co programować elfi...? To nie jest konstrukt, prawda? – dodała przerażona.

– Dość – uciał agent, unosząc rękę. – Jeszcze jedno słowo, a przekonasz się, *jak bardzo* kontrolowany jest Roc.

Rachel otworzyła usta, po czym zamknęła je bez słowa. Mimo wszystko zrobiła jednak krok do przodu, stając przed stworzeniem i spojrzała mu w oczy. Śmierdziało. Nie zapachem ludzkiego ciała, czymś podobnym do Przemienionych orków, ale znacznie gorszym, dochodzącym z uprząży odorem gnijącej krwi. Ale przez chwilę patrzyła mu w oczy, próbując odnaleźć w nich iskrę tego, co kiedyś musiały skrywać. Wszystko, co w nich zobaczyła to świat pełen furii. Wyciągnęła rękę i delikatnie dotknęła jego twarzy, po czym się odwróciła.

– Muszę się zająć swojarzeźnią – oświadczyła urywanym głosem. – Ale pewnie nie jestem pierwsza, co?

– Po prostu wracaj do pracy – polecił Conner, gestem nakazując stworzeniu pójście za sobą.

– Do widzenia, Roc – rzuciła cicho Rachel, podchodząc do umywalki i ponownie szorując dłonie. – Kimkolwiek byłeś.

# ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

– Co pan o tym myśli, poruczniku? – zapytał generał Cierra Magalong, wyglądając przez okno na wycofujące się siły Nowego Przeznaczenia. Ich pierwsza grupa dotarła już sto metrów od fortu Nowego Przeznaczenia i wyglądało na to, że szykują następną.

– Myślę, że czeka nas walka, sir – odpowiedział Pedersen. Stał w pozycji na spocznij przed biurkiem generała.

– Też tak myślę – zgodził się generał, odwracając się od okna i wskazując na krzesło. – Proszę usiąść, poruczniku, zanim się pan przewróci.

– To nie była ciężka walka, sir – zauważył Pedersen, ale i tak usiadł na skraju krzesła, tak by za mocno go nie pobrudzić. Wciąż pokrywała go krew.

– Te duże... stworzenia... – odezwał się generał.

– Żołnierze zgodzili się już nazywać je ogrami, sir – wtrącił Pedersen z lekkim uśmiechem. – Zbyt... niezgrabne na trolle.

– Ogry i trolle, rety – jęknął generał.

– Tak jest, sir – potwierdził Pedersen, kiwając głową. – Są powolne i ciężkie, ale trudno się z nimi walczy. Mają bardzo duży zasięg rąk. Może lepiej atakować je pikami. Choć łucznicy powinni mieć z nimi używanie, przynajmniej na dystansie poniżej stu metrów. Tak jak ciężkie kusze. Nie sądzę, żeby gruntownie przemyślano ich konstrukcję, wyglądają po prostu na większą wersję ludzi. To dlatego są tak niezgrabne – ludzie nie są stworzeni z myślą o pięciu metrach wzrostu i proporcjonalnej masie. Wydaje mi się... gdyby zrobić trochę pik z grotami długości jakichś dwóch metrów.-

3potem przeciwżyć w ich użyciu specjalną jednostkę. Rozproszyć ją w regularnych siłach, żeby zareagowała na atak ogrów. To powinno załatwić problem. Po prostu złapali nas z zaskoczenia.

– Ogry i orkowie, a widziałem przynajmniej dwie inne odmiany Przemienionych pracujących przy okopach – zamyślił się generał.

– Tak jest, sir – zgodził się Pedersen. – Jak długo nie stworzą korpusu orków z łukami kompozytowymi, wszystko będzie dobrze, sir.

– Nie mamy wiele powodów do radości, poruczniku – uściślił nerwowo generał. – Czemu oni tu siedzą? Czemu stosują standardowe techniki oblężnicze, zamiast po prostu zalać nas swoją masą?

– To... dobre pytanie, sir – przyznał Pedersen, kręcąc się na krześle. – Czekają na coś?

– Na przybycie reszty floty? – zapytał generał. – Pierwszy legion?

– Możliwe – powiedział w zamyśleniu Bue. – I możliwe, że nie mają wszystkich wojsk *świata*, sir. Może *muszą* ich oszczędzać. Nie jesteśmy jedyną grupą, która z nimi walczy.

– Bardziej martwi mnie jakiegoś rodzaju pułapka – zauważył generał. – Nie zrobili kilku rzeczy, których się po nich spodziewałem. Żadnych wycieczek do miasta. Przeprowadzić się tam, ustawić teleport na *tę* stronę i mamy problem. Żadnych smoków. Po prostu standardowe prace oblężnicze. Nie podoba mi się to.

\* \* \*

– Doktor Ghorbani – odezwał się Conner, wchodząc energicznie do przydzielonego jej małego namiotu. – Proszę ze mną.

– Bije ci z twarzy: „Wiem o czymś nieprzyjemnym, co ci się nie spodoba i chcę się napawać” – powiedziała Rachel, marszcząc czoło, ale wstała ze swojego pośłania.

– Tak dobrze mnie znasz – rzucił cierpko Conner.

– Hej, Roc – powiedziała Rachel, patrząc na elfiego stwora. – *Adelas tomall*.

– Nie odzywaj się do niego – rzucił ostro Conner, wykonując gest dłonią i mamrocząc pod nosem jakieś słowo.

Rachel ogarnęła fala tak ostrego bólu, że ugięły się pod nią kolana. Potem ból zniknął.

– Dobrze, dobrze – wydyszała. – Dotarło. Nie mówić do elfa. Szlag. To w tym obozie jedyna osoba z głową.

– Chodź ze mną – polecił, ruszając wzdłuż szeregu namiotów. – A więc tak, jesteśmy tu sobie, pokojowo prowadząc oblężenie przeciw miastu, którego wcale jakoś szczególnie nie potrzebujemy.

– Zauważyłam. I zbieracie przy tym mnóstwo ofiar.

– Czy to nie wydaje się grupie? – zapytał Conner, wracając częściowo do dawnego, beztroskiego, sposobu zachowania.

– Tak – zgodziła się Rachel. – Wydaje się.

– Cóż, mam nadzieję, że nie jest to *zbyt* oczywiste – powiedział Conner, gdy podeszli do jednego z namiotów. Wychodził z niego Przemieniony, sądząc po wyglądzie całkiem nowy, sycząc na nich do chwili, gdy zauważył strój Connera. Wtedy pospiesznie się wycofał.

– Tworzycie kolejnych Przemienionych? – zapytała Rachel, czując ssanie w żołądku.

– Mam nadzieję, że tak właśnie myślą ewentualni obserwatorzy – westchnął Conner, odsłaniając wejście do namiotu. – Choć tak nie jest. Podziwiał.

Wewnątrz namiotu wznosiła się duża konstrukcja z jakiegoś srebrzystego metalu i portal. Gestem zaprosił ją do środka, a potem do przejścia przez portal.

Kiedy przeszła na jego drugą stronę, żołądek opadł jej do pięt. Portal ustawiono w bramie zamku wznoszącego się w dużej dolinie. Całą dolinę pokrywały namioty. Wszędzie było pełno Przemienionych, większość w na wpół zorganizowanych grupach.

– Mamy jedenaście takich portali. Po drugiej stronie każdego z nich czeka siedem do dziesięciu tysięcy Przemienionych. Ćwiczyli przechodzenie przez portale, a bramy obozów nie przypadkiem są takie wielkie. Twój ojciec sądzi, że nie wiemy, że zbliża się tu z łucznikami i Panami Krwi. Kolejny pełny legion. Ale wiemy, och, wiemy – wycedził Conner, uśmiechając się. – A mały ptaszek wyszeptał do właściwego uszka, że mamy też *ciebie*. W obozie. Żywą. Nie uszkodzoną. Przeważnie.

– Mój ojciec... nie przyjdzie po mnie – wyszeptała Rachel.

– Och, myślę że przyjdzie. Zresztą, *musi* nas pokonać, prawda? Twój ojciec zawsze prowadzi ze środka swoich głównych sił. Pierwszy legion zebrał się na północny wschód od nas i zaatakuje stamtąd, ustawiając się u podstawy półwyspu. Łucznicy są przynajmniej o dzień drogi dalej, ale wylądują w pobliżu Wilamon i szybko pomaszerują lądem, przybywając akurat na czas, by zająć pozycje na północy. Smoki zaatakują od słońca. Czy wspominałem o antysmoczych balistach? Edmund spróbuje udawać, że ma tylko jedną kohortę, żeby skłonić nas do ataku. Złapiemy przynętę. Potem zaatakuje nas głównymi siłami legionu, podczas gdy łucznicy podejmą ostrzał z flanki. Wycofamy się, uciekając z powrotem do fortu. Podejmą pościg. A kiedy to zrobią...

3– Ty draniu – powiedziała Rachel, wyobrażając sobie całą scenę. Jej ojciec często powtarzał, że jeden z głównych błędów popełnianych wielokrotnie w historii wojskowości polegał na niezdolności do rozgromienia złamanego przeciwnika. On zawsze starał się przeprowadzić to jak najdokładniej.

– A kiedy dotrze do obozu, kiedy już wszyscy się w nim znajdują, odkryjemy naszą pułapkę. I zniszczymy dwa najbliższe legiony, a potem, panno Ghorbani, wojna będzie już praktycznie skończona.

\* \* \*

W lasach poruszył się cień, nieznacznie, po czym znów znieruchomiał. Biała głowa podniosła się, wciągając zapachy, miauknęła cicho, po czym wróciła do swojej warty.

\* \* \*

– Łucznicy wylądują tu, w Wilamon – oświadczył szef sztabu sił *lądowych*. – Pomaszerują lądem w szybkim tempie i zbiorą się na drugim zboczach tego wzgórza...

Talbot kiwnął głową, słuchając odprawy. Łuczników czekała noc ciężkiego marszu, ale jeśli pogoda nie przeszkodzi, przybędą dostatecznie wcześniej, by zjeść coś, zanim rozpocznie się bitwa. Jeśli przeciwnik zachowa się tak, jak podejrzewał, rozgromią go. Grupa Panów Krwi, którą zabrał ze sobą Gunny wystarczy w charakterze wsparcia w przypadku, gdyby orkowie rzucili się na łuczników. Pod opieką Panów Krwi i swoich zasieków łucznicy powinni być bezpieczni.

A wciąż nie mówił nikomu o Wielkich Czynach.

Bitwa powinna pójść równie dobrze, jak każda, którą zaplanował. Różne rzeczy mogły się nie udać, ale nie na skalę, która by wszystko zepsuła.

Czemu więc żołądek nie dawał mu spokoju?

– Tak wygląda zarys fazy lądowej. Pytania? – zakończył szef sztabu.

– Ja mam jedno – odezwał się Herzer. Na odprawie reprezentował Joannę i pozostałe smocze eskadry. – Wiem, że w tej operacji reprezentuję lotnictwo, ale mam problem z działaniami naziemnymi – oświadczył, patrząc najpierw na Edmunda, potem na oficera wywiadu. – Mówi pan, że w obozie jest tylko dziesięć tysięcy orków. Czyli to, z czym wylądowali. Czemu nie ściągają posiłków portalami?

– Nie wiemy – przyznał oficer. – Dochodziło tam do teleportów, ale nie potrafimy odróżnić zwykłego teleportu od portalu. Liczba portowań była... duża. Ale *nie* otrzymywali posiłków przez portale i owszem, nas też to martwi.

– Książę Edmundzie? – zapytał Herzer, szerzej otwierając oczy.

3– Co chciałby pan, żebyśmy zrobili, majorze Herrick? – zapytał cicho Edmund.

– Nie to, czego się spodziewają – wyjaśnił Herzer. – Te działania to minimum tego, czego *ja* bym się spodziewał, biorąc pod uwagę nasze ograniczenia logistyczne i ruchowe. Ale jeśli podejść do tego na zimno, przychodzi na myśl termin „wyruchać”. Zauważyłem też, że nie ma żadnych śladów obrony przeciw smokom. To wydaje się... praktycznie niemożliwe.

– W tej chwili zostawimy te pytania bez odpowiedzi – oświadczył Edmund. – Proszę kontynuować odprawę. Majorze Herrick, porozmawiamy po jej zakończeniu.

\* \* \*

– Ma pan wstrząs mózgu – zdiagnozowała Rachel, podnosząc świecę tak, by lepiej oświetlała jego oko. Żrenica zwęziła się normalnie, tak samo jak w drugim oku. – Potrzeba panu przynajmniej trzech dni odpoczynku w cichym namiocie. Czy to jakiś problem?

– Nie – burknął oficer, naciągając koszulę. – Nie przy tym, jak rozwija się to cholerne obłąkanie.

– Dobrze, skończyliśmy – oświadczyła Rachel, odsuwając lusterko znad oka.

– Powinna pani mnie odwiedzić – oświadczył oficer Nowego Przeznaczenia, sięgając do jej rudych włosów. – Obiecuję mile spędzony czas.

– Prędzej oddam się Przemienionym – wysyczała lodowato Rachel. – Won.

– To też da się zaaranżować – warknął oficer, sięgając ku niej ponownie.

– Po pierwsze, jeśli zwiększy pan sobie ciśnienie przez uprawianie seksu, niech pan nie ma do mnie pretensji o ból głowy – rzuciła Rachel, unikając jego ręki. – A co do reszty, będzie pan to musiał uzgodnić z Connerem.

Oficer znieruchomiał, po czym wzruszył ramionami.

– Później przyjdzie czas.

– Niewątpliwie – zgodziła się Rachel. – A teraz wynocha z mojego szpitala.

Prześlizgnęła się między kłapami namiotu i przeszła na tyły. Tylna część namiotu szpitalnego mieściła się przy wschodniej ścianie obozu oddzielona od niego szeroką drogą. Ponieważ używano jej jedynie do przemieszczania wojska w trakcie ataku lub ćwiczeń, było tam stosunkowo cicho i na uboczu, więc mogła trochę odpocząć.

Przydzieleni do jej pilnowania dwaj Przemienieni poszli w ślad za nią. Jak na orków zachowywali się zdumiewająco spokojnie, choć zasługę musiała przypisać Connerowi. Jak długo pozostawała na terenie szpitala

3i nie próbowała rozmawiać z nikim oprócz pacjentów, zostawiali ją w spokoju.

Spojrzała w górę i kiwnęła głową. Flota ZWS musiała być w pobliżu, ponieważ niemal codziennie obóz pilnowany był z powietrza przez smoka. W tej chwili unosił się niemal dokładnie na tle słońca, ale to jej odpowiadało. Przesunęła lustro lekarskie z powrotem na oko i spojrzała w stronę smoka. Ryzykowała, ale nie sądziła, by Przemienieni wykazali się dostateczną inteligencją, by zrozumieć, co robi. Kazano im pilnować, by nie *rozmawiała* z ludźmi, a nie uniemożliwiać jej *sygnalizowanie*.

\* \* \*

– Herzer – odezwał się Edmund, gdy major przeszedł przez drzwi. Jego oczy rozszerzyły się w zaskoczeniu, gdy za Panem Krwi do pokoju weszła Megan Travante.-Pani Travante. Chciałem rozmawiać z Herzerem w cztery oczy.

– Nie jestem tu mile widziana? – zapytała Megan, siadając na jednym z krzeseł. Zerknęła na podłogę i zauważyła, że wciąż nie zniknęły z niej ślady krwi.

– Ależ jest pani – przyznał po chwili Edmund. Podniósł z biurka dwa szczepione razem meldunki i podał je Herzerowi. – To od jednego z twoich jeźdźców pilnujących obozu. Miałaś rację.

Herzer spojrzał na arkusze i zmarszczył brwi. Na górnej kartce znajdował się ciąg urywanych słów, na drugiej próba ich złożenia w całość.

– Jedenaście bram w namiotach – przeczytał Herzer. – Pułapka na legion i łuczników. Siedemdziesiąt do stu tysięcy Przemienionych. Udawana ucieczka. Dowodzi Conner. Bigly. – Zdziwiony spojrzał na Edmunda. – Bigly?

– Kiedy była mała, nazywałem ją Rachel Bigly-Wigly – wyjaśnił Edmund ze zmarszczonym czołem. – Nie jest to rodzaj informacji, jaki mogliby z niej wyciągnąć przy przesłuchaniu.

-1 raczej by nam tego nie zdradzili – mówiąc to, Herzer uniósł kartkę. – Że to pułapka. Ale podejrzewał to pan, prawda?

– Tak – potwierdził Edmund ze wzrokiem wbitym w biurko. – I nawet moja planowana kontra nie zadziała przeciw pełnej sile. Chyba że... – Odchylił się do tyłu i zamknął oczy. – Sto tysięcy. Jak szybko mogą się wyłaniać? Powiedzmy dwóch naraz przez dziesięć portali, z jedenastym na ciężką broń i obsługę. Jak szybko *przechodzą*?)

– Powiedzmy dwudziestu na sekundę – zasugerował Herzer. – Mniej więcej. Ale sir, nie możemy im *pozwolić* przejść!

– To główne siły armii Nowego Przeznaczenia – zauważył Edmund. – Jeśli zdołamy ich tu rozbić...

3– Z całym szacunkiem, Wasza Wysokość – oświadczył Herzer, rzucając papier na biurko. – Nie damy rady *ułamkowi* tej siły!

– Przeciwnie, damy radę – zaprzeczył Edmund, otwierając oczy. – Nie oszukuj się, wszystko

zależy od właściwego wykorzystania czasu, a w tym jesteśmy dobrzy. Oni nie.

– Wycucie czasu mamy doskonałe... – zaczął mówić Herzer.

– Jak długo potrwa wzniesienie ufortyfikowanego obozu? – przerwał mu Edmund.

– Dwie godziny – automatycznie odpowiedział Herzer.

– Nie pełnego obozu, tylko zewnętrznej części. Palisady i pojedynczej fosy.

– Powiedzmy... czterdzieści pięć minut. Czemu pan pyta?

– Myślę, że zdołamy ściągnąć to do piętnastu minut – ocenił Edmund. – Dobrze, pierwszy oddział wychodzi z obozu. Krótkie starcie. Wycofują się do obozu. Co dzieje się dalej?

– Gonimy ich, z portali wyłaniają się główne oddziały i robią z nas kaszanke – wyjaśnił Herzer, wzdychając. – Prawdopodobnie zaczną wychodzić w środku starcia. Uciekające siły zostaną skierowane *wokół* obozu do bocznych bram, a potem przez północną bramę wypadną główne siły.

– Ile czasu? – zapytał Edmund. – Żeby główne siły dotarły do łuczników?

– Powiedzmy... piętnaście, dwadzieścia minut? Czemu?

– Nie gonimy ich. A raczej, nie wszystkimi siłami. Idziemy na wzgórze łuczników.

-1 zbudujemy obóz? Sir, nie będzie *czasul*

– Wystarczy – zapewnił książe. – Zresztą do pomocy weźmiemy łuczników i jeszcze trochę ludzi. Towarzyszący im Panowie Krwi mogą przynajmniej przygotować teren i zacząć z przedpiersiem. Kiedy dotrze tam reszta...

– Po prostu zabiorą się za kopanie. Szybko. – Uzupełnił Herzer. – Ale sir, ich jest *sto tysięcy* przeciwko *sześciu* tysiącom. Nawet z obozem to olbrzymia przewaga!

– Nie przeciwko *dwunastu* tysiącom – uściślił Edmund uderzając w blat biurka. – I zostaną złapani między *dwoma* ufortyfikowanymi obozami. *Dwoma* legionami. Zresztą przejdzie ich góra pięćdziesiąt tysięcy.

– Sir. Balmoran jest zbyt daleko, by bezpośrednio wpłynąć na główne siły. Oni się skupią, my rozproszymy. I mają ufortyfikowany obóz na środku...

– Och, zapomniałem o tej części – przyznał Edmund. – Nie będą mieć swojego obozu. My go zajmiemy.

3-1 jak panienka spędzała czas, panno Ghorbani? – zapytał Conner, gdy Rachel wprowadzono do jego namiotu.

– Zszywając twoich bardziej *użytecznych* oficerów, którzy zapomnieli się uchylać – wyjaśniła Rachel. – Jak idzie oblężenie?

– Powoli, bardzo powoli – przyznał agent. – Wiesz, niepomyślnie wiatry spowolniły flotę. Nie mogę za bardzo się spieszyć. Ale powinni tu być o poranku. Ponieważ nie chciałbym, żeby ominął cię pokaz, myślę, że czas już zakończyć twoje obowiązki jako lekarza. Zostaniesz... bliżej mnie. Będziemy się świetnie bawić, prawda?

– No nie wiem, muszę z tobą rozmawiać, czy mogę się po prostu pobawić z Rokiem? – zapytała z uśmiechem. – Założę się, że potrafi grać w szachy.

– Ja... rozmawiałem z Rokiem o jego interakcjach z tobą – oświadczył Conner z krzywym uśmiechem. – Więcej już do nich *nie* dojdzie. Zrozumiano?

– Oczywiście – potwierdziła smutno Rachel. – Nie chcielibyśmy przecież uwolnić elfa z tego potwora, prawda?

– To byłoby... raczej niemożliwe – stwierdził Conner. – Nie zostało już w nim nic z tego, co nazywasz „elfem”. Tak jak się domyślałaś, to zmodyfikowany elf. I pojawi się ich więcej, dużo więcej.

– Na ziemi nie ma ich tak wielu – zauważyła z namysłem Rachel. – I nie mogą się rozmnażać...

– Zawsze są sposoby. *Będzie* ich więcej. Choć oczywiście dla ciebie nie będzie to miało wielkiego znaczenia.

– Oczywiście – zgodziła się dziewczyna z lekkim tikiem. – Choć w jednym z moich najprzyjemniejszych snów to właśnie ja mówię o tym Pani.

– Zapomnij o marzeniach. Gdy tylko twój ojciec połknie haczyk, wrócisz do Ropazji. Gdzie... czeka na ciebie coś innego.

– Mniej więcej tego się spodziewałam – westchnęła. – A co zanim?

– Cóż, tak się składa, że *ja* gram w szachy – oświadczył Conner, wyciągając szachownicę. – Zagramy?

– Nie bardzo wyobrażam sobie ciebie przy szachach – skomentowała Rachel, siadając. – Przecież w nich się nie da oszukiwać.

\* \* \*

– Na ile zdołałem ustalić, Conner jest moim odpowiednikiem po stronie Nowego Przeznaczenia – wyjaśnił Travante. Joel razem z Sheidą brał udział w postaci awatara w spotkaniu z Edmundem, Sharem, Megan i Herzerem. – To... nie generał. Przed Upadkiem prawdopodobnie był kryminalistą, a teraz jest czymś w rodzaju szefa korpusu wywiadowczego i organizatorem zabójstw. Niewątpliwie to on wysłał przeciwko tobie zabójców, księżę Edmundzie.

– A więc co robi, dowodząc inwazją? – zapytał Edmund.

3– Siły Nowego Przeznaczenia dowodzone są przez generała Kossina – wyjaśnił Travante. – Podejrzewam, że Conner jest czymś w rodzaju oficera politycznego lub nadzorcy z zadaniem... obserwacji postępów, a nie bezpośredniego dowodzenia. A jeśli część planu polegała na schwyтaniu pańskiej córki, prawdopodobnie przyłożył do tego rękę.

– Robię się coraz bardziej zła i sfrustrowana poziomem penetracji, jaki zdołało osiągnąć Nowe Przeznaczenie – odezwała się Sheida. – Wiedzieli, gdzie jest Edmund i *Rachel*. Ustaliliśmy, że do przecieku dochodzi na bardzo wysokim poziomie. Doszliśmy nawet, kim jest...

– Nie mów nam – wtrącił się Edmund.

– Nie zamierzałam – odparła Sheida, mrużąc oczy i spoglądając na Joela. – Prawdopodobnie nie należało mówić nawet tyle.

– Jednak skoro już to zrobiłaś... – stwierdził Joel. – Wydzieliliśmy znane źródło. Od tej pory Nowe Przeznaczenie będzie dostawać tylko takie informacje, jakie chcemy im przekazać. Oczywiście są i inni podejrzani. Ale... jeszcze nie nadszedł czas sprzątnięcia.

– Zgadzam się – potwierdził Edmund ze zmarszczonymi brwiami. – Ale *musimy* oczyścić dom. Wkrótce. Zdecydowanie przed kontratakiem.

– Najpierw musimy sobie poradzić z *tym* atakiem, Edmundzie – zauważyła Sheida. – A nie martwić się o plany na przyszłość.

– Właściwie mój sztab pracuje już nad planami – przyznał Talbot. – Planowanie trzeba zaczynać przynajmniej z takim wyprzedzeniem. Jednak, owszem, musimy sobie najpierw poradzić z *tym* atakiem. I zrobimy to.

– Jesteś tego pewien? – zapytał Joel. – Aktualny... stosunek sił nie jest zbyt optymalny.

– Powiedzmy po prostu... że nie mam wątpliwości, że jutro nadejdzie dzień wielu wspaniałych czynów – potwierdził Edmund z lekkim uśmiechem. – Jeśli to wszystko...

– Tak sądzę – uznała Sheida. – Powodzenia, Edmundzie. Nigdy jeszcze mnie nie zawiodłeś...

– To nie będzie pierwszy taki przypadek – zapewnił ją Edmund.

– Skoro już tu jestem – odezwał się Joel, odchrząkując – czy mógłbym mieć chwilę sam na sam



z córką?

– Idę do siebie – oświadczył Edmund, wstając i wskazując na drzwi. – Pani Travante może korzystać z tego pomieszczenia, jak długo zechce.

Sheida skłoniła się lekko pozostałym i znikła, a Edmund, Shar i Herzer wstali i wyszli na zewnątrz. Herzer obejrzał się jeszcze przez ramię, a Megan uśmiechnęła się do niego. Odpowiedział tym samym i cicho zamknął drzwi.

– Bardzo się cieszę, że cię widzę – odezwał się Joel, lekko drżącym głosem. Odchrząknął i westchnął. – Bardzo się cieszę.

– Chyba równie jak ja, kiedy Sheida przekazała mi, że żyjesz – przyznała Megan z uśmiechem. Potem urwała i zmarszczyła brwi. – Jakieś wiadomości o matce?

– Nie, niestety – odrzekł Joel. – Jest na Wyspach Brytyjskich, w części zajmowanej przez Nowe Przeznaczenie. Oczywiście nie prosiłem agentów, żeby jej szukali, to oznaczałoby dla niej zbyt duże ryzyko. Jeden z planów Edmunda obejmuje odbicie Brytanii. Wtedy może uda się nam ją odnaleźć. Jeśli siedziała w domu.

– Ale my jesteśmy tutaj – zauważyła Megan, choć z lekką goryczą.

– Tak – westchnął Joel. – Nie chcę, żeby teraz cokolwiek ci się stało. Gdy tylko wylądujesz na brzegu, przeportujemy cię do Chian...

– Myślę... że powinnam tu zostać – oznajmiła Megan. – Przynajmniej do końca bitwy. Jeśli będzie źle, zawsze mogę się wyportować. I... cóż, na razie wolałabym tu zostać.

– Zauważyłem, że zdajesz się być... blisko majora Herricka. – Nie sądzę, żeby miało to jakiś związek?

– Chodzi ci o to, czy jest moim chłopcem? – zapytała Megan z uśmiechem. – Tato, byłabym bardzo zaskoczona, gdybyś nie miał agentów na statkach. A w ich raportach musiała znaleźć się informacja, gdzie sypia członkini Rady.

– Tak samo jak jej przywiązanie do młodego oficera Panów Krwi – dodał Joel, przytakując. – Który... spędza mnóstwo czasu w niebezpiecznych sytuacjach.

– Jest bardzo dobry w wychodzeniu z nich cało – zauważyła Megan. – I jak mi kiedyś powiedział, na tym polega jego praca. Chcę, żeby wracał, ale nie sądzę, żebym kochała go tak bardzo, gdyby *nie był* tym, kim jest. Poradzi sobie, muszę w to wierzyć. I pomimo tego wszystkiego, co może się znajdować w twoich raportach, *nie* uprawiamy seksu. Jak dla mnie minęło zbyt mało czasu, a on to rozumie. To bardzo *niezwykły* młody żołnierz.

– Tak – zgodził się sucho Joel. – *Te* raporty również widziałem. Jak przyjmuje to Bast?

– Śpi w tej samej kajucie – roześmiała się Megan. – Jest dobrą towarzyszką. Herzer kilkakrotnie sugerował, że powinnam... z nią rozmawiać. O tym... co się ze mną działo. Trochę rozmawialiśmy, choć nie tyle, ile należało. Wiem już, że muszę o tym rozmawiać, ale... Bast nie jest dla mnie właściwą osobą. Po tej bitwie znajdę sobie jakiegoś terapeutę. Obiecuję.

3– Dobrze. To kolejna sprawa, o którą mogę przestać się martwić. Jestem z ciebie bardzo dumny, Megan. Oczywiście czułem dumę już wcześniej jak każdy ojciec z udanej córki. Ale po tym, przez co przeszłaś, jak sobie z tym poradziłaś, jak znosisz to teraz, to wszystko sprawia, że jestem bardzo dumny. Matka też czułaby ogromną dumę. I będzie tak, kiedy o tym wszystkim usłyszysz.

– Dziękuję. – Megan posmutniała. – Nie powiem, że cokolwiek z tego było łatwe.

– Bardzo mało łatwych rzeczy warte jest poświęconego im czasu – stwierdził Joel. – To, co zrobiłaś, było *trudne*. I dobrze sobie z tym poradziłaś. To, co robisz teraz, również jest *trudne*. I nadal dobrze sobie radzisz. To *dlatego* jestem z ciebie dumny.

– Będę o tym pamiętać.

- A teraz idź zapewnić swojego przyjaciela, że *miło* porozmawiałaś sobie z tatusiem – powiedział Joel. – Wyglądał, jakby nie był tego pewien.
- Zrobię to – zapewniła Megan, wstając i przekrzywiając głowę. – Nie mogę cię pocałować na dobranoc, ale... – przyłożyła dłoń do ust i posłała mu całusa. – Dobranoc, tatusiu.
- Dobranoc, Megan. Powodzenia.
- Dziękuję.

# ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

– Nie czuje się pani nieco na uboczu prądu wydarzeń – zapytał Talbot, gdy do jego kabiny weszła Van Krief.

– Troszkę, sir – przyznała Amosis, siadając nerwowo po zapraszającym geście gospodarza.

– No to już nie – oświadczył, rzucając w jej stronę kopertę z wiadomością. Co niezwykle, nie otwarto jej. – Proszę przeczytać.

Van Krief otworzyła kopertę i wyciągnęła z niej trzy kartki. Przeczytała pierwszą, z poważnym wyrazem twarzy, potem drugą, na której wyrysowano mapę, i ostatnią, z dodatkiem sygnałowym. Kiedy skończyła, podniosła głowę.

– Jakież uwagi?

– Bardzo śmiałe, sir – zauważyła tylko.

– To konieczność – zapewnił. – Magalong musi się *ruszyć*. Dobrze sobie radził z obroną, ale będzie musiał ruszyć jak błyskawica. Dostarczy mu pani ten rozkaz, by nie miał wątpliwości *czemu*. Wie pani, prawda?

– Tak, sir – potwierdziła. – Sir, dopilnuję, by zrozumiał.

– Ale wyłącznie Magalong – zastrzegł Edmund. – Musi pani zachować tajemnicę. Jeśli to się wydostanie, będziemy po szyję w bagnie. Zrozumiano? – Takjest, sir.

– Smok wylatuje za pół godziny. Poleci nim pani. – Takjest, sir.

\* \* \*

Miał jeszcze jedną sprawę.

– Sheida – powiedział Edmund, wzdychając. – Przepraszam, że znów zawracam ci głowę.

– Jestem przesunięta o trzy godziny względem ciebie – wyjaśniła z uśmiechem królowa. – I nigdy nie przeszkadzasz. Ale *ty* powinienes trochę odpocząć.

– Owszem – zgodził się. – Myślę, że Aleksandrowi udało się podbić pół świata, bo był dostatecznie *miody*. Ale to nie może czekać. Większość moich rozkazów pomija samą bitwę. A do niej potrzebuję dwóch portali.

Przez chwilę wyjaśniał, po czym Sheida przywołała schemat pola bitwy, by łatwiej zrozumieć plan.

– Śmiałe – skomentowała. – Do granic rozsądku. Ryzykujesz nasze dwa najbardziej doświadczone legiony, duże miasto i utratę wybrzeża.

– Sto tysięcy orków *będzie* oznaczać ostateczną utratę wybrzeża – zauważył Edmund. – Jeśli choć połowę pionków uda się nam ustawić odpowiednio, tę *właściwą* połowę, uwięzimy większość sił Chansy. A przynajmniej sporą ich część. Nieważne, *ilu* ludzi mają w Ropazji, część muszą zostawić na utrzymanie ich sił. Ergo, nie wszystkich mogą przerobić na żołnierzy. I bardzo mocno ich osłabimy. To szansa, na którą czekałem, jeden z warunków zdobycia Ropazji w przewidywalnej przyszłości.

– A jeśli zdobędziemy Ropazję, zostanie im tylko... północna Fryka i trochę terenów w Sindzie.

– Dokładnie, oraz północne pustkowia. Oraz kilka znaczących źródeł energii, po czym to *ty* zajmiesz się resztą. Oczywiście, jeśli *nie* zdołamy schwytać choć części posiadaczy Kluczy. Ale musimy zniszczyć ich siły, a przynajmniej je osłabić z minimalnymi stratami z naszej strony. I możemy to zrobić. Tutaj.

-1 potrzebujesz...

– Dwóch portali – dokończył Edmund. – Na pewno masz na nie energię?

– Energię tak – potwierdziła Sheida. – Jest tylko jeden problem. Zgodziłam się na ograniczenie

praw tworzenia portali wyłącznie do posiadaczy Kluczy. Kiedy zaczęliśmy je otwierać, pojawiły się... problemy bezpieczeństwa. I zbytne zużycie energii. To już przegłosowany protokół. Nie mogę go złamać.

– Kto jest wolny? – zapytał Edmund. – Wyślij go do Raven's Mili.

– Przypuszczam, że Elnora, choć raczej nie będzie... *chętna* – wyjaśniła Sheida, krzywiąc się.

– Megan? – zasugerował Edmund. Elnora Sill była naukowcem i specjalistą od spraw wewnętrznych. Nie należała do tych osób, które chętnie zajęłyby się kluczowym zadaniem wojskowym.

3– Wolalabym... poczekać – przyznała Sheida. – Chciałabym ją lepiej poznać. Na jednym poziomie jej ufam, w końcu jest córką Joela. Ale na innym jej... doświadczenia musiały na nią jakoś wpłynąć. Nie chciałabym od razu zbyt jej obciążać.

– Dobrze – zgodził się Edmund, wruszając ramionami. – W takim razie, gdybyś mogła wysłać Elnorę do Raven's Mili, niech wszystko przygotowuje.

– Zrobię to – zgodziła się Sheida, wzdychając. – To nigdy nie jest łatwe, prawda?

– Nigdy.

\* \* \*

Przed Upadkiem Elnora Sili była naukowcem specjalizującym się w historii „problemów kobiecych”. Podobnie jak wszyscy inni na świecie swoje zajęcie traktowała raczej jako hobby niż profesję, ale zajmowała się nim dość intensywnie.

Po Upadku, i początkowej walce o przetrwanie, została wybrana przez Sheidę Ghorbani na jedną z doradczyń w sprawach problemów typowych dla okresu po Upadku. Oprócz zagadnień bezpośrednio związanych z przejściem kobiet ze stanu praktycznych niewolnic do pełnego równouprawnienia w społeczeństwie Elnora dysponowała szeroką wiedzą z dziedzin pokrewnych. Z jej perspektywy emancypacja kobiet ściśle wiązała się z rozwojem techniki i ekonomii, w związku z czym biegle znała obie te dziedziny, by móc tworzyć prawidłowe modele.

W miarę upływu czasu stawała się coraz bliższą współpracowniczką królowej w całym szeregu dziedzin. Ich współpraca układała się bardzo dobrze i choć Sheida miała sporą wiedzę z różnych dziedzin, nie uważała się przy tym za *eksperta* w każdej sprawie.

Kiedy poprzedni posiadacz Klucza uległ niebezpieczeństwu Snu, wysoce zaawansowanej formy rzeczywistości wirtualnej, Sheida zapytała Elnorę, czy przyjmie na siebie ten obowiązek. Ta po namyśle zgodziła się. Na jednym poziomie zwiększało to prawdopodobieństwo, że jej teorie zostaną urzeczywistnione, nie wspominając o automatycznym podwyższeniu statusu kobiet w Zjednoczonych Wolnych Stanach i, być może, wśród ich sojuszników. Na innym poziomie utrudniało jej to prowadzenie badań, zwłaszcza zmian w kobietach po Upadku.

Nadal doradzała Sheidzie w sprawie polityki, choć teraz miała również czynny wpływ na jej realizację. Skupiała się jednak na sprawach wewnętrznych. Wiedzę na tematy związane z wojskowością miała bardzo ograniczoną – jeśli nie liczyć zagadnień udziału kobiet w siłach wojskowych. Jej zdaniem wojsko nawet dość uczciwie podchodziło do zagadnienia, wymagając poprostu, by kobiety spełniały takie same warunki, jak mężczyźni. Fakt, że wiele kobiet *nie było w stanie* spełnić tych oczekiwań – potrzeba wyjątkowej kobiety, by przeżyć na przykład szkolenie Panów Krwi – nie miał nic do rzeczy. Wojsko dawało im szansę, to kobiety musiały się postarać z niej skorzystać, jeśli tego chciały. Punktem, co do którego całkowicie zgadzały się z Sheidą, była równość *szans*, nie *wyników*.

Nieco się więc zdziwiła, gdy poproszono ją o wykonanie misji o charakterze czysto wojskowym.

– Mogę to zrobić – przyznała Elnora. – Ale nie mam żadnego doświadczenia w sprawach wojska, Sheida.

W przeciwieństwie do Sheidy, która rządziła ze swojego oblężonego domu w Górach Skalistych, Elnora utrzymywała małe biuro w pobliżu stolicy w Solous. Kiedy Sheida się z nią skontaktowała, przeglądała właśnie notatki z odbytych tego dnia spotkań i przerwa wcale się jej nie spodobała.

– Wszystko, co musisz zrobić, to udać się do Raven’s Mili i otworzyć tam portal – wyjaśniła Sheida. – Po tamtej stronie skontaktujesz się z generałem Lanzillo, który został poinformowany o twoim przybyciu. Portal musi zostać otwarty w ściśle określonej chwili, ale będziemy utrzymywać łączność. Musisz zostać tam do odpowiedniego momentu i otworzyć portal, potem będziesz wolna.

– Mam umówione spotkania... – odezwała się Elnora, marszcząc czoło i mierzwiąc jasnobrązowe włosy.

– Elnora – powiedziała łagodnie Sheida. – Na wszystko jest właściwy czas i miejsce. To, nad czym pracujemy, jest bardzo ważne. Długoterminowo. Ale w *tej chwili* najważniejszą rzeczą, jaką musimy wziąć pod uwagę, jest pytanie, czy możemy powstrzymać Nowe Przeznaczenie przed przejściem naszych wschodnich miast tak, by móc dalej pracować nad naszą polityką. Nie da się rozwijać cywilizacji, jeśli barbarzyńcy *przekroczyli* mury.

– Intelktualnie zdaję sobie z tego sprawę – wyznała Elnora. – I choć bardzo *podziwiam* wojskowych, oczywiście z dystansu...

– Nie czujesz się przy nich dobrze – dokończyła Sheida z lekkim uśmiechem. – Rozumiem. Jednakże w tym przypadku...

– Zrobię to – zgodziła się Elnora. – Kiedy powinnam wyjechać?

– Niestety, najszybciej, jak to możliwe – podkreśliła Sheida. – Musimy dopilnować, by wszystko zostało przygotowane.

– Natychmiast? – jęknęła Elnora. – Ale będę musiała poinstruować mój personel... <sup>fc</sup>

– Elnora – dodała z naciskiem Sheida – udaj się do Chin. Skontaktuj się z generałem Lanzillo. Otwórz portal między Raven’s Mili i jedną

3Z nieaktywnych bram. Potem udaj się do Raven’s Mili. Kiedy się tam dostaniesz, upewnij się, że jesteś gotowa na resztę. Proszę.

– Dobrze – zgodziła się Elnora, wstając. – To wszystko?

– Dobrej zabawy – zasugerowała Sheida. – Pomyśl o tym, jak o doświadczeniu badawczym. Studia nad myrmidonem w jego środowisku naturalnym.

\* \* \*

– Panie Chambers? – odezwała się Elnora, mrugając oczami. – Przepraszam, że pana niepokoję.

Chambers podniósł wzrok na awatara, po czym wstał. Pracował późnym wieczorem w swoim biurze w Ministerstwie Obrony i bardzo starannie opanował zaskoczenie na widok posiadaczki Klucza w swoim gabinecie.

– Pani Sili – przywitał się z ukłonem.

– Och, daj spokój, Harry. – Elnora machnęła ręką. – Nie trzeba mi tego. Ale potrzebuję porady...

\* \* \*

Harry Chambers pracował jako agent Nowego Przeznaczenia od prawie trzech lat. Nie *planował* nim zostać, to w zasadzie... stało się samo. Odczuwana gorycz i żal sprawiły, że mówił głośno o rzeczach, o których nie należało. Drobiazgach. Potem odrobina pochlebstw, parę przysług i zanim się zorientował, przekazał *poważną* informację, w rodzaju tych, za które można było wisieć.

Potem wszystko potoczyło się samo.

Jeśli ma się dwieście lat i choć odrobinę rozumu, trudno kłamać samemu sobie w środku nocy. Oczywiście, dał się wmanipulować, ale *pozwoił* na to. Co ZWS zrobiło dla niego? Co zrobili dla niego Sheida i Edmund? Ten drugi na samym początku Upadku prawie odciął mu nogę. Jasne, trenowali i skąd mogli wiedzieć, że *akurat wtedy* zawiodą osobiste pola ochronne. Ale i tak była to potworna rana. Nawet po wyleczeniu, wciąż po niej kulał. Jasne, powinna być „całkowicie wyleczona” i nie do zauważenia. Ale *on* wciąż czuł klingę przecinającą mu mięsień. Jak na osobę, która zawsze uważała ciało za swój największy atut, tego rodzaju rana okaleczyła go *duchowo*. A Sheida, ta suka, co zrobiła, gdy Tanisha oddała swój Klucz, komu go przekazała? Swojemu najbliższemu współpracownikowi? Nie, trafił do kobiety, naukowca, która nie miała pojęcia o tym, co dzieje się na świecie, jeśli najpierw nie zrobiło się jej intensywnej odprawy.

A on przekazywał informacje *tuż pod ich nosami*. Zemścił się na nich za wszystko, co mu zrobili. Nowe Przeznaczenie miało pieniądze, mnóstwo pieniędzy za wszystkie przekazywane przez niego informacje. Na razie nie miał jeszcze możliwości ich wydania, ale już wkrótce. Miał przygotowaną

3sakiewkę klejnotów na wypadek szybkiej ucieczki. Kilka portali, wydostać się na zewnątrz blokady teleportacyjnej i stanie się bogaty.

Ostatnio rozważał już nawet skorzystanie z tego wyjścia. Pracował jako pomocnik Sheidy niemal od samego Upadku. Ale miesiąc temu został „awansowany” na podsekretarza w ministerstwie obrony, łącznika z Izbą Lordów. Teoretycznie powinien mieć dostęp do większej liczby informacji niż wcześniej, mógł poprosić o wszelkie informacje dostępne w ministerstwie. Jednak niektóre przysyłane mu dane... nie miały sensu. Nie pasowały do innych, których był pewien.

Jeśli podawano mu fałszywe informacje, oznaczało to, że ktoś go podejrzewał.

Sheida stała się też... chłodniejsza. I docierały do niego plotki, z dobrych źródeł, że powołano kontrwywiad. Och, już wcześniej istniał komitet koordynacyjny wywiadu, ale nowa służba nie miała nawet nazwy. Najczęściej mówiło się o niej „grupa”, ale słyszało się w tym duże „G”. Z tego, co słyszał, istniał nawet specjalny fundusz, i to spory, ale nie wiedział nic więcej.

Nie miał cienia wątpliwości, że komitet koordynacyjny wywiadu nie miał co do niego cienia podejrzeń. Ale tą „Grupą” mogła. A w takim przypadku powinien uciekać.

\* \* \*

– Problem polega na tym – bełkotała głupia kobieta – że Sheida wysłała mnie niczym jakiegoś swojego żołnierza, ale bez *żadnych* informacji. Nie znam żadnego z tych ludzi.

– Znam generała Lanzillo – uspokajającym tonem zapewnił Harry. – Dobry człowiek, dobry naukowiec. Jest dowódcą lokalnej obrony, ale ponieważ głównie zajmuje się szkołami, został wybrany dzięki swojemu doświadczeniu w historii wojskowości i związanych dziedzinach. Jest trochę... uch... szorstki...

– Problem w tym, że Sheida oczekuje ode mnie zajęcia się również pewnymi aspektami wojskowymi – powiedziała Elnora, marszcząc czoło. – A ja nie odróżniam batalionu od legionu. To musi być utrzymane w *ściślej* tajemnicy, rozumie pan. Naprawdę potrzebuję...

– W tej chwili jestem wolny – zapewnił Harry z uśmiechem. – I... przywykłem do tego rodzaju operacji wojskowych. Mogę zostawić wiadomość, że zostałem wysłany w sprawach Rady. To nie będzie kwestionowane. Jeśli pani zechce, mogę towarzyszyć i zaoferować swoją pomoc...?

– Cudownie.

\* \* \*

Rachel sprawdziła palcem ostrość klingi. Trzymała w dłoni coś w rodzaju długiego noża,

ostrze chirurgiczne przeznaczone do głębokich cięć przy amputacjach. Dobra stal chirurgiczna produkowana przez krasnoludy, ostrzejsza od jakiegokolwiek sztyletu, z bardzo ostrym czubkiem. Pod samym nosem strażników zrobiła na nie pochwę, po czym ukryła go pod biustem, gdy była w latrynie. To jej ostatnia deska ratunku.

Bitwa zapewne zacznie się o świcie. Do południa jej ojciec prawdopodobnie pokona siły Nowego Przeznaczenia, biorąc pod uwagę przekazane przez nią informacje. Jednak niezależnie od tego, czy Conner wygra czy przegra, zapewne i tak będzie w stanie zabrać ją do Ropazji. A na to nie zamierzała pozwolić.

Przystawiła czubek skalpela do karku, tuż pod czaszką. Rozważała kilka opcji, ale wszystkie pozostałe wymagały wykrwawienia się, co stosunkowo łatwo dało się naprawić. Niezależnie od tego, jak Conner jest dobry, trudno będzie mu ją ożywić w przypadku przecięcia trzeciego kręgu szyjnego. Choć prezentowało to interesujący problem przekazu sygnałów nerwowych i działania mięśni. Czy zdoła przeciąć rdzeń kręgowy, zanim ustanie transmisja sygnałów? Współczesny lekarz niewątpliwie miał dość *siły*, by dokonać takiego cięcia. Ale czy to możliwe?

Pomyślała, że zapewne jutro się przekona.

Trochę mocniej przycisnęła skalpel i drgnęła, czując, jak jego czubek rozcina jej skórę. Mogła sprawdzić teraz.

Wyciągnęła nóż spod swoich gęstych włosów, które również mogły jej przeszkodzić, i wytarła jego czubek w ubranie. Potem wsunęła go z powrotem do pochwy i ukryła między piersiami.

Jutro będzie dość czasu. A może piekło zamarźnie. Jak długo zostawała po tej stronie portalu, wciąż mogła mieć nadzieję.

\* \* \*

– Zbyt wiele rzeczy może się nie udać, szefie – oświadczył Herzer siadającemu na wywerną Edmudowi.

– Jeśli część się uda, nie znajdziemy się w gorszej sytuacji, niż i tak nam grozi – zauważył Talbot. – Jeśli uda się większość, będziemy w lepszej. Tylko jeśli wszystko się zawali, wylądujemy w bagnie.

– Cóż, przekonamy się. – Herzer zsalutował. – Powodzenia.

-1 tobie – pożegnał się Edmund, po czym klepnął jeźdźca w nogę. Smok skokami dotarł na katapultę i został wystrzelony w niebo, wioząc przywódcę sił ZWS w stronę pierwszego legionu.

Herzer zszedł do smoczego hangaru zatłoczonego dodatkowymi wywernami i przeszedł przez niego do sali odpraw. Tam też panował tłok -

3upchnęli się w nim wszyscy pozostali jeźdźcy floty ZWS. Jeźdźcy żartowali, nastrój był niezły, choć... czuło się w nich zmęczenie. Wielu z nich pochodziło z okrętów, które zostały zatopione. Wszyscy zbyt długo przebywali na morzu na zbyt zatłoczonych jednostkach. Wyczuwali też napięcie budzącego się dnia. Wszyscy wiedzieli, że pokonanie przeciwnika jest ważne. Oprócz Joanny i Herzera nikt nie zdawał sobie jednak sprawy, jak bardzo ważne.

– Proszę o spokój – odezwał się Herzer, stając przed zasłoniętą mapą. – Wszyscy znają swoje zadania? – Wstępną odprawę przeprowadzono poprzedniego wieczora, usłyszał więc chór potwierdzeń.

– Sierżant Zora Fink? – Herzer wskazał na dziewczynę.

– Startujemy za... – Dziewczyna zerknęła na zawieszony na ścianie zegar i przełknęła ślinę – za godzinę. Zbieramy się nad przylądkiem Wilamon. Czekamy na rozpoczęcie starcia, po czym na sygnał pani komandor Gramlich dzielimy się na dwa rzuty i bombardujemy siły polowe Nowego Przeznaczenia. Wracamy dywizjonami i kontynuujemy ataki do wyczerpania lub pokonania sił

Nowego Przeznaczenia. W przypadku wycofania się naszych oddziałów osłaniamy odwrót.

– Bardzo dobrze – Herzer pokiwał głową i rozejrzał się po sali. – Wszyscy pamiętają?

– Tak, majorze – potwierdził jeden z jeźdźców z *Richarda*. – To proste. -1 wiedzą o tym wszyscy na okręcie, prawda? – zapytał Herzer. – Meg...

pani Travante przed zebraniem sprawdziła tą salę pod kątem podsłuchu, a wszystkie korytarze wokół są pilnowane przez piechotę morską. Czemu? Ponieważ wszystko, co powiedziała właśnie sierżant Fink jest... nazwijmy to kłamstwem. Wasze prawdziwe zadanie...

\* \* \*

– Pobudka! – ryknął sierżant, waląc do drzwi. – Wstawać! – Kontynuował, idąc dalej korytarzem i waląc po kolei do wszystkich drzwi, za którymi spali stacjonujący w Raven's Mili Panowie Krwi. Był dyżurnym i nadszedł czas powitać nowy, wspaniały dzień. Za kolejną godzinę zejdzie ze służby na całą dobę, po takim samym okresie służby, i planował szybko wylądować w objęciach Morfeusza.

W ślad za sierżantem szli podoficerowie batalionu Panów Krwi, przekazując otrzymane właśnie rozkazy.

– Zostawić mundury – powtórzył triari, potrząsając głową. – Pełna zbroja i broń. Zbiórka za piętnaście minut.

– Co u diabła? – zdziwił się jakiś szeregowy, rzucając lekki badwabny mundur z powrotem do szafki i wyciągając mundur polowy. – Czemu?

– Cholerny generał zarządził niespodziewaną inspekcję na 0800. Przynajmniej zdążymy jeszcze coś zjeść...

\* \* \*

Malcolm D'Erle był wyczerpany. Żadne inne słowo nie mogło opisać jego stanu. Bolały go nogi, paliło w piersiach i kompletnie opadł z sił.

Korpus łuczników wylądował zgodnie z planem pod Wilamon i po zebraniu prowizorycznych środków transportu ruszył w stronę pola bitwy. Odległość Wilamon do szczytu wzgórza, na którym się znajdowali, wynosiła drogą sześćdziesiąt pięć kilometrów, a na ich przebycie mieli zaledwie czternaście godzin. Przeszli w standardowy sposób, serią szybkich marszów z krótkimi odpoczynkami co godzina. Ale w miarę upływu czasu odpoczynki zdawały się coraz krótsze. Wozy wiozły głównie wodę, a generał i tak zdecydowanie ograniczył jej zużycie. Jedzenie mogło poczekać. Tak samo odpoczynek. Jedyne, co się liczyło, to doprowadzenie na czas większości łuczników w jakimś choć częściowo rozsądnym stanie do wzgórza.

I dokonali tego. Na dwie godziny przed świtem grupa ubranych na zielono zwiadowców z długimi łukami wyszła na drogę i pomachała latarnią w stronę korpusu łuczników.

– Szukam generała D'Erle – odezwał się jeden ze zwiadowców.

– Tutaj – wydyszał Malcolm, gdy grupa wreszcie się zatrzymała. Słyszał, jak część jego ludzi zwała się z nóg, ale to mogło poczekać.

– Porucznik Aihara, piąty korpus zwiadowców – przedstawił się cicho czekający. Nie szeptem, który dało się słyszeć na dużą odległość. – Przez ostatnie dwa dni obserwowaliśmy siły Nowego Przeznaczenia. Wyznaczyliśmy wam trasy podejścia i przygotowaliśmy jedzenie z Tarson. Oczywiście żadnych ogni, ale macie chleb i mięso. Jest też woda i trochę wina, jeśli chce je pan rozdzielić. Wszystko przygotowane.

– Poruczniku – roześmiał się generał – właśnie tego było nam potrzeba.

– Sir – odezwała się kolejna wychodząca z mroku postać. – Jestem podchorąży Destrang, adiutant generała Talbota.



– Tak, podchorąży? – odpowiedział generał, unosząc brwi na widok polowego munduru.

– Muszę z panem porozmawiać w cztery oczy, sir – zażądał cicho podchorąży. – Szybko. Mam dla pana dodatkowe rozkazy od księcia Talbota.

– Chwileczkę, niech tylko opanuję tę bandę – odpowiedział D’Erle, marszcząc brwi i oglądając się przez ramię na wyczerpanych łuczników. – Za moment porozmawiamy.

# ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

– Wiecie, sam mogę to na siebie założyć – zauważył Herzer, wyciągając ręce do tyłu.

– To nasze zadanie – oświadczyła Bast. – Przytrzymaj, Megan.

Starożytni Rzymianie włożyli niezwykle wiele przemyśleń i doświadczeń w skonstruowanie zbroi, którą dawało się nosić prawie w każdych warunkach, a Edmund Talbot nie widział powodu, żeby ignorować ich wysiłki. Zbroja segmentowa legionów składała się z zachodzących na siebie stalowych płyt, a raczej szerokich stalowych taśm utrzymywanych razem przez niewielkie zaczepy od wewnątrz. Taśmy wygięte wokół torsu otwierały się z przodu, gdzie wiązano je rzemieniami. Aby je zdjąć, trzeba było je nieco rozgiąć, ale poza tym zbroję zakładało się stosunkowo prosto i zdumiewająco wygodnie się ją nosiło.

Herzer założył już badwabną koszulę z szerokimi, krótkimi rękawami zapobiegającymi otarciom o skraj zbroi, nabijany stałą skórzany kilt i grubą badwabną chustę osłaniającą szyję. Ta ostatnia chroniła kark przed krawędziami stalowych płyt. Zawiązał przód założonej mu przez Megan i Bast zbroi, tak samo jak osłony kolan i łokci. Potem wyciągnął ręce, uśmiechając się lekko i pozwalając dziewczętom zapiąć karwasze. Na jedyną, prawą dłoń naciągnął skórzaną rękawicę wzmocnioną od zewnątrz stalowymi płytkami. Na koniec Megan podała mu hełm. Pierwotnie Panowie Krwi używali barbuty, litej osłony głowy z wycięciem w kształcie litery „T” z przodu, jednak ostatnio legiony porzuciły ją na rzecz oryginalnego, rzymskiego

3projektu. Był znacznie wygodniejszy i zapewniał szersze pole widzenia w trakcie walki. Oczywiście twarz zostawała praktycznie niechroniona, ale nie istniały rozwiązania idealne.

Spojrzał na obie kobiety, przypominającą dziecko odwieczną elfkę, z długimi, kręconymi włosami i zielonymi oczami o kocich źrenicach, stojącą obok znacznie subtelniej szej urody członkini Rady i potrząsnął głową.

– Mogę zatrzymać obie? – zapytał, wyciągając ręce.

– Jesteśmy przyjaciółmi – zapewniła Bast, przytulając się do niego. – Przyjaciółmi zostaniemy. Na zawsze.

– Właściwie to nie wyrzucę jej z łóżka – powiedziała Megan z nieśmiałym uśmiechem.

– Pomożesz ze zbroją? – zapytała Bast.

– Jaką zbroją? – zdziwił się Herzer.

– Założę – oświadczyła Bast, ściągając swoje bikini i spódniczkę. – Przed nami ciężka walka. Chronić plecy. Jeździć na Joannie. Tak lepiej.

– To *faktycznie* będzie ciężka walka – zgodził się Herzer, mocniej marszcząc brwi. – Krwawa i bezwzględna. Jesteś jedną z najlepszych wojowniczek na świecie, ale jeśli potrzebujesz zbroi, to nie wiem o żadnej na tym okręcie... – Urwał, widząc, że elfka wyciąga ze swojej pozornie bezdennej torby pakiecik materiału wielkości chustki. Zaczęła go rozkładać. I rozkładać. Kiedy rozwinęła go *całkowicie*, przez położony na podłodze kombinezon prześwitywały deski pod spodem.

– Trudno się go zakłada – zamarudziła Bast, siadając na pokładzie i wciskając do środka jedną nogę. – Megan, pomożesz?

– Co to jest? – zapytał Herzer. Przed walką zawsze robił się trochę... napalony. Kolejny z jego demonów. A widok elfki wijącej się na podłodze i zakładającej ten... erotyczny strój stanowił coś więcej, niż potrafił wytrzymać.

– Nanorurki węglowe – wystękała Bast, wciskając rękę w zakończony rękawiczką rękaw. – Niezbyt rozciągliwy. Chyba trochę przytyłam.

– Węglowe... co? – zapytał Herzer, gdy Bast wstała i przeciągnęła się, w końcu właściwie

dopasowując strój.

– Nanorurki węglowe – powtórzyła elfka, przybierając kuszącą pozycję. Spojrzała najpierw na Herzera, potem na Megan i parsknęła śmiechem. – Diamenty? Najlepszy przyjaciel dziewczyny?

– To znaczy, że masz *strój* z nanorurek węglowych? – zapytała poruszona Megan.

– Tak – potwierdziła Bast, robiąc piruet w miejscu i wystawiając zamek na plecach w stronę Megan. – Zapniesz?

3– To właśnie zakładało się kiedyś na turniejach pod zbroję, jeśli chciało się mieć pewność, że *nic* się nie przedostanie, prawda? – zapytał Herzer.

– Skrzydła wywernów też są z tego – dodała Megan, zaciągając zamek

– To dlatego są takie wytrzymałe.

Bast zwinęła włosy w mały kok i wciągnęła kaptur na głowę. Podobnie jak reszty stroju prawie nie było go widać.

– Co myślicie? – zapytała, znów pozując i wykręcając się w miejscu. Strój okazał się praktycznie przezroczysty, poza paroma *lekko* kryjącymi miejscami.

– Schowaj oczy w powrotem do głowy, Herzer – rzuciła cierpko Megan.

– Zresztą, już to *widziałeś*.

– Ale to jest... inne – mruknął w zadumie Herzer. Patrzył na połyskujący lekko w świetle lampy strój i przypomniał sobie, co Bast powiedziała o diamentach. W zasadzie tym właśnie strój był – osłoną z litego diamentu.

– Trzecie piętro – rzuciła Megan, parskając śmiechem. – Bielizna bojowa...

Elfka zignorowała żart i podniosła swój łuk i szablę.

– Gotów? – zapytała Herzera.

– Jasne – potwierdził speszony. – Czemu *zawsze* tego nie zakładasz?

– Źle się w tym oddycha. Robi się gorąco. I trudno się ściąga, jeśli najdzie mnie ochota na zabawę. – Jej spojrzenie rozmyło się nagle, po czym spojrzała na Megan i wyciągnęła rękę, głaszcząc ją po twarzy. – Jeszcze się nie żegnaj.

– Czemu? – zapytała dziewczyna, przechylając głowę.

– Nie czas – wyjaśniła Bast, marszcząc czoło. – *Gaslan*... zmienia się...

\* \* \*

– Wiadomość z posterunku sto trzydzieści siedem, panie J. – wydyszał goniec, podając zapieczętowaną kopertę.

– Dziękuję – odpowiedział Joel i odczekał na wyjście gońca. Rozciął kopertę, po czym zmarszczył brwi, czytając. Przez chwilę napiął mięśnie szczęk, po czym szybko przeszedł do przedpokoju, gdzie urzędował jego sekretarz i otworzył tubę komunikacyjną.

– Łączność – odezwał się głos po jego gwiździe.

– Natychmiastowy rozkaz do wszystkich stanowisk... – polecił.

\* \* \*

Brice Cruz był już Panem Krwi, gdy większość mięczaków stojących w kolejce po jedzenie nie słyszała jeszcze tej nazwy.

Jasne, miał swoje problemy. Awansował, spadł na niziny. Ale wyrzucenie go z korpusu z powodu kilku nędznych bandytów naprawdę go wkurzyło-

Z początku. To Herzer dostarczył mu tę wiadomość. Poznali się z Herzerem niedługo po Upadku, kiedy razem uczestniczyli w programie uczniowskim w Raven's Mili. I był pewien, że Herzer go obroni.

Kiedy więc to właśnie *Herzer* poinformował go, że zalecał przeprowadzenie pełnego sądu

wojennego, cóż, dało mu to do myślenia.

Spędził na myśleniu większą część następnego roku. Poza głodowaniem, nie miał zbyt wiele do roboty. Gunny Rutherford wyrecytował kiedyś wiersz, coś na temat czarnej owcy. Jeden z wersów brzmiał: „zsuwając się po schodach, stopień za stopniem”. Do tego w zasadzie sprowadzało się jego życie. Kiedy jest się zbyt niebezpiecznym, by być żołnierzem, i zbyt honorowym na bandytę, a przy tym kiepskim rolnikiem, nie mógł liczyć na wiele innego poza „zsuwaniem się po schodach, stopień za stopniem”. Jedyne, co powstrzymywało go przed myśleniem o tym, to wino i piwo, na które mógł zarobić jako wędrowny robotnik.

Znaleźli go w nędznej gospodzie, urzędnego jak świnia tanim winem i na wpół martwego. Otrzeźwili, a potem zaczęli zadawać pytania. Dość szybko zorientował się, że jeśli udzieli niewłaściwej odpowiedzi, nie opuści szafasu, do którego go zabrano. Ale udzielał poprawnych. I tak dostał nową pracę. Nie tak dobrą, jak bycie Panem Krwi, i nie bardzo dało się ją porzucić. Ale, a to dość istotny punkt, obiecano mu, że jeśli będzie grzecznym chłopcem i będzie trzymał się zasad, co jakiś czas pozwolą mu zabijać. Minus sytuacji był taki, że jeśli choć raz narazi się swoim mocodawcom, odwiedzi go bardzo nieprzyjemny pan o podobnych umiejętnościach i Brice Cruz zakończy swój żywot.

Pomyślał, że są szaleni, gdy umieścili go z powrotem w Raven's Mili. Ale zdumiewające do jakiego stopnia zmiana koloru skóry i włosów oraz parę drobnych korekt twarzy mogły odmienić człowieka. Nikt go nie poznał. Zresztą znał na wylot miasto i Akademię Panów Krwi. Brał udział w budowie połowy budynków.

Zatrudnił się w kuchni i pracował dobrze, choć nie wyróżniając się. Nigdy na tyle dobry, by dostać awans, nigdy tak zły, by go zwolnić. I miał oczy i uszy szeroko otwarte. Od czasu do czasu przekazywał różne zasłyszane informacje. Nie wiele, Raven's Mili znalazło się na uboczu głównych wydarzeń.

Jednak ten ranek różnił się od pozostałych. Komendant zarządził niespodziewaną inspekcję. I usłyszał od jednego ze schodzących ze służby strażników, że w budynku jest członkini Rady Sili i jakiś podsekretarz z ministerstwa obrony. Sama inspekcja nie była niczym dziwnym – drań komendant po prostu lubił je urządzać. Ale w połączeniu z wizytą musiało to oznaczać coś poważniejszego.

Zerknął na zegar i wyjrzał przez okno. Równo na czas.

– Zastąp mnie – poprosił jednego z podkuchennych. – Wypiłem za dużo kawy.

Wyszedł przez tylne drzwi w stronę latryn i otworzył drzwi trzeciej kabiny.

– Wyraźnie potrzeba nam lepszych kibli – powiedział w przestrzeń.

– Czysto – rozległ się głos z sąsiedniej kabiny.

– W dowództwie jest członkini Rady Sili i podsekretarz z ministerstwa obrony – poinformował konwersacyjnym tonem Cruz. -1 zarządzono niespodziewaną inspekcję. Może pokaz dla nich. Wszyscy się przejmują.

– Część z tego już słyszałem – zauważył twardym głosem kontakt. – I mamy problem.

– Jaki? – zapytał Cruz, zapinając spodnie.

– Masz zadanie – poinformował tamten. – Takie, które musisz wypełnić natychmiast. Możesz się dostać do dowództwa?

– Tak – potwierdził Cruz. – Jeśli *naprawdę* muszę.

– *Naprawdę* musisz – oświadczył z napięciem głos. – Nadszedł czas na działanie.

– W *dowództwie* – zapytał Cruz, próbując nie mówić za głośno.

– W dowództwie – powtórzył kontakt. – Już. Nie ma chwili do stracenia.

– Nie *wydasz* się – rzucił cicho, choć gniewnie Cruz.

– My się tym zajmiemy – zapewnił jego dowódca. – Po prostu to zrób. – Dobrze ci mówić! – warknął Cruz. – Nie staniesz przed plutonem mieczy!

– To nie ma znaczenia – odpowiedział tamten. – Pora spłacić swoje długi. Wzięłeś nasze pieniądze. Z tej organizacji jest tylko jedna droga wyjścia, nogami do przodu. Możesz to zrobić na starość lub... w inny sposób, ale jeśli spróbujesz uciekać, daleko nie zabiegiesz.

– Sukinsyn – warknął cicho Cruz. – Pieprzyć to, każdy kiedyś musi zginąć. Kto jest celem?

\* \* \*

– Rozumie pan swoje rozkazy, generale? – zapytał Edmund, przyglądając się pierwszemu legionowi opuszczającemu ufortyfikowany obóz. Zostawiali pół kohorty do obsadzenia umocnień – gdyby wszystko się posypało, zawsze mogli się do niego wycofać. Reszta maszerowała cicho na południe, w stronę bitwy.

– Tak jest, sir – potwierdził generał Lepheimer. Dowódca legionu był kolejnym oficerem przydzielonym na stanowisko ze względów politycznych,

ale Edmund sam chętnie by go wybrał. Przed Upadkiem nie było *żadnych* oficerów wojska. Wciąż próbowali wyszkolić korpus profesjonalistów. Ale Lepheimer od dawna studiował historię wojskowości i taktykę w symulowanych bitwach i ćwiczeniach na mapie, a w paru niewielkich potyczkach, w których brał udział, spisał się doskonale.

Lepheimer zaśmiał się krótko w mroku i spojrzał na księcia.

– Kiedy mówiłem moim chłopcom, że idą na bitwę, o której opowiedzą swoim wnukom, nie miałem pojęcia, ile jest w tym prawdy.

– Cóż, jeśli będziemy mieć jakieś wnuki, to dzięki temu, co zdziałają dzisiaj ci żołnierze – stwierdził Edmund.

W tej chwili odezwały się legionowe dudy, a sześć tysięcy gardeł zaczęło śpiewać bojowy hymn legionów.

*Błyska topór, śpiewa miecz, Stalą wroga przegnaj precz. Konie gnają, tarczy blask, Bij psubratów aż po Brzask.*

*Bitwy zgiełk, krew, pot i znój, Walcz, by Kraj ten Został Twój. Zadmij w róg i przegnaj strach, Ilu drani posłem w piach!*

– Krew za krew, generale – zapewnił Lepheimer, salutując. – Zrobimy to.

*Stań na rozkaz przegnaj strach, Żółtą krwią podlewaj piach. Walcz, aż sił zabraknie ci, Naszych wojsk nie wstrzyma nikt.*

*Otwórz się na ból i trud, Niech ogarnie cię bojowy szal. Walcz po nocach i po dniach, Ilu drani posłem w piach!*

\* \* \*

– Śniadanie dla generała – poinformował Cruz, wysuwając tacę przed nos stojących na straży wartowników.

– Bezpieczny pokój – oświadczył ten po lewej. – Nikt tam nie wchodzi.

– Szlag – rzucił Cruz. – Będę miał kłopoty, jeśli szybko mu tego nie dostarczę. – Wysunął tacę w stronę tego po lewej. – Przytrzymaj to dla mnie.

– Co? – powiedział żołnierz, automatycznie chwytając tacę. W tej samej chwili Cruz uderzył go sierpowym w twarz, przeciągając cios na strażnika po drugiej stronie. Jego pozornie lekkie rękawiczki miały wszyte stalowe płytki, zwiększające masę i zapewniające pewną osłonę dłoni. Uderzenie i tak bolało.

– Dobrze, że zmienili hełmy – mruknął pod nosem Cruz, potrząsając ręką, by odzyskać w niej czucie. – Z barbutą nigdy by mi się to nie udało.

Wziął w dłoń sztylet, po czym otworzył dźwiękoszczelne drzwi.

Pomieszczenie za nimi miało około dziesięciu metrów długości, a większość przestrzeni zajmował długi stół konferencyjny. Na drugim końcu pokoju stał Harry Chambers, trzymając w dłoni długi nóż. Na krześle u szczytu stołu siedziała Elnora Sili, patrząc w stronę drzwi. Głowę miała przechyloną, odsłaniając cięcie, które sięgało prawie do kręgosłupa. Generał Lanzillo leżał na podłodze z nożem w plecach.

– Dobrze – pochwalił Cruz, zamykając drzwi i blokując je od środka. – Udało ci się. Skontaktowałeś się już z górą?

– Co? – warknął Harry, sięgając w dół i wyciągając naszyjnik, na którym zwisał Klucz Elnory. – Nie.

– Zrób to szybko – polecił Cruz, podchodząc do generała. – Dobry cios, niezła technika. Na przyszłość jednak radziłbym zacząć od nerki. To ich paraliżuje.

– Kim jesteś? – zapytał wyraźnie wyrażony z równowagi Harry.

– Twoim *wsparciem* – warknął Cruz. – Nie sądzisz chyba, że wysłano by cię na taką misję bez wsparcia?

– Aleja nikomu nie *mówiłem*...

– Co? Myślisz, że cię nie obserwujemy? – wyjaśnił Cruz, potrząsając głową i podchodząc sprawdzić Elnorę. – Skontaktuj się z Connerem. Musimy się stąd wydostać. – Sięgnął w dół, by dotknąć karku członkini Rady i uderzył, wbijając sztylet w brzuch Harry'ego i pociągając go w dół. Wyciągając ostrze, przekręcił je, po czym mocno uderzył podsekretarza w twarz.

– Pieprzony *zdrajca* – warknął, kopniakiem wytrącając mu z pozbawionej czucia ręki sztylet.

Podniósł Klucz i wrócił do drzwi, otwierając je akurat w chwili, gdy jeden ze strażników rzucił się na nie ramieniem. Żołnierz rozłożył się na podłodze, po czym szybko zerwał się z powrotem z mieczem w dłoni, klnąc na widok trupów.

3– Jestem agentem kontrwywiadu ZWS – oświadczył Cruz, wyciągając ręce do góry, trzymając w jednej Klucz, a sztylet w drugiej. – To była autoryzowana eliminacja...

\* \* \*

– Herzer – krzyknęła Sheida, pojawiając się w powietrzu w chwili, gdy major szykował się do wspięcia na grzbiet smoka.

– Wasza Wysokość – odpowiedział wstrząśnięty major. Zsunął się z powrotem na pokład i głęboko skłonił.

– Nie ma *czasu* – warknęła Sheida. – Gdzie jest Megan?

– Tutaj – odezwała się dziewczyna, odrywając się od masztu, gdzie stała, by nie przeszkadzać.

– Musimy porozmawiać, i to *szybko* – oświadczyła królowa. – Jakies bezpieczne miejsce. Gdzie?

Herzer pomyślał przez chwilę i wrzucił ramionami.

– Platforma lądowiska. Wiatr wieje od dziobu, wygłuszy wszystkie słowa.

Herzer razem z Megan pospiesznie ruszyli schodkami do góry, a Sheida wzniosła się za nimi. Some Karcher wskoczyła na platformę, a Sheida machnęła do niej ręką.

– Proszę dopilnować, by nas nie podsłuchano – poleciła spokojnie, ale bardzo stanowczo.

– Tak, Wasza Wysokość – potwierdziła kobieta, zeskakując z powrotem na mostek i opróżniając go. Osobiście przejęła ster, ponieważ tylko w tym miejscu dało się coś usłyszeć z toczonej na górze

rozmowy.

– Elnora Sili nie żyje – poinformowała ostro Sheida. – Zamordowana. Bogu dzięki, zachowaliśmy jej Klucz. Ale ktoś musi aktywować portale.

– Och – powiedziała Megan. – Członek Rady.

– Zrobiłabym to sama – oświadczyła Sheida, kiwając głową. – Ale wiązałyby się z tym... pewne komplikacje...

– Oczywiście, zrobię to – zapewniła szybko dziewczyna. – Musimy mieć te dwa portale tutaj. Jeśli mam upoważnienie...?

– Masz – potwierdziła Sheida. – Przteleportuję cię do Raven's Mili...

– Jesteśmy na zewnątrz blokady, Wasza Wysokość – przypomniał Herzer.

– Szlag! – warknęła Sheida. – Niech to...

– I tak nie zgodziłabym się na teleportację, Wasza Wysokość – powiedziała cicho Megan. – Polecę na Joannie.

– Nie zrobisz tego! – zaprotestował Herzer. – Tam rozszałe się piekło!

– Ochronisz mnie ty, Joanna i Bast – oświadczyła stanowczo. – I dokładnie to zamierzam zrobić.

– Joanna może przenieść cię wewnątrz barier – zauważyła Sheida. – Stamtąd przzteleportujesz się do Raven's Mili. Tak będzie *bezpieczniej*, panno Travante.

– Fatalnie – burknęła Megan. – Lecę.

– Nie, nie polecisz – oświadczył Herzer.

– Nie mamy czasu na spory – zauważyła z uśmiechem Megan. – Proszę startować, majorze.

– Ona ma rację – przytaknęła Sheida. – Nie mamy czasu na spory. A Travante są cholernie uparci. – Westchnęła i potrząsnęła głową. – Ruszajcie się. Herzer... utrzymaj ją przy życiu.

– Zrobię to, Wasza Wysokość – obiecał, myśląc, że chciałby być tego pewien.

– Nie martw się – powiedziała smutno Megan. – Ja mam osobiste pole ochronne, ty nie.

– Ruszajcie – rzuciła Sheida, znikając.

– Nawet nie życzyła nam powodzenia – burknął Herzer, schodząc z powrotem na główny pokład. Chwytał dziewczynę za rękę i przecisnęli się przez marynarzy uzbrajających smoki. Trzymanie jej za rękę było konieczne – marynarze byli doskonale wyszkoleni i poruszali się w synchronicznym tańcu. Ktoś bez doświadczenia w lawirowaniu między nimi mógł z łatwością wpaść na grupę niosącą bardzo niebezpieczne bomby.

Doszli do Joanny, na jej grzbiecie siedziała już Bast i Herzer uniósł Megan, sadzając ją na smoczyce.

– Nowy pasażer, komandorze – oznajmił gniewnie Herzer.

– Co? – burknęła Joanna, obracając głowę. – Czemu?

– Zmiana planów – poinformował ją Herzer, pędząc przez zorganizowany chaos. – Ona wyjaśni.

# ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

– ZJEDZCIE TO! – ryknęli łucznicy, gdy pierwsza chmura strzał wbiła się w formację orków.

Edmund przyglądał się bitwie z platformy na tyłach szeregu legionów. Tak jak się spodziewał, siły Nowego Przeznaczenia nie zareagowały najlepiej na nagłe pojawienie się łuczników.

Legioniści trzymali szyk już prawie od godziny, ale odnosili stosunkowo niewielkie straty, wznosząc przed sobą góry trupów. Zamiast stanąć murem tarcza przy tarczy, ustawili się w szachownicę, z pierwszym szeregiem ponoszącym główny ciężar walki, drugim zajmującym się garstką, która przedarła się przez pierwszy szereg, i trzecim, który miał najmniej pracy. W tej chwili właśnie szeregi przesunęły się i odtworzyły, przenosząc drugi szereg na miejsce pierwszego, a pierwszy, etapami, na tyły. Na tym właśnie polegał jeden z sekretów czyniących z legionów tak efektywną siłę – umiejętność ciągłego zastępowania wojowników z pierwszego szeregu świeżymi żołnierzami, którzy mieli znacznie więcej sił niż walczący nieustannie wrogowie.

Historyczne legiony nigdy nie miały wsparcia korpusów łuczników z długimi hakami, choć połączenie samo się nasuwało. Jedną z dwóch słabości rzymskiej armii było jej uzależnienie od oddziałów pomocniczych w zakresie broni miotającej i względna słabość tych ostatnich. Przeważnie wykorzystywano balearskich procarzy. Proca jest bardzo niebezpieczną bronią dla nieopancerzonego przeciwnika, ale ma stosunkowo niewielki zasięg i niewiele może zdziałać przeciw zbroi.

Z drugiej strony długie łuki miały zasięg do trzystu metrów, a na dwieście mogły przebić niemal każdy pancerz. Przy legionach utrzymujących oddziały Nowego Przeznaczenia w miejscu łucznicy mieli doskonały cel. Kiedy Edmund Talbot przyglądał się rozciągającemu się przed nim widokowi, na Przemienionych spadała fala za falą metrowej długości strzał, zabijając ich setkami. Jeden z dużych ogrów, przed którymi zostali ostrzeżeni, właśnie przeciskał się do ataku, ale zanim dotarł do linii legionistów, zaczął pokrywać się piórami. Wystawały tylko pióra, a i to niewiele, ponieważ strzały na całą długość wbijały się głęboko w jego ciało. Ogr padł, nim zdołał włączyć się do walki, przygniatając sobą dwóch orków.

Prawdopodobnie i tak nie miałyby to znaczenia, ponieważ na przedłużeniu jego trasy pojawił się już pluton pikinierów, przygotowanych do ustawienia się w drugim szeregu i zabicie go lub odgonienie.

Wszystko szło idealnie zgodnie z planem, z wyjątkiem jednego.

– Gdzie u diabła są smoki? – warknął Edmund, wyciągając kieszonkowy zegarek. Nowomodne/staromodne urządzenia były koszmarnie drogie, ale zdecydowanie warte swojej ceny w sytuacjach, gdy czas stanowił kluczowy czynnik działań.

– Spóźniają się? – zapytał generał Lepheimer.

– Dziesięć minut – kwaśno odpowiedział Edmund. Zobaczył grupki orków ustępujących na lewej flance. Nadeszła dobra chwila do natarcia, ale... nie nadszedł jeszcze *czas!* A raczej już nadszedł, tylko nie byli jeszcze *gotowi!*

– Do diabła, Herzer – mruknął. – Gdzie jesteś?

\* \* \*

Wiał lekki wiatr z północy i Lazurowy usiadł nagle, wciągając powietrze z otwartą paszczą, by wylapać nawet najłżejsze zapachy. Po chwili opadł na brzuch i zaczął się czołgać do przodu, mrużąc cichutko. Wyłowił zapach Wielkiego ze swojego ludzkiego domu. A gdzie pojawiał się Wielki, wrogowie padali.

Nadszedł czas zemsty.

\* \* \*



Opuszczając lornetkę, generał Magalong potrząsnął głową. Widział orków uciekających z pola bitwy i łuczników na zboczu góry. Ale choć wyteżał wzrok, od wschodu nie dostrzegł ani śladu smoków.

– Gdzie one są? – gniewnie zapytał Van Krief.

– Przylecą tu, sir – zapewniła dziewczyna. – Już czas.

– Miał być sygnał! – warknął Magalong. – *Smoki* miały być sygnałem-

– Nie mamy czasu, sir. *Już* się załamują. Musimy ruszyć *teraz*, żeby znaleźć się na pozycjach.

Magalong jeszcze raz spojrział na wschód, osłaniając oczy przed słońcem, po czym kichnął donośnie. Następnie odwrócił się do jednego ze swoich adiutantów.

– Otworzyć bramy.

\* \* \*

– Dobrze, powtórzmy to sobie jeszcze raz – mówił pułkownik Heiskanen. – Jesteś agentem kontrwywiadu. A te wszystkie ciała...?

– Pułkowniku, ja tylko wykonuję rozkazy – tłumaczył Cruz. Ręce miał związane na plecach, a Heiskanen trzymał w dłoni łańcuszek z Kluczem. – Rozkazano mi w miarę możliwości chronić członkinię Rady i przy cieniu wątpliwości wyeliminować podsekretarza Chambersa. Ponieważ *on* zabił członkinię Rady i generała, można chyba uznać, że miałem powód. Nie sądzi pan?

– A więc o co chodziło z tymi bramami? – zapytał Heiskanen, wskazując na puste portale.

– Nie mam pojęcia – przyznał Cruz, patrząc smutno na zebrany przed nimi batalion Panów Krwi. – Choć moim zdaniem mieliście gdzieś zostać wysłani.

– Kiedy byłeś tu ostatnio pod własnym nazwiskiem, próbowaliśmy zdecydować, czy postawić cię przed sądem wojennym – gniewnie rzucił Heiskanen. – A teraz mówisz mi, że jesteś agentem *kontrwywiadu!* Na dodatek *zabójcą!*

– Pułkowniku, z całym szacunkiem, to coś, czym powinni się zająć nasi przełożeni – oświadczył Cruz. – W tej chwili pańskim zadaniem jest nawiązanie łączności z *kimś*, kto wie, jakie rozkazy miała *członkini Rady*. Bo ja nie wiem. I sir, na pańskim miejscu zrobiłbym to cholernie szybko.

\* \* \*

– Słuchajcie, legioniści! – wykrzyknął Magalong z grzbietu konia. Legion wyszedł przez bramy w murach otaczających centrum Balmoran i ustawił się w formacji na przedpolach. – Na mój rozkaz *pobiegście* do wrogiego obozu! Pierwsza kohorta Bravo zablokuje lewą flankę, trzecia kohorta Charlie prawą. *Wszyscy pozostali* uderzana południową bramę! *Powinna* być otwarta! Jeśli *nie jest* i tak ją zdobędziemy!

Wykręcił wierzchowcem w miejscu i wskazał do przodu.

– Szybki... marsz!

Legion postąpił do przodu, a Magalong kiwnął głową trębaczowi.

– Sygnał do biegu.

Gdy rozległy się dźwięki trąbki, formacja legionistów uniosła w górę swoje pilą i zaczęła biec.

– KREW I STAL!

\* \* \*

– WRESZCIE! – krzyknął Edmund, patrząc na wschód. – RUSZAĆ! Trębacz, prawe skrzydło!

\* \* \*

– Cholera, spóźniliśmy się – krzyknął Herzer.

– Nie moja wina – odkrzyknęła Joanna. – Na mój znak... DO ATAKU!

\* \* \*

– Och, doskonale – ucieszył się Conner, gdy orkowie zaczęli uciekać do obozu. Legion podążał

za nimi w równym tempie, nie utrzymując kontaktu ani nie ścigając ich, czego żałował, ale w gruncie rzeczy nie miało to znaczenia. Do czasu, gdy przez bramy przedostanie się druga grupa, wyjdą już poza zasięg ostrzału tuczników. Obejrzał się za siebie i uśmiechnął, gdy przez portale zaczęli wyłaniać się orkowie. Zostali starannie przeszkoleni. Przejść przez portale, a potem biec korytarzami do północnej bramy. Poczł, jak brama pod nim trzeszczy i uśmiechnął się, gdy pierwsi Przemienieni zaczęli wysypywać się na pole. Uciekający orkowie również zostali przeszkoleni. Gdyby rzucili się do głównej bramy, zostaliby wyrżnięci jak świnię. Uciekać do bocznych. I robili to, rozdzielając się na dwa strumienie, ten do wschodniej zdecydowanie większy, ponieważ brama znajdowała się bliżej. Główne siły zbliżające się do legionu zostały ukryte przez masy uciekających. Mogli zostać ostrzeżeni przez łuczników, ale było mało prawdopodobne, by nawet Edmund Talbot...

– Smoki! – krzyknął jeden z wartowników, wskazując na wschód.

– Ach – mruknął Conner, patrząc na Rachel. – A teraz pojawiają się wasze cenne smoki. Dzień za późno i zupełnie bezużyteczne. – Obrócił się, by spojrzeć na wycofujące się oddziały i wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Nadlecą i zrzucą swój ładunek ognia na biednych, uciekających orków, po czym odlecą z powrotem na okręty. Zanim tu wrócą, nasza obrona przeciwsmocza będzie już na nie czekać.

– Generale – wydyszał goniec, wspinając się po schodach. – Balmoran...

– Co? – warknął generał Kossin. – Co z Balmoran?

– Atakują, sir – oświadczył posłaniec przy akompaniamencie dudnienia biegnących dołem orków.

– Akt rozpacz? – zapytał generał. – Kohorta?

– Wszyscy, sir – wykrzyknął desperacko posłaniec. – To cały legion!

– Nie mam żadnych sił, którymi mógłbym ich odeprzeć – rzucił gniewnie generał. – Chyba że... przeniesiemy rezerwową kompanię do południowej bramy – kontynuował, zwracając się do jednego ze swoich adiutantów, po czym obrócił się do pozostałych. – Skierować *wszystkie* siły do południowej bramy. Zatrzymać ich. Zajmiemy się nimi, kiedy pozostali przejdą przez bramy...

– Pozorowany atak – rzucił lekko Conner. – Ma pan dość sił, żeby ich zatrzymać. – Zerknął na lecące w górę smoki i zmarszczył brwi. – Powinny skręcać...

Rachel w końcu przestała patrzeć na pole bitwy i spojrzała w górę, na smoki, mrużąc oczy pod słońce. Miał rację, *powinny* skręcać i atakować pierwotne siły orków. Chyba że... zamierzały zaatakować oddziały przesłane przez portale. Nie była taktykiem, zostawiała takie rzeczy swojemu ojcu. Ale wiedziała coś, o czym Conner nie miał pojęcia, i ta wiedza działała niczym balsam na jej duszę.

– Sytuacja nie rozwija się dokładnie tak, jak zaplanowałeś, Conner? – zapytała niewinnie.

– Rzadko się tak dzieje – przyznał mężczyzna, wciąż przyglądając się nadlatującym smokom. – To dlatego przywódcy... One nie atakują orków – zdziwił się, gdy smoki podzieliły się na cztery grupy i rozpoczęły nurkowanie. – One atakują *nasi*

– Legion nadchodzi – warknął gniewnie generał Kossin. Zerknął w górę na smoki, uznał, że żaden nie kieruje się na jego pozycję i zignorował je.

-1 powinien! – krzyknął Conner, gdy pierwsza grupa zrzuciła barierę napalmu na wschodnią bramę. Brama i sąsiadujące z nią wieża na taki właśnie wypadek zostały osłonięte skórą, ale widział płonących orków porzucających swoje stanowiska.

– Nie, idą w *lewo* – warknął generał. – W stronę wzgórza łuczników.

– Co? – krzyknął Conner. – Co? Niemożliwe!

– Żaden plan nie wytrzymuje kontaktu z wrogiem, Conner – oznajmiła słodkim głosem Rachel. –

To dlatego nazywa się go wrogiem.

– Nie! – krzyknął agent Nowego Przeznaczenia, widząc, co niesie atakujący wielki smok. – Niecee!

\* \* \*

– Myślę, że gdzieś tutaj – ryknęła Joanna, rzucając dwie ramy portali na główny plac obozu i hamując, by wylądować obok nich. Przy lądowaniu utrzymała rozłożone skrzydła i wyprostowany ogon, a chwilę po dotknięciu ziemi wykręciła się w miejscu, oczyszczając przy tym ćwierć akra. W okolicy kręciło się trochę żołnierzy, ale mieli przeciw niej tyle szans, ile zmiażdżone w jednej chwili namioty.

Herzer posadził swojego wywerna na północ od portali, po czym zsunął się z jego boku, uderzając zwierzę w zad płazem miecza, równocześnie blokując tarczą nadlatujący z boku cios.

– Wynoś się stąd, durniu – krzyknął, przebijając atakującego orka i odrzucając go kopniakiem. Wywern zrozumiał i po trzech niezgrabnych skokach wzbił się w powietrze.

Herzer zobaczył, jak Bast ustawia się między drewnianymi portalami i grupą orków, więc pobiegł zrobić to samo od północy. Tak jak się spodziewał, fala orków wylewająca się z portali Nowego Przeznaczenia została starannie wyćwiczona. Wychodzili na pomoc od portali ZWS i uciekali. Żaden nawet się nie obejrzał, pomimo że paru oficerów próbowało zatrzymać falę i zawrócić ją ku nowemu zagrożeniu. Jedyni orkowie, z jakimi musieli walczyć, to resztki sił pozostałych w obozie. Ci, którzy nie bronili południowej bramy ani nie brali udziału w ataku.

Megan zsunęła się już z większego smoka i biegła w ich stronę. Sprawdził, czy dziewczyna jest chroniona, po czym zabrał się do pracy.

Nawet „resztki sił” obrońców zdecydowanie przewyższały liczebnie grupę wysłaną przez ZWS. Przemienieni atakowali ze wszystkich stron, więc ustawił się blisko portali, by chronić ich stosunkowo delikatną konstrukcję, a w szczególności utrzymywać wrogów z dala od Megan.

Bast robiła to samo po drugiej stronie, ale większością napastników zajmowała się Joanna. Jej ogon śmigał, uderzając mocno i szybko, niczym ogromny krokodyl, a każdy ork mający pecha zostać przez niego trafiony, wylatywał w powietrze, jakby nic nie ważył. Jej skrzydła też nie pozostawały bezczynne, a ich uderzenie wystarczyło, by rozbić głowę lub pozbawić przytomności.

Z południa nadbiegł jeden z potężnych ogrów, więc przeskoczyła nad grupą ogłuszonych orków, wychodząc mu naprzeciw. Ogr dla odmiany uzbrojony był w potężną maczugę. Uchyliła się przed niezgrabnym uderzeniem i zamknęła paszczę na głowie potwora, miażdżąc zębami potężną czaszkę.

– Fuj! – splunęła. – Szlag, ale paskudnie smakuje!

\* \* \*

– Megan przebiegła przez otaczający ją chaos, przeskakując liny przewróconych namiotów i omijając śmieci, aż dotarła do otwartych ram portali. Stała przy nich i przyłożyła dłonie do obu konstrukcji.

– Matko! – zawołała. – Słyszysz mnie?

– Tak, pani Travante – odpowiedział jej głos znikąd.

– W Raven’s Mili są przygotowane dwie bramy – wydyszała Megan. – Powinni przed nimi czekać Panowie Krwi. Wiesz, o których mówię?

– Tak, pani Travante – potwierdził głos.

– Utwórz połączenie tutaj – poleciła Megan. – Kod beta czternaście. Autoryzacja mocy jeden-dziewięć-cztery-pięć.

W jednej chwili portale ożyły, a Megan uskoczyła z drogi spodziewanej fali elity Panów Krwi, którzy mieli z nich wybiec... w każdej chwili... Zamachała rękami, jakby ich popędzając. Zamachała

jeszcze raz. – *HERZER!*

\* \* \*

Słyszając krzyk, Herzer wykręcił w miejscu, aby zobaczyć, co się dzieje. Jednak nic się nie działo.

– Co? – ryknął, przyjmując cios na zbroję i opuszczając tarczę, by zmiażdżyć stopę orka. Potem wbił miecz w jego szyję i obrócił się ponownie. – Co?

– NIE MA PANÓW KRWI! – wrzasnęła Megan, przeskakując z nogi na nogę. – Gdzie oni są!?  
Mieli tu wpaść całą armią!

– Cholera – warknął Herzer pod nosem. – Joanna! Oslaniaj tę stronę – krzyknął, przebijając kolejnego orka i podbiegł do bramy.

Przełożył przez nią głowę i potrząsnął nią na widok tego, co zobaczył po drugiej stronie. Cały batalion stał na spoczynku, podczas gdy pułkownik prawił kazanie komuś ubranemu w strój kucharza. Odchrząknął.

– Pułkowniku? – zapytał z naciskiem.

– Major *Herrickl* – zdziwił się pułkownik Heiskanen.

– Tak jest, sir – potwierdził Herzer, desperacko wskazując za siebie zakrwawionym mieczem. – Nie zapomnieliśmy o czymś, sir? – zapytał wściekle. – *Bitwa! Orkowie? Obóz do zdobycia!*

– Jacy orkowie? – krzyknął Heiskanen. – Jaki obóz? Co się tu u *diabła* dzieje?

Herzer znieruchomiał na chwilę, po czym przeszedł przez bramę. Nie miał ani chwili na wyjaśnienia, a cały plan szedł w diabły.

Rozejrzał się przez chwilę po zebranych żołnierzach, po czym uniósł miecz nad głowę.

– PANOWIE KRWI! – ryknął. – KREW ZA KREW, STAL ZA STAL. – Wykręcił w miejscu i wskazał na portale. – ZA MNĄ!

\* \* \*

Megan podniosła z ziemi złamany drążek namiotowy i odrzuciła nim atakującego ją orka, cofając się w stronę Bast. Oczywiście, to też nie było dobre rozwiązanie, jako że i elfkę otaczali Przemienieni. Ginęli dość szybko, ale nie znaczyło to, że któryś nie trafi Megan.

– O cholera, zgłupiałam, czy jak? – mruknęła do siebie. – Matko, proszę o osobiste pole ochronne, autoryzacja beta-charlie.

3Włączające się pole przecięło drążek. Rzuciła na ziemię jego resztkę i wsadziła kciuki w uszy, krzywiąc się w stronę orków.

– A figa – zawołała. – Nie dostaniecie mnie!

Ork uniósł miecz w górę i wrzasnął w furii, rzucając się w jej stronę akurat w chwili, gdy z portalu wylała się pancerna fala.

\* \* \*

Herzer wpadł na orka i odrzucił go w bok, gdzie Przemieniony został rozdeptany przez Panów Krwi wybiegających przez sąsiednią bramę.

– Portale – krzyknął Herzer, obracając się w stronę przebiegających żołnierzy i wskazując za swoje plecy. – Zniszczyć je! Zniszczyć portale! Zniszczyć! Zniszczyć portale!

Panowie Krwi zostali świetnie wyszkoleni i w przeciwieństwie do orków nauczono ich również *myśleć*. Nie było żadnych wątpliwości, skąd wylaniają się rzeki orków, i grupy żołnierzy rozproszyły się, biegnąc w stronę portali. Część pomyślała o czymś innym i ustawili się wokół własnych portali, broniąc ich.

Widząc, że wszystko w końcu zaczęło działać, Joanna skierowała się w stronę najdalszego portalu od wschodu. Znajdował się tuż na północ od wschodniej bramy i gdy wywróciła go razem z

sąsiednim za pomocą swojego potężnego ogona, ruszyła do samej bramy. Jej śladem pobiegła też grupa Panów Krwi.

– Majorze Herrick – rzucił Heiskanen, kiedy przedostał się przez pandemonium otaczające bramę. – Co się tu dzieje?

– Sir, nie ma czasu na wyjaśnienia – rzucił Herzer, chwytając przebiegającego oficera. – Poruczniku Julicher, proszę zebrać pluton i ilu pan tylko zdoła. Biegnijcie do południowej bramy – polecił, wskazując. – Otwórzcie ją. Zaraz zjawi się tu drugi legion.

– Tak jest, sir – krzyknął porucznik i natychmiast zaczął przywoływać sierżanta swojej triari.

– Joanna! – ryknął Herzer.

– Yo! – odkrzyknęła smoczyca, wymachując ogonem i wywracając przy tym kilku orków.

– Biegnij do Megan i Bast – krzyknął Herzer. – Niech żołnierze zdobędą bramy. Dopilnuj, żeby nic się nie stało Megan.

– Dobra!

– Poruczniku Sosinsky – polecił Herzer, łapiąc jednego z oficerów, który właśnie wyłonił się z portalu. – Zachodnia brama. Niech pan zabierze swój pluton, ilu tylko zdoła pan znaleźć. Proszę ją zdobyć i utrzymać do chwili otrzymania posiłków.

– Tak jest, sir. – Porucznik zerwał się do biegu w tamtą stronę.

3– Zabrać swój *pluton*, powiedziałem! – krzyknął Herzer. – Sierżant Turzak! Zebrać pluton i *spróbujcie* utrzymać tego idiotę przy życiu!

– Tak jest, sir!

– To cholernie duża banda orków! – rzucił pułkownik Heiskanen. – Kapitan Walio!

– Proszę ich zostawić, sir! – krzyknął Herzer. – Niech wybiegną przez bramę! Trzeba wywrócić portale! A potem zamknąć bramy, gdy wyjdą *na zewnątrz* \*.

– To o *to* tu chodzi! – skomentował Heiskanen, rozglądając się. -1 gdzie się wtedy znajdują?

– Na zewnątrz, a my będziemy tutaj z drugim legionem, sir – wyjaśnił Herzer. – Łatwizna.

\* \* \*

– Powiedziałeś, że to łatwizna – krzyknął Gunny Rutherford.

– Och, zamknij się! – odkrzyknął Edmund, rozwalając młotem głowę kolejnego orka.

Stali w pierwszym szeregu legionu, pomagając powstrzymać falę orków z głównych sił, podczas gdy połowa legionu była rekord świata w budowaniu za nimi umocnień. Jak obiecał, zarys umocnień został już przygotowany, ale zrobienie wszystkiego na czas było... skomplikowane.

– Powiniennem teraz iść sobie popływać! – wrzasnął Gunny Rutherford, uderzając tarczą w orka, a potem wbijając miecz w jego bok. – Składać ofiarę Byczemu Bogowi! Iść do fryzjera albo wybierać, którą syrenę namówić na zrobienie dzieci!

– Wiesz, że to kochasz, stary durniu! – krzyknął Edmund, blokując tarczą uderzenie, a potem wbijając młot w nieosłonięte kolano orka. Zawsze zapominali osłaniać nogi.

– Skończyliśmy, sir! – krzyknął z przedpiersia generał Lepheimer.

– To zmuscie tych cholernych łuczników, żeby zrobili nam trochę *miejsca* – wrzasnął Edmund, a chwilę potem usłyszał jęk Gunny'ego.

Skoczył na bok i rozwalił głowę orka, który unosił właśnie miecz, by dobić powalonego podoficera. Gunny wciąż oddychał, ale miał w boku potężną ranę – silny cios bestii rozplątał chroniącą go zbroję. Zobaczył rozcięte żebra. Gunny Rutherford nie był jedynym powalonym legionistą i w ścianie tarcz pojawiło się już pełno otworów, pozostawiając szereg pojedynczych żołnierzy stojących przed przedpiersiem i próbujących zatrzymać pozornie nieskończony napływ

Przemienionych.

Edmund zaklął głośno i aktywował swoją zbroję. Oszczędzał jej ładunek na rozpaczliwe sytuacje, ale ta wyglądała właśnie na taką. Zbroja

3zaczęła jarzyć się niebieskim światłem i poczuł, jak opuszcza go zmęczenie, gdy fala nanitów oczyściła jego ciało z toksyn, zwiększając siłę i szybkość. Nie poczuł się aż tak dobrze jak wtedy, gdy pierwszy raz spotkał Gunny'ego i próbowali razem zaprowadzić porządek w Anarchii. Ale dostatecznie dobrze.

Generał Lepheimer gestem nakazał łucznikom podejście do umocnień i wyrzwał za nie, szukając dowódcy ZWS. Chwilę potrwało, zanim znalazł go wśród sterty ciał. Edmund poruszał się jak *błyskawica*. Wyglądało na to, że niesie na ramieniu Gunny'ego Rutherforda i sunie przez masy orków jak przez pole zboża, kierując się do bastionu po prawej.

– Liny! – krzyknął generał, wskazując na pozostałych legionistów. Część z nich zyskała odrobinę miejsca, głównie dzięki temu, że Edmund zabił wszystkich napierających na nich orków. – Łucznicy!

\* \* \*

Portale składały się z metalowych ram zakotwiczonych w betonowych blokach. Były dobrze ustabilizowane, ale sześciu do ośmiu Panów Krwi potrafiło je powalić na ziemię.

Porucznik Sivula cofnął się i otarł dłonie w chwili, gdy spod wywróconego portalu rozległo się łupnięcie.

– To musiało boleć – zauważył, krzywiąc się. Dla orków, którzy akurat przebiegali przez portale, musiało to przypominać wbiegnięcie twarzą prosto na ścianę. Jednak bloki pozostawiły pod bramą trochę miejsca i widział wijące się przy brzegach ręce. – No cóż, to nie koniec – dodał i dźgnął mieczem jedną z kończyn. Reakcją był głośny wrzask. – Przepraszam!

# ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

– O cholera... – jęknął Conner, gdy wywrócono ostatni portal. Widział ludzi wspinających się na południową ścianę, gdzie orkowie, zaatakowani z dwóch stron, bezradnie kręcili się w kółko. Zresztą skoro mowa o bezradności, to ostatni Przemienieni głównych sił właśnie przebiegli przez północną bramę, a tuż za nimi postępował szereg legionistów. Potrafił sobie wyobrazić, co się stanie. Zdobędą bramę, zamkną ją i w ten sposób uwiężą siły Nowego Przeznaczenia *na zewnątrz*, między dwoma legionami.

– Podejście pośrednie – odezwała się Rachel. – Uderzyć tam, gdzie przeciwnik jest najbardziej wrażliwy. Wypadałoby się poddać tacie. Jeśli tego nie zrobisz, i tak tu przyjdzie.

– Racja – stwierdził Conner, odzyskując stanowczość. – Zabieramy się stąd.

– Co? – warknął generał Kossin. – Tak po prostu?

– Tak po prostu – potwierdził. – Pan może się zająć resztą. Wciąż ma pan więcej oddziałów niż legionieści. Ale panienka Ghorbani i ja *zabieramy* się stąd. Roc. Bierz ją.

\* \* \*

Mocno popchnięta Rachel zatoczyła się do przodu i obejrzała się przez ramię na zniekształconego elfa.

– Idę, idę – wymamrotała, schodząc po schodach za Connerem. Jego namiot mieścił się w północnej części obozu, wciąż wolnej od żołnierzy ZWS. Rozejrzała się desperacko wokół, ale agent starannie unikał Panów

3Krwi biegnących w stronę bramy. Odwrócił się do niej plecami, ale *widziała* migotanie jego pola ochronnego. Dotknęła swojej piersi i skrzywiła się, patrząc na zachód, gdzie czekało bezpieczeństwo. Tylko parę metrów. Tylko kilka.

– Nie – warknął Roc, dotykając jej pleców. – Idź.

Spojrzała w jedną z uliczek między namiotami i zobaczyła biegnącą na pomoc znajomą postać.

– HERZER!

\* \* \*

Herzer skierował się do północnej bramy, o którą walczyli Panowie Krwi. Nie obsadziło jej wielu obrońców i na jego oczach brama zaczęła się zamykać. Z góry wieży będzie w stanie zobaczyć przebieg całej bitwy. Tutaj w dole panował kompletny chaos, ale tym mógł się zająć pułkownik Haiskanen, nie wspominając o generale Magalongu. Kluczowe jednak było to, co miało nastąpić *dalej*.

Znalazł się około sześćdziesięciu metrów od bramy, gdy usłyszał po prawej swoje imię.

– Rachel?

– Świetnie – rzucił Conner, potrząsając głową. – Bohaterski ratunek. Roc. Zabij go. – Conner gestem wyłączył swoje pole ochronne i chwycił Rachel za nadgarstek. – Chodź, suko.

\* \* \*

– Herzer! – ponownie krzyknęła Rachel, szarpiąc się w stalowym uścisku. – Elf! Herzer! Elf!

\* \* \*

Ta... rzecz, która na niego pędziła, była *demonem* i do tego *szybkim*. Uniósł tarczę, by zablokować pierwszy, błyskawiczny cios, a miecz stworzenia prawie rozciął ją na pół. Rzucił się w dół, sądząc, że przy takim wyciągnięciu ręki istota musiała stracić równowagę, ale spadł na niego cios znikąd, rzucając go na kolana. Przeturlał się do tyłu i zerwał na nogi, w ostatniej chwili łapiąc miecz protezę, ze wstrząsem, który poruszył całym jego ciałem. Protezy nie zrobiono ze stali, a z adamantytu, i na chwilę uwięziła klingę, zanim przeciwnik wyszarpnął ją, prawie wywracając go

przy tym na ziemię. Herzer próbował przemknąć pod mieczem i zadać cios własną bronią, ale miał zdecydowanie za mały zasięg, by manewr się powiodł. W końcu uwolnił miecz i wycofał się, patrząc, jak wysoki mężczyzna odciąga Rachel w stronę namiotu, nie potrafiąc jej uratować, tak jak nie mógł uratować jej matki.

Istota przyglądała mu się przez chwilę, przechylając głowę na bok, a potem uniosła miecz do ciosu, którego nie mógł ani uniknąć, ani zablokować.

3– Nie – rzuciła Bast, uderzając od nieosłoniętego boku stworzenia.

Potwór zareagował szybciej, niż mógł nadażyć wzrokiem, ale cios lekkiej szabli i tak zostawił ślad na żebrach, rozcinając osłaniającą je kolczugę, jakby zrobiono ją z papieru. Stworzenie odskoczyło do tyłu, oceniając nowego przeciwnika.

– Idź do Rachel – rzuciła Bast. – Ten jest mój. Herzer nawet nie kiwnął głową, po prostu zaczął biec.

\* \* \*

– Przestań się rzucać, suko! – krzyknął Conner, przyciągając Rachel bliżej i chwytając ją za włosy, po czym uderzył ją otwartą dłonią w twarz.

Rachel na chwilę zobaczyła gwiazdy i potrząsnęła głową, próbując się ich pozbyć. Nagle Conner objął jej szyję ramieniem, a w jego dłoni pojawił się nóż.

– Jeszcze krok, a ona zginie.

Herzer podrzucił lekko miecz, oceniając swoje szanse. Mężczyzna miał rozmiary zdecydowanie większe od Rachel i choć próbował się nią osłonić, wystawało zza niej sporo jego ciała. A Herzer był *dość* dobry w rzucaniu mieczem. *Dość* dobry.

– Nie próbuj – odezwał się mężczyzna. – Nie jesteś *aż tak* dobry. Wiem.

– Ty jesteś... Conner – powiedział cicho Herzer. Twarz Rachel wyrażała strach, ale i determinację, a ręce trzymała zaciśnięte na piersiach.

– Tak, i wiesz, że nie zawaham się jej zabić – zapewnił tamten. – Zrobisz jeden krok bliżej, a ona zginie na twoich oczach.

– Zrobisz jeden krok do tyłu, a zaryzykuję – oświadczył Herzer. – Nie pozwolę jej zniknąć.

– *Oboje* znikniemy. – Agent Nowego Przeznaczenia roześmiał się. – Mogę się wyteleportować w każdej chwili.

– *Gdybyś* mógł, już byś to zrobił – zauważył Herzer, bardzo zdecydowanie nie patrząc na Rachel. – Zostaw ją, a pozwolę ci odejść.

– Nie ma mowy – oświadczył Conner, robiąc krok w tył i ciągnąc za sobą dziewczynę.

– Conner – powiedział konwersacyjnym tonem Herzer. – Jest coś, o czym powinieneś wiedzieć.

– Co? – zapytał tamten podejrzliwie.

– To nie mnie powinieneś się bać – stwierdził Herzer, wskazując mieczem za jego plecy.

– Nawet nie próbuj – warknął Conner, robiąc kolejny krok do tyłu. – To najstarsza sztuczka świa...

\* \* \*

3Rachel poleciała do przodu, gdy na plecach mężczyzny wylądowało sześćdziesiąt kilo rozwścieczonego domowego lwa. Conner wrzasnął i machnął do tyłu swoim nożem, ale Rachel była prawie równie szybka. Skalpel wysunął się z pochwy i dźgnął w dół z precyzją osy zabijającej pająka. Wyciągnęła go z jego nogi, uwalniając fontannę jasnoczerwonej krwi.

– To twoja tętnica udowa – poinformowała lekkim tonem. -1 nerw udowy, co jest powodem, dla którego nie czujesz w tej chwili bólu. – Zrobiła krok do przodu, przez chwilę przyglądała się chwiejącemu się mężczyźnie, po czym wbiła skalpel w jego żołądek i pociągnęła w górę.



– Teraz rozciąłam ci wątrobę wraz z różnymi naczyniami krwionośnymi – dodała konwersacyjnym tonem, gdy Conner padł wreszcie na kolana, a potem na twarz, z kotem wciąż szarpiącym go pazurami tylnych nóg po pośladkach. Lazur w końcu sięgnął szczękami i z trzaskiem zacisnął je na szyi agenta.

– To musiała być tchawica – dodała spokojnie Rachel. – Tak więc według mojej profesjonalnej opinii lekarskiej zginiesz z braku tlenu, *zanim* wykrwawisz się na śmierć.

\* \* \*

Kiedy ofiara w końcu przestała się ruszać, Lazur puścił jej kark i miauknął do swojego człowieka.

– Dobry kotek – pochwaliła Rachel, drapiąc go pod zakrwawioną brodą. – *Dobry kotek...*

\* \* \*

– Trochę tu gorąco – zauważył generał Lepheimer, patrząc w dół, na masę orków atakujących pospiesznie wzniesione umocnienia pierwszego legionu.

– Tak, to prawda. – Edmund wyciągnął zegarek i zerknął na słońce. – Nie powiedziałby pan, że jest tuż przed południem?

– Mniej więcej – zgodził się dowódca pierwszego legionu. – No wie pan, jest ich dość dużo.

– Tak, to prawda – powtórzył Talbot.

Przemienieni, którzy wyłonili się z portali, uderzyli przede wszystkim w przedpiersie, jak fala, a reszta dołączyła do nich, próbując wesprzeć atak, ponieważ nie potrafili zdobyć własnych, odebranych im umocnień. Nie wyglądało też na to, żeby ktoś po stronie Nowego Przeznaczenia panował nad bitwą.

– Łucznicy robią się zmęczeni – zauważył Lepheimer. – A wróg ma nad nami dość dużą przewagę liczebną.

3– To prawda – zgodził się Edmund.

-1 mocno napierają na naszą prawą flankę – kontynuował generał Lepheimer, wskazując w stronę końca grzbietu, gdzie widać było grupy orków wspinających się po pokrytym trawą wzgórzu.

– Tak. -1 tym razem Edmund zgodził się.

– Generale, czemu jest pan taki... spokojny?

– Chwileczkę – powiedział Edmund, zerkając na wschód, po czym zdejmując hełm. Położył się na przedpiersiu i przycisnął ucho do drewna, po czym się uśmiechnął. – No cóż – oświadczył, wstając i otrzepując zbroję z ziemi – całkiem nieźle jak na działania rządu.

– Co? – zapytał Lepheimer, podając mu z powrotem hełm.

– Słyszysz pan to? – zapytał Edmund z uśmiechem.

– Nie – odpowiedział generał, wyraźnie nie pojmując. Potem przez dźwięki bitwy *faktycznie* to usłyszał. A raczej poczuł. Dudnienie ziemi. – Co to u diabła jest?

– To. – Talbot wskazał w stronę prawej flanki.

Nad grzbietem wzgórza pojawiła się ściana kawalerii, z długimi lancami błyszczącymi w słońcu. Nawet nie wstrzymali galopu, po prostu zacieśnili szeregi i przeszli w cwał, z lancami opuszczonymi do ataku, a z sześciu tysięcy gardeł wyrwał się okrzyk.

– KENTIA!

– Przekazać obu legionom – polecił Edmund, zapinając hełm. – Do ataku.

# EPILOG

– Jak długo już to trwa? – zapytał Talbot, gdy Bast i ta duża... istota oderwali się od siebie.

– Ze dwie godziny – odpowiedział Herzer.

– Wiesz, że trwa bitwa, prawda?

– Nie może być tak ważna, skoro jest pan tutaj – odparł Herzer. – Cześć, Kane, cieszę się, że przyjechałeś się pobawić.

– Pobawić – jęknął Kane. – Nie zsiadałem z konia przez trzy dni. Nie jestem pewien, czy potrafię chodzić.

– *Cóż*, liczy się podróżowanie, prawda? – zauważył Herzer.

– Gunny Rutherford zginął – poinformował ich Edmund, gdy Bast błyskawicznym ciosem otworzyła kolejną szczelinę w poszarpanej zbroi przeciwnika.

– Przykro mi – wyszeptał Herzer.

– Utrzymał szereg w trakcie budowy przedpiersia.

– Tak właśnie chciałby zginąć – stwierdził Herzer.

Elfia istota zdołała zranić Bast, która się cofnęła, osłaniając ramię.

– Bzdury – warknął Edmund. – Chciałby zginąć na zawał, leżąc w hamaku, obsługiwany przez rudą szesnastolatkę o imieniu Trący.

Herzer zastanawiał się nad tym przez dłuższą chwilę, po czym spojrzał na Edmunda po raz pierwszy od chwili, gdy ten przybył.

– Czemu *Trący*? – zapytał.

– Nie mam pojęcia – przyznał książę. – Kiedy mi to mówił, zalał się prawie w trupa. Ale to rodzaj rzeczy, które zostają w człowieku. A nigdy

3nie miałem dość odwagi, żeby go zapytać. Teraz żałuję, że tego nie zrobiłem.

Dwoje walczących rozdzieliło się i Herzer wyciągnął rękę do góry. Jeden z przyglądających się walce Panów Krwi otworzył butelkę z wodą i rzucił ją elfiej istocie. Edmund zauważył leżący na ziemi cały ich stosik.

– Bardzo... jakieś... Pewnie szlachetne. A może głupie.

– Bast nalegała – wyjaśnił Herzer. Bast przyjęła butelkę od Rachel i osuszyła ją, odrzucając następnie na bok i sprawdzając swoją szablę. Miecz zniekształconego elfa został już mocno wyszczerbiony, ale jej broń była nietknięta.

– To jak długo to jeszcze potrwa? – zapytała Megan, podchodząc i wsuwając rękę pod ramię Herzera.

– Bast mówiła coś o przerwaniu z nadejściem nocy – wyjaśnił Herzer. – Zjeść coś, odpocząć i zacząć dalej o świcie.

– Tak więc ma to wyglądać? – zapytała poruszona dziewczyna. – Dwoje nieśmiertelnych toczących epicką walkę aż po kres czasu?

– Chyba że jedno z nich się podda – wyjaśnił Herzer, wzruszając ramionami.

– Nie, żadne tego nie robi – zauważył Edmund. – To coś ma jakieś imię?

– Roc.

– Roc – wykrzyknął Edmund, unosząc rękę i podchodząc do Bast. – Poczekaj no chwilę, musimy porozmawiać. Cześć, Bast – rzucił do elfki. – Ładny strój.

– Edmund – przywitała się z nim Bast, pocierając lewe ramię. – Bitwa się udała?

– Zwykłe problemy – mruknął, wzruszając ramionami. – Bast, mamy co innego do roboty.

– Ja nie – zauważyła elfka.

– Owszem, ale nie możemy po prostu oddać wam tej części obozu na arenę do pojedynku.

Wygrasz tę walkę w skończonym czasie?

– *Gdybym* była prawdziwym elfem, to tak – przyznała Bast, odrzucając do tyłu głowę. – On nie ma *gaslan*. Ze wszystkich rzeczy, które mu zrobili, chyba najgorsze to oddzielenie go od *gaslan*. Stworzenie maszyny bojowej i zabranie mu równocześnie największej przewagi... szaleństwo!

– To musiała być Celinę – westchnął Edmund. – *Gaslan!*

– Elfia umiejętność – wyjaśniła Bast, wzruszając ramionami. – Trudno to przełożyć. Znać przebieg bitwy. Znać tysiące sposobów, na które może

3potoczyć się walka i wybrać spośród nich ten najwłaściwszy. Masz to w pewnym stopniu. Tak samo Herzer. Wyczułam to w nim od samego początku. Mają to wszystkie elfy, bardzo rozwinięte. Prawdziwy elf do tej pory by już wygrał. Ale nie mam dość masy. Mogę go skaleczyć, ale nie przebić. On czasami może dotknąć mnie. Ale rzadko, a ja mam zbroję.

– Niewątpliwie go poznałaś – stwierdził Edmund, patrząc na rozcięcia w zbroi i pokrywającą stworzenie krew.

– Na śmiech – zauważyła niedbale Bast. – Elfy szybko się leczą. To... coś też się szybko regeneruje – dodała, wskazując na Roca. – Nie, muszę przebić, a nie mogę, do czasu, aż któreś z nas mocno się nie zmęczy. Może on, może ja. Nie dzisiaj. Jutro. Po południu. Może jeszcze następnego dnia.

– Nie, to nie może tak wyglądać – oświadczył Edmund. – Przykro mi. – Odwrócił się do potwora. – Roc?

Stworzenie, które wpatrywało się zawzięcie w Panów Krwi spojrzało na niego i kiwnęło głową.

– Za około dziesięć minut ściągnę tu jakąś setkę łuczników – oświadczył książę. – Ci wszyscy ludzie podchodzą do ciebie bardzo szlachetnie. Ja nie. I nie sądzę, żebyś ty. Pewnie złapiesz część strzał i odbijesz inne, ale w końcu naszpikujemy cię strzałami jak zbrojownię. Rozumiesz?

– Tak – potwierdziła bestia.

– Możesz się poddać, a my znajdziemy ci małą, przytulną twierdzę, w której będziesz mógł straszyć, albo zginiesz. Twój wybór.

Roc przez chwilę przesuwając palcem po klindze swojej broni, po czym skierował jąku ziemi. Zrobił krok do przodu, wywołując poruszenie wśród przyglądających się Panów Krwi, po czym klęknął, pochylając głowę.

– Ona – oświadczył, wskazując na Bast. – Tej oddaję swoje życie. Jest tego warta.

Bast podeszła do niego ostrożnie, obchodząc stronę z mieczem i wsunęła szablę pod jego szyję.

– Spójrz na mnie – poleciła. – *Adano*.

Bestia spojrzała na nią oczami przepełnionymi nienawiścią.

– Kto cię związał? – zapytała.

– Jestem związany imieniem pani Celinę – warknęła gniewnie istota.

– Kiedyś wiązało cię inne imię – oświadczyła, wyciągając dłoń i dźwigając stworzenie na nogi.

– Ledwie sięgała mu do pasa. – Przysięgam, że możesz znów związać się z Nią – dodała, kładąc lewą dłoń na jego piersi. – *Aso mua, shato moas latań*.

I zniknęli.

– Co się stało? – zapytał Herzer. – Teleportowali się?

– Matko? – zapytała Megan. – Czy to był teleport?

– Przesunięcie wymiarowe – odpowiedział głos.

– Elfheim jest zamknięty – zauważył Edmund. – *Gdzie oni poszli?*

– Matko? – zapytała Megan. – Gdzie się przenieśli?

– Nie jestem zaprogramowana do śledzenia przejść międzywymiarowych – wyjaśnił głos. – *Ale shato moas latań można przełożyć na „to, co zostało stracone”*. W jednym z bardzo starożytnych języków ludzie mogliby to nazwać... Shangri-la...

# Spis treści

<a href="#">STRONA TYTUŁOWA..</a>	<a href="#">1</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ PIERWSZY..</a>	<a href="#">4</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ DRUGI.</a>	<a href="#">13</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ TRZECI.</a>	<a href="#">23</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ CZWARTY..</a>	<a href="#">35</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ PIĄTY..</a>	<a href="#">46</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ SZÓSTY..</a>	<a href="#">53</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ SIÓDMY..</a>	<a href="#">63</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ ÓSMY..</a>	<a href="#">73</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY..</a>	<a href="#">83</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ DZIESIĄTY..</a>	<a href="#">95</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ JEDENASTY..</a>	<a href="#">104</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ DWUNASTY..</a>	<a href="#">114</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ TRZYNASTY..</a>	<a href="#">124</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ CZTERNASTY..</a>	<a href="#">134</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ PIĘTNASTY..</a>	<a href="#">144</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ SZESNASTY..</a>	<a href="#">153</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY..</a>	<a href="#">162</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ OSIEMNASTY..</a>	<a href="#">174</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY..</a>	<a href="#">184</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ DWUDZIESTY..</a>	<a href="#">195</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY..</a>	<a href="#">206</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI.</a>	<a href="#">211</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI.</a>	<a href="#">224</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY..</a>	<a href="#">236</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY..</a>	<a href="#">243</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY..</a>	<a href="#">252</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY..</a>	<a href="#">264</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY..</a>	<a href="#">275</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY..</a>	<a href="#">289</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY..</a>	<a href="#">299</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY..</a>	<a href="#">309</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI.</a>	<a href="#">320</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI.</a>	<a href="#">329</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY..</a>	<a href="#">338</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY..</a>	<a href="#">348</a>
<a href="#">EPILOG..</a>	<a href="#">353</a>